

**NORA ROBERTS**

**UKRYTE SKARBY**

Tytuł oryginału Hidden Riches

## PROLOG

Nie chciał tu być. Nie chciał być uwięziony w tym eleganckim starym domu, nękany i dręczony przez nie dające mu spokoju duchy. Pora już przykryć meble pokrowcami, zamknąć drzwi na klucz i odejść. Musiał opuścić ten dom, a opuszczając go, uwolnić się od koszmarów.

- Kapitanie Skimmerhorn?

Jed zeszywniał na dźwięk tych słów. Od zeszłego tygodnia nie był już kapitanem. Złożył rezygnację, oddał odznakę, ale już znudziło mu się to wyjaśniać. Usunął się z drogi dwóm tragarzom znoszącym w ów mroźny poranek po schodach palisandrowy kredens do wielkiego holu, a potem na zewnątrz domu.

- Tak?

- Może zajrzy pan na górę, czy wzięliśmy wszystko, czego pan sobie życzył. Nam się zdaje, że to już wszystko.

- Dobrze.

Ale nie chciał wchodzić po tych schodach, przejść przez te pokoje. Nawet puste przypominały mu zbyt wiele. Odpowiedzialność, pomyślał, ruszając niechętnie. Zbyt często pojawiała się w jego życiu, by miał teraz o niej zapomnieć.

Coś ciągnęło go w stronę jego dawnego pokoju. Pokoju, w którym dorastał, pokoju który zajmował, kiedy zamieszkał tu samotnie. Ale zatrzymał się na krok przed progiem. Mocno zacisnął pięści w kieszeniach i czekał, aż wspomnienia osiągną go niczym kula snajpera.

W tym pokoju płakał - oczywiście ukradkiem i wstydliwie. Żaden Skimmerhorn nie okazywał publicznie słabości. A kiedy jego łzy obeschły, planował tu zemstę. Błahe, dziecinne plany odwetu, które zawsze uderzały w niego rykoszetem.

W tym pokoju nauczył się nienawiści.

Ale przecież to tylko pokój. To tylko dom. Przekonał się o tym przed laty, kiedy jako dorosły mężczyzna wrócił, by w nim zamieszkać. I czy nie był zadowolony? Zadał sobie teraz pytanie. Czy to nie było proste?

Aż do chwili, kiedy Elaine...

- Jedydiaszu.

Wzdrygnął się. Zanim się zreflektował, jego ręka sięgnęła po broń, której już nie nosił. Ten gest i to, że tak się pograżył w niezdrowych rozmyślaniach, iż dał się zająć od tyłu, przypomniało mu, dlaczego nie nosi już broni u boku.

Opanował się i spojrzał na swoją babkę. Honoria Skimmerhorn Rodgers, spowita szczerze norkami, z dyskretnymi, odpowiednimi do noszenia w dzień brylantami migocącymi u jej uszu, miała pięknie ufryzowane śnieżnobiałe włosy. Wyglądała jak szacowna matrona zdążająca na obiad w ulubionym klubie. Ale jej oczy, równie żywe i błękitne jak jego własne, były pełne troski.

- Miałam nadzieję, że przekonam cię, żebyś zaczekał - powiedziała cicho i wyciągnęła rękę, by położyć ją na jego ramieniu.

Odruchowo uchylił się. Skimmerhornowie po prostu nie lubią czułości.

- Nie ma sensu czekać.

- A to ma sens? - wskazała pusty pokój. - Czy opuszczenie domu, porzucenie wszystkiego, co do ciebie należy, ma sens?

- Nic w tym domu nie należy do mnie.

- Absurd - w jej głosie pojawił się cień bostońskiego akcentu.

- Z braku prawdziwych właścicieli? - odwrócił się plecami do pokoju, by spojrzeć jej w twarz - bo tak się złożyło, że zostałem przy życiu? Nie, dziękuję.

Gdyby nie martwiła się tak o niego, dałaby mu dobrą nauczkę za tę niegrzeczną odpowiedź.

- Mój drogi, nie ma o tym mowy. Ani niczyjej winy - przyjrzała się mu uważnie i zamilkła.

Potrząsnęłaby nim, gdyby mogło to coś zmienić. Zamiast tego dotknęła jego policzka.

- Ty po prostu potrzebujesz czasu.

Ten gest sprawił, że jego mięśnie napięły się. Musiał zmobilizować całą siłę woli, by nie uchylić się spod tych delikatnych palców.

- I właśnie w ten sposób go sobie zapewniam.

- Wyprowadzając się z rodzinnego domu.

- Rodzinnego? - roześmiał się, a echo jego śmiechu rozległo się w holu nieznośnie głośno. - Nigdy nie byliśmy rodziną, ani tu, ani nigdzie.

Jej spojrzenie, łagodne i pełne współczucia, stwardniało.

- Udawanie, że przeszłość nie istnieje, jest tak samo złe, jak tkwienie w niej. Co ty wyprawiasz? Odrzucasz wszystko, co zdobyłeś, wszystko co zawdzięczasz sam sobie? Być może nie przyjąłam z entuzjazmem zawodu, jaki sobie wybrałeś, ale to był twój wybór, i to trafny. Wydaje mi się, że bardziej przysłużyłeś się nazwisku Skimmerhornów, kiedy zostałeś kapitanem, niż wszyscy twoi przodkowie ze swoimi pieniędzmi i pozycją towarzyską.

- Nie zostałem policjantem, żeby przysługiwać się mojemu cholernemu nazwisku.

- Nie - powiedziała spokojnie. - Zrobiłeś to dla samego siebie, wbrew przemożnej presji rodziny, włączając w to i mnie.

Odsunęła się od niego i ruszyła korytarzem. Mieszkała tu kiedyś, dawno temu, jako panna młoda. Nieszczęśliwa panna młoda.

- Patrzyłam, jak zmieniasz swoje życie i bałam się. Ponieważ wiedziałam, że zrobiłeś to tylko dla siebie. Często zastanawiałam się, skąd wzięłeś na to tyle siły.

Odwróciła się i przyjrzała mu się, synowi swojego syna. Odziedziczył efektowną urodę Skimmerhornów. Brązowe włosy, rozwichrzone przez wiatr, okalały szczupłą, kościstą twarz, teraz wyraźnie spiętą. Martwiła się, jak każda kobieta, bo stracił na wadze, choć jego zaostrome rysy zyskały na wyrazie. W wysokiej sylwetce o szerokich ramionach kryła się siła, która zarazem podkreślała i kontrastowała z romantyczną męską urodą bladziółtej cery i wrażliwych ust. Jego oczy, głębokie i intensywnie błękitne, unikały jej spojrzenia. Były teraz równie udreżone i wyzywające jak oczy tego nieszczęśliwego chłopca, którego tak dobrze pamiętała.

Ale nie był już chłopcem, a ona bała się, że mężczyźni nie może już pomóc.

- Nie chcę patrzeć, jak znowu zmieniasz swoje życie, tym razem z niewłaściwych powodów - potrząsnęła głową, wracając do niego, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Mogłam mieć zastrzeżenia, kiedy po śmierci rodziców zamieszkałeś tu samotnie, ale to również była twoja decyzja. A po pewnym czasie zaczęłam rozumieć, że znowu wybrałeś właściwie. Ale czy tym razem twoją reakcją na tę tragedię ma być sprzedanie domu, zrezygnowanie z kariery?

Odczekał chwilę. - Tak.

- Zawiodłeś mnie, Jedydiaszu.

To zabolalo. Rzadko wypowiadała to zdanie, a sprawilo mu wiekszy bol niz stek wyzwisk, jakimi obrzucal go ojciec.

- Wolę cię zawieść, niż odpowiadać za życie choćby jednego policjanta. Nie jestem w stanie być dowódcą - spojrzal na swoje dłonie, zacisnął je. - Może już nigdy nim nie będę. A co do domu, już dawno powinno się go sprzedać. Po wypadku. Zostałby sprzedany, gdyby Elanie zgodziła się na to.

Coś jakby utkwilo mu w gardle. Poczucie winy miało smak żółci.

- Teraz jej też już nie ma, a decyzja należy do mnie.

- Należy - zgodziła się. - Ale popełniasz błąd.

W jego żyłach zakipiała wściekłość. Miał ochotę uderzyć w coś, uderzyć kogoś, okładać pięściami czyjeś ciało. Zbyt często nawiedzało go to uczucie. Właśnie dlatego nie był

już kapitanem J. T. Skimmerhornem z departamentu policji w Filadelfii, lecz zwykłym obywatelem.

- Nie rozumiesz? Nie mogę tu mieszkać. Nie mogę tu sypiać. Muszę się stąd wydostać. Ja się tu duszę.

- Więc wróć ze mną do domu. Na święta. Przynajmniej do Nowego Roku. Daj sobie trochę czasu, zanim zrobisz coś nieodwracalnego. - Jej głos był na powrót łagodny, gdy brała jego oporne dłonie w swoje.

- Jedydiaszu, minęło wiele miesięcy, odkąd Elaine... odkąd zabito Elaine.

- Wiem, ile czasu minęło. - Tak, wiedział dokładnie, kiedy zginęła jego siostra. W końcu to on ją zabił. - Dziękuję za zaproszenie, ale mam co robić. Dzisiaj oglądam mieszkanie. Na South Street.

- Mieszkanie - westchnienie Honorii było pełne rozdrażnienia. - Doprawdy, Jedydiaszu, po co ci te bzdury. Kup sobie nowy dom, skoro musisz, wyjedź na długie wakacje, ale nie zagrzebuj się w jakimś nędznym pokoju.

Zdziwił się, że potrafi się uśmiechać.

- W anonsie napisano, że mieszkanie jest ciche, atrakcyjne i dobrze położone. To nie brzmi nędźnie. Babciu - uściśnął jej rękę, zanim zdołała wszcząć z nim kłótnię - pozwól mi na to.

Znowu westchnęła, czując już smak klęski.

- Chcę tylko twojego dobra.

- Jak zawsze - stłumił dreszcz, czując, że ściany napierają na niego. - Uciekajmy stąd.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pusty teatr ma swój szczególny urok. Urok możliwości. Niosące się echem głosy aktorów powtarzających swoje kwestie, reflektory, kostiumy, nerwowa atmosfera i kipiące temperamenty, które pluja ogniem ze środka sceny aż do ostatniego pustego rzędu.

Isadora Conroy chłonęła ten urok, stojąc w kulisach Liberty Theater i przyglądając się próbie kostiumowej „Opowieści wigilijnej”. Jak zawsze rozkoszowała się przedstawieniem: nie tylko utworem Dickensa, ale i spektaklem rozdygotanych nerwów, oświetlenia, dobrze recytowanych kwestii. Przecież teatr miała we krwi.

Stała pozornie spokojnie, ale wewnątrz wszystko w niej pulsowało. Jej wielkie brązowe oczy błyszczały podnieceniem i zdawały się usuwać w cień resztę twarzy obramowanej puklami złocistobrązowych włosów. To podniecenie wywołało na jej kremowej cerze rumieniec, a na szerokich ustach - uśmiech. Była to twarz o subtelnych rysach i płynnych liniach, zdrowych i ślicznych. Energia zdawała się promieniować z jej drobnego, jędrnego ciała.

Była kobietą interesującą się wszystkim wokół siebie, kobietą wierzącą w iluzje. Obserwując ojca, szcękającego łańcuchami Marleya i roztaczającego straszliwe prognozy przed zeszywniałym ze strachu Scrooge'em, wierzyła w duchy. A ponieważ w nie wierzyła, jej ojciec nie był już jej ojcem, lecz potępieńcem, na wieczność skutym łańcuchami własnej chciwości.

Potem Marley na powrót stał się Quentinem Conroyem, zasłużonym aktorem, reżyserem i miłośnikiem teatru, ogłaszającym właśnie chwilę przerwy na zmianę dekoracji.

- Doro! - siostra Dory, Ofelia, nadbiegła z głębi kulis. - Mamy dwadzieścia minut spóźnienia w stosunku do planu.

- Nie mamy planu - mruknęła Dora, kiwając głową, ponieważ zmiana dekoracji odbywała się błyskawicznie. - Moje handlowe podróże nigdy nie mają planu. Czy to nie cudowne, Leo?

Mimo że jej zamięrowanie do porządku wołało o pomstę do nieba, Lea zerknęła w kierunku sceny i przyjrzała się ojcu.

- Tak. Choć Bóg wie, jak udaje mu się znieść rok w rok to samo przedstawienie.

- Tradycja - uśmiechnęła się Dora. - Na tym opiera się teatr. To, że opuściła scenę, nie umniejsza jej miłości do niej i podziwu dla człowieka, który nauczył ją, jak interpretować tekst. Przyglądała się, jak wcielał się na scenie w tysiące postaci. Makbet, Willie Loman, Nathan Detroit. Była świadkiem jego tryumfów i porażek. Ale zawsze porywał widzów.

- Pamiętasz rodziców w roli Tytanii i Oberona?

Lea przewróciła oczami, ale uśmiechnęła się.

- Kto mógłby to zapomnieć? Mama przez całe tygodnie nie wychodziła z roli. Niełatwo jest żyć z królową elfów. A jeśli nie wyruszymy zaraz, królowa gotowa tu przyjść i zacząć wyliczać, co może się przydarzyć dwóm kobietom, samotnie podróżującym do Wirginii.

Wyczuwając zdenerwowanie i niecierpliwość siostry, Dora objęła jej ramiona.

- Spokojnie, kotku, jest zajęta, a on wkrótce zrobi chwilę przerwy.

Co istotnie nastąpiło. Kiedy aktorzy się rozeszli, Dora wystąpiła na środek sceny.

- Tato - zmierzyła go długim spojrzeniem od stóp do głów - byłeś wspaniały.

- Dziękuję ci, najśłodsza - podniósł ramię tak energicznie, że jego zniszczony płaszcz zatrzepotał. - Zdaje się, że od zeszłego roku udało nam się ulepszyć makijaż.

- Oczywiście. - Istotnie, szminka i kredka do oczu wyglądały alarmująco realistycznie, a przystojna twarz ojca sprawiała wrażenie bliskiej rozkładu. - Absolutnie makabryczne - złożyła na jego ustach lekki pocałunek, uważając, by nie rozmazać szminki. - Przykro mi, że stracimy dzisiejszą premierę.

- Nie ma na to rady - powiedział, choć trochę się na nią dąsał. Mimo że miał syna, kontynuującego tradycje Conroyów, stracił dwie córki: jedną zabrało mu małżeństwo, drugą: wolny handel. A mimo to czasami udawało mu się obsadzać je w pomniejszych rolach.

- A więc moje dwie dziewczynki ruszają na wielką wyprawę.

- Tato, to podróż w interesach, a nie wyprawa do Amazonii.

- Wszystko jedno - mrugnął i pocałował z kolei Leę. - Uważajcie na węże.

- Och, Leo!

Trixie Conroy, olśniewająca w sukni z tiurniurą i kapeluszu z piórami, wybiegła na scenę. Znakomita akustyka Liberty niosła jej gardłowy głos aż do najdalszych balkonów.

- Kochanie, dzwoni John. Zapomniał, czy Missy ma dziś zbiórkę suchów o piątej czy lekcję fortepianu o szóstej.

- Zostawiłam listę - mruknęła Lea. - Jak zdoła dopilnować dzieci przez trzy dni, skoro nie umie znaleźć listy?

- On jest taki słodki - skomentowała Trixie, kiedy Lea popędziła do telefonu. - Doskonały zięć. Posłuchaj, Doro, będziesz jechać ostrożnie?

- Tak, mamó.

- Pewnie, że będziesz. Zawsze jeździsz ostrożnie. Nie będziesz zabierać autostopowiczów?

- Nawet gdyby błagali na klęczkach.

- A co dwie godziny będziesz się zatrzymywać, żeby dać odpocząć oczom?

- Punktualnie jak w zegarku.

Trixie, niestrudzona w zamartwianiu się, zagryzła wargę.

- Ale i tak do Wirginii jest bardzo daleko. I może zacząć padać śnieg.

- Mam specjalne opony - uprzedzając dalsze przewidywania, Dora pocałowała matkę jeszcze raz. - Mam też telefon w furgonetce, mamuś. Zamelduję się za każdym razem, jak przekroczymy granicę stanu.

- Ależ to będzie zabawa! - ta perspektywa ogromnie rozweseliła Trixie. - O, Quentin, kochanie, właśnie byłam w kasie - dygnęła głęboko przed mężem. - Wszystkie bilety wyprzedane na tydzień naprzód.

- Naturalnie. - Quentin podniósł żonę i obrócił ją we wdzięcznym piruecie, zakończonym głębokim ukłonem. - Conroy oczekuje wyłącznie kompletów.

- Złam nogę - Dora ucałowała matkę po raz ostatni. - I ty też - zwróciła się do Quentina. - I, tato, nie zapomnij, że dzisiaj masz pokazać mieszkanie.

- Nigdy nie zapominał o obowiązkach. Na miejsca! - zawołał, po czym mrugnął do córki - Bon voyage, moja słodka.

Wychodząc przez kulisy, słyszała szcęk jego łańcuchów. Nie mogłaby sobie wyobrazić lepszego pożegnania.

\* \* \*

Idąc za tokiem rozumowania Dory, sala aukcyjna była bardzo podobna do teatru. Była tu scena, rekwizyty, role. Przed laty już wyjaśniła swoim zdezorientowanym rodzicom, że tak naprawdę nie odchodzi ze sceny. Po prostu znalazła inny środek wyrazu. Kiedy tylko nadarzała się okazja kupna lub sprzedaży, z całą pewnością umiała wykorzystać swoją aktorską żyłkę.

Już zdążyła poznać scenę dzisiejszego występu.

Budynek, w którym Sherman Porter prowadził swoją aukcję, a także pchli targ, pierwotnie służył za rzeźnię i nadal przypominał bardziej stodołę niż cokolwiek innego. Towary wystawiano na pokaz na lodowatym betonie podłogi, na której kwiczały i ryczały niegdyś świny i krowy, mające stać się befsztykami i wieprzowymi kotletami. Teraz wędrowali tędy ludzie w płaszczach i szalikach, grzebiący w szkle, mruczący nad obrazami i zastanawiający się nad porcelanowymi szafkami i rzeźbionymi wezglówkami.

Atmosfera była raczej nieszczęśliwa, ale zdarzało się już jej grywać w mniej



sprzyjających warunkach. I, oczywiście, to było tu najważniejsze.

Isadora Conroy uwielbiała okazijną sprzedaż. Słowa „na sprzedaż” odzywały się w jej krwi dźwiękiem srebrzystych dzwoneczków. Zawsze przepadała za kupowaniem, sama wymiana pieniędzy za towar wydawała się jej głęboko satysfakcjonująca. Tak satysfakcjonująca, że zbyt często zdarzało się jej wymieniać pieniądze za przedmioty, które do niczego nie były jej potrzebne. Ale to właśnie ukochanie takich okazji popchnęło Dorę do otworzenia własnego sklepu i późniejszego odkrycia, iż sprzedawanie niesło ze sobą równie wiele przyjemności co kupowanie.

- Leo, spójrz na to - Dora odwróciła się do siostry, pokazując jej pozłacany dzbanuszek do śmietanki w kształcie kobiecego rannego pantofla. - Sama słodycz.

Ofelia Conroy Bradshaw rzuciła jej spojrzenie, unosząc jedną miodowobrazową brew. Wbrew romantycznemu imieniu była kobietą mocno stojącą na ziemi.

- Raczej koszmar.

- Daj spokój, zapomnij o oklepanych kanonach piękna - Dora powiodła z uśmiechem palcem wzdłuż podbicia bucika. - Na świecie jest miejsce i na śmieszności.

- Wiem. W twoim sklepie.

Dora roześmiała się bez urazy. Choć odstawiła dzbanuszek, już zdecydowała się na niego. Wyjęła notes i pióro, przyozdobione Elvisem gitarą, i zanotowała numer przedmiotu. - Strasznie się cieszę, że przyjechałaś ze mną, Leo. Pomagasz mi się skupić.

- Ktoś musi to robić.

Uwagę Lei pochłonęła wystawa szkła z czasów Wielkiego Kryzysu, żyły tu dwa lub trzy bursztynowe przedmioty, które ładnie uzupełniłyby jej kolekcję.

- A jednak czuję się winna, że wyjechałam z domu tuż przed Bożym Narodzeniem. Że zostawiłam tak Johna z dziećmi.

- Nie mogłaś się doczekać, żeby drapnąć od dzieciaków - wytknęła jej Dora, oglądając toaletkę z wiśniowego drewna.

- Wiem. Dlatego czuję się winna.

- Poczucie winy to fajna rzecz. - Dora przykucnęła, zarzucając sobie na ramię jeden koniec czerwonego szala, i przyjrzała się wykonaniu mosiężnych uchwytów. - Kotku, to tylko trzy dni. W gruncie rzeczy już wracamy. Dziś będziesz w domu, zacałujesz dzieci na śmierć, uwiedziesz Johna i wszyscy będą zadowoleni.

Lea przewróciła oczami i uśmiechnęła się słabo do stojącej za nią pary.

- Potrafisz niezawodnie sprowadzić wszystko do najniższego wspólnego mianownika.

Dora wyprostowała się z pełnym zadowolenia mruknięciem, potrząsnęła głową

odrzucając do tyłu przycięte do linii brody włosy.

- Chyba zobaczyłam już dosyć.

Spojrzawszy na zegarek zdała sobie sprawę, że w domu właśnie zakończył się poranny spektakl. No trudno, pomyślała, tam mamy przedstawienie i tu mamy przedstawienie. Omal nie zatarła rąk, ciesząc się na rozpoczęcie aukcji.

- Lepiej zajmijmy jakieś miejsca, zanim... czekaj! - jej brązowe oczy zabłysły. - Spójrz.

Zanim Lea zdążyła się odwrócić, Dora pędziła już po betonowej posadzce.

Jej uwagę przyciągnął obraz. Nie był duży, liczył sobie może jakieś czterdzieści pięć na sześćdziesiąt centymetrów, a okalała go prosta, hebanowa rama o płynnej linii. Samo płótno było szaleństwem kolorów, strumieniami i strugami szkarłatu i szafiru, potopem cytrynowej żółceni, jaskrawymi plamami szmaragdu. Dora dostrzegła w nim energię i coś podniecającego, co ją przyciągało niczym czerwony nagłówek w gazecie.

Dora uśmiechnęła się do chłopca, który wieszał obraz na ścianie.

- Trzymasz go do góry nogami.

- He? - pomocnik odwrócił się i oblał się rumieńcem. Miał siedemnaście lat, a uśmiech Dory zredukował go do kłębka hormonów. - Och, nie, proszę pani - jego jabłko Adama drżało spazmatycznie, kiedy odwrócił obraz, by pokazać Dorze, gdzie przytwierdzony jest haczyk.

- Mmm - kiedy ktoś go kupi - a to z pewnością nastąpi pod koniec tego popołudnia - przymocuje go jak należy.

- Ta, eee... przesyłka nadeszła dzisiaj.

- Ach - podeszła bliżej. - Coś interesującego - powiedziała i podniosła figurkę smutnookiego basseta, leżącego w niedbałej pozie. Był cięższy, niż się spodziewała. Wydymając usta, obróciła figurkę, by przyjrzeć się jej bliżej. Ani daty, ani godła rzemieślnika, pomyślała. Ale i tak dzieło było doskonałe.

- Wystarczająco koszmarnie? - zagadnęła Lea.

- W sam raz. Fantastyczny przycisk do drzwi. - Odłożywszy przedmiot, sięgnęła po wysokie figurki mężczyzny i kobiety w strojach sprzed wojny secesyjnej, zatrzymane w wirze walca.

Dotknęła czyichś sękatych, wężlastych palców.

- Przepraszam - spojrzała na starszego mężczyznę w okularach, który złożył jej skrzypiący ukłon.

- Śliczne, prawda? - zapytał. - Moja żona miała coś takiego. Rozbiło się, kiedy dzieci były się w salonie - uśmiechnął się, ukazując zęby zbyt ale i równe, by mogły być dziełem

natury. Miał czerwoną muszkę pachniał jak miętowy batonik. Dora odwzajemniła jego uśmiech.

- Pan jest kolekcjonerem?

- W pewnym sensie. - Odstawił figurkę, a jego stare, przenikliwe oczy omiotły wystawę, oszacowując, katalogując, skreślając.

- Nazywam się Tom Ashworth. Mam sklep we Front Royal. - z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął wizytówkę i wręczył ją Dorze. - Przez lata nagromadziłem tyle przedmiotów, że trzeba było otworzyć sklep albo kupić większy dom.

- Znam to. Nazywam się Dora Conroy - wyciągnęła rękę i przyjęła mocny, artretyczny uścisk. - Mam sklep w Filadelfii.

- Wiedziałem, że jest pani z branży - mrugnął zadowolony. - Od razu panią zauważyłem. Chyba nie widziałem pani jeszcze na aukcjach Portera.

- Nie, nigdy tu nie byłam. Właściwie zdecydowałam się na podróż pod wpływem jakiegoś impulsu. Przywiozłam ze sobą siostrę. Leo, to jest pan Tom Ashworth.

- Bardzo mi miło.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Ashworth poklepał Leę po zmarzniętej dłoni. - Nigdy tu nie grzeją o tej porze roku. Porter najwyraźniej sądzi, że sama licytacja rozgrzeje salę.

- Mam nadzieję - palce u nóg Lei skostniały w zamszowych bucikach. - Od dawna prowadzi pan sklep, panie Ashworth?

- Prawie czterdzieści lat. Żona zapoczątkowała ten interes od szydeł - kowania serwetek i szalików, i co tam jeszcze, i sprzedawania ich. Dodałem parę drobiazgów i wstawiłem to wszystko do garażu. - Wyjął kieszeni fajkę z kaczana kukurydzy i włożył ją między zęby. - W 1963 roku tonęliśmy w towarach i wynajęliśmy sklep w mieście. Pracowaliśmy ramię w ramię, dopóki nie odeszła na wiosnę osiemdziesiątego szóstego, teraz pracuje ze mną mój wnuk. Ma mnóstwo szalonych pomysłów, ale to dobry chłopiec.

- Rodzinne interesy są najlepsze - powiedziała Dora. - Lea właśnie zaczęła dorywczo pracować w moim sklepie.

- Bóg jeden wie, dlaczego - Lea włożyła zziębnięte ręce do kieszeni płaszcza. - Nie mam pojęcia o antykach i kolekcjach.

- Wystarczy zrozumieć, czego chcą ludzie - powiedział Ashworth potarł zapałkę o paznokciec kciuka. - I ile gotowi są za to zapłacić - podał i pyknięciem ożywił fajkę.

- Właśnie - zachwycona nim Dora wzięła go pod rękę. - Chyba się zaczyna. Może usiądziemy?

Ashworth podał Lei drugie ramię i dumny niczym kogut na przechadzce poprowadził obie kobiety do krzeseł blisko pierwszego rzędu.

Dora wyciągnęła notes i przygotowała się do zagrania swojej ulubionej roli.

Licytacja toczyła się powoli, ale czuło się wyraźne napięcie. Kiedy prezentowano przedmioty, głosy szybowały aż pod wysoki sufit. Szemrzący tłum sprawiał, że krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach Dory. Były tu transakcje do zawarcia, a ona była zdecydowana złapać należną jej część.

Przelicytowała szczupłą, zabiedzoną kobietę z ustami w ciup, kupując toaletkę z wiśniowego drewna, za bezcen zagarnęła dzbanuszek na śmietankę w kształcie pantofelka i stoczyła zawzięty pojedynek z Ashworthem o zestaw kryształowych solniczek.

- Poddaję się - powiedział, kiedy Dora znowu go przelicytowała. - Masz szansę wziąć za nie więcej tam na północy.

- Mam klientkę, która to kolekcjonuje - powiedziała Dora. I która zapłaci mi dwa razy więcej niż ja teraz, pomyślała.

- Ach tak? - Ashworth pochylił się w krzesło, kiedy rozpoczęła się następna licytacja. - Mam w sklepie zestaw sześciu takich. Kobalt i srebro.

- Naprawdę?

- Jeśli masz czas, wpadnij do mnie po tym wszystkim i rzuć na nie okiem.

- Myślę, że to zrobię. Leo, licytuj to szkło.

- Ja? - Lea spojrzała na siostrę z przerażeniem w oczach.

- Jasne. Rozruszaj się - Dora skinęła z uśmiechem głową w kierunku Ashwortha. - Niech pan tylko patrzy.

Tak, jak przewidywała Dora, Lea rozpoczęła licytację cichym głosem, ledwie dochodzącym do prowadzącego aukcję. Potem pochyliła się nieznacznie naprzód. Jej oczy załśniły. Kiedy licytacja dobiegła końca, jej okrzyki przypominały głos musztrującego rekrutów sierżanta.

- Czy nie jest fantastyczna? - spuchnięta z dumy Dora objęła Leę i uścisnęła ją. - Zawsze była pojętna. To krew Conroyów.

- Kupiłam wszystko - Lea przycisnęła dłoń do galopującego serca. - O, Boże, kupiłam wszystko. Dlaczego mnie nie powstrzymałaś?

- Żeby ci psuć zabawę?

- Ale... ale... - teraz, kiedy w jej krwi obniżył się poziom adrenaliny, Lea opadła bezwładnie na krzesło - to setki dolarów. Setki.

- I dobrze wydane. No, to jazda - Dora zatarła ręce, ujrawszy abstrakcyjny obraz. -

Mój - powiedziała łagodnie.

\* \* \*

O trzeciej po południu do skarbów w furgonetce Dory dołączył tuzin kobaltowych solniczek. Zaczął wiać wiatr, wywołując na jej policzkach rumieńce i wdzierając się pod kołnierz płaszcza.

- Pachnie śniegiem - zauważył Ashworth. Stał na krawężniku przed swoim sklepem, trzymając w dłoni fajkę i wdychał zapach wiatru. - Może zaskoczyć was, zanim dotrzecie do domu.

- Mam nadzieję - uśmiechnęła się do niego, odgarniając fruujące na wietrze włosy. - Co to za święta bez śniegu? Cieszę się, że pana poznałam, panie Ashworth - znowu podała mu rękę. - Jeśli będzie pan w Filadelfii, spodziewam się pańskiej wizyty.

- Możesz na to liczyć - poklepał kieszeń, do której wsunął jej wizytówkę. - Uważajcie na siebie, panienki. Jedźcie ostrożnie.

- Jasne. Wesołych świąt!

- I nawzajem - powiedział Ashworth, kiedy Dora wsiadała do furgonetki.

Pomachała po raz ostatni, włączyła silnik i ruszyła. Rzuciła okiem na wsteczne lustro i uśmiechnęła się, ujrawszy Ashwortha stojącego na chodniku z fajką w zębach i ręką uniesioną w pożegnalnym geście.

- Co za uroczy człowiek. Cieszę się, że kupił tę figurkę.

Lea zadrżała, nie mogąc się doczekać, aż wewnątrz furgonetki ogrzeje się.

- Mam nadzieję, że nie orznął cię na tych solniczkach.

- Mmm. On ma swój zysk, ja będę miała swój zysk, a pani O'Malley wzbogaci swoją kolekcję. Każdy ma to, na czym mu zależy.

- Chyba tak. Ciągle nie chce mi się wierzyć, że kupiłaś ten bohomaz. Nigdy tego nie sprzedasz.

- E tam, i co z tego.

- No pewnie, to tylko pięćdziesiąt dolarów.

- Pięćdziesiąt dwa i siedemdziesiąt pięć centów - poprawiła ją Dora.

- Właśnie - Lea obróciła się na fotelu i spojrzała na pudełka z tyłu furgonetki. - Oczywiście wiesz, że nie mamy miejsca na te śmieci.

- Miejsce się znajdzie. Myślisz, że Missy spodoba się ta karuzela?

Lea wyobraziła sobie wielką mechaniczną zabawkę w białoróżowej sypialence jej córki i zadrżała.

- Błagam, nie.

- Dobrze - wzruszyła ramionami Dora. Dopóki nie upłynni karuzeli, może ją trzymać we własnym salonie. - Ale podobałaby się jej. Chcesz zadzwonić do Johna i powiedzieć mu, że wracamy?

- Za chwileczkę - Lea oparła się wygodnie w fotelu, wzdychając. - jutro o tej porze będę piekła ciasteczka i wałkowała ciasto.

- Sama chciałaś - wytknęła jej Dora. - Chciałaś wyjść za mąż, mieć dzieci, kupić dom. Dokąd mielibyśmy przychodzić na świąteczny obiad?

- Wszystko byłoby w porządku, gdyby mama tak nie nalegała, aby mi pomagać. Ta kobieta chyba nigdy w życiu nie ugotowała niejadalnego, prawda?

- Ja nic takiego nie pamiętam.

- Ale w każde Boże Narodzenie zjawia się w mojej kuchni, powiewając jakimś przepisem na sos alfalfa albo orzechowy dressing.

- Był paskudny - przypomniała sobie Dora. - Ale i tak lepszy niż ziemniaki z curry i puree z kukurydzy i fasoli.

- Nie przypominaj mi. Z taty też żaden pożytek, chodzi w czapce świętego Mikołaja i już przed południem jest pod dobrą datą.

- Może Will odciągnie jej uwagę. Przyjdzie sam czy z jedna ze swoich pańienek? - spytała Dora, mając na myśli długą listę uroczych dziewczyn ich brata.

- Ostatnio mówił, że sam. Doro, uważaj na tę ciężarówkę, co?

- Uważam - Dora, ogarnięta duchem rywalizacji, przydepnęła pedał gazu i minęła szesnastokołowego potwora, niemal się o niego ocierając. - To kiedy Will zamierza się pojawić?

- Złapie wieczorny pociąg z Nowego Jorku w Wigilię.

- Spóźni się, żeby zrobić wielkie wejście - przewidziała Dora. - Wiesz, gdyby zaczął cię denerwować, zawsze mogę... o, do diabła.

- Co? - Lea otworzyła szeroko oczy.

- Właśnie sobie przypomniałam, że ten nowy sublokator, którego znalazł tata, dzisiaj się wprowadza.

- Więc?

- Mam nadzieję, że tata nie zapomni, że ma tam być z kluczami. Spisał się fantastycznie, kiedy parę tygodni temu pokazywał mieszkanie, bo ja byłam zajęta w sklepie, ale sama wiesz, jaki potrafi być roztargniony w czasie przygotowań do spektaklu.

- Wiem doskonale i dlatego nie mogę zrozumieć, jak mogłaś powierzyć mu wybór

sublokatora.

- Nie miałam czasu - mruknęła Dora, usiłując obliczyć, czy zdąży wywołać ojca do telefonu między przedstawieniami. - Poza tym, tata sam się ofiarował.

- Nie zdziw się, jeśli będziesz dzielić korytarz z psychopatą albo kobietą z trójką dzieci i stadem wytatuowanych kochasiów.

Usta Dory wygięły się w uśmiechu.

- Specjalnie uczuliłam tatę na psychopatów i tatuaże. Mam nadzieję, że to będzie ktoś, kto umie gotować i zamierza podlizać się gospodyni, regularnie przynosząc mi pyszności. Skoro o tym mowa, jesteś głodna?

- Jasne. Chętnie wstąpię na ostatni posiłek, w czasie którego będę kroić jedzenie tylko sobie.

Dora skrzyła raptownie w kierunku podjazdu. Zignorowała wściekłe ryki klaksonów.

Uśmiechała się, wyobrażając sobie, jak rozpakowuje swoje nowe nabytki. Pierwsze co zrobię, obiecała sobie, to znajdę najlepsze miejsce na powieszenie obrazu.

\* \* \*

Wysoko w lśniącym srebrzyście drapaczu chmur górującym nad zatłoczonymi ulicami Los Angeles Edmund Finley zażywał przyjemności cotygodniowego manikiuru. Ściana naprzeciw jego masywnego palisandrowego biurka mrugała tuzinem ekranów telewizyjnych. Wiadomości CNN i jeden z programów sprzedaży wysyłkowej migwały na nich milcząco. Pozostałe ekrany były podłączone do różnych gabinetów jego organizacji, by mógł obserwować pracowników.

Ale - jeżeli nie zdecydował się na włączanie głośników - w pustym pomieszczeniu rozlegały się jedynie dźwięki opery Mozarta i monotonne skrzypienie przyrządów manikiurzystki. Finley lubił się przyglądać.

Specjalnie wybrał ostatnie piętro tego budynku, żeby jego biuro mogło górować nad panoramą Los Angeles. To dawało mu poczucie władzy, wszechwładzy; często stawał przy szerokim oknie za biurkiem i potrafił godzinę przyglądać się ruchom nieznanym przechodniów daleko, daleko w dole.

W jego domu, stojącym na wzgórzach ponad miastem, w każdym pokoju znajdowały się monitory i ekrany telewizyjne. I okna, wszędzie okna, przez które mógł spoglądać z góry na światła w nocy Los Angeles. Co wieczór stawał na balkonie sypialni i wyobrażał sobie, że posiada tutaj wszystko i każdego - jak okiem sięgnąć.

Był człowiekiem pożądanym przedmiotów. Jego gabinet był świadectwem jego

smaku i wyrafinowania. Ściany i dywan były białe, śnieżnobiałe, by stanowić dziewicze tło dla jego skarbów. Waza z epoki Ming pyszniła się na marmurowym piedestale. Rzeźby Rodina i Denecheau wypełniały sobą wyżłobione w ścianach nisze. Nad komodą w stylu Ludwika XIV wisiał obraz Renoira w złotej ramie. Aksamitną sofę, prawdopodobnie własność Marii Antoniny, otaczały lśniące mahoniowe stoliki z wiktoriańskiej Anglii.

Dwie wysokie szklane gablotki zawierały oszałamiającą i ezoteryczną kolekcję dzieł sztuki: rzeźbione tabakierki z lapis lazuli i akwamaryny, letsuke z kości słoniowej, figuryнки z porcelany drezdeńskiej, puzderka Limoges, piętnastowieczny sztylet z wysadzaną drogimi kamieniami rękojeścią, afrykańskie maski.

Edmund Finley był posiadaczem. A to, co posiadał, zwykł gromadzić. Jego przedsiębiorstwo eksportowo - importowe odnosiło niezwykle sukcesy. Równie dobrze wiodło mu się z drugim, mniej oficjalnym interesem - przemysłem. W końcu w przemyśle najbardziej liczyło się współzawodnictwo. Wymagało to pewnej finezji, bezlitosnej inteligencji i nieskazitelnie wyrobionego smaku.

Finley - wysoki, szczupły dystygowany mężczyzna tuż po pięćdziesiątce zaczął „nabywać towary” już jako miody chłopak pracujący w dokach San Francisco.

Zamiana skrzyń, otworzenie ciężarówki i sprzedanie zdobyczy nie było niczym trudnym. Zanim skończył trzydzieści lat, zebrał kapitał pozwalający na założenie własnego przedsiębiorstwa. Miał dość oleju w głowie, by otwarcie grać po ciemnej stronie, i zawarł tyle kontraktów, że stały dopływ towarów miał zapewniony.

Teraz stał się człowiekiem bogatym, gustującym we włoskich garniturach, francuskich kobietach i szwajcarskich frankach. Po latach zawierania transakcji mógł sobie pozwolić na posiadanie tego, czego pragnął najbardziej. A najbardziej pragnął rzeczy starych i bezcennych.

- Gotowe, proszę pana - manikiurzystka delikatnie położyła dłoń Finleya na nie skażonym ani jedną plamką białce biurka. Wiedziała, że dokładnie sprawdzi stan swoich paznokci, podczas gdy ona będzie pakowała przybory do manikiuru i kosmetyki. Kiedyś pieklił się przez dziesięć minut z powodu skrawka pozostawionej skórki przy paznokciu kciuka. Ale teraz, kiedy odważyła się podnieść wzrok, zobaczyła, że uśmiecha się do swoich wypolerowanych paznokci.

- Doskonała robota - potarł z zadowoleniem palce. Wyciągnął z kieszeni portfel ze złotą klamerką i wyjął z niego pięćdziesiąt dolarów. Potem, z jednym ze swoich nieczęstych i rozbrajających uśmiechów, podał jej jeszcze banknot studolarowy.

- Wesołych świąt, moja droga.



- O... dziękuję. Bardzo dziękuję, proszę pana. Wesołych świąt.

Nadal uśmiechając się, odprawił ją skinieniem wypięgniętych palców. Sporadyczna hojność przychodziła mu równie naturalnie co nieustanna chciwość. W obu znajdował przyjemność. Zanim drzwi zamknęły się za manikiurzystką, obrócił się na krześle, składając dłonie na jedwabnej kamizelce.

Przyjrzał się swojej panoramie Los Angeles, skąpanej w potokach słonecznego światła.

Święta, pomyślał. Co za urocza pora. Czas dobrej woli, brzęczących dzwonek i kolorowych świateł. Jak również, rzecz jasna, czas rozpaczliwej samotności, dramatów i samobójstw. Ale te drobne ludzkie tragedie nie dotyczyły go ani nie obchodziły. Pieniądze wyniosły go wysoko ponad mdłe tęsknoty za towarzystwem i rodziną. Towarzystwo mógł sobie kupić. Wybrał jedno z najbogatszych miast na świecie, gdzie wszystko można kupić, sprzedać, posiadać. Tutaj nade wszystko podziwiano młodość, zdrowie i władzę. Co do młodości, jej iluzję mógł kupić.

Finley powiódł jasnymi, zielonymi oczami po budynkach i opromienionych słońcem oknach. Z lekkim zaskoczeniem zdał sobie sprawę z tego, że jest szczęśliwy.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, odwrócił się.

- Wejść.

- Proszę pana - Abel Winesap, niski mężczyzna o pochylonych barkach, noszący poważny tytuł zastępcy przewodniczącego, odchrząknął. - Proszę pana...

- Czy wiesz, co naprawdę znaczy Boże Narodzenie, Ablu? - głos Finleya był ciepły niczym korzenna brandy.

- Eee... - Winesap sięgnął do węzła krawata. - Nie, proszę pana.

- Zdobywanie. Śliczne słowo. I najprawdziwsze znaczenie tych rozkosznych świąt, zgodzisz się ze mną?

- Tak, proszę pana - Winesap poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz. To, co miał do powiedzenia i tak było trudne. Dobry humor Finleya sprawiał, że trudność zaczęła przybierać cechy niebezpieczeństwa.

- Obawiam się, że jest pewien problem, proszę pana.

- Ach? - Finley uśmiechał się nadal, ale jego oczy zlodowaciały. Cóż by to mogło być?

Winesap przełknął z trudem ślinę. Wiedział, że zimny gniew Finleya był bardziej niebezpieczny niż wściekłość kogoś innego. To właśnie Winesap był świadkiem tego, jak Finley usuwał pracownika, który przywłaszczył sobie coś należącego do niego. I nadal

pamiętał, jak spokojnie Finley poderżnął mu gardło szesnastowiecznym, wysadzonym drogimi kamieniami sztyletem.

Zdrajca, jak uważał Finley, powinien być ukarany szybko i z pewną ceremonią.

Ku swojemu przerażeniu Winesap pamiętał również, że to on został wyznaczony do pozbycia się ciała.

Ciągnął dalej, czując, że zaczyna się denerwować.

- Ta przesyłka z Nowego Jorku. Towary, na które pan czekał.

- Czy wynikła jakaś zwłoka?

- Nie... To znaczy tak, w pewnym sensie. Przesyłka nadeszła wczoraj, zgodnie z planem, ale towary... - zwilżył językiem wąskie, nerwowe wargi. - To nie to, co pan zamawiał.

Finley złożył wypieszczone dłoni na krawędzi biurka. Kostki jego palców zbieleły.

- Słucham?

- Zawartość przesyłki, proszę pana. To nie to, co pan zamawiał, najwyraźniej gdzieś je zamieniono - głos Winesapa zmienił się w pisk. Sądziłem, że powinienem od razu o tym panu donieść.

- Gdzie to jest? - głos Finleya stracił jowialne ciepło. Stał się lodowatym sykiem.

- W dziale przesyłek, proszę pana. Sądziłem...

- Przynieś. Natychmiast.

- Tak, proszę pana. Już. - Winesap umknął, wdzięczny za chwilę zwłoki.

Za przedmioty, które miały nadejść w tej przesyłce, Finley zapłacił mnóstwo pieniędzy, a jeszcze więcej za ich ukrycie i przemyt. Każdy z nich został ukradziony, potem ukryty i przewieziony z różnych części świata do jego fabryki w Nowym Jorku. Nic dziwnego, w końcu same łapówki osiągnęły sześciocyfrową liczbę.

Dla uspokojenia zatrzymał się przy dzbanku z sokiem z guawy i nalał sobie pełną szklanekę.

Jeśli popełniono błąd, pomyślał nieco przytomniej, zostanie naprawiony. Ktokolwiek zawinił, zostanie ukarany.

Odstawił ostrożnie szklanekę, oryginalny bakarat, i przyjrzał się sobie w owalnym lustrze w stylu Jerzego III wiszącym nad barkiem. Przeciągnął wypielegnowaną dłońią po bujnej gęstwinie ciemnych włosów, podziwiając przebłyskujące w nich gdzieniegdzie srebro. Ostatnia operacja plastyczna zlikwidowała mu worki pod oczami, wygładziła linię podbródka i wymazała zmarszczki, głęboko zaznaczające się po obu stronach ust.

Wyglądam najwyżej na czterdzieści lat, zdecydował Finley, odwracając głowę, by z

zadowoleniem przyjrzeć się swojemu profilowi.

Co za idiota powiedział, że pieniądze nie dają szczęścia?

Pukanie do drzwi pozbawiło go dobrego humoru.

- Wejść - warknął i zaczekał, aż jeden z jego pracowników wtaszczy skrzynię.

- Zostaw tutaj - wskazał palcem środek pokoju. - I wyjdź. Ablu, ty zostań. Drzwi - dodał, a Winesap rzucił się, by zamknąć je za wychodzącym pracownikiem.

Kiedy Finley nie przerywał milczenia, Winesap zbladł i podszedł do skrzyni.

- Otworzyłem ją zgodnie z pańskimi instrukcjami. Kiedy zacząłem przeglądać przesyłkę, zorientowałem się, że popełniono błąd - sięgnął ostrożnie do skrzyni, zanurzając dłoń w morzu papierowych strzępów. Jego palce drżały, kiedy wyciągnął porcelanowy imbryczek, ozdobiony maleńkimi fiołkami.

Finley wziął go i obrócił w dłoni. Był to wyrób angielski, śliczny egzemplarz, na wolnym rynku wart zapewne jakieś 200 dolarów. Ale była to masowa produkcja. Tysiące identycznych imbryczków znajdowało się w sprzedaży na całym świecie. A więc dla niego nie przedstawiał żadnej wartości. Rozbił go o brzeg skrzyni. Skorupy rozprysnęły się po całym pokoju.

- Co jeszcze?

Roztrzęsiony Winesap zanurzył rękę głęboko w skrzyni i wyciągnął z niego falisty szklany wazon.

Włoski, uznał Finley po obejrzeniu go. Ręczna robota. Wart sto, może sto pięćdziesiąt dolarów. Cisnął go, o centymetry omijając głowę Winesapa, i rozbił go o ścianę.

- I... i filizanki... - oczy Winesapa powędrowały do skrzyni i z powrotem do śmiertelnie spokojnej twarzy swojego pracodawcy.

- I parę sreber - dwa talerze, półmisek. Pa... para kryształowych kielichów ozdobionych wzorem dzwonów weselnych.

- Gdzie moja przesyłka? - wysyczał Finley, akcentując każde słowo.

- Ja, proszę pana... to znaczy, sądzę, że... - jego głos przeszedł w szept - ... to pomyłka.

- Pomyłka - oczy Finleya stały się twarde jak kamień. Zaciśnął obie pięści. DiCarlo, pomyślał, przywołując obraz tego człowieka z Nowego Jorku. Młody, inteligentny, ambitny. Ale nie głupi, napomniawszy sam siebie Finley. Nie na tyle, by próbować go oszukać. A jednak musi zapłacić za ten błąd, i to drogo.

- Dzwoń do DiCarla.

- Tak, proszę pana - Winesap rzucił się do biurka, szczęśliwy, że gniew Finleya

przeniósł się na inną ofiarę.

Kiedy Winesap wybierał numer, Finley wdeptywał okruchy porcelany w dywan. Sięgnął do skrzyni i systematycznie zaczął niszczyć resztę jej zawartości.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jed Skimmerhorn musiał się czegoś napić. Rodzaj alkoholu nie miał znaczenia. Whisky, która wypali mu w gardle ścieżkę, kuszące ciepło brandy, swojski smak piwa. Ale nie zamierzał wypić ani kropli, dopóki nie wtaszczy wszystkich pudeł po tych przeklętych spróchniałych schodach.

Nie miał tego tak wiele. Jego były partner, Brent, pomógł mu wnieść sofę, materace i cięższe meble. Pozostało mu parę tekturowych pudeł z książkami, naczyniami i innymi bzdurami. Nie miał pojęcia, po co w ogóle chomikuje to wszystko, zamiast oddać gdzieś na przechowanie.

Ostatnio w ogóle nie był pewien wielu rzeczy. Nie potrafił wytłumaczyć Brentowi ani sobie, dlaczego koniecznie musiał wyprowadzić się na drugi koniec miasta i zamienić olbrzymi stary dom na wynajęte mieszkanie. To było tak, jakby zaczynał wszystko od nowa. Ale nie można zacząć, jeśli się nie skończyło.

Ostatnio Jed zrobił wiele, żeby zakończyć stare sprawy.

Pierwszym krokiem - i chyba najtrudniejszym - było wystąpienie z policji. Komisarz spierał się z nim długo, odrzucił jego rezygnację i wysłał Jeda na przedłużony urlop. Jak zwal, tak zwal, pomyślał Jed. Już nie był policjantem. Nie mógł nim być. To, co kazało mu służyć społeczeństwu i ochraniać je, umarło.

Nie miał depresji, jak oznajmił policyjnemu psychologowi. Był skończony. Nie musiał się „odnajdywać”. Chciał tylko, żeby wszyscy zostawili go w spokoju. Policji oddał czternaście lat swojego życia. Na tym muszę poprzestać, oświadczył.

Jed otworzył łokciem drzwi swego nowego mieszkania i popchnął je pudłem, które trzymał w objęciach. Drugie pudło przesunął po podłodze, po czym wrócił wąskim korytarzem na schodki przed drzwiami. Na razie nie spotkał swojej sąsiadki z tego samego korytarza. Ekscentryczny starszy pan, który wynajął mu mieszkanie, powiedział, że drugie mieszkanie jest zajęte, ale lokatorka zachowuje się cicho jak myszka.

I na to wyglądało.

Jed ruszył w dół po schodach, z rozdrażnieniem zauważając, że poręcz nie utrzymałaby ciężaru niedożywnego trzylatka. Schody były śliskie od mokrego śniegu, nieustannie sypiącego się z bezbarwnego nieba. Na tyłach budynku panowała niemal zupełna cisza. Choć od frontu znajdowała się ruchliwa South Street, zgiełk i panująca na niej atmosfera cyganerii nie drażniły Jeda. Nie przeszkadzały mu sklepy ani turyści. Dom stał na tyle blisko rzeki, że mógł wybierać się na samotne wycieczki, gdyby zechciał.

W każdym razie po wypieszczonych trawnikach Chestnut Hill, otaczających od dwustu lat rodzinną rezydencję Skimmerhornów, była to zmiana zgoła dramatyczna.

W mroku widział sznury świecących kolorowych lampek rozciągnięte w oknach budynku naprzeciwko. Ktoś przytwierdził do dachu wielkiego plastikowego Świętego Mikołaja i jego osiem małych reniferów. Tkwiły tam dzień i noc, zastygłe w locie.

To przypomniało mu, że Brent zaprosił go na Boże Narodzenie. Duże, hałaśliwe rodzinne przyjęcie, które niegdyś sprawiłoby Jedowi wiele przyjemności. W jego życiu nigdy nie było dużych, hałaśliwych rodzinnych przyjęć - a w każdym razie nie takich, które można by nazwać przyjemnymi.

A teraz nie miał już rodziny. Zupełnie.

Przycisnął palce do pulsujących bólem skroni i zmusił się, by nie myśleć o Elaine.

Ale wspomnienia, niczym duchy dawnych grzechów, pokonały go i sprawiły, że jego żołądek zacisnął się jak ciasny supeł.

Wniósł z ciężarówki ostatnie pudła i cisnął nimi z siłą, która zatrzęsała w posadach wysłużonym thunderbirdem. Nie będzie myślał o Elaine ani o Donnym Specku, ani o odpowiedzialności; ani o wyrzutach sumienia. Teraz wejdzie do domu, naleje sobie drinka i spróbuje nie myśleć o niczym.

Mrużąc oczy dla ochrony przed kąsającym zimnem padającego mokrego śniegu, po raz ostatni wszedł po schodach. Temperatura wewnątrz domu była o wiele wyższa niż na dworze, gdzie szalał wiatr. Właściciel domu nie oszczędzał na ogrzewaniu. Może nawet był zbyt rozrzutny. Ale w końcu to, w jaki sposób ten stary wydaje pieniądze, nie jest problemem Jeda.

Zabawny staruszek, pomyślał Jed. Ten jego głęboki głos, teatralny, soczysty, no i ta srebrna piersiówka. Bardziej ciekawiła go opinia Jeda w kwestii dwudziestowiecznych sztuk teatralnych niż jego referencje i opłata za czynsz.

Ale ktoś, kto niemal przez połowę życia był policjantem, musi wiedzieć, że na świecie jest mnóstwo barwnych osobowości.

Znalazłszy się w domu, położył ostatnie pudło na dębowym stole w jadalni. Zaczął grzebać w pomiętych gazetach w poszukiwaniu swojej butelki. W przeciwieństwie do skrzyń, odesłanych na przechowanie, pudła nie zostały oznakowane. Nie pakował ich też według jakiejś zasady. Jeśli w genach Skimmerhornów znajdowała się systematyczność, to Elaine zabrała chyba jego przydział.

Nowe wspomnienie o siostrze sprawiło, że znowu zaklął cicho przez zęby. Wiedział, że lepiej nie pozwalać, by myśl zapuściła w nim korzenie, bo owoce, jakie wyda, będą miały

smak poczucia winy. W ciągu ostatniego miesiąca zbyt dobrze zdał sobie sprawę z tego, że poczucie winy może spowodować mdlące, niesłabnące uczucie paniki i nieustanne potoki potu.

Spocone dłonie i panika nie są pożądanymi cechami policjanta. Jak również skłonność do niekontrolowanych ataków wściekłości.

Ale nie jestem już policjantem, upomniał się Jed. Jego czas i decyzje, jak powiedział babce, należały wyłącznie do niego.

Ściany mieszkania odpowiadały echem, dzięki czemu miał satysfakcjonującą pewność, że jest sam. Jednym z powodów, dla których zdecydował się na to mieszkanie, był fakt, że była tu tylko jedna sąsiadka, którą należało zlekceważyć. Drugi powód był równie prosty i oczywisty: mieszkanie było fantastyczne.

Wydawało się mu, że zbyt długo żył w otoczeniu pięknych przedmiotów, by mu na nich zależało. Ale bez względu na to, jak często twierdził, że wygląd miejsca, w którym mieszka, nie ma dla niego znaczenia, czułby się nieszczęśliwy w jakimś lśniąącym apartamencie lub bezdusznym mieszkaniu.

Uważał, że ten stary budynek został podzielony na sklep i mieszkania w latach trzydziestych. Zachowały się w nim wysokie sufity i przestronne pokoje, kominki i długie, smukłe okna. Dębowe posadzki zostały wy - froterowane na wysoki połysk dla nowego lokatora.

Pokój miał boazerię z orzechowego drewna i ściany koloru kości słoniowej. Starszy pan zapewnił Jeda, że może je przemaalować, jeśli mu to odpowiada, ale urządzenie mieszkania było ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę. Te pokoje niech będą takie, jakie są.

Wyciągnął butelkę Jamesona, pełną w trzech czwartych. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym odstawił ją na stół. Zaczął grzebać w pudle w poszukiwaniu szklanki, rozrzucając na wszystkie strony papier pakowy, kiedy dobiegł go hałas. Jego dłonie zamarły, całe ciało spięło się jak do skoku.

Odwrócił się, przekrzywiając głowę, usiłując zlokalizować źródło dźwięku. Wydawało mu się, że słyszy dzwonki, ich dźwięczne echo. A potem śmiech, ulotny jak smużka dymu, uwodzicielski i kobiecy.

Jego oczy przyłgnęły do mosiężnego wywietrznika przy kominku. To tędy przedostawały się dźwięki, na tyle głośne i wyraźne, że gdyby zaczął się przysłuchiwać, usłyszałby całe słowa.

Pod jego mieszkaniem znajdował się jakiś sklepik z antykami. Przez parę ostatnich dni

był zamknięty, ale teraz najwyraźniej go już otworzono.

Jed podjął poszukiwanie szklanki i zignorował dźwięki z dołu.

- Tak się cieszę, że wyszedłeś po nas, Johnie. - Dora umieściła nowo zakupioną lampę ze szklanym kloszem nad staroświecką kasą.

- Sama przyjemność - nieco się zasapał, wnosząc kolejną skrzynię do zatłoczonego magazynu. Był wysokim, kościstym mężczyzną, a jego uczciwa twarz mogłaby wydawać się przyjemna, gdyby nie wyblakłe, bezbarwne oczy, oglądające świat zza grubych okularów.

Zajmował się sprzedażą oldsmobili w Landsdowne i przez dwa lata z rzędu otrzymywał tytuł Sprzedawcy Roku dzięki nie narzucającemu się, niemal błagalnemu podejściu, które przychodziło mu w naturalny sposób oczarowywało klientów.

Teraz uśmiechnął się do Dory i poprawił zjeżdżające mu z nosa okulary w ciemnych oprawkach.

- Jak zdołałaś kupić to wszystko w tak krótkim czasie?

- Doświadczenie.

Musiała wspiąć się na palce, żeby ucałować policzek Johna, potem pochyliła się i pogłaskała swojego młodszego siostrzeńca, Michaela.

- Hej, żabi pyszczku, tęskniłeś za mną?

- Neeee - ale uśmiechnął się i objął ją za szyję tłustymi ramionkami. Lea odwróciła się, by zmierzyć sokolim okiem dwójkę pozostałych dzieci.

- Richie, trzymaj ręce w kieszeniach. Missy, nie tańcz w sklepie.

- Ale, mamoo...

- Ach... - Lea westchnęła i uśmiechnęła się. - Jestem w domu - wyciągnęła ramiona do Michaela. - Doro, pomóc ci?

- Nie, poradzę sobie. Jeszcze raz dziękuję.

- Skoro tak mówisz... - Lea rozejrzała się po sklepie z powątpiewaniem. To, jak jej siostra mogła żyć w otaczającym ją bałaganie, pozostawało dla niej tajemnicą. Wychowały się w chaosie, codziennie uwikłane w tragedię lub komedię. Porządek był dla Lei jedynym sposobem, żeby utrzymać się przy zdrowych zmysłach. - Właściwie mogłabym tu jutro przyjść.

- Nie. Masz wolne, a ja liczę na te ciasteczka, które upieczesz - popychając rodzinę w stronę drzwi, Dora wsunęła do kieszeni siostrzeńca torebkę czekoladowych pastylek.

- Podzielcie się nimi - szepnęła. - I nie mów mamie, kto wam je dał - zmierzwiła Richie'emu włosy. - Uciekaj, łobuziaku.

Uśmiechnął się, ukazując szczerbę po dwóch przednich zębach.



- Dziś w nocy mogą przyjść włamywacze i obrabować twój sklep - zaczął się bawić długim kolczykiem z cytrynow i ametystów, zwisającym jej z ucha. - Gdybym tu spał, mógłbym ich zastrzelić.

- O, dziękuję ci, Richie - powiedziała Dora z powagą. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Ale dziś sama zastrzelę swoich włamywaczy. - Wypchnęła swoją rodzinę ze sklepu i od razu zaczęła zamykać go na klucz, wiedząc, że Lea zaczeka, dopóki nie usłyszy chrobotu wszystkich zamków i nie zorientuje się, że włączyła alarm.

Znalazszy się sama, odwróciła się i odetchnęła głęboko. Zapach jabłka i sosny z potpourri rozprzestrzenił się w całym sklepie. Dobrze być w domu, pomyślała i uniosła pudło z nowymi nabytkami, które zdecydowała zanieść na górę do mieszkania.

Przeszła przez magazyn, by zamknąć na klucz drzwi prowadzące do wewnętrznej klatki schodowej. Musiała unieść jednocześnie pudło, torebkę, torbę i płaszcz, który zdjęła wchodząc do sklepu. Światło na schodach zapaliła ramieniem, mrużąc pod nosem przekleństwa.

Była już w połowie drogi, kiedy zobaczyła światło w drugim mieszkaniu. Nowy lokator. Uchwyciwszy lepiej swój ładunek, podeszła do zastawionych pudłem drzwi i zajrzała do środka.

Stał przy starym stole z butelką w jednej ręce, a szklanką w drugiej. Całe umeblowanie pokoju stanowiła szafa i zawałone różnymi rzeczami krzesło.

Ale ją bardziej interesował mężczyzna, zwrócony do niej profilem i pociągający długi łyk whisky.

Był wysoki, a jego barczysta, atletyczna sylwetka przywiodła jej na myśl boksera. Miał na sobie granatowy sweter z rękawami podwiniętymi do łokci - nie było widać żadnych tatuaży - a także levisy, wytarte do białości w strategicznych punktach. Włosy miał nieco rozczochrane, opadające niedbale na kołnierz. Miały głęboki odcień dojrzewającej pszenicy.

Natomiast zegarek, dla kontrastu, był albo niezwykle udaną podróbką, albo oryginalnym rolexem.

Choć na ocenę sytuacji miała jedynie parę sekund, wyczuła, że jej sąsiad nie cieszy się swoim nowym domem. Jego twarz, naznaczona cieniem rzucanym przez wysokie kości policzkowe i szczecinę brody, była mroczna.

Zanim zdołała się odezwać, zauważyła, że jego ciało sztywnieje. Obejrzał się gwałtownie. Dora zmusiła się, by nie cofnąć się instynktownie, kiedy przeszył ją spojrzeniem twardych, pozbawionych wyrazu i uderzająco błękitnych oczu.

- Drzwi były otwarte - powiedziała obronnym tonem i natychmiast poczuła

rozdrażnienie. Przeprasza za to, że stoi w swoim własnym korytarzu!

- Ach - odstawił butelkę i podszedł do niej ze szklanką w ręce. On również się jej przyjrzał. Właściwie całą jej figurę przysłaniało tekturowe pudło, które trzymała w objęciach. Ładna owalna twarz, z delikatnym dołeczkiem w brodzie, staromodna cera - „krew z mlekiem”, szerokie, nie umalowane usta, teraz wygięte w uśmiechu, duże piwne oczy wyrażające przyjazną ciekawość, pukle włosów w kolorze sobolowego futra.

- Nazywam się Dora - wyjaśniła, kiedy on nadal tylko się jej przyglądał. - Też tu mieszkam. Potrzebujesz pomocy?

- Nie. - Jed odsunął butem pudło i zamknął drzwi tuż przed losem Dory.

Przez chwilę stała z otwartymi ustami, zanim oprzytomniała.

- No, proszę. Witaj, sąsiedzie - mruknęła, zwracając się w stronę własnych drzwi. Po chwili poszukiwań znalazła klucze, otworzyła drzwi zatrzasnęła je za sobą.

- Wielkie dzięki, tatau - powiedziała do pustego pokoju. - Zdaje się, że znalazłeś mi prawdziwy skarb.

Rzuciła swoje rzeczy na sofę w stulistne róże, odrzuciła niecierpliwie włosy. Może i przyjemnie jest popatrzeć na tego typu, ale ona wolałaby kogoś obdarzonego choćby cieniem sąsiedzkiej życzliwości. Ruszyła do staroświeckiego telefonu, postanawiając porozmawiać z ojcem. I to tak, żeby mu poszło w pięty.

Zanim zdołała wykręcić cały numer, dostrzegła kartkę z narysowanym u dołu dużym, uśmiechniętym sercem. Quentin Conroy zawsze ozdabiał swoje listy i notatki rysunkami będącymi ilustracją jego nastrojów. Dora odwiesiła słuchawkę i zaczęła czytać.

*- Izzy, moja najdroższa córeczko.*

Dora skrzywiła się. Jej ojciec był jedyną osobą na świecie, która nazywała ją tym zdrobieniem.

*Stało się. I dobrze się stało, śmiem twierdzić. Twój nowy lokator to młody człowiek, który pomoże Ci w cięższych pracach. Nazywa się - co możesz sprawdzić w umowie wynajmu czekającej na twój podpis - Jed Skimmerhorn. Nazwisko pełne wyrazu, które wywołuje w moim umyśle wizję krzepkich kapitanów lub dziarskich pionierów. Sądzę, że jest fascynująco małomówny, a pod tymi spokojnymi wodami wyczuwam kłębiący się wir. Nie potrafię wymyślić dla mojej uwielbianej córki lepszego prezentu niż ten intrygujący sąsiad.*

*Witaj w domu, moja pierworodna.*

*Twój oddany ojciec*

Nie chciała dać się rozbawić, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu. Podstęp był tak oczywisty. Zamknijmy ją w niewielkim pomieszczeniu z atrakcyjnym mężczyzną, a może - to

tylko przypuszczenie - zakocha się w nim, wyjdzie za niego i da swojemu zachłannemu ojcu kolejne wnuki, które będzie mógł rozpieszczać.

- Wybacz, tatku - mruknęła. - Znowu się zawiedziesz. Odłożyła liścik i przeciągnęła palcem po umowie, szukając podpisu Jeda. Znalazła nieczytelny gryzmoł. Podpisała się linijkę niżej, na obu kopiach. Wzięła jedną z nich, przeszła przez korytarz do drzwi Jeda i zapukała.

Kiedy drzwi się otworzyły, wepchnęła przez nie dokument, dziobiąc nim w pierś Jeda.

- Będziesz tego potrzebował do akt personalnych.

Wziął go od niej. Spuścił oczy, czytając dokument, potem podniósł je znowu. Jej spojrzenie nie było już przyjazne, lecz chłodne. I o to mu chodziło.

- Dlaczego stary zostawił to tobie? Uniosła brodę.

- Ten stary - powiedziała spokojnie - to mój ojciec. Budynek należy do ranie, dlatego może mnie pan uważać za swoją gospodynię, panie Skimmerhorn.

Odwróciła się na pięcie i dwoma susami przemierzyła cały korytarz. Zatrzymała się z ręką na gałce drzwi. Odwróciła się.

- Czysz proszę mi płacić dwudziestego pierwszego każdego miesiąca. Może pan wkładać czeki pod moje drzwi i oszczędzić sobie zarówno płacenia za znaczek, jak i kontaktów z innymi ludźmi.

Weszła do pokoju i zamknęła drzwi, tryumfalnie przekręcając w nich klucz.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Dobiegłszy truchtem do schodów prowadzących do mieszkania, Jed poczuł, że wypocił już z siebie niemal zupełnie pół butelki whisky. Jednym z powodów, dla których wybrał to miejsce, była położona w okolicy siłownia. Dziś rano spędził bardzo satysfakcjonujące półtorej godziny, podnosząc hantle, boksując z całej siły w worek treningowy i wygotowując z siebie w saunie poranny ból głowy.

Teraz, czując się już niemal jak człowiek, pragnął tylko dzbanka czarnej kawy i jednego z tych podgrzewanych w kuchence mikrofalowej śniadań, które trzymał w lodówce. Wyciągnął z kieszeni dresu klucze i wszedł do holu. Natychmiast usłyszał dźwięki muzyki. Na szczęście nie kolędy, lecz aksamitny lament gospel w wykonaniu Arethy Franklin..

Przynajmniej nie będzie mnie drażnić muzyczny gust gospodyni, pomyślał i poszedłby prosto do swojego pokoju, gdyby nie zauważył otwartych drzwi jej pokoju.

Moja kolej, zrozumiał Jed i poszedł dalej, trzymając ręce w kieszeniach. Wiedział, że poprzedniego wieczora był dla niej rozmyślnie niegrzeczny. A ponieważ zrobił to z rozmysłem, nie widział powodu, dla którego miałby ją przeprosić. Chociaż właściwie mądrze byłoby zawrzeć pokój z kobietą, do której należał ten budynek.

Uchylił drzwi nieco bardziej i zajrzał do środka.

Jej mieszkanie - podobnie jak jego - było przestronne, wysokie i pełne słonecznego światła, wpadającego przez trzy frontowe okna. Na tym kończyły się podobieństwa.

Nawet pamiętając lata spędzone w domu pękającym w szwach od przedmiotów, poczuł oszołomienie. Nigdy dotąd nie widział tylu rzeczy upchniętych na takiej powierzchni. Jedną ścianę zajmowały szklane półki, na której tłoczyły się stare buteleczki, puszki, figurynki, malowane pudełeczka i inne drobiazgi, których nie był nawet w stanie nazwać. Była tu spora liczba stołów, a każdy z nich zastawiony szkłem i porcelaną. Kanapa w jaskrawe kwiaty ugięła się pod ciężarem poduszek, kontrastujących z bladymi kolorami wielkiego dywanu. Multański kobierzec, pomyślał. W jego rodzinnym domu w salonie leżał podobny dywan.

Jak przystało na tę porę roku, przy oknie stała choinka, której każda gałązka przystrojona była kolorowymi bombkami i lampkami.

Drewniane saneczki wyładowane były po brzegi sosnowymi szyszkami. Ceramiczny bałwanek w cylindrze uśmiechał się do niego.

Powinien tu panować ścisk, pomyślał Jed. I nieporządek. Ale jakoś tak się nie stało. Miało się tylko takie wrażenie, jakby ktoś otworzył magiczny kufer ze skarbami.

Na środku tego wszystkiego znajdowała się jego gospodyni. Miała na sobie szkarłatny kostium z prostą spódnicą i obcisłą, dopasowaną marynarką. Dopóki stała tyłem do niego, wydał wargi i zastanowił się, co mu wczoraj padło na oczy, że nie zauważył tego szykownego małego ciała.

Usłyszał, jak Dora pomrukuje, towarzysząc głębokiemu głosowi Arethy. Oparł się o framugę drzwi, czekając, aż powiesi na ścianie leżący na sofie obraz i odwróci się. Trzeba jej przyznać, że kiedy go dostrzegła, zdołała zdusić krzyk niemal zupełnie.

- Drzwi były otwarte - powiedział.

- Ach - a ponieważ w przeciwieństwie do swojego sublokatora nie miała zwyczaju posługiwać się monosylabami, wzruszyła ramionami. - Przenosiłam część towarów z piętra do sklepu - poprawiła sobie grzywkę. - Jakies problemy, panie Skimmerhorn? Nieszczelne rury? Myszy?

- Nie zauważyłem.

- Świetnie - przeszła przez pokój i zniknęła mu z oczu. Musiał wejść do środka, żeby ją zobaczyć. Stała przy stole w jadalni i nalewała z porcelanowego dzbanka do pasującej do niego delikatnej filiżanki coś, co pachniało jak cudownie mocna kawa. Dora odstawiła dzbanek i uniosła brew. Jej pozbawione uśmiechu wargi były równie jaskrawoczerwone jak jej kostium.

- Potrzebuje pan czegoś?

- Trochę tego nie zaszkodzi - wskazał dzbanek.

Teraz chce być dobrym sąsiadem, pomyślała Dora. Podeszła bez słowa do szklanej szafki o płynnych liniach i wyjęła z niej filiżankę i spodek.

- Śmietanki? Cukru?

- Nie.

Ponieważ nie wszedł dalej, przyniosła mu kawę. Pachniał mydłem, zauważyła. Bardzo przyjemnie. Ale jej ojciec nie pomylił się co do jego oczu. Były twarde i niezgłębione.

- Dzięki - dwoma łykami opróżnił delikatną filiżankę i oddał ją jej. Jego matka też miała takie, przypomniał sobie. Kilka sztuk zbiła, rzucając nimi w służące.

- Stary... twój ojciec - poprawił się - powiedział, że mogę przynieść tu mój sprzęt. Ale ponieważ nie on tu rządzi, pomyślałem, że uzgodnię to z tobą.

- Sprzęt? - Dora odstawiła filiżankę na stół i wzięła swoją. - Jaki sprzęt?

- Atlas, hantle...

- A - odruchowo omiotła spojrzeniem jego ramiona i pierś. - Nie sądzę, żeby miało mi to przeszkadzać - chyba że będzie słycać hałas w godzinach otwarcia sklepu.

- Będę uważał - spojrzał na obraz, przyglądał się mu przez chwilę. Ten też jest jaskrawy, pomyślał, jak kolory, które nosiła, jak jej zwalające z nóg perfumy. - Wiesz co, on wisi do góry nogami.

Uśmiechnęła się szybko, olśniewająco. Rzeczywiście postawiła go na sofie tak, jak wisiał na aukcji. - Też tak uważam. Zamierzam powiesić go inaczej.

Podeszła do obrazu i przekreśliła go. Jed zmrużył oczy.

- Tak jest dobrze - zawyrokował. - Nadal jest brzydki, ale wisi dobrze.

- Ocena dzieł sztuki jest równie subiektywna jak sama sztuka.

- Jak wolisz. Dziękuję za kawę.

- Nie ma za co. Aha, Skimmerhorn?

Zatrzymał się i spojrzał przez ramię. Slaby błysk niecierpliwości, jaki mignął w jego spojrzeniu zaintrygował ją bardziej niż jakikolwiek przyjacielski uśmiech.

- Jeśli chcesz zmienić coś w umeblowaniu swojego nowego mieszkania, przyjdź do mojego sklepu. „Salon Dory” ma coś dla każdego.

- Nie potrzebuję niczego. Dzięki za kawę.

Dora nie przestała się uśmiechać, kiedy usłyszała stuk zamykanych drzwi.

- Mylisz się, Skimmerhorn - szepnęła. - Każdy czegoś potrzebuje..

\* \* \*

Wysiadanie w brudnym biurze i słuchanie „Beach Boys”, wyśpiewujących „Little St. Nick” nie należało do wymarzonych porannych zajęć Anthony'ego DiCarla. Ale chciał usłyszeć parę odpowiedzi, i to zaraz.

Dokładniej mówiąc, to Finley chciał je usłyszeć, i to wczoraj. DiCarlo szarpnął swój jedwabny krawat. Na razie nie dowiedział się niczego, ale dowie się. Wczorajszy telefon z Los Angeles nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Ma w ciągu dwudziestu czterech godzin znaleźć przesyłkę albo ponieść konsekwencje.

DiCarlo nie miał najmniejszej ochoty sprawdzać, na czym mają one polegać.

Spojrzał na duży biały zegar, wiszący nad jego głową i przyjrzał się, jak miniaturowa wskazówka przeskakuje z 9:04 na 9:05. Zostało mu mniej niż piętnaście godzin. Ręce zaczęły się mu pocić.

Przez dużą szybę, ozdobioną otłuszczonym świętym Mikołajem i jego elfami, widział tuzin urzędników z działu ekspedycji, stemplujących i wysyłających paczki.

DiCarlo prychnął, kiedy do pokoju wszedł przerażająco tłusty kierownik działu wysyłkowego z niewiarygodnie paskudną peruką.

- Przepraszam za zwłokę, panie DiCarlo - na nalanej twarzy Billa Tarkingtona widniał znużony uśmiech. - Pewnie wyobraża pan sobie, jaki tu mamy młyn. Ale nie narzekam, o nie. Interes kwitnie.

- Czekałem piętnaście minut, panie Tarkington - wysyczał DiCarlo z nie tajoną wściekłością. - Nie mam czasu do stracenia.

- A kto go ma o tej porze roku? - pan Tarkington, promieniujący niesłabnącym zadowoleniem, podreptał do automatu z kawą.

- Proszę usiąść. Chce pan kawy? Postawi pana na nogi.

- Nie. Popołniono błąd, panie Tarkington. Ten błąd należy natychmiast naprawić.

- No cóż, zobaczymy, co się da zrobić. Może mi pan opowiedzieć o tym dokładniej?

- Przesyłka, którą nadałem do Abła Winesapa z Los Angeles, nie była tą, która dotarła do Los Angeles. Czy wyraziłem się jasno?

Tarkington wydał pulchną dolną wargę.

- A to zagadka. Ma pan przy sobie list przewozowy?

- Oczywiście. - DiCarlo wyjął z kieszeni marynarki złożony dokument.

- Zobaczymy - tłuste, serdelkowate palce poruszały się z niewymuszoną gracją po klawiaturze komputera. - Przyjrzyjmy się - zastukał znowu w klawisze. - Przesyłka została nadana siedemnastego grudnia... Tak, tak, jest. Wyruszyła w terminie. Powinna dotrzeć do adresata wczoraj, najdalej dzisiaj.

DiCarlo przeczesał palcami faliste czarne włosy. Idioci, pomyślał. Jestem otoczony przez idiotów.

- Przesyłka dotarła na czas. Popołniono pomyłkę.

- Chce pan powiedzieć, że paczka, którą posłaliśmy do Los Angeles, miała dotrzeć gdzie indziej?

- Nie. Chcę powiedzieć, że pomyłono zawartość przesyłki.

- A to dziwne - Tarkington pociągnął łyk kawy. - Czy przesyłkę pakowano tutaj? Och, zaraz, zaraz, już pamiętam - zlekceważył odpowiedź DiCarla. - My daliśmy skrzynię i papier pakowy, pan nadzorował pakowanie. No więc jak, do jasnej anielki, mogliśmy zamienić przesyłki?

- To ja o to pytam - syknął DiCarlo i uderzył dłonią w biurko.

- Dobrze, dobrze, tylko spokojnie - Tarkington, niezłomnie uprzejmy, nacisnął kilka klawiszy. - Przesyłka została wysłana przez sekcję trzecią. Zobaczymy, kto był wtedy na dyżurze. A, jest. Zdaje się, że to Opal - obrócił się z uśmiechem. - Dobra pracownica. I miła kobietka. Ostatnio miała kłopoty.

- Jej prywatne życie nie interesuje mnie. Chcę z nią pomówić. Tarkington pochylił się i nacisnął przycisk na biurku.

- Opal Johnson proszona jest o zgłoszenie się do biura pana Tarkingtona - wyłączył przycisk i poklepał się po tupecyku, by upewnić się, że jest na swoim miejscu.

- Na pewno nie chce pan kawy? A pączusia? - uniósł wieczko tekturowego pudełka. - Mamy dziś takie pyszne, z truskawkowym nadzieniem. I gniazdka.

DiCarlo wydał z siebie dźwięk przywodzący na myśl czajnik z gotującą się wodą i odwrócił się. Tarkington skusił się na pączka.

Kiedy do magazynu weszła wysoka, uderzająco czarna kobieta, DiCarlo mocno zacisnął pięści. Miała na sobie wytarte džinsy i jasnozielony sweter oraz pas z torebką Nike. Włosy ściągnęła w kędzierzawy kucyk. Wokół jej lewego oka widać było żółknące siniaki.

Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Pokój natychmiast napełnił się hałasem pasów transmisyjnych i zapachem zdenerwowania.

- Pan mnie wzywał, panie Tarkington?

- Tak, Opal. Pozwól na minutkę. Chcesz kawy?

- Jasne - zamknęła drzwi i rzuciła szybkie spojrzenie na DiCarlo, próbując zorientować się, co ją czeka.

Wyleją ją. Dadzą jej wymówienie, bo tydzień temu nie wyrobiła normy po tym, jak Curtis ją pobił. Ten obcy był przedstawicielem właścicieli i zaraz jej to powie. Trzęsącymi się rękami wyciągnęła z torebki papierosa i zapaliła go.

- Mamy tu problem, Opal.

Wydawało się jej, że gardło ma pełne piasku.

- Tak, proszę pana?

- To jest pan DiCarlo. W zeszłym tygodniu nadawał u nas paczkę, na twojej linii.

Szybki skurcz strachu sprawił, że zakrztusiła się dymem.

- W zeszłym tygodniu mieliśmy wiele przesyłek, proszę pana.

- Tak, ale kiedy paczka dotarła na miejsce, okazało się, że popełniono błąd - westchnął Tarkington.

Opal wbiła wzrok w podłogę, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

- Czy wysłano ją pod niewłaściwy adres?

- Nie, adres się zgadzał. Nie zgadzała się zawartość, a ponieważ pan DiCarlo osobiście nadzorował pakowanie, jesteśmy zdezorientowani. Myślałem, że może przypominasz coś sobie.

Czuła ból w brzuchu, wokół serca, za oczami. Koszmar, który gnębił ją od tygodnia,



zaczynał się urzeczywistniać.

- Bardzo mi przykro - zmusiła się, by to powiedzieć - trudno sobie przypomnieć poszczególne paczki. Pamiętam tylko, że w zeszłym tygodniu pracowałam na trzy zmiany i w domu musiałam moczyć stopy, tak mnie bolały.

Kłamie, uznał DiCarlo. Widział to w jej oczach, w jej postawie. Postanowił poczekać na odpowiednią chwilę.

- No cóż, warto było spróbować - Tarkington machnął ręką z rezygnacją. - Daj mi znać, jeśli ci wpadnie coś do głowy. W porządku?

- Tak, proszę pana. Oczywiście - zgmiotła papierosa w popielniczkę z dentystycznego aluminium i pospieszyła na swoje miejsce pracy.

- Będziemy szukać, panie DiCarlo. W trybie przyspieszonym. „Premium” dba o satysfakcję klienta. Dostawa z rąk do rąk - z uśmiechem zacytował motto towarzystwa.

- Pewnie - Tarkington już go nie interesował, choć z przyjemnością walnąłby go w ten jego tłusty brzuch. - A jeśli nadal chce się pan cieszyć poparciem firmy E. F. Incorporated, znajdzie pan rozwiązanie tej zagadki.

DiCarlo okrążył hałaśliwy dział wysyłkowy i podszedł do stanowiska Opal. Obserwowała go rozbieganymi oczami. Kiedy zatrzymał się przy niej, serce zaczęło tak mocno tłuc się jej o żebra, że aż ją to zabolowało.

- Kiedy masz przerwę obiadową?

Z zaskoczenia niemal upuściła pudło z naczyniami.

- Wpół do dwunastej.

- Spotkamy się przed głównym wejściem.

- Jadam w kafeterii.

- Nie dzisiaj - powiedział miękko DiCarlo. - Chyba nie chcesz stracić pracy. Wpół do dwunastej - powtórzył i wyszedł.

\* \* \*

Bała się mu sprzeciwić, bała się go posłuchać. O wpół do dwunastej włożyła swoją oliwkową parkę i ruszyła do wyjścia dla personelu. Mogła się tylko modlić, by zdołała się opanować do czasu, gdy okrąży budynek.

Wolałaby darować sobie ten obiad. Czuła, że jajko, które zjadła dziś rano na śniadanie, mogło wrócić w każdej chwili.

Do niczego się nie przyznawaj, pouczyła sama siebie. Nie udowodnią ci niczego, jeśli się sama nie przyznasz. Jeśli ją wyrzucą, może znów wrócić na zasiłek. Jej duma to zniesie,

pytanie tylko, czy zniosą to jej dzieci.

Dostrzegła DiCarla opierającego się o czerwonego porsche. Już sam samochód był szalowy, ale mężczyzna - wysoki, ciemnowłosy, efektownie przystrzyżony i ubrany w popielaty kaszmirowy płaszcz - skojarzył się jej z gwiazdorem filmowym. Przerazona, zaleknieiona, onieśmielona zbliżyła się do niego ze spuszczoną głową.

DiCarlo nie odezwał się ani słowem. Po prostu otworzył drzwi. Usta mu zadrgały, kiedy westchnęła, siadając na skórzanym obiciu. Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Panie DiCarlo, naprawdę bym chciała panu pomóc. Ja...

- Pomożesz mi - wrzucił jedynekę i samochód śmignął spod Premium niczym smukły czerwony pocisk. Już wiedział, jak z nią postępować. Odczekał dwie minuty, by jej nerwy napięły się wystarczająco. Uśmiechnął się z satysfakcją, kiedy odezwała się pierwsza.

- Dokąd jedziemy?

- W żadnym konkretnym kierunku.

Mimo frajdy z przejażdżki samochodem pierwszej klasy musiała oblizać zeschnięte wargi.

- Muszę wrócić za pół godziny. Nie zareagował. Przyspieszył.

- O co tu chodzi?

- Cóż, powiem ci, Opal. Wydawało mi się, że lepiej nam pójdzie z dala od twego miejsca pracy. Zdaje się, że ostatnio nieźle się namęczyłaś.

- Chyba tak. Przedświąteczna gorączka.

- I chyba wiesz, co się stało z moją paczką. Jej żołądek skurczył się boleśnie.

- Niech pan posłucha, już panu mówiłam, nie wiem, co się tam stało. Wykonuję swoją pracę najlepiej, jak potrafię.

Skręcił ostro w prawo, aż zaparło jej dech.

- Wiemy oboje, że to nie ja zawałem sprawę, kotku. Możemy to załatwić miło albo niemiło.

- Nie... nie rozumiem.

- Ach, tak - jego głos miał ten sam niebezpieczny ton co pomruk porsche.

- Rozumiesz doskonale. Co się stało, Opal? Spodobało ci się to, co było w skrzyni i chciałaś to mieć dla siebie? Przedwczesna premia gwiazdkowa?

Zesztywniała i niemal zapomniała o strachu, ogarnięta furją.

- Nie jestem złodziejką. Przez całe życie nie ukradłam nawet ołówka. Zawracaj pan, panie ważny.

Odezwał się w niej temperament, który - jak z upodobaniem powtarzał jej Curtis - przysparzał jej siniaków i połamanych kości. Przypomniawszy to sobie, po ostatnich słowach przywarła do drzwi.

- Może i nie ukradłaś tego - zgodził się, kiedy znowu zaczęła drżeć - dlatego będzie mi bardzo przykro podać cię do sądu.

Gardło się jej ścisnęło.

- Do sądu? Jak to do sądu?

- Zniknęła przesyłka, którą mój pracodawca uważa za cenną. Policja zapewne zainteresuje się jej losem, jeśli weźmie się za tę sprawę. I nawet jeśli jesteś niewinna, w twoich aktach personalnych pozostanie wielki znak zapytania.

Panika zaczęła łomotać w jej głowie jak serce dzwonu.

- Nawet nie wiem, co było w tej skrzyni. Ja ją tylko wysłałam. To wszystko.

- Oboje wiemy, że kłamiesz. - DiCarlo zaparkował przed sklepem samoobsługowym. Oczy Opal zaszkliły się łzami, w dłoniach skręcała pasek torebki. Jesteśmy już prawie w domu, uznał i odwrócił się, mierząc ją zimnym, bezlitosnym spojrzeniem.

- Nie chcesz stracić pracy, prawda, Opal? Nie chcesz, żeby cię zwolnili i aresztowali, prawda?

- Ja mam dzieci - wyszlochała, a pierwsze łzy potoczyły się jej po policzkach. - Ja mam dzieci.

- Więc lepiej o nich pomyśl, pomyśl o tym, co się z nimi stanie, jeśli wpakujesz się w taką historię. Mój pracodawca to twardy człowiek - przesunął spojrzeniem po blednących siniakach na jej twarzy. - Wiesz już chyba coś o twardych mężczyznach, czyż nie?

Podniosła rękę do policzka w obronnym geście.

- Ja... ja upadłam.

- No pewnie. Zaraz po tym, jak się nadziałaś na czyjaś pięść, prawda? - nie odpowiedziała, więc naciskał ją dalej, teraz już delikatniej. - Jeśli mój szef nie dostanie tego, co do niego należy, nie będzie się mścił na mnie. Przerzyje całe Premium, aż natrafi na ciebie.

Dowiedzą się, pomyślała w panice. Zawsze się dowiadują.

- Ja tego nie wzięłam, naprawdę. Ja tylko...

- Tylko co? - warknął DiCarlo, powstrzymując się z całej siły, by nie złapać jej za gardło i nie wydusić z niej całej reszty.

- Jestem w Premium od trzech lat - zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu chusteczki, pociągając nosem. - Za rok mogę awansować.

DiCarlo opanował szarpiącą nim furję i zmusił się do spokoju.

- Słuchaj, wiem, co znaczy wspinać się po tej drabinie. Ty pomożesz mnie, ja zrobię to samo dla ciebie. Nie ma powodu, żeby o tym, co mi powiesz, dowiedział się ktoś trzeci. To dlatego chciałem wyjść z gabinetu Tarkingtona.

Opal zaczęła szukać papierosa. DiCarlo uchylił automatycznie okno.

- Nie pójdzie pan z tym do pana Tarkingtona?

- Nie, jeżeli będziesz ze mną szczerą. W przeciwnym wypadku... - by wzmocnić efekt, ujął w palce jej brodę i uszczypnął ją, odwracając ku sobie.

- Przepraszam. Strasznie mi przykro. Myślałam, że się nie pomyliłam, ale nie byłam pewna. I bałam się. W zeszłym miesiącu straciłam kilka dni, bo mój najmłodszy chorował, a tydzień temu spóźniłam się, to było wtedy, jak upadłam i... i tak się spieszyłam, że pomyliły mi się faktury - odwróciła się i skuliła, jakby oczekując ciosu. - Upuściłam je. Zakręciło mi się w głowie i upuściłam je. Myślałam, że wszystko włożyłam na miejsce, ale nie byłam tak całkiem pewna. Ale wczoraj sprawdziłam w dokumentach i wszystko było w porządku. Więc myślałam, że się wybroniłam i że nikt się nie dowie.

- Pomyliłaś paczki - powtórzył. - Jakiejś idiotce zakręciło się w głowie, pomyliła adresy i dlatego teraz mój tyłek jest w niebezpieczeństwie.

- Przykro mi - wyszlochała. Może jej nie uderzy, ale będzie musiała za to zapłacić. Zawsze musiała komuś płacić. - Bardzo mi przykro.

- Będzie ci jeszcze bardziej przykro, jeśli przesyłka się nie znajdzie.

- Wczoraj sprawdziłam dokumenty. Tylko jedna niewymiarowa skrzynia została wysłana tego ranka - nadal płacząc, sięgnęła znów do torebki. - Zapisałam adres, panie DiCarlo - wyciągnęła karteczkę, a on ją pochwycił.

- Sherman Porter, Front Royal, Wirginia.

- Proszę, panie DiCarlo. Ja mam dzieci - otarła oczy. - Wiem, że popełniłam błąd, ale w Premium naprawdę się staram. Nie mogę stracić pracy.

Schowwał karteczkę do kieszeni.

- Sprawdzę to, a potem zobaczymy. Otworzyła usta, oszołomiona nadzieją.

- Nie powie pan tego panu Tarkingtonowi?

- Powiedziałem: zobaczymy.

DiCarlo włączył silnik i zaczął planować dalsze posunięcia. Jeśli sprawy nie potoczą się po jego myśli, wróci po Opal, a wtedy posiniaczy jej nie tylko twarz.

\* \* \*

Przy ladzie Dora właśnie skończyła wiązać wielką czerwoną kokardę na prezencie,

który zakupił u niej klient.

- Oszaleje na ich widok, panie O'Malley - zadowolona z transakcji, poklepała opakowane w jaskrawy papier pudełko z kobaltowymi solniczkami. - A będzie jeszcze bardziej zaskoczona, bo nie widziała ich u mnie.

- Bardzo pani dziękuję, że zechciała mnie pani zawiadomić, panno Conroy. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, co moja Hester w tym widzi, ale z pewnością mogłaby wykupić cały sklep.

- Będzie pana za to uwielbiać - zapewniła go Dora. Wziął pudło pod pachę. - A ja z przyjemnością zatrzymam dla pana drugi komplet aż do waszej rocznicy ślubu w lutym.

- To miłe. Może mam wpłacić na nie zaliczkę? - Niekoniecznie. Wesółych świąt, panie O'Malley.

- I wzajemnie - ruszył do wyjścia, zadowolony klient rześko zmierzający do domu.

W sklepie było jeszcze sześciu klientów, dwóch obsługiwanych przez pomocnicę Dory, Terri. Wizja kolejnego pomyślnego dnia przed świątecznym okresem zastoju przejęła serce Dory dreszczem. Okrążywszy ladę, przeszła do głównego pomieszczenia sklepu. Miała sposób na to, by zaoferować pomoc bez narzucania się.

- Jeśli macie państwo jakieś pytania, proszę zgłaszać się do mnie.

- Proszę pani?

Dora odwróciła się z uśmiechem. W postawnej matronie z polakierowanymi czarnymi włosami było coś nieuchwytnie znajomego.

- Tak, w czym mogę pomóc?

- Jeśli mogę prosić - wskazała trochę bezradnie na jeden ze stołów, z towarami - to służy do przytrzymywania drzwi, prawda?

- Tak. Oczywiście można tego używać w dowolny sposób, ale ich pierwotne przeznaczenie jest właśnie takie. - Dora obejrzała się odruchowo, usłyszawszy dzwonek u drzwi. Na widok Jeda uniosła lekko brew.

- Część z nich pochodzi z okresu wiktoriańskiego - ciągnęła. - Najpowszechniejszym materiałem było zwykle żelazo - podniosła pękaty koszyk z owocami. - Tego używano prawdopodobnie w salonie. Mamy też jeden przyjemny egzemplarz z mlecznego szkła. - Znajdował się w jej pokoju, ale przecież mogła go tu przynieść.

Kobieta przyglądała się wypolerowanemu do połysku mosiężnemu ślimakowi.

- Moja siostrzenica i jej mąż właśnie wprowadzili się do swojego pierwszego własnego domu. Na Gwiazdkę dam im osobne prezenty, ale chciałabym też znaleźć im coś do domu. Sharon, moja siostrzenica, często u pani kupuje.

- O... A czy zbiera coś szczególnego?

- Nie. Lubi zwykle starocie.

- Tak jak ja. Czy wybrała pani te figurki do przytrzymywania drzwi z jakiegoś konkretnego powodu?

- Właściwie tak. Moja siostrzenica dużo szyje. Urządziła sobie śliczny pokój. Wie pani, to stary dom, a oni go odnowili. Drzwi pokoju, w którym zwykła szyć, ciągle się zamykają. Ponieważ wkrótce urodzi im się dziecko, moja siostrzenica na pewno będzie chciała słyszeć, co się dzieje w pozostałej części domu, a to jest taki zabawny pomysł - ale wahała się nadal. - Kilka miesięcy temu kupiłam tu Sharon na urodziny taki nocnik. Szalenie się jej spodobał.

To potrafiło znajomą strunę.

- Sunderland, z zębą wymalowaną wewnątrz na denku. Oczy kobiety zabłysły.

- O, właśnie. Że też to pani zapamiętała.

- Bardzo lubiłam ten przedmiocik, pani...

- Lyle. Alice Lyle.

- ... pani Lyle. Cieszę się, że znalazł się w dobrych rękach. - Dora przytknęła palec do ust i zamilkła na chwilę. - Skoro się jej podobał, może polubi też coś w tym stylu? - wzięła do ręki mosiężną statuetkę słońca.

- To Jumbo - wyjaśniła. - Ten od P. T. Barnuma.

- Tak - kobieta wyciągnęła rękę i zachichotała, przejmując go od Dory. - Oj, ciężki, prawda?

- Jeden z moich ulubieńców.

- Jest doskonały - zerknęła dyskretnie na karteczkę z ceną przy przedniej nodze Jumbo. - Tak, zdecydowanie.

- Czy mam go zapakować?

- Tak, proszę. I... - sięgnęła po śpiącego psa, którego Dora kupiła na aukcji zeszłego dnia. - Czy to mogłoby pasować do pokoju dziecinnego?

- Według mnie jest uroczy. Sympatyczny i przyjacielski pies strażnik.

- Chyba wezmę i jego, jako pierwszy prezent na powitanie najmłodszego dziecka w rodzinie. Honorujecie karty Visy?

- Oczywiście. To chwilę potrwa. Może zechce pani odpocząć i napić się kawy?

Dora wskazała stolik, na którym zawsze stały dzbanki z kawą i herbatą, a także tace z ładnymi ciasteczkami. Potem zabrała oba przedmioty i podeszła do lady.

- Świąteczne zakupy, Skimmerhorn? - zagadnęła, mijając go.

- Szukam... jakby to powiedzieć... prezentu dla gospodyni.

- Pomyszkuj sobie. Zaraz przyjdę.

Jed nie wiedział całkiem na pewno, w poszukiwaniu czego właściwie myszkuje. Pękające w szwach mieszkanie Dory było niczym w porównaniu z bogactwem towarów oferowanych przez „Salon Dory”.

Były tu delikatne figurynki, przy których czuł się wielki i niezdarny, jak niegdyś w bawialni matki. A jednak nic tutaj nie było sztywne czy formalne. Buteleczki różnej wielkości, prześwietlone promieniami słońca, aż prosiły się, by je czymś napęlić. Były plakaty reklamujące wszystko, od pigułek na trawienie do pasty do butów. Błazane żołnierzyki toczyły bitwę na tle starych plakatów wojennych.

Następny pokój był równie zatłoczony. Misie i czajniczki. Zegary z kukłką i korkociągi. Śmiecie, pomyślał. Ludzie mogą znajdować na to wyszukane określenia, jak na przykład „kurioza”, ale to śmieci, ot co.

Wziął od niechcienia małe emaliowane puzderko, ozdobione malowanymi różyczkami. To się chyba spodoba Mary Pat, zdecydował.

- No, Skimmerhorn, zadziwiasz mnie - Dora uśmiechnęła się, obramowana framugą drzwi. Wskazała na puzderko i podeszła bliżej. - Popisałeś się znakomitym gustem. To piękny egzemplarz.

- Pewnie trzyma się w tym spinki albo pierścionki, tak?

- Pewnie tak. Pierwotnie trzymano w tym muszki. Osiemnastowieczna szlachta nosiła to, by zakryć dzioby po ospie, a potem... ponieważ były modne. Ten egzemplarz to Staffordshire, około 1770 roku - spojrzała na niego znad pudełka śmiejącymi się oczami - cena wynosi dwa tysiące pięćset.

- To? - przedmiocik ginął w jego dłoni.

- No cóż, to Jerzy III.

- No tak - odstawił puzderko na stół tak ostrożnie, jakby mogło wybuchnąć. Fakt, że mógł sobie na nie pozwolić, nie grał tu żadnej roli. - Nie całkiem o to mi chodziło.

- Nie szkodzi. Mamy tu coś dla każdego. Prezent dla gospodyni, tak? Mruknął i rozejrzał się po pokoju. Teraz bał się tu czegokolwiek dotykać. Znowu tkwił po uszy we wspomnieniach, w bolesnych wspomnieniach z dzieciństwa, w głównym salonie Skimmerhornów.

*Nie dotykaj tego, Jedydiaszu. Jesteś taki niezdarny. Niczego nie szanujesz.*

Powstrzymał wspomnienia, którym towarzyszyła powracająca woń perfum Chanel i cherry.

Nie udało mu się pohamować ponurego spojrzenia.

- Może powinienem po prostu nazbierać kwiatków.

- To też mile. Ale długo nie postoją. - Dora bawiła się jego prawdziwie męską nieporadnością. - Butelka wina jest również dopuszczalna. Niezbyt to oryginalne, ale ujdzie. Może opowiesz mi coś o tej gospodyni?

- Po co?

Zaskoczenia w jego głosie rozbawiło ją jeszcze bardziej.

- Żebym mogła wyrobić sobie o niej zdanie i pomóc ci coś wybrać. Czy to jedna z tych wysportowanych, towarzyskich pań czy raczej spokojna kurka domowa, która sama piecze chleb?

Może nie chciała, żebym poczuł się głupio, pomyślał Jed, ale i tak się poczułem.

- To żona mojego partnera... mojego byłego partnera. To pielęgniarka, pracuje w szpitalu. Ma dwoje dzieci i lubi książki.

- Jakie książki?

- Nie wiem.

Do diabła, dlaczego nie poszedł do Kwaciarni?

- No dobrze - poklepała go po ramieniu, poczuwszy przyływ litości. - Robi wrażenie zapracowanej, oddanej kobiety. Współczującej i romantycznej. Podarunek... - zamyśliła się, przykładając palec do ust - nie powinien być zbyt osobisty. Coś do domu - kiwnęła głową, odwróciła się i ruszyła w kierunku kąta pokoju, zaaranżowanego tak, by przypominał staroświecką spiżarnię. - To chyba będzie niezłe - wzięła drewniany słój z nóżkami, ozdobiony mosiężnymi okuciami.

Jed zmarszczył brwi. Jego rodzice nie przepadali za oryginalnymi antykami.

- Co to, coś na ciasteczka?

- Sprytnie - Dora uśmiechnęła się do niego. - To słój na biszkopty. Wiktoriański. Z dębowego drewna, z około 1870 roku. Praktyczny i ozdobny prezent, i kosztuje czterdzieści dolarów. Nie więcej niż tuzin róż, takich z długimi łodygami, albo butelka francuskiego wina.

- Dobra. Chyba się jej spodoba.

- Widzisz? Nie bolało. Mogę ci pomóc w czymś jeszcze? Jakiś prezent gwiazdkowy w ostatniej chwili?

- Nie, starczy - poszedł za nią do głównego pomieszczenia sklepu. Pachniało przytulnie, uznał. Jakby jabłkami. Słysząc tu było cichą muzykę. Rozpoznał fragment „Dziadka do orzechów” i z zaskoczeniem poczuł, że się odprężył. - Skąd bierzesz to wszystko?



- O, stąd i owad - rzuciła przez ramię - aukcje, pchle targi, wyprzedaże.

- I właśnie z tego żyjesz.

Rozbawiona, wyjęła spod lady pudełko i otworzyła je.

- Ludzie kolekcjonują różne rzeczy, Skimmerhorn. Czasem nie zdając sobie z tego sprawy. Nigdy nie zbierałeś w dzieciństwie kulek albo komiksów, kart z baseballistami?

- Zbierałem - musiał je ukrywać, ale zbierał je. Owinęła pudełko bibułką, szybko i sprawnie.

- A wymieniałeś się tymi kartami? - zerknęła na niego i pochwyciła jego spojrzenie, skierowane na jej dłonie.

- No pewnie - mruknął. Jego oczy podniosły się i spotkały jej spojrzenie. Przyglądając się jej przy pracy, czuł coś w środku, jakby przeszywała go płonąca strzała. - Tak, jak ty bawiłaś się lalkami.

- Akurat, właśnie się nie bawiłam - jakoś nie mogła się uśmiechnąć. Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał ją pożreć jednym kłapnięciem szczęk. - Nigdy ich za bardzo nie lubiłam. Wolałam wyobrazać sobie koleżanki, bo można było je zmienić w każdą postać, jaka mi się zamarzyła. - Bardziej starannie, niż było trzeba, przykryła pudełko wieczkiem ze złotym napisem „Salon Dory”. - Zmierzam do tego, że większość dzieci zbiera przedmioty i handluje nimi. Niektóre nigdy z tego nie wyrastają. Mam ci to opakować? Za darmo.

- Jasne, jasne.

Przestąpił z nogi na nogę, potem ruszył wzdłuż lady. Właściwie nie interesowało go to, co tam stało, ale chciał trochę odetchnąć. Nie po raz pierwszy czuł takie podniecenie, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się to dlatego, że kobieta ma ładne dłonie. I wielkie brązowe oczy, dodał. No i ten uśmiech, pomyślał. Zawsze sprawiała takie wrażenie, jakby śmiała się z jakiegoś sekretnego żartu.

Zdaje się, że zbyt długo pozostawał w celibacie, skoro pociągała go kobieta, która się z niego wyśmiewa.

Żeby zabić jakiś czas, podniósł przedmiot w kształcie piłki baseballowej z dziurą na górze. Na boku widniał napis „Mountain Dew”. Dziwne. Jed obrócił przedmiot w dłoni. Chyba nie mógł to być jakiś dziwny kubek.

- Ciekawe, prawda? - Dora postawiła przed nim zabawnie zapakowaną paczkę.

- Zastanawiałem się, co to.

- To do zapalania zapalek - wzięła jego rękę i położyła ją na pilce, po czym powiodła jego kciuk po jej szorstkim boku. - Zapalki wsadza się w tę dziurę, a zapala sieje na tym boku. „Mountain Dew” to whisky. Ten przedmiot pochodzi z końca dziewiętnastego wieku -

sposzregła na jego twarzy cień uśmiechu. - Podoba ci się?

- Inne niż wszystko.

- Przepadam za tym, co jest inne niż wszystko - przez chwilę przetrzymała w dłoni jego rękę. - Weź to. Uważaj to za podarunek do nowego mieszkania.

Niewytłumaczalny urok, jaki miał dla niego przedmiocik, wyraźnie zbladł. - Zaraz, ja nie...

- To nie ma wielkiej wartości, nie tej wyrażanej w pieniądzech. To sąsiedzka przysługa, Skimmerhorn. Nie bądź wredny.

- No, skoro tak ładnie prosisz. Roześmiała się i uścisnęła przelotnie jego dłoń.

- Mam nadzieję, że prezent spodoba się twojej przyjaciółce. - Odeszła do innego klienta, ale kątem oka obserwowała go, dopóki nie opuścił sklepu.

Niezwykły mężczyzna, pomyślała. A ona interesowała się tylko tym, co niezwykle.

\* \* \*

DiCarlo mknął przez Van Wyck w kierunku lotniska, w jednej ręce trzymając słuchawkę telefonu, a w drugiej - kierownicę.

- DiCarlo - oznajmił, uzyskawszy połączenie. - Daj mi pana Finleya - spojrzał na zegarek, czując, że nerwy zaczynają go ponosić. Zdąży, zapewnił sam siebie. Musi zdążyć.

- Panie DiCarlo - głos Finleya zapełnił cały samochód - rozumiem, że ma pan dobre wieści.

- Znalazłem źródło problemu, proszę pana - DiCarlo przybrał z wysiłkiem spokojny, urzędowy ton. - Wiem już, co się stało. Jakaś idiotka z Premium pomyliła przesyłki. Naszą wysłała do Wirginii. Wyprostuję wszystko bezzwłocznie.

- Ach tak - nastąpiła długa pauza. Wnętrznosci DiCarla zlodowaciały. - A co pan rozumie pod słowem „bezzwłocznie”?

- Właśnie jadę na lotnisko, proszę pana. Mam bilet na lot do Dulles, gdzie czeka na mnie wynajęty samochód. Przed piątą czasu wschodniego będę we Front Royal. Mam nazwisko i adres, pod który wysłano naszą przesyłkę - jego głos osłabł. - Wszystko to na mój koszt, proszę pana.

- To bardzo mądrze z pańskiej strony, panie DiCarlo, ponieważ nie życzę sobie, żeby pańska pomyłka kosztowała mnie więcej niż dotychczas.

- Oczywiście, proszę pana. I ma pan moje słowo na to, że pomyłka zostanie naprawiona najlepiej jak można.

- Znakomicie. Spodziewam się, że zgłosi się pan, kiedy znajdzie się pan na miejscu.

Oczywiście urzędniczka ma zostać zwolniona.

- Oczywiście.

- I, panie DiCarlo... Pan wie, jak ważna jest dla mnie ta przesyłka, prawda? Ma pan użyć wszystkich sposobów, by ją odnaleźć. Dokładnie wszystkich.

- Zrozumiałem.

Kiedy połączenie zostało przerwane, DiCarlo uśmiechnął się ponuro. Teraz, kiedy jego święta legły w gruzach, bardziej niż chętnie zastosuje owe „wszystkie sposoby”. Dokładnie wszystkie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Niezły bałagan, co? - zadając to retoryczne i mało zabawne dla DiCarlo pytanie, Sherman Porter przetrząsał swój sfatygowany katalog. - Chyba mieliśmy to u nas, ale była tu aukcja - ciągnął Porter, beztrąsko niszcząc uporządkowany katalog. - I tak potworny ścisk. Przeszło tędy mnóstwo towarów. Cholera jasna, gdzie ta kobieta to trzyma?

Porter wysunął kolejną szufladę.

- Nie wiem, jak mam tu coś znaleźć, skoro Helen wyjechała na tydzień do córki w Dystrykcie Kolumbii. Zdażył pan w ostatniej chwili. Właśnie miałem zamknąć biuro aż do Nowego Roku.

DiCarlo spojrział na zegarek. Kwadrans po szóstej. Czasu było coraz mniej. Co do cierpliwości, nie pozostało po niej nawet śladu.

- Może nie wyraziłem się dostatecznie jasno, panie Porter. Zwrot tej przesyłki jest dla mojego pracodawcy sprawą niezmiernie ważną.

- Wyraził się pan dostatecznie jasno. Facet chce tego, co do niego należy. O, to wygląda obiecująco - Porter wyjął cienki plik ładnie zadrukowanych arkuszy. - Proszę spojrzeć, Helen zrobiła listę wszystkich towarów, które sprzedaliśmy na aukcji, numery eksponatów, ich cenę. Ta kobieta to skarb.

- Mogę spojrzeć?

- Jasne, jasne. - Porter wręczył mu papiery i otworzył dolną szufladę swojego biurka. Wyjął z niej butelkę Four Roses oraz dwie zakurzone lepkie szklanki. Uśmiechnął się do DiCarlo szeroko.

- Napije się pan ze mną? Jest już po godzinach, a to rozgrzewa. DiCarlo zmierzył butelkę spojrzeniem pełnym niesmaku.

- Nie.

- No to sam się napiję.

DiCarlo wyjął własną listę i zaczął porównywać. Wszystko się zgadzało, zauważył, rozdarty między uczuciem ulgi a rozpaczą. Wszystko sprzedane. Pies z chińskiej porcelany, porcelanowa figurynka, abstrakcyjny obraz, orzeł z brązu i wypchana papuga. Przepadła wielka i paskudna gipsowa replika Statuy Wolności, a także para podpórek pod książki w kształcie syren.

DiCarlo miał w kieszeni jeszcze jedną listę. Widniały na niej opisy tego, co tak starannie i z poniesieniem wielkich kosztów zostało ukryte w każdej sztuce towaru. Grawerowany wazon Emile Galie, wart niemal 100 tys. dolarów, para netsuke, skradzionych

z prywatnej kolekcji w Austrii, których cena z powodzeniem mogłaby osiągnąć sześciocyfrową sumę. Zabytkowa szafirowa brosza, rzekomo noszona przez Marię Stuart.

A lista nie kończyła się na tym. Mimo zimna panującego w pokoju DiCarlo zaczął się pocić. Ani jeden przedmiot nie znajdował się już w posiadaniu Portera. Sprzedane, pomyślał DiCarlo, wszystko sprzedane.

- Nic nie zostało - powiedział słabo.

- Mówiłem, że mieliśmy tu niezły młyn. - Porter, zadowolony na samo wspomnienie o tym, nalał sobie kolejnego drinka.

- Muszę mieć te towary.

- Wiem, ale ta przesyłka nadeszła na chwilę przed aukcją i nie mieliśmy czasu, żeby zrobić inwentarz. Jak sądzę, pański szef i ja moglibyśmy puścić Premium z torbami - ponieważ pomysł ten miał swój urok, Porter uśmiechnął się i znowu pociągnął łyk alkoholu. - Założę się, że zgodziłby się na niezłą sumkę.

- Pan Finley chce mieć swoją własność, nie proces sądowy.

- To już jego sprawa - Porter dokończył swojego napitku, wzruszając ramionami. - Helen trzyma tu gdzieś listę naszych klientów. Wysłała im zawiadomienia o aukcjach. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to przekopać się przez nią i dopasować adresy do tych nazwisk, które wpisała przy sprzedanych towarach. Może pan się do nich zgłosić, wyjaśnić to wszystko. Oczywiście zwróci mi pan za to moje towary, prawda?

Zebranie towaru Finleya zajmie mi kilka dni, pomyślał DiCarlo z niesmakiem. Kilka tygodni.

- Oczywiście - skłamał.

Porter wyszczerzył zęby. W jego mniemaniu udało mu się już sprzedać jedną partię towaru. Teraz sprzeda następną - wszystko za tę samą cenę.

- Lista.

- A tak, tak - czując w głowie przyjemny szumek Four Roses, Porter zaczął grzebać w szufladzie i wyciągnął metalową kasetkę pełną kart.

- Proszę, niech się pan nie spieszy. Mam mnóstwo czasu.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później DiCarlo opuścił kompletnie pijanego Portera. Była w tym wszystkim jedna iskierka nadziei. Porcelanowa figurynka nadal znajdowała się we Front Royal, jako własność Thomasa Ashwortha, handlującego antykami. DiCarlo uczepił się kurczowo możliwości, iż szybkie odzyskanie jednego przedmiotu ułagodzi Finleya i wyjedna

mu więcej czasu.

Przejeżdżając przez światła po drodze do sklepu Ashwortha, DiCarlo opracowywał strategię. Wejdzie, wyjaśni nieporozumienie, wszystko w tonie lekkiej, przyjacielskiej pogawędki. Ponieważ Ashworth zapłacił za to tylko czterdzieści pięć dolarów, DiCarlo zdecydował się odkupić ją za sumę przynoszącą Ashworthowi zysk.

Wszystko można załatwić szybko i bezboleśnie. Kiedy będzie już miał figurkę, zatelefonuje do Finleya i powie mu, że wszystko jest pod kontrolą. Przy odrobinie szczęścia Finleyowi wystarczy to, że będzie mógł przekazać listę Winesapowi, a DiCarlo wróci do Nowego Jorku, by cieszyć się świętami Bożego Narodzenia.

Ta wizja poprawiła mu humor do tego stopnia, że podśpiewywał, parkując samochód przed sklepem Ashwortha. Ale kiedy wysiadł z wozu i stanął na chodniku, jego beztronski uśmiech zgasł.

#### ZAMKNIĘTE

Duży karton na oszklonych drzwiach wejściowych śmiał mu się prosto w oczy.

DiCarlo w dwóch susach znalazł się przy drzwiach, szarpiąc klamką, tłukąc pięścią w szkło. To niemożliwe. Dopadł wielkiej wystawy, osłonił rękami oczy i przylgnął do szyby. Nie zobaczył niczego z wyjątkiem ciemnych kształtów i własnej niedoli.

Finley nie przyjmie do wiadomości żadnych wykrętów, wiedział to. Nie będzie tolerował czegoś tak błahego jak pech.

Potem, wyszczerzywszy zęby w grymasie, DiCarlo dojrzał porcelanową figurynkę, mężczyznę i kobietę w balowych strojach, obejmujących się lekko.

Obleczone w rękawiczki dłonie DiCarla zacisnęły się w pięści. Nie pozwoli, by zatrzymała go szyba i zamek.

Pierwszym krokiem było przestawienie samochodu. DiCarlo powoli okrążył dzielnicę, obserwując policyjne wozy patrolowe. Zaparkował dwie przecznice dalej. Ze schowka na rękawiczki wziął to, czego - jak sądził - potrzebował. Latarkę, śrubokręt, rewolwer. Wsunął je do kieszeni swego kaszmirowego płaszcza.

Tym razem nie podszedł do sklepu od frontu. Ruszył boczną ulicą pewnymi, niespiesznymi krokami kogoś, kto wie, dokąd idzie. Ale jego oczy zerkały na boki, ostrożnie, czujnie.

To małe miasto, a w taki zimny, wietrzny wieczór większość obywateli siedzi w domu przy kolacji. W drodze do tylnego wejścia do sklepu Ashwortha DiCarlo nie spotkał nikogo.

Nie zauważył też żadnego systemu alarmowego. Z pomocą śrubokręta szybko wyłamał zamek. Trzask rozłupywanego drewna wywołał uśmiech na jego twarzy. Przez łąta

zorganizowanych kradzieży niemal zapomniał o prostej przyjemności włamywania się do domu. DiCarlo wśliznął się do środka, zamykając za sobą drzwi. Włączył latarkę, przysłaniając jej światło ręką i omiół nią pomieszczenie. Wszedł do pomieszczenia, przypominającego małe, zagracone biuro. Ze względu na konieczność zatarcia śladów, DiCarlo zdecydował, że włamanie ma wyglądać na zwykłą kradzież.

Z niecierpliwością, ponieważ marnował czas, otworzył kilka szuflad i sprawdził ich zawartość.

Zachichotał, ujrawszy plastikową bankową kopertę. Wyglądało na to, że szczęście uśmiechnęło się do niego. Szybko przeliczył znajdujące się w środku drobne banknoty; jego zdobycz wynosiła około pięciuset dolarów. Wepchnął pieniądze do kieszeni i, zadowolony, powędrował w stronę pomieszczenia sklepowego, przyświecając sobie latarką.

Uznał, że przyda się mu drobny akt wandalizmu. Rozbił lampę z mlecznego szkła i wazę Capo di Monte, wybierając przedmioty na chybił trafił. Potem, ponieważ sprawiło mu to aż tyle przyjemności, przewrócił kopnięciem stół z kolekcją małych filiżanek do kawy.

Pod wpływem impulsu, a także dlatego, że minęło wiele lat, odkąd czuł dreszcz towarzyszący kradzieży, wepchnął sobie do kieszeni kilka puzderek z emalii cloisonne.

Z uśmiechem zacisnął palce na figurynce.

- Mam cię, dzidziu - mruknął i zamarł, bo na schodach po jego prawej stronie zapaliło się światło. Klnąc pod nosem, DiCarlo wcisnął się pomiędzy palisandrową komodę a mosiężną lampę z kloszem.

- Zadzwoń na policję - starszy mężczyzna w samym flanelowym szlafroku schodził po schodach, trzymając kij do golfa. - Już tu jada, więc lepiej stój, gdzie stoisz.

DiCarlo rozpoznał w głosie mężczyzny podeszły wiek i strach. Przez chwilę ze zdziwieniem poczuł zapach pieczonego kurczaka. Stary mieszka na górze, zrozumiał DiCarlo i przeklął się za to, że włamał się do sklepu niczym amator.

Ale nie było czasu na robienie sobie wyrzutów. Trzymając figurkę pod pachą niczym piłkę futbolową, popędził w stronę Ashwortha, tak jak niegdyś gnał Piątą Aleją z upchniętymi pod marynarką torbami od Gucci ego, należącymi do jakiejś starszej kobiety.

Starszy mężczyzna jęknął, zachwiał się na schodach, a znoszony szlafrok załopotał wokół jego sinych nóg, cienkich jak ołówki. Łapiąc powietrze, zamachnął się niezgrabnie kijem golfowym, walcząc o utrzymanie równowagi. DiCarlo, bardziej odruchowo niż świadomie, chwycił za kij, kiedy ten ze świstem przeciął powietrze tuż koło jego ucha. Ashworth upadł. Jego głowa uderzyła ze złowieszczym trzaskiem w okutą żelazem skrzynię na węgiel.

- O Jezu - DiCarlo z obrzydzeniem trąci! Ashwortha czubkiem buta. W świetle sącącym się z mieszkania na piętrze widział strugę krwi, otwarte wpatrujące się w nicość oczy. Ogarnięty furia kopnął ciało jeszcze dwa razy, zanim udało mu się opanować.

Wyszedł tylnymi drzwiami i odszedł spory kawałek od domu, kiedy usłyszał wycie syren.

\* \* \*

Telefon odezwał się, kiedy Finley zmieniał kanały na ekranach swoich licznych telewizorów.

- DiCarlo na drugiej linii, proszę pana.

- Połącz go - Finley nacisnął odpowiedni guzik. - Ma pan dla mnie jakieś wiadomości?

- Tak. Tak, proszę pana. Mam porcelanową figurkę i listę adresów, pod którymi znajdują się inne przedmioty - DiCarlo mówił z samochodu, jadąc na lotnisko z dozwoloną prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Finley odczekał chwilę.

- Proszę to wytłumaczyć.

DiCarlo zaczął od Portera, zatrzymując się co kilka zdań, by wyczuć, czy Finley chce, żeby mówił dalej.

- Listę wyślę panu faxem, jak tylko znajdę się na lotnisku.

- Tak, proszę to zrobić. Jest pan nieco... niespokojny, panie DiCarlo.

- No tak, proszę pana, właściwie to miałem tu mały problem z odzyskaniem tej figurki. Nabył ją sprzedawca antyków z Front Royal. Kiedy przybyłem na miejsce, zastałem jego sklep zamknięty. Wiedząc, że zależy panu na szybkich rezultatach, włamałem się do niego. Handlarz był na piętrze. Zdarzył się wypadek, proszę pana. Ten człowiek nie żyje.

- Ach tak - Finley przyjrzał się swoim paznokciom. - Więc, jak rozumiem, zajął się pan Porterem.

- Zająłem się...

- Może powiązać pana z tym... wypadkiem, czy tak? A powiązanie z panem, panie DiCarlo, jest powiązaniem ze mną. Proponuję, żeby zerwał pan to powiązanie szybko i ostatecznie.

- Ja... ja właśnie jadę na lotnisko...

- Więc zawróci pan i pojedzie w przeciwną stronę, dobrze? I proszę się nie fatygować z faxem. Kiedy skończy pan porządkować sprawy w Wirginii, zjawi się pan tutaj, z figurką. Przedyskutujemy następne posunięcia.



- Mam przyjechać do Kalifornii? Proszę pana...

- Do południa, panie DiCarlo. Jutro zamykamy wcześniej. Święta, pan rozumie. Co do lotu, proszę się skontaktować z Winesapem.

- Tak, proszę pana - DiCarlo odłożył słuchawkę i zjechał na najbliższy zjazd. Modlił się, żeby Porter nadal był w biurze, pijany tak, by mógł mu wpakować kulkę w mózg bez większego kłopotu.

Jeśli natychmiast nie wyprostuje tego wszystkiego, nigdy nie zdąży na świąteczną kolację.

- Naprawdę, Andrew, naprawdę nie musisz mnie odprowadzać.

W odruchu samoobrony, który zrozumieć może tylko kobieta śmiertelnie znudzona, Dora zablokowała drzwi własnym ciałem. Daj mi wejść, pomyślała, i zamknąć drzwi na klucz. Wtedy, na osobności, będzie mogła swobodnie bić głową w ścianę.

Andrew Dawd, dyplomowany księgowy, dla którego ulgi podatkowe i papiery wartościowe były szczytem rozkoszy, roześmiał się rubasznie i uszczypnął ją w policzek.

- O nie, Doro, moja matka nauczyła mnie, że dziewczęta należy zawsze odprowadzać aż do drzwi.

- Ale mamusi tu nie ma - syknęła Dora i weszła na następny schodek. - I późno już.

- Późno? Nie ma nawet jedenastej. Chyba mnie nie wygonisz bez filiżanki kawy, co? - błysnął białymi zębami, na których wyprostowanie jego kochająca mama wydała majątek. - Wiesz, że robisz najlepszą kawę w Filadelfii.

- To wrodzony talent - właśnie szukała jakiejś uprzejmej formy odmowy, kiedy drzwi wejściowe trzasnęły, otwierając się i zamykając.

Jed przeszedł przez korytarz z rękami w kieszeniach sfatygowanej skórzanej lotniczej kurtki. Była rozpięta, a spod niej wylaniał się podkoszulek i podarte dżinsy. Włosy Jeda były rozczochrane przez wiatr, na jego twarzy widać było zarost, co pasowało do jego ponurego spojrzenia.

Dora nie mogła zrozumieć, dlaczego bardziej odpowiadał jej niebezpiecznie wyglądający Jed niż odziany w trzyczęściowy garnitur i wypolerowany na wysoki połysk księgowy. Prawdopodobnie to że mną jest coś nie w porządku, uznała.

- Skimmerhorn.

Jed zmierzył wielbiciela Dory jednym szybkim spojrzeniem i włożył klucz w swój zamek.

- Conroy - powiedział. Po tym powitaniu i pożegnaniu jednocześnie wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Twój nowy lokator? - ciemne, dobrze utrzymane brwi Andrew uniosły się niemal do połowy wysokiego czoła, znamionującego, jak zwykle zapewniać go matka, inteligencję, a nie zwykle łysienie.

- Tak - do nozdrzy Dory dotarł powiew wody toaletowej Andrew „Halston for men” i drażniąca zwierzęca woń, którą zostawił po sobie w powietrzu Jed. Ponieważ okazja znalezienia wymówki przepadła, otworzyła drzwi i wpuściła Andrew do mieszkania.

- Wygląda nadzwyczaj... fizycznie - Andrew zmarszczył brwi i rozpostarł swój płaszcz na oparciu krzesła, dokładnie go wygładzając.

- Mieszka sam?

- Tak. - Dora, zbyt zgnębiona, by zawracać sobie głowę porządkiem, ruszyła do kuchni, rzucając po drodze w stronę kanapy swoje norki, z około 1925 roku.

- Oczywiście rozumiem, jak ważne jest, by mieszkanie nie stało puste, ale czy nie sądzisz, że byłoby mądrzej, a na pewno bezpieczniej, wynająć je innej kobiecie?

- Innej niż co? - mruknęła Dora, potem zamilkła i wsypała ziarna kawy do starego młynka z korbką. - Nie.

Mieląc kawę, zerknęła przez ramię na Andrew stojącego za nią z dezaprobująco odętymi ustami. - Ty tak nie uważasz?

- Oczywiście, że nie. Chodzi mi o to, że mieszkacie tutaj razem, sami...

- Nie. Ja mieszkam tutaj, sama. On mieszka tam. Ponieważ drażniło ją, że dyszy jej w kark, podczas gdy ona pracuje, powiedziała:

- Może włączysz jakąś muzykę, Andrew?

- Muzykę? - jego banalnie przystojna twarz rozjaśniła się - oczywiście. Nastrój.

Po chwili dobiegły ją ciche dźwięki starego nagrania Johny'ego Mathisa. O - o, pomyślała, a potem wzruszyła ramionami. Jeśli nie potrafiła poradzić sobie z księgowym, noszącym garniturę od Brooks Brothers i używającym wody kolońskiej Halstona, zasługiwała na to wszystko.

- Kawa będzie za chwilę - powiedziała, wracając do salonu. Andrew stał z dłońmi na wąskich biodrach, przyglądając się jej nowemu obrazowi. - To jest coś, prawda?

Przechylił głowę na prawo, potem na lewo.

- Z pewnością robi wrażenie - potem odwrócił się do niej i przez chwilę napawał się widokiem jej sylwetki w krótkiej czarnej sukience, wyszywanej płomiennymi dżetami. - I pasuje do ciebie.

- Zdobyłam go na aukcji w Wirginii parę dni temu - usiadła na poręczu fotela, automatycznie zakładając nogę na nogę i nie zwracając uwagi na spódnicę, która odsłoniła

większą część jej uda.

Andrew zwrócił na to należyłą uwagę.

- Wydawało mi się, że miło będzie z nim pomieszkać przez jakiś czas, dopóki nie zniosę go do sklepu - uśmiechnęła się, po czym - zauważywszy drapieżny błysk w jego oku - zerwała się z fotela jak oparzona. Zobaczą, co się dzieje z kawą.

Ale on chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie ruchem, który musiał mu się chyba wydawać stylowy. Dora z trudnością uniknęła zderzenia z jego podbródkiem.

- Nie pozwólmy, żeby muzyka się marnowała - powiedział, sunąc płynnie po dywanie. Jego matka wydała fortunę na lekcje tańca, a on nie zamierzał teraz tego zmarnować.

Dora zmusiła się do spokoju. Tańczy dobrze, pomyślała, dostosowując do niego swoje kroki. Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Pozwoliła, by muzyka i rytm uniosły ją. Roześmiała się miękko, gdy Andrew przegiął ją stylowo.

Nie jest taki zły, pomyślała. Wygląda dobrze, nieźle się rusza. Dbą o matkę i ma gruby portfel. To, że znudził ją do szaleństwa na kilku spotkaniach, nie oznacza jeszcze...

Nagle przycisnął ją mocno do siebie, niszcząc jej pogodny nastrój. Mogła to zrozumieć, a na pewno - przewidzieć. Ale kiedy oparła dłoń o jego pierś, wyczuła nie dający się pomylić z niczym innym kształt szczoteczki do zębów, którą trzymał w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Nawet znając jego sumienność nie przypuszczała, że miał ją przy sobie po to, by czyścić zęby po każdym posiłku.

Zanim zdążyła to skomentować, jego ręce wśliznęły się jej pod spódnicę i chwyciły obleczone w jedwab pośladki.

- Hej? - owładnięta furją usiłowała mu się wyrwać, ale choć odczepił się od jej ust, zaczął obcałowywać jej kark i ramię.

- Och, Doro, Doro, pragnę cię.

- To widzę, Andrew.

Gdy starała się uwolnić, jedna z jego rąk sięgnęła do jej zamka błyskawicznego.

- Ale mnie nie dostaniesz. A teraz pozbieraj się jakoś.

- Jesteś taka piękna, że aż nie mogę wytrzymać...

- Wytrzymaj albo ci coś zrobię.

Ale on tylko mamrotał coś błagalnie, po czym popchnął ją i razem runęli na podłogę. To, co się stało, nie stało się z powodu urażonej godności kobiety przy duszonej szalejącym księgowym. Chodziło o to, że padając zawadzili o stół do kawy i kilka cennych drobiazków rozbiło się o podłogę.

Miarka się przebrała. Dora wraziła kolano między uda Andrew. Gdy jęknął, uderzyła go z całych sił w oko.

- Precz! - wrzasnęła, odpychając go.

Przewrócił się, jęcząc, bezwładny jak ugotowana krewetka. Dora wstała.

- Jeśli nie wyjdiesz stąd natychmiast, znowu ci przywalę. Nie żartuję. Podniósł się na czworaki.

- Zwariowałaś - wykrztusił i wyjął śnieżnobiałą chusteczkę, by obetrzeć z twarzy krew.

- Masz absolutną rację - wzięła jego płaszcz i podała mu go. - Lepiej odczep się ode mnie. A teraz wracaj do domu. I połóż sobie lód na to oko.

- Moje oko - dotknął go ostrożnie, skrzywił się. - Co ja powiem matce?

- Że wpadłeś na drzwi. - Dora pomogła mu wstać, zgrzytając zębami ze zniecierpliwienia. - Wyjdź stąd, Andrew.

Usiłując zachować godność, wyrwał jej swój płaszcz.

- Zaprosiłem cię na kolację. Dwa razy.

- Potraktuj to jako złą inwestycję. Z pewnością zdołasz to sobie jakoś odliczyć - otworzyła drzwi w tej samej chwili, w której Jed uchylił swoje. - Wyjdź! A jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, podbiję ci oboje oczu.

- Wariatka - Andrew rzucił się w stronę drzwi. - Rozum ci odjęło.

- Wróc tu, to dopiero zobaczysz wariatkę - zdjęła z nogi szpilkę i cisnęła nią jak dyskiem. - Jesteś zwolniony.

Pantofel odbił się od drzwi z przyjemnym łoskotem. Dora stała w jednym, łapiąc powietrze. Ciche odchrząknięcie Jeda kazało się jej odwrócić. Uśmiechał się. Po raz pierwszy widziała jego uśmiech, ale akurat nie miała nastroju, by podziwiać, jak sympatyczna zrobiła się jego chmurna dotąd twarz.

- Widzisz w tym coś śmiesznego, Skimmerhorn? Zastanowił się.

- Tak.

Ponieważ minęło wiele czasu od chwili, kiedy czuł się tak rozbawiony, oparł się o framugę, nie przestając się uśmiechać.

- Interesująca randka, Conroy?

- Fascynująca - pokuśtykała korytarzem, by odzyskać pantofel. Wróciła, uderzając nim o dłoń.

- Ciągle tu jesteś?

- Na to wygląda.

Dora westchnęła głęboko, przeciągnęła dłonią po zmierzwionych włosach.

- Chcesz się napić?

- Jasne.

Przekroczywszy próg swojego mieszkania, zdjęła drugi pantofel i odrzuciła go w ślad za pierwszym.

- Brandy?

- Świetnie - spojrzał na okruchy porcelany na podłodze. To musiał być ten hałas, który usłyszał. Między nim a krzykiem przeżył przykrą chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy interweniować. Nawet wtedy, gdy jeszcze nosił odznakę, bardziej zaprzętały go rodzinne kłótnie niż łapanie przestępców.

Spojrzał na nalewającą brandy Dorę. Jej twarz była wciąż zarumieniona, oczy zwięzione. Poczul ulgę, że wielka akcja ratunkowa nie była konieczna.

- Kim jest ten dupek?

- Moim byłym księgowym - Dora podała mu kieliszek. - Przez cały wieczór zanudzał mnie do obłędu gadaniną o długoterminowych zyskach i podatkach, a potem przyśniło mu się, że może tu przyjść i zedrzeć ze mnie ubranie.

Jed przesunął spojrzeniem po jej połyskliwej czarnej sukience.

- Fajne ubranko - uznał. - Nie rozumiem, po co tracił czas na podatki.

Dora pociągnęła kolejny łyk, przekrzywiła głowę.

- Zaraz, zaraz. To chyba miał być komplement. Jed wzruszył ramionami.

- Wybrał najgorszą drogę.

- Powinna złamać mu nos - wydeła usta, podeszła i kucnęła nad okruchami staroci.

- Spójrz tylko! - temperament znowu zaczął ją ponosić. Uniosła zbitą filiżankę. - To Derby, z 1815 roku. A ta popielniczka to Manhattan.

Jed kucnął obok niej.

- Drogie?

- Nie w tym rzecz. To półmisek na słodczyce Hazel Ware - marokański ametyst, z przykrywką.

- Teraz to skorupy. Zostaw to, jeszcze się skaleczysz. Daj mi szczotkę albo coś takiego.

Wstała i poszła do kuchni, mrużąc pod nosem.

- Miał w kieszeni szczoteczkę do zębów. - Wróciła, machając wściekle szczotką i śmietniczką jak tarczą i dzidą. - Pieprzoną szczoteczkę. Zakładam się, że ten sukinsyn był harcerzem.

- W kieszeni płaszcza miał pewnie zmianę bielizny. - Jed delikatnie wyjął jej z ręki szczotkę.

- Nie byłabym zdziwiona. - Dora wróciła do kuchni po wiadro na śmieci. Skrzywiła się, gdy Jed wrzucił stertę potłuczonego szkła do wiadra. - I parę prezerwatyw.

- Każdy szanujący się harcerz nosi je w portfelu.

Usiadła, zrezygnowana, na poręczy fotela. Wyglądało na to, że było już po przedstawieniu. - A ty? - Co ja?

- Byłeś harcerzem?

Wyrzucił ostatnią partię skorup i spojrzął na nią przeciągle.

- Nie. Ja byłem młodocianym przestępcą. Lepiej uważaj tu na nogi. Mogłem przeoczyć jakieś kawałki.

- Dzięki.

Dora zbyt zdenerwowana, by usiedzieć w miejscu, wstała i napełniła oba kieliszki.

- To co teraz robisz?

- Ty powinnaś wiedzieć. - Jed wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. - Wypełniłem przecież formularz.

- Nie miałam czasu przeczytać. Mogę wziąć? - wskazała paczkę. - Lubię zapalić w chwilach stresu lub wyjątkowego rozdrażnienia.

Podał jej zapalonego już papierosa i wziął następnego.

- Lepiej ci?

- Chyba tak - zaciągnęła się szybko i równie szybko wypuściła dym. Nie lubiła tego smaku, a jedynie efekt. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Jakie pytanie?

- Co teraz robisz?

- Nic - uśmiechnął się, choć nie widział w tym nic śmiesznego. Jestem i tak bogaty.

- Ach. Chyba opłaca się być młodocianym przestępcą - zaciągnęła się znowu. Dym i brandy przyjemnie ją oszołomiły. - Więc co robisz przez cały dzień?

- Niewiele.

- Mogłabym ci znaleźć zajęcie. Uniósł brew.

- Doprawdy?

- Uczciwą pracę, Skimmerhorn. To znaczy, jeśli potrafisz używać tych rąk.

- Mówiono mi, że potrafię - jego palce powędrowały po jej plecach, przesunęły się po zamku błyskawicznym, rozpiętym niemal do talii. Po chwili wahania, zapiął go starannie. Dora zadrżała, zatrzepotała rzęsami.

- O... dziękuję. Chodzi mi o to, że potrzebuję nowych półek w magazynie. A to miejsce ciągle wymaga tego czy tamtego.

- Twoja balustrada na zewnątrz to kpiny w żywe oczy.

- Och - wydeła usta, jakby krytyka dotyczyła jej. W przypadku Dory niemal tak było. -  
Umiesz ją naprawić?

- Chyba tak.

- Mogę ci to potrącić z komornego albo zapłacić za godzinę.

- Zastanowię się.

W tej chwili zastanawiał się nad czymś innym, nad tym, jak strasznie chciało mu się jej dotknąć. Tylko muśnięcie kciuka wzdłuż wygięcia szyi. Nie wiedział dlaczego, ale chciał to zrobić, tylko to, i przekonać się, czy puls u nasady tej długiej, smukłej szyi ulegnie przyspieszeniu.

Zły na samego siebie, odstawił pusty kieliszek i wyminął ją, idąc po kubek na śmieci.

- Wyniosę to.

- Dziękuję - musiała przełknąć ślinę. Nie było to proste, bo coś chyba utkwilo jej w gardle. To, w jaki sposób ten mężczyzna patrzył na nią, przeszywało ją najdziwniejszym uczuciem.

Idiotka, powiedziała do siebie. To przez ten długi i wyczerpujący dzień. Ruszyła w stronę kuchni.

- Strasznie ci dziękuję - powiedziała jeszcze raz. - Gdybyś tu nie przyszedł, jeszcze przez godzinę kopałabym wszystko, co stanęłoby mi na drodze.

- Nie ma za co. Podobało mi się, że jego wykopałaś. Uśmiechnęła się.

- Dlaczego?

- Miał paskudny garnitur - zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na nią. - Prążki mnie strasznie wkurzają.

- Zapamiętam - zerknęła w górę z uśmiechem. Jed powiódł spojrzeniem za jej wzrokiem i przyjrzał się gałązce jemioly, pod którą stali.

- Ładne - powiedział i, ponieważ zdecydował, że będzie obojętny na takie sytuacje, ruszył do drzwi, omijając ją.

- Hej! - Dora rozbawiona sytuacją i jego zachowaniem, złapała go za ramię. - To przynosi pecha - oznajmiła. - Nie chcę ściągać na siebie pecha.

Zareagował instynktownie, tak jak zareagowałby na strzał albo cios nożem w plecy. Najpierw zadziałał, potem pomyślał. Uchwycił jej podbródek, mocno, tak by nie mogła się poruszyć.

- Ściągasz na siebie coś więcej niż pech, Isadora.

A potem pochylił się nad nią. Jego pocałunek smakował dymem i brandy, i ukrytą głęboko gwałtownością, która sprawiła, że krew odpłynęła z głowy Dory.

Boże, o Boże, zdołała tylko pomyśleć. A może to jęknęła, kiedy jej usta rozwarły się bezbrinnie.

Trwało to tylko kilka sekund, ale kiedy ją puścił, zachwiała się, patrząc na niego rozszerzonymi oczami.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, przeklinając siebie i walcząc z przemożną chęcią, by zrobić dokładnie to, czego próbował ten idiota księgowy.

- Nie radzę mnie wyrzucać - powiedział miękko. - Zamknij drzwi, Conroy.

Wyszedł z jej pokoju i przekręcił klucz w swoich własnych drzwiach.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

- O co się tak wściekasz? - spytała Lea. Wpadła na zaplecze, by obwieścić sprzedaż towaru za pięćset dolarów i została skwitowana, po raz trzeci tego ranka, krótkim parsknięciem.

- Nie wściekam się - warknęła Dora. - Jestem zajęta. - Właśnie pakowała czteroczęściową zastawę z fabryki Fire - King Dinnerware w deseń z wielokrzewu. - Ci, którzy odkładają kupowanie prezentów na dwa dni przed świętami, powinni zostać odstrzeleni. Wiesz, że musiałam wysłać Terri, żeby odniosła to na drugi koniec miasta?

- Mogłaś powiedzieć klientowi, żeby sam po to przyszedł.

- I stracić okazję sprzedaży - odparowała Dora. - Męczę się z tymi skorupami od trzech lat. Mam szczęście, że udało mi się komuś wcisnąć.

- Teraz już jestem pewna, że coś tu nie gra - Lea splotła ramiona. - Opowiadaj.

- Wszystko gra.

Oprócz tego, że nie mogła spać w nocy. I pod żadnym, absolutnie żadnym pozorem nie przyznałaby, że jeden szybki pocałunek niemal ją znokautował.

- Mam za dużo roboty i za mało czasu, to wszystko.

- Ale to lubisz - wytknęła jej Lea.

- Już nie - Dora owinęła ostatnią filizankę w gazetę. - Gdzie ten głupi przyłepiec? - odwróciła się, a potem cofnęła gwałtownie, ujrawszy Jeda.

- Przepraszam - ale nie wyglądał, jakby było mu przykro. - Przyszedłem, żeby spytać, czy nadal chcesz, żebym naprawił tę poręcz.

- Poręcz? A... a, tak. - Nie cierpiała, kiedy coś ją wytrącało z równowagi. Bardziej tylko nie znosiła pomyłek.

- Potrzebujesz drewna czy czegoś w tym stylu?

- Czegoś w tym stylu - zerknął na Lec, która chrząknęła znacząco.

- Ach... Leo, to jest Jed Skimmerhorn, nowy lokator. Jed, to moja siostra, Lea.

- Miło mi - Lea wyciągnęła do niego rękę. - Mam nadzieję, że już się pan urządził.

- Nie ma za bardzo czego urządzać. Mam naprawić tę poręcz czy nie?

- Chyba tak. Jeśli nie jesteś zbyt zajęty. - Dora znalazła przyłepiec i zajęła się paczką. Nagle zaświtał jej pewien pomysł. - Właściwie mógłbyś mi pomóc. Masz samochód, prawda? Tego thunderbirda?

- No i?

- Mam tu przesyłkę, a właściwie mam ich trzy. Nie mogę z nimi nikogo wysłać.

Jed wetknął kciuki w kieszenie spodni.

- Mam rozwozić przesyłki?

- Jeśli nie sprawiłoby ci to kłopotu. Zwrócę ci za benzynę - obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Może trafi ci się parę napiwków.

Powinien posłać ją do diabła. Nie wiadomo dlaczego, nie zrobił tego.

- Jak mógłbym się oprzeć? - obejrzał z wyraźnym niesmakiem pudełko, które pakowała. - Dokąd?

- Wszystko jest napisane. Tam są dwa pozostałe - wskazała kątek pokoju. - Możesz je przenieść do samochodu bocznymi drzwiami.

Jed podniósł paczkę bez słowa i zniknął za drzwiami.

- To jest twój lokator? - szepnęła Lea. Myśli galopowały w jej głowie, kiedy rzuciła się do drzwi, by przez nie wyjść. - Kto to? Czym się zajmuje?

- Właśnie ci powiedziałam. To Jed Skimmerhorn.

- Wiesz, o co pytam - obserwowała, jak Jed składa paczkę na tylnym siedzeniu swojego T - Birda, a potem jednym skokiem wróciła na swoje miejsce. - Idzie!

- Mam nadzieję - powiedziała sucho Dora. - Zabrał tylko jedną paczkę - wzięła drugą i podała mu ją, kiedy ukazał się w drzwiach. - Ostrożnie - nakazała.

W odpowiedzi usłyszała tylko burknięcie.

- Widziałeś, jakie ma bary? - syknęła Lea. - John nie miał takich w moich najbliższych fantazjach.

- Ofelio Conroy Bradshaw, wstydz się. John to cudowny facet.

- Wiem. Mam bzika na jego punkcie, ale on nie ma takich ramion. To znaczy ma, oczywiście, ale to tylko kości i... Boże! - lewisy Jeda napięły się, kiedy ich właściciel nachylił się nad bagażnikiem.

Lea położyła dłoń na sercu i uśmiechnęła się.

- Miło upewnić się, że ciągle jestem wrażliwa na te sprawy. Więc co zamierza robić?

- Z czym?

- Z... fakturami - powiedziała szybko. - Nie zapomnij ich dać panu Skimmerhornowi, Doro - wzięła je i wręczyła osobiście Jedowi, który zjawił się po ostatnią paczkę.

- Dzięki - zmierzył Leę osobiwym spojrzeniem, jakby nie podobał się mu błysk w jej oku. - Mam naprawić tę ruinę?

- Ruinę? A, poręcz - przypomniała sobie Dora. - Jasne, jasne. Jeśli nie będzie mnie w domu, wsuń rachunek pod drzwi.

Nie mógł się powstrzymać. Powinien i wiedział o tym, ale nie mógł.

- Znowu namiętny wielbiciel?

Uśmiechnęła się słodko i otworzyła przed nim drzwi.

- Pocałuj mnie gdzieś, Skimmerhorn.

- Myślałem o tym - mruknął. - Myślałem - z tymi słowami zniknął im z oczu.

- Opowiadaj - zażądała Lea. - Wszystko. Nie pomijaj żadnego szczegółu, nawet drobnego i nieistotnego.

- Nie ma o czym mówić. Wczoraj wieczorem umówiłam się z Andrew i Jed wszedł akurat wtedy, gdy go wyrzucałam.

- Wyrzuciłaś Jeda?

- Andrew. Za dużo sobie pozwolił - powiedziała Dora, zachowując resztki cierpliwości. - Więc go wyrzuciłam. A teraz, skoro skończyliśmy już z ploteczkami...

- Zaraz. Czym on się zajmuje? Mam na myśli Jeda. Pewnie ćwiczy z hantlami czy czymś takim, żeby mieć takie bary.

- Nie wiedziałam, że masz fioła na punkcie ramion.

- Tylko jeśli jest do nich dołączone takie ciało. Zaraz, to na pewno tragarz.

- Nie.

- Murarz?

- Przegrałaś wycieczkę dla dwojga na Miami. Będziesz grać o walizki Samsonite?

- No powiedzże.

Przez część swojej bezsennej nocy Dora przeglądała dokumenty Jeda. Jedną z osób, które wystawiły mu referencje, był komisarz James L. Riker z wydziału policji w Filadelfii. Co miało nawet sens, pomyślała, bo ostatnim miejscem zatrudnienia Jeda był właśnie wydział policji w Filadelfii.

- To były policjant.

- Były? - Lea otworzyła szeroko oczy. - Boże, wyrzucili go, bo brał łapówki? Handlował narkotykami? Zabił kogoś?

- Powstrzymaj swoją wyobraźnię, kotku - Dora poklepała siostrę po ramieniu. - Daję słowo, powinnaś przejąć pałeczkę po rodzicach. Zrezygnował - wyjaśniła. - Parę miesięcy temu. Kiedy tata zadzwonił do komisarza, okazało się, że Jed ma referencje najlepsze z możliwych, a w policji nadal trzymają dla niego miejsce, na wypadek gdyby zechciał wrócić.

- Hm. To dlaczego zrezygnował?

- To już nie nasz interes - powiedziała surowo, ale ciekawość dręczyła ją podobnie jak Leę. Obie były tak samo zawiedzione, że ojciec nie spytał o to komisarza.

- Koniec zabawy - uniosła dłoń, by powstrzymać kolejną porcję pytań. - Jeśli nie

pójdziemy pomóc Terri, zamieni moje życie w piekło.

- Dobrze. Jakoś mi raźniej wiedzieć, że mieszkasz drzwi w drzwi z policjantem. To cię uchroni od kłopotów - zatrzymała się jak wryta, otwierając szeroko oczy. - O Boże, Dory, czy on ma broń?

- Nie sądzę, żeby jej potrzebował przy rozwożeniu zastawy stołowej - wypowiedziawszy te słowa, Dora wypchnęła siostrę za próg.

\* \* \*

W innych okolicznościach DiCarlo czułby się nieswojo, siedząc w eleganckiej recepcji z tandetną figurką na kolanach. W tej konkretnej recepcji, ozdobionej reprodukcjami impresjonistów i rzeźbami Erte w ogóle nie czuł żadnej niestosowności sytuacji. Czuł przerażenie, śmiertelne przerażenie.

To, że zabił człowieka, nie obeszło go zbyt. Nie dlatego, że zabijanie sprawiało mu przyjemność, jak kuzynowi Guido. Po prostu nie robiło mu to różnicy. Według niego wpakowanie kuli małego kalibru między oczy Portera było samoobroną.

Ale podczas długiego lotu ze Wschodu na Zachodnie Wybrzeże ogarnął go niepokój. Zważywszy nekający go pech, zaczął się martwić, czy złośliwy los nie podsunął mu niewłaściwej figurki. Wyglądała tak jak tamta, której pakowania doglądał w Premium. W sprawiedliwym świecie nie powinno być dwóch takich samych porcelanowych paskudztw w tak małym mieście.

- Pan DiCarlo? - odezwała się urzędniczka recepcji. - Pan Finley oczekuje pana.

- A, tak. Już. - DiCarlo wstał, biorąc figurkę pod pachę, a drugą ręką poprawiając węzeł krawata. Ruszył za blondynką w stronę mahoniowych drzwi o dwóch skrzydłach, po drodze rozciągając usta w przyjemnym uśmiechu.

Finley nie podniósł się zza biurka. Delektował się widokiem zdenerwowanego DiCarla, brnącego przez biały ocean dywanu. Uśmiechnął się zimno, spostrzegłszy smużkę potu nad górną wargą DiCarla.

- Panie DiCarlo, uporządkował pan swoje sprawy w pięknym stanie Wirginia?

- Zająłem się wszystkim.

- Wspaniale - wskazał miejsce na biurku, na którym DiCarlo postawił figurkę. - To wszystko, co ma pan dla mnie?

- Mam też listę pozostałych nabywców. I adresy. - DiCarlo sięgnął do kieszeni na skinienie Finleya. - Jak pan widzi, jest ich tylko czworo, a dwoje z nich to również handlarze. Sądzę, że będzie można bez problemu odwiedzić ich sklepy i po prostu odkupić te

przedmioty.

- Tak pan sądzi? - powiedział miękko Finley. - Gdyby umiał pan myśleć, panie DiCarlo, moja własność dawno by tu była. Jednakże - ciągnął, kiedy DiCarlo nie odezwał się - zamierzam dać panu okazję do odkupienia winy.

Wstał i powiódł palcem po słodkiej porcelanowej twarzyczce kobiety.

- Dość niezręczne. Właściwie okropne, zgodzi się pan ze mną?

- Tak, proszę pana.

- A ten człowiek, ten Ashworth, zapłacił za to twardą walutą. Fascynujące, nieprawdaz, co też może podobać się ludziom. Wystarczy spojrzeć: proporcje niezręczne, kolorystyka uboga, materiał pośledni. No cóż. Piękno tkwi wewnątrz.

Uniósł stojącą na biurku białą, nieużywaną marmurową popielniczkę i utracił nią głowę kobiecie.

DiCarlo, który przed kilkoma godzinami z zimną krwią zamordował dwóch mężczyzn, wzdrygnął się, gdy popielniczka utraciła drugą głowę. Patrzył, usiłując opanować rozdygotane nerwy, jak Finley systematycznie odłupuje kończyny figurek.

- Brzydki kokon - mruknął Finley - chroniący czyste piękno. Z korpusu figurynki wyjął mały przedmiot, zamknięty w twardej plastikowej osłonce. Otworzył ją delikatnie, a dźwięk, który przy tym wydał, przywodził na myśl mężczyznę rozbierającego kochankę.

To, co ukazało się oczom DiCarla, przypominało złotą zapalniczkę, ozdobioną bogatym ornamentem i wysadzaną jakimiś kamieniami. Była dla niego niemal tak samo atrakcyjna, jak figurka, która ją kryła.

- Wie pan, co to jest, panie DiCarlo?

- Eee... Nie, proszę pana.

- To etui - Finley roześmiał się, pieszcząc złoty przedmiot. Przez chwilę był doskonale szczęśliwy: dziecko z nową zabawką, mężczyzna z nową kochanką. - Co, rzecz jasna, nic panu nie mówi. W tym małym, ozdobnym pudełeczku przechowywano przybory do manikiuru albo do szycia, może haczyki do zapinania guzików lub przyrząd do gaszenia świec. Śliczny drobiazg, który wyszedł z mody pod koniec dziewiętnastego wieku. Ten tutaj jest bardziej wyszukany niż pozostałe, jest ze złota, a te kamienie, panie DiCarlo, to rubiny. Na denku wyryte są inicjały - odwrócił przedmiocik, uśmiechając się marząco. - To prezent, który Napoleon dał swojej Józefinie. A teraz należy do mnie.

- To wspaniale, proszę pana - DiCarlo z ulgą pojął, że przyniósł właściwą figurkę, a jego pracodawca jest zadowolony.

- Tak pan sądzi? - szmaragdowe oczy Finleya błysnęły. - Ten drobiazg to tylko

ułamek mojej własności, panie DiCarlo. O, cieszę się, że go mam, ale przypomina mi, że moja przesyłka jest niekompletna. Przesyłka, dodam, której skompletowanie zajęło mi ponad osiem miesięcy, a przetransportowanie dwa. To prawie rok mojego życia, który ma dla mnie wielką wartość, że nie wspomnę o poniesionych kosztach - znów uniósł popielniczkę i opuścił ją na delikatne fałdy sukni milady. Ostre odpryski porcelany śmignęły niczym małe pociski.

- Rozumie pan moje strapienie, prawda?

- Tak, proszę pana - po plecach DiCarla zaczął ściekać zimny pot. - Oczywiście.

- Więc teraz musimy dopilnować, by odzyskać naszą własność. Proszę usiąść, panie DiCarlo.

DiCarlo zmiotł drżącą ręką okruchy porcelany z żółtej skóry krzesła. Usiadł ostrożnie na jego brzeżku.

- Święta nastrajają mnie wspaniałomyślnie, panie DiCarlo. - Finley również usiadł, wracając do pieszczona etui lekkimi, kolistymi ruchami palców. - Jutro mamy Wigilię. Jak sądzę, ma pan własne plany na ten wieczór.

- No, właściwie to tak. Wie pan, moja rodzina...

- Rodzina - twarz Finley'a rozpromieniła się w uśmiechu. - Nie ma to jak rodzina podczas świąt. Ja osobiście nie mam rodziny, ale to nieistotne. Ponieważ udało się panu przynieść mi ten niewielki ułamek mojej własności, i to tak szybko, z najwyższą niechęcią przysłoby mi oderwanie pana od rodziny w Boże Narodzenie. - Splótł ramiona, nie wypuszczając z dłoni uwiecznionego w nich etui. - Dam panu czas aż do pierwszego stycznia. Jestem wspaniałomyślny, wiem, ale, jak powiedziałem, są święta. Nastrajają mnie sentymentalnie. Chcę mieć wszystko, co należy do mnie, do pierwszego stycznia. Nie, nie, do drugiego - uśmiechnął się szeroko. - Wierzę, że mnie pan nie zawiedzie. Oczywiście oczekuję meldunków o postępach poszukiwań, święta czy nie. Zastanie mnie pan tutaj bądź pod moim prywatnym numerem. Proszę tego nie zaniedbywać, panie DiCarlo. Jeśli nie otrzymam od pana raportów w regularnych odstępach czasu, będę zmuszony poszukać pana osobiście. Nie chcielibyśmy tego.

- Nie, proszę pana - przed oczami DiCarla przemknęła przykra wizja ścigającego go wściekłego wilka. - Zaraz się do tego zabiorę.

- Doskonale. Ach, i niech Barbera zrobi kopię tej listy, zanim pan wyjedzie, dobrze?

\* \* \*

Jed nie miał pojęcia, dlaczego to robi. Nie miał żadnego powodu, by zejść do sklepu od razu z samego rana. W zupełności wystarczało mu zapełnianie dnia ćwiczeniem w sali

gimnastycznej, podnoszeniem hantli we własnym mieszkaniu, czytanie. Bóg jeden wie, jaki szalony impuls skłonił go do zejścia i zgłoszenia się na ochotnika do rozwożenia paczek Dory.

Oczywiście, przypomniał sobie z grymasem przypominającym niemal uśmiech, dostałem kilka niezłych napiwków. Kilka dolców, a w jednym niezapomnianym przypadku nawet kolorową puszkę z bożonarodzeniowymi ciasteczkami domowej roboty.

Nic wielkiego, a tak interesująco było obserwować, o ile radośniej wita się człowieka, który trzyma paczkę, a nie odznakę policyjną.

Mógłby uznać całe to zamieszanie za rodzaj eksperymentu, ale teraz znowu wystawał na zimnie i naprawiał balustradę. Fakt, że gdzieś głęboko, na jakimś pierwotnym poziomie czuł z tego powodu zadowolenie, sprawiał, że czuł się jak idiota.

Musiał pracować na zewnątrz, ponieważ w całym budynku nie było dwóch metrów nie zajętej niczym przestrzeni. Ponieważ koncepcja, jaką miała Dora na temat narzędzi, sprowadzała się do posiadania jakiegoś śrubokręta i małego młoteczka z ozdobną rączką, musiał wpaść do Brenta, żeby pożyczyć coś od niego. Oczywiście Mary Pat przesłuchiwała go na każdy temat, od odżywiania do życia uczuciowego, jednocześnie napychając go ciastkami. Minęła godzina, zanim udało mu się zbiec, ocalając zdrowe zmysły i piłę mechaniczną Brenta.

Wydarzenia tego dnia nauczyły Jeda jednej ważnej rzeczy: od tej pory będzie się trzymał na uboczu, tak jak zamierzał. Kiedy nie chce się związków z innymi ludźmi, nie powinno się z nimi przestawać.

Przynajmniej nikt go nie nękał tutaj, na tyłach budynku, a praca sprawiała mu przyjemność, lubił czuć dotyk drewna pod palcami. Kiedyś myślał o urządzeniu małego warsztatu na tyłach domu w Chestnut Hill. Miejsca, w którym mógłby majsterkować i budować, kiedy praca pozwalałaby mu na to. Ale to było, zanim pojawił się Donny Speck. Zanim śledztwo przerodziło się w obsesję.

I, oczywiście, zanim zapłaciła za to Elaine.

Nie zdążył w porę wyrzucić tego z pamięci, zobaczył to znowu. Srebrny mercedes sedan rozpierający się godnie pod dachem garażu. Mglisty blask pereł na szyi Elaine. Przypomniał sobie, że były urodzinowym prezentem od któregoś z jej trzech mężów. Zobaczył, jak Elaine podnosi oczy tak samo świetliście błękitne jak jego, chyba to była jedyna cecha rodzinna, jaką dziedziczyli wspólnie, i spogląda ciekawie w jego kierunku. Zobaczył w nich cień rozdrażnienia i siebie samego, pędzącego przez wypieszczony trawnik, między starannie utrzymanymi krzakami róż, których zapach w lecie przyprawiał niemal o

szaleństwo.

Słońce lśniło na chromowanych częściach, oślepiało go. Wysoko na jednej z trzech jabłoni ptak wyśpiewywał szaleńcze trele.

Potem eksplozja rozdarła powietrze jak paląca pięść i odrzuciła Jeda do tyłu, między róże, których płatki osypały się, rozdmuchnięte siłą wybuchu.

Srebrny mercedes stał się kłębem ognia i czarnego smrodliwego dymu wznoszącego się wprost w letnie niebo. Wydawało mu się, że słyszy jej krzyk. Ale może był to zgrzyt rozdzieranego metalu. Miał nadzieję, że tak. Miał nadzieję, że nie czuła niczego, kiedy jej palce przekreśliły kluczyk w stacyjce i uruchomiły bombę.

Jed, zlany potem, zaatakował nową balustradę elektryczną szlifierką Brenta. Skończyło się. Elaine nie żyje i nic nie może przywrócić ją życiu. Nie żyje też Donny Speck, chwała Bogu. I bez względu na to, jak bardzo Jed by sobie tego życzył, nie mógł go zabić jeszcze raz.

A teraz był dokładnie tam, gdzie pragnął być. Sam.

- Ho, ho, ho!

Jed wyłączył szlifierkę, wytrącony z zamyślenia przez rozlegający się za nim rubaszny głos. Odwrócił się, a jego oczy za szklami ciemnych lotniczych gogli zwięzły się, kiedy przyglądał się, na wpół z rozdrażnieniem, na wpół z ciekawością, Świętemu Mikołajowi o różowych policzkach.

- Parę dni za wcześnie, co?

- Ho, ho, ho - powtórzył Święty Mikołaj i poklepał się po przyjemnie okrągłym brzuchu. - Wyglądasz, jakbyś potrzebował trochę świątecznej radości, synu.

Jed wyjął papierosa, z rezygnacją przyjmując przerwę w pracy.

- Pan Conroy, prawda?

Twarz Świętego Mikołaja wydłużyła się.

- To te oczy - wyjaśnił Jed, zapalając zapalniczkę. To oczy Dory, pomyślał. Duże i brązowe, i pełne radosnych sekretów.

- Och - Quentin przyjął rzecz do wiadomości i rozpogodził się. - Policjanci są pewnie uczeni, jak rozpoznawać przebrane osoby, tak jak aktorzy uczeni są przebierania się. Ja, oczywiście, w czasie mojej kariery, zagrałem wielu obrońców prawa i porządku publicznego.

- Aha.

- Jak zwykle o tej porze roku, będziemy grać dla dzieci - pogładził jedwabistą, białą brodę. - Występ mały, lecz satysfakcjonujący i dający możliwość zagrania jednej z najbardziej ukochanych postaci przed widzami, którzy w nią naprawdę wierzą. Dzieci to



aktorzy, rozumiesz, a aktorzy to dzieci.

Jed, rozbawiony wbrew samemu sobie, pokiwał głową.

- Wierzę panu na słowo.

- Widzę, że Izzy zagoniła pana do pracy.

- Izzy?

- Moja ukochana córka. - Quentin poruszył brwiami i mrugnął. - Śliczności, co?

- Jest w porządku.

- I potrafi gotować. Nie mam pojęcia, skąd jej to przyszło. Na pewno nie od matki. -

Quentin nachylił się konspiracyjnie: - nie chcę narzekać, ale ugotowanie jajka to dla mojej żony tryumf kulinarny. Oczywiście, ma talent do czego innego.

- Jestem tego pewien. Dora jest w środku.

- Oczywiście. Prawdziwa bizneswoman, ta moja pierworodna. W tym aspekcie przewyższa nas wszystkich - choć, oczywiście, mogłaby zrobić na scenie olśniewającą karierę. Naprawdę olśniewającą - powtórzył z pewnym żalem. - Ale ona wybrała świat drobnego handlu. Geny to osobliwa rzecz, nieprawdaż?

- Nie myślałem o tym za bardzo.

Kłamstwo, pomyślał. Kłamstwo w żywe oczy. Większą część swego życia strawił na rozmyślaniach o dziedziczonych cechach.

- Niech pan posłucha, muszę skończyć, zanim zrobi się ciemno.

- Może ci pomogę? - powiedział Quentin, okazując nieoczekiwany praktycyzm, który czynił go równie dobrym dyrektorem teatru, jak i aktorem.

Jed spojrzał na wypchany brzuch, czerwony kostium i powiewającą białą bawełnianą brodę.

- A nie ma pan elfów do pomocy?

Quentin roześmiał się radośnie, a jego grzmiący baryton odezwał się echem.

- Teraz wszyscy wstępują do związków, chłopcze. Te małe łobuzy nie chcą robić niczego, co nie jest wymienione w kontrakcie.

Jed pochylił się znów nad szlifierką; usta mu zadrgały.

- Kiedy z tym skończę, może mi pan pomóc to podnieść.

- Znakomicie.

Quentin, człowiek cierpliwy, przysiadł na najniższym schodku. Zawsze lubił przyglądać się pracy fizycznej. „Przyglądać się” było tu właściwym słowem. Na szczęście skromny majątek uchronił go przed głodowaniem, podczas gdy on zajmował się swoją karierą. Mając trzydzieści lat poznał swoją żonę w czasie przygotowywania „Burzy”, z nim w

roli Sebastiana i z nią jako Mirandą. Razem weszli w nowy wspaniały świat małżeństwa i, odnosząc znaczne sukcesy, zaczęli podróż od sceny do sceny, aż do osiedlenia się w Filadelfii i założenia Liberty Players.

Teraz, w słusznym wieku pięćdziesięciu trzech lat (w życiorysie oficjalnym czterdziestu dziewięciu), zamienił Liberty Players w szanowany zespół, mający w repertuarze wszystko, od Ibsena począwszy do Neila Simona, i na wszystkim robiący kasę.

Być może dlatego, że w życiu nigdy nie napotkał trudności, Quentin wierzył w „żyli długo i szczęśliwie”. Jego młodsza córka wiodła życie przykładnej mężatki, jego syn wiernie reprezentował nazwisko na scenie. Zostawała jedynie Dora.

Quentin zdecydował, że ten zdrowy młody mężczyzna o nieprzeniknionych oczach jest doskonałym rozwiązaniem. Uśmiechając się do siebie, wysupłał z wypchanego brzucha piersiówkę i pociągnął szybko jeden łyk. Potem następny.

- Dobra robota, chłopcze - powiedział pół godziny później, dźwignąwszy się, by poklepać balustradę. - Gładka jak policzek dziewczyny. I przyjemnie było przyglądać ci się przy pracy. Jak to umocować?

- Niech pan chwyci - zasugerował Jed. - Niech pan trzyma swój koniec od góry.

- To fascynujące - srebrne dzwoneczki przy butach Quentina zadźwięczały, kiedy wspinał się po schodach. - Oczywiście nie jestem zupełnym nowicjuszem, rozumiesz. Asystowałem przy budowaniu dekoracji. Niegdyś skonstruowaliśmy dość zmyślnego „Jolly Rogera” dla potrzeb przedstawienia „Piotrusia Pana”. - Quentin podkreślił białego wąsa, a w jego oku pojawił się złowrogi błysk. - Ja oczywiście grałem Haka.

- Wiedziałem. Proszę uważać - Jed przytwierdził poręcz do słupków, posługując się elektryczną wiertarką Brenta.

Przez cały czas Quentin prowadził ożywioną konwersację. Jed zauważył, że można przestać go słyszeć równie łatwo, jak muzyki w poczekalni u dentysty.

- Równie łatwo jak to.

Quentin, ponownie u dołu schodów, potrząsnął poręczą i rozpromienił się.

- Niewzruszona jak skala. Mam nadzieję, że moja Izzy doceni cię - klepnął Jeda przyjacielsko po plecach. - Może przyjdiesz do nas na świąteczną kolację? Moja Ofelia wystąpi z niezwykłym przyjęciem.

- Jestem zajęty.

- Ach, no tak - szeroki uśmiech Quentina nie zdradzał jego myśli. Przeprowadził na temat Jeda wywiad dokładniejszy, niż ktokolwiek podejrzewał. Wiedział doskonale, że Jed nie ma żadnej rodziny poza swoją babką.

- To może Nowy Rok? Zawsze wydajemy przyjęcie w teatrze. W Liberty. Będziesz mile widziany.

- Dzięki. Pomyślę o tym.

- A na razie uważam, że obaj zasługujemy na małą nagrodę za nasze trudy.

Znowu wyjął flaszkę, mrugnawszy do Jeda, nalał whisky do srebrnej nakrętki. Podał ten prowizoryczny kubek Jedowi.

Ponieważ Jed nie widział żadnego powodu, by odmówić, wypił jednym haustem. Ledwie zdołał złapać powietrze. Ta whisky była jak bomba atomowa.

- Na Boga! - Quentin znów klepnął Jeda po plecach. - Lubię, kiedy mężczyzna pije jak mężczyzna. Wypij jeszcze. Za pełne, białe piersi, które dają głowie mężczyzny słodki odpoczynek!

Jed przełknął kolejną porcję i poczuł, że whisky zaczyna stawać się zaporą między nim a zimnem.

- Czy Święty Mikołaj naprawdę powinien pić?

- Drogi chłopcze, a niby jak moglibyśmy przetrwać te długie, zimne noce na Biegunie Północnym? Potem będziemy wystawiać „Południowy Pacyfik”. Miła zmiana, te palmy i w ogóle. Co roku musimy zaliczyć kilka musicali. Podobają się publiczności. Izzy ma cię przyprowadzić.

Uzupełnił zawartość kubka Jeda i rozpoczął porywającą wersję „The is nothin' like a dame”.

To chyba przez whisky, uznał Jed. To by tłumaczyło fakt, że siedzi na dworze, w zimnie i ciemnościach, i nie widzi nic dziwnego w Świętym Mikołaju intonującym piosenkę z musicalu.

Po kolejnym kubku usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Odwrócił się leniwie, by spojrzeć na Dorę stojącą u szczytu schodów z rękami na biodrach.

Jezu, co za nogi, pomyślał.

Dora rzuciła mu jedno miażdżące spojrzenie.

- Powinam się domyśleć, że nie będziesz go powstrzymywał.

- Byłem zajęty.

- Siedzeniem na schodach i piciem whisky z mężczyzną w przebraniu Świętego Mikołaja? Ale zajęcie.

Ponieważ język zaczął odmawiać mu posłuszeństwa, Jed musiał poświęcić następnemu zdaniu wiele uwagi.

- Naprawiłem poręcz.

- Brawo - Dora zbiegła kilkoma susami po schodach i chwyciła ojca za ramię w chwili, gdy wykonywał fantastyczny piruet. - Koniec przedstawienia.

- Izzy! - zachwycony Quentin ucałował ją namiętnie i uściskał z potężną siłą. - Twój młodzieniec i ja zajmowaliśmy się stolarką.

- Właśnie widzę. Obaj wyglądacie na bardzo zmęczonych. Wejźmy do środka, tato - zabrała mu butelkę i wetknęła ją Jedowi. - Wrócę po ciebie - syknęła i powlokła ojca po schodach.

- Byłem zajęty - powtórzył Jed i zakręcił butelkę starannie, zanim wetknął ją do tylnej kieszeni spodni. Kiedy Dora pojawiła się znowu, pakował narzędzia Brenta z uwagą wskazaną przy obchodzeniu się z najdelikatniejszą porcelaną.

- No - zatrzasnął bagażnik i oparł się ciężko o niego. - A gdzie Święty Mikołaj?

- Śpi. Mamy tu pewną zasadę, Skimmerhorn. W pracy się nie pije. Jed wyprostował się, a potem znowu oparł się roztropnie o samochód.

- Ja skończyłem - wskazał chwiejnie w stronę balustrady. - Widzisz?

- Tak - westchnęła i potrząsnęła głową. - Nie powinnam się wściekać na ciebie. On jest nie do wytrzymania. Chodź, pomogę ci wejść po schodach.

- Nie jestem pijany.

- Jesteś zalany w pestkę, Skimmerhorn. Twoje ciało wie o tym, tylko do mózgu jeszcze to nie dotarło.

- Nie jestem pijany - powtórzył, ale nie stawiał oporu, gdy objęła go w pasie, prowadząc po schodach. - Zarobiłem dziś dwadzieścia dolców i dwa tuziny ciasteczek.

- To miłe.

- Bardzo dobrych ciasteczek - zatoczył się na nią, gdy wchodzili w drzwi. - Jezu, jak ty ładnie pachniesz.

- Pewnie mówisz to wszystkim swoim gospodyniom. Masz klucze?

- Tak - zaczął ich szukać, zrezygnował i oparł się o ścianę. Dobrze, że tu jest, pomyślał, po takim ostrym picciu na pusty żołądek, nie licząc kilku ciastek.

Dora westchnęła, po czym włożyła rękę do jego kieszeni. Napotkała twarde udo i kilka monet.

- Sprawdź w drugiej - podsunął jej.

Spojrzała na niego, zauważając jego szeroki i zaskakująco uroczy uśmiech.

- Nie. Skoro ci się to spodobało, nie jesteś aż tak pijany, jak sądziłam. Sam je wyjmij.

- Mówiłem, że nie jestem pijany - znalazł klucze. Ale jak miał je włożyć do zamka, skoro podłoga się chwiała? Dora poprowadziła jego rękę.

- Dziękuję.

- Tyle mogę zrobić. Trafisz do łóżka? Uchwycił się framugi drzwi.

- Powiedzmy to wprost, Conroy. Nie chcę z tobą spać.

- No, teraz już wiem, gdzie moje miejsce.

- Pełno w tobie komplikacji, sionko. Te duże, brązowe oczy, to małe, zadziorne ciało.

Chcę być sam.

- To odebrało mi wszelką nadzieję na urodzenie twoich dzieci. Ale nie martw się, ja to przeżyję - poprowadziła go do kanapy, popchnęła go na nią i położyła na niej jego stopy.

- Nie chcę cię - oznajmił, kiedy ściągnęła mu buty. - Nikogo nie chcę.

- Fajnie - rozejrzała się za jakimś kocem. Zauważyła kilka ręczników, które zostawił na poręczy.

- No proszę, ciepłutko i milutko - otuliła go nimi. Wygląda strasznie słodko, pomyślała, pijany jak bela, ponury i zasypiający. Wiedziona impulsem pochyliła się i pocałowała go w czubek nosa.

- Idź spać, Skimmerhorn. Jutro będziesz się czuł jak nie wiadomo co.

- Odejdź - mruknął, zamknął oczy i zapadł w sen.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miała rację. Czuł się okropnie. Ostatnią rzeczą, jaką pragnął usłyszeć, było dobijanie się do drzwi, podczas gdy usiłował utopić się pod prysznicem. Klnąc zakręcił kurki, owinał biodra ręcznikiem i powłókł się do drzwi. Otworzył je jednym szarpnięciem.

- Czego, do cholery?

- Dzień dobry, Skimmerhorn - Dora minęła go, trzymając pod pachą pleciony koszyk.

- Widzę, że jesteś w swoim zwyczajnym, pogodnym i radosnym nastroju.

Miała na sobie jakiś kostium z krótką spódniczką w jaskrawych błękitach i żółcieniach, które poraziły jego wzrok.

- Spadaj!

- Oj, ale się dziś paskudnie czujemy.

Niewzruszona, zaczęła rozpakowywać koszyk. Jego zawartością okazał się czerwony termos, kamionkowy słoik z jakimś podejrzanie wyglądającym pomarańczowym płynem i śnieżnobiała serwetka, owinięta wokół dwóch pulchnych rogalików.

- Ponieważ to mój ojciec wywołał tę małą katastrofę, pomyślałam, że powinnam zadbać dziś o twoje samopoczucie. Potrzebna nam szklanka, kubek, spodek, talerz - kiedy nie drgnął, przechyliła głowę. - Dobrze, ja je znajdę. Może się trochę przyodziejiesz? Oświadczyłeś mi bardzo jasno, że nie interesuję cię od strony fizycznej, a widok twojego wilgotnego, na wpół nagiego ciała mógłby wywołać we mnie nieokiełznany seksualny amok.

Mięśnie zadrgały mu na policzkach, kiedy zacisnął zęby.

- Urocze, Conroy. Naprawdę urocze. - Odwrócił się i zniknął w sypialni. Kiedy ukazał się z powrotem, ubrany w szary, rozdarty na kolanie dres, postawiła przed nim zachęcająco wyglądające śniadanie.

- Wziąłeś już aspirynę?

- Właśnie o tym myślałem.

- Najpierw te - podała mu trzy pigułki. - Popij je tym. Po prostu połknij.

Spojrzał spode łba na wściekle pomarańczowy płyn w kieliszku.

- A to co, do diabła?

- Wybawienie. Zaufaj mi.

Ponieważ nie mógł się już poczuć gorzej, popił pigułki dwoma haustami lekarstwa Dory.

- Jezu. Smakuje jak balsam do ciała.

- A, bo to chyba ta sama recepta. Ale rezultat gwarantowany. Tata tak twierdzi, a

wierz mi, zna się na tym. Wypij kawę. Na kaca nie pomoże, ale przynajmniej cię obudzi, żebyś mógł w pełni korzystać z jego uroków.

Ponieważ wydawało mu się, że jego oczy za chwilę wypadną z orbit, przycisnął je dłońmi.

- Co było w tej butelce?

- Tajemna broń Quentina Conroya. Ma w piwnicy aparat destylacyjny. Może tam robić eksperymenty niczym szalony naukowiec. Tata lubi pić.

- A to ci nowina.

- Wiem, że powinnam to potępić, ale to takie trudne. On nikomu nie wyrządza krzywdy. Nie wiem nawet, czy krzywdzi sam siebie. - Odłamała rożek jednego rogalika i skubnęła go.

- Nigdy nie robi się agresywny, opryskliwy czy zły. Nigdy po pijanemu nie siada za kierownicą ani nie zbliża się do dużych maszyn. - Wzruszyła ramionami. - Jedni polują, inni zbierają znaczki. Tata pije. Lepiej ci?

- Przeżyję.

- To dobrze. Muszę otworzyć sklep. Nie masz pojęcia, ile osób wychodzi na zakupy w Wigilię - ruszyła do wyjścia i zatrzymała się z ręką na kłamce. - A poręcz wygląda nieźle. Dziękuję. Daj mi znać, kiedy będziesz na siłach przybić kilka półek. I nie martw się - błysnęła zębami w uśmiechu - ja też nie chcę z tobą spać.

Zamknęła cicho drzwi i zeszła na dół.

\* \* \*

DiCarlo czuł się wyśmianicie. Szczęście znów mu dopisywało; wynajęty porsche gnał z prędkością dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Na tylnym siedzeniu spoczywał, starannie opakowany, orzeł z brązu i reprodukcja Statuy Wolności, które z łatwością nabył w sklepie ze starociami na przedmieściach Waszyngtonu.

Poszło jak po maśle, pomyślał DiCarlo. Wszedł do sklepu, dla zachowania pozorów przyjrzał się kilku egzemplarzom i znowu wyszedł, dumny posiadacz dwóch egzemplarzy amerykańskiego kiczu. Po krótkiej podróży do Filadelfii, gdzie odbierze dwie pozostałe pozycje z listy, skieruje się do Nowego Jorku. Jeśli wszystko pójdzie tak jak dzisiaj, do dziewiątej wieczorem znajdzie się w domu, co da mu mnóstwo czasu mi świąteczne ceremonie.

W drugi dzień Bożego Narodzenia podejmie znów działania. W tym tempie powinien zebrać wszystkie przedmioty grubo przed wyznaczonym terminem.

Może nawet dostanie za to nagrodę.

Postukując palcami w rytm tanecznej piosenki, wybrał numer prywatnego telefonu Finleya.

- Tak.

- Proszę pana, tu DiCarlo.

- I masz mi coś ciekawego do powiedzenia?

- Tak, proszę pana - niemal to wyśpiewał. - Znalazłem w Dystrykcie Kolumbii dwa kolejne przedmioty.

- Transakcje poszły gładko?

- Gładko jak po maśle. Teraz jadę do Filadelfii. W jednym z tamtejszych sklepów znajdują się dwa kolejne przedmioty. Na miejscu będę najdalej o trzeciej.

- A zatem życzę panu Wesołych Świąt, panie DiCarlo. Do dwudziestego szóstego trudno będzie się ze mną skontaktować.

Oczywiście, jeśli będzie miał pan coś do przekazania, proszę zostawić wiadomość u Winesapa.

- Będę się odzywał. Wesołych Świąt, proszę pana.

Finley odłożył słuchawkę, ale nadal stał na balkonie, obserwując smog nad Los Angeles. Na jego piersi, na pięknym złotym łańcuszku wisiało złote etui.

\* \* \*

DiCarlo rzeczywiście znalazł się w Filadelfii przed trzecią. Szczęście nie opuszczało go, gdy wszedł do „Salonu Dory” na kwadrans przed zamknięciem. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy była posągowo zbudowana ruda kobieta w zielonej czapce elfa.

Terri Starr, asystentka Dory i oddany członek Liberty Players, rozpromieniła się na jego widok.

- Wesołych Świąt! - powiedziała głosem czystym jak dźwięk świątecznych dzwonek. - Zdażył pan w ostatniej chwili. Dziś zamykamy wcześniej.

DiCarlo zaprodukował szeroki uśmiech.

- Pewnie nie znosi pani klientów w ostatniej chwili.

- Żartuje pan? Uwielbiam ich - zdażyła już zauważyć porsche przy krawężniku i spodziewała się, że ten dzień zamknie się jakąś potężną transakcją. - Szuka pan czegoś konkretnego?

- Właściwie tak - rozejrzał się po sklepie, w nadziei, że uda mu się szybko zlokalizować obraz lub psa z porcelany. - Wracam do domu, a moja ciotka kolekcjonuje



figurki zwierząt. Zwłaszcza psów.

- Może będę mogła panu pomóc.

Terri, mierząca niemal dwa metry dzięki niebotycznym szpilkom, przeszła przez sklep niczym sierżant robiący przegląd żołnierzy. Oceniała również garnitur i płaszcz DiCarlo i poprowadziła go w stronę jadeitowej kolekcji.

- To jeden z moich ulubionych eksponatów - otworzyła szklaną szafkę o wygiętej linii i wyciągnęła z niej zielonego jak jabłko, rzeźbionego pieska Foo, jednego z najdroższych egzemplarzy. - Wspaniały, prawda?

- Tak, ale moje ciotka nie ma aż tak wyrafinowanego gustu - pozwolił sobie na rozbawione spojrzenie. - Zna pani te małe damy.

- Żartuje pan? Nie można ich nie znać, prowadząc sklep z antykami. Zastanówmy się - Terri odstawiła z niejakim żalem jadeitową figurkę. - Mamy parę sympatycznych gipsowych cocker spanieli.

- Rozejrzę się. Mógłbym tu trochę pomyszkować? Wiem, że chce pani stąd wyjść, a ja mogę zobaczyć coś, co będzie pasować do cioci Marii.

- Proszę bardzo. Nie musi się pan spieszyć.

DiCarlo obejrzał gipsowe spaniele. Obejrzał pudle z emalii cloisonne i psy myśliwskie z dętego szkła. Były tu plastikowe dalmatyńczyki i chihuahua z brązu. Ale nigdzie nie było psa z porcelany.

Zwracał też uwagę na obrazy. Były tu dziesiątki oleodruków, spłowiałych portretów reklamowych. Ale nie było abstrakcji w hebanowej ramie.

- Chyba znalazłam doskonałego... - Terri cofnęła się dwa kroki, kiedy DiCarlo odwrócił się w jej stronę. Pochlebiała sobie, że umie trafnie interpretować wyraz ludzkiej twarzy. Na jego twarzy przez chwilę widziała wypisane morderstwo.

- Prze... przepraszam. Zaskoczyłam pana?

Jego uśmiech pojawił się tak szybko, wymiatając lodowaty błysk z oczu, że uznała, iż musiała się pomylić.

- Owszem. Chyba się zamyśliłem. Co my tu mamy?

- To wyrób ceramiczny ze Staffordshire, suka ze szczenięciem. Słodkie, prawda?

- W sam raz dla cioci Marii. - DiCarlo nie pozwolił zblednąć przyjemnemu uśmiechowi nawet wtedy, gdy zobaczył czterocyfrową cenę. - Na pewno się jej spodoba - powiedział, mając nadzieję, że pakowanie figurki da mu trochę czasu. - Myślałem o czymś innym, ale to zupełnie w stylu cioci Marii.

- Gotówką czy czekiem?

- Czekałem - wyciągnął kartę kredytową. - Widzi pani, moja ciocia miała kiedyś takiego psa - ciągnął, idąc za Terri do lady - w białobrazowe łaty, który zwijał się w kłębek na dywanie i przespiał dwadzieścia godzin na dobę. Ciocia Maria go uwielbiała. Miałem nadzieję znaleźć tu coś, co by go przypominało.

- To urocze - Terri otuliła figurkę w bibułę. - Musi być pan bardzo oddanym siostrzeńcem.

- Cóż, ciocia Maria mnie wychowała.

- Szkoda, że nie było pana tu przed paroma dniami. Mieliśmy bardzo podobny egzemplarz. Porcelanowy, cętkowany pies, śpiący zwinięty w kłębek. Sprzedaliśmy go wczoraj.

- Sprzedaliście? - powiedział DiCarlo, pokazując odsłonięte w uśmiechu zęby. - A to szkoda.

- Nie był ani w części tak piękny jak egzemplarz, który pan nabył, panie... DiCarlo - dodała, zerknąwszy szybko na jego kartę kredytową. - Zobacz pan, że w świąteczny ranek ciotka padnie panu na szyję.

- Na pewno ma pani rację. Widzę, że macie tu też obrazy.

- Kilka. Przeważnie plakaty i stare rodzinne portrety z wyprzedaży.

- A więc nic nowoczesnego? Chcę zmienić wystrój domu.

- Niestety, nie. Mamy parę rzeczy w magazynie na zapleczu, ale nie zauważyłam żadnych obrazów.

Kiedy zajęła się wypisywaniem rachunku, DiCarlo zamyślił się, bębniąc palcami po ladzie. Musiał się dowiedzieć, kto kupił tego psa. Gdyby nie było jeszcze zupełnie jasno, a za jego plecami nie znajdowała się duża wystawa, wetknąłby rewolwer pod śliczną bródkę sprzedawczyni i zmusił ją, by znalazła dla niego kilka informacji.

Oczywiście, później musiałby ją zabić.

Zerknął na wystawę. Ruch na ulicy nie był duży, nie było też wielu przechodniów. Potem potrząsnął głową. Za szybą przemknęła na łyżworolkach dziewczynka otulona parką. Nie opłacało się ryzykować.

- Proszę tu podpisać - Terri podsunęła mu rachunek i kartę kredytową. - Gotowe, panie DiCarlo. Mam nadzieję, że pan i pańska ciocia spędzicie miło święta.

Ponieważ patrzyła na niego przez okno, DiCarlo ostrożnie umieścił pudełko w samochodzie a potem pomachał do niej radośnie. Płynnie ruszył naprzód.

Zatrzyma się gdzieś na późny obiad. Kiedy się ściemni, a sklep opustoszeje, wróci tu.

\* \* \*

Dora zapukała do drzwi Jeda w swoim najlepszym oficjalnym stylu. Wiedziała, że warknie na nią. Na to nie mogła poradzić. Ale przywykła już do jego parsknięć i złorzeczeń. Nie tęskniła za nimi, ale przywykła.

Nie zawiodła się na nim.

Jego podkoszulek z krótkimi rękawami był ciemny od potu. Jego ramiona błyszcząły. Mogłaby przez chwilę podziwiać tę prymitywną siłę, ale zbyt długo przyglądała się grymasowi na jego twarzy.

Jed chwycił za końce ręcznika, który zarzucił sobie na szyję.

- Czego znowu chcesz?

- Przepraszam, że przeszkadzam - zerknęła pod jego ramieniem i zauważyła sprzęt kulturystyczny rozrzucony po całym mieszkaniu - kiedy tak cię pochłania ćwiczenie mięśni, ale zepsuł mi się telefon. Muszę zadzwonić.

- Na rogu jest budka.

- Jakiś ty uroczy, Skimmerhorn. Dlaczego jeszcze nie złapała cię jakaś szczęściara?

- Bo wszystkie przeganiam kijem.

- O, nie wątpię. Bądź kolegą. To rozmowa miejscowa. Przez chwilę myślała, że zatrzśnie jej drzwi przed nosem.

Znowu. Ale on uchylił drzwi szerzej i zrobił jej przejście.

- Ale szybko - oznajmił i poczłapał do kuchni.

Przez dyskrecję? - zastanowiła się Dora. Raczej nie. Jej domysł okazał się słuszny. Jed wrócił, wlewając w siebie gatorade wprost z butelki. Dora podniosła słuchawkę, zakłęła cicho i odłożyła ją na widelki.

- Twój też się zepsuł.

- Nic dziwnego, mieszkamy w tym samym budynku - zostawił swoje drzwi uchylone, tak jak i ona. Z jej mieszkania dobiegały go dźwięki muzyki. Tym razem świątecznej. Ale było to coś, co brzmiało jak średniowieczny chór i raczej go intrygowało, niż drażniło.

Na nieszczęście Dora miała na niego identyczny wpływ.

- Zawsze się tak ubierasz, kiedy masz zadzwonić?

Miała na sobie gładki srebrny kombinezon i sandaalki na wysokich obcasach. Z jej każdego ucha zwisał łańcuszek z gwiazdek.

- Wpadnę dzisiaj na kilka przyjęć. A ty? Spędzasz Wigilię na podnoszeniu ciężarków?

- Nie lubię przyjęć.

- Nie? - wzruszyła ramionami, a srebrny jedwab zaszeleścił kusząco. - A ja uwielbiam. Ten hałas, jedzenie i plotki. Oczywiście mnie rozmowa z istotami ludzkimi sprawia przyjemność, a to pomaga.

- Nie mogę ci zaproponować żadnej imprezy, więc może się odczepisz? - odrzucił ręcznik i wziął ciężarek. - I niech twój chłopak nie tyka świątecznego ponczu.

- Wychodzę sama, a ponieważ nie chcę się martwić, ile razy skosztuję świątecznego ponczu, dzwoniłam po taksówkę.

Przysiadła na poręczy kanapy, obserwując ze zmarszczonymi brwiami, jak Jed podnosi ciężarki. Nie powinnam go żałować, pomyślała. Jest ostatnią istotą na ziemi, która zasługiwałaby na współczucie. A jednak przykro było wyobrazić go sobie spędzającego ten wieczór samotnie, w towarzystwie przyrządów kulturystycznych.

- Może pójdziesz ze mną?

Długie, spokojne spojrzenie, jakie posłał, kazało jej pośpieszyć z wyjaśnieniami.

- To nie propozycja, Skimmerhorn. Tylko kilka przyjęć, na które wpadasz na krótko i zachowujesz się miło.

- Ja nie zachowuję się miło.

- Wiem, że straciłeś wprawę, ale to Wigilia. Czas braterstwa i dobrej woli między ludźmi. Pewnie coś o tym słyszałeś.

- Obiło mi się o uszy.

- Zapomniałeś powiedzieć „E, tam, bzdura”.

- Wynocha, Conroy.

- No, to już postęp od dzisiejszego poranka. Ludzie powiedzą, że jesteśmy w sobie zakochani - westchnęła i wstała. - Baw się dobrze, Skimmerhorn, ze swoimi ciężarkami i różgą, którą pewnie przyniesie ci Święty Mikołaj. - Zatrzymała się i przechyliła głowę. - Co to za hałas?

- Jaki hałas?

- Ten - jej oczy zwięzły się. - O rety. Nie mów mi, że naprawdę mamy tu myszy.

Odłożył ciężarek i również zaczął nasłuchiwać.

- Ktoś jest w sklepie. - Co?

- W sklepie - powtórzył. - Dźwięki niosą się szybami wentylacyjnymi. Nie znasz własnego domu, Conroy?

- Nie bywam tutaj tak często i nie wtedy, kiedy sklep jest otwarty - już chciała o tym zapomnieć, kiedy nagle zastygła, uderzona nową myślą. - Ale tam nikogo nie ma.

- Chyba jednak jest.

- Nie - uniosła rękę ku szyi. - Już dawno zamknęliśmy sklep. Terri wyszła o wpół do czwartej.

- Więc wróciła.

- W Wigilię? Przygotowuje jedno z tych przyjęć, na które się wybieram. Dora pobiegła w stronę drzwi, żywo stukając obcasami.

- Dokąd idziesz?

- Na dół, rzecz jasna. Ktoś musiał unieszkodliwić urządzenie alarmowe i włamać się do sklepu. Jeśli myśli, że zdoła wynieść z niego worek pełen skarbów, czeka go niespodzianka.

Zaklął soczyście, a potem złapał ją za ramię i popchnął na krzesło.

- Zostań tu - zniknął w sypialni.

Dora wciąż zastanawiała się, jakim epitetem go obdarzyć, kiedy wrócił z trzydziestkąósemką. Jej oczy rozszerzyły się.

- Co to?

- Parasolka. Zostań tutaj. Zamknij drzwi na klucz. - Ale... Ale...

- Zostań - Jed zamknął za sobą drzwi. To pewnie ta jej asystentka, pomyślał, szybko i cicho schodząc w dół. Albo siostra, która czegoś zapomniała. Albo staruszek szukający butelczyny.

Ale pozostało w nim zbyt wiele z gliny, by mógł ryzykować. Albo zapomnieć o fakcie, że telefony nie działały, a dźwięk dobiegający przez wentylator przywodził na myśl działanie raczej ukradkowe niż bez troskie.

Dotarł do drzwi prowadzących do magazynu, uchylił je. Nie zauważył światła. Usłyszał jakiś dźwięk - odgłos zamykanej szuflady.

Czy Dora trzyma tu gotówkę? zastanowił się i zaklął pod nosem. Chyba tak. W jakiejś staroświeckiej puszcze albo słoju na ciasteczka.

Szmer, który rozległ się za nim, kazał mu spaść się do skoku i obrócić gwałtownie. I zakląć. Dora stała trzy kroki za nim, z oczami, które wydawały się pochłaniać całą twarz i z ciężarkiem do ćwiczeń w uniesionej ręce.

Jed wskazał jej kciukiem schody. Pokręciła głową. Pogroził jej pięścią. Uniosła podbródek.

- Idiotka - mruknął. - I wzajemnie.

- Wynoś się, na miłość boską.

Ruszył dalej i zamarł, gdy po trzecim kroku schodek zatrzeszczał pod jego stopą. Rozległa się seria strzałów, a ściana tuż koło jego twarzy bryznęła odpryskami gipsu.

Jed skulił się i resztę schodów pokonał sprintem, przewracając się u ich stóp, podnosząc się i wpadając z wyciągniętą bronią do pomieszczenia akurat w porę, by zobaczyć, jak boczne drzwi zatraskują się. Usłyszał kroki zbiegającej po schodach Dory i krzyknął, żeby się nie zbliżała.

Dopał drzwi pędem, ale wyjrzał ostrożnie. Zimne powietrze wypełniło jego płuca lodowymi igielkami. Ale jego krew płonęła. Po prawej cichło echo oddalających się kroków. Pobiegnął w tamtą stronę, ignorując Dorę, żarliwie domagającą się, by został.

Zadziałał instynkt i pół życia spędzonego na treningach. Przebiegł jeszcze kawałek, zanim usłyszał ryk silnika, pisk opon. Wiedział już, że zgubił swoją zwierzynę.

Przebiegł jeszcze kilka przecznic, w słabej nadziei, że zobaczy choć zarys samochodu. Kiedy wrócił, Dora stała, drżąc na środku małego zwirowanego podwórka.

- Wejść do środka.

Jej strach nagle przerodził się w gniew.

- Masz krew na twarzy - warknęła.

- Tak? - dotknął twarzy; na palcach pozostała ciemna smuga. - Chyba skaleczył mnie tynek - spojrzał na ciężarek, który nadal trzymała. - I co zamierzałaś z tym począć?

- Kiedy on by cię złapał i przewrócił, ja bym go tym uderzyła. - Poczula odrobinę ulgi, kiedy zatknął broń za pasek. - Nie powinienes zadzwonić po pomoc czy coś takiego?

- Już nie jestem policjantem.

Owszem, jesteś, pomyślała. Nie miała wielkiego doświadczenia w przypadku obrońców prawa i porządku, ale on miał spojrzenie policjanta, ruchy policjanta, nawet głos. Bez słowa podążyła za nim w stronę tylnych drzwi.

- Słyszałaś kiedyś o systemach alarmowych?

- Przecież mam. Powinien zacząć wyć jak cholera, gdyby ktoś usiłował wejść.

Tylko mruknął i, nie wchodząc jeszcze do środka, przyjrzał się mechanizmowi.

- Mała zabawka - powiedział z niesmakiem, rzuciwszy na niego okiem.

Wydeła usta, odgarniając grzywkę.

- Facet, który mi to sprzedał, nie powiedziałby tego.

- Facet, który ci to sprzedał, pewnie obśmiał się jak norka, montując to tutaj. Wystarczy przeciąć parę drucików - pokazał jej postrzępione końce. - To on odłączył telefon, na wszelki wypadek. Musiał widzieć światło i wiedział, że ktoś jest w domu.

- To chyba głupio, prawda? - zaczęła szczerkać zębami. - Powinien poczekać, aż wyjdziemy albo pójdziemy spać, a potem mógłby wejść i ukraść wszystko, co wpadłoby mu w ręce.

- Może się spieszył. Nie masz płaszcza czy czegoś takiego? Nos zrobił ci się czerwony.

Potała go, urażona.

- Że też nie pomyślałam, żeby wziąć szal. Co to był za dźwięk tuż przed twoim bohaterskim pędem po schodach? Brzmiało jak pękające balony.

- Tłumik. - Jed zaczął szukać w kieszeni drobnych.

- Tłumik? - pisnęła, chwytając go za ramię. - Jak w filmach gangsterskich? Strzelał do ciebie?

- Chyba nie chodziło mu konkretnie o mnie. Masz przy sobie dwadzieścia pięć centów? Lepiej to zgłosić.

Jej dłonie osunęły się z jego ramienia. Rumieńce, wywołane zimnem, zbladły. Jed zauważył, że jej źrenice rozszerzają się.

- Jeśli mi tu zemdlejesz, wścieknę się naprawdę - wziął ją pod brodę i potrząsnął lekko. - Skończyło się. Nie ma go. Rozumiesz?

- Masz ranę na twarzy - powiedziała nieprzytomnie.

- Już mi mówiłaś.

- Mógł cię zastrzelić.

- Mogłem spędzić ten wieczór z egzotyczną tancerką. To daje pewne pojęcie, jak bardzo to wielkie „mogłeś” odstaje od rzeczywistości. Co z pieniędzmi?

- Ja nie... - odruchowo sprawdziła kieszenie. - Mam telefon w furgonetce.

- No tak - podeszedł do samochodu i pokręcił głową, kiedy drzwi okazały się otwarte.

- Nic tu nie ma - zaczęła z rozdrażnieniem.

Z zadowoleniem zauważył, że zaczyna nabierać rumieńców.

- Tylko telefon i stereo - uniósł brew.

- To prezent - splotła ramiona.

- Aha - wystukał numer Brenta i odczekał dwa sygnały.

- Wesołych Świąt!

- Cześć, Mary Pat. - W tle usłyszał wrzaski dzieci i przesadnie głośne „Jingle Bells”. - Muszę przez chwilę pogadać z Brentem.

- Jed. Nie dzwonisz chyba z jakąś naciaganą wymówką co do jutra? Przysięgam, że wywlokę cię z domu własnymi rękami.

- Nie, przyjdę.

- Punktualnie o drugiej.

- Nastawię zegarek. MP, czy Brent jest w domu?

- Właśnie przyrządza swoje słynne na cały świat nadzienie z kielbasy. Poczekaj. Rozległy się jakieś hałasy, „Jingle Bells” ustąpiło miejsca „Rudolfowi”. „Hej, kapitanie. Ciesz się, ciesz”...

- Wybacz, że ci przeszkadzam w gotowaniu, ale mam tu drobny problem.

- Jody, puść tego kota! Jaki problem?

- Włamanie. Do sklepu pod moim mieszkaniem.

- Coś ukradziono?

- Muszę sprawdzić. - Odgarnął z twarzy wzburzone wiatrem włosy i spojrzał na drżącą Dorę. - Strzelał do mnie. Miał tłumik.

- Cholera. Dostałeś?

- Nie. - Znowu dotknął policzka. Krwawienie prawie ustało. - Miał tu blisko samochód. Sądząc po dźwięku silnika nic taniego.

- Nie ruszaj się stamtąd, Kimo Sabę. Zgłoszę to i już do ciebie jadę.

- Dzięki - odłożył słuchawkę i spojrzał na Dorę, przestępującą z nogi na nogę w bezowocnej próbie rozgrzania się. - Może lepiej wyciągnij znów tę brandy. Chodź. - Ponieważ jej dłonie zlodowaciały, odruchowo wziął je w swoje, ogrzewając, dopóki nie znaleźli się w sklepie. - Rozejrzyj się, czy czegoś nie brakuje.

- Mam niczego nie dotykać, tak?

- Oglądasz dużo kryminałów, co?

- Mogę zamknąć drzwi?

- Jasne - rzucił szybkie spojrzenie na wyłamany zamek i zamknął drzwi. Zapalił światło, stanął i zaczął się przyglądać.

Magazyn był zatłoczony po brzegi. Pod jedną ze ścian pudełka piętrzyły się od podłogi aż do sufitu. Na półkach spoczywały rozpakowane towary, przemieszane bez najmniejszego śladu systematyzacji. W kącie tłoczyły się dwie katalogowe szafki. Na wierzchu każdej chwiały się kolejne piramidy pudełek.

Biurko przypominało w tym wszystkim wyspę na morzu szaleństwa. Stały na nim telefon, lampka, porcelanowy dzbanek pełen ołówków i piór i popiersie Beethovena, służące za przycisk do papierów.

- Niczego nie brakuje - oznajmiła Dora.

- Skąd wiesz?

- Wiem, co tu mam. Musiałeś go spłoszyć - podeszła do półek i puknęła palcem w coś, co Jed uznał za stary flakonik po perfumach lub olejku. - Ten flakonik braci Daum z Nancy jest wart ponad tysiąc dolarów. Ten talerz Castelli prawie tyle samo. A to... - zdjęła pudełko z



namalowaną na nim zabawką.

- Nando? Dziecięcy robot?

- W pudełku osiąga dla kolekcjonerów wartość dwóch tysięcy - pociągnęła nosem i odstawiła przedmiot na miejsce.

- A ty to tak sobie zostawiasz?

- Mam system alarmowy. Miałam - mruknęła. - Nie mogę co noc ładować moich towarów do piwnicy.

- A gotówka?

- Co wieczór składamy wszystko w depozycie, z wyjątkiem stu dolarów w drobnych banknotach i monetach.

Podeszła do biurka i otworzyła górną szufladę. Wyjęła z niej kopertę i przeliczyła pieniądze.

- Są. Jak powiedziałam, musiałeś go spłoszyć.

Zrobiła jeden krok. Pod jej stopą zaszeleścił jakiś papier. Schyliła się po niego.

- Rachunek - powiedziała. - Dziwne, powinien być w katalogu.

- Pokaż - odebrał go jej. - Timothy O'Malley. Pięćset pięćdziesiąt i podatek, dwudziesty pierwszy grudnia. Za solniczki?

- Jego żona je zbiera.

- Pięćset dolarów za głupie solniczki?

- Za arcydzieła - poprawiła go Dora i odebrała mu rachunek. - Prostack.

- Pijawka.

Bez uśmiechu podeszła do katalogu, by włożyć rachunek.

- Spójrz! - zawołała. - Jaki bałagan! Podszedł do niej i spojrzał jej przez ramię.

- To dziwne?

- No pewnie. Prowadzę akta bardzo starannie. Urząd podatkowy przeraża mnie tak samo jak wszystkich dobrych Amerykanów. W zeszłym miesiącu Lea przez tydzień porządkowała i aktualizowała ten katalog.

- Więc chodziło mu o dokumenty. Co tu trzymasz?

- Nic cennego. Rachunki, faktury, listy przesyłek, spisy inwentarza, potwierdzenia. Sprawy biurowe. - Przeczesała włosy dłonią, zdezorientowana. Gwiazdki u jej uszu iskrzyły się w świetle żarówek. - Po co ktoś miałby się włamywać do moich rachunków? Oszałały agent podatkowy? Księgowy psychopata?

Ledwie skończyła mówić, ugryzła się w język.

- A ten dupek, jak się nazywa?

- Nie bądź śmieszny. Andrew nigdy by tego nie zrobił.

- Czy nie mówiłaś, że to księgowy?

- No tak, ale...

- I wylałaś go z pracy?

- To jeszcze nie powód, żeby...

- Andrew i jak dalej?

Westchnęła głęboko, rozdmuchując grzywkę.

- Podam ci jego nazwisko, adres, numer telefonu, a ty będziesz go nękał o alibi na rzeczoną noc. Jak każdy policjant.

- Nie jestem policjantem.

- Jeśli coś wygląda jak glina, mówi jak glina - pociągnęła nosem - pachnie jak glina...

- Skąd wiesz, jak pachnie glina? Przechyliła głowę.

- Smarem do pistoletów i potem. Skoro już o tym mówimy, nawet smakujesz jak glina.

- To znaczy, jak?

- Nie wiem - bardzo powoli powiodła spojrzeniem po jego ustach, a potem podniosła oczy - twardo, władczo, troszkę niemiło.

- Mogę być znacznie bardziej niemiły - zbliżył się tak, że utkwiała uwieczona między nim a katalogiem.

- Widzę. Mówiłam ci już, że zawsze miałam problemy z władzami? I to od podstawówki, kiedy panna Teesworthy kazała mi zostawać po lekcjach.

Objął ją.

- Nie mówiłaś. - Nie czuć tu smaru ani potu, pomyślał. Cały pokój pachniał Dorą, tą gorącą, mocną wonią, która sprawiała, że mężczyznom ślina napływała do ust.

- No właśnie - ciągnęła. - To jedna z przyczyn, dla których zaczęłam prowadzić własny interes. Nienawidzę, kiedy mi ktoś wydaje rozkazy.

- To widać. Mówiłem ci, żebyś się nie mieszała.

- Czułam przemożną potrzebę bycia blisko mężczyzny z bronią - uniosła dłoń, dotknęła kciukiem ranki na jego policzku. - Przestraszyłeś mnie.

- Nie bałaś się, dopóki się nie skończyło.

- Nie, omal nie zbzikowałam ze strachu. A ty?

- Ja nie. Uwielbiam, kiedy do mnie strzelają.

- A więc to pewnie reakcja na to wszystko - objęła go za szyję. Był taki, jak lubiła.

- Wiesz, działamy w szoku.

- Mówiłem ci, żebyś się trzymała z daleka.

- Odepchnij mnie - jej usta wygięły się. - No, odwagi! Nadal się uśmiechała, kiedy jego usta zbliżyły się ku niej.

Spodziewała się, że będzie gwałtowny i była na to przygotowana. Popchnął ją na katalogową szafkę. Uchwyty szufladek wpiły się jej w plecy, ale była zbyt pochłonięta własną rozkoszą, by to zauważyć.

Wiedział, że robi błąd. Wiedział to nawet wtedy, gdy zatonął w niej.

Złapała go na jakiś haczyk, z którego nie umiał się zerwać. Teraz drżała, tuląc się do niego, pojękując cicho z pełnym zaskoczenia podnieceniem. A smakowała - Boże, smakowała dokładnie tak słodko i gorąco, jak pachniała.

Minęło wiele, bardzo wiele czasu, odkąd pozwolił sobie wejść w tę mroczną, miękką, niosącą zapomnienie otchłań kobiety.

Oderwał się od niej, chcąc oprzytomnieć, ale zacisnęła obie dłonie na jego włosach i przyciągnęła go znów do siebie.

- Jeszcze - mruknęła. - Zawsze chcę więcej.

On mógł dać jej więcej. Wiedziała o tym. Przy nim nie można było zaznać niedosytu. Mogła brać i brać, i ciągle dostawać więcej.

Przez jedną szaloną chwilę chciał ją wziąć tutaj, na podłodze ciasnego, zakurzonego magazynu, w którym wciąż unosił się zapach prochu. Może by to zrobił, może nie miałby wyboru, ale pozostało mu tyle przytomności, by usłyszeć pukanie do drzwi i zgrzyt żwiru pod oponami.

- Policja - wziął Dorę za ramiona i odsunął ją zdecydowanie. W jego oczach zobaczyła to, czemu tak zaprzeczał. Znowu był policjantem. Może zrobisz kawy, Conroy? Chyba już nie pójdziesz na te swoje przyjęcia.

Spojrzała w górę schodów, odwracając się do niego plecami, kiedy przemówiła.

- I to wszystko?

- Tak - miał okropną ochotę na papierosy, które zostawił na górze. - To wszystko.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dora wybrała brandy. Jed popijał kawę. Gliniarz, pomyślała wściekle. W końcu nie pije się na służbie. Przynajmniej w telewizji. Zwinęła się w kłębek na kanapie, chcąc ignorować go tak samo jak on ją, i zajęła się podziwianiem lampek na choince.

Podoba mi się kolega Jeda, pomyślała. Brent Chapman w pomiętych spodniach, poplamionym krawacie, z szerokim uśmiechem. Przyniósł ze sobą zapach kielbasy i cynamonu, a okulary w cienkiej rogowej oprawce powiększały jego łagodne oczy. Wzbudzał w niej tyle zaufania, że zanim się opamiętała, robiła kawę i podawała ciasteczka, jakby podejmowała niespodziewanego gościa, a nie policjanta poddającego ją przesłuchaniu.

Brent zadawał pytania powoli, z namysłem i niemal kojąco.

Nie, na razie nie zauważyła, żeby coś zginęło.

Nie, w katalogu nie było niczego, co miałoby jakąś wymierną wartość.

Tak, przez ostatnie tygodnie przez sklep przewinęło się wiele osób, ale nie, nie przypominała sobie nikogo zachowującego się podejrzanie lub zadającego niezwykle pytania.

Wrogowie? Tu roześmiała się krótko. Nie, chyba żeby liczyć Marjorie Bowers.

- Bowers? - Brent nastawił uszu. Jego ołówek zawisł nad pomiętym notesem.

- Rywalizowałyśmy ze sobą o rolę w szkolnym przedstawieniu. Na pierwszym roku. Wystawialiśmy „West Side Story”. Prześcignęłam ją na przesłuchaniach, więc zaczęła rozpuszczać plotki, że jestem w ciąży.

- Chyba nie...

- Skoro chodziło o moją reputację, nie miałam wyboru - ciągnęła Dora. - Zaczaiłam się na nią po szkole - zerknęła przelotnie na Jeda, który w skupieniu i ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się półmiskowi na kredensie.

- To bardzo ciekawe. Ale dla nas chyba nieprzydatne.

- No cóż, ona mnie naprawdę nienawidziła - Dora podniosła swój kieliszek, wzruszając ramionami. - A potem znowu, tym razem w Toledo. Nie, myślę się. Pierwszy rok musiał być w Milwaukee. Dużo wtedy podróżowaliśmy.

Brent uśmiechnął się. Zaczynał lubić gospodynię Jeda. Większość osób, które padły ofiarą włamania z bronią w rękę, nie okazywały poczucia humoru.

- Szukamy czegoś bardziej aktualnego.

- Powiedz mu o tym całym księgowym - rozkazał Jed.

- Na miłość boską, Andrew nie mógłby...

- Dawd - przerwał jej Jed - Andrew Dawd. Do niedawna był księgowym Dory.

Pozwolił sobie na zbyt wiele, więc dała mu fangę w nos i wymówienie - uśmiechnął się wrednie do Dory. - I kopa w tyłek.

- Ach - Brent wypchnął językiem policzek, gryzmołac nazwisko w notatniku. Miał ochotę się uśmiechnąć, ale błysk w oczach Dory kazał mu zachować kamienną twarz. - Czy, eee... groził pani?

- Oczywiście, że nie. Daj mi papierosa, Skimmerhorn. Zapalił jej jednego.

- Rozdrażniona czy zestresowana? - zapytał, podając go jej.

- Sam się domyśl - wyrwała mu go i zaciągnęła się szybko. - Najbardziej gwałtowny postępek, do jakiego zdolny jest Andrew, to powrót do domu i poskarżenie się mamusi.

- Nie zaszkodzi z nim porozmawiać - zauważył łagodnie Brent. - Gdzie możemy go zastać?

Dora rzuciła Jedowi spojrzenie pełne stężonej nienawiści.

- Dawd, Dawd i Goldstein. „Prowadzenie ksiąg podatkowych”. Przy Szóstej i Market.

Brent kiwnął głową i wziął jedno z ciasteczek, które wysypała na ładny, rzeźbiony półmisek stojący koło jego łokcia. - Niezły sposób spędzenia Wigilii, co?

- Miałam inne plany - Dora zdobyła się na uśmiech. - Przykro mi, że musiał pan opuścić swoją rodzinę.

- To część tego zawodu. Bardzo dobre ciasteczka.

- Dziękuję. Może weźmie pan trochę ze sobą? Ma pan dzieci, prawda?

- Trójkę - Brent, reagując instynktownie jak na uderzenie młotkiem w kolano, sięgnął po portfel, by pokazać ich zdjęcia. Jed zatoczył oczami i oddalił się; Dora wstała i zaczęła podziwiać zdjęcia dzieci. Były to dwie dziewczynki i chłopiec, wyszorowani do połysku i ulizani dla potrzeb szkolnej fotografii.

- Najstarsza jest bardzo podobna do pana - skomentowała Dora.

- Tak, rzeczywiście. To Carly. Ma dziesięć lat.

- Mam siostrzenicę, która skończyła dziesięć lat. Jest w piątej klasie.

- Carly też. W szkole podstawowej Bester w Landsdowne.

- Missy chodzi do Bester. - Kiedy Jed wszedł do pokoju, jego partner i jego gospodyni uśmiechali się promiennie do siebie. - Na pewno się znają.

- To pewnie Missy Bradshaw, prawda? Ma młodszego brata imieniem Richie, który jest prawdziwym...

- Koszmarem, zgadza się.

- Była u nas dziesiątki razy. Mieszkają w sąsiedztwie. Rodzice Missy i my mamy ten sam garaż.

- Może zostawić was samych? - zagadnął Jed. Oboje rzucili Jedowi litościwe spojrzenie.

- Powiedz, Brent, zawsze jesteś taki wredny?

- Bardzo często.

Włożył portfel do kieszeni i wstał. Na koszuli miał okruszki ciasteczek, a na okularach ślady palców. Dora uznała, że jest czarujący.

- Ale to najlepszy policjant, z jakim pracowałem, więc możesz się czuć bezpieczna, mając go pod ręką.

- Dziękuję. Dam ci trochę tych ciasteczek - poszła do kuchni, umyślnie ignorując Jeda.

- Niezła gospodyni - skomentował Brent i poruszył brwiami.

- Daj spokój. Kiedy będziecie coś wiedzieć o tych pociskach, które wydlubaliście ze ściany?

- Jezu, Jed, to przecież święta. Daj chłopakom z laboratorium parę dni. Sprawdzimy też odciski palców, ale to pewnie strata czasu.

- Skoro jest na tyle profesjonalistą, żeby mieć tłumik, pewnie nosi też rękawiczki.

- Otóż to.

- Co sądzisz... - Jed przerwał, kiedy wróciła Dora niosąc papierowy talerz, owinięty aluminiową folią.

- Dziękuję, panno Conroy.

- Doro. Dasz mi znać, jeśli się czegoś dowiesz?

- Możesz na to liczyć. Uspokój się. Jed będzie miał na wszystko oko.

- Cóż - zmierzyła Jeda długim, zimnym spojrzeniem. - Teraz mogę spać spokojnie.

- Właśnie. Wesołych świąt.

- Odprowadzę cię - Jed skinął głową w stronę Dory. - Wróć. Idąc korytarzem, Brent wysupłał spod folii następne ciasteczko.

- Jesteś tu, zaraz, coś około tygodnia?

- Prawie.

- I już ją tak wkurzyłeś?

- Wrodzony talent. Słuchaj, po co zawodowiec włamuje się do sklepu ze starociami i zabiera tylko parę dokumentów?

- Oto pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary - Brent wyszedł tylnymi drzwiami, zachłystując się ostro dmącym wiatrem. - Tu jest mnóstwo cennych rzeczy.

- Ale on nie przyszedł po cenne rzeczy, co?

- Mógł mieć taki zamiar. Przerwałeś mu.

- Widzi światło na piętrze, przecina przewody telefoniczne. Rozwala system alarmowy. Ale nie ma ochoty na braci Daum.

- Na kogo?

- Nieważne - warknął Jed, wściekły na siebie. - Idzie prosto do katalogu...

- Ponieważ czegoś szuka.

- Tak - Jed wyciągnął papierosa. - Ale czy znajduje? I czego można szukać, w katalogu w sklepie ze starociami?

- Rachunków? - podsunął Brent, otwierając samochód.

- Spisu inwentarza, nazwisk, adresów...

- A jednak pewnych rzeczy nie można się oduczyć.

- Kiedy ktoś do mnie strzela, zaczynam się czuć osobiście zaangażowany.

- Nie mogę cię za to winić. Brakuje nam ciebie w mieście, kapitanie.

W oczach Jeda mignęło coś, co wyglądało niemal jak żal, po czym szybko zniknęło.

- Miasto chyba poradzi sobie beze mnie.

- Słuchaj, Jed...

- Daruj sobie. - Nie miał nastroju na wykład, kłótnię albo roztrząsanie problemu winy.

- Daj mi znać, jak się coś wyjaśni.

- Tobie pierwszemu - Brent wsiadł do samochodu, opuścił okno. - Aha, i uważaj na swój tyłek, kolego. Ta panienska go skopie.

Jed w odpowiedzi tylko parsknął. Wszedł do mieszkania. Chciał dopilnować, żeby Dora zamknęła się na noc. Potem zejdzie na dół, by jeszcze raz się rozejrzeć.

Jak każdy dobry obywatel, powiedział do siebie.

- Wyszli - powiedział, wchodząc przez otwarte drzwi. - Możesz liczyć na Brenta. To dobry policjant.

- Wspaniale. Siadaj.

- Mam robotę. Zamknij drzwi na klucz.

- Siadaj - powtórzyła, wskazując krzesło. - Zdezynfekuję tę ranę.

- Sam to zrobię.

- Czy ty nic nie rozumiesz, Skimmerhorn? Jeśli zostałeś ranny w obronie kobiety, jej obowiązkiem jest ranę opatrzyć. Gdybym nosiła halkę, musiałabym podrzeć ją na bandażę.

Jed przesunął spojrzeniem po lśniącem kombinezonie.

- Co ty właściwie pod tym nosisz?

- Piękny kolor ciała - Dora popchnęła go na krzesło. Czekala na to. - Teraz ty powinieneś powiedzieć: „E tam, proszę pani, to tylko draśnięcie”.

- Bo jest - uśmiechnął się blade. - Ale mogło być gorzej.

- Bez wątpienia - uklękła przy krześle, szeleszcząc jedwabiem i zaczęła przemywać ranę wacikiem. - Moja siostra powiedziała, że mógłbyś stracić oko. Lea uważa, że można stracić oko w każdej sytuacji. Odziedziczyła po mamie geny troski. - Zamoczyła kolejny wacik i powiedziała wesoło - teraz może trochę zapiec.

Rana eksplodowała ogniem. Jed chwycił Dorę za przegub.

- Niech cię, co to było?

- Alkohol - zatrzepotała rzęsami. - Wypali każde zanieczyszczenie.

- Aż do kości - mruknął Jed.

- Nie bądź dzieckiem, Skimmerhorn. Nie ruszaj się. Skrzywił się, gdy znowu dotknęła jego rany.

- Zawołałaś mnie po imieniu, kiedy pędziłaś po schodach z histerycznym krzykiem.

- Nigdy nie krzyczę histerycznie.

- Tym razem i owszem - uśmiechnął się wrednie - Jed! Jed! Och, Jed! Dora wrzuciła wacik do pustej emaliowanej miski.

- To było wtedy, kiedy myślałam, że cię zabije. Niestety, myliłam się - odwróciła kciukiem jego głowę, przyglądając się ranie. - Chcesz, żeby ci przyklepić plaster?

- Nie - jego oczy błysnęły. - A nie pocałujesz mojej rany?

- Nie - wstała, podniosła miskę, po czym postawiła ją znowu.

- Słuchaj, muszko to zapytać. Wiem, co powiesz. Powiesz, żebym się nie martwiła, że to często się zdarza. Ale i tak muszę zapytać. Myślisz, że on wróci?

Jed przyjrzał się jej. W jej twarzy, w jej oczach widniało napięcie, które dotąd udało się jej ukryć. Nie mógł i nie chciał uspokajać jej.

- Nie wiem - powiedział sucho.

- Świetnie - Dora zamknęła oczy, odetchnęła głęboko. - Wiedziała, że lepiej nie pytać. Skoro nie wiesz, po co tu przyszedł, to skąd możesz wiedzieć, czy wróci?

- Tak jakoś.

Powinienem skłamać, powiedział do siebie Jed, z przykrością zauważając, że jej policzki znowu zbladły. Nie byłoby tak trudno wymyślić naprędce jakieś wytłumaczenie, które zapewniłoby jej spokojną noc. Jej oczy, kiedy je otworzyła, były bardzo ciemne, bardzo zmęczone.

- Słuchaj - wstał i zaskoczył ją i siebie, zakładając jej za ucho pasmo włosów. Potem cofnął rękę i wepchnął ją do kieszeni. - Słuchaj - powtórzył. - Chyba dziś w nocy nie musisz się o nic martwić. Masz tylko iść do łóżka i zapomnieć o wszystkim. Niech policzka tym się



martwi...

- Tak - miała już poprosić go, by został, i tylko w części spowodowane to było strachem przed samotnością. Potrząsnęła głową i potarła ramiona, by je rozgrzać.

- Jutro będę poza domem, u siostry. Zostawię ci numer telefonu, na wypadek gdyby... na wszelki wypadek - skończyła.

- W porządku. Zamknij za mną drzwi na klucz. Dobrze?

- Pewnie - stanęła z ręką na klamce, gdy wychodził z pokoju.

- Ty też. To znaczy, zamknij drzwi na klucz.

- Jasne - zaczekał, aż zamknie drzwi i zasunie rygiel. Usta mu zadrgały, kiedy usłyszał charakterystyczne szuranie krzesła po podłodze i szcęk klamki, gdy podkładała je pod nią. Dobry pomysł, Conroy, pomyślał, schodząc do magazynu, by rozejrzeć się jeszcze raz.

\* \* \*

W ładnym domku, tonącym w cieniu potężnych dębów, pewna zamożna matrona rozkoszowała się szklaneczką sherry i „Białym Bożym Narodzeniem” w wykonaniu Binga Crosby'ego, śpiewającego na ekranie wielkiego telewizora.

Pani Lyle uśmiechnęła się, słysząc za plecami ciche kroki i wyciągnęła rękę.

- Chodź popatrzeć, Muriel - zachęciła, zwracając się do swojej długo letniej gosposi. - To moja ulubiona piosenka.

Kiedy spadł cios, nie krzyknęła. Delikatny kryształ rozprysnął się, uderzając w róg stolika, plamiąc kobierzec z Aubusson czerwoną jak krew sherry.

Przez mgłę paralizującego bólu usłyszała brzęk rozbijanego szkła i wściekły męski głos, powtarzający bez końca.

- Gdzie ten pies? Gdzie ten pieprzony pies? Potem nie słyszała już niczego.

\* \* \*

O północy DiCarlo jechał windą do swojego mieszkania na Manhattanie. W objęciach trzymał pudełka, które zwinął z zaplecza sklepu monopolowego.

Mam szczęście, że znalazłem rachunek za tego głupiego psa, pomyślał i zastanowił się leniwie, czy kule, które wystrzelił w stronę schodów w sklepie z antykami, uderzyły w coś lub w kogoś.

Nie ma się o co martwić, pomyślał. Tej broni nie da się zidentyfikować. A on robił postępy.

Uchwycił pudełka mocniej, wychodząc z windy. Miał orła z brązu, gipsową Statuę Wolności, porcelanowego psa.

I wróbla w garści, pomyślał i roześmiał się do siebie.

\* \* \*

- Tak... - Dora chrupała surową marchewkę, podczas gdy Lea doglądała świątecznej gęsi. - Więc Jed leci za facetem, wymachując tym pistoletem, a ja stoję jak jedna z tych twoich hollywoodzkich heroin, zaciskając ręce na piersi. Masz jakiś sos do tych jarzyn?

- W lodówce. Dzięki Bogu, nie zranił cię - Lea zadrżała, udręczona stertą brudnych garnków w zlewie, dziećmi siejącymi spustoszenie w salonie i prawdziwym zagrożeniem, którym mogła stać się w kuchni jej matka.

- Przez całe lata bałam się, że do twojego sklepu ktoś się włamie. To ja cię przekonałam, żeby założyć system alarmowy, pamiętasz?

- Ale mi pomógł - Dora zanurzyła różyczkę brokułów w sosie z kwaśnej śmietany i szczypiorku i oparła się o stół kuchenny. - Jed powiedział, że to mała zabaweczka.

- Też coś - Lea powstrzymała przemożną chęć obrażenia się - Ned, kuzyn Johna, powiedział, że to dzieło sztuki.

- Ned, kuzyn Johna, to dureń. Fajny sos - nabrała go kalafiozem. - No więc przyjechały gliny i zrobiły, co do nich należy. Tacie spodobałoby się to przedstawienie. I zadali mi masę pytań - umyślnie ominęła kwestię strzałów. To nie nadawało się na temat świątecznej rozmowy. - I okazało się, że były partner Jeda jest waszym sąsiadem.

- O? - Lea połała tłuszczem słodkie ziemniaki, obgryzając paznokcie.

- Ojciec Carli Chapman. Chodzi do szkoły z Missy.

- Carli? - przebiegając w pamięci wszystkie koleżanki córki, Lea podniosła pokrywkę garnka i powąchała. - A, tak. Brent i Mary Pat. Mamy wspólny garaż.

- Tak mówił - Dora naląła sobie kieliszek wina, które Lea postawiła na stole. - Fajny facet. Będą przesłuchiwać Andrew.

- Żartujesz! Andrew?

- Porzucony księgowy mści się na kobiecie, niszcząc jej dokumenty podatkowe - Dora wzruszyła ramionami i podała siostrze kieliszek wina. - Tak samo dobre jak wszystko inne. Kiedy będzie kolacja?

- Za dwadzieścia minut. Może zaniesiemy te resztki, które oszczędziłaś, do pokoju. Jeśli uda nam się zająć mamę przez... - przerwała i zaklęła cicho, widząc Trixie Connroy, robiącą wielkie wejście.

Trixie zawsze robiła wielkie wejście, czy to na scenę, czy do sklepiku na rogu. Z okazji zwykłej rodzinnej kolacji ubrała się w powiewną, intensywnie kolorową tunikę, z

frędzelkami wokół drapowanych rękawów i na dole. Materiał wirował teatralnie wokół jej smukłej figury. Włosy, obcięte krótko po chłopięcemu, miały intensywny płomiennorudy kolor. Jej twarz, mlecznobiała i bez zmarszczek dzięki fantastycznym zabiegom pielęgnacyjnym i jednemu dyskretnemu liftingowi, była olśniewająca. Łagodnie błękitne oczy, które odziedziczyła po niej Lea, były ocienione nieprawdopodobnie długimi rzęsami, pełne, wrażliwe usta - zmysłowo czerwone.

Wionęła przez kuchnię, ciągnąc za sobą powiewające jedwabie i swój firmowy zapach: dojrzałą, mocną woń z korzenną nutą.

- Najdroższe moje! - Jej głos był równie dramatyczny jak ona sama, głęboki szept, który z łatwością dosięgał ostatniego rzędu, w każdym teatrze. - Jak cudownie zobaczyć moje dwie dziewczynki - wciągnęła głęboko powietrze. - Och, i te wspaniałe aromaty. Mam nadzieję, że nie przypalisz moich klopsików, Ofelio.

- Eee... - Lea rzuciła Dorze rozpaczliwe spojrzenie i w odpowiedzi otrzymała wzruszenie ramion. - Nie, oczywiście, że nie. - Nawet nie wstawiła ich na gaz. Wepchnęła je pod zlew w nadziei, że później da psu. Mamo, wiesz... one są zielone.

- Oczywiście - Trixie okrążyła piecyk, trzaskając pokrywkami. - Sama je tak ufarbowałam, z okazji Świąt. Może podamy je teraz jako przystawkę?

- Nie. Chyba powinniśmy... - ponieważ nie była w stanie wymyślić dobrej wymówki, postanowiła poświęcić siostrę - mamo, wiesz, że ktoś włamał się do sklepu Dory?

- Lea, do cholery...

Lea zignorowała stłumione przekleństwo i brnęła dalej.

- Wczoraj wieczorem.

- O, moje dziecko. O, moje jagniątko - Trixie przemknęła przez kuchnię i ujęła twarz Dory w obciążone pierścionkami dłonie - nic ci się nie stało?

- Oczywiście, że nie.

- Może zabierzesz mamę do drugiego pokoju, Doro? Usiądziecie razem i opowiesz jej wszystko.

- 'Tak, tak, koniecznie - Trixie chwyciła Dorę za rękę i zaczęła ciągnąć ją do drzwi. - Powinnaś do mnie zadzwonić natychmiast po tym, kiedy się to stało. Przyjechałabym w mgnieniu oka. Moje biedne maleństwo. Quentin! Quentin, okradli naszą córeczkę!

Dora rzuciła siostrze jedno spojrzenie, zanim matka wypchnęła ją na korytarz.

W salonie Bradshawów panował chaos. Wszędzie porozrzucane były zabawki, przez co dywan w praktycznym płowym kolorze stał się torem z przeszkodami. Powietrze rozdzierały krzyki i skomlenia. Stalowooki Michael terroryzował zdalnie kierowanym

samochodem policyjnym domowego psa, Mutsy'ego. Will, bardzo nowojorski w czarnej jedwabnej koszuli i krawacie w turecki wzorek, zabawiał Missy frywolnymi piosenkami granymi na szpinecie. John i Richie siedzieli ze szklanym wzrokiem nad grą Nintendo, a Quentin, pod silnym wpływem ponczu, kibicował im głośno.

- Quentin! - dramatyczny ton Trixie sprawił, że wszyscy zamarli w pół ruchu. - Nasze dziecko było w niebezpieczeństwie!

Will, nie mogąc sobie tego odmówić, uderzył dramatycznie w klawisze. Dora zmarszczyła nos.

- Nie byłam w niebezpieczeństwie, mamó - poklepała matkę uspokajająco, posadziła ją na fotelu i wręczyła kieliszek wina. - Ktoś włamał się do sklepu - wyjaśniła. - To nic wielkiego. Niczego nie zabrali. Jed ich wystraszył.

- Miałem co do niego przeczucie - Quentin dotknął nosa palcem. - Szósty zmysł, rozumiecie. Czy doszło do rękoczynów?

- Nie, Jed go przepędził.

- Ja bym go zabił - Richie rzucił się na kanapę i puścił serię z niewidocznego karabinu. - Mówię ci.

- O, na pewno.

- Richie, nie stój na obiciu - rozkazał odruchowo John. - Zadzwoń na policję?

- Tak. Teraz wszystko w rękach najdzielniejszych z dzielnych - podniosła Richie'ego. - A oficer śledczy jest ojcem twojej bardzo, bardzo dobrej koleżanki, żabi pyszczku. Jody Chapman.

- Jody Chapman! - Richie zaczął się krztusić i chwycił się za gardło.

- Posyła ci całuski - Dora zatrzepotała rzęsami i cmoknęła. Cichnące jęki i skrzeki przekonały ją, że kryzys minął.

- Willowby! - Trixie ucięła hałas jednym słowem i uniesieniem ręki. - Dziś w nocy zostaniesz z Isadora. Nie zaznam spokoju, jeśli nie będzie jej pilnował jakiś mężczyzna.

- Mamó - to wystarczyło, by Dora zabrała wino. - W imieniu wszystkich feministek wstyd mi za ciebie.

- Polityczne i społeczne teorie bledną, kiedy chodzi o dobro mojego dziecka - Trixie skinęła dostojnie głową. - Will, zostaniesz ze swoją siostrą.

- Nie ma problemu.

- Owszem, jest - wtrąciła się Dora. - On zostawia w zlewie brudy po goleniu i wiedzie ze swoimi kobietami z Nowego Jorku długie, obsceniczne rozmowy.

- Na własny rachunek - wyszczerzył zęby Will. - I nie wiedziałybyś, że są

obsceniczne, gdybyś nie podsłuchiwała.

- Wasza matka wie, co mówi - Quentin wstał po następną porcję ponczu. Wyglądał schludnie i wytwornie w wykrochmalonym kołnierzyku i meloniku. Po drodze ucałował rękę swojej żony.

- Jutro sam zajrzę do sklepu i zorientuję się w sytuacji. Nie zwracaj sobie tym swojej ślicznej główki, słoneczko.

- Skoro mówimy o rzeczach obscenicznych - mruknął Will i skrzywił się - co to za smród?

- Kolacja - obwieściła Lea, zaglądając przez kuchenne drzwi. Uśmiechnęła się krzywo w stronę matki - przepraszam, kochana, spaliłam twoje klopsiki.

\* \* \*

W sąsiednim domu Jed próbował opuścić gościnną rodzinę. Świąteczna kolacja u Chapmanów przypadła mu do gusty bardziej, niż mógł się spodziewać. Trudno było nie oszaleć z radości na widok dzieciaków, które nie mogły się nacieszyć gwiazdkowymi prezentami. Nie można było nie rozkoszować się zapachem choinki i indyka, i słodką wonią szarlotki. A poza tym po prostu lubił Brenta i Mary Pat jako ludzi, jako parę.

Im dłużej przebywał w ich przytulnym domu, tym bardziej czuł się niezręcznie. Nie mógł nie porównywać tej rodzinnej sceny: ogień trzaskający na kominku, dzieci bawiące się na dywanie, z własnymi żalonymi wspomnieniami świąt.

Wrzaski. Albo gorzej, o wiele gorzej, lodowate milczenie. Ten rok, kiedy matka rozbiła o ścianę jadalni wszystkie porcelanowe talerze. Rok, w którym ojciec odstrzelił swoją dwudziestką wszystkie kryształowe wisioriki z żyrandola w holu.

A potem święta, kiedy Elaine w ogóle nie zjawiała się w domu. Przyszła po dwóch dniach, z rozciętą wargą i podbitym okiem. Czy to ten sam rok, w którym aresztowali go za kradzież w sklepie? Nie, przypomniał sobie Jed. To się zdarzyło dwa lata później, kiedy miał czternaście lat.

Takie były te dobre, stare czasy.

- Przynajmniej weź trochę jedzenia - nalegała Mary Pat. - Nie mam co z tym zrobić.

- Bądź kolegą - włączył się Brent. Klepnął żonę po pupie, przechodząc obok niej, żeby wziąć piwo. - Jeśli tego stąd nie wezmiesz, będę męczył tego indyka z niespodzianką przez miesiąc. Chcesz jeszcze piwa?

Jed potrząsnął głową.

- Nie, przyjechałem samochodem.

- Naprawdę nie musisz jeszcze wychodzić - pożaliła się Mary Pat.

- Jestem tu od rana - przypomniał jej, a ponieważ była jedną z nielicznych osób, przy których czuł się swobodnie, pocałował ją w policzek. - Teraz wracam do domu i zobaczę, czy uda mi się jakoś odpracować te tłuczone kartofelki i sos.

- Nigdy nie przytyłeś ani dekagrama. Denerwujesz mnie - zgarnęła resztki do pojemnika. - Może opowiesz mi o swojej wspaniałej gospodyni?

- Nie jest wspaniała. Jest w porządku.

- Brent powiedział, że jest wspaniała - Mary Pat zerknęła na męża z ukosa. Ten wzruszył ramionami. - I seksowna.

- Bo dała mu ciasteczka.

- Skoro jest siostrą Lei Bradshaw, musi być bardziej niż w porządku - Mary Pat napełniła szczydrze następny pojemnik kawałkami szarlotki. - Lea jest oszałamiająca, nawet rano, z gromadką wrzeszczących dzieciaków w samochodzie. Jej rodzice są aktorami, rozumiesz. Teatralnymi - dodała, podkreślając ostatnie słowo. - Widziałam także jej matkę - przewróciła oczami. - Chciałabym tak wyglądać, jak będę w jej wieku.

- Wyglądasz dobrze, złotko - zapewnił ją Brent.

- Dobrze - Mary Pat zamknęła pojemniki, potrząsając głową. - Czy powiedział: „wspaniale”? Czy powiedział „seksownie”?

- Ja tak powiem.

- Dziękuję ci, Jed. Może przyprowadzisz tu kiedyś swoją gospodynię? Na kolację albo drinka?

- Płacę jej komorne; nie wchodzę z nią w żadne układy.

- Obroniłeś ją przed złączyńcą - wytknęła mu Mary Pat.

- To odruch. Muszę iść - wziął pojemniki, które mu wcisnęła. - Dziękuję za obiad.

Mary Pat, obejmując Brenta w pasie, pomachała w stronę oddalających się świateł samochodu Jeda.

- Wiesz co, chyba mogłabym rzucić okiem na ten sklep.

- To znaczy na jego właścicielkę?

- Jak wolisz - oparła głowę na jego ramieniu. - Chciałabym przyjrzeć się tej wspaniałej, seksownej, niezamężnej gospodyni Jeda.

- Jemu się to nie spodoba.

- Zobaczymy. Potrzebuje kogoś w swoim życiu.

- Potrzebuje pracy.

- Więc zaatakujemy go oboje - odwróciła się i uniosła twarz do pocałunku. - Nie damy

mu żadnej szansy.

\* \* \*

W Los Angeles Finley zasiadał w olbrzymiej jadalni do kolacji, złożonej z kaczk i przepiórczych jajek. Towarzyszyła mu piękna zielonooka, smukła blondynka. Władzała trzema językami i doskonale znała sztukę i literaturę. Jakby nie było dość jej urody i inteligencji, była niemal tak bogata jak Finley. Jego ego domagało się, by wszystkie te trzy cechy występowały razem.

Kiedy ona sączyła szampana, on otworzył małe, elegancko opakowane pudełeczko, które mu wręczyła.

- Pomyślałaś o mnie, moja droga - uniósł wieczko, przeciągając chwilę oczekiwania.

- Wiem, jak kochasz piękne przedmioty, Edmundzie.

- Istotnie - obdarzył ją ciepłym spojrzeniem i odwinął bibułę. Wyjął małą japońską rzeźbę z kości słoniowej, ostrożnie tuląc ją w dłoni. Westchnął głęboko z satysfakcją.

- Podziwiałaś to za każdym razem, kiedy jadłaś ze mną obiad, więc pomyślałam, że to będzie wspaniały prezent - przykryła dłonią jego rękę, ucieszona jego reakcją. - Podarunek pochodzący z mojej własnej kolekcji wydaje mi się bardziej osobisty.

- Jest wspaniała - przyjrzał się rzeźbie błyszczącymi oczami. - I, jak powiedziałaś, jedyna w swoim rodzaju.

- Właściwie chyba się pomyliłam - podniosła znowu kieliszek i nie zauważyła nagłego skurczu, który przebiegł przez jego palce. - Parę tygodni temu udało mi się zdobyć bliźniaczy egzemplarz - roześmiała się cicho. - Nie pytaj mnie, w jaki sposób, ale to z muzeum.

- Nie jest unikalna - jego zadowolenie ulotniło się jak dym, zastąpione palącą goryczą zawodu. - Dlaczego wydawało ci się, że chciałbym mieć coś pospolitego?

Zmiana tonu zaskoczyła ją.

- Edmundzie, to ciągle ta sama rzeźba. Przepiękny egzemplarz wyjątkowej urody. I nadzwyczaj cenny.

- Cena jest rzeczą względną, moja droga - mierząc ją zimnym spojrzeniem, ujął delikatną rzeźbę. Ścisnął ją mocno, coraz mocniej, aż misterny przedmiot złamał się z trzaskiem przypominającym wystrzał. Kiedy kobieta krzyknęła, uśmiechnął się ponownie.

- Zdaje się, że się zniszczyła. Co za szkoda - odłożył strzaskane szczątki i ujął swój kieliszek. - Oczywiście gdybyś podarowała mi przedmiot ze swojej kolekcji, miałby dla mnie prawdziwą wartość. W końcu jest jedyny w swoim rodzaju.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy drugiego dnia świąt, nieco po dziewiątej, Jed pukał do drzwi Dory, ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, był męski głos, każący mu poczekać chwilę, do cholery. Potem rozległ się jakiś łoskot i przekleństwo.

Will - w kwiecistym prześcieradle spowijającym jego chude ciało niczym toga, trzymając się za palec u stopy, którym wyróżnął o stółik Pembroke, otworzył drzwi z nieprzyjaznym grymasem.

- Jeśli czymś handlujesz - powiedział - to mam nadzieję, że jest to kawa.

Chyba ich podrywa, pomyślał Jed z niechęcią. Najpierw księgowy w garniturku i z szalejącymi hormonami, teraz kościsty chłopak tuż po maturze.

- Isadora - powiedział, obnażając zęby.

- Jasne - Will troskliwie przytrzymując opadające prześcieradło cofnął się, by Jed mógł wejść do środka. - Gdzie ona jest, do cholery - mruknął - Dora! - jego głos odbił się grzmącym echem od ścian i sufitu.

Ten dzieciak ma niezłe płuca, uznał Jed, po czym zauważył kłęb poduszek i koców na sofie.

- Nie wejdiesz tu, dopóki nie wysuszę włosów - Dora wyjrzała z łazienki, ubrana w aksamitny szlafrok i uzbrojona w suszarkę. - Przecież możesz... och - urwała, zauważywszy Jeda. - Dzień dobry.

- Muszę z tobą pomówić.

- Dobrze - przeczesła mokre włosy palcami. - Znasz mojego brata? Brat, pomyślał Jed, zły na siebie, bo nagle poczuł niezaprzeczalną ulgę.

- Nie.

- Ten facet w prześcieradle to Will. Will, ten nieogolony facet to Jed, sąsiad z korytarza.

- Były glina, który pogonił włamywacza - zaspane oczy Willa błysnęły. - Bardzo mi miło. Kiedyś grałem handlarza narkotyków w filmie ze Stallonem. Od razu mnie zabili, ale to było wspaniałe przeżycie.

- Jasne.

- Masz - Dora podała Willowi suszarkę. - Możesz wejść pod prysznic. Zrobię kawę, ale ty przyrządzisz śniadanie.

- Może być - odszedł, wlokąc za sobą tren z prześcieradła w kwiatuszki.

- Mama uważała, że w domu, do którego się włamano, powinien być mężczyzna -



wyjaśniła Dora. - Tylko Will się nadawał. Możemy porozmawiać w kuchni.

Kuchnia była umeblowana równie praktycznie jak jego własna, ale z pewnością lepiej urządzona i bardziej zorganizowana. Dora wzięła puszkę, którą Jed uznał za pojemnik na biszkopty, i wsypała ziarna kawy do młynka. Potem odezwała się znowu:

- Jak spędziłeś święta?

- Dobrze. Koło południa przyjdzie tu facet, który założy ci nowy system alarmowy.

Porządny.

Dora zamarła. Zapach świeżo zmielonej kawy i ciała pachnącego kąpielą wypełnił pomieszczenie i sprawił, że krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach Jeda.

- Słucham?

- To mój przyjaciel. Zna się na swojej pracy.

- Przyjaciel - powtórzyła, wracając do mielenia. - Po pierwsze, muszę powiedzieć, że dziwi mnie, że w ogóle masz jakichś przyjaciół. Po drugie, zdaje się, że oczekujesz ode mnie wdzięczności za swoją niewiarygodną uprzejmość.

- Ja też tu mieszkam. Nie lubię, jak do mnie strzelają.

- Mogłeś przedyskutować to ze mną.

- Nie było cię - poczekał, aż postawi czajnik na gazie. - Przyda ci się kilka porządných zamków w drzwiach. Mogę się wybrać w sklepie żelaznym.

Dora wsypała miarkę kawy do zbiorniczka z filtrem, wydymając usta.

- Nie wiem, czy mam być zła, rozbawiona czy oszołomiona.

- Dam ci rachunek za zamki.

To przeważyło. Usta jej drgnęły, a potem uśmiech przeszedł w krótki, gardłowy śmiech.

- Dobra, Skimmerhorn. Ruszaj i uczyn nasz mały światek bezpieczną przystanią. Coś jeszcze?

- Mogę zdjąć miarę na te półki.

Przeciągnęła językiem po zębach i sięgnęła po stojący za nim wiklinowy koszyk z pomarańczami.

- Zmęczyło cię leniuchowanie? - Kiedy nie odpowiedział, przepołowiła pomarańczę groźnie wyglądającym nożem. - Po śniadaniu pokażę ci, o co mi chodzi. Tak się składa, że dziś otwieramy po południu. - Przepołowiwszy sześć pomarańcz, włożyła je do wyciskarki. - Może przygotujesz stół?

- Na co?

- Na śniadanie. Will robi wspaniałe naleśniki.

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległ się gwizd czajnika. Dora zalała kawę wrzącą wodą. Kuchnię wypełnił mocny zapach.

- Gdzie trzymasz talerze?

- Pierwsza szafka.

- I jeszcze jedno - powiedział, otwierając drzwiczki. - Może chciałabyś się ubrać - jego leniwy uśmiech sprawił, że zaschło jej w gardle. - Widok twojego wilgotnego, na wpół nagiego ciała mógłby wywołać we mnie nieokiełznany seksualny amok.

Jej własne słowa, rzucone jej w twarz, jakoś jej nie rozśmieszyły. Nalała kawy do filizanek i odeszła.

- Fajnie pachnie - oznajmił Will, wchodząc do kuchni w czarnych dżinsach i swetrze. Jego włosy, o parę tonów jaśniejsze niż włosy Dory, były rozrzucone w artystycznym nieładzie. Wyglądał jak reklama Ralpa Laurena.

- Dora robi świetną kawę. Słuchaj, mogę włączyć telewizor? Na dziennik CNN. Od kilku dni nie wiem, co się dzieje na świecie.

Will nalał kawy Jedowi i podwinął rękawy. - Will, niech cię!

Głos Dory sprawił, że Will skrzywił się, a potem wyszczerzył zęby.

- Zapomniałem splukać umywalkę - wyjaśnił. - Dora nie znosi, kiedy zostawiam w niej krem do golenia.

- Zapamiętam, na wypadek gdyby stało mi się to potrzebne.

- Ale to, że ona rozrzuca wszędzie bieliznę, jest w porządku - podniósł głos na tyle, by był słyszalny w łazience, zabarwiając go odrobiną sarkazmu. - Dorastałem przy dwóch siostrach. Kiedy chciałem wejść do łazienki, musiałem przedzierać się przez dżungłę rajstop.

Przemawiając, odmierzał składniki i mieszał je ze sobą z niedbałą finezją. Uchwycił spojrzenie Jeda i uśmiechnął się znowu.

- Wszyscy świetnie gotujemy - powiedział. - Lea, Dora i ja. To samoobrona przed daniami na wynos. A co do tego włamania - zmienił płynnie temat - myślisz, że jest się czym przejmować?

- Zawsze się przejmuję, kiedy ktoś do mnie strzela. Taki już jestem śmieszny.

- Strzela? - ręka Willa zawisła nad miską, przed chwilą rozbite jajko chlupnęło do środka. - Jak to „strzela”?

- No wiesz. Pistolet. Kule. - Jed przełknął łyk kawy. - Pif paf.

- Jezus, Jezus. Nic nie mówiła o strzelaniu - nie wypuszczając kapiącej skorupki, rzucił się do salonu, a z niego do małego przedpokoju i Otworzył szarpnięciem drzwi łazienki.

Dora omal nie wykluła sobie oka eyelinerem. - Will, do cholery!

- Nic nie mówiłaś, że strzelał. Chryste, Dory, opowiadałaś to jak jakiś kawał.

- Westchnęła, odłożyła eyeliner na półeczkę nad zlewem i spojrzała twardo na Jeda ponad ramieniem Willa. Powinna wyglądać śmiesznie z jednym umalowanym okiem. Ale ona była nadaśana, seksowna i pociągająca.

- Wielkie dzięki, Skimmerhorn.

- Polecam się na przyszłość, Conroy.

- Nie wściekaj się na niego - rozjuszony Will chwycił Dorę za ramiona i potrząsnął. - Chcę dowiedzieć się dokładnie o wszystkim, co się zdarzyło. I chcę to usłyszeć zaraz.

- To zapytaj tego wścibskiego gliniarza - odepchnęła Willa. - Jestem zajęta - oznajmiła i zamknęła drzwi na klucz.

- Isadora, masz mi odpowiedzieć - Will zaczął dobijać się do drzwi. - Albo zadzwonię do mamy.

- Spróbuj, a opowiem jej o twoim weekendzie na Long Island ze striptizerką.

- Z artystką kabaretową - mruknął, ale wrócił do Jeda. - Ty - oznajmił - ty opowiesz mi o wszystkim, a ja przygotuję śniadanie.

- Nie ma wiele do opowiadania.

Jed czuł się jakoś dziwnie. Nie chodziło o opowiadanie o wypadkach wigilijnego wieczoru, podczas gdy Will przygotowywał naleśniki z jabłkami. Chodziło o widok brata i siostry, o wyraz troski i gniewu na twarzy Willa, uczuć świadczących o głębokiej miłości, a nie tylko zwykłej, rodzinnej lojalności.

- I to wszystko? - naciskał Will.

- Co? - Jed zmusił się, by wrócić do rzeczywistości.

- To wszystko? Jakiś łobuz włamuje się, robi bałagan w dokumentach, strzela i ucieka.

- Mniej więcej.

- Dlaczego?

- To już zmartwienie policji - Jed nalał sobie drugą filiżankę kawy. - Słuchaj, dziś po południu założą tu nowy system alarmowy. I zamki. Będzie bezpiecznie.

- Czym się zajmujesz? - zapytał Will. - Przesłuchiwaniami, narkotykami, czym?

- To już nieistotne, prawda? Nie jestem policjantem.

- No tak, ale... - Will przerwał, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na naleśniki, które wyłożył na talerz w błękitny wzorek - Skimmerhorn? Tak cię nazwała, tak? Takie nazwiska zapadają w pamięć. Pamiętam je sprzed kilku miesięcy. Nałogowo oglądam dziennik - zaczął szperać w pamięci, jakby przypominał sobie dawno temu wyuczoną rolę. - Kapitan, prawda?

Kapitan Jedydiasz Skimmerhorn. To ty zastrześliłeś Donny'ego Specka, narkotykowego króla. „Policjant milioner ściera się z narkotykowym baronem” - przypomniał sobie. - Gazety dużo o tobie pisały.

- Gazety nadają się tylko do wykładania ptasich klatek.

Will miał ochotę naciskać dalej, ale przypomniał sobie coś jeszcze. „Siostra kapitana Skimmerhorna zginęła w samochodzie z podłożoną bombą”.

- Ktoś, kto poradził sobie z takim pierwszorzędnym bandytą, potrafi chyba zająć się moją dużą siostrą.

- Dora sama potrafi się sobą zająć - oznajmiła Dora. Trzymając w ręku dzbanek z sokiem, podniosła słuchawkę dzwoniącego kuchennego telefonu. - Halo? Tak, Will tu jest, chwileczkę - zatrzepotała rzęsami. - Marlenę.

- Och - Will zgarnął na talerz dwa naleśniki i złapał widelec. - To potrwa chwilę - odebrał słuchawkę i oparł się o ścianę. - Cześć, malutka - jego głos obniżył się o kilka tonów i nabrał gęstości ciepłego miodu. - Kochanie, przecież wiesz, że tęskniłem. O niczym innym nie myślałem. Dziś wrócę i pokażę ci, jak bardzo.

- Chory człowiek - mruknęła Dora.

- Czemu nie powiedziałas mu o wszystkim? Dora wzruszyła ramionami i ściszyła głos.

- Nie widziałam powodu, by martwić moją rodzinę. Nawet w najlepszych warunkach lubią podramatyzować. Kiedy moja matka dowiaduje się, że boli mnie brzuch, od razu uznaje, że to malaria i natychmiast zaczyna wydzwaniać do specjalistów. Wyobrażasz sobie, co by zrobiła, gdyby dowiedziała się, że ktoś przestrelił moją ścianę.

Jed potrząsnął głową, delektując się naleśnikami.

- Zadzwońiaby do CIA i wynajęłaby dwóch wielkich ochroniarzy. Pewnie nazywaliby się Bubba i Frank. A tak skończyło się na Willu.

- Will jest w porządku - powiedział Jed w chwili, gdy Will posłał w słuchawkę parę całusków i skończył rozmowę. Kiedy zrobił dwa kroki, telefon odezwał się znowu.

- Halo - oczy Willa błysnęły. - Heather, kochanie. Oczywiście, że za tobą tęskniłem, malutka. Nie mogłem myśleć o niczym innym. Do jutra wszystko załatwię i pokażę ci, jak bardzo.

- Niezłe podejście - oświadczył Jed, uśmiechając się do swojej kawy.

- Jak wolisz. Skoro on kocha się przez telefon, ja wyłączę telewizor - wstała i dotknęła wyłącznika. Zatrzymała się, słuchając komunikatu.

- Nadal nie znaleziono żadnych poszlak w sprawie gwiazdkowej tragedii na Society

Hill - powiedział spiker. - Szanowana obywatelka naszego miasta, Alice Lyle, nadal pozostaje w stanie śpiączki, wywołanej atakiem włamywacza. Zdarzenie miało miejsce w jej mieszkaniu, prawdopodobnie 24 grudnia.

Pani Lyle straciła przytomność. Muriel Doyle, gospodyni pani Lyle, została znaleziona martwa na miejscu zbrodni. Makabrycznego odkrycia dokonała w świąteczny poranek siostrzenica pani Lyle. Alice Lyle, wdowa po Haroldzie T. Lyle z Lyle Enterprises pozostaje w krytycznym stanie. Rzecznik filadelfijskiej policji twierdzi, że w sprawie tej prowadzone jest śledztwo.

- O Boże - Dora odwróciła się do Jeda, splatając ramiona. - Ja ją znam. Była w sklepie przed świętami, kupowała prezent dla siostrzenicy.

- To zamożna dzielnica - powiedział ostrożnie Jed. - Lyle jest znanym nazwiskiem. Włamywacze robią się czasem agresywni.

- Kupiła dwie figurki do przytrzymywania drzwi - przypomniała sobie Dora. - I opowiadała, że jej siostrzenica spodziewa się dziecka - przeszedł ją dreszcz. - To straszne.

- Nie możesz się tym tak przejmować - Jed podniósł się i sam wyłączył telewizor.

- Tego cię nauczyli w twojej szkole? - warknęła i zaraz potem potrząsnęła głową - przepraszam. Właśnie dlatego nie słucham tych przeklętych dzienników. Jedyne, co czytam w gazetach, to rubrykę recenzji i komiksy - odgarnęła włosy, usiłując się otrząsnąć. - Chyba zejść na dół i otworzę wcześniej. Ten bałagan posprząta Will, zanim pojedzie do Nowego Jorku.

Tym razem nie mógł się powstrzymać - przesunął palcami wzdłuż jej brody. Skórę miała miękką jak płatki róż.

- Trudno się z tym pogodzić, kiedy się ich zna.

- I kiedy się nie zna - uniosła dłoń, dotknęła jego przegubu. - To dlatego odszedłeś?

Opuścił rękę.

- Nie. Pójdę do sklepu żelaznego. Dziękuję za śniadanie. Dora westchnęła cicho, kiedy drzwi się za nim zamknęły.

- Will, jak skończysz tę obsceniczną rozmowę, zajmij się talerzami. Schodzę do sklepu.

- Skończyłem - wpadł do kuchni i chwycił sok. - Masz swoje sekreciki, co, Dory? Dlaczego nie powiedziałaś mi, że ten twój lokator to ten wielki zły policjant, który zgasił Donny'ego Specka?

- Kim jest Donny Speck?

- Jezu, na jakim świecie ty żyjesz? - zaczął sprzątać ze stołu, podjadając naleśnika. -

Speck prowadził jeden z największych narkotykowych karteli na Wschodnim Wybrzeżu, chyba największy. I był szaleńcem; lubił wysadzać ludzi w powietrze, jeśli mu przeszkadzali. Zawsze tak samo: bomba uruchamiana przekręceniem kluczyka w stacyjce.

- Jed aresztował go?

- Aresztował, akurat. Sprzątnął go w prawdziwej, staroświeckiej strzelaninie.

- Zabił go? - Dora poruszyła wyschniętymi wargami - czy to... czy dlatego musiał wystąpić z policji?

- A tam, za to dostał medal. Podawali to we wszystkich wiadomościach zeszłego lata.

To, że jest wnukiem L. T. Bester, Incorporated, ściągnęło na niego uwagę prasy.

- Bester Inc. ? Ta straszna forsa?

- Nie inaczej. Nieruchomości, sieć sklepów. Filadelfia nie ma zbyt wielu dzianych gliniarzy.

- To śmieszne. Skoro jest bogaty, po co wynajmuje mieszkanie nad sklepem?

Will pokręcił głową.

- Nosisz nazwisko Conroyów i dziwi cię ekscentryczności.

- Straciłam na chwilę głowę.

- A więc - Will napełnił zlew gorącą wodą z płynem do mycia talerzy - widzę tu następujący scenariusz: nasz bohater, bogaty kapitan policji, chce trochę odpocząć. Zeszłe lato trochę go zmęczyło. Śledztwo w sprawie Specka trwało miesiącami, potem jego siostra wyleciała w powietrze razem z samochodem...

- Zaraz - chwyciła Willa za ramię. - Siostra?

- Mówi się, że to Speck, ale trudno to będzie udowodnić.

- To... to straszne - zbladła i przycisnęła dłoń do żołądka. - Okropne...

- Gorzej. On to widział. W gazetach napisali: „Kapitan policji świadkiem śmierci swojej siostry w płomieniach”. Mocne.

- Biedny Jed - szepnęła Dora.

- Wszędzie o tym pisali. Nie pamiętam dokładnie, ale wspominali też o skandalach w klanie Skimmerhornów i Besterów. Jego siostra rozwodziła się trzy lub cztery razy. Rodzice lubili publiczne awantury. Było chyba też coś o młodzieńczych wybrykach Jeda. Wiesz, jak ludzie lubią czytać o nieszczęściach bogatych rodzin.

- Nic dziwnego, że chce, żeby wszyscy zostawili go w spokoju. Ale - powiedziała po chwili - to żadne rozwiązanie. - Pocałowała policzek Willa. - Zamknij drzwi na klucz, kiedy będziesz wychodził. Zobaczymy się na Sylwestra?

- Obowiązkowo. Dora?

- Hmmm?

- Rób to, co ci każe. Lubię, kiedy tu jesteś.

- Lubię tu być - wzięła swoje klucze i zbiegła po schodach.

\* \* \*

Tego ranka ruch w sklepie był niewielki, co pozwoliło Dorze na zastanowienie się. To, czego nie wiedziała o Jedzie Skimmerhornie, mogłoby wypełnić sportowy stadion.

Fascynujące okruchy, jakie rzucił jej Will, sprawiły jedynie, że niedosyt wiedzy o nim zaczął jej bardziej doskwierać.

- Dzień dobry, Izzy, moja najdroższa córeczko - Quentin wkroczył do sklepu w nausznikach z nerek, umocowanych na niezwyklej, złotosrebrnej czuprynie. Miał na sobie sięgający kostek płaszcz z owczej wolny, gwiazdkowy prezent od żony.

- Tatuś! Oto osoba, której mi potrzeba.

- To, że dzieci cię potrzebują, jest nagrodą dla ojca. Dzięki temu człowiek w średnim wieku wie, że nie jest bezużyteczny. Mężczyzna w średnim wieku utwierdza przez to swoje poczucie wartości. Ach, Terri, jak zawsze zjawiskowa - podszedł do rudowłosej, ujął jej dłoń i nachylił się nad nią z teatralną przesadą. - Skarb Liberty Players, twojego niegodnego dyrektora i „Salonu Dory”. Cóż to, dziś dzień bez klientów?

- Było kilku szperaczy, jedna wymiana i jedna zapierająca dech w piersiach transakcja: kołatka do drzwi w kształcie ziewającego hipopotama za dwadzieścia dolarów - zameldowała Dora. - Sklepy muszą pękać w szwach. Terri, poradzisz sobie sama, prawda?

- Z zawiązanymi oczami i skuta łańcuchami.

- Tatku - Dora wzięła ojca pod ramię i wyprowadziła go z głównego pomieszczenia sklepu do mniejszych salek wystawowych - co wiesz o Jedzie Skimmerhornie?

- Co wiem? - Quentin wyciągnął rolkę miętowych dropsów, żeby zyskać na czasie. - Zaraz, chwileczkę. Mierzy ponad sześć stóp. Waży jakieś sto siedemdziesiąt funtów, budowa atletyczna. Trzydzieści parę lat. Wnioskując z karnacji, pochodzenie anglosaskie.

- Przestań. Znam cię, Quentinie D. Conroyu. Lea może sobie uważać, że wynająłbyś mieszkanie jakiemuś dzwoniącemu łańcuchami, wytatuowanemu oprychowi z gangu motocyklowego, ale ja wiem lepiej.

Quentin zamrugnął, wyraźnie zaskoczony.

- Lea tak powiedziała? Na Boga, co za jadowity język - uderzył pięścią w dłoń.

- Nie zmieniaj tematu. Wiesz wszystko, czego można się dowiedzieć o Skimmerhornie, w przeciwnym razie nie zamieszkałby tutaj. Więc jazda. O co tu chodzi z tą

bogata rodziną?

- Z klanem Besterów i Skimmerhornów - uściślił Quentin. Zdjął ostrożnie płaszcz i złożył go czule na krzesło.

- Większość pieniędzy ma rodzina ze strony matki, choć gałąź Skimmerhornów też ma się czym pochwalić. Jed jest ich spadkobiercą, skoro chcesz wiedzieć, bo on i paru dalekich kuzynów stanowią ostatnie gałęzie ich usychającego drzewa genealogicznego.

- Więc naprawdę jest niezależny finansowo - mruknęła Dora. - Niech mnie...

- Najważniejsza, jak się wydaje, jest tu niezależność. - Quentin odkaszlnął dyskretnie, zakrywając usta ręką. Na policzki wystąpił mu rumieniec. - Wiesz, jak nie lubię powtarzać plotek, Izzy.

- Powiesz tylko raz.

Roześmiał się i pogłaskał ją po kciuku.

- Moja dziewczynka ma refleks. A więc plotka głosi, że miody Jed wstąpił do policji wbrew woli swej rodziny. Nie aprobowali wyboru takiego zawodu i grozili mu, że go wydziedziczą - jego głos nabrął niskich, głębokich, doskonale odmierzonych tonów. - W każdym razie, o jego rodzicach było głośno w eleganckich sferach. Głośno w sensie dosłownym. Uwielbiali publiczne awantury. To, że się nawzajem nienawidzili, nie stanowiło dla nikogo tajemnicy, ale nigdy by się nie rozwiedli, by nie zerwać finansowych więzów między Besterarni a Skimmerhornami.

- Jak miło - mruknęła Dora.

- Istotnie. Jed własnymi siłami wyrobił sobie w policji markę. Reputację zawdzięczał naśladowaniu zarówno ogara, jak i teriera. Ścigał poszlaki i zatapiał zęby w sprawie - Quentin uśmiechnął się do swojego porównania. - Mniej więcej rok temu dostał awans na kapitana, który - jak wielu sądziło - był tylko przystankiem na drodze do stopnia szefa policji. Potem pojawił się Donny Speck.

- Will mi mówił. Speck zabił siostrę Jeda.

- To ogólne założenie. Co do kwestii, dlaczego Jed wystąpił z policji, mogę tylko snuć przypuszczenia. Proponuję, żebyś sama go zapytała.

- Nie powie mi tego.

- Interesujesz się nim zawodowo czy prywatnie? Zastanowiła się i przyjęła miętówkę, którą poczęstował ją ojciec.

- Jeszcze nie wiem. Dziękuję ci za tę historię - pocałowała go w policzek - którą powinieś był opowiedzieć mi wcześniej, ot co.

- Nie ma za co.



- Jed jest na zapleczu, wstawia nowe zamki. Może trochę poza - wracasz mu głowę?

- Z przyjemnością - wziął swój płaszcz i przewiesił go sobie przez ramię.

- Możesz go tu zostawić.

- Zostawić... o, nie, nie - pogłaskał płaszcz z miłością, unikając spojrzenia Dory. -

Wezmę go ze sobą. Mógłbym zmarznąć.

Mógłbyś potrzebować piersiówki, którą masz w wewnętrznej kieszeni, poprawiła go Dora w myślach i wróciła do pracy.

\* \* \*

Tymczasem na zapleczu Jed znowu czynił użytek z wiertarki Brenta. Niemal zamocował już piękną, potężną zasuwę, kiedy na horyzoncie pojawił się Quentin.

- I Wesołych Świąt! Zdaje się, że jesteś naszym bohaterem. Przyjmij moje najszczerze wyrazy wdzięczności.

- Proszę pana...

- Quentin, proszę. Will powiedział, że broniłeś mojej dziewczynki, narażając na szwank własne życie i całość kończyn.

- Quentin umościł się na krześle z drewnianym oparciem. - Powiedz, macie już jakieś poszlaki?

- Zadzwoń na posterunek i poproś pomocnika Brenta Chapmana. On zajmuje się tą sprawą.

- Ale ty, mój drogi chłopcze, byłeś na miejscu zbrodni, z bronią w pogotowiu. Gdzie są ślady kul? Will powiedział, że padły strzały.

- Na gipsie przy schodach - Jed spojrzał z rozbawieniem na Quentina, dokonującego oględzin ściany. Nie zdziwiłoby go, gdyby wyjął szkło powiększające i czapkę w szkocką kratę.

- Ciekawe, prawda? Wiesz, kiedyś grałem Poirota w skromnej inscenizacji „Orient Expressu”.

- A Will grał handlarza narkotykami razem ze Stallonem. Niezła rodzinka.

- Zbrodniarzy trzeba grywać równie często jak bohaterów, to rozwija artystyczną osobowość. Widzisz, my mamy teatr we krwi. Choć Izzy wydaje się skłaniać raczej ku rekwizytom.

Wrócił na krzesło. Oparł się wygodnie, skrzyżował nogi i splótł dłonie na foremnym brzuchu.

- Która godzina?

Jed obrócił nadgarstek, by spojrzeć na zegarek.

- Za kilka minut dwunasta.

- To znakomicie - Quentin sięgnął z zadowoleniem do kieszeni płaszcza po butelkę.

- Nie podchodź z tym do mnie. Quentin uśmiechnął się dobrotliwie.

- Zdaje się, że wtedy napełniłem butelkę czymś, co można by nazwać paliwem wysokooktanowym. Dziś mamy coś znacznie słabszego.

- I tak dziękuję.

- No cóż, za wszystkie dziewczęta, które kochałem. - Quentin wysączył powoli swoją porcję, westchnął i schował butelkę z powrotem. Dora mogła wpaść w każdej chwili. - Przyszedłem tu również z innego powodu. Chciałbym ponowić zaproszenie na nasze coroczne przyjęcie sylwestrowe w teatrze.

Moja żona chce osobiście podziękować ci za zaopiekowanie się naszą Izzy.

- Nie przepadam za przyjęciami.

- Poczytam sobie za szczególną uprzejmość, jeśli zajrzysz przynajmniej na chwilę. Po tym incydencie martwię się, że Izzy będzie wracać samotnie do domu.

Zasiawszy ziarno, Quentin pociągnął jeszcze jeden łyk i opuścił scenę.

\* \* \*

Ponieważ ruch w sklepie niemal zamarł, Dora zostawiła Terri na posterunku i poświęciła większą część popołudnia na uporządkowanie dokumentów. Niemal zmierzchało, kiedy na dole pojawił się Jed i bez słowa zajął się mierzeniem ściany, na której miały zawisnąć półki.

Dora również nie zwracała na niego uwagi. Prawie przez pięć minut.

- Ten system alarmowy, który mi wepchnąłeś, wystarczyłby do obrony Fort Knox.

Jed gryzmolił coś w notatniku.

- Ty masz tylko zapamiętać sześciocyfrowy kod.

- A jeśli go zapomnę, rozdzwonią się dzwonki i syreny, zaczną błyskać światła i jakiś typ z megafonem krzyknie, żebym wyszła z rękami w górze.

- Więc nie zapomnij.

- Nie jestem zbyt mocna w liczbach. Dlatego mam księgowego.

- Miałaś. Nawiasem mówiąc, jest czysty.

- Czysty? Andrew? Pewnie, że tak. Mamusia sprawdza co wieczór, czy umył się za uszami.

Jed zwinął z trzaskiem taśmę mierniczą.

- A w ogóle po kiego diabła umówiłaś się z nim?

- Miał mi opowiedzieć o paragrafie dwudziestym piątym nowej ustawy podatkowej. Bałam się mu odmówić - uśmiechnęła się. Przynajmniej rozmawiali ze sobą. - Właściwie było mi go żal. Jego matka jest naprawdę starą wredną jędzą.

- Krytyczną noc Andrew spędził razem ze starą wredną jędzą i dwoma tuzinami gości na gwiazdkowym przyjęciu u Dawd, Dawd i Goldsteina. Ma żelazne alibi do wpół do jedenastej.

- Nigdy w to nie wątpiłam. - Przez chwilę oddzielała rachunki od faktur. - Dzwoniłam do szpitala.

- Co?

- Pani Lyle, z dzisiejszych wiadomości. Nie mogę przestać o tym myśleć. - Dora wyjęła rachunek z Federal Express. - Nadal - jest nieprzytomna. Posłałam jej kwiaty. To chyba głupie.

- Tak. - Chryste, dlaczego pozwalał, żeby podchodziła go z tej strony? - Ale ludzie na ogół lubią takie głupie gesty.

- Ja lubię. - Dora westchnęła głęboko i odwróciła się plecami do biurka. - Skimmerhorn, chcesz wyjść?

- Prawie skończyłem pomiary. Zaraz zejść ci z oczu.

- Nie, wyjść tak w ogóle - przesunęła niecierpliwie dłonią po włosach. - Chcesz wyjść na pizzę albo do kina? Nie chce mi się tkwić w tych papierzyskach.

- Trochę za wcześnie na kino.

- Ale jak skończymy pizzę, nie będzie za wcześnie - przybrała swój najbardziej przekonujący ton. - Bądź kolegą, Skimmerhorn. Jedyna rzecz gorsza od samotnego siedzenia w kinie to samotne siedzenie w kinie dla zmotoryzowanych.

Wiedział, że nie powinien. Po tym, do czego niemal doszło poprzedniej nocy, należało jej unikać. - Jaki jest ten kod?

- A bo co?

- Bo zamkniemy, wychodząc. Z jej oczu zniknęło napięcie.

- Dwanaście dwadzieścia cztery dziewięćdziesiąt trzy. Wigilia dziewięćdziesiątego trzeciego - uśmiechnęła się, biorąc płaszcz. - Tej daty na pewno nie zapomnę.

- Prawidłowe rozumowanie. - Włożył marynarkę. Po krótkim wahaniu ujął rękę, którą mu podała. - Sprawdźmy zamki.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mary Pat była zwolenniczką otwartego działania. Ciekawość, jaką budziła w niej osoba gospodyni Jed a, można było zaspokoić, wybierając się na zakupy. Mary Pat wkroczyła do „Salonu Dory”, przyglądając się jego wnętrzu, z przyjemnością tym większą, że zastała w nim swoją sąsiadkę.

- Lea! Jak się masz!

- O, cześć - Lea odstawiła odkurzaną właśnie spluwaczkę z dętego szkła. - Co cię sprowadza do tej dzielnicy?

- Urodziny mojej matki.

To, że miały się odbyć za trzy miesiące, nie miało żadnego znaczenia.

- Strasznie spodobała mi się beczułka na biszkopty, którą kupił tu dla mnie Jed, i pomyślałam, że może znajdę coś wyjątkowego.

- Wyjątkowych rzeczy mamy dużo. Jak tam dzieci?

- Doprowadzają nas do szaleństwa. Liczę dni do końca ferii.

- Kto nie liczy? - Lea myślała szybko. Mary Pat jest idealnym źródłem wiadomości o Jedzie. - Więc znacie Jeda.

- Od lat. - Mary Pat przyglądała się kolekcji porcelany Gossa, czekając na właściwy moment, by wypytać Lec o jej siostrę. - Zanim Jed został kapitanem, on i Brent byli przez sześć lat w tym samym oddziale. Twoja siostra ma uroczy sklepik. Od dawna zajmuje się handlem?

- Od pierwszej klasy - powiedziała sucho Lea. - Zawsze lubiła handlować. Oficjalnie od trzech lat.

Twarda bizneswoman? - zastanowiła się Mary Pat. Pazerna karierowiczka?

- Na pewno jest tu parę pięknych rzeczy - spojrzała na metkę z ceną shakera do coctaili w stylu Art Deco i gwizdnęła bezgłośnie.

- Mam nadzieję, że od czasów włamania nie miała jakichś kłopotów.

- Dzięki Bogu, nie - Lea podeszła do srebrnego serwisu do kawy i napełniła dwie filizanki. - Ze śmietanką, prawda? Bez cukru?

- Mhm. Dziękuję.

- Jesteśmy strasznie wdzięczni za to, że Jed był na miejscu. Świadomość, że Dora mieszka drzwi w drzwi z policjantem przynosi mi pewną ulgę.

- Z jednym z najlepszych policjantów. Brent uważa, że jeśli Jed się otrząśnie i wróci do pracy, w ciągu najbliższych dziesięciu lat zostanie szefem policji.

- Naprawdę? - Lea, usiłując nie myśleć o dziecie, wsyłała do swojej kawy skąpe pół łyżeczki cukru.

Mary Pat wróciła do głównego tematu rozmowy.

- Byłam zdziwiona, kiedy się tu wprowadził. Twoja siostra to prawdziwa kobieta interesu: właścicielka sklepu i mieszkania...

- O, Dora uwielbia rządzić.

Nachalna, zdecydowała Mary Pat. Aroganka. Cieszyła się ze względu na Jeda, że wpadła tu powęszyć. Odwróciła się na dźwięk głosów dobiegających od drzwi.

- Chyba wiem, gdzie znaleźć to, czego pani szuka, pani Hendershot. - Dora prowadziła przez sklep staruszkę, wspierającą się na brązowej lasce.

- Proszę zadzwonić - powiedziała staruszka głosem zaskakująco donośnym przy tak wątlm ciele. - Wesele mojej wnuczki będzie za dwa miesiące. Ci młodzi, zawsze im spieszo.

- Proszę się nie martwić. - Dora, mimo że miała na sobie tylko lekki jedwabny kostium, wyprowadziła staruszkę na zewnątrz, aż do stojącego przy krawężniku klasycznego de soto. - Znajdziemy dla niej idealny prezent.

- Nie zawieź mnie - pani Hendershot rzuciła swoją laskę na miejsce dla pasażera i usiadła za kierownicą. - Wejdz do środka, dziewczyno, zaziębisz się na śmierć.

- Dobrze, proszę pani - Dora cofnęła się na krawężnik.

Kiedy pojazd pani Hendershot z rykiem pomknął ulicą, wróciła pospiesznie do sklepu, zacierając zmarznięte dłonie.

- Gdyby startowała w wyścigach, nikt by jej nie pokonał.

- Kobieta w tym wieku nie powinna prowadzić - oznajmiła Lea i nalała filiżankę kawy dla swojej siostry.

- A dlaczego? Prowadzi ten swój stary czołg jak kierowca rajdowy. Dzień dobry - zwróciła się do Mary Pat. - Czy Lea zajęła się panią?

Mary Pat miała chwilkę na to, żeby się przyjrzeć swojej ofercie. Zaakceptowała - z lekkim ukłuciem zazdrości - stylowy kwiecisty żakiet Dory i prostą dopasowaną spódnicę w brzoskwiowym kolorze. Zdziwił ją widok szpilek na wysokich obcasach u kobiety, która cały dzień spędzała na stojąco. Zastanowiła się, czy szafiry, zebrane w grona u jej uszu, są prawdziwe.

- Przyszłam poszukać tu czegoś na urodzinowy prezent. Lea i ja jesteśmy sąsiadkami.

- To Mary Pat Chapman - oznajmiła Lea.

- Wszystkie wypracowane teorie Mary Pat wzięły w łeb, który Dora ujęła jej dłoń.

Uścisk był pełen ciepła i życzliwości.

- Tak się cieszę, że wpadłaś. Miałam nadzieję, że uda mi się cię poznać. Wtedy, w nocy, Brent był po prostu wspaniały, natychmiast mnie uspokoił. A właśnie, podobała ci się beczułka na biszkopty?

- Tak - odpreżyła się Mary Pat - właściwie to podobała mi się tak bardzo, że przyszedłam tu poszukać prezentu dla mojej matki - zawahała się i odstawiła filiżankę. - Ale przyszedłam tu nie tylko dlatego. Najbardziej chodziło mi o to, żeby ci się przyjrzeć.

Oczy Dory roześmiały się do niej ponad brzegiem filiżanki.

- Kto mógłby cię potępić? A może, przy okazji tego przyglądania się, wybierzemy twojej mamie jakiś prezent? Myślałaś o czymś konkretnym?

- Skąd. Miałaś męża?

Wobec tak jawnego przesłuchania Dora musiała powściągnąć chichot.

- Nie. Raz byłam prawie zaręczona. Pamiętasz Scotta, Leo?

- Niestety.

- Przeprowadził, się do Los Angeles, i nasz, romans łagodnie, dobiegł końca. A może buteleczka na perfumy? Mamy kilka ładnych egzemplarzy - kryształ, porcelana, dęte szkło.

- Może. Moja matka ma toaletkę. O, to jest śliczne - chwyciła buteleczkę w kształcie serca, z kwiatkami z przodu i tyłu. - Uważasz, że ten sklep przyniósł ci sukces? Eee... finansowy?

Dora uśmiechnęła się.

- Nie interesuje mnie konto bankowe mężczyzny, nawet tak przyjemnie zasobne jak konto Jeda. Znacznie bardziej interesuje mnie jego ciało. Ta buteleczka kosztuje siedemdziesiąt pięć dolarów, ale jeśli ci się podoba, opuszczę dziesięć procent. Na dobry początek.

- Kupione. - Mary Pat odwzajemniła uśmiech. - Jest przyjemny dla oka, co?

- Bardzo. Opakować?

- Tak. - Mary Pat poszła za Dorą do lady. - Zwykle nie jestem taka wścibska, ale Jed to prawie rodzina.

- Rozumiem. Na twoim miejscu też stałabym się wścibska. Mary Pat roześmiała się, bardziej niż zadowolona z rezultatów swojej wizyty.

- Dobrze. Widzisz, Doro, Jed potrzebuje wyłącznie... - przerwała, bo w sklepie pojawił się przedmiot ich rozmowy.

- Conroy, te półki mają być... - przerwał, oczy się mu zwęziły. - M. P. ?

- Cześć - jej uśmiech był krótki i trochę wymuszony. - Śmiesznie, że się tu

spotkaliśmy.

Znał ją dobrze, za dobrze. Z udaną obojętnością zatknął kciuki w kieszeniach spodni.

- Co ty tu robisz?

- Kupuję prezent - dla potwierdzenia wyjęła kartę kredytową. - Dla matki.

- I mam szczerą nadzieję, że się jej to spodoba. - Stojąca plecami do Jeda Dora mrugnęła do Mary Pat. - Może to wymienić w ciągu miesiąca. - Odwróciła się do Jeda. - Potrzebujesz czegoś?

Zacisnął usta z rozdrażnieniem.

- Chcesz, żeby te cholerne półki były przymocowane na stałe czy zdejmowane?

- A mogą być zdejmowane? Świetnie. Jed mi tu bardzo pomaga - Dora odwróciła się z uśmiechem do Mary Pat. - Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

- Nie ma to jak złota rączka w domu - zgodziła się Mary Pat W zeszłym roku Jed pomógł Brentowi wykończyć nasz salon. Powinnaś to kiedyś obejrzeć.

- Jesteś dyskretna jak wybuch atomowy, Mary Pat - Jed spojrzał spode łba na obie kobiety i wyszedł, trzaskając drzwiami.

- To taki łagodny, przyjacielski facet - powiedziała Dora. - Dlatego go kochamy.

Mary Pat wyszła po chwili, zadowolona z porannych dokonań.

\* \* \*

Ta kobieta prosi się o kłopoty, myślał ponuro Jed, przesuwał piłę w poprzek deski. Uważa, że sama da sobie radę. Kusilo go, żeby udowodnić jej, jak bardzo się myli. I zrobiłby to, gdyby w jednej sprawie nie była tak bliska prawdy.

Nie bał się jej. Niech to diabli, nie bał się. Ale... Odłożył piłę i wyjął papierosa. Zrobił się przez nią nerwowy jak diabli.

Lubił słuchać jej śmiechu. W jakiś dziwny sposób ujęło go to, jak rozmawiała z ekranem w ciemnościach kina. Rozmowa nie sprawia jej żadnego problemu, pomyślał. Do diabła, mógłby pewnie nie odezwać się do niej słowem przez godzinę, a ich konwersacje nie utknęłyby ani na chwilę.

Byłby głupi, gdyby udawał, że mu się nie podoba. Wielkie oczy krótkie spódniczki. I nie była jakąś rozmazaną mazepą.

Podobało mu się to, jak zabrała się do księgowego, uniesione pięści i ogniste spojrzenia.

Jed przyłapał się na uśmiechu i zdeptał niedopałek papierosa.

Nie da się złapać. Po co mu ból głowy. Po co mu komplikacje. Nie chciał dopuścić do

siebie myśli, że to hormony wciągnęły go w tę sytuację.

Może kilka razy, zbyt wiele razy, wyobrażał sobie Isadorę Conroy bez tych obcisłych szmatek. Co nie znaczyło, że zamierzał ją z nich rozebrać.

W końcu, pomyślał, wychowano mnie w duchu podejrzliwości, cynizmu i obojętności, zgodnie z najlepszymi tradycjami Skimmerhornów. Lata w policji tylko pogłębiły te cechy. Dopóki jej nie ufam, zdołam utrzymać ręce przy sobie.

Dziesięć minut na zimnym powietrzu ochłodziło jego krew. Zebrał narzędzia i wszedł do środka.

Ciągle tam była, siedziała za biurkiem. Zanim Jed zdążył wymyślić jakiś sarkastyczny komentarz, zobaczył jej twarz. Była śmiertelnie blada, płonęły w niej pociemniałe oczy.

- Złe wieści? - spytał, starannie usuwając z głosu wszelkie oznaki zainteresowania. Kiedy nie odpowiadała, odłożył narzędzia. - Doro? - Stał przed biurkiem, jeszcze raz powtarzając jej imię.

Uniosła twarz ku niemu. Jedna z łez, kręcących się w jej oczach, spłynęła na policzek i potoczyła się w dół. Widywał setki płaczących kobiet. Jednym przyglądał się chłodnym okiem, inne budziły w nim dziki żal. Nie pamiętał, żeby coś wstrząsnęło nim bardziej niż ta samotna cicha łza.

Dora zamrugała, po jej policzku potoczyła się następna łza. Zerwała się, wydając jakiś zdławiony dźwięk. Rozum podpowiadał mu, żeby zostawić ją w spokoju, ale pobiegł za nią, dopadając jej dwoma skokami. Chwytał ją gwałtownie i odwrócił twarzą do siebie.

- Co się stało? Czy to twój ojciec?

Potrząsnęła głową z całych sił, usiłując się opanować. Miała ochotę oprzeć głowę na ramieniu Jeda. Być może nie zrobiła tego dlatego, że otoczył ją nim.

- Usiądź. - Choć opierała się, poprowadził ją do krzesła. - Chcesz, żebym przyprowadził twoją siostrę?

- Nie - zacisnęła wargi, odetchnęła głęboko. - Idź sobie. Mógł jej posłuchać, ale i tak miał zbyt wiele na sumieniu.

Podszedł do małego zlewu i nappełnił filizankę Dixie ciepłą wodą.

- Masz. Wypij. Potem usiądź wygodnie, zamknij oczy i odetchnij głęboko kilka razy.

- A to co? Uniwersalne lekarstwo Skimmerhornów? Czując przemożoną potrzebę pogłaskania jej i uspokojenia, wsadził obie ręce do kieszeni.

- Coś w tym stylu.

Wypiła wodę; miała zaschnięte gardło.

Z zamkniętymi oczami, pomyślał Jed, wygląda krucho, zupełnie inaczej niż ta pełna



życia kobieta, której przed chwilą tak pożądał. Usiadł na brzegu biurka i odczekał chwilę.

- Dobrze - powiedziała po chwili. - Działa - westchnęła, otworzyła oczy. - Dziękuję.

- Co cię tak wytrąciło z równowagi?

- Telefon - pociągnęła nosem i sięgnęła do szuflady po paczkę chusteczek. - Poznałam tego pana, kiedy pojechałam w służbową podróż tuż przed Gwiazdką. Zadzwoiłam do niego, żeby się dowiedzieć, czy nie ma w swoim sklepie tego, czego potrzebuje moja klientka - znowu musiała głęboko odetchnąć. - Nie żyje. W zeszłym tygodniu zabił go włamywacz.

- Przykro mi - Jed nie znosił tych słów, zawsze bezużytecznych.

- Spotkałam go tylko raz. Przelicytowałam go na aukcji. Lea i ja poszliśmy do jego sklepu, a on zrobił nam gorącą czekoladę - głos się jej załamał. Przez chwilę walczyła z sobą.

- Rozmawiałam z jego synem. Zabili go następnej nocy.

- Czy złapali mordercę?

- Nie - spojrzała na Jeda. Oboje przyjęli z ulgą fakt, że oczy jej obeschły. - Nie znam żadnych szczegółów. Nie chciałam pytać. Jak ty to znosisz? - zawołała, chwytając dłoń Jeda z gwałtownością, która zaskoczyła ich oboje. - Jak znosisz taką koszmarną codzienność?

- Nie traktuje się tego tak jak w prywatnym życiu. Nie można.

- Odszedłeś, bo przestałeś patrzeć na te sprawy jak policjant?

- Częściowo - odebrał jej swoją dłoń, odstąpił na pewien dystans.

- To chyba niezbyt dobry pomysł.

- Mnie wydawał się dobry.

- Interesujący jest ten czas przeszły, Skimmerhorn - wstała, marząc, by jej żołądek wreszcie się uspokoił. - Powinieneś powiedzieć „wydaje się”, chyba, że się rozmyśliłeś. Moglibyśmy się nad tym zastanowić, ale teraz nie mam jakoś nastroju do dyskusji. Muszę porozmawiać z Leą.

\* \* \*

Gregg i Renée Demosky wrócili do swojego dwupoziomego domu w Baltimore dokładnie o osiemnastej. Jak zwykle kłócili się ze sobą. Wrzeszczeli na siebie przez całą, trwającą dwadzieścia minut jazdę z gabinetu dentystycznego Gregga, gdzie Renée pracowała jako pomocnica. W garażu, w którym Gregg zaparkował brązowe BMW obok ich szycownej toyoty supra, kontynuowali swoją utarczkę, nie przerywając jej aż do drzwi domu.

- Mogliśmy pójść na kolację - powiedziała Renée, otwierając gwałtownie drzwi wejściowe. Była posagową blondynką, która zaczęła się lekko zaokrąglać.

- Raz na jakiś czas chciałabym spojrzeć na ludzi, którzy nie siedzą z otwartymi ustami

- poskarżyła się. - Wpadamy w rutynę, Gregg.

- Lubię rutynę - mruknął. - Daj spokój, Renée, zapomnij o tym. Chcę tylko trochę odetchnąć w moim własnym domu. Czy proszę o zbyt wiele?

- A ja chciałabym gdzieś wyjść, może do Inner Harbor - Renée szarpnęła drzwiczki lodówki i wyjęła potrawkę z tuńczyka. - Ale nie, po całym dniu spędzonym na nogach, przy czyszczeniu cudzych zębów, wracam do domu i muszę przygotować obiad.

Gregg pomaszerał prosto w stronę szkockiej, czekającej na niego w salonie.

- Nie odchodź, kiedy mówię do ciebie! - Renée cisnęła garnek z po trawką do piecyka i pobiegła w ślad za mężem.

W salonie zatrzymała się jak wryta, podobnie jak mąż, i spojrzała osłupiała na rozpościerający się przed nią obraz zniszczenia. To, czego nie ukradziono, było zniszczone lub rzucone na środek pokoju, gdzie niegdyś leżał perski dywan. Miejsce po dwudziestopięciocalowym telewizorze stereo i odtwarzaczu kompaktowym było rozpaczliwie puste.

- Och, Gregg! - wszystkie żale poszły w niepamięć. Renée chwyciła ramię męża. - Okradli nas.

- Nie płacz, kotku. Zajmę się wszystkim. Idź do kuchni i zadzwoń na policję.

- Nasze rzeczy. Nasze śliczne rzeczy.

- To tylko rzeczy - przytulił ją i pocałował w czubek głowy. - Możemy ich mieć więcej. Ciągłe mamy siebie.

- Och - Renée spojrzała na niego przez łzy - naprawdę tak myślisz?

- Jasne - przesunął drżącą dłonią po jej włosach. - A kiedy policja skończy i powie nam, co się stało, wyjdziemy na kolację. Tylko ty i ja.

\* \* \*

DiCarlo pogwizdywał, wtórując Tinie Turner w jego samochodowym stereo. Miał swoje podpórki pod książki w kształcie syren - a także sześćset dolarów, które Demosky ukrył w zamrażalniku, piękny pierścionek z rubinami i brylantami, który Renée zostawiła niedbale na szafce, a także zysk, który będzie miał z przekazania całego sprzętu elektronicznego swojemu staremu paserowi w Kolumbii, w stanie Maryland.

Podsumowując, był to wspaniały dzień. Włamanie wyglądało na zwykły rabunek, a jemu zwróciły się koszty podróży. Teraz zamierzał zafundować sobie hotel pierwszej klasy, zanim odbierze znajdującą się w Wirginii papugę.

Potem wpadnie na chwilę do Filadelfii po obraz.

W ciągu najwyżej dwóch dni Finley przekona się, jak godny zaufania i pomysłowy jest Anthony DiCarlo. I, pomyślał DiCarlo, będzie zmuszony wypłacić mu znaczną nagrodę za świadczone usługi.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W palenisku kominka trzaskały wesoło płomienie. Rzuciły wesołe, ruchome blaski na orientalny dywan i wyłożone jedwabną tapetą ściany. Zapalały blaski w znakomitym wermucie i iskrzyły się w ciężkim rżniętym szkłe bakaratowym. Van Cliburn wykonywał subtelną etiudę Chopina. Wiekowy dystyngowany lokaj podawał na gregoriańskich srebrach pyszne przystawki.

Był to dokładnie taki pokój, w jakim Jed spędził dzieciństwo, te same starannie wyeksponowane bibeloty, przypominające o dawnym bogactwie. A jednak czuło się tu pewną różnicę. W tym pokoju, w tym domu, zaznał nieco krótkotrwałego szczęścia. W tym pokoju nikt na niego nie krzyczał, nie wymyślał mu ani nie traktował z lodowatą obojętnością.

A jednak budził w nim wspomnienia - bolesne wspomnienia - o chłopcu, którym wtedy był.

Jed wstał z niemiłosiernie niewygodnego krzeselka w stylu Ludwika XIV i zaczął spacerować po salonie swojej babki.

W stroju wieczorowym wyglądał na dziedzica fortuny Besterów - Skimmerhornów. Tylko wyraz jego oczu, kiedy zapatrzył się na migoczące płomienie, zdradzał drogę, jaką dla siebie wybrał i walkę, jaką stoczył z samym sobą, by znaleźć właściwe dla siebie miejsce.

To, że musiał tu przyjść, nie sprawiło mu przykrości. Ze wszystkich jego krewnych to właśnie Honoria zaskarbiła sobie jego wdzięczność. Los zrzucił, że to ją właśnie musiał opuścić. Ale drażniło go wykonywanie jej rozkazów.

Dwa razy nie zgodził się pójść z Honorią na Bal Zimowy - wyraźnie i wprost. Nie przyjęła jego odmowy do wiadomości i, posługując się kombinacją podstępów, poczucia winy i nieustępliwości, zdołała go zmusić do wbicia się w smoking.

- A więc, Jedydiaszu, nadal jesteś szybki.

W drzwiach salonu stała Honoria. Miała wyraźne, charakterystyczne dla Nowej Anglii kości policzkowe i wspaniałe błękitne, trochę krótkowzroczne oczy. Śnieżnobiałe włosy miękkimi puklami okalały jej wąską twarz. Jej usta, nadal pełne i w dziwny sposób zmysłowe, wyginał uśmieszek. Chytry uśmieszek. Honoria dobrze wiedziała, kiedy wygrała, czy to partię brydża czy też walkę charakterów.

- Babciu - ponieważ oczekiwała tego, a jemu sprawiało to przyjemność, Jed nachylił się nad jej dłonią - wyglądasz przepięknie.

Była to prawda, a ona o tym wiedziała. Suknia od Adolpha w kolorze królewskiego błękitu podkreślała zarazem kolor jej oczu, jak i wspaniałą figurę. Na szyi, w uszach, na

przegubach nosiła rzucające błyski brylanty. Lubiła te klejnoty, ponieważ na nie zapracowała, a także dlatego, iż była na tyle próżna, by wiedzieć, że ściagną na nią liczne spojrzenia.

- Nalej mi drinka - rozkazała. W jej głosie nadal pobrzmiwał bostoński akcent, nie zmieniony od czasów młodości. - Będziesz miał czas, żeby opowiedzieć mi, co robisz ze swoim życiem.

- Na to nie trzeba wiele czasu - odrzekł, ale posłusznie podszedł do barku z alkoholami.

Pamiętał, jak kiedyś, ze dwadzieścia lat temu, przyłapała go na podkradaniu alkoholu z tego samego barku. Jak zmusiła go, by pił whisky prosto z karafki - i pił, a ona przyglądała mu się stalowym wzrokiem. A potem, kiedy wymiotował jak chore kocię, podtrzymała mu głowę.

„Kiedy będziesz na tyle dorosły, by pić jak mężczyzna, Jedydiaszu, razem będziemy pić przyzwoite koktaile. A na razie nie porywaj się na to, czego nie możesz unieść”.

- Sherry, babciu? - spytał i uśmiechnął się.

- A dlaczegoż to miałabym pić napój dla starszych pań, skoro mamy tu dobrą whisky?  
- szeleszcząc jedwabiami, usiadła przy kominku. - Kiedy zobaczę tę rudere, do której się wprowadziłeś?

- Kiedy zechcesz, ale to nie rudera.

Parsknęła i upiła łyk whisky z masywnej kryształowej szklanki.

- Odrapana nora nad niechlujnym sklepikiem.

- Nie zauważyłem, żeby była odrapana.

- Miałaś całkiem odpowiedni dla siebie dom.

- Miałem dwudziestopokojowe mauzoleum, którego nienawidziłem od zawsze.

Wiedział, że to musiało się stać. W końcu to po niej odziedziczył nieustępliwość, która uczyniła z niego dobrego policjanta.

- To tylko drewno i cegły - powiedziała lekceważąco. - Nienawiść do przedmiotów to głupia strata energii. Poza tym, byłbyś tutaj mile widziany. Jak zawsze.

- Wiem. - Już to przerabiali. Ale ponieważ zależało mu na tym, by z jej oczu zniknęła troska, uśmiechnął się. - Ale nie chciałem komplikować ci twojego życia seksualnego.

Zareagowała natychmiast.

- We wschodnim skrzydle nie byłbyś dla mnie żadną komplikacją. Poza tym zawsze szanowałam twoją niezależność. - Ponieważ zauważyła, że od czasów, gdy złożyła mu pierwszą propozycję, zaszła w nim jakaś nieuchwytna zmiana, odłożyła resztę argumentów. - Kiedy zamierzasz wrócić do pracy?

Wahał się bardzo krótko.

- Nie zamierzam wracać.

- Robisz mi zawód, Jedydiaszu. I jak sądzę, również sobie - wstała majestatycznie. -  
Przynieś moje okrycie. Pora wychodzić.

\* \* \*

Dora uwielbiała przyjęcia. Jednym ze sposobów, w jaki nagradzała się po ciężkim dniu, było wystrojenie się i spędzenie wieczoru w sali pełnej ludzi. Nieważne, że nie знаła nikogo, wystarczyło, żeby było dużo ludzi, zimny szampan i ciekawe potrawy.

Tak się złożyło, że znała wiele osób, które przybyły na Bal Zimowy. Byli tu jej przyjaciele, klienci, widzowie teatru jej rodziców. Mogła się bawić do woli, mieszając się z tłumem, przechodząc od grupy do grupy, wymieniając całuski i nowe ploteczki. Trochę zaryzykowała, wkładając białą suknię bez ramiączek, ale natłok ciał sprawił, że w sali panowało przyjemne ciepło.

- Doro, kochanie, wyglądasz bajecznie - Ashley Draper, karierowiczka pierwszej wody, która ostatnio rozwiodła się z drugim mężem, zbliżyła się do Dory w obłoku „Opium”.

Ashley zawsze plasowała się nieco poniżej granicy koleżeństwa. Dora z rozbawieniem przyjęła szybki markowany pocałunek.

- Wyglądasz promiennie, Ashley.

- Miło, że tak mówisz, choć wiem, że jestem trochę wymięta. Cały tydzień po sylwestrze zamierzam spędzić w „Green Door”. Święta są takie męczące, prawda?

- Bóg jeden wie, jak udaje się nam przez nie przebrnąć - Dora wrzuciła do ust nadziewaną oliwkę. - Myślałam, że siedzisz w Aspen.

- Za tydzień - Ashley kiwnęła palcem o różowym paznokietku w stronę najbliższej pary. - Co za koszmarna suknia - mruknęła, uśmiechając się uroczo. - Wygląda w niej jak faszzerowana oberżyna.

Ponieważ określenie to było morderczo trafne, Dora roześmiała się i przypomniała sobie, dlaczego tolerowała Ashley.

- Przyszłaś sama?

- Boże, nie - Ashley przebiegła wzrokiem tłum. - Moją eskortą jest ten wspaniały byczek z lokami Samsona.

Jeszcze raz opis Ashley okazał się trafiony w dziesiątkę. Dora błyskawicznie rozpoznała przedmiot rozmowy.

- No, no.

- Artysta - mruknęła Ashley niczym kotka. - Zdecydowałam się roztoczyć nad nim opiekę. A skoro mówimy o mężczyznach naszego życia, słyszałam że Andrew opuścił twoje przedsiębiorstwo.

- Naprawdę? - To, że Andrew lub, co bardziej prawdopodobne, jego matka przekreśliła fakty, rozbawiło tylko Dorę. - Powiedzmy, że szukam kogoś bardziej solidnego na pośrednika między mną a urzędem podatkowym.

- A jak tam twój sklepik?

- O, od czasu do czasu sprzedajemy jakiś drobiazg.

- Mmm, aha - finanse nie zajmowały Ashley, jeśli tylko alimenty przychodziły na czas. - Szkoda, że nie było cię na Wigilii u Bergmanów.

- Ja. , niespodziewanie zostałam zatrzymana.

- Mam nadzieję, że on na to zasługuje - mruknęła Ashley, po czym chwyciła nagle dłoń Dory w miążdzący uścisk. - Patrz, tam - zniżyła głos - to sama jaśnie pani. Rzadko pojawia się tu osobiście.

- Kto? - Dora wykręciła szyję z ciekawością. Kiedy ujrzała Jeda, reszta szeptanych wyjaśnień Ashley jakoś jej umknęła. - Przepraszam cię, Ashley. Muszę zająć się tym panem w smokingu.

Wygląda w nim fantastycznie, pomyślała, okrążając salę balową, by zbliżyć się do niego. Zaczekała, aż weźmie z tacy dwa kieliszki z szampanem.

- Wiem - powiedziała, stając za jego plecami - wróciłeś do policji i jesteś tu w przebraniu. - Usłyszała jego ciche przekleństwo. - Co to może być, międzynarodowy rabuś klejnotów? Szajka zbrodniczych złodziei pasztetów z gęsich wątróbek?

- Conroy. Czy ty musisz wszędzie bywać?

- Mam zaproszenie - klepnęła swoją naszywaną dżetami wieczorową torebkę. - A ty, gliniarzu?

- Jezu. Już i tak było źle przez to, że w ogóle muszę tu być bez...

- Jedydiaszu! - władczy głos Honorii zdławił w zarodku wszelkie słowa skargi. - Nie pamiętasz już nic z tego, co cię uczyłam? Przedstaw babce swoją przyjaciółkę.

- Babce? - Dora roześmiała się krótko, ujmując drobnokościstą dłoń. - Naprawdę? Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać, pani Skimmerhorn, choć teraz widzę, że Jed jednak nie wyklął się z jakiegoś bardzo twardego, bardzo opancerzonego jajka.

- Brakuje mu nieco ogłady - Honoria przyjrzała się Dorze z rosnącym zainteresowaniem. - I nazywam się pani Rodgers, moja droga. Przez krótki czas byłam żoną Waltera Skimmerhorna, ale naprawiłam ten błąd tak szybko, jak to było w ludzkiej mocy.

- Jestem Dora Conroy, gospodyni Jeda.

- Ach - w tej jednej sylabie zawarło się morze treści. - I jak spisuje się mój wnuk?

- Jego temperament jest nieco chwiejny - Dora zerknęła na Jeda, z zadowoleniem zauważając jego płonące spojrzenie. - Ale wydaje się dość schludny i z pewnością nie można go nazwać awanturnikiem.

- Miło mi to usłyszeć. Widzi pani, niegdyś, w czasach jego młodości, obawiałam się, że jego gospodarzem będzie raczej kierownik więzienia.

- A zatem musi panią cieszyć, że wybrał właściwą stronę prawa.

- Jestem z niego bardzo dumna. Jest pierwszym i jedynym Skimmerhornem, który coś osiągnął.

- Babciu - Jed bardzo delikatnie ujął ją za ramię - pozwól, że przyniosę ci przystawki.

- Sama mogę to zrobić - równie delikatnie Strząsnęła jego rękę. - I muszę porozmawiać z kilkoma osobami. Zatańcz z tą dziewczyną, Jedydiaszu.

- Tak, Jedydiaszu - powiedziała Dora, kiedy Honoria oddaliła się. - Zatańcz z tą dziewczyną.

- Znajdź sobie inną ofiarę - zaproponował i zaczął zmierzać w kierunku baru. Potrzebował czegoś mocniejszego niż ten szampan.

- Babcia patrzy, koleś - Dora szarpnęła go za rękaw. - Zakładam się, o co chcesz, że zmyje ci głowę, jeśli nie zaprowadzisz mnie na parkiet i nie wykrzeszysz z siebie odrobiny uprzejmości.

Jed odstawił szampana i chwycił ją za ramię. Nie skrzywiła się, choć jego palce mocno wbiły się w jej ciało.

- Nie masz tu żadnego chłopca?

- Nie widzę tu żadnych chłopców - powiedziała Dora, dziękując Bogu, że Jed zwolnił uchwyt, stając w tanecznej pozycji. - Jeśli chodzi ci o jakąś sympatię, to nie. Zazwyczaj nie przyprawiam ich z sobą na przyjęcia.

- Dlaczego?

- Bo muszę wtedy dbać, żeby dobrze się bawili, a ja wolę dbać o siebie.

Orkiestra grała słodką wersję „Twilight Time”.

- Dobrze tańczysz, Skimmerhorn. Lepiej niż Andrew.

- Wielkie dzięki.

- Oczywiście byłoby znacznie bardziej miło, gdybyś patrzył na mnie, a nie na inne pary.

Kiedy opuścił na nią spojrzenie, przechyliła głowę i uśmiechnęła się:



- No i co? Dobrze się bawisz?

- Nie znoszę tego - szkoda, cholernie szkoda, pomyślał, że tak dobrze mieć ją w ramionach. - Ty za tym pewnie przepadasz.

- No pewnie. Czułbyś się lepiej, gdybyś zaakceptował przeznaczenie takich imprez.

- A to przeznaczenie to... ?

- Okazja do pokazania się. - Uniosła palec i zaczęła się bawić kosmykiem jego włosów. - Uwielbiam się pokazywać.

- Już to zauważyłem.

- Zdumiewające zdolności dedukcyjne. Pewnie mają jakiś związek z funkcją kapitana policji.

Przeciagnał dłonią po jej plecach, napotykJąc nagą skórę.

- Wyszłaś kiedyś na przyjęcie w czymś, co nie błyszczy?

- Tylko w przypadku bezpośredniego przymusu. Nie podoba ci się moja sukienka?

- Raczej to, co z niej zostało.

Melodia skończyła się, po niej rozpoczęła się druga, a on zapomniał, że nie miał ochoty z nią tańczyć. Obok przesunęła się Honoria w ramionach dystyngowanego mężczyzny ze srebrzystymi wąsami.

- Wyglądasz w porządku, Conroy.

- Jejku - otworzyła szeroko oczy. - Dotknij, jak szybko bije mi serce.

- Gdybym miał dotknąć twojego serca, zrobiłbym to na osobności.

- Zrobiłaś się taki miły, żeby sprawić babci przyjemność? Spojrzał na nią znowu. Coś w jej uśmiechu sprawiło, że sam również musiał się uśmiechnąć.

- Polubiła cię.

- Jestem sympatyczna.

- Wcale nie. Jesteś upierdliwa - przesunął dłonią w górę i w dół jej pleców, gdzie jedwab sukni ustępował jedwabowi skóry. - Upierdliwa i bardzo seksowna.

- Podobam ci się, Jed - serce zaczęło jej bić mocniej, tylko odrobinę mocniej, gdy powiodła palcami wzdłuż jego karku.

- Może - żeby sprawdzić siebie i ją, pochylił głowę i musnął wargami jej usta.

- Na pewno - poprawiła go. Czowała, że żołądek zaczyna się jej kurczyć. Ignorując głowy, ciekawie odwracające się w ich stronę, pozwoliła, by ich usta zbliżyły się na niebezpieczną odległość. - Moglibyśmy wrócić do domu, zderzyć z siebie ubrania, rzucić się na łóżko i złagodzić trochę to napięcie.

- Ciekawa wizja, Conroy, choć brzmi tak, jakby za chwilę miało nadejść: „albo”...

- Albo - powiedziała, siląc się na uśmiech - moglibyśmy najpierw się zaprzyjaźnić.  
- Kto powiedział, że chcę być twoim przyjacielem?  
- Sam sobie nie pomożesz - dotknęła jego policzka w geście zarówno współczucia, jak i podniecenia. - Mogę stać się naprawdę dobrą przyjaciółką. A ty chyba tego potrzebujesz.

Poruszyła w nim coś, o czym tak bardzo usiłował zapomnieć.

- Skąd możesz to wiedzieć?  
- Bo każdy tego potrzebuje. Bo chociaż trudno być samotnym w sali pełnej ludzi, to ty jesteś samotny.

Oparł czoło o jej głowę, przegrywając walkę toczoną z samym sobą.

- Niech to diabli, Doro. Nie chcę cię lubić. Nie chcę lubić...  
- Nikogo? - skończyła za niego. Kiedy spojrzała mu w oczy, serce ścisnęło się jej boleśnie. - Przecież nie umarłeś - szepnęła.

- Prawie umarłem - odsunął się od niej. - Muszę się napić. Poszła za nim do baru i zamówiła szampana, podczas gdy on chwycił szkocką.

- Coś ci powiem - jej głos znów nabrał blasku. - Spróbujemy czegoś nowego. Nie będę się nad tobą pastwić, i vice versa. Nie będę cię nękać przymówkami ani wyrafinowanymi obelgami.

Przyjrzał się jej, grzechocząc kostkami lodu w szklance.

- To co nam pozostanie?  
- Będziemy żyć zgodnie i przyjemnie - roześmiała się, patrząc na jego uniesione brwi i wzięła go pod rękę. - Dobrze, mnie będzie przyjemnie, a ty postarasz się dostosować. Jesteś głodny?

- Mógłbym być.

- Zobaczmy, co mają w bufecie. Jeśli będziesz miał talerz w ręce, żadna z tych kokietujących cię pań nie będzie się spodziewać, że poprosisz ją do tańca.

- Nikt mnie nie kokietuje - ale ruszył za nią.

- Pewnie, że tak. Sama bym cię kokietowała, gdybym cię nie znała. - Zastanowiła się, czy wybrać mus z łososia czy nadziewane grzybki i zdecydowała się na oba specjały. - Chyba nie widziałam cię dotąd na Balu Zimowym, a od trzech lat nie opuściłam żadnego.

Zawsze udawało mi się wykręcić, zasłaniając się pracą, pomyślał Jed. Bez słowa zabrał z jej talerza kostkę sera.

- Te rozmowy to dla ciebie coś strasznego, nie? - Z uśmiechem nałożyła sobie nową porcję jedzenia i wspaniałomyślnie przysunęła talerz w stronę Jeda. - Pomogę ci. To jest tak, że ja coś mówię, a ty, zależnie od tego, co powiedziałam, śmiejesz się, dziwisz, jesteś zły,

zaciekawiony i coś mi odpowiadasz. Teraz rozumiesz?

- Zawsze jesteś cholernie dowcipna, Conroy.

- Dobrze. Dobry początek - wzięła małe szpinakowe ciasteczko. - Słuchaj, czy twoja babka to ta Honoria Rodgers, która parę miesięcy temu kupiła w Christie emaliowany lichtarz z dynastii Cing w kształcie słonia?

- Nic nie wiem o żadnym słoniu, ale to jedyna Honoria Rodgers, o jakiej mi wiadomo.

- Fantastyczny egzemplarz, przynajmniej w katalogu. Nie mogłam przyjechać do Nowego Jorku, ale kilka razy zgłosiłam telefonicznie swoją ofertę. Oczywiście nie w sprawie Cing. Nie moja sfera. Chciałabym czasem na niego spojrzeć.

- Jeśli usiłujesz naciągnąć mnie na zaproszenie, musisz z nią sama pogadać.

- Ja tylko prowadzę towarzyską konwersację, Skimmerhorn. Spróbuj tego - zachęciła z pełnymi ustami i wzięła następne ciasteczko. - Niesamowite.

Zanim zdążył zgodzić się lub odmówić, już wkładała mu ciasteczko do ust.

- Świetne, co?

- Nie lubię szpinaku - skrzywił się i popił ciastko szkocką.

- Ja też nie lubiłam, ale ojciec przekonał mnie, śpiewając „Popeye the Sailorman”. Miałam dwadzieścia lat - powiedziała poważnie. - I byłam naiwna.

Kiedy usta zadrgały mu w uśmiechu, uniosła kieliszek w toaście.

- No proszę. I tak ładnie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz.

- Doro, kochanie - Ashley, ciągnąca ze sobą swojego młodego artystę, wspięła się na wysokie brązowe krzeselko. - Jak to się dzieje, że tyle jesz i jesteś taka szczupła?

- Drobnny układzik z szatanem.

Ashley roześmiała się wesoło i obdarzyła Jeda przeciągłym spojrzeniem, które Dora zdecydowanie uznałaby za kokieterijne.

- Isadora Conroy, Heathcliff - przedstawiła swojego towarzysza, jakby był chlubą stadniny. - Odkryłam go w cudownej małej galerii na South Street.

- O? - Dora nie zadała sobie trudu, by przypomnieć Ashley, że to jej sklep znajduje się przy South. - Zawsze chciałam coś odkryć. Jak Krzysztof Kolumb. Albo Indiana Jones. - Ponieważ Heathcliff wydawał się wyłącznie zbity z tropu, zlitowała się nad nim. Podążyła talerz Jedowi i wyciągnęła rękę: - Ashley mówi, że jest pan artystą.

- Tak. Ja...

- Robi nadzwyczaj zmysłowe studia z natury - Ashley pogładziła ramię Heathcliffa, jakby głaskała ulubionego pieska. - Po prostu musisz je zobaczyć.

- Obowiązkowo.

- Chyba nie przedstawiłaś mnie swojemu towarzyszowi.

- Bo go nie mam. To śmieszna nazwa, nie sądzisz? Tak jakby potrzebne mi było towarzystwo, żebym nie czuła się samotnie. Ja nigdy nie jestem samotna.

- Doro - Ashley znów zaśmiała się krótkim, dziewczęcym śmiechem - jesteś taka dowcipna.

- Nie bardzo - mruknął Jed.

Dora obdarzyła go najmiłym ze spojrzeń.

- Jed Skimmerhorn, Ashley Draper i Heathcliff.

- O, rozpoznałam kapitana Skimmerhorna - Ashley wyciągnęła ku niemu dłoń i odczekała, aż odda talerz Dorze. - A właściwie: nieuchwytnego kapitana Skimmerhorna - musnęła palcami jego rękę. - To takie niezwykle, że udało nam się skusić pana na choćby przelotny kontakt z nami.

- Nie uważam przelotnych kontaktów za kuszące. Tym razem śmiech Ashley brzmiał głęboko i gardłowo.

- Ja osobiście lubię je zacieśniać. A jak to się stało, że się poznaliście?

Dora przejęła piłeczkę, by uchronić Ashley przed jakimś komentarzem Jeda.

- Jed i ja mamy wspólną pasję - powiedziała i wolno, z namysłem pociągnęła łyk szampana. - Poduszcзки do szpilek.

Oczy Ashley zaokrągliły się. - Poduszcзки...

- Jed ma zupełnie niewiarygodną kolekcję. Spotkaliśmy się na pchlim targu, kiedy oboje sięgnęliśmy po wiktoriańską poduszczkę z błękitnego ałasu i koronek, w kształcie serca, razem ze szpilkami... - Westchnęła tęsknie z rozmarzeniem.

- Kolekcjonuje pan... poduszcзки do szpilek? - Ashley zwróciła się do Jeda.

- Od dziecka. To jakaś obsesja.

- A jak się lubi droczyć! - Dora posłała mu porozumiewawcze spojrzenie ponad krawędzią kieliszka. - Podtyka mi pod sam nos swoją podkówkę z wizerunkami koni. I wie doskonale, że zrobię wszystko, dosłownie wszystko, żeby ją zdobyć.

- Negocjacje... - przesunął palcem wzdłuż jej gardła - ... są rozpoczęte.

- Fascynujące - mruknęła Ashley.

- O, tak - zgodziła się Dora. - O, jest Magda i Carl. Wybaczysz nam, prawda? Po prostu muszę z nimi pogadać.

- Poduszcзки? - mruknął Jed wprost do jej ucha, kiedy udało im się zgubić w tłumie.

- Przyszły mi jeszcze do głowy półmiski na sardynki, ale uznałam je za zbyt pretensjonalne.

- Mogłaś powiedzieć jej prawdę.

- Po co? Zastanowił się. - Bo prościej?

- I nudniej. Poza tym, jeśli usłyszysz, że mieszkamy w jednym domu, zaczniesz mnie nachodzić w nadziei, że uda się jej uwieść cię. A tego byśmy nie chcieli, prawda?

Jed obejrzał się przez ramię, wydymając usta w zamyśleniu i przyjrzał się Ashley wnikliwie. - Cóż...

- Wykorzystałaby cię i rzuciła - zapewniła go Dora. - O, jest twoja babka. Chcesz do niej podejść?

- Nie, jeśli zamierzasz męczyć ją o te świeczniki. W gruncie rzeczy nie to było jej zamiarem.

- Po prostu boisz się, że znów każe ci ze mną tańczyć. Coś ci powiem, naprawdę pójdę porozmawiać z Magdą i Carlem, a ty dołączysz do mnie później, jeśli zechcesz.

Wziął ją pod rękę, przyjrzał się ze zmarszczonymi brwiami swojej dłoni i odsunął ją.

- Nie szwendaj się nigdzie.

- Jakie czarujące zaproszenie. Bo co?

- Bo skoro mam tu ugrzęznąć na parę ładnych godzin, równie dobrze mogę ugrzęznąć z tobą.

- Poezja, czysta poezja. Jak mogłabym się oprzeć? Zobaczmy, czy twoja babka nie chciałaby czegoś przekąsić. Obiecuję, że nie wspomnę o świecznikach, dopóki nie nadejdzie właściwy moment.

- Jed.

Jed zeszywniał, czując dotknięcie czyjejś ręki na swoim ramieniu i odwrócił się.

- Pan komisarz - powiedział. Jego twarz i głos były pozbawione jakichkolwiek emocji.

- Dobrze, że cię spotkałem - komisarz James Riker zmierzył Jeda krótkim, lecz uważnym spojrzeniem. To, co zobaczył, musiało mu się spodobać, bo jego szczupła, smągła twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Widzę, że nadal jesteś w formie.

- Tak jest.

- No cóż, i tak należał ci się urlop, Bóg wie, jak bardzo. Jak minęły ci święta?

- Świetnie! - Ponieważ nie mógł dłużej zignorować spojrzenia, jakim Riker mierzył Dorę, spełnił swój obowiązek: - komisarz Riker, Dora Conroy.

- Miło mi - ponieważ miała zajęte ręce, uśmiechnęła się tylko do niego. - A więc to pan czuwa na straży prawa w Filadelfii.

- Czuwam nad tym, by ten zawód wykonywali tacy ludzie jak Jed. Nawet jeśli Riker

nie wyczuwał napięcia, czuła je Dora. Odezwała się w niej potrzeba chronienia Jeda. Gładko zmieniła kurs.

- Zdaje się, że większość pańskich zajęć ma charakter administracyjny.

- To prawda.

- Nie brak panu prawdziwej akcji? - uśmiechnęła się, podając Jedowi pustą szklanę. -

W filmach policjantom zawsze tego brak.

- Właściwie brak. Od czasu do czasu.

- Muszę o to zapytać. Mam takiego krwiożerczego siostrzeńca, który na pewno zechce o tym usłyszeć. Był pan kiedyś ranny?

Nawet jeśli pytanie zaskoczyło go, Riker znakomicie ukrył zdziwienie.

- Nie. Przykro mi.

- Nic nie szkodzi. Skłamię.

- Mam nadzieję, że wybaczy pani, panno Conroy, ale muszę na chwilę porwać Jeda.

Burmistrz chciałby zamienić z nim słówko.

Dora ustąpiła z gracją.

- Było mi miło, panie komisarzu.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Jed, pozbawiony szansy ucieczki, oddał jej pustą szklanę.

- Przepraszam.

Oho, naprawdę mi się to nie podoba, pomyślała patrząc, jak odchodzi, Nic tego nie zdradzało, ani twarz, ani oczy, ale nie podoba mi się to, Poszedłby z większym entuzjazmem na spotkanie plutonu egzekucyjnego.

Kiedy wróci, będzie wściekły, pełen wyrzutów sumienia albo po prostu zgnębiony. Dora zastanowiła się współczująco, czy mogłaby jakoś odwrócić jego uwagę od emocji, jakie wzbudzili w nim komisarz i burmistrz i przełączyć je na inny kanał.

Rozbawić go? pomyślała, idąc po nowy kieliszek szampana. Łatwiej byłoby go wkurzyć. Nawet nie wymagałoby to wiele wysiłku.

- Myślałam, że bardziej zwracają uwagę na to, kogo tu zapraszają. Chropowaty głos dawał się od razu zidentyfikować. Dora odwróciła się z promiennym uśmiechem na ustach.

- Pani Dawd, Andrew, jak... interesująco. Pani Dawd wciągnęła głośno powietrze.

- Andrew, przynieś mi napój firmowy.

- Tak, mam.

Pani Dawd nachyliła swoją krępa, opiętą w czarny atlas sylwetkę tak blisko Dory, że ta mogła podziwiać siwe włoski, porastające brodę matrony.

- Wiem, kim pani jest, panno Conroy. Oczywiście ostrzegałam go, ale Andrew, jak każdy mężczyzna, jest podatny na kobiece sztuczki.

- Wszystkie sztuczki usunęłam sobie operacyjnie. Mogę pokazać blizny.

Kobieta zignorowała ją.

- Ale czego można się spodziewać po kimś z aktorskiej rodziny? Dora odetchnęła głęboko, powoli upiła łyk szampana. Nie pozwoli, absolutnie nie pozwoli tej starej idiotce wyprowadzić się z równowagi.

- Te aktorskie rodziny - powiedziała lekko - Fondowie, Redgravowie, Bridgesowie. Bóg jeden wie, dlaczego pozwala się im kłaść dobre towarzystwo.

- Wydaje się pani, że jest pani mądra.

- Mamo, twój napój.

Pani Dawd odepchnęła gwałtownie Andrew i napój.

- Wydaje się pani, że jest pani mądra - powtórzyła, podnosząc głos na tyle, by parę osób zaczęło szeptać. - Ale pani sztuczki na nic się nie zdadzą.

- Mamo...

- Cicho bądź, Andrew - w jej spojrzeniu pojawił się ogień. Była niczym niedźwiedzica, broniąca swojego dziecka.

- Tak, Andrew, cicho bądź - Dora uśmiechnęła się drapieżnie. - Mama Dawd zaraz opowie mi o moich sztuczkiach. Chodzi pani o tę, kiedy kazałam pani obleśnemu synkowi zabrać ręce spod mojej spódnicy?

Kobieta syknęła gniewnie.

- Zwabiłaś go do swojego mieszkania, a kiedy twoje żalose umizgi nie odniosły skutku, napadłaś na niego. Ponieważ zrozumiał, kim naprawdę jesteś.

Teraz w oczach Dory pojawił się błysk lasera.

- Czyli?

- Kurwą - syknęła Dawd. - Flądra. Nierządnica.

Dora odstawiła kieliszek, żeby uzyskać swobodę ruchów. Zaciśnęła pięści i zastanowiła się poważnie nad użyciem ich. Zadowolona się jednak umieszczeniem talerza na szczyrze złanej lakierem fryzurze pani Dawd.

Wrzask, który rozległ się w sali, mógłby zburzyć mury Jerycha. Pani Dawd rzuciła się do przodu z musem z łososia zalewającym jej oczy. Dora przygotowała się na atak i nagle sama jęknęła, chwycona od tyłu.

- Jezu Chryste, Conroy - szepnął Jed, wlokąc ją ku drzwiom. - Nie mogę zostawić cię samą na pięć minut?

- Puszczaj! - odepchnęłyby go, ale trzymał ją mocno za ramiona. - Należy jej się.  
- Nie chce mi się płacić za ciebie kaucji - szedł w kierunku wygodnych foteli stojących wśród roślin w doniczkach. Orkiestra zaczęła grać „Stoimy Weather”.

Bardzo na czasie.

- Siadaj - podkreślił rozkaz pchnięciem, które wbiło ją w fotel. - Oprzytomniej.  
- Słuchaj no, Skimmerhorn, to moje prywatne sprawy.  
- Chcesz, żeby komisarz zapuszkował cię za zakłócanie spokoju? - zagadnął łagodnie.  
- Parę godzin w pudle ochłodziłoby cię.

I ty też, pomyślała gniewnie. Sapnęła, tupnęła nogą i splotła ramiona.

- Daj mi...

Już zapalał papierosa i podawał go jej.

- Dziękuję - zamilkła.

Znał ją. Zaciągnie się płytko trzy, może cztery razy i zacznie mówić. Raz, powiedział do siebie. Dwa. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Trzy.

- To nie ja zaczęłam - wydeła kapryśnie usta, gasząc papierosa. Jed uznał, że bezpieczniej jest usiąść.

- Niczego takiego nie twierdziłem.

- Ale to nie ją chciałeś aresztować.

- Sądziłem, że będzie miała dość kłopotu z wydłubywaniem pieprzu z włosów. Chcesz drinka?

- Nie - wołała się nadąsać. - Słuchaj, Skimmerhorn, ona obraziła mnie, moją rodzinę i w ogóle wszystkie kobiety. A ja to zniosłam - dodała, zgodnie z prawdą. - Nawet kiedy nazwała mnie przybłądą, flądą i kurwą.

Jego twarz wyraźnie spoważniała.

- Tak cię nazwała?

- A ja to zniosłam - ciągnęła Dora - bo powtarzałam sobie, że to tylko stara, pomyłona idiotka. Nie zamierzałam zrobić sceny. Nie chciałam zniżyć się do jej poziomu. Ale poszła za daleko, o jeden krok za daleko.

- Co zrobiła?

- Nazwała mnie nierządnicą.

Jed zamrugnął oczami, bohatersko usiłując opanować łaskotanie na karku. - Jak?

- Nierządnicą - powtórzyła, uderzając pięścią w krzesło.

- Więc dajmy jej nauczkę.

Dora uniosła podbródek, jej oczy zwęziły się.



- Nie waz się roześmiać. - Kto się śmieje?
- Ty, do cholery. Zagryzasz wargi, żeby się nie roześmiać.
- Nieprawda.
- Prawda. Mówisz niewyraźnie.
- To whisky.
- Akurat.

Odwróciła od niego głowę, ale zdążył zauważyć drgnięcie jej ust. Kiedy zwrócił jej twarz ku sobie, oboje uśmiechnęli się do siebie szeroko.

- Dzięki tobie ten wieczór stał się interesujący, Conroy.
- To dobrze - jej gniew już minął. Zachichotała i oparła głowę na jego ramieniu. - Chciałam cię czymś zająć, żebyś zapomniał, że burmistrz i Riker wyprowadzili cię z równowagi.

- Dlaczego mieliby mnie wyprowadzić z równowagi?
- Naciskali na ciebie, prawda? - Choć nie poruszył się, w jakiś sposób się od niej oddalił. - Na szczęście zjawiała się pani Dawd i nie musiałam się wysilać.
- A więc walnęłaś ją talerzem, żeby podnieść mnie na duchu.
- Nie, zrobiłam to z czystego egoizmu, ale uzyskałam przy okazji interesujące skutki uboczne - odwróciła głowę. - Pocałuj mnie, dobrze?

- Po co?
- Bo chcę. Tak po przyjacielsku.

Podniósł palcem jej podbródek i musnął jej usta wargami.

- Wystarczająco przyjacielsko?
- Tak, dziękuję.

Na jej twarzy zaczął pojawiać się uśmiech, ale on uniósł dłoń i objął ją za szyję. Jeszcze raz nachylił się nad jej ustami, nie zamykając oczu, rozchylił językiem jej wargi i poczuł smak jej pierwszego drżącego westchnienia.

To było jak woda, czysta słodka woda po męczarniach pragnienia. Zaczepnął jej jeszcze raz.

Poczuła ostry skurcz pożądania, gwałtowną, drażniącą falę, która pozbawiła ją sił. Nie przytulił jej mocniej, nie pogłębił pocałunku. Jego dotknięcie było powolne, chłodne, druzgocząco świadome.

Kiedy ją puścił, nie otworzyła oczu, nadal smakując zalewający ją potop wrażeń. Kiedy wreszcie uniosła powieki, czuła w uszach łomot serca.

- Boże - zdołała z siebie wydusić.

- Jakiś problem?

- Chyba tak - zacisnęła usta. Mogłaby przysiąc, że czuje w nich wibrację. - Chyba... chyba już pójdę - trzęsły się jej kolana. Trudno jest panować nad sytuacją, pomyślała, kiedy trzęsą ci się kolana.

Dotknęła dłonią brzucha, w którym nadal czuła twardą, gorącą kulę: pożądanie.

- Boże - powtórzyła i odeszła.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nowy system alarmowy zainstalowany w domu Dory nie na żarty zirytował DiCarla. Unieszkodliwianie go i pokonywanie bardziej opornych zamków zajęło mu więcej czasu, niż przewidywał, i kompletnie zburzyło jego plany. Miał nadzieję uwinąć się z magazynem do północy. Jeśli ta Conroy kupiła ten cholerny obraz, to jest on tutaj, zgodnie z tym, co powiedziała mu w Wigilię ta duża ruda.

A teraz będzie miał szczęście, jeśli zdoła do północy znaleźć się w środku. Co gorsza, zaczął padać obrzydliwy deszcz ze śniegiem. Chirurgiczne rękawiczki, jakie nosił, nie stanowiły najlepszej ochrony przed zimnem.

Przynajmniej księżyc nie świeci, pomyślał pracując i dygocząc. A na zwirowanym podjeździe nie ma pojazdów, co oznacza, że nikogo nie ma w domu. Mimo tych komplikacji do rana znajdzie się w Nowym Jorku. Będzie spał przez cały dzień, a potem złapie późny lot na Wybrzeże. Kiedy tylko wręczy Finleyowi jego zabawki, przyjmie wyrazy wdzięczności i hojną zapłatę, wróci do Nowego Jorku i zacznie świętować sylwestra.

Zadrzał; zimno wciskało mu się pod kołnierz setkami lodowatych mrówek.

Mruknął z satysfakcją, kiedy ostatni zamek poddał się.

W niespełna kwadrans miał już pewność, że obrazu nie ma w magazynie. W przebiegu ostrożności powstrzymał dziką chęć zdemolowania pomieszczenia. Jeśli wyniknie jakiś problem z obrazem, lepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie o włamaniu.

Jeszcze raz dokładnie przeszukał sklep, automatycznie zwijając po drodze parę drobiazgow, w tym pieska Foo z jadeitu, którego usiłowała sprzedać mu Terri.

Zrezygnowany, podążył na piętro. Kiedy u szczytu schodów napotkał zamknięte na klucz drzwi, zaklął, choć bez zbytniego przekonania. Ten zamek był bardziej na pokaz. Szybko się z nimi uporał.

Zaczął nasłuchiwać, lecz nie usłyszał niczego. Żadnego radia, telewizji, rozmowy. Cicho ruszył korytarzem, wyglądając przez drzwi, żeby sprawdzić, czy podjazd jest nadal pusty.

Trzy minuty później był już w mieszkaniu Jeda. Poszukiwania skończyły się właściwie wkrótce po tym, jak się rozpoczęły. Na ścianach nie było żadnych obrazów, nie było ich też w szafach. Pod łóżkiem nie znalazł niczego, z wyjątkiem wymiętoszonej broszury „The Haunting of Hill House” Shirley Jackson i zwiniętej w kłębek skarpetki.

Znalezioną w szafce trzydziestkęosemkę obdarzył pewną dozą uwagi, ale po obejrzeniu odłożył ją na miejsce. Dopóki nie znajdzie obrazu, nie może ukraść niczego

dającego się zauważyć. Wychodząc przyjrzał się przelotnie przyrządom gimnastycznym.

Wejście do pokoju Dory było kwestią chwili. Nie zadała sobie trudu, by zamknąć drzwi na klucz.

Tutaj poszukiwania wyglądały zupełnie inaczej. Podczas gdy w mieszkaniu Jeda znajdowało się minimum mebli, u Dory było ich mnóstwo. Nieład u Jeda wynikał z jego niedbałości. U Dory był stylem życia.

Było tu kilka obrazów. Akwarelowa martwa natura, dwa owalne portrety: jeden przedstawiający mężczyznę o srogim obliczu, uwięzionego w sztywnym kołnierzyku, drugi - równie srogą kobietę. Wśród pozostałych można było znaleźć litografie z podpisami, plakaty reklamowe, szkice piórkiem oraz przychepione do lodówki rysunki, wykonane palcem. Ale abstrakcji nie było.

Przeszedł do sypialni, by przeszukać szafę. Ponieważ on również nie zamknął za sobą drzwi, ledwie zdążył zareagować, słysząc, że . się otwierają. Zanim się zamknęły, DiCarlo siedział już w kolekcji kolorowych ciuszków, erotycznie pachnących kobietą.

- Chyba mi odbiło - powiedziała do siebie Dora. - Kompletnie mi odbiło. - Zdjęła płaszcz, powiesiła go na oparciu krzesła i ziewnęła rozdzierająco. Jak jej rodzice zdołali ją do tego namówić? Dlaczego pozwoliła im się w to wmanewrować?

Nie przestając mruczeć pod nosem, poszła prosto do sypialni. Miała takie zwyczajne plany na ten wieczór, pomyślała. Miły, samotny posiłek złożony z pieczonego na grillu kurczaka i nie łuskanego ryżu; długa wonna kąpiel z kieliszkiem Chardonnay w charakterze towarzystwa. Wszystko to miało zostać uwieńczone czytaniem dobrej książki przy blasku kominka.

Ale nie, pomyślała, włączając jedną ze stojących przy łóżku lamp Tiffany'ego. O nie, ona musiała dać się złapać w starą rodzinną pułapkę pod tytułem „spektakl musi trwać”.

Czy to jej wina, że trzech pomocników leżało złożonych grypą? Czy to jej wina, że pozwoliła ojcu zmusić ją do przystąpienia do związku?

- Absolutnie nie - powiedziała do siebie, zdejmując przez głowę obcisły czarny kaszmirowy sweter. - W nosie mam tę całą grypę. Nic muszę czuć się zobowiązana do rzucania się w przepaść tylko dlatego, że mam kartę IATSE.

Schyliła się z westchnieniem, by rozwiązać swoje ciasne tenisówki. Zamiast spędzić spokojny, relaksujący wieczór w domu, odpowiedziała na rozpaczliwe wezwanie matki i przez kilka godzin nosiła rekwizyty i dekoracje.

Z niechęcią musiała przyznać, że sprawiało jej to przyjemność. Stanie w kulisach i nasłuchiwanie echa głosów, pośpiech po zgaśnięciu świateł przy zmianie dekoracji, uczucie

rodzinnej dumy, kiedy zespół kłaniał się po zakończeniu sztuki.

W końcu, pomyślała ziewając, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Przez pięciocentymetrową szczelinę w drzwiach szafy DiCarlo mógł podziwiać wspaniały widok. Im więcej widział, tym bardziej jego rozdrażnienie ulatniało się. Ta sytuacja stwarzała nowe możliwości, których z początku nie dostrzegł.

Kobieta, schylająca się i przeciągająca na łóżku wykonywała bardzo intrygujący striptiz. Teraz miała na sobie tylko czarne majtki i biustonosz, bardzo skąpe, bardzo koronkowe. DiCarlo przyjrzał się płynnej krzywiznie jej pośladków, kiedy schyliła się, by dotknąć palców u stóp.

Była cudownie zbudowana, mocna i jędrna. A z jej ruchów można się było domyśleć, że jest bardzo, bardzo zwinna.

Zmieniła jego plany, ale DiCarlo szczyił się umiejętnością twórczego myślenia. Teraz po prostu zaczeka, aż bardzo ładna, bardzo samotna pani pójdzie do łóżka.

Dora odwróciła się, dając mu okazję do podziwiania obleczonego w czarną koronkę biustu.

Bardzo ładny, pomyślał i uśmiechnął się w ciemnościach. Naprawdę bardzo ładny.

A kiedy już będzie w łóżku, DiCarlo nie spodziewał się napotkać jakichś trudności. Posługując się swoim wyjątkowym wdziękiem i... automatyczną dwudziestkądwójką, przekona ją, by powiedziała mu, gdzie znajduje się obraz.

A po obowiązkach przyjemność. Może nawet nie będzie musiał jej zabijać.

Dora odrzuciła do tyłu włosy, poruszyła ramionami. Jakby pozowała, pomyślał DiCarlo. Krew napłynęła mu do lędźwi i pulsowała w nich niecierpliwie. Obróciła łagodnie głowę, zamykając oczy i uśmiechając się delikatnie.

Jej ręce uniosły się ku zapięciu znajdującemu się z przodu stanika.

Łomot do drzwi sprawił, że podskoczyła. W szafie DiCarlo syknął z rozdrażnieniem i niepokojem.

- Zaraz! - krzyknęła Dora, łapiąc leżący w nogach łóżka biały kosmaty szlafrok. Zaczęła się z nim szarpać przy wtórce dobijania się do drzwi. Wybiegła z sypialni, gasząc po drodze światło. Zatrzymała się z ręką na klamce.

- Jed?

- Otwieraj, Conroy.

- Ale mnie przestraszyłeś - powiedziała, otwierając drzwi. - Właśnie... - zamilkła, widząc wyraz jego twarzy. Widziała już jego wściekłość, ale nigdy tak potężną i nigdy tak nieubłagane godzącą prosto w nią. Instynktownie uniosła dłoń do gardła i cofnęła się.

- Co?

- Co ty, kurwa, robisz?

- Ja... idę spać - powiedziała ostrożnie.

- Myślisz, że ponieważ ci płacę, możesz otwierać drzwi tym swoim kluczem i grzebać w moich rzeczach, jak tylko przyjdzie ci na to ochota?

Opuściła dłoń, mocno chwytając klamkę.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Skończ z tymi pierdołami - złapał ją za przegub i wywłókł na korytarz. - Wiem, że ktoś grzebał w moich rzeczach.

- Boli! - jej próby zachowania stanowczości żałośnie spełzły na niczym. Bała się, naprawdę się bała, że mógłby zrobić coś o wiele gorszego.

- Przygotuj się na to, skoro wchodzisz na mój teren.

Cisnął nią wściekle o ścianę. Jej stłumiony okrzyk pełen zdziwienia i bólu tylko rozjątrzył jego furję.

- Czego szukałaś? Czego się, kurwa, spodziewałaś?

- Odczep się - usiłowała się mu wyrwać, zbyt przerażona, żeby przeczyć. - Zabieraj łapy.

- Chcesz sprawdzić, co mam? - jego oczy przeszywały ją na wylot. Zwierzę wyrwało się z klatki. To było wszystko, co zdołała pomyśleć.

- Myślisz, że możesz grzebać w moich szufladach i szafach, bo zawróciłaś mi w głowie, a ja zamknę na to oczy? - oderwał ją od ściany i gnany przez demony powłókł ją, potykającą się, za sobą. - Świetnie. - Otworzył swoje drzwi, wepchnął ją do pokoju. - Przyjrzyj się. Dobrze się przyjrzyj.

Nawet usta miała białe. Oddychała ciężko. Stał między nią a drzwiami. Nie było nadziei, że uda jej się go wyminąć. Z sercem tłukącym się o żebra spojrzała w jego twarz i zobaczyła, że nic go nie przekona.

- Oszalałaś.

Żadne z nich nie usłyszało, jak DiCarlo wyslizguje się z pokoju i znika. Stali na wprost siebie, Dora podtrzymywała dłonią szlafrok opadający z jej ramion.

- Myślałaś, że nie zauważę? - Był zbyt szybki, by mogła mu umknąć. Złapał ją za klapy szlafroka i szarpnął w górę. Szwy w szlafroku trzasnęły sucho.

- Przez czternaście pieprzonych lat byłem gliną. Znam się na tym.

- Przestań! - szarpnęła się. Trzask pękającego rękawa zabrzmiał niczym krzyk. W jej oczach pojawiły się łzy przerażenia, obfite, rozmazujące ostrość widzenia. - Nie było mnie tu.

Niczego nie dotykałam.

- Nie kłam - ale przez furję zaczęły do niego docierać pewne wątpliwości.

- Zostaw mnie - wydarła się mu, padając do tyłu i uderzając się o stół. Powoli, jak ktoś, kto spodziewa się, że tygrys znowu skoczy, zaczęła się wycofywać. - Nie było mnie tutaj. Wróciłam do domu dziesięć minut temu. Na litość boską. Dotknij maski mojego samochodu. Pewnie jest jeszcze ciepła - jej głos łamał się do taktu uderzeń serca. - Przez cały wieczór byłam w teatrze. Możesz zadzwonić, sprawdzić.

W milczeniu patrzył, jak zbliża się do drzwi. Jej szlafrok rozchylił się. Widział jej drżące mięśnie i lśnienie potu panicznego przerażenia. Płakała krótkimi, zdławionymi szlochami, szarpiąc się z klamką.

- Nie zbliżaj się do mnie - wyszeptała. - Nie chcę, żebyś się do mnie zbliżał - umknęła, zostawiając otwarte drzwi i zatrząskując swoje.

Stał bez ruchu, czekając, aż jego serce zwolni i powróci opanowanie, choćby na chwilę.

Nie mylił się. Niech to diabli, nie pomylił się. Ktoś był w jego pokoju. Poruszono jego książki, rozrzucono ubrania, dotknięto pistoletu.

Ale to nie była Dora.

Przycisnął dłonie do oczu, czując falę mdłości. Ekspłodował. Nic dziwnego, pomyślał, opuszczając ręce. Cekał na to od miesiący. Czy nie dlatego oddał odznakę?

Wrócił do domu po koszmarnym dniu pełnym użerania się z prawnikami, księgowymi i bankierami i eksplozował jak granat.

I jakby tego było mało, napadł na kobietę. Dlaczego właśnie na nią? Bo podobała mu się. Podobała mu się, a to był doskonały sposób, by kazać jej za to zapłacić. Pięknie, Skimmerhorn, powiedział do siebie z nienawiścią i udał się w kierunku kuchni. I whisky.

Zatrzymał się, zanim jeszcze napełnił szklanke. Przeciagnał dłonią po włosach, odetchnął głęboko i poszedł do Dory, wybierając trudniejszy sposób.

Usłyszawszy pukanie, zamarła na poręczy fotela, na której się kołysała. Podniosła gwałtownie głowę. Wstała powoli.

- Doro, przepraszam - po drugiej stronie drzwi Jed zacisnął powieki. - Cholera - szepnęła i zapukał znowu. - Pozwól mi wejść na chwilę, dobrze? Chcę sprawdzić, czy nic ci nie jest. - Znowu milczenie, kładące się mu ciężarem na piersi. - Tylko na chwilę. Przysięgam, że cię nie dotknę, chcę tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest, to wszystko.

Nacisnął niepewnie klamkę.

Spojrzała na nią rozszerzonymi oczami. O Boże, o Boże, pomyślała w przerażeniu, nie

zamknęłam drzwi. W jej gardle odezwał się cichy, zdławiony dźwięk. Sięgnęła w stronę drzwi dokładnie w chwili, w której Jed je otworzył.

Kiedy znieruchomiała, na jej twarzy zobaczył dziki strach, coś, co przez zbyt wiele lat widywał na zbyt wielu twarzach. Miał nadzieję, że będzie umiał uspokoić ten strach równie skutecznie, jak go obudził. Bardzo powoli uniósł ręce, wyciągając je przed siebie.

- Zostanę tutaj, nie podejść ani kroku bliżej. Dygotała jak listek.

- Nie dotknę cię, Doro. Chcę cię przeprosić.

- Po prostu mnie zostaw.

Policzki miała nadal mokre, ale jej oczy były już suche, suche i przerażone. Nie mógł odejść, nie ukoiszy tego strachu.

- Zrobiłem ci coś? - zaklął, kiedy zdał sobie sprawę z głupoty tego pytania. Już teraz widział siniaki. - Jasne, że tak.

Jej krzyk, kiedy cisnął nią o ścianę, odezwał się znów w jego głowie i sprawił, że żołądek skurczył się mu boleśnie.

- Dlaczego?

To, że spytała, zaskoczyło go.

- Czy to ważne? Nie mam żadnego wytłumaczenia. Nawet przeprosiny nie wystarczą przy tym, co zrobiłem. Chciałbym... - postąpił krok naprzód i zamarł, kiedy cofnęła się. Wolałby dostać cios w brzuch. - Chciałbym powiedzieć, że to było usprawiedliwione, ale to nieprawda.

- Chcę wiedzieć, dlaczego - jej dłoń zwierła się i rozwierła na kołnierzu szlafroka. - Jesteś mi to winien.

W gardle uwięzła mu ognista kula. Nie wiedział, co sprawia mu więcej bólu, milczenie czy wykrztuszenie tego z siebie. Ale miała rację. Był jej to winien.

- Speck włamał się do mojego domu w tydzień po tym, jak zabił moją siostrę. - Ani jego twarz, ani głos nie zdradzały, ile go kosztowało opowiedzenie jej tego. - Zostawił mi na szafce jej zdjęcie, kilka wycinków z gazet mówiących o eksplozji. - Poczł mdłości, niemal tak ostre, jak kilka miesięcy temu. Pobladł, usiłując je opanować. - Chciał się upewnić, że wiem, kto jest odpowiedzialny za Elaine. Kiedy wróciłem dziś do domu i myślałem, że tu byłaś, to wszystko wróciło.

Miała cudownie wyrazistą twarz. Mógł z niej odczytać dokładnie każdą emocję. Strach i gniew, który miał go zagłuszyć, ulotniły się. Zastąpiły go przebłyśki żalu, zrozumienia i sól na jego rany: współczucie.

- Nie patrz tak na mnie.



Jego głos był szorstki; pomyślała, że pobrzmiwa w nim ton obrony.

- To nie zmienia tego, co zrobiłem, ani tego, że mogłem zrobić coś gorszego.

Spuściła oczy.

- Masz rację. Nie zmienia. Kiedy wczoraj mnie pocałowałeś, myślałam, że między nami coś zaczyna się dziać. Naprawdę coś.

- Podniosła wzrok, a jej spojrzenie było chłodne. - Ale to niemożliwe, bo nie byłoby tego, co się dziś zdarzyło. Ty mi nie ufasz. I to też mnie boli, Jed, ale to mój błąd.

Wiedział, jak to jest być bezradnym, ale nie spodziewał się nigdy, że będzie się tak czuł przy niej.

- Mogę się wyprowadzić, jeśli chcesz - powiedział sztywno.

- Mogę to zrobić już dziś wieczorem i wrócić później po moje rzeczy.

- To nie jest konieczne, ale zrobisz, co zechcesz. Skinął głową i wycofał się na korytarz.

- Poradzisz sobie?

W odpowiedzi podeszła do drzwi, zamknęła je cicho i przekręciła klucz.

\* \* \*

Rano znalazła kwiaty na biurku. Stokrotki, trochę podwiędłe i pachnące mającą nadejść wiosną, upchnięte w wazie Minton. Dora zdusiła w sobie bezlitośnie uczucie przyjemności i zignorowała je.

Nie wyprowadził się. Wywnioskowała to z monotonnego łoskotu uderzających o podłogę ciężarków, kiedy rano mijała jego drzwi.

I nie zamierzała dać się ubłagać. Teraz Jed Skimmerhorn był dla niej jedynie lokatorem. Nikim więcej. Nikt nie będzie jej straszył, groził i łamał serca, a potem wdzięczył się do niej z bukietem stokrotek. Będzie inkasowała jego czeki, kłaniała się mu grzecznie, jeśli miną się w korytarzu, i żyła własnym życiem.

Była to kwestia dumy.

Ponieważ sklepem zajmowały się Terri i Lea, Dora wyjęła księgi rachunkowe, otworzyła książeczkę czekową „Salonu Dory” i zaczęła pracować.

Parę minut później rzuciła okiem na stokrotki i zorientowała się, że się uśmiecha. Stukot butów na schodach kazał jej jednak ściągnąć wargi i wbić wzrok w kalkulator.

Jed zatrzymał się u stóp schodów, szukając czegoś rozsądnego, co mógłby jej powiedzieć. Mógłby przysiąc, że odkąd wszedł do magazynu, temperatura spadła o jakieś pięć stopni. Zdecydował, że nie będzie winił jej za to, że okazuje mu taki chłód. Ale przez to

czuł się jeszcze bardziej głupio, kupując dla niej kwiatki w drodze z siłowni.

- Jeśli chcesz tu pracować, skończę z tymi półkami później.

- Będę pracować przez parę godzin - powiedziała. Nie spojrzała na niego.

- Mam parę spraw do załatwienia w mieście - odczekał chwilę, ale nie otrzymał odpowiedzi. - Przywieźć ci coś?

- Nie.

- Dobrze. Świetnie. - Zaczął wchodzić po schodach. - Więc skończę z nimi po południu. Teraz muszę wyjść i kupić sobie włosiennicę.

Dora uniosła brew, usłyszawszy trzaśnięcie drzwi.

- Pewnie spodziewał się, że rzucę mu się w ramiona, bo kupił mi kwiatki. Dureń - spojrzała na wchodzącą właśnie Terri. - Wszyscy mężczyźni to durnie.

Normalnie Terri uśmiechnęłyby się, zgodziła się i przytoczyła na to kilka przykładów. Teraz stanęła w drzwiach, załamując ręce.

- Doro, zabrałaś na górę tego jadeitowego psa? Ten chiński drobiazg? Wiem, że lubisz podbierać rzeczy ze sklepu.

- Psa Foo? - Dora postukała piórem w biurko, wydymając usta. - Nie. Nie ruszałam niczego od świąt. Bo co?

Terri roześmiała się słabo i uśmiechnęła niewyraźnie.

- Nie mogę go znaleźć. Po prostu nie mogę.

- Pewnie gdzieś się zawieruszył. Lea mogła...

- Już ją pytałam - przerwała Terri. Jej głos brzmiał słabo. - Parę dni temu pokazywałam go klientowi. A teraz zniknął.

- Nie panikuj - Dora wstała zza biurka. - Rozejrzę się. Może sama go gdzieś przestawiłam.

Ale wiedziała, że nie. „Salon Dory” mógł wyglądać jak po domowemu nieporządne miejsce, w którym beładnie rozrzucone skarby i szmelc sąsiadowały ze sobą. Ale w tym szaleństwie była metoda - metoda Dory.

Znała swoją własność i swój sklep, do ostatniej jedwabnej pocztówki.

Lea zajmowała się klientem i rzuciła siostrze tylko przelotne, zatroskane spojrzenie. Potem wróciła do pokazywania tabakierok.

- Był w tej szafce - powiedziała cicho Terri. - Wyjmowałam go w Wigilię, tuż przed zamknięciem. I wiem na pewno, że widziałam go wczoraj, kiedy pokazywałam figurynkę z Doulton. Stały obok siebie; zauważyłabym, gdyby go nie było.

- W porządku - Dora pogłaskała uspokajająco ramię Terri. - Rozejrzę się.

Już pierwsze spojrzenie obudziło w niej niepokój. Zatrzymała się przy biurczku z drzewa atlasowego. Zrobiła wysiłek, by jej głos brzmiał cicho i spokojnie.

- Terri, sprzedałaś coś dziś rano?

- Serwis do herbaty miśnieński i parę reklamówek papierosów. Lea sprzedała mahoniową kołyskę i parę brązowych lichtarzy.

- Nic więcej?

- Nie - policzki Terri i tak już blade zbieły jeszcze bardziej. - Co się dzieje? Zginęło coś jeszcze?

- Flakonik na sole trzeźwiące, ten z emalii - Dora zdusiła przekleństwo. - I kałamarz, który stał obok.

- Ten cynowy? - Terri zbliżyła się do biurczka i jęknęła. - O Boże, Doro.

Dora potrząsnęła głową, ucinając wszelkie komentarze i ruszyła na obchód po sklepie.

- Przycisk do papieru z Chelton - powiedziała w chwilę później. - Bakaratowa buteleczka na perfumy, pieczętka Faberge, ta, wyceniana na 5200 dolarów, była szczególnie gorzką pigułką, i bakelitowa papierośnica, ta, warta najwyżej trzy dolary, rozwścieczyła ją niemal tak samo, jak Faberge. - Wszystkie na tyle małe, że można je schować do torebki lub kieszeni.

- Dziś rano było tu nie więcej niż osiem lub dziewięć osób - zaczęła Terri. - Nie rozumiem jak... Och, Doro, mogłam bardziej uważać.

- To nie twoja wina. - Ale...

- Nie. - Choć była wściekła do szaleństwa, objęła talię Terri. - Nie możemy traktować wszystkich, którzy przekroczą ten próg jak złodziei. Skończyłoby się na tych cholernych kamerach i pancernych gablotach. Po raz pierwszy ucierpieliśmy naprawdę.

- Doro, to Faberge.

- Wiem. Zgłoszę to w towarzystwie ubezpieczeniowym. Po to ich mamy. Terri, chciałabym, żebyś zrobiła sobie teraz przerwę obiadową.

- Nie mam apetytu.

- To idź na spacer. Kup sobie sukienkę. Poczujesz się lepiej. Terri pociągnęła nosem.

- Jesteś zła?

- Zła? Jestem nieprzytomna z wściekłości - jej oczy zwęziły się i zacisnęły. - Mam nadzieję, że wrócą, żeby ukraść coś jeszcze, żeby mogła im połamać te ich wścibskie paluszki. Idź już, odetchnij.

- Dobrze - znowu pociągnęła nosem i odeszła, zostawiając Dorę w małym bocznym pomieszczeniu.

- Kiepsko? - zagadnęła Lea, zaglądając do środka.

- Jak cholera.

- Przykro mi, kotku.

- Nie będzie żadnego „Mówiłam, żeby trzymać wszystko pod kluczem”?

Lea westchnęła.

- To chyba dowodzi, że miałabym rację, ale teraz, po tych kilku tygodniach, które tu przepracowałam, chyba rozumiem, dlaczego nie chcesz tego robić. To by zepsuło atmosferę.

- Tak - zgnębiona Dora potarła czoło między oczami, tu gdzie zaczynał rodzić się ból.

- Za dziesięć tysięcy można kupić masę atmosfery.

- Dziesięć tysięcy - powtórzyła Lea, otwierając szeroko oczy. - Dziesięć tysięcy dolarów? O mój Boże, Dory.

- Nie martw się, jestem ubezpieczona. Niech to diabli porwą. Słuchaj, zamkniemy sklep na godzinę. Wyjdź na obiad czy coś w tym rodzaju. Chcę pójść na zaplecze i wpaść w szał. Wolałabym to zrobić bez świadków.

- Jesteś pewna? - Lea złapała błysk w oku siostry. - Jesteś pewna. Zamknę drzwi na klucz.

- Dzięki.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jed nie wiedział, czy powrót na policję po raz pierwszy od złożenia rezygnacji nie jest kolejnym sposobem na ukaranie siebie. Mógł umówić się z Brentem gdziekolwiek i uniknąć tej paskudnej świadomości, że teraz jest zwykłym obywatelem.

Ale wrócił na swoje stare śmieci, do miejsca, w którym spędził osiem z czternastu lat służby, ponieważ wiedział, że będzie musiał stawić temu czoło. Po tym jak zeszłej nocy stracił nad sobą kontrolę, musiał przyznać, że istnieje wiele spraw, którym musi stawić czoło.

Nic się tu nie zmieniło. Nadal pachniało tu rozlaną kawą, niedomytymi ciałami i zwietrzałym dymem, a pod tym wszystkim wyczuwało się jeszcze bardziej przykry odór środka dezynfekującego. Ściany niedawno pomalowano na ten sam obowiązkowy beż. Dźwięki - wszystkie były znajome. Dzwonki telefonów, szcęk kluczy, podniesione głosy.

To, że tym razem nie czuł u boku ciężaru broni, sprawiło, że czuł się bardziej niż niezręcznie. Tym razem wydawało mu się, że jest nagi.

Omali nie uciekł, ale natknął się na dwóch mundurowych ruszających na obchód. Obie twarze rozjaśniły się. Ten po lewej - Snyder, przypomniał sobie Jed - stanął na baczność.

- Kapitanie.

Co roku przyjmują młodszych, pomyślał Jed. Ten tutaj ma jeszcze mleko pod nosem.

Teraz mógł już tylko iść naprzód. Jed skinął głową, mijając policjantów.

- Dzień dobry.

Zatrzymał się przy kontuarze i zaczekał, aż sierżant o niedźwiedzich barach odwróci się ku niemu.

- Ryan!

Mężczyzna miał bary niedźwiedzia, ale z twarzy przypominał pluszowego misia. Kiedy jego wzrok spoczął na Jedzie, uśmiechnął się tak szeroko, że jego oczy niemal zniknęły w miękkich fałdach różowej irlandzkiej skóry.

- Kapitanie! Ty sukinsynu - chwycił ponad biurkiem dłoń Jeda i zmiażdżył ją w stalowym uścisku. - Cieszę się, że cię widzę. Naprawdę się cieszę.

- Jak leci?

- No wiesz. Po staremu - oparł się o rozdzielający ich kontuar. - Tydzień temu Lorenzo dostał w ramię podczas włamania do sklepu monopolowego.

- Słyszałem. Jak się czuje?

- Dobrze się bawi - oznajmi! Ryan i mrugnął. - Strzeli!, wytarł krew i wrócił na ulicę.

- A kulę wyjął zębami.

- Coś w tym stylu. - Ktoś krzyknął do Ryana, który odwrzasnął, żeby poczekali. - Brak nam tu ciebie, kapitanie - powiedział, znów opierając się o blat. - Goldman jest w porządku jako zastępca, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Ten facet to dupek.

- Przywykniesz do niego.

- O nie - Ryan potrząsnął głową. - Do niektórych się przywyka, do innych nie. Ludzie wiedzieli, że mogą z tobą pogadać, tak po prostu. Wiedzieli, że jesteś na ulicy równie często jak przy biurku. Przy Goldmanie trzeba się przedzierać przez cały szereg posterunków i nie wolno obchodzić regulaminu ani procedury. - Jego jowialna twarz zmarszczyła się w grymasie. - Nie można go zatrzymać na korytarzu, chyba że z kamerą i trzema dziennikarzami.

Cokolwiek Jed sądził o tej szczerzej fali informacji, zachował to dla siebie.

- Dobra opinia prasy nie zaszkodzi posterunkowi. Jest porucznik Chapman? Muszę z nim pogadać.

- Jasne, chyba jest w swoim gabinecie. Tam go można przyskrzynić. Jed odczekał chwilę, potem uniósł brew.

- Daj mi plakietkę dla gości, Ryan.

Ryan zaróżowił się z zakłopotania i konsternacji.

- Cholera, kapitanie.

- Muszę mieć plakietkę, sierżancie.

- Rzygać mi się chce - mruknął Ryan, podając mu ją. - Jedno panu powiem, rzygać mi się chce.

- I powiedziałeś.

Jed przyczepił odznakę do koszuli.

Żeby dotrzeć do Brenta, musiał minąć kilku strażników. Wolałby długi taniec na rozżarzonych węglach. Za każdym razem, kiedy wywoływano jego imię, kiedy musiał się zatrzymać i zamienić parę słów, czuł, że żołądek się mu kurczy. Czuł to za każdym razem, gdy zmuszał się, by nie zwracać uwagi na ciekawe spojrzenia, nie zadane pytania.

Kiedy stanął przed drzwiami Brenta, napięcie utkwilo w jego karku niczym ostrze.

Zapukał i otworzył drzwi. Brent siedział za zawalonym papierami biurkiem, trzymając słuchawkę przy uchu.

- Powiedz mi coś, o czym nie wiem - podniósł wzrok. Rozdrażnienie natychmiast zniknęło z jego oczu. - Dobrze, dobrze, a jak wreszcie powiesz mi to wprost, pogadamy.

Zadzwoń do ciebie - odłożył słuchawkę i usiadł wygodniej. - Wydawało mi się, że hałas na zewnątrz wzrósł o kilka stopni. Przechodziłeś obok i pomyślałeś, że wpadniesz, co?

- Nie. - Jed usiadł, wyjął papierosa.

- Już wiem, chciałeś się napić policyjnej kawki.

- Jak będzie ze mną tak źle, pójdę się leczyć - Jed potarł zapałkę. Nie chciał pytać, nie chciał się angażować. Ale musiał to zrobić. - Czy Goldman to naprawdę taki dupek, jak twierdzi Ryan?

Brent skrzywił się i nalał dwa kubki kawy z dzbanka, stojącego na palniku.

- No cóż, nikt go tu za bardzo nie kocha. Złapałem Thomasa w szatni, jak wbijał szpilki w laleczkę przedstawiającą Goldmana. Po znałem go po tych oczkach jak paciorki i wielkich zębach.

Jed wziął swój kubek.

- I co zrobiłeś z tą lalką?

- Sam wsadziłem w nią parę szpilek. Jak na razie Goldmanowi nic szczególnego nie dolega.

Jed uśmiechnął się. Pierwszy łyk kawy stał uśmiech z jego twarzy.

- Wiesz co, mógłbym wspomnieć o tobie szefowi. Chyba posłuchałby mojej rady.

- Nie interesuje mnie to - Brent zdjął okulary i bez większego rezultatu zaczął przecierać szkła. - Jako dowódca jestem do bani. Skończyłoby się tak, że Thomas zacząłby wbijać szpilki w niewiarygodnie przystojną laleczkę w okularach. - Pochylił się nad biurkiem. - Wróc do nas, Jed.

Jed spuścił wzrok na kubek z kawą. Potem powoli podniósł oczy.

- Nie mogę. Jezus, Brent, jestem w rozsypce. Daj mi odznakę, a sam nie wiem, co zrobię ani kto za to zapłaci. Wczoraj w nocy... - musiał przerwać. Odetchnął głęboko i sięgnął po papierosa - ktoś był w moim mieszkaniu, ruszał moje rzeczy.

- Mieliście kolejne włamanie? Jed potrząsnął głową.

- Tym razem jest inaczej. Kilka rzeczy poruszonych, zatrzaśnięta szuflada, którą zostawiłem uchyloną, takie rzeczy. Nie było mnie przez większość dnia. Sprawy z domem Elaine, z kontraktem - potarł ze znużeniem kark. - Po tym wszystkim przyszedłem, zrobiłem sobie drinka, poszedłem do kina. Wróciłem, rozejrzałem się i zrobiłem Dorze awanturę.

Znowu podniósł swój kubek. Kawa nie była bardziej gorzka niż smak, który od dawna czuł w ustach.

- Prawdziwą awanturę, Brent. Znalazłem dowód zbrodni i złapałem złoczyńcę - rozgniół z obrzydzeniem papierosa i wstał. - Przycisnąłem ją.

- Jed, rany boskie - Brent patrzył zdezorientowany, jak Jed wielkimi krokami przemierza jego gabinet. - Chyba jej nie uderzyłeś?

- Nie. - Jak mógł się czuć urażony tym pytaniem? - Ale śmiertelnie ją przeraziłem. I siebie, kiedy zrozumiałem, co zrobiłem. Nie przemyślałem tego. Nie potrafiłem się opanować. Po prostu wybuchnąłem. Nie chcę, żeby coś takiego mi się przydarzyło, kiedy będę nosić odznakę, Brent - odwrócił się. - Ta odznaka coś dla mnie znaczyła.

- Znam cię od dziesięciu lat. Nigdy nie widziałem, żebyś jej źle użył.

- I nie zamierzam. Ale to nie dlatego tu jestem. To nie Dora była w moim mieszkaniu. Więc kto?

- Może to ten włamywacz po coś wrócił. Szukał czegoś, co mógłby zwędzić.

- Nie mam u siebie zbyt wielu rzeczy, ale w szufladzie było parę setek. Moja trzydziestkaósemka. Walkman sony. Mieszkanie Dory po drugiej stronie korytarza jest pełne różności.

- Co z systemem alarmowym?

- Obejrzałem go, niczego nie znalazłem. Ten facet jest dobry, Brent. To zawodowiec. Może to ktoś od Specka, ktoś kto chce się zemścić.

- Speck nie był typem faceta, wobec którego zachowuje się lojalność po jego śmierci. - Ale podobnie jak Jed, Brent nie zamierzał zlekceważyć tej możliwości. - Sprawdzę parę rzeczy. Może postawię paru chłopaków przed domem?

W normalnych warunkach Jed zmarszczyłby się na myśl o ochronie. Teraz kiwnął niechętnie głową.

- Będę wdzięczny. Jeśli ktoś chce mnie dopaść, wolałbym, żeby Dora nie była w to zamieszana.

- Załatwione. Więc powiedz, jak rozwiązałeś sprawę z Dorą?

- Przeprosiłem - parsknął i odwrócił się, wbijając wzrok w plakat z „Brudnego Harry'ego”. - Wielkie rzeczy. Powiedziałem, że się wyprowadzę, ale jej jest wszystko jedno, co zrobię - mruknął coś pod nosem, ale Brent usłyszał.

- Co proszę? Powiedziałeś coś o kwiatach?

- Kupiłem jej kwiatki, cholera - warknął Jed. - Nawet na nie nie spojrzysz. Na mnie też nie, to pewne jak cholera. Co byłoby całkiem przyjemne, gdyby nie...

- Gdyby nie?

Jed odwrócił się i spojrzał na niego ponuro.

- Niech to, Brent, złapała mnie. Nie mam pojęcia, jak to zrobiła, ale mnie złapała. Jeśli wkrótce jej nie dostanę, zacznę się ślinić.

- To zły znak - powiedział Brent, powoli kiwając głową. - Ślinienie się to bardzo zły znak.



- Żarty sobie stroisz?

- No cóż... tak. - Brent uśmiechnął się i poprawił zjeżdżające mu z nosa okulary. - Jak wszyscy diabli. O ile sobie przypominam, zawsze byłeś gładki i elegancki w tych sprawach, bez obrazy, z kobietami. Wydawało mi się, że to te maniery z wyższych sfer. A teraz stoisz tu z haczykiem w gębie. Ładnie z nim wyglądasz.

Jed tylko spojrzał na niego.

- A więc jest wkurzona - ciągnął Brent. - Przez nią oblewasz się potem i błągasz.

- Nie błągam. Pieprzyć błaganie - wcisnął ręce do kieszeni. - Wołałbym, żeby była na mnie zła niż przerażona. - Nie, pomyślał, nie zniosę tego, jeśli jeszcze raz spojrzy na mnie tymi przerażonymi oczami. - Pomyślałem, że może kupię jej kwiaty.

- Może lepiej kamyki, kolego. Takie, które się nosi na szyi.

- Biżuteria? Nie będę jej przekupywać.

- A kwiatki to co?

- Kwiaty to nie przekupstwo - Jed ruszył do drzwi. Dziwne, że żonaty facet tak się na tym nie zna. - Kwiaty to uczucie. Biżuteria to wyrachowanie.

- Tak, i nie ma nikogo bardziej wyrachowanego niż rozwścieczona kobieta. Spytaj mojej żony - krzyknął za nim Brent. - Hej, Skimmerhorn! Odezwę się do ciebie.

Śmiejąc się pod nosem wrócił do swojego biurka. Włączył komputer i odszukał w nim hasło „Speck”.

\* \* \*

Zdziwił się, zastawszy Dorę nadal przy biurku. Nic było go ponad trzy godziny, a przez cały krótki okres ich znajomości zwykle kończyła papierkową robotę w dwa razy krótszym czasie. Wołała chyba kontakt z klientami, a może satysfakcję pomnażania majątku.

A może i to, i to.

To, że znowu nie zaszczyciła go ani jednym spojrzeniem, nie zaskoczyło go, ale teraz był już na to przygotowany.

- Mam coś dla ciebie.

Położył przed nią duże pudło. Zerknęła na nie; z satysfakcją zauważyła w jej oczach błysk ciekawości.

- To, eee... to szlafrok. Za ten, który ci wczoraj podarłem.

- Ach tak?

Poruszył niespokojnie ramionami. Prawie nie zareagowała, a stracił na to sporo czasu. Buszując w dziale z damską bielizną, mając przy sobie uśmiechniętą sprzedawczynię, czuł się

jak zboczeniec. Ledwie zdołał wydukać, że chodzi mu o praktyczny szlafrok frotte.

- Chyba znalazłem właściwy rozmiar, ale może zechcesz przymierzyć.

Zamknęła ostrożnie księgę rachunkową i złożyła na niej ręce. Kiedy podniosła na niego wzrok, ciekawość zniknęła z jej oczu, zastąpiona przez prawdziwą wściekłość.

- Powiem ci to wprost, Skimmerhorn. Myślisz, że żaloszny bukiecik kwiatków i szlafrok wystarczą, żeby oczyścić ci drogę?

- Ja...

Nie dała mu żadnej szansy.

- Myślisz, że na widok garści stokrotek rozpląnę się z radości? Tak myślisz? Nie wiem, jak dotąd rozgrywałeś takie sprawy, koleś, ale ze mną to nie wystarczy. - Wstała zza biurka, oparła dłonie na pudle i pochyliła się naprzód. Gdyby spojrzenie mogło ranić, pewnie już by się wykrwawił na śmierć. - Niewybaczalne zachowanie nie pójdzie w niepamięć dzięki kilku nędznym prezentom i minie zbitego psa.

Zorientowała się, że niemal krzyczy i odczekała chwilę, by zacząć panować nad sobą.

- Nie przerywaj - powiedział cicho Jed. - Wyrzuć to z siebie.

- Bardzo proszę. Włamujesz się do mojego mieszkania, wykorzystując różne oskarżenia. Dlaczego? Bo byłam pod ręką, a tobie nie podobało się to, co zaczynało się dziać między nami. Nawet nie przyszło ci do głowy, że możesz się mylić, od razu zaatakowałeś. Przestraszyłeś mnie śmiertelnie, a najgorsze jest to, że... - zacisnęła usta i odwróciła się - upokorzyłeś mnie, bo zgodziłam się na to. Stałam, dygotałam i płakałam. Nie próbowałam się bronić - poczuła się spokojniejsza, kiedy to przyznała i odwróciła się do niego: - to jest najgorsze.

Rozumiał ją dobrze.

- Musiałabyś zwariować, żeby mnie wtedy zaatakować.

- Nie o to chodzi.

- Właśnie, że o to - znowu poczuł gniew na samego siebie. - Na miłość boską, Doro, stałaś w obliczu szaleńca, cięższego od ciebie o więcej niż pięćdziesiąt funtów. Co miałaś zrobić, powalić mnie na ziemię?

- Znam zasady samoobrony - powiedziała, unosząc brodę. - Mogłam coś zrobić.

- Zrobiłaś - przypomniał sobie, co poczuł na widok jej łez przerażenia. - Jesteś głupia, jeśli wstydzisz się swojego strachu.

- Obrażanie mnie nie jest chyba najlepszym sposobem na naprawienie sytuacji - odrzuciła włosy do tyłu. Nie był to jej zwykły, odruchowy gest, zauważył Jed. Ten był pełen zmęczenia.

- Słuchaj, miałam ciężki dzień...

Przerwała, kiedy ujął jej dłoń. Mimo że zeszywniała, łagodnie rozprostował jej ramię. Do pracy zakasała rękawy marynarki. Na jej przedramionach widać było smugi siniaków, które - wiedział to - pasowały do jego palców.

- Mógłbym dalej cię przeproszać - jego spojrzenie mówiło wiele. Ale to nic nie znaczy - puścił ją i włożył ręce do kieszeni.

- Nie mogę powiedzieć, że nigdy dotąd nie posiniaczyłem żadnej kobiety, bo to się zdarzało. Ale to się zawsze działo w czasie akcji, nigdy w normalnym życiu. Skrzywdziłem cię. I nie wiem, jak ci to wynagrodzić.

Ruszył w kierunku schodów.

- Jed - powiedziała z westchnieniem Poczekaj.

Idiotka, pomyślała i zdjęła pokrywkę pudełka. Szlafrok był niemal identyczny jak ten, który miała, różnił się tylko kolorem. Przeciągnęła palcem po soczyście zielonej frotowej klapie.

- Nie mieli białych - chyba nigdy w życiu nie było mu tak głupio. - Lubisz się ubierać w żywe kolory, więc...

- Jest ładny. Nie powiedziałam, że ci wybaczam.

- W porządku.

- Wolalabym, żebyśmy jakoś unormowali sytuację. Nie przepadam za sąsiedzkimi kłótniami.

- Masz prawo ustanawiać reguły. Uśmiechnęła się słabo.

- To, że mi to prawo oddałeś, musi cię niezłe boleć.

- Nie masz pojęcia o bólu. Nigdy nie byłeś mężczyzną w dziale damskiej bielizny - chciał jej dotknąć, ale powstrzymał się. - Przykro mi, Doro.

- Wiem. Naprawdę wiem. Dziś rano byłam na siebie prawie tak wściekła jak na ciebie. Zanim zdążyłam ochłonąć, okazało się, że mamy w sklepie kłopoty. Więc kiedy wróciłeś, byłam gotowa gryźć.

- Jakie kłopoty?

- Kradzież - jej spojrzenie stwardniało. - Dziś rano, zaraz po tym, jak wyszedłeś kupić włosiennicę.

Nie uśmiechnął się.

- Jesteś pewna, że wczoraj, kiedy zamykałaś, wszystko było na miejscu?

Znowu zeszywniała.

- Wiem, co mam w sklepie, Skimmerhorn.

- Powiedziałaś, że wróciłaś na kilka minut przed moim przyjściem.

- Tak, i co...

- Kiedy wyszedłem od ciebie, byłaś zdenerwowana. Byłaś zdenerwowana także dziś rano. Nie sądzę, żebyś była w stanie zauważyć.

- Co zauważyć?

- Czy coś zginęło z piętra. Zobacz teraz.

- O czym ty mówisz?

- Ktoś był wczoraj w moim mieszkaniu.

W porę ugryzła się w język, ale dostrzegł na jej twarzy powątpiewanie.

- Nie mówię tego, żeby usprawiedliwić moje zachowanie, ale ktoś naprawdę był w moim mieszkaniu - powtórzył, z wysiłkiem zachowując spokój. - Policjanci dostrzegają rzeczy, których cywile nie widzą. Myślałem, że to któryś z ludzi Specka kręci się koło mnie, ale to mogło być coś innego. Ktoś, kto szuka jakichś błyskotek.

- A co z tym systemem alarmowym? Z tymi zamkami, które miały mnie chronić przed włamywaczami?

- Nic nie chroni przed włamywaczami.

- Och - zamknęła na chwilę oczy, gdy wziął ją za rękę i pociągnął za sobą po schodach. - No, teraz czuję się lepiej. Przed chwilą w spokoju ducha wściekałam się na jakiegoś sklepowego złodzieja. Teraz muszę się martwić, że po moim mieszkaniu włóczył się jakiś włamywacz.

- Po prostu sprawdźmy. Masz klucze?

- Drzwi nie są zamknięte - zjeżyła się, widząc jego spojrzenie. - Słuchaj, mądralo, drzwi wejściowe są zamknięte, a ja byłam na dole. Poza tym - otworzyła drzwi - nikogo tu nie było.

- Mhm - schylił się sprawdzając zamek. Nie zauważył żadnych wyraźnych śladów. - Wczoraj, kiedy wyszłaś wieczorem, zostawiłaś drzwi otwarte?

- Może - zaczęła się wahać. - Nie pamiętam.

- Trzymasz w domu gotówkę?

- Trochę - podeszła do biurka i otworzyła szufladę. - Jest na swoim miejscu. Wszystko inne też.

- Nawet nie spojrziałaś.

- Wiem, co tu mam, Jed.

Sam obejrzał pokój, przyglądając się przedmiotom tak uważnie, jakby identyfikował przestępców. - A gdzie obraz? Ten znad kanapy?

- Ten abstrakcyjny? Mamie też się spodobał, więc dałam go jej, żeby mogła go mieć u siebie przez jakiś czas - wskazała dwa portrety, które powiesiła na jego miejscu. - Wydawało mi się, że towarzystwo tej pary będzie przyjemne, ale myliłam się. Są tacy ponurzy i pełni dezaprobaty, ale jeszcze nie zdążyłam...

- Biżuteria?

- Jasne, mam biżuterię. Dobrze, dobrze - przewróciła oczami i przeszła do sypialni. Otworzyła kuferek z drewna kamforowego i hebanu, stojący na komodzie.

- Zdaje się, że wszystko jest na swoim miejscu. Dość trudno jest mi to stwierdzić, bo ja pożyczam od Lei, a ona... - wzięła aksamitny woreczek i wytrząsnęła z niego parę szmaragdowych kolczyków. - Jeśli ktokolwiek miałby tu myszkować, wzięłby to. To jest naprawdę coś.

- Ładne - ocenił, przyjrzawszy się im pobieżnie. Nie zdziwił go widok takiej ilości biżuterii, że można by nią obdzielić tuzin kobiet. Dora lubowała się w ilości. Nie zdziwiło go też, że jej sypialnia była równie zatłoczona i przytulna jak jej salon. I tak subtelnie kobieca.

- Niczego sobie łóżeczko.

- Lubię je. To Ludwik XV, kopia. Kupiłam je z hotelu w San Francisco. Zakochałam się w tym wezłowie.

Było wysokie, obite ciemnoniebieskim brokatem, delikatnie wygięte na górze. Dora dodała mu gęsto pikowany jedwabny zagłówek i całą armię ozdobnych poduszek.

- Lubię tu siadywać wieczorami i czytać przy ogniu z kominka - zamknęła szkatułkę. - Jedną z rzeczy, które mnie tu ujęły, to wielkość pokoi i to, że mogę mieć kominek w sypialni. To właśnie to, jak powiedziałby mój ojciec, co lubią tygrysy - uśmiechnęła się. - Przykro mi, kapitanie, chyba nie mam dla pana żadnego przestępstwa.

Powinien poczuć ulgę. Ale nie mógł zignorować tego mrowienia w karku.

- Może dasz mi listę skradzionych przedmiotów? Możemy... Brent może wysiać paru swoich chłopców, żeby sprawdzili lombardy.

- Już to zgłosiłam.

- Pozwól mi sobie pomóc - tym razem, czując potrzebę dotknięcia jej, podszedł bliżej, by sprawdzić, czy się cofnie. Ale kiedy pogładził jej ramię, tylko uśmiechnęła się.

A więc wybaczone mi, pomyślał. Tak po prostu.

- Dobrze. Byłoby głupio odrzucić pomoc kapitana policji przy wielkiej sklepowej kradzieży. Może... - ruszyła naprzód, ale on nie ustąpił jej z drogi. W rezultacie przysunęła się tylko do niego. Serce zaczęło jej bić mocno, ale to uczucie nie miało nic wspólnego ze strachem. Na pewno nie. - Lista jest na dole.

- Myślałem, że może chcesz się dowiedzieć. Miałaś rację.

- Zawsze dobrze jest wiedzieć. W jakiej sprawie tym razem?

- Zaplątałem się w to, co zdarzyło się między nami.

- Och - to zabrzmiało nieco drżąco; nie mogła nic na to poradzić. - Co zdarzyło się między nami?

Jego oczy pociemniały. Przywiodły jej na myśl kobaltowe szkło stojące na wystawie w sklepie.

- Pragnąłem cię. Chciałem wiedzieć, jak to jest, kiedy się ciebie rozbiera, dotyka, jak to jest czuć cię pod sobą. Chciałem wiedzieć, czy twoja skóra smakuje tak, jak pachnie.

Patrzyła na niego, czując, że jej żołądek zaczyna podskakiwać.

- Czy właśnie to się zdarzyło?

- Z mojej strony. Zacząłem wariować.

- Ale już ci lepiej? Potrząsnął głową.

- Gorzej. Teraz wyobrażam sobie, że robimy te wszystkie rzeczy w tym łóżku. Jeśli chcesz naprawdę się odegrać za tamtą noc, powiedz mi, że cię to nie interesuje.

Wypuściła powietrze, które za długo już zatrzymywała w płucach. „Interesuje” nie było słowem, którego by użyła.

- Chyba... - roześmiała się słabo i przeczesła włosy obiema dłońmi - chyba teraz powiem, że rozważę wnikliwie twoją ofertę i dam ci znać, jaka będzie moja odpowiedź.

- Wiesz, gdzie mnie szukać.

- Tak, wiem.

Nie chciał jej podniecić, ale ucieszyło go, że tak się stało.

- Może zjemy kolację? Moglibyśmy... omówić warunki. Szybkie, dzikie trzepotanie serca sprawiło, że poczuła się bardzo młoda i... bardzo głupia.

- Nie mogę. Umówiłam się na randkę z moim siostrzeńcem - wzięła z biureczka srebrną szczotkę i odłożyła ją. - Jest w wieku, w którym nie cierpi się dziewczyn, więc od czasu do czasu zabieram go do kina lub salonu gier. Rodzaj męskiego wieczoru.

- Ale ty jesteś dziewczyną.

- Nie dla Richie'ego - znowu wzięła szczotkę, ściskając mocno jej rączkę. - Ja lubię spędzić półtorej godziny na „Piekielnych wojownikach zombie”, więc jestem jednym z chłopaków.

- Skoro tak twierdzisz - zerknął na jej niespokojne dłonie i uśmiechnął się. - Odłożymy nasz męski wieczór na później.

- Jasne. Może na jutro.

- Chyba mogę to zmieścić w moim planie dnia - wyjął delikatnie szczotkę z jej niespokojnych palców i odłożył ją. - Może pójdziemy po tę listę?

Kiedy opuścili niebezpieczny teren sypialni, Dora westchnęła ciężko i z ulgą. Miała niezłomny zamiar przemyśleć to wszystko, jak tylko krew znów napłynie jej do głowy.

- Masz klucze do drzwi na dole? - odezwał się Jed, wychodząc na korytarz.

- Co... a, tak.

- Dobrze - sprawdził zamek, zanim zatrzasnął drzwi.

\* \* \*

Luksusowy apartament w hotelu Ritz - Carlton z miękkim, olbrzymim łóżem, z wyśmienicie zaopatrzonym darmowym barkiem, ze znakomitą obsługą i masażystką czekającą na telefon, mógłby wprowadzić Di Carla w dobry humor.

Mógłby, gdyby DiCarlo miał przy sobie obraz.

I miałby go lub znał miejsce, gdzie on się znajduje, gdyby nie niespodziewane wejście mężczyzny z drugiego mieszkania.

Nie wiedział, czy powinien dzwonić do Finleya. Nie miał mu nic do powiedzenia poza powiadomieniem o swojej wpadce. Miał jeszcze czas - do drugiego stycznia. To, że nie powiodło mu się tamtej nocy, rujnowało jego rozkład zajęć, ale w gruncie rzeczy, była to tylko zwłoka, nie katastrofa.

Schrupał następnego orzeszka i popił go beaujolais, które zostało z obiadu. Zdziwiło go, że ten mężczyzna wiedział, że ktoś był w jego mieszkaniu. Niczego nie poprzestawiał. Oparł się nawet pokusie zwinięcia przedmiotów, które dałoby się bez trudu sprzedać paserowi. To, co zabrał ze sklepu na dole, może być uznane za łup sklepowego złodzieja.

Ale skoro ten mężczyzna podejrzewał sąsiadkę o wtargnięcie do jego pokoju, plany DiCarla nie musiały ulec zmianie.

Teraz trzeba tylko wrócić, postanowił DiCarlo. Zrobi to, co zaplanował wczoraj. Dokładnie to samo. Ale tym razem wejdzie tam wiedząc, że, kiedy skończy z tą kobietą, zabije ją.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pod oślepiającym nocnym niebem, rozjaśnionym lodowatymi gwiazdami i przesytytm ostrzem mroźnego księżyca temperatura spadła do minus dwudziestu stopni.

Sklepy na South Street były zamknięte na głucho, ruch na ulicy zamarł. Od czasu do czasu z którejs z restauracji wychodził ktoś opatulony w ciepłe okrycie i pędem puszczał się w kierunku samochodu lub metra. Potem na ulicy znowu zapadała cisza, przerywana tylko cichym bzyczeniem latarni.

Za pierwszym okrążeniem budynku DiCarlo zauważył policyjny samochód. Z rękami mocno zaciśniętymi na kierownicy skręcił za róg i ruszył wzdłuż rzeki. Nie spodziewał się obecności osób trzecich. Gliniarze mieli zazwyczaj zbyt dużo do roboty, żeby pilnować jakiegoś budynku przed ewentualnym drobnym włamywaczem.

Więc może ta paniusia ma chody u szefa policji, pomyślał DiCarlo. A może ja po prostu mam pecha. Tak czy owak, to tylko kolejny detal. I kolejny powód, by sprzątać zgrabniutką pannę Conroy, kiedy z nią skończy.

Dla uspokojenia włączył się bez celu przez jakieś dziesięć minut, wyłączywszy radio i układając różne warianty scenariuszy. Zanim powrócił na South, miał już gotowy plan. Podjechał do krawężnika i zaparkował tuż przed policyjnym samochodem. Wysiadł, trzymając w ręku mapę Filadelfii.

Wiedział, że policjant widzi tylko dobrze ubranego mężczyznę w wynajętym samochodzie, najwyraźniej zagubionego w mieście.

- Jakież problemy, kolego? - mundurowy opuścił okno. Powietrze w samochodzie pachniało kawą i pastrami.

- Oj tak - utrzymując się w swojej roli, DiCarlo uśmiechnął się z zawstydzeniem. - Dobrze, że pana spotkałem, panie władzo. Nie wiem, gdzie skręciłem źle, ale chyba kręcę się w kółko.

- Tak mi się zdawało, że już tu pana widziałem. Zobaczymy, czy da się to naprostować. Gdzie chce pan dojechać?

- Na Piętnastą i Walnut? - DiCarlo wetknął mapę w okienko. - Znalazłem to tutaj, proszę. Ale dojechać tam to całkiem inna sprawa.

- To proste. Musi pan tylko dojechać do Piątej i skręcić w lewo. Trafi pan dokładnie na Walnut i Independence Square i skręci pan jeszcze raz w lewo - sięgnął po pióro. - Pokażę panu.

- Jestem bardzo wdzięczny, panie władzo.



Dicarlo wcisnął z uśmiechem lufę pistoletu z tłumikiem w pierś policjanta. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Rozległy się dwa stłumione strzały. Ciało policjanta zadrgało i znieruchomiało. Dicarlo sprawdził starannie puls, a nie znalazłszy go, cicho otworzył drzwi od strony kierowcy, dotykając ich dłońmi w rękawiczkach. Ułożył ciało w siedzącej pozycji. Zasuwał okno, zamknął drzwi i wrócił do własnego samochodu.

Zaczynał pojmować, dlaczego kuzyn Guido miał takiego fioła na punkcie zabijania.

\* \* \*

Dora była zawiedziona; Richie nie przyjął jej propozycji przenocowania go u siebie. Zdaje się, że złożono mu atrakcyjniejszą ofertę. Po kinie odwiozła go do przyjaciół.

Żałowała, że nie wracała koło domu Lei i Johna i nie wzięła na noc pozostałych dzieci. Miła, hałaśliwa piżamowa prywatka ukołaby jej nerwy. Po prostu nie chciała być sama.

Nie, poprawiła się, nie tak całkiem po prostu. Nie chciała być sama, o kilka kroków od Jeda Skimmerhorna. Bez względu na to, jak bardzo pociągający i czarujący był tego popołudnia, nie mogła sobie pozwolić na zapomnienie o tym, że ten człowiek był zdolny do dzikich wybuchów wściekłości.

Uwierzyła w jego przeprosiny i przyjęła je bez zastrzeżeń. Nawet zrozumiała jego motywacje. Ale to nie zmieniało faktu, że okazał się skrzynką dynamitu z bardzo krótkim lontem. Nie chciała znaleźć się w polu rażenia, kiedy - i jeśli - znowu wybuchnie.

Poza tym ona też miała temperament. Może jej lont był dłuższy, ale moc wybuchu byłaby równie silna.

Może tego właśnie było mu potrzeba, pomyślała. Kobiety, która mu się przeciwstawi, będzie z nim walczyć i wygrywać tak często, jak ona przegrywała. Gdyby miał kogoś, kto rozumiałby jego potrzebę wyżywiania się na przedmiotach, może zdołałby się otworzyć. Może zdołałby oczyścić rany z jęczącej się trucizny. Może...

- Przestań, Doro - mruknęła. - Odwracasz kota ogonem. To nie on tego potrzebuje, tylko ty.

Na pewno nie był jej potrzebny kochanek z większą liczbą problemów niż w sztuce Eugene'a O'Neill'a. Skręciła na zwirowany podjazd za sklepem. Nieważne, że tak słodko się uśmiecha.

T - Bird zniknął. Dora zmarszczyła na chwilę brwi, potem potrząsnęła głową. No i dobrze, pomyślała. Skoro go tu nie ma, nie będę myślała o zapukaniu do jego drzwi i napytaniu sobie kłopotów.

Jej buty skrzypnęły na żwirze, zastukały na schodach, które zwykle pokonywała

biegiem. Wystukała szyfr wyłączający system alarmowy, po czym włączyła go, otworzywszy drzwi.

Nie będę kusić losu i czekać na powrót Jeda, postanowiła. Pójdę wcześniej spać. Imbryczek herbaty, ogień w kominku i książka, nad którą spróbuje się skupić to doskonałe lekarstwa na skłopotaną głowę. A przy odrobinie szczęścia uda się jej też zapomnieć o „Krzycz, jeśli możesz”, horrorze, którym dziś uraczyła Richie'ego.

Weszła do mieszkania i zapaliła lampki na choince. Ciepłe, kolorowe światełka zawsze ją rozweselały. Przy cichych dźwiękach, płynących z radia, zdjęła buty i płaszcz. Wszystko złożyła starannie w szafie na korytarzu, podśpiewując razem z Billie Holliday.

Boso, tylko w pończochach, podreptała do kuchni, by zagotować wodę. Zamarła z ręką na kurku, usłyszawszy skrzypnięcie deski w podłodze pokoju. Jej serce natychmiast pomknęło w kierunku gardła, a ona zastygła nieruchomo, pozwalając wodzie spływać do zlewu i słuchając stukotu galopującego serca.

- Weź się w garść, Conroy - szepnęła. No proszę, obejrzenie głupiego filmu zupełnie ją rozstroiło.

W jej sypialni nie krył się dwuipółmetrowy niehumanoidalny stwór z rzeźnickim nożem, żądny krwi. Budynek osiada, to wszystko.

Rozbawiona swoim przerażeniem postawiła czajnik na gazie i przykręciła kurek. Wróciła do salonu i tu zatrzymała się jak wryta.

Było tu ciemno, ciemno jak w jaskini, tylko światło z kuchni obrysowywało zarysy mebli. Przez co, oczywiście, ciemność stawała się jeszcze straszniejsza.

Ale przecież włączyła lampki na choince, prawda? Oczywiście, że tak, zapewniła samą siebie, unosząc powoli rękę do gardła, by uspokoić galopujące tętno. Wskoczyły korki? Nie, przecież stereo ciągle grało, a czerpały prąd z tego samego gniazdko. Powoli zaczęła szukać logicznego wytłumaczenia, czekając, aż jej serce uspokoi się. Pewnie było jakieś zwarcie w lampkach. Pokręciła głową nad swoją wybujałą wyobraźnią i przeszła przez pokój, by sprawdzić, co się stało.

Wtedy zgasło światło w kuchni.

Z westchnieniem podobnym do jęku zmusiła się, by się odwrócić. Przeszył ją długi, powolny dreszcz. Lepkie paluszki strachu prześlizgnęły się po jej skórze. Przez pełną minutę nie zrobiła żadnego ruchu, nasłuchując najdrobniejszych odgłosów. Nie słyszała niczego z wyjątkiem własnego, dudniącego serca i płytkiego oddechu. Uniosła rękę do twarzy i roześmiała się. Oczywiście, to nic takiego. Żarówka się przepaliła, to wszystko.

Twórcza wyobraźnia to czysty koszmar, pomyślała. Teraz musi tylko...

Jakaś ręka zakryła jej usta, czyjeś ramię oplotło się wokół jej talii. Zanim zdołała pomyśleć o obronie, została zmiażdżona jakimś ciężkim ciałem.

- Nie przeszkadza ci ta ciemność, prawda, kotku? - DiCarlo zniżył głos do szeptu, ze względów praktycznych, a także po to, by jeszcze bardziej spotęgować jej strach. - Teraz będziesz stać spokojnie i niczego nie powiesz. Wiesz, co to? - rozluźnił chwyt na tyle, by móc wcisnąć pod jej sweter pistolet i przesunąć nim po jej piersiach. - To duży, zły pistolet. Nie chcesz, żebym go użył, prawda?

Potrząsnęła głową, zaciskając mocno powieki, gdy gładził jej ciało metalem broni. Opuściła ją wszelka zdolność myślenia.

- Grzeczna dziewczynka. Teraz zabiorę rękę. Jeśli krzykniesz, będę musiał cię zabić.

Kiedy zabrał dłoń z jej ust, zacisnęła mocno wargi, by nie pokazać mu, że drżą. Nie pytała, czego od niej chce. Bała się, że wie.

- Patrzyłem na ciebie wtedy w sypialni, kiedy się rozbierałaś. Jej oddech przyspieszył się. Wolną rękę wsunął między jej nogi.

- Miałaś czarną bieliznę. Koronkową. Podobała mi się. Jęknęła, odwracając głowę, kiedy dotknął jej przez wełnę spodni. Podglądał ją. Podglądał ją. Tylko tyle była w stanie pomyśleć.

- Teraz znowu zrobisz dla mnie mały striptiz. Jak tylko załatwimy pewną sprawę.

- Mam... mam pieniądze... - zdołała wykrztusić. Zaciskała zęby, patrzyła prosto przed siebie, by odgrodzić się od świadomości tego, co robił z jej ciałem. - Czteryście dolarów gotówką. Dam je panu.

- Dasz mi wszystko, co możesz dać. I to tutaj, zapinane z przodu, też. Zakwiliła, kiedy zaczął bawić się jej biustonoszem.

- O tak, jest śliczny. Jaki ma kolor? Nie odpowiedziała. Przycisnął lufę pistoletu do jej klatki piersiowej.

- Masz odpowiadać, kiedy zadaję pytanie.

- Cze... czerwony.

- Majtki też?

Rumieniec wstydu wypełził na jej spłonięte policzki.

- Tak, tak, są czerwone.

- Ognista z ciebie sztuka - roześmiał się, czując zadziwiające podniecenie wywołane jej drżącą prośbą, by przestał. Tej przyjemności się nie spodziewał.

- Będziemy się świetnie bawić, kochanie, i nikomu nie stanie się krzywda. Dopóki dajesz mi to, czego chcę. Powiedz, że rozumiesz.

- Tak.

- Co: tak?

Zagryzła wargi, przerażona.

- Tak, rozumiem.

- Dobrze. Naprawdę świetnie. Najpierw powiesz mi, gdzie to jest, a potem zaczniemy zabawę.

W jej oczach zaczęły wzbierać gryzące łzy. Wydawało się jej, że tamtej nocy poznała smak strachu. Ale nic, nic nie mogło się równać z tym śmiertelnie zimnym przerażeniem, które przeszywało ją teraz.

I nie zrobiła nic, tylko jęczała, trzęsła się i aż prosiła, żeby ją skrzywdzić. Zmusiła się, by opanować trzęsącą się brodę. Nie jest bezradna. Nie może być bezradna. Może ją zgwałcić, ale ona mu tego nie ułatwi.

- Nie wiem, o czym pan mówi - nie musiała udawać, że przeszywa ją dreszcz. Miała nadzieję, że wyda mu się kompletnie obezwładniona, gdy osunęła się miękko na niego. - Proszę, proszę, niech mnie pan nie krzywdzi. Dam panu wszystko, czego pan chce, jeśli mnie pan nie skrzywdzi.

- Nie chcę, żebyś mnie do tego zmusiła.

Boże, był twardy jak żelazo. Za każdym razem, gdy przesuwiał bronią po jej ciele, drżała, a jego krew zaczynała szybciej krążyć. Te współczujące serduszka, które uważają gwałt za akt przemocy, gównie się na tym znają, pomyślała. Tu chodziło o władzę. Tylko i wyłącznie o władzę.

- Jak się postarasz, świetnie sobie damy radę - wsunął lufę pistoletu pod zapięcie jej stanika, powoli przesuwając nią w górę i w dół między jej piersiami. - Przeszukałem cały dom i nic nie znalazłem. Powiesz mi, gdzie jest obraz, a ja zabiorę broń.

- Obraz? - myśli zawirowały szaleńczo w jej głowie. Postaraj się, powiedział, a zabiorę broń. Więc się postara. Ale nie tak, jak myślał.

- Dam panu ten obraz, każdy obraz, jaki pan zechce. Proszę, niech pan zabierze pistolet, Nie mogę skupić myśli, taka jestem przerażona.

- Dobrze, kochanie - DiCarlo skubnął płatek jej ucha i opuścił broń. - Tak lepiej?

- Tak.

- Nie podziękowałaś - połaskotał ją lufą pistoletu. Zacisnęła powieki.

- Dziękuję.

Znowu opuścił broń, zadowolony, że pokazał jej, kto tu rządzi.

- Teraz lepiej. Teraz mi powiedz, gdzie go masz, a nic ci nie zrobię.

- Dobrze - objęła prawą dłonią pięść lewej ręki. - Powiem. - Wykorzystując siłę obu ramion wbiła łokieć w jego żołądek. Jęknął boleśnie i zatoczył się do tyłu. Kiedy rzuciła się ku drzwiom, usłyszała za sobą łomot.

Ale strach odebrał jej zręczność ruchów. Wypadła na korytarz, niemal przewracając się. Mocowała się właśnie z zamkami tylnych drzwi, kiedy ją dopadł. Krzyknęła, myśląc tylko o tym, by przeżyć, przejechała paznokciami po jego twarzy.

DiCarlo zaklął i chwycił ją za gardło.

- Teraz już nie będziemy tacy mili, prawda? - Zacisnął dłonie, aż zaczęła się dusić, wlokąc ją z powrotem do ciemnego mieszkania.

Oboje usłyszeli głos kroków na schodach. Jednym desperackim ruchem DiCarlo rozbił wiszącą w korytarzu lampę i zaczął się w mroku.

Jed wszedł cicho z wyciągniętą bronią.

- Rzuć to - syknął DiCarlo, zaciskając palce, by Jed usłyszał krztuszenie się Dory. - Za jej plecami trzymam pistolet. Jeden niepotrzebny ruch i ta pani nie będzie miała kręgosłupa.

Jed nie widział broni, ale widział bladą plamę twarzy Dory i słyszał jej rozpaczliwą walkę o tyc powietrza.

- Puść ją - kucnął, nie spuszczać oczu z DiCarla i położył broń na podłodze. - Na nic ci się nie przyda, jeśli ją udusisz.

- Wstawaj, ręce na głowę. Kopnij broń w moim kierunku. Jed wyprostował się, podniósł ręce. Wiedział, że Dora nie spuszcza z niego wzroku, ale on na nią nie spojrział.

- Daleko nie uciekniesz. - Wystarczająco daleko. Kopnij broń.

Jed kopnął ją tak, by zatrzymała się w połowie drogi między nim a Dorą. Wiedział, że napastnik będzie musiał podejść, żeby ją zabrać. Jeśli podejdzie wystarczająco blisko, będą mieli szansę.

- Przepraszam - powiedział Jed. - Chyba nie trafiłem.

- Cofnij się. Pod ścianę, kurwa - DiCarlo zaczął się pocić. Wypadki nie toczyły się tak, jak zaplanował. Ale miał kobietę. A skoro miał kobietę, miał obraz Finleya.

Zaczął przesuwac się w stronę wyjścia, mając Dorę między sobą a Jedem. Kiedy sięgnął po broń Jeda, popchnął Dorę tak, by schyliła się wraz z nim. Ten ruch rozluźnił nieco jego uchwyt. Spazmatycznie złapała powietrze.

- On nie ma broni - wychrypiała i rzuciła się do tyłu.

Jej stopa uderzyła w trzydziestkęsemkę, odrzucając ją aż pod drzwi. Jed odepchnął ją w bok i spał się, oczekując ataku DiCarlo. Ale DiCarlo rzucił się do ucieczki.

Jed dopadł go przy drzwiach. Wypadli przez nie razem, spleceni w kłębowisko nóg i

przekleństw. Pod ciężarem ich ciał balustrada trzasnęła głośno i pękła na dwie części. Kiedy upadli na ziemię, Dora wypełzła przez drzwi i powłokła się po schodach, szukając broni.

Pierwszy cios wymierzony był w nerki Jeda. Następny w podbrzusze. Jed uderzył pięścią prosto w twarz mężczyzny i z satysfakcją zobaczył rozpryskującą się krew.

- Nie mogę znaleźć! - krzyknęła Dora.

- Wynos się stąd - Jed powstrzymał stopę DiCarla, szybującą w kierunku jego głowy, i przewrócił go.

Dora wydała wściekły skowyt, kiedy DiCarlo, chwyciwszy część połamanej balustrady, cisnął nią w kierunku twarzy Jeda, chybiając o kilka centymetrów. Otworzywszy szeroko usta, zbiegła po trzech schodkach i skoczyła na plecy DiCarlo.

Z tryumfem zatopiła zęby w jego karku. Zanim strząsnął ją z siebie, zdążyła jeszcze zobaczyć tryskającą krew.

Uderzyła o schodek, jej głowa eksplodowała bólem. Podniosła się, zdołała stanąć na nogach. Ale nagle zobaczyła wszystko podwójnie, potem potrójnie, wreszcie wszystko zgasło. Upadła bezwładnie na ziemię.

\* \* \*

Kiedy znowu otworzyła oczy, ostrość widzenia na zmianę pojawiała się i znikwała. To bolało. Dora zamknęła oczy i zaczęła ponownie zapadać w ciemność.

- O, nie. No, kochanie, otwórz oczy - Jed klepał wierzchem dłoni policzki Dory, aż jęknęła z rozdrażnieniem i otworzyła oczy.

- Przestań - odtrąciła jego rękę i zaczęła siadać. Pokój zawirował niczym karuzela.

- Nie tak szybko - Jed, bardzo zaniepokojony widokiem jej oczu, które znowu powoli zaczynały wywracać się białkami do góry, położył ją na posłaniu. - Spróbuj nie stracić przytomności, ale na leżąco.

- Moja głowa - niepewną ręką dotknęła potylicy i syknęła z bólu. - Co mnie uderzyło?

- Raczej, w co ty uderzyłaś. Leż spokojnie. Ile palców? - podstawił jej rękę pod nos.

- Dwa. Bawimy się w doktora?

Choć martwił się, że mogła doznać wstrząśnienia mózgu, przynajmniej wiedział, że jej wzrok i mowa nie doznały uszczerbku.

- Chyba nic ci nie jest - fala ulgi, jaką poczuł, została natychmiast wyparta przez atak gniewu. - Chociaż na to nie zasłużyłaś po tych twoich wygłupach. Co to miało być, Conroy? Chciałaś pojeździć sobie na barana?

- Chciałam pomóc.

Wszystko znowu wróciło, za szybko, zbyt wyraźnie. Zacisnęła palce na jego dłoni, co przypomniało mu, że nadal trzyma ją za rękę.

- Gdzie on jest? - tym razem, mimo przeszywającego bólu, podniosła się. - Uciekł?

- Tak, uciekł. Niech to. Złapałbym go, gdybyś... Jej oczy zwęziły się, spojrzały na niego wyzywająco.

- Gdybym co?

- Upadłaś jak ścięte drzewo. Myślałem, że pomyliłaś się co do broni. Wspomnienia wróciły wraz z szybko, oleistą falą mdłości.

- Myślałem, że strzelił do ciebie, więc walnąłem go w twarz. Okazało się, że tylko rozbiłaś sobie tę swoją zadziwiająco twardą głowę.

- No, a dlaczego za nim nie pobiegłeś? - chciała się obrócić i zauważyła, że spowija ją jak kokon afgańska narzuta zrobiona szydełkiem.

- Tak, na pewno mogłem cię tam zostawić, nieprzytomną, na zimnie, krwawiącą...

- Krwawiącą? - ostrożnie dotknęła głowy. - Czy ja krwawię?

- Nie bardzo - zaczął przybierać profesjonalny ton. - Może mi powiesz, co się stało?

Nie sądzę, żeby to była kolejna nieudana randka.

Spojrzała na niego i odwróciła wzrok.

- Może powinniśmy zadzwonić na policję?

- Już to zrobiłem. Brent już tu jedzie.

- Aha - rozejrzała się po pokoju. - Przedtem miał broń. Nie wiem, co się z nią stało.

- Była pod stołem. Znalazłem ją. Jej uśmiech był słaby i krótkotrwały.

- Nie nudziłeś się.

- Dałaś mi dużo czasu. Parę minut więcej i zadzwoniłbym na pogotowie.

- Trafiłam fuksa.

- Dosyć tego - usiadł obok niej i wziął ją za rękę, zbyt delikatnie, by mogła mu ją odebrać. - Powiedz mi, co się stało. Wszystko po kolei.

- Chyba miałeś rację, mówiąc, że ktoś tu się wczoraj włamał. Zdaje się, że tutaj też był. Naprawdę nie zauważyłam, żeby coś było przestawione lub żeby zniknęło, ale powiedział, że widział, jak się rozbierałam - zawahała się. - A ponieważ opisał moją bieliznę, muszę mu wierzyć.

Rozpoznał charakterystyczne oznaki, upokorzenie zmieszane ze strachem, wstyd walczący ze złością.

- Doro, mogę poprosić Brenta, żeby wezwał policjantkę. Może będzie ci łatwiej.

- Nie - odetchnęła głęboko. - Musiał gdzieś się tu ukryć, może w sypialni. Poszłam do

kuchni, żeby zrobić herbatę... Zostawiłam gotującą się wodę.

- Zająłem się tym.

- O, to dobrze. Lubię ten czajnik - zaczęła bawić się frędzlami afgana. - No więc, kiedy tu wróciłam, zgasły lampki na choince. Myślałam, że po prostu wtyczka wysunęła się z gniazdka czy coś w tym stylu. Podeszłam, żeby je naprawić, i wtedy zgasło światło w kuchni. Zaszedł mnie od tyłu.

Głos zaczął się jej trząść. Odchrząknęła.

- Mogłabym się obronić. Chciałabym myśleć, że mogłabym się obronić, ale on wsadził mi pistolet pod sweter i zaczął... eee... zaczął mnie nim trącać - roześmiała się słabo. - Zdaje się, że niektórzy traktują nóż jako symbol falliczny.

- Chodź tu - przygarnął ją do siebie, kładąc sobie na ramieniu jej pulsującą bólem głowę. Pogładził jej włosy, czując narastającą w nim wściekłość. - Już dobrze.

- Wiedziałam, że chce mnie zgwałcić - zamknęła oczy, jakby szukając schronienia. - W zeszłym roku cała nasza paczka poszła na kurs samoobrony, ale nie mogłam sobie niczego przypomnieć. Czułam się, jakby mój mózg pokrył się skorupą lodu, przez którą nie mogłam się przebić. Ciągłe powtarzał, jak to będziemy się świetnie bawić, a ja czułam wściekłość. Obślinił mi szyję i mówił, że po prostu muszę być grzeczna, muszę być posłuszna. Wściekłam się, bo on uważał, że nie zrobię niczego, żeby się bronić. Można chyba powiedzieć, że w końcu przebiłam się przez ten lód, bo walnęłam go łokciem w brzuch i uciekłam. Wtedy się pojawiłeś.

- Dobrze - wolał nie myśleć, co mogłoby się zdarzyć, gdyby się nie pojawił. - Znasz go?

- Nie sędzę. Nie poznałam jego głosu. Było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, a on stał za mną. Na zewnątrz przyjrzałam mu się dość dokładnie, ale nie przypominał nikogo znajomego. - Odetchnęła głęboko. - Twoja nowiutka balustrada jest zniszczona.

- Chyba ją znowu naprawię. Masz aspirynę?

- W łazience, w apteczce - uśmiechnęła się, poczuwszy na skroni muśnięcie jego warg. To także pomogło. - Daj mi jakieś pół kilo, dobrze? - położyła się nieco spokojniejsza, kiedy wstał. Zmięty ręcznik, rzucony na stolik do kawy przyciągnął jej uwagę. Był to jej obszyty ałtusem, ręcznie wyszywany ręcznik do rąk. Cały poplamiony krwią.

- Skimmerhorn, do cholery, musiałeś wziąć czysty? - pochyliła się z niesmakiem, by podnieść ręcznik. - W dodatku mokry! Wiesz, co się dzieje, kiedy rzuci się mokrą szmatę na drewno?

- Nie myślałem o meblach - szperał z hałasem w apteczce. - Nie mogę znaleźć



aspiryny.

- Pozwól - była dość zadowolona, że może utrzymać się na nogach i chodzić o własnych siłach, dopóki nie spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. - O mój Boże.

- Słabo ci? - wypatrując oznak zbliżającego się omdlenia wziął ją za ramiona, gotów ją pochwycić.

- Ze zgrozy. Z mojego makijażu zostało to, co rozmazało się pod oczami. Wyglądam jak coś z rodziny Addamsów - sięgnęła na górną półkę po małą błękitną apteczną buteleczkę.

- Aspiryna.

- Dlaczego nie we właściwym opakowaniu?

- Bo plastikowe buteleczki na aspirynę są brzydkie i obrażają mój wyrafinowany gust. Wytrząsnęła cztery tabletki i oddała buteleczkę Jedowi.

- Skąd wiesz, że to nie antyhistamina?

- Bo antyhistamina jest w bursztynowej buteleczce, a aspiryna w niebieskiej - napełniła porcelanową filiżankę wodą i przełknęła pigułki jednym haustem. Skrzywiła się, słysząc pukanie do drzwi. Prababka wszystkich migren znalazła schronienie w jej czaszce. - Czy to kawaleria?

- Chyba tak. Zostań tu.

Spojrzała za nim, otwierając szeroko oczy na widok broni zatkniętej za pasek jego dżinsów. Sięgnął po nią i stanął obok drzwi.

- Tak?

- Tu Brent.

- No wreszcie - otworzył gwałtownie drzwi. Część targającej nim wściekłości przelała się na jego byłego partnera. - Kogo ty stawiasz na straży, że uzbrojony gwałciciel może mu przejść tuż przed samym nosem i włamać się do zamkniętego budynku?

- Trainor był dobry - usta Brenta zacisnęły się ponuro. Spojrzał ponad ramieniem Jeda na Dorę stojącą w drzwiach łazienki. - Nic jej nie jest?

- Nie jest to zasługa naszych orłów Filadelfii. Gdybym nie...

- przerwał; wyraz oczu Brenta zdołał wreszcie przebić się przez jego wściekłość. - Był?

- Nie żyje. Dwa strzały w pierś, z bliska. Z tak bliska, kurwa, że na koszuli ma proch. Dora zwolniła kroku, dojrawszy spojrzenia, które wymienili.

- Co? Co jeszcze się stało?

- Poprosiłem Brenta, żeby jeden z jego ludzi pilnował domu, na wypadek gdyby

włamywacz wrócił - Jed wyciągnął papierosa.

- I wrócił - potarł zapalną. - A policjant nie żyje.

- Nie żyje? - policzki Dory, które zdążyły nabrać kolorów, znów zaczęły blednąć.

- Chcę, żebyś teraz usiadła - powiedział Jed głosem bez wyrazu. - I jeszcze raz opowiedziała mi o wszystkim, krok po kroku.

- Jak zginął? - ale już wiedziała. - Od kuli, prawda?

- Usiądźmy, Doro - Brent wziął ją za ramię, ale Strząsnęła jego rękę i cofnęła się.

- Miał żonę?

- To nie...

- Nie mów mi, że to nie moja sprawa - uderzyła dłonią w pierś Jeda, zanim zdążył skończyć zdanie. - Ten człowiek był przed moim domem, chciał mnie bronić. Teraz nie żyje. Chcę wiedzieć, czy miał rodzinę.

- Miał żonę - powiedział cicho Brent, czując, że wyrzuty sumienia zatapiają w nim małe, tępe ząbki. - Dwoje dzieci, oboje w liceum.

Odwróciła się, obejmując swoje ramiona.

- Doro - Jed wyciągnął ku niej rękę, żeby jej dotknąć, ale po chwili ją opuścił. - Kiedy mężczyzna lub kobieta wstępuje do policji, wie, czym ryzykuje.

- Cicho bądź, Skimmerhorn, Po prostu bądź cicho. Teraz zrobię kawy - odrzuciła potargane włosy. - Powtórzmy to jeszcze raz.

Usiedli później w jadalni Dory, opracowując jej zeznanie punkt po punkcie.

- To śmieszne, że wrócił... musimy uznać, że trzy razy - Brent sprawdził swoje notatki. - i że załatwił policjanta, żeby się dostać do środka. Tak nie postępuje zwykły gwałcieł.

- Tego bym nie powiedziała. Im bardziej byłam przerażona, tym bardziej mu się to podobało - wyrecytowała, jakby uczyła się roli. - Można powiedzieć, że był podniecony, że nie chciał, żeby wszystko potoczyło się zbyt szybko. Bo zaczął o czymś mówić - otworzyła oczy. - Zapomniałam. Powiedział coś o obrazie.

- Chciał, żebyś mu dała swoje obrazy? - zapytał Brent.

- Ja... nie. Nie, nie sędzę, żeby to o to chodziło. Chciał mieć jakiś konkretny obraz, chciał, żebym powiedziała mu, gdzie on jest. Nie słuchałam go wtedy naprawdę uważnie, bo musiałam coś zrobić, żeby mnie nie zgwałcił.

- Może chodziło o zdjęcia? Jakiego masz zdjęcia?

- Chyba wszystkie możliwe rodzaje. Rodzinne, z wakacji, z urodzin. Nic, co mogłoby kogoś zainteresować.

- Kiedy zrobiłaś ostatnie? zapytał Jed. Co na nich było?

- W Boże Narodzenie, u Lei. Nawet ich jeszcze nie wywołałam. A przedtem... przeczesala dłonią włosy, odgarniając je z twarzy - Boże, nie wiem tego na pewno. Może kilka tygodni temu, pewnie kilka miesięcy.

- Chciałbym wywołać ten film, jeśli pozwolisz - uśmiechnął się Brent. - Nie zaszkodzi sprawdzić.

- Pójdę po niego.

- Coś tu nie pasuje powiedział Jed, kiedy wyszła z pokoju. - Nie zabija się policjanta, żeby zgwałcić kobietę i zrabować jej album z fotografiami.

- Od czegoś trzeba zacząć. Chciał mieć zdjęcie, więc przyjrzymy się jej zdjęciom. Może uchwyciła na nich coś, czego nie powinna zobaczyć.

W języku angielskim słowo „picture” oznacza zarówno obraz, jak i fotografię; przyp. tłum.

- Może, ale ten kawałek nie pasował do układanki.

- Przyjrzałeś się mu na tyle, żeby go opisać?

- Sześć stóp, sto siedemdziesiąt funtów. Ciemne włosy, ciemne oczy, smukła budowa ciała. Miał kaszmirowy szary płaszcz i granatowy lub czarny garnitur z czerwonym krawatem. Zabawne, facet wkłada krawat i garnitur, żeby zgwałcić kobietę.

- Żyjemy w zabawnym świecie.

- To jest ten film Dora położyła na stole pudełeczko. - Zostało parę wolnych klatek, ale chyba, ich nie wykorzystam.

- Dziękuję - Brent wsadził film do kieszeni. - Chciałbym, żebyś popracowała z Jedem nad identi - kitem. To taka zabaweczka, dzięki której ustalamy portret pamięciowy.

- Jasne - życie toczy się dalej, pomyślała żałośnie. - Pójdę po płaszcz.

- Nie dzisiaj - Brent poprawił okulary i wstał. - Musisz odpocząć. Jutro będzie ci lepiej szło. Jeśli coś przyjdzie ci do głowy, zadzwoń, nieważne o której.

- Dobrze. Dziękuję.

Kiedy zostali sami, Dora zaczęła zbierać filiżanki i spodki. Zbyt trudno było jej spojrzeć Jedowi prosto w oczy. - Jeszcze ci nie podziękowałam.

- Nie ma za co - położył dłonie na jej rękach. - Zostaw to. Powiniennem chyba zawieźć cię do szpitala. Niech sprawdzą tę twoją twardą głowę.

- Nie chcę, żeby lekarze wścibiali nos w moje sprawy - zacisnęła usta, by głos przestał jej drżeć. - W ogóle niech nikt nie wścibia nosa w moje sprawy. Aspiryna stepiła trochę ból.

- Ale nie pomoże na wstrząśnienie mózgu.

- Nic na to nie pomoże - odwróciła dłonie pod jego rękami, złożyła je, błagając o

zrozumienie - nie zmuszaj mnie, dobrze?

- Czy ja cię zmuszam? - zdjął ręce z jej dłoni, przechylił jej głowę i sprawdził stan jej oczu. Zobaczył tylko zwykłe zmęczenie.

- Idź spać.

- Nie jestem zmęczona. Ta kawa nie pozwoli mi pewnie zasnąć przez... Omal nie przyprowadziłam tu wczoraj Richie'ego - ta myśl sprawiła, że jej żołądek skurczył się spazmatycznie. - Gdyby on... - nie mogła dalej o tym myśleć. - Tu powinno być bezpiecznie.

- I będzie - położył delikatnie ręce na jej ramionach i zaczął masować napięte mięśnie.

- Następnym razem, kiedy wyjdę do sklepu po papierosy i mleko, wezmę cię ze sobą.

- To tam się wybrałaś? - Ponieważ zanadto chciało się jej znów przytulić do niego, wzięła filiżanki i zaniósła je do kuchni.

- Nie zauważyłam, żebyś miał torbę.

- Zostawiłem ją w samochodzie, kiedy usłyszałem twój krzyk. Postawiła głośno filiżanki na stole.

- Szybko myślisz. Zawsze zabierasz pistolet idąc do sklepu?

- A wiesz, jaką marzę mają te całodobowe sklepy? - musnął jej włosy, gdy roześmiała się zduszonym chichotem.

- Nie martw się, nie zemdleję.

- Nie martwię się - ale nie cofnął ręki z jej włosów. - Chcesz, żebym zadzwonił do twojej siostry? Do ojca, matki?

- Nie - Dora zatkała zlew, odkręciła kran. - Chyba będę musiała im powiedzieć o tym jutro, a to będzie straszne.

Nie zmywała naczyń ze względu na zamięłowanie do porządku, wiedział o tym, ale dlatego, że chciała odwlec moment, w którym zostanie znowu sama. Przynajmniej tym mogła się zająć.

- Coś ci powiem, a może dziś prześpię się na twojej kanapie? Obiecuję, że nie zostawię resztek kremu po goleniu w umywalce.

Westchnęła z ulgą, zakręciła kran i przytuliła się do niego, kryjąc twarz na jego piersi.

- Dziękuję. Zawahał się, a potem przygarnął ją do siebie.

- Jeszcze mi nie dziękuj. Mogę chrapać.

- Zaryzykuję - potarła policzkiem o jego policzek. - Właściwie moglibyśmy spać w jednym łóżku, ale...

- Nie pora na to - dokończył.

- Zupełnie - odsunęła się. - Dam ci poduszkę.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wyglądała dobrze. Naprawdę dobrze. Niezbyt często miał okazję przyglądać się śpiącym kobietom, i to na pewno tylko takim, które spędziły z nim noc, ale żadna nie wyglądała lepiej niż ona.

Dora leżała na brzuchu, jej włosy, potargane przez noc, odsłaniały policzek, przez co twarz prezentowała się w całej okazałości, wyjąwszy czoło kryjące się pod grzywką. Wyglądała niesłychanie pociągająco.

Myślał, że zawdzięcza to tym wielkim, ciemnym oczom, temu, jak dominowały w jej pełnej wyrazu twarzy. Ale te oczy były teraz zamknięte, a twarz uśpiona.

I ciągle wyglądała cholernie dobrze.

Może to z powodu skóry. Skóra Dory była jak jedwab, gładki biały jedwab, leciutko zaróżowiony.

Otrząsnął się, zarazem zakłopotany i podniecony. Kiedy mężczyzna zaczyna wymyślać metafory na określenie skóry kobiety, znaczy to, że przepadł na amen.

Podszedł do nocnej szafki, postawił na niej swój kubek i przysiadł na skraju łóżka.

Czuł jej zapach - tę niebywale seksowną woń, przez którą zawsze zasychało mu w ustach. Kolejny problem, pomyślał, pojawia się wówczas, gdy mężczyzna daje się złapać na tak oczywisty haczyk jak perfumy.

- Isadora - dotknął jej ramienia przez grubą kołdrę, potrząsnął nią lekko, tak jak to robił tej nocy co dwie godziny, by upewnić się, że nie znajduje się w zapaści.

Jęknęła na wpół kapryśnie, na wpół z rozdrażnieniem i odwróciła się. Kołdra ześliznęła się z jej ramion. Jed przyjrzał się z namysłem flanelowej koszuli, w jaką się ubrała. Była gruba niczym zbroja i miała kłujący w oczy turkusowy kolor.

Zauważył dwie małe różowe aplikacje przypominające świńskie uszy. Podniósł kołdrę, zaciekawiony. I rzeczywiście. Tłuszciki różowy świński ryjek uśmiechnął się do niego.

Wiedział, że wybrała akurat tę koszulę, bo uznała ją za ciepłą i kompletnie aseksualną.

Miała rację tylko w połowie, pomyślał i opuścił kołdrę.

- Isadora - znów potrząsnął jej ramieniem i przytrzymał ją, żeby się nie odwróciła. - Izzy - szepnął jej do ucha - wstawaj.

- Odejdź, tato.

Uśmiechnął się, pochylił się nad nią i uszczypnął zębami jej ucho. Natychmiast otworzyła oczy. I natychmiast poczuła ciepło rodzące się w jej ciele.

Zamrugnęła powiekami, oprzytomniała, ale zanim zdążyła się zorientować, zamknął jej usta pocałunkiem. Oszołomiona położyła mu dłoń na ramieniu, wbijając w nie palce, kiedy poczuła, że ciepło w jej ciele eksploduje.

- Teraz się obudziłaś? - szepnął Jed i zaczął się bawić, skubiąc lekko jej dolną wargę.

- O tak. Najzupełniej - odchrząknęła, ale jej głos pozostał senny i zachrypnięty.

- Kim jestem?

- Kevinem Costnerem - uśmiechnęła się i rozprostowała ramiona. - To tylko taka nieszkodliwa fantazja, Skimmerhorn.

- Czy on nie jest żonaty?

- Nie w moich fantazjach. Odsunął się, tylko trochę obrażony.

- Ile palców?

- Trzy. Myślałam, że już wczoraj uzgodniliśmy, że nic mi nie jest.

- A dzisiaj to potwierdzamy. - Jej oczy były senne, bardzo seksownie senne. Ale źrenice miała w normie. - Jak głowa?

Leżała przez chwilę nieruchomo, dokonując bilansu strat. Oprócz ciągłego dzwonienia w głowie, nadal czuła ból. O wiele za silny.

- Boli. I ramię też. - Weź.

Dora spojrzała na dwie aspiryny na jego dłoni.

- Dwie? Skimmerhorn, ja biorę dwie aspiryny przy złamanym paznokciu.

- Nie bądź mazgajem - wiedział, że to poskutkuje. Spojrzała na niego spode łba, wzięła tabletki i kubek z kawą, który jej podał.

Jej złość zamieniła się w zaskoczenie, kiedy pociągnęła pierwszy łyk.

- Bardzo dobra kawa. Smakuje prawie jak moja.

- Bo jest twoja, to znaczy ziarna są twoje. Przyglądałem się kiedyś, jak ją robisz.

- Szybko się uczysz - chcąc rozkoszować się chwilą, podparła plecy poduszką i umościła się wygodnie. - Dobrze ci się spało na tej kanapie?

- Nie, ale spałem. Skorzystałem z prysznica. Nie masz żadnego mydła, które nie wyglądałoby jak kwiatek albo łabędź?

- Miałam kilka koników morskich, ale się zużyły - pochyliła się i powąchała go, bawiąc się jego mokrymi włosami, opadającymi w ciemnopłowych skrętach na kołnierzu. - Mmm. Gardenia.

Zakrył ręką jej twarz i delikatnie ją odepchnął.

- Coś ci powiem - zaproponowała. - Kiedy wyjdę znowu na zakupy, rozejrzę się za mydłem w kształcie hantli. O tym pociągającym, męskim zapachu przeпоconych sportowych

skarpetek.

Pociągnęła łyk z kubka trzymanego w obu dłoniach i westchnęła.

- Nie pamiętam, kiedy ktoś ostatnio przyniósł mi do łóżka kawę - przechyliła głowę i przyjrzała się mu z uśmiechem. Z wilgotnymi po prysznicu włosami, zarostem ocieniającym szczękę i oczami niemal równie rozdrażnionymi, co pięknymi, przedstawiał bardzo pociągający widok.

- Twardy z ciebie orzech, Skimmerhorn. Musiałeś wiedzieć, że bez żadnego wysiłku mogłeś się tu ze mną wczoraj znaleźć. Wiedziałeś, za jakie sznurki pociągnąć, ale nie pociągnąłeś za nie.

- Byłaś obolała i zmęczona. - Myślał o tym. O tak, myślał. - Nie jestem zwierzęciem.

- O tak, jesteś. Jesteś wielkim, niespokojnym, złym zwierzęciem, i to jest część twojego uroku - musnęła palcami policzek, którego nie chciało mu się ogolić. - Te twarde mięśnie i paskudny charakter. Jest coś kuszącego w świadomości, że jesteś w równym stopniu zdolny do złego, jak i dobrego. Mam fioła na punkcie złych chłopców o dobrym sercu.

Ujął dłoń, którą tuliła do jego policzka, chcąc ją odepchnąć. Ale ona splotła jego palce ze swoimi i usiadła, żeby go pocałować. Bardzo delikatnie, bardzo słodko, ale każdy jego mięsień zadrgał od tego pocałunku.

- Przeciągasz strunę, Doro.

- Nie sądzę.

Mógł jej udowodnić, że się myli, zrobiłby to, gdyby jej oczy nie zdradzały, że gnębi ją ból głowy. Mógłby rzucić ją na łóżko i rozładować tę nieszczęsną żądzę, którą w nim budziła.

Nie zrobił tego, bo nie chciał brać tego, czego pragnął, wiedząc, że może sprawić jej ból.

- Posłuchaj - powiedział rozsądnie, patrząc jej w oczy - nie znasz mnie. Nie wiesz, do czego jestem zdolny albo czego nie mogę zrobić. Jednej rzeczy możesz być pewna: tego, że cię pragnę, a kiedy przekonam się, że jesteś w stu procentach tym, czego mi trzeba, wezmę cię. I nie będę prosił.

- Nie ma takiej potrzeby, bo ja już się zgodziłam.

- I nie będę miły - spojrział na ich splecione dłonie i umyślnie usunął swoją rękę. - I ni cholery mnie nie obchodzi, czy będziesz tego później żałować.

- Kiedy się na coś decyduję, nie waham się. I wiem, że ty mnie nie ostrzegasz. Ostrzegasz siebie.

Opuścił ręce i wstał.

- Mamy dziś co innego do roboty. Co zrobisz ze sklepem?

- Dziś jest zamknięty.
  - Dobrze. Musimy pójść na policję. Pozbieraj się do kupy, a ja zrobię śniadanie.
  - Umiesz?
  - Umiem wlać mleko do płatków.
  - Pycha.
- Odrzuciła kołdrę, kiedy ruszył do wyjścia.
- Aha, Conroy - rzucił przez ramię - podoba mi się twoja świnka.

\* \* \*

Podczas, gdy Jed i Dora dzielili się pudełkiem płatków kukurydzianych, DiCarlo krążył po swoim nowojorskim mieszkaniu. Nie spał tej nocy. Zdążył do połowy opróżnić butelkę whisky, ale to nie otępiło jego rozgorączkowanego umysłu ani nie przyniosło mu spokoju.

Nie mógł wrócić do Filadelfii. Martwy gliniarz to jedno, ale zostawił za sobą dwoje świadków. Świadców, którzy na pewno zapamiętali go na tyle, by go zidentyfikować.

Znajdą mnie, pomyślał DiCarlo ponuro i nalał sobie kolejny kieliszek. I powieszają za tego gliniarza. Jeśli DiCarlo wiedział coś o policjantach, to to, że nie spoczną, dopóki nie dopadną tego, kto zabił jednego z nich.

A więc nie tylko nie może wrócić, ale musi zejść do podziemia, dopóki nie przestanie wrzeć. Kilka miesięcy, pomyślał. Najwyżej pół roku. To nie problem. Ma mnóstwo kontaktów, masę gotówki. Może spędzić w Meksyku sympatyczną ciepłą zimę, popijając margaritę. Kiedy gliny przestaną kręcić się za własnym ogonem - wróci.

Jedyny szkopał w tym wszystkim to Edmund J. Finley.

DiCarlo spojrział na przedmioty, które postawił pod ścianą, obok choinki. Wyglądały jak smutne, zapomniane prezenty, nie rozpakowane i nie chciane.

Podórki pod książki, papuga, orzeł, Statua Wolności, pies z porcelany. Wliczając w to figurkę, którą zdobył wcześniej, odzyskał sześć sztuk z siedmiu. Każdy, z wyjątkiem Finleya, uznałby to za sukces.

To tylko parszywy obraz, pomyślał. Bóg widzi, jak bardzo się starał. Ma podbite oko, rozciętą wargę i obolałe nerki. Jego kaszmirowy płaszcz jest do wyrzucenia.

Zrobił więcej, niż musiał, by naprawić błąd, którego tak naprawdę nie popełnił. Jak tylko znajdzie czas, każe za to zapłacić Opal Johnson. W najtwardszej walucie.

A na razie musi znaleźć najlepszy sposób postępowania z Finleyem. W końcu Finley jest człowiekiem interesu i wie, że czasem trzeba się liczyć ze stratami. Więc tak właśnie mu



to przedstawi. Jak człowiek interesu człowiekowi interesu. Najlepiej udobruchać Finleya, pokazując mu najpierw pięć odzyskanych przedmiotów, a potem zyskać sobie jego współczucie i podziw, zagłębiając się w szczegóły sprawy.

Wspomni też o policjancie. Ktoś taki jak Finley zrozumie, jak wiele ryzykował wykańczając glinę.

To za mało, przyznał DiCarlo i przyłożył sobie do posiniaczonego policzka worek z lodem. Podeszedł do lustra w korytarzu i przyjrzał się sobie. W dodatku nie miał czasu, żeby świętować Nowy Rok. Nie mógł się pokazać między ludźmi, bo jego twarz wyglądała, jakby przejechał po niej czołg.

Wróci do tej Conroy i do tego jej sąsiada. Nie od razu.

DiCarlo dotknął ostrożnie podpuchniętego oka i skrzywił się. Będzie cierpliwy. Pół roku, rok. Do tego czasu zapomną o nim. Ale on nie zapomni.

Tym razem nie będzie mowy o humanitarnym zabójstwie. O, nie. Tym razem będzie to vendetta, którą trzeba realizować powoli i z rozkoszą.

Uśmiechnął się do tej myśli i zaklął, bo ruch uraził jego rozciętą wargę. DiCarlo wytarł krew wierzchem dłoni i odwrócił się do lustra. Zapłaci mu za to, nie ma mowy. Ale najpierw trzeba zakończyć sprawę z Finleyem.

Wiedział, że mógłby uciec policji, ale nie był pewny, czy zdołałby ujść swojemu pracodawcy. Weźmie go na rozsądek, praktyczność i pochlebstwa. I... DiCarlo przycisnął do ust worek z lodem i uśmiechnął się samymi oczami. Na dobrą wolę. Zaproponuje, że wynajmie do tego zadania innego człowieka - na własny koszt.

To z pewnością przemówi do praktycznego zmysłu Finleya. I do jego chciwości.

Ruszył, zadowolony, do telefonu. Im szybciej skończy z Kalifornią, tym szybciej znajdzie się na plażach Meksyku.

- Chcę zarezerwować miejsce w pierwszej klasie na lot z Nowego Jorku do Los Angeles. Najbliższy. Nie ma żadnego aż do szesnastej piętnaście? - zabębnił palcami w biurko, zastanawiając się. - Tak, tak, to mi odpowiada. Nie, w jedną stronę. Chcę jeszcze zarezerwować następny lot z Los Angeles do Cancun, na pierwszego stycznia - otworzył szufladę biurka, wyjął z niej paszport. - O tak, pogoda na pewno będzie lepsza.

\* \* \*

- Chyba miał trochę dłuższą twarz - Dora obserwowała zmieniający się na ekranie komputera wizerunek, słuchając cichego stukotu klawiszy pod palcami pracownika. - Tak, taką. I trochę szczuplejszą - potrząsnęła niepewnie głową i spojrzała na Jeda. - Czy miał gęste

brwi? Chyba zrobił mi się podobny do Ala Pacino.

- Dobrze ci idzie.

Zamknęła oczy i pozwoliła, aby pojawił się ten ponury obraz. Ale razem z nim wróciło przerażenie, a ona otworzyła oczy.

- Spojrzałam na niego tylko przelotnie. On... - sięgnęła po wodę z lodem, o którą poprosiła. - Chyba miał więcej włosów niż ten tutaj i może bardziej pofalowane.

- Dobrze - człowiek przy komputerze zmienił fryzurę twarzy na monitorze. - Jak to wygląda?

- Lepiej. Chyba miał cięższe spojrzenie, wie pan, grubsze powieki.

- Takie?

- Chyba tak... - westchnęła. - Nie wiem.

Jed stanął za jej krzesłem, położył ręce na jej ramionach i zaczął masować ich napięte mięśnie.

- Cieńsze wargi i nos - rozkazał. - Oczy głębiej osadzone. O, tak. Miała rację z tymi brwiami, trochę grubsze. Bardziej. Zetnij trochę podbródek.

- Jak ty to robisz? - szepnęła Dora.

- Przyjrzałem się mu lepiej niż ty, to wszystko.

Nie, to nie wszystko, pomyślała. Niezupełnie. Zobaczył tyle co ona, ale zapamiętał, sklasyfikował i utrwalił. Teraz patrzyła, jak twarz jej prześladowcy zyskuje kształt na ekranie.

- Teraz daj ciemniejszą cerę - doradził Jed, zwięźając oczy w skupieniu. - Bingo.

- To on - Dora, wstrząśnięta, położyła dłoń na ręce Jeda. - To jest on. Niewiarygodne.

Brent poklepał monitor, niczym dumny tatuś.

- Niezła zabaweczka. Jed musiał stanąć na głowie, żeby włączyć ją do budżetu.

Dora uśmiechnęła się słabo i zmusiła się do spojrzenia w oczy śledzące ją z ekranu komputera.

- To lepsze niż Nintendo.

- Daj nam wydruk - Brent zwrócił się do policjanta przy komputerze. - Może wstąpicie na chwilę do mojego gabinetu? - wziął ją pod rękę, wyprowadził z sali konferencyjnej i poprowadził korytarzem. Spojrzała na drzwi i przeczytała widniejący na szkle napis: KAPITAN J. T. SKIMMERHORN.

Zerknęła na Jeda.

- T jak testosteron?

- Co za dowcip, Conroy.

- Och, wczoraj zapomniałem o tym wspomnieć. - Brent otworzył drzwi gabinetu i

przepuścił przed sobą Dorę. - Dzwoniła do mnie twoja matka.

- Moja matka? - Dora uniosła brew i usiadła.

- Zaproszenie na przyjęcie sylwestrowe w teatrze.

- Och, to już jutro - przypomniała sobie Dora. Prawie o tym zapomniała. - Mam nadzieję, że przyjdziecie.

- Czekamy na to z niecierpliwością. Sylwestrowe przyjęcie w Liberty Theater to łakomy kąsek. - Brent sięgnął do szuflady i wyjął z niej kopertę. - Twoje zdjęcia. Kopie zatrzymamy, ale nie widzimy w nich nic niezwykłego.

Wyjęła je i zachichotała. Pierwsze ujęcie przedstawiało szeroko otwarte usta Richie'ego, zrobione z bardzo bliskiej odległości. Autoportret, pomyślała Dora. Wszędzie rozpoznałaby tę krzywą trójkę. Najwyraźniej ten mały łobuz dobrał się do jej aparatu.

- Obrzydliwe, ale zwyczajne - włożyła kopertę do torebki. - To dokąd teraz?

- Donikąd - warknął Jed. - To sprawa policji.

- O, więc wrócił pan do oddziału, kapitanie? - uśmiechnęła się tylko, kiedy spojrzał na nią z morderczym błyskiem w oku. - Kto właściwie tu dowodzi? - zwróciła się do Brenta.

Odchrząknął i poprawił okulary.

- No, tę sprawę prowadzę ja.

- A więc... - Dora złożyła dłonie na podolku i zamarła w oczekiwaniu.

- Dopóki nie znajdziemy go - zaczął Brent, obserwując kątem oka spacerującego Jeda - postawimy pod twoim domem kilku strażników.

Pomyślała o zabitym policjancie, jego żonie, dzieciach.

- Nie chcę, żeby ktoś jeszcze dla mnie ryzykował.

- Doro, w tym okręgu nie ma policjanta, który nie zgłosiłby się na ochotnika do tego zadania. Nie po tym, co się stało z Trainorem. Ten facet zabił policjanta - spojrzał na Jeda. - To dlatego tak łatwo przyszło mi zmusić balistykę do pośpiechu. Kula, którą wyjęli z Trainora, pasuje do tych, które wydłubali ze ściany twojego domu.

- A to ci niespodzianka - mruknął Jed.

- Muszę przygotować sprawę - Brent zdjął okulary i wytarł je pomietą koszulą. - Jeśli złapiemy tego sukinsyna żywcem, muszę mieć sterty dowodów rzeczowych. Wysyłam raport balistyczny do innych okręgów w całym mieście i kraju. Coś mogłoby pasować.

Był to dobry ruch. Jed żałował tylko, że czuł taką gorycz na myśl, że nie on go wykonał.

- Gdzie Goldman?

- W Vail - syknął Brent. - Na nartach. Wziął tydzień urlopu. Gdyby Jed nie czuł takiej

wściekłości, pewnie stanąłby osłupiały.

- Sukinsyn. Ma pod nosem martwego policjanta, jednego ze swoich ludzi. A on wyjeżdża na urlop podczas świąt, kiedy jego ludzie mają dwa razy więcej roboty.

- Urlop mu się należał. - Brent złapał słuchawkę dzwoniącego przeraźliwie telefonu. - Oddzwonię - warknął i rzucił ją na widelki. - Słuchaj, mam nadzieję, że przetrąci sobie coś w tej swojej pańskiej dupie. Może wtedy się ockniesz i wrócisz tu, gdzie twoje miejsce. Mamy tu martwego glineę, a poziom morale jest na poziomie dupy karła, bo nasz dowódca bardziej martwi się o całość swoich ślicznych ząbków niż o swoich ludzi. - Wycelował palcem w stronę Jeda - no i co masz z tym zamiar zrobić, do cholery?

Jed powoli zaciągnął się papierosem, wydmuchnął dym i zaciągnął się znowu. Nie powiedział ani słowa; nie miał odwagi. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

- Spierdoliłem sprawę - Brent zerknął na Dorę, skrzywił się - przepraszam.

- Nic nie szkodzi - właściwie uznała ten incydent za wiele mówiący. - Myślisz, że to coś da?

- Nie - to, że tracił panowanie nad sobą przy drugiej osobie, zawstydzalo go. Jak zawsze. Ciemny rumieniec już teraz zaczął wypełzać mu na szyję.

- Kiedy Jed coś postanowi, nie zmieni zdania nawet przed plutonem egzekucyjnym - opadł na krzesło. - Ale jakoś lepiej się czuję.

- No, to już jest coś. Lepiej za nim pójdę.

- Ja bym tego nie robił. Uśmiechnęła się tylko i wzięła płaszcz.

- Do zobaczenia na przyjęciu.

\* \* \*

Dogoniła go na ulicy. Nie chciało się jej krzyżeć za nim, żeby zaczekał. Była absolutnie pewna, że szkoda byłoby na to jej gardła. Dobięła do niego i zrównała z nim krok.

- Ładny dzień - zagadnęła uprzejmie. - Chyba się trochę ociepiło.

- Lepiej do mnie nie podchodź.

- Jasne - wzięła go pod rękę. - Lubię chodzić, kiedy jest zimno. Krew mi wtedy szybciej krąży. Jeśli tu skęcimy, dojdziemy do Chinatown, Śliczne małe sklepiki.

Jed skręcił z rozmysłem w przeciwnym kierunku.

- Mmm, uparciuch - skomentowała Dora. - Wiesz co, tak naprawdę nie wściekasz się na niego.

- Nie mów mi, co czuję - chciał ją odepchnąć, ale wpiła się w niego niczym wyjątkowo głodna pijawka.

- Może spłyniesz, Conroy?

- Mowy nie ma. Chodnik jest suchutki - przyjrzała się jego profilowi, ale oparła się pokusie pogłaskania go po napiętej szczęce. - Możesz na mnie wrzeszczeć, jeśli uważasz, że od tego lepiej się poczujesz. Mnie to pomaga, kiedy jestem na siebie wściekła.

- Mam cię aresztować za molestowanie? Zatrzepotała rzęsami.

- Myślisz, że to się uda? Taki drobiazg jak ja molestuje takiego wielkiego twardziela?

Rzucił jej jedno krótkie, nienawistne spojrzenie.

- Mogłabyś się przynajmniej zamknąć.

- Wolę cię wkurzyć. Wiesz co, jeśli będziesz tak zaciskać zęby, to je sobie połamiesz.

Lea zgrzyta w nocy zębami i teraz musi wkładać taką plastikową rzecz, kiedy kładzie się spać. To przez stres. Lea wiecznie się zamartwia. Ale nie ja. Kiedy śpię, wyłączam wszystko. Po to się śpi, prawda?

Tuż przed następnym zakrętem Jed zatrzymał się i zwrócił ku niej.

- Nie przestaniesz, prawda?

- Nie. Ja tak mogę bez końca - zapięła zamek jego kurtki, wygładziła kołnierz. - Martwi się, bo mu na tobie zależy. Nie jest łatwo, kiedy komuś na nas zależy, bo to obarcza nas odpowiedzialnością. Zdaje się, że ty nosisz na swoich barkach mnóstwo odpowiedzialności. Musi czuć dużą ulgę, mogąc ją na chwilę z siebie zrzucić.

Trudno wściekać się na kogoś, kto tak doskonale go rozumie. Ale jeśli nie przestanie się wściekać, do jego serca może zakraść się rozpacz.

- Miałem powody, żeby odejść. I nadal są aktualne.

- Może mi o nich opowiesz?

- To moje prywatne sprawy.

- W porządku. Chcesz wiedzieć, z jakiego powodu odeszłam z teatru?

- Nie.

- Świetnie, posłuchaj. - Znowu ruszyła, prowadząc go w kierunku miejsca, gdzie zaparkował samochód. - Lubiłam grać. Nic dziwnego, te komedianckie geny... I byłam dobra. Jak tylko skończyłam z dziecinnymi rólkami, wzięłam się za takie rzeczy, jak „Nasze miasto”, „Szkłana menażeria”. Miałam cudowne recenzje. Ale... - zerknęła na niego spod rzęs - ciekawi cię to?

- Nie.

- Ale - ciągnęła, nie zrażona - to nie było to, co naprawdę chciałam robić. Potem, jakieś pięć lat temu, dostałam spadek po matce chrzestnej, Annie Logan. Może o niej słyszałeś? W latach trzydziestych i czterdziestych była gwiazdą filmów klasy B, a potem

została agentką.

- Nie słyszałem.

- No, więc była bogata.

Obok nich śmignął samochód, wzbudzając powiew wiatru, który potargał jej włosy. Nadal powiewały w powietrzu, kiedy odwróciła się z uśmiechem do Jeda.

- A ja przepadałam za nią. Ale miała ze sto lat i niełichy szmat życia za sobą. No więc dostałam te pieniądze, poszłam na kursy zarządzania. Chociaż ich nie potrzebowałam, to znaczy tych kursów. Niektóre rzeczy ma się we krwi.

- Czy ty do czegoś zmierzasz, Conroy?

- Już dochodzę. Kiedy oznajmiłam rodzinie, co zamierzam zrobić, byli wzburzeni. Naprawdę ich uraziłam tym, że nie chciałam zrobić użytku z tego, co uważali za talent, i kontynuować tradycji Conroyów. Kochali mnie, ale chcieli, żebym była kimś, kim nie mogłam być. Nie byłabym szczęśliwa w teatrze. Chciałam mieć własny dom, własny interes. Więc nawet wiedząc, że ich zawiodłam, ruszyłam naprzód i robiłam to, co było dla mnie dobre. Minęło wiele czasu, zanim dojrzałam do odpowiedzialności, którą pociąga za sobą fakt, że ktoś nas kocha, martwi się o nas, że komuś na nas zależy.

Przez chwilę nie odzywał się. Zaskoczyło go, że nie czuje już gniewu. W jakimś momencie w czasie jej monologu opuściła go wściekłość, ucichła niczym gwałtowny sztorm i ustąpiła pod naporem nieustępliwości Dory.

- A morał twojej niebywale długiej i zawilej opowieści jest taki, że skoro nie chcę być gliną, nie powinienem się wkurzać na przyjaciół, którzy pragną mojego powrotu.

Dora westchnęła i zastąpiła mu drogę, kładąc mu lekko ręce na ramionach.

- Nie, Skimmerhorn, niczego nie zrozumiałeś - spojrzała mu prosto w oczy, bardzo poważnie i współczująco. - Nie zostałam stworzona po to, żeby być aktorką, więc dokonałam wyboru, którego nie akceptowała moja rodzina, ale ja miałam wewnętrzną pewność, że postępuję właściwie. Jesteś policjantem do szpiku kości. Musisz tylko poczekać, aż dojrzejesz do tego, by przyznać, że dobrze wybrałaś.

Złapał ją za ramię, zanim zdołała ruszyć się dalej.

- Wiesz, dlaczego odszedłem? - jego oczy nie były już gniewne, lecz ciemne i puste i, według Dory, przerażające przez swój brak uczuć. - Nie musiałem zabijać Specka. Można go było obezwładnić, ale nie chciałem o tym wiedzieć. Doprowadziłem sytuację do punktu, w którym jeden z nas musiał zginąć. Tak wyszło, że padło na niego. Dostałem za niego pieprzoną pochwałę, mimo że mogłem go wziąć bez jednego strzału. Gdybym miał to zrobić jeszcze raz, zrobiłbym dokładnie tak samo.

- Wybrałeś - powiedziała ostrożnie. - Większość ludzi uznałoby chyba, że właściwie; twój zwierzchnicy na pewno tak myśleli.

Niecierpliwość aż biła od niego.

- Tylko to się liczy. Wykorzystałem odznakę, żeby się zemścić. Nie dla prawa, nie dla sprawiedliwości. Dla siebie.

- Ludzka słabość - mruknęła. - Założę się, że miałeś od cholery czasu, żeby przyznać, że nie jesteś doskonały. A skoro to przyznałeś, będziesz prawdopodobnie jeszcze lepszym policjantem, kiedy znów przyjmiesz odznakę.

Zacisnął chwyt i przyciągnął ją odrobinę ku sobie. Kiedy uniosła twarz, zwolnił uścisk, ale nadal ją trzymał.

- Po co to robisz?

W odpowiedzi, najprostszej z możliwych, zanurzyła dłoń w jego włosach i przyciągnęła jego usta do swoich. W tym pocałunku czuła jego niecierpliwość, ale także coś jeszcze, coś bliźniaczo podobnego. Tym czymś była żądza, głęboka i ludzka.

- Dlatego - powiedziała po chwili. - I chyba musimy przyznać, że wbrew temu, co zawsze uważałam za swój zdrowy rozsądek, mnie również na tobie zależy. - Otworzyła usta i zamknęła je. - Poczuj się za to odpowiedzialny, Skimmerhorn.

Odwróciła się, podeszła do samochodu i wyciągnęła jego kluczyki.

- Ja prowadzę.

Zaczekał, aż zamknęła drzwiczki i usiadła za kierownicą.

- Conroy? - Tak.

- Mnie też.

Uśmiechnęła się, zapalając silnik.

- To dobrze. Wiesz co, Skimmerhorn? Zróbmy sobie przejażdżkę.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dom Finleya wyglądał jak muzeum jego ambicji, małych i wielkich. Zbudowany dla reżysera filmów akcji, którego zamiłowanie do wyszukanych konstrukcji wkrótce przewyższyło środki i możliwości, wznosił się wysoko na wzgórzach ponad Los Angeles.

Finley kupił go, kiedy na rynku zapanował martwy okres, i natychmiast wzbogacił go bardziej skomplikowanym systemem alarmowym, krytym basenem w środku na wypadek, gdyby zdarzył się jeden z rzadkich tutaj deszczowych dni, i wysokim kamiennym murem, który otoczył cały teren niczym palisada wokół zamku.

Finley był podglądaczem, ale nie znosił, kiedy to jego podglądano.

W wieży na trzecim piętrze urządził od nowa wielką salę projekcyjną, uzupełniając jej wyposażenie zestawem telewizyjnych monitorów i teleskopem o wysokiej mocy. Szerokie, składane krzesła zniknęły. Na ich miejsce Finley wstawił wielką kanapę z kasztanowego aksamitu. Spędzał tu wiele czasu, obserwując filmy wideo z sobą w roli głównej, migające na ekranie.

Oczywiście wynajął dekoratorów wnętrz. Zanim w ciągu pół roku zdołał umeblować ten dom ku swojej satysfakcji, zmienił trzy agencje.

Ściany wszystkich pokoi były białe. Niektóre malowane, niektóre powleczone lakierem, inne pokryte tapetą, ale wszystkie w czystej, dziewiczej bieli, tak jak dywan, kafelki, bielone drewno podłogi.

Kolor wносиły tu tylko jego skarby - figurynki, rzeźby, drobiazgi, które zbierał latami.

Pokój za pokojem ciągnęły się kilometry szkła: w oknach, lustrach, szafach, kredensach, i hektary jedwabiu w zasłonach, obiciach, poduszkach, tkaninach na ścianach.

Każdy stół, każda półka, każda nisza kryły jakieś dzieło sztuki, którego nigdy nie pożałował. Kiedy zaczynało go nudzić, a tak działo się zawsze po pewnym czasie, przenosił je na mniej wyeksponowane miejsce i zaczynał się oglądać za czymś innym.

Nigdy nie czuł zadowolenia.

W jego szafie wisiały trzy rzędy garniturów. Wełna i jedwab, len i gabardyna. Wszystkie tradycyjnie skrojone, wszystkie w ciemnych kolorach: granat, czarny, szarości i kilka bardziej frywolnych jasnych błękitów. Żadnych swobodnych strojów, żadnych sportowych kurtek, żadnych koszulek z małymi wizerunkami graczy w polo, umiejscowionymi na piersi.

Pięćdziesiąt par czarnych skórzanych butów, wyglansowanych do połysku, czekało na niego na szklanych półkach.



Była tu też samotna para butów Nike, pasująca do jego sportowego stroju. Jego lokaj miał obowiązek zmieniać je co dwa tygodnie i zastępować nową, nieskazitelnie białą parą.

Jego krawaty wisiały w idealnym porządku, ułożone według kolorów: czarne przed szarymi, szare przed błękitnymi.

Stroje oficjalne spoczywały w przepięknej rokokowej komodzie.

W bieliźniarce piętrzyły się stosy schludnie złożonych wykrochmalonych koszul z monogramami na mankietach, czarnych skarpetek, białych jedwabnych bokserskich spodenek i chusteczek do nosa z irlandzkiego płótna. Wszystkie lekko przesycone były zapachem lawendy w saszetkach, które jego gospodyni zmieniała co tydzień. Prywatne pokoje pana domu obejmowały garderobę o dwóch ścianach od podłogi do sufitu pokrytych lustrami. Był tu mały barek, na wypadek gdyby dżentelmen poczuł pragnienie, przygotowując się do wieczornego wyjścia. Stało też krzesło z wygodnym oparciem, a obok - połączana konsolka z lampą od Tiffany'ego, jeśliby zechciał usiąść i przyglądać się wybranemu strojowi.

Po prawej stronie garderoby znajdowała się sypialnia. Obrazy Pissarra, Morisot i Maneta obramowane białymi ścianami, każdy z osobnym oświetleniem. Meble były szczerze zdobione, począwszy od biurka w stylu Ludwika XVI, poprzez nocny stolik na koźlich nóżkach, aż po złożoną sofę, strzeżoną przez weneckie kandelabry w kształcie murzynków. Trio kandelabrow Waterforda rzucało na to wszystko światło z góry.

Ale jego dumą i radością było łóżko. Olbrzymie, zaprojektowane w szesnastym wieku przez Vredemana de Vries. Składało się z czterech słupów podtrzymujących baldachim i miało dwa wezglowia, wykonane z dębu, rzeźbione i zdobione wizerunkami główek cherubinów, kwiatów i owoców.

Próżność kusiła go, by na baldachimie zamontować lustro, ale świadomość strat, jakie pociągnęłyby to za sobą, kazała mu zrezygnować z tego pomysłu.

Zamiast tego była tu kamera, dyskretnie ukryta w rzeźbionej belce sufitu, celująca dokładnie w łóżko. Sterowało się nią pilotem, ukrytym w górnej szufladzie nocnej szafki. Zatrzymał się i włączył monitor.

W kuchni przygotowywano obiad, sałatkę z bażanta, którą sobie zamówił. Obserwował kucharza i jego pomocnicę, pracujących w słonecznym, pełnym bieli i nierdzewnej stali pomieszczeniu.

Przełączył podgląd na salon. Przyjrzał się, jak DiCarlo popija drinka z limoną, jak grzechocze kostkami lodu w szklance, poprawia krawat.

Dobrze. Był niespokojny. Nadmierna pewność siebie zawsze budziła w Finleyu niesmak. Najważniejsza jest skuteczność. Zbyttna pewność siebie jest przyczyną błędów.

Chyba trzeba przestać się już znęcać nad tym biednym chłopcem. W końcu przyniósł mu jego skarby na dwa dni przed terminem.

Inicjatywa to jest coś. Może jednak nie powinien złamać temu chłopcu ręki.

\* \* \*

DiCarlo jeszcze raz poprawił krawat. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś go obserwuje. Owładnięty tym uczuciem przygładził włosy, strzepnął marynarkę, poprawił spodnie.

Pociągnął kolejny łyk i roześmiał się do siebie. Każdy by się tu tak czuł, pomyślał, w tym pokoju z setkami posągów i obrazów. Te wszystkie oczy. Malowane, szklane, marmurowe. Nie miał pojęcia, jak Finley to znosił.

Musi mieć całą armię służących, którzy odkurzają mu to gównu, pomyślał DiCarlo. Odstawił szklanę, wstał i zaczął spacerować po pokoju. Zbyt dobrze znał Finleya, żeby dotykać przedmiotów. Wiedział, jakim był fanatykiem na punkcie swoich zdobyczy, więc trzymał ręce przy sobie.

To dobry znak, uznał, że Finley zaprosił go do domu, a nie do biura. Dzięki temu spotkanie stawało się bardziej przyjazne, bardziej osobiste. Głos Finleya w telefonie wydał się mu przyjemny i zadowolony.

Jeśli wykażę wystarczająco dużo wdzięku, pomyślał DiCarlo, chyba uda mi się jakoś wybronić z tego brakującego obrazu, przekonać Finleya, że to jedynie kwestia czasu. Koniec końców, DiCarlo uznał z całą pewnością, że rozstaną się w przyjaźni i że wróci do hotelu Beverly Hills, w którym znajdzie jakąś chętną kobietę, skłoną razem z nim powitać Nowy Rok. A jutro, pomyślał z uśmiechem, Meksyk.

- Panie DiCarlo, mam nadzieję, że nie kazałem panu czekać zbyt długo.

- Nie, proszę pana. Podziwiałem pański dom. .

- Ach - Finley podszedł do barku pokrytego czarnym japońskim lakierem. - Będę musiał pana oprowadzić po obiedzie. Może trochę czerwonego wina? - podniósł wiktoriański dzbanek w kształcie kakadu. - Mam wspaniałą chateau latour.

- Dziękuję - DiCarlo zaczął czuć się pewniej.

- Ojej - Finley uniósł brew i pozwolił sobie na dostrzeżenie siniaków na twarzy DiCarlo. - Czyżby zdarzył się jakiś wypadek?

- Tak - DiCarlo dotknął obandażowanego karku. Wspomnienie wpijających się w niego zębów Dory znów stało mu przed oczami. - Nic poważnego.

- Miło mi to usłyszeć. Szkoda by było, gdyby zostały blizny - odstawił dzbanek. -

Mam nadzieję, że ta podróż w niczym nie zakłóciła pańskich planów spędzenia świąt. Spodziewałem się pana dopiero za dzień lub dwa.

- Chciałem podzielić się z panem rezultatami mojej misji tak szybko, jak tylko było to możliwe.

- Lubię odpowiedzialnych ludzi, panie DiCarlo. Na zdrowie - zadowolony, stuknął kieliszkiem w kielich DiCarla. Uśmiechnął się na zwiłokrotniony echem dźwięk otwieranych drzwi w korytarzu. - To pewnie pan Winesap. Przyjdzie, żeby obejrzyć przedmioty. Jak pan wie, pan Winesap jest znakomity, jeśli chodzi o te jego listy. A teraz, mam nadzieję, że wybaczy mi obaj, ale nie mogę dłużej powstrzymać swojej cierpliwości - powiedział, widząc wchodzącego Winesapa. - Muszę zobaczyć moje skarby. Zdaje się, że zaniecono je do biblioteki - zrobił gest w kierunku drzwi. - Panowie...

Korytarz wyłożony był białym marmurem i tak przestronny, że mimo skrzyni i wieszaka mogłyby się w nim minąć trzy osoby.

W bibliotece unosił się zapach skóry, cytryny i róż. Róże ułożone były w dwóch wysokich wazonach z dreźdeńskiej porcelany, stojących na kominku.

Były tu setki, może tysiące książek zgromadzonych w dwupoziomowym pokoju, nie tylko na półkach, ale również w skrzyniach i szafkach otwartych i za szkłem.

Stała tu urocza obracana biblioteczka z czasów regencji, a także model edwardiański, który Finley kazał ukraść z zamku w Devon.

Chciał, żeby w pomieszczeniu panował nastrój biblioteki wiejskiej rezydencji - i udało się mu to z powodzeniem, kiedy umieścił tu głębokie skórzane fotele, kolekcję zabytkowych fajek, a na ścianie kazał zawiesić obraz Gainsborougha przedstawiający polowanie.

A za iluzorycznym malowidłem na ścianie biblioteczki, zgodnie z przytulnym charakterem wnętrza, kryły się wszechobecne monitory.

- I możemy zaczynać. - Finley wkroczył sprężystym krokiem do biblioteki i wziął do ręki podpórkę do książki w kształcie syreny.

Lokaj, tak jak mu polecono, przyniósł mały młotek, nóż i duży kosz na śmieci.

Finley ujął młotek i jednym uderzeniem pozbawił głowy błękitnooką syrenkę.

- Nie trzeba się z tym spieszyć - powiedział miękko i dalej delikatnie odłupywał kawałki taniego gipsu.

- Wyprodukowano w Tajwanie - pouczył swoich gości. - W małej, bardzo zapracowanej fabryczce, którą się zainteresowałem. Zazwyczaj wysyłamy nasze produkty do Ameryki Południowej i Północnej i uzyskujemy sympatyczny, choć nieciekawym, zysk. Ale te możemy nazwać jedynymi w swoim rodzaju. Niektóre z nich są doskonałymi reprodukcjami

cennych dzieł sztuki, tak idealnymi, że mogłyby wprowadzić w błąd nawet znawcę.

Wyjął mały plastikowy sześcian, odrzucając resztę syrenki i przebił nożem opakowanie. Wewnątrz znajdowało się irchowe zawiniątko, a w nim - małe, bardzo stare netsuke.

Przyglądał się mu przez chwilę z rozkoszą. Kobieta na czworakach, klęcząca przed brzuchatym mężczyzną, władczo trzymającym ją za piersi. Jej główka z kości słoniowej obracała się lekko, jakby chciała zobaczyć jego twarz, kiedy wejdzie w nią od tyłu.

- Cudowne, cudowne - odstawił netsuke i ostrożnie rozbił następną podpórkę.

Kolejny eksponat kontynuował temat; kobieta klęczała u stóp mężczyzny, pochylała z uśmiechem głowę i zaciskała palce na jego wzniesionym penisie.

- Co za mistrzostwo - głos Finleya drżał z emocji. - Ponad dwa tysiące lat i żadnej technologii, która byłaby tu pomocą. Japończycy rozumieją i cenią rolę erotyki w sztuce, podczas gdy Europejczycy zasłaniają swoje przyrodzenia i udają, że dzieci rodzą się w główkach kapusty.

Wziął nóż i wypatroszył papugę.

- I proszę - powiedział, otwierając aksamitny woreczek.. - O, i proszę - przeszył go najłżejszy z dreszczy, gdy szafirowa brosza spadła wprost w jego nadstawioną dłoń.

Była wykonana ze złotego filigranu, inkrustowanego brylantami, a sam klejnot, ważący ponad osiem karatów, miał głęboki błękit bławatka, był szlifowany w fasety i pełen majestatu.

- Nosila ją Maria, królowa Szkotów - Finley pogładził kamień i metal, obrócił go, by móc podziwiać jego tył - kiedy knuła intrygi i swoje potajemne romanse. Oto część łupu, który przypadł dobrej królowej Elżuni, kiedy kazała stracić swoją śliczną kuzynkę.

Niemal czuł zapach krwi i zdrady, bijący od klejnotów. Ten zapach podobał mu się.

- Och, ileż kłopotów i wydatków kosztowało mnie zdobycie tego drobiazgu. Trzeba będzie przydzielić mu honorowe miejsce - oznajmił i ostrożnie odłożył broszę.

Niczym rozpieszczone dziecko, otwierające gwiazdkowe prezenty, chciał więcej.

Grawerowana waza Galie, kryjąca się w Statui Wolności, przejęła go dreszczem. W ułamku chwili zapomniał o swoich gościach i zaczął rozplýwać się nad nią, gładząc jej smukłe ścianki w podziw nad małymi kobiecymi postaciami zdobiacymi szkło Art Nouveau.

W jego oczach pojawiły się łzy, sprawiając, że zakłopotany Winesap odwrócił wzrok.

Z wydrążonej podstawki orla z brązu Finley wy dostał owinięte pudełeczko. Kiedy je rozwijał, ślina zaczęła zbierać się mu w ustach. Pudełko wykonane było z gładkiego

palisandru, miłośnicie naoliwionego i wypolerowanego. Ale jego wieczko było małym klejnotem, mikroskopijną mozaiką, wykonaną w Rosji dla Katarzyny Wielkiej, być może przez jej sprytnego kochanka Orłowa, kiedy już zamordował męża Katarzyny i wyniósł ją na tron.

Znowu krew, pomyślał Finley. Znowu zdrada.

Na szkle widniał podpisany przez artystę cudownie delikatny wizerunek carskiego pałacu.

- Widzieliście kiedyś coś równie znakomitego? Duma carów, cesarzy i królów. Niegdyś stało za szkłem w muzeum, żeby mogły je oglądać te niedomyte jolopy, turyści. A teraz jest moje. Tylko moje.

- Ładniutkie, jasne - DiCarlo nie chciał przerywać, ale nadszedł czas, by wykonać ruch. - Zna się pan na sztuce, panie Finley. Co za przyjemność posiadać coś bezcennego, skoro każdy głupi może wejść wprost z ulicy i obejrzeć to?

- Dokładnie, dokładnie. Prawdziwe dzieło sztuki musi mieć właściciela, musi być w kolekcji. Muzea kupują je dla potomności. Bezdušní bogacze, aby stały się lokatą pieniędzy. Obydwa przypadki są dla mnie odpychające - jego oczy były teraz bardzo zielone, bardzo jasne i odrobinę szalone. - Posiadanie, panie DiCarlo, jest wszystkim.

- Tu pana rozumiem i cieszę się, że odegrałem pewną rolę w dostarczeniu panu pańskich przedmiotów. Oczywiście, napotkałem pewne trudności...

- Jestem tego pewny - Finley przerwał mu, zanim zdążył zepsuć nastrój. - Ale musimy z tym skończyć, zanim zaczniemy roztrząsać pańskie ciężkie przejścia i burzliwe przygody.

Uderzył młotkiem psa, rozbijając jego brzuch. Pies urodził złotego kota.

- Jest bardzo solidny - wyjaśnił Finley, rozwiązując grube spowicie. Oczywiście to wspaniałe dzieło sztuki, ale jest jeszcze cenniejsze ze względu na swoją historię. Podobno jest to prezent Cezara dla Kleopatry. Teraz nie sposób udowodnić, że to prawda, choć jego wiek na to wskazuje. Ale już sama ta historia mi wystarcza - powiedział miękko, miłośnicie. - Wystarcza w zupełności.

Ręce trzęsły się mu z podniecenia, kiedy odstawił figurkę.

- A teraz obraz.

- Ja, eee... - nadszedł odpowiedni moment, by mu to powiedzieć. - Z obrazem miałem drobny problem, panie Finley.

- Problem? - Finley nie przestał się uśmiechać. Przebiegł wzrokiem pokój i nie zobaczył ani śladu po ostatnim należącym do niego przedmiocie. - Chyba nie wspominał pan o żadnych kłopotach, panie DiCarlo.

- Chciałem oddać panu te przedmioty bez chwili zwłoki. Te eksponaty przedstawiają sobą mnóstwo pańskiego czasu i pieniędzy, a wiem, że chciał je pan dostać najszybciej, jak to jest możliwe.

- Teraz rozmawiamy o obrazie - i teraz tylko obraz liczył się dla Finleya, Kleopatra, Katarzyna i Maria Stuart odeszły w zapomnienie. - Nie widzę go tutaj. Może po prostu wzrok mnie zawodzi. Może to optyczne złudzenie.

Sarkazm wywołał na policzkach DiCarla gorący rumieniec.

- Nie zdołałem przywieźć go teraz ze sobą, proszę pana. Jak próbowałem powiedzieć, napotkałem pewien problem.

- Problem - nadal się uśmiechał, bardzo miło, mimo iż kwas w jego żołądku zaczynał wrzeć. - Jakiej natury?

DiCarlo, czując się ośmielony, usiadł znowu. Krótco opowiedział o swoich włamaniach, przypominając Finleyowi, że pierwsze z nich zaowocowało odzyskaniem porcelanowego psa. Poszukiwanie obrazu przedstawił w sposób podkreślający, jak wiele ryzykował.

- Z pewnością zgodzi się pan - zakończył, jakby podsumowując spotkanie w interesach - że mój powrót do Filadelfii byłby ryzykowny dla nas wszystkich. Znam pewnego człowieka, którego mogę skierować do tej sprawy, oczywiście na własny koszt. Ponieważ odzyskał pan sześć z siedmiu przedmiotów, sądzę, iż okaże pan cierpliwość. Uważam, że z całą pewnością obraz wróci do pana w ciągu, powiedzmy, sześciu tygodni.

- Sześć tygodni - Finley skinął głową, stukając palcem w usta. - Powiedział pan, że zastrzelił policjanta.

- To było konieczne. Obserwował budynek.

- Mmm. A na jakiej podstawie pan tak wnioskuje?

- Nie mam pewności. - DiCarlo przechylił się ku niemu. Szczerość aż biła od niego. - Nie zostawiłem absolutnie żadnego śladu włamania. Podśluchałem kłótnię między tą Conroy a jej lokatorem. Był agresywny. Może dlatego poprosiła o ochronę policji.

- Ciekawe, że nie wyeksmitowała go po prostu - skomentował Finley bardzo, bardzo miłym głosem. - Powiedział pan, że ten lokator uszkodził pańską twarz.

DiCarlo zeszywniał w urażonej godności.

- To była pewnie kłótnia kochanków. Zdaje się, że dostaje od niej więcej niż dach nad głową.

- Naprawdę? - Finley pominął milczeniem grubiaństwo tej uwagi. - Pomówimy o tym później, panie DiCarlo. Może po obiedzie.

- Jasne - DiCarlo rozparł się z ulgą na krześle. - Wprowadzę pana we wszystkie szczegóły.

- Doskonale. Co powiecie na obiad, panowie?

W wiktoriańskiej jadalni z widokiem na tonący w słońcu ogród podano im wyśmienitą sałatkę z bazanta i schłodzone pouilly - fume. W czasie obiadu Finley dbał o to, by rozmowa nie zeszła na tematy zawodowe. Odbierały mu przyjemność smakowania potraw, wyjaśnił DiCarlo. Przez całą godzinę grał rolę jowialnego gospodarza, osobiście napełniając szczydrze kieliszek Di Carla.

Kiedy ostatnia kropla wina i ostatni okruszek biszkoptów w winie z kremem odeszły w zapomnienie, Finley wstał od stołu.

- Zechcesz nam wybaczyć, Ablu, ale ku mojemu strapieniu pan DiCarlo i ja musimy wrócić do interesów. Może wybierzemy się na obchód moich włości, przez ogród? - zwrócił się do DiCarla.

DiCarlo, przyjemnie oszołomiony winem, ciężkim jedzeniem i sukcesem, poklepał się po brzuchu.

- Po posiłku przyda mi się spacer.

- Dobrze, dobrze, jestem gorącym zwolennikiem ćwiczeń fizycznych. Będę panu wdzięczny za dotrzymanie mi towarzystwa. Nie zabawimy zbyt długo, Ablu.

Finley poprowadził DiCarla przez solarium ozdobione palmami w doniczkach i fontanną z pozytywką, a potem przez drzwi atrium do ogrodu.

- Chciałbym panu powiedzieć, jak bardzo pana podziwiam, panie Finley - zaczął DiCarlo. - Zarządza pan swoją firmą, prowadzi pan taki dom. Umie pan doskonale dbać o swoje sprawy.

- Chciałbym, żeby tak było - pod butami Finleya chrzęścił cicho biały żwir ogrodowej ścieżki.

- Zna się pan na kwiatkach, panie DiCarlo?

- Tylko na tych, na które można poderwać kobietę.

Finley roześmiał się z aprobatą i poprowadził go przez ogród, na końcu którego zatrzymał się, podziwiając widoki. Spojrzał na rozpościerającą się pod nim nieckę Los Angeles, wciągnął w płuca otaczające go wonie. Kwiaty - wczesne róże, jaśmin. Zapach świeżo podlanego nawozu i skoszonej trawy.

- Co pan zamierza, panie DiCarlo? - zapytał znieczeka Finley.

- Co? A... to proste. Przydzielę do tego zadania mojego człowieka. Zajmie się tą Conroy. Proszę mi wierzyć, jak się do niej dobierze, wyśpiewa mu wszystko. - Zaciśnął na

chwilę usta, zrozumiał, że ominie go przyjemność wyduszenia z niej informacji o obrazie. - Jak powiedziałem, zapewne zaczeka przez tydzień czy dwa, dopóki nie ucichnie hałas. Ale dopadnie jej i tak długo będzie nad nią pracować, aż powie mu, gdzie jest obraz.

- A wtedy...

- Zlikwiduje ją, proszę się nie obawiać - DiCarlo uśmiechnął się krótko, jak zawodowiec do zawodowca. - Nie będzie żadnych niedoróbek.

- Ach tak, niedoróbek. Są bardzo niekorzystne. A pan?

- Co do mnie, planowałem spędzić kilka miesięcy w Meksyku. Niestety, widzieli mnie. Było ciemno, to prawda, ale wolę nie ryzykować. Jeśli mnie zidentyfikują, ja będę już za granicą.

- Bardzo mądrze, bez wątplenia - Finley pochylił się nad krzakiem róży, powąchał delikatnie blad różowy pączek, dopiero zaczynający rozchyłać subtelne płatki. - Wydaje mi się, panie DiCarlo, że jeśli pana zidentyfikują, mogą również trafić na mój ślad, aczkolwiek niezbyt wyraźny.

- Absolutnie nie. Nie ma takiej możliwości. Proszę spać spokojnie, nigdy nie skojarzą kogoś takiego jak pan z kilkoma włamaniami do sklepu ze starzyzną w Filadelfii.

- Niedoróbki - westchnął Finley. Kiedy wyprostował się, trzymał w dłoni rewolwer z rękojeścią wykładaną masą perłową. Nadal uśmiechał się słodko i ujmująco. - Najlepiej się ich pozbyć.

Wystrzelił, mierząc prosto w brzuch DiCarlo. Huk odbił się echem ponad wzgórzami i spłoszył ptaki, które wzbiły się w niebo z krzykiem.

Oczy DiCarla rozszerzyły się z zaskoczenia, potem zaszkliły się bólem. Niewiarygodnie palącym bólem. Spojrzał tępo na swój brzuch, przyciskając dłoń do powiększającej się plamy na koszuli, aż wreszcie nogi ugięły się pod nim.

- Zawiódł mnie pan, panie DiCarlo - Finley nie podniósł głosu, ale pochylił się, by każde jego słowo było dokładnie słyszane. - Wziął mnie pan za głupca? Tak się pan ceni, że sądził pan, iż przyjmę do wiadomości pańskie żalose wymówki i będę życzył panu szerokiej drogi?

Wyprostował się i kopnął wściekle DiCarla wijącego się w męce na ziemi.

- To pańska wina - wrzasnął i kopnął go jeszcze raz, i jeszcze, przekrzykując jęki DiCarla, błagającego go o litość. - Chcę mieć mój obraz. Chcę tego, co do mnie należy. To przez pana go nie mam.

Ślina spłynęła z ust Finleya, kiedy strzelił w kolano DiCarla: najpierw w lewe, potem w prawe. Przenikliwy wrzask bólu DiCarla przeszedł w zwierzęce skomlenie.



- Zabiłbym pana szybko, gdyby nie ubliżył pan mojej inteligencji. Teraz czekają pana godziny umierania. A to i tak za mało.

Musiał zmusić się, by schować rewolwer do kieszeni. Wyjął chusteczkę i delikatnie osuszył nią czoło.

- Za mało - powtórzył. Znowu pochylił się, zbliżając twarz do twarzy DiCarla. - Wydałem panu rozkazy. Zapomniał pan, kto tu rządzi?

- Proszę - jęknął DiCarlo, zbyt wstrząśnięty, by zrozumieć, że jego błagania padają w pustkę. - Pomóż mi. Proszę.

Finley umieścił chusteczkę w kieszeni na piersi.

- Dałem panu mnóstwo czasu, więcej niż trzeba, żeby odkupić winę. Nawet rozważałem, czy nie udzielić panu rozgrzeszenia. Potrafię okazać wspaniałomyślność, ale pan, pan mnie zawiodł. A to, panie DiCarlo, jest nie do wybaczenia.

Wyprostował się, wciąż dygocząc z wściekłości. Teraz będzie musiał spędzić na medytacjach co najmniej godzinę, zanim zdoła doprowadzić się do stanu, w którym będzie mógł się pokazać na wieczornym przyjęciu.

Pomyłka, pomyślał. Nieodpowiedzialny pracownik. Otrzeptał rękawy i ruszył z powrotem do solarium. Tego nie można tolerować.

- Proszę pana - Winesap wśliznął się do pokoju, splatając niespokojnie ręce. Słyszał strzały i z olbrzymim niepokojem oczekiwał tego, co teraz nastąpi.

- Pozbądź się pana DiCarla. Ramiona Winesapa opadły bezwładnie.

- Oczywiście, proszę pana. Natychmiast.

- Nie - Finley wyjął grzebień z prawdziwego szylkretu i przyczesał wzburzone wiatrem włosy. - Najpierw niech się wykrwawi na śmierć.

Winesap spojrział przez szybkę w kierunku miejsca, gdzie leżał DiCarlo, skomląc żałośnie ku niebu.

- Mam tu zaczekać?

- Oczywiście. Jak inaczej zorientujesz się, że umarł? - Finley schował z westchnieniem grzebień. - Zdaję sobie sprawę, że jutro jest święto, Ablu, i nigdy nie ośmieliłbym się ingerować w twoje plany. Dlatego proszę, żebyś następnego dnia skupił uwagę na zebraniu wszystkich dostępnych informacji o tej Isadorze Conroy z Filadelfii. - Powąchał swoją dłoń i zmarszczył nos, czując zapach prochu. - Niestety, zdaje się, że sam będę musiał się tym zająć.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Szczęśliwego Nowego Roku! U drzwi westybulu Liberty Theater łysy, wysoki jak grochowa tyka, mężczyzna w czerwonym skórzanym kombinezonie, nabijanym srebrnymi gwiazdkami, powitał wchodzącego Jeda. Ten, zaskoczony, nagle zorientował się, że został pochwycony w niedźwiedzi uścisk i że mężczyzna klepie go serdecznie po plecach.

Jego nowy przyjaciel pachniał mocno winem i wodą toaletową „Giorgio for men”.

- Nazywam się Indygo.

Ponieważ cera mężczyzny była zbliżona do tego koloru, Jed skinął głową.

- Widzę.

- Cudowna zabawa - Indygo wyjął cienkiego czarnego papierosa, osadził go w złotej cygarnicze i upozował się z jedną ręką na wąskim biodrze. - Orkiestra gra z biglem, szampan jest zimny, a kobietki... - jego brwi zadrgały figlarnie - ... ile chcieć.

- Dzięki za informację.

Jed zaczął się powoli wycofywać, ale Indygo okazał się być jedną z tych przyjacielskich osób i otoczył jego barki ramieniem.

- Może chcesz, żeby cię komuś przedstawić? Znam tu wszystkich.

- Mnie nie znasz.

- Ale strasznie chcę cię poznać - poprowadził Jeda przez tłum, znajdujący się w westybulu do miejsca, w którym dwaj sprawni kelnerzy rozdzielali drinki. - Niech zgadnę - odstąpił o pół kroku, przechylił głowę i zaciągnął się europejskim papierosem - jesteś tancerzem.

- Nie.

- Nie? - ruchliwa twarz Indygo zmarszczyła się z namysłem. - A powinieneś, z takim ciałem... Gene Kelly miał wspaniałą, atletyczną budowę. Szampana! - skinął swoim papierosem w kierunku kelnera. - I drugiego dla mojego przyjaciela.

- Szkocką - poprawił go Jed - z lodem.

- Szkocka z lodem? - migdałowe oczy Indygo rozszerzyły się. - Oczywiście. Powinienem od razu zgadnąć. Aktor, naturalnie dramatyczny, z Nowego Jorku.

Jed wziął swojego drinka i wrzucił dolara do słoja na napiwki. Czasami, pomyślał, lepiej pójść na współpracę.

- Tak, jestem właśnie między rolami - powiedział i umknął razem ze swoim drinkiem.

Westybul Liberty Theater został zaprojektowany w gotyckim stylu, z mnóstwem ozdobnych plastronów, zawijasków i gargulców, wieńczących złożone gzymsy. Ponad

drzwiami, wiodącymi do właściwego teatru, wisiały brązowe maski Komедии i Tragedii.

Dziś całe pomieszczenie pełne było osób, które co do jednej, jak się wydawało, były zdecydowane, by przekrzyczeć wszystkie pozostałe. Wokoło unosiły się zapachy perfum i dymu, a także popcornu, który wesoło podskakiwał w maszynie stojącej za barkiem.

Dora mogłaby powiedzieć Jedowi, że był to po prostu zapach teatru.

Tłumy gości ciągle przesuwali się po sali, a ich elegancja wahała się od białych krawatów po podarte levisy. Trzy osoby w czarnych golfach siedziały w kącie na podłodze i głośno czytały wiersze Emily Dickinson. Przez otwarte drzwi słychać było zespół katujący wersję „Brown sugar” Rolling Stonesów.

Bal zimowy, pomyślał Jed, to to raczej nie jest.

Wszystkie światła płonęły. Widział ludzi stłoczonych między rzędami, tańczących lub stojących, rozmawiających i jedzących, podczas gdy zespół na scenie młócił rocka.

W lożach, w kanale pod sceną i na drugim balkonie usadowili się inni uczestnicy przyjęcia, pokonujący hałas dzięki wspaniałej akustyce Liberty Theater.

Instynkt kazał Jedowi pomyśleć przez jedną straszną chwilę o maksymalnym zagęszczeniu lokalu i zasadach przeciwpożarowych, zanim postanowił poszukać Dory w tym zbiorowisku, które wydawało się całą populacją Pensylwanii.

Kontakty z ludźmi nigdy nie były jego mocną stroną. Zbyt wiele razy wymuszano na nim udział w przyjęciach, kiedy był dzieckiem, przeżył zbyt wiele upokarzających publicznych kłótni swoich rodziców. Wolałby spędzić cichy wieczór w domu, ale skoro już przywłókł się na to przyjęcie, mogłaby przynajmniej mu się pokazać.

Gdyby nie wybrała się tu tak wcześnie, tłumacząc, że będzie zapewne potrzebna przy urządzaniu sali i trzymaniu matki z dala od dostawców dań, przyszedłby razem z nią i miał na nią oko.

Nie podobało mu się to, że jest sama, skoro facet, który na nią napadł, nadal przebywał na wolności. Choć trudno było przebywanie wśród tylu osób nazwać „byciem samemu”, i tak się o nią niepokoił. W przeciwnym razie nie byłoby go tutaj.

Dwa przyjęcia w ciągu jednego tygodnia. Jed pociągnął łyk szkockiej i zaczął przepychać się w stronę frontu teatru. To więcej niż jego roczna norma.

Przecisnął się między dwiema kobietami, został obdarowany błyszczącą papierową czapczką, której przyjęcia odmówił i przeżył chwilę zwątpienia, kiedy to zachciało mu się przebić przez tłum do wyjścia i uciec.

I wtedy ją zobaczył. Nie wiedział, jak mógł jej dotąd nie dostrzec. Siedziała na samym środku sceny, w dzikim jazgocie, i prowadziła poufną rozmowę z dwiema kobietami.

Coś zrobiła z włosami, zauważył Jed. Zebrała je na czubku głowy w płatanie ciemnych, dzikich loków, które wydawały się niemal wymykać spod kontroli. I oczy, pomyślał, przyglądając się, jak chwyciła dłoń jednej ze swoich towarzyszek i roześmiała się. Umalowała je tak, że wydawały się większe, głębsze, płomienne jak oczy Cyganki. Jej usta, z uśmiechem wypowiadające słowa, których nie słyszał, były jaskrawo, wyzywająco czerwone.

Miała na sobie czarno - srebrny kombinezon z wysokim kołnierzem, długimi rękawami i nogawkami, które przylegały jej do nóg jak druga skóra i powinny być prawnie zabronione. Srebrne paciorki, rozproszone po całym kombinezonie migotały przy jej każdym ruchu niczym małe błyskawice.

Wiedziała, że tak będzie, pomyślał. Mogła odejść z teatru, ale nadal wiedziała, jak wykorzystać światło reflektorów.

Chciał jej dotykać. Ta myśl i towarzysząca jej fala pożądania przez chwilę zupełnie go obezwładniła.

Odstawił swoją szklankę na poręczy krzesła i zaczął przedzierać się przez tłum.

- Ale on i tak posługuje się w swojej grze metodą Stanisławskiego powiedziała Dora z uśmiechem. - Kiedy ma reklamować ten produkt, będzie usiłował złapać grypę. Chciałabym wiedzieć, co się stało, kiedy... przerwała, czując że ktoś bierze ją pod pachy i zdejmuje ze sceny.

Przez chwilę mignęła jej przed oczami twarz Jeda, potem jego usta opadły na jej wargi. Gwałtowna, zgłodniała, dzika żądza podniosła w niej głowę, przepływając z żołądka do piersi; kiedy ją puścił, serce waliło jej jak oszalałe.

- O, cześć - zachwiała się i dla utrzymania równowagi chwyciła go za ramię. W szpilkach mogła mu spojrzeć niemal prosto w oczy. Ogień w jego spojrzeniu sprawił, że jej tętno zaczęło skakać w rytmie muzyki. Fajnie, że przyszedłeś. Ja... eee... to jest...

Spojrzała na swoje koleżanki i jakoś straciła wątek.

- Proszę nam wybaczyć - Jed pociągnął ją w stronę pierwszego napotkanego zakątka. Nie mógłby nazwać go spokojnym, ale przynajmniej nie musieli do siebie krzyczeć. - Co to ma być za ubranie?

- To? - zerknęła na iskrzący się kombinezon i spojrzała mu w oczy. - Seksowne. Podoba ci się?

- Powiem natychmiast, jak wróci mi oddech.

- W ogóle nie jesteś rozmowny, Skimmerhorn. Chcesz drinka, może coś do jedzenia?

- Już piłem. Przy drzwiach spotkał mnie dwumetrowy Murzyn w czerwonej skórze. Uściskał mnie.

- Indygo - w jej oczach zabłyśły iskierki. - Jest bardzo towarzyski.

- Uznał mnie za bezrobotnego aktora z Nowego Jorku. Dotknął na próbę jednego z jej loków, zastanawiając się, co by się stało, gdyby pozwolił im się rozsypać po ramionach.

- Indygo jest troszkę oryginalny, ale to znakomity reżyser i ma bardzo dobre oko. Dobrze, że nie powiedziałeś mu, że jesteś gliniarzem - ujęła dłoń Jeda i zaprowadziła go za kulisy, gdzie znaleźli kolejny bar i bufet. - Nie przepada za policją.

- Nie jestem gliniarzem.

Zamierzał zamówić następną szkocką, ale zrezygnował i poprosił o wodę sodową. Dora zamówiła szampana.

- Dlaczego nie przepada?

- Kiedyś dorabiał sobie jako bramkarz w jednym klubie. Gliny zrobiły obławę na nielegalne kasyno na zapleczu i zgarnęły go - przekrzywiła głowę, uniosła ramiona i odezwała się, do złudzenia imitując głos Indygo: - Kochanie, to było straszne. Czy wiesz, jakich ludzi trzymają tam w celach?

- Tak. Kryminalistów.

- Tego mu nie mów. To ja wpłaciłam za niego kaucję i, muszę powiedzieć, facet był załamany - odruchowo poprawiła kołnierzyk koszuli Jeda. - Pewno trudno ci mu współczuć, bo nigdy nie byłeś po tamtej stronie krat.

- Byłem po ich obu stronach.

- Och - szybkim, praktycznym gestem odgarnęła mu z czoła zmierzwione wiatrem włosy. - Kiedyś musisz mi o tym opowiedzieć.

- Może. Skończyłaś mnie pucować?

- Tak. Ładnie ci w czerni, wyglądasz trochę jak buntownik. Jak James Dean.

- On nie żyje.

- No tak. Ale gdyby dożył trzydziestki... - jej uśmiech był zadumany i rozbawiony. - Czy każdy policjant bierze wszystko tak dosłownie czy tylko ty?

- To kwestia faktów i fantazji. Mnie jest lepiej z faktami.

- Kiepsko. Ja większość życia spędziłam na fantazjowaniu. Można powiedzieć, że odbyłam nad nim studia. - Wzięła z bufetu dekoracyjnie rozciętą rzodkiewkę i schrupała ją. - Wolę to niż zwykłą rzeczywistość.

- Wolałaś, kiedy byłaś aktorką.

Jej śmiech był musujący niczym bąbelki szampana.

- Chyba nie muszę ci przypominać, że noszę nazwisko Conroy. Może nie występuję już na scenie, ale nadal jestem aktorką - przysunęła się do niego i skubnęła kuszaco jego

ucho. - Jeśli kiedykolwiek zechcesz wyjść na scenę, być może wrócę z mojego wygnania.

Pałaca strzała przeszła jego wnętrze.

- A może zostaniemy tym, czym jesteśmy?

- Świat nigdy się nie dowie, co stracił - spojrzała na jego szklanę. - Nie musisz udawać mojego kierowcy, wiesz? Możemy zadzwonić po taksówkę.

- To nie wystarczy - wyciągnął dłoń, ujął jej podbródek. - Chcę być zupełnie trzeźwy, kiedy będę się dziś z tobą kochać.

- Och - drżącą ręką podniosła swoją szklanę do ust - och. Uśmiechnął się.

- Wypadasz z gry, Conroy? - Ja... eee...

- Isadora!

Oczom Jeda ukazała się posągowa ruda piękność, której królewskie kształty opinała migocząca zieleń, od kolan do kostek rozpinająca się w sztywne wachlarze. Wyglądała egzotycznie jak niebezpieczna syrena.

Dora, błogosławiąc wycucie Trixie, odwróciła się z głębokim westchnieniem do swojej matki.

- Problemy?

- Ten dostawca to zwierzę. Nie rozumiem, dlaczego nadal go zatrudniam - rzuciła mu przez ramię spojrzenie, które mogłoby stopić stal. Odmówił, zdecydowanie odmówił wysłuchania tego, co miała mu do powiedzenia o paście sardelowej.

Ponieważ teraz wypadła kolej Willa na utrzymanie matki z daleka od dostawcy, Dora rozejrzała się szybko. Mój braciszek jest już martwy, uznała.

- Gdzie Will?

- Och, wyszedł z tą śliczną dziewczyną, którą przywiózł z Nowego Jorku. - Trixie wzniosła w górę ręce. Ten ruch sprawił, że kolorowe paciorki jej klipsów zatańczyły wesoło. Starcie z dostawcą wyparły z jej pamięci wszelkie nazwiska. - Z tą modelką.

- Miss Styczeń - syknęła Dora.

- No, a ta sardelowa pasta - zaczęła Trixie. Zrobiła głęboki wdech, zamierzając rozpocząć długą, pełną oburzenia perorę.

- Mamo, nie przedstawiłam ci jeszcze Jeda.

- Jeda?

Trixie, wytrącona z transu, przyglądała włosy. Kiedy lepiej się mu przyjrzała, jej twarz zmieniła się w ułamku sekundy. Podniosła lekko brodę, zatrzepotała długimi rzęsami i zerknęła spod nich na Jeda. Dla Trixie flirt był swojego rodzaju sztuką.

- Szalenie się cieszę, że mogę pana poznać.

Jed zrozumiał, czego się po nim oczekuje. Ucałował podaną mu dłoń.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani Conroy.

- Och nie. Trixie, proszę - prawie to zaśpiewała. - Czułabym się stara i stateczna.

- Jestem pewien, że to niemożliwe. Widziałem panią w zeszłym roku w „Hello, Dolly”. Była pani cudowna.

Gładkie policzki Trixie zaróżowiły się ze szczęścia.

- Och, jak to miło, że pan tak mówi. Uwielbiam Dolly Levi, to taka soczysta, wyrazista rola.

- Odtworzyła ją pani perfekcyjnie.

- Tak - westchnęła na to wspomnienie. - Lubię go, Doro. Powiedz mi, Jed, ojej, jakie ty masz potężne dłonie, prawda?

- Mamo - ponieważ Jed zachowywał się tak miło, Dora ulitowała się nad nim - Jed to ten lokator, którego znalazł dla mnie tato.

- Lokator... lokator! - instynkt macierzyński natychmiast przeważył chęć flirtu. - O mój drogi, drogi chłopcze! - Trixie, przepelniona uczuciem wdzięczności, zarzuciła mu ręce na szyję. Miała chwyt jak zapaśnik. - Jestem na wieki twoją dłużniczką!

Dora tylko cmoknęła, kiedy Jed rzucił jej bezradne spojrzenie.

- Nic takiego - powiedział Jed, niezgrabnie klepiąc Trixie po plecach. - Ja tylko odpowiedziałem na ogłoszenie.

- Ocaliłeś moją ukochaną Isadorę z rąk tego straszego włamywacza - Trixie oderwała się od niego i pocałowała go w oba policzki. - Nigdy nie zdołam ci się odwdzińczyć za to, że go przepędziłeś i nie dopuściłeś, żeby obrabował moją dziewczynkę.

Spojrzał na Dorę zwięzonymi oczami ponad ramieniem jej matki. Dora umknęła mu spojrzeniem.

- Mam na nią oko - powiedział znacząco. - Proszę się nie martwić.

- Zmartwienie to los matki - westchnęła smutnie uśmiechnięta Trixie.

- Tu jesteś, kwiatuszku - Quentin, w białym krawacie i fraku, wkroczył dumnie między nich, nadal pewnie trzymając się na nogach, mimo że dwaj kelnerzy nie mieli przy nim chwili spokoju. Obdarzył swoją żonę długim, namiętym pocałunkiem, na widok którego Jed uniósł brew. - Przyszedłem błagać moją wybrankę o taniec.

- Oczywiście, najdroższy - Trixie objęła go i zaczęły obracać się w rytm tanga.

- Poznałaś tego młodego człowieka, którego wybrałem dla Izzy?

- Właśnie przed chwilą. - Przy kolejnym obrocie Trixie odwróciła głowę i posłała Jedowi uśmiech. Nie zdziwiłby się, gdyby nagle zobaczył w jej zębach różę. - Masz taki

wspaniały gust.

- Izzy, pokaż Jedowi nasz teatr. Nasze skromne schronienie to coś więcej niż tylko scena. - Quentin mrugnął, przechylił swoją żonę do tyłu i odpłynęli w głąb sali.

- Kwiatuszku? - spytał po chwili Jed.

- Na nich to działa. - Najwyraźniej.

Nie pamiętał, czy kiedykolwiek widział, jak jego rodzice wymieniają choćby najbardziej bezosobowy uścisk czy pocałunek. Jedyne uczucie, którego był świadkiem, kazało im obrzucać się obelgami i naczyniami.

- Nigdy nie wspominałeś, że tu już byłeś. - Co?

- W teatrze - powiedziała, ściągając na siebie jego uwagę. - "Hello, Dolly"?

- Nie pytałeś - poprowadził Dorę do baru. - Nie powiedziałaś jej, prawda?

- Nie chcę jej denerwować. Nie patrz tak na mnie - warknęła. - Widziałeś, jak się zachowała, kiedy myślała, że padłam ofiarą włamywacza. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybym powiedziała, że jakiś wariat groził mi pistoletem? - Kiedy nie odpowiedział, tupnęła nogą. - Powiem jej, w mój własny sposób.

- Twoja sprawa - powiedział Jed, wyjmując papierosa - ale jeśli dowie się od kogoś innego, będzie źle.

- Nie chcę teraz o tym myśleć - zabrała mu papierosa, zaciągnęła się szybko i oddała mu. - Oprowadzę cię. Budynek pochodzi z połowy dziewiętnastego wieku. Wystawiano w nim popularne musicale - ruszyła w głąb kulis, jednym z wąskich korytarzy. - Odkąd wodewil się skończył, teatr zaczął podupadać, kilka razy omal go nie zburzono. Kiedy... - otworzyła drzwi garderoby. Wzięła się pod boki i spojrzała na Willa, wyplątującego się z namiętego uścisku.

- Dezercja - powiedziała - to obraza, którą zmywa się krwią.

Will uśmiechnął się i objął kształtną kobietę w skąpej czerwonej sukieneczce.

- Lorraine pomaga mi uczyć się roli. Startuję do reklamy płynu do ust.

- Byłeś na służbie, Will. Ja już odrobiłam swoją wartość, a Lea przyjdzie dopiero po północy.

- Dobrze, dobrze - Will ruszył do drzwi, ciągnąc za sobą swoją przyjaciółkę. - Później się spotkamy.

Jed nawet nie pofatygował się, żeby ukryć swój podziw dla bioder Lorraine, kołyszących się niczym wahadło.

- Oczy ci wypadną, Skimmerhorn - zauważyła Dora. - Ktoś ci je przydepcnie.

- Zaraz - odwrócił się do Dory dopiero wtedy, gdy Lorraine zniknęła z widnokregu. -



Jaką wartę?

- Przy mamie, żeby trzymać ją z dala od włosów dostawcy. Choć, pokażę ci nadszcenie. Stamtąd jest niesamowity widok na scenę.

W miarę upływu czasu Jed przestał kwestionować fakt, że dobrze się tu bawi. Chociaż nie lubił tłoku, nie przepadał za przyjęciami i rozmowami z nieznanymi, nie czuł dojmującej potrzeby szybkiego wyjścia. Kiedy na pierwszym piętrze wpadł na Chapmanów, doszedł do wniosku, że oni też się świetnie bawili.

- Cześć, Jed. Wesołego Nowego Roku! - Mary Pat pocałowała go i oparła się o poręcz, by przyglądać się temu, co działo się niżej. - Co za przyjęcie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Jed sprawdzał, na co patrzy. Mnóstwo ludzi, tęcza kolorów, wybuchy hałasu.

- Conroyowie są... jedyni w swoim rodzaju.

- Mnie to mówisz? Poznałem ojca Lei. Tańczyliśmy jitterbuga - jej twarz zaróżowiła się od śmiechu. - Nie wiedziałam, że umiem tańczyć jitterbuga.

- Wystarczyło, że się na nim uwiesiła - skomentował Brent. - Ten stary umie prowadzić.

- Ma w sobie dość paliwa. - Jed zauważył w dole Quentina w śmiesznej, zadziornie przekrzywionej czapeczce.

- Gdzie Dora? - spytał Brent - Nie widziałem jej, odkąd tu przyszliśmy.

- Jest w pobliżu. Indygo chciał z nią zatańczyć.

- Indygo? - Mary Pat przechyliła się bardziej przez balustradę, machając do obcych i sypiąc na nich confetti.

- Nie można go przegapić. To olbrzym, łysy czarny facet w czerwonej skórze.

- Och. Och - powtórzyła, gdy odnalazła go w tłumie. - Boże, chciałabym tak tańczyć - oparła łokcie na balustradzie i zakołysała delikatnie biodrami do taktu.

- Coś już wiadomo? - Jed zwrócił się do Brenta.

- Jest wcześniej - Brent trzymał piwo. - Rozsyłamy jego portret. Jeśli jest gdzieś notowany, po świętach będziemy coś mieli. Sam też się trochę nachodziłem, szukając kogoś wśród przestępców seksualnych lub włamywaczy. Na razie nic - Brent spojrział na swoją pustą szklanke, poprawił okulary. - Chodź, strzelimy sobie po piwku.

- O nie - Mary Pat oderwała się od balustrady i chwyciła Brenta za ramię. - Zatańczysz ze mną, poruczniku. Już prawie północ.

- A może zatańczymy tutaj i trochę się pocałujemy? - Brent z ociąganiem ruszył przed siebie, popychany przez żonę. - Słuchaj, Jed z tobą zatańczy.

- Ja idę po własną kobietę.

Zanim cała trójka zdążyła przepchnąć się na parter, solista krzyknął do mikrofonu, wznosząc ręce w prośbie o ciszę.

- Hej, wszyscy, słuchajcie! Do godziny zero mamy jedną minutę, więc znajdźcie swoją drugą połowę, albo jakąkolwiek chętną parę ust, i przygotujcie się na powitanie Nowego Roku.

Jed, nie zwracając uwagi na hałas i kilka interesujących propozycji ze strony samotnych kobiet, zaczął przedzierać się przez tłum.

Zobaczył ją po prawej stronie sceny, w towarzystwie brata nalewającą ze śmiechem szampana do tuzina wyciągniętych w ich stronę kieliszków.

Odstawiła pustą butelkę i wzięła następną, oglądając się na zespół, czy jego członkowie mają czym wznieść toast. Wtedy go zobaczyła.

- Will - nie spuszczać oczu z Jeda, podała butelkę bratu. - Radź sobie sam.

- Teraz będzie najgorszy tłok! - wrzasnął, ale ona już szła w kierunku krawędzi sceny.

- Uważajcie, kochani! - głos solisty rozległ się pod sklepieniem teatru. - Teraz liczcie razem ze mną. Dziesięć, dziewięć...

Czuła się, jakby poruszała się w zwolnionym tempie, jakby szła przez wodę, ciepłą, jedwabistą wodę. Serce biło jej w piersi mocno i szybko.

- Osiem, siedem...

Pochyliła się, położyła ręce na ramionach Jeda. Chwycił ją w pasie.

- Sześć, pięć...

Ściany zadrżały. Zrobiła krok w powietrze, w tęczowy deszcz konfetti, poczuła drżenie jego mięśni, kiedy przeczesała palcami jego włosy i oplotła go nogami.

- Cztery, trzy...

Centymetr po centymetrze ześliznęła się po jego ciele, patrząc mu głęboko w oczy. Zaczęła szybciej oddychać.

- Dwa, jeden...

Jej wargi ustąpiły pod naporem jego ust, gorące i głodne. Oboje jednocześnie wydali z siebie jęki rozkoszy, które utonęły w eksplozji radosnych okrzyków. Mrużąc coś niezrozumiale, pocałowała go głębiej, zaciskając obie ręce na jego włosach.

Postawił ją powoli na ziemi, pewien, że coś w nim za chwilę eksploduje: głowa, serce, lędźwie. Mimo że stanęła na ziemi, jej ciało nadal tuliło się do niego, dając mu bolesną świadomość każdego zagłębienia i wypukłości jej ciała.

Smakowała bardziej niebezpiecznie niż whisky, bardziej musująco niż szampan. Teraz

wiedział, że mężczyzna może się upić kobietą.

Odsunął swoje usta od jej warg, ale nadal trzymał ją mocno. Oczy miała na wpół zamknięte, usta rozchylone. Oblizła lekko wargi, jakby chciała zapamiętać jego smak.

- Jeszcze - mruknęła.

Ale zanim zdążył spełnić jej życzenie, pojawił się Quentin i objął ich oboje.

- Szczęśliwego Nowego Roku, mes enfants - przechylił głowę i podniósł głos, tak że popłynął jak strumień wina ponad hałasem - „Pożegnaj my stare, powitajmy nowe, dzwońcie, dzwońcie, dzwony przez śniegi zimowe. Stary rok odchodzi, więc odejść mu dajmy, pożegnajmy kłamstwo, prawdę powitajmy”.

\* \* \*

- Tennyson - mruknął Jed, dziwnie poruszony, a Quentin rozpromienił się w uśmiechu.

- Znakomicie - pocałował Dorę, a potem Jeda, oboje równie serdecznie. Zanim Jed zdołał ochłonąć po szoku, pojawiła się Trixie.

- Uwielbiam święta - kolejne, szczerze rozdzielane pocałunki. - Will, chodź tutaj i pocałuj swoją matkę.

Will zjawił się posłusznie, zeskakując efektownie ze sceny i porywając matkę w teatralny uścisk. Pocałował ojca i odwrócił się do Jeda.

Jed zjeżył się i zaczął się wycofywać.

- Nie chciałbym ci przyłożyć. Will tylko się uśmiechnął.

- Przepraszam, taka z nas już banda efekciarzy - mimo ostrzeżenia obdarzył Jeda mocnym uściskiem.

- Jest Lea i John.

Jed cofnął się w odruchu obrony, ale został przyparty do sceny. Poddał się i z filozoficznym spokojem przyjął pocałunek Lei i uścisk Johna, któremu jeszcze nie został przedstawiony.

Obserwując całe wydarzenie i zmieniający się wyraz twarzy Jeda, Dora roześmiała się i uniosła znaleziony pełny kieliszek szampana.

Twoje zdrowie, Skimmerhorn. Jeszcze niczego nie widziałeś.

\* \* \*

Dicarlo umierał długo i boleśnie. Winesap czekał cierpliwie, usiłując nie słyszeć słabych krzyków o pomoc, rozpaczliwych modlitw i skamlących szlochów.

Nie wiedział, jak Finley traktuje służbę. Nie chciał wiedzieć. Ale przez ciągnące się w

nieskończoność trzy godziny oczekiwania setki razy wyraził życzenie, by DiCarlo zachował się przyzwoicie i wreszcie umarł.

Potem, kiedy zaczął zapadać zmierzch, a do solarium przestały docierać dźwięki, Winesap pożałował, że DiCarlo nie umierał dłużej, znacznie dłużej.

Nie cieszyło go czekające na niego zadanie.

Wyszedł z domu, wzdychając, minął zastygłe w konwulsyjnym ruchu ciało i przeszedł przez południowy trawnik, zmierzając w stronę kamiennej szopy na narzędzia. Dowiedział się dyskretnie, czy mógłby znaleźć gdzieś kawał materiału lub plastyku.

Zgodnie z instrukcjami Finleya, znalazł opryskany białą farbą materiał, używany przy malowaniu. Wziął ciężką belkę na ramiona i wrócił do ogrodu i swojego ponurego zadania.

Łatwo było nie myśleć o tym, co robił. Musiał tylko wyobrazić sobie, że to on leży tutaj, wpatrując się martwymi oczami w ciemne niebo, a cała sytuacja od razu straciła dla niego swój odrażający charakter.

Rozpostarł tkaninę na białych kamieniach. Lepiły się od krwi, pokrywającej je niemal w całości. A muchy... No, co tu dużo mówić... pomyślał Winesap, przyjemne to nie jest.

Kucnął; dysząc przez zęby, przetoczył bezwładne ciało DiCarlo, aż spoczęło delikatnie na środku materiału.

Potem zajął się resztą. Praca fizyczna zawsze przyprawiała go o siódme poty. Wyjął chusteczkę i otarł mokrą twarz i kark. Zmarszczył nos, odrzucił chusteczkę i włożył ją pod trupa.

Usiadł, omijając kałuże krwi i ostrożnie wyjął portfel DiCarlo. Ujął go delikatnie w dwa palce i postanowił, że przy pierwszej okazji go spali, wraz z pieniędzmi i resztą zawartości.

Z rezygnacją kogoś przeciążonego obowiązkami sprawdził starannie pozostałe kieszenie DiCarlo, by mieć absolutną pewność, że nie zostało w nich nic, co mogłoby pomóc rozpoznać ciało.

Z okna na piętrze dobiegały go ciche dźwięki jakiejś włoskiej opery. Finley przygotowuje się do wieczornego wyjścia, pomyślał Winesap.

W końcu jutro miało być święto.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Noc była czysta jak kryształ, powietrze rześkie. Cienka powłoczka lodu na bocznej szybie T - Birda iskrzyła się w świetle ulicznych latarni jak lodowa pajęczna sieć. W środku szumiał pracujący grzejnik, dodając kolejny dźwięk, towarzyszący „Blue Monday” B. B. Kinga, nadawany w radio.

Ciepło, blues i powolna, łagodna jazda mogłyby ukołysać Dorę do snu. Gdyby tylko nie miała tak napiętych nerwów. By jakoś rozładować napięcie, bez przerwy komentowała przyjęcie, ludzi i muzykę, choć ze strony Jeda nie padała żadna odpowiedź, lub bardzo skąpa.

Kiedy dotarli na zaplecze domu, niemal zaschło jej w ustach.

- Nic się nie stało, prawda? - spytała.

- Z czym?

Zacisnęła palce na swojej wieczorowej torebce.

- Z policjantem, którego zostawił tu Brent.

- To dlatego jesteś taka niespokojna?

Przyjrzała się budynkowi, oświetlonym tylnym drzwiom, lampie w pokoju, którą zostawiła zapaloną.

- I tak się powstrzymywałam przez cały wieczór.

- Nic się nie stało - pochylił się i sam odpiął jej pasy. - Byli tu obaj.

- Dobrze. To dobrze - ale to jej nie uspokoiło. W milczeniu wysiedli z wozu i zaczęli wchodzić po schodach.

Nie lubię być zdenerwowana, pomyślała, kiedy Jed otwierał wejściowe drzwi. I w tej chwili nie chodziło jej o napastnika i policjantów. Chodziło o to, co miało się wydarzyć, kiedy znajdą się sami.

To zupełnie bez sensu, uznała. Weszła na korytarz i wyjęła klucze do swojego mieszkania. Pragnęła go, tak bardzo pragnęła skończyć to, co zaczęło się między nimi.

A jednak...

Jed wyjął klucze z jej zeszytniałych palców i sam otworzył drzwi.

To kwestia panowania nad sobą, pomyślała, zdejmując płaszcz i rzucając go na krzesło. Przedtem zawsze wolała dominować w związku z mężczyzną, wolała wiedzieć, że posuwają się w kierunku, który sama wybrała.

Ale przy Jedzie to nie ona trzymała ster, i oboje o tym wiedzieli.

Usłyszała, jak za jej plecami drzwi zamykają się, szcęką zamek. Gardło znowu ścisnęło się jej ze zdenerwowania.

- Napijesz się? - nie odwróciła się do niego; ruszyła prosto w kierunku brandy.

- Nie.

- Nie? - jej palce zawisły nad karafką, cofnęły się. - To ja też nie. Podeszła do stereo, wcisnęła klawisz odtwarzacza kompaktowego, nie mając pojęcia, jaką płytę zostawiła w środku. Bessie Smith podjęła śpiew w miejscu, w którym przerwał B. B. King.

- Za kilka dni muszę sprzątnąć choinkę - wyciągnęła rękę i dotknęła gałązki. - W święto Trzech Króli. Spakować ozdoby, spalić kilka gałązek choinki. Zawsze robi się przy tym smutno. - Wzdrygnęła się, gdy Jed dotknął jej ramion.

- Denerwujesz się.

- Ja? - roześmiała się i zaczęła żałować, że jednak sobie czegoś nie nalała, czegoś, co ochłodziłoby jej wyschnięte i rozpalone gardło.

- Podoba mi się to.

Poczuła się idiotycznie. Odwróciła się i zmusiła do słabego uśmiechu.

- No pewnie. Dzięki temu czujesz się jak władca.

- O tak - pochylił się i ucałował kącik jej ust. - A poza tym to daje mi pewność, że długo o tym nie zapomnisz. Chodź ze mną.

Wziął jej rękę i poprowadził do sypialni.

Chciał, żeby wszystko działo się powoli,, chciał odkrywać ją cal po calu, delektując się jej zdenerwowaniem. Dopóki była jeszcze bezbronna, i dopóki należała do niego.

Włączył lampkę stojącą przy łóżku i spojrzał na Dorę.

Westchnęła, gdy musnął jej wargi pocałunkiem. Czułość była ostatnią rzeczą, jakiej się po nim spodziewała, i najbardziej dręczącym podarunkiem, jaki mógł jej dać. Rozchyliła usta, poddając się mu. Serce tłukło się jej w gardle, jakby ktoś walił ją pięścią.

Odchyliła głowę w geście poddania, który rozpalił do białości jego pożądanie. Ale nadal delikatnie pieścił jej wargi, czekając, aż nadejdzie odpowiednia chwila.

- Trzęsiesz się - szepnął, wodząc ustami wzdłuż jej ust, przesuwał językiem po cieplej, gładkiej skórze, nurzając się w zapachu jej ciała.

- Przez ciebie.

- Chyba masz rację - znowu pochylił się nad jej ustami, przeciągając pocałunek tak długo, aż rozkosz zaczęła szumieć jej w głowie. Rozległy się westchnienia, szepty bez tchu, głośnie bicie serc.

- Pościelę łóżko - szepnęła. Ale kiedy oderwała się od niego i odwróciła się, przyciągnął ją do siebie i pocałował ją w kark.

- To może poczekać.

Jego ręce spoczęły na jej brzuchu, tam gdzie czaiło się napięcie, zwinięte w ciasny kłęb niczym grzechotnik.

- Ja chyba nie mogę.

- To nie będzie działać się zbyt szybko - przesunął dłońmi w górę i w dół jej ciała. - To nie będzie łatwe.

- Jed... - jej głos zmienił się w jęk. Teraz dotykał jej piersi, pieszcząc je, drażniąc kciukami, zataczając małe kółeczka, podczas gdy jego język robił cudowne rzeczy z płatkami jej ucha. Zamknęła oczy, powstrzymała wszelkie myśli o panowaniu nad sobą i przywarła do niego.

Teraz kąsał ją leciutko, zaspokajając prymitywną żądzę poznania smaku jej skóry. Rozpiął guziczki sięgające od gardła do bioder. Jej oddech zwolnił, stał się głębszy, jakby weszła w trans. Lekko muskał kciukiem jej skórę, przesuwając się, z dręczącą powolnością, od jednego guzika do drugiego.

- Cały wieczór zastanawiałem się - powiedział miękko i cicho do jej ucha, powstrzymując własne dłonie, by nie stały się zbyt zachłanne - cały wieczór wyobrażałem sobie, co się pod tym kryje.

Powoli rozchylił materiał, przesunął palcami wzdłuż jej brzucha. Znalazł czystą kobiecość.

- Słodki Jezu - zanurzył twarz w jej włosach, czując przeszywające pożądanie. Jej skóra była gorąca i miękka, mięśnie drżały bezbrinnie pod jego dotknięciem. Czuł każdy jej dreszcz, kiedy stali tak spleceni w świetle lampki.

Nie wiedział, że żądza może być tak przerażająco wielka, że pożądanie można dawać i brać z tak przeszywającą namiętnością, przeszywającą jak ostrze szpady, czekającej, by ugodzić. Wiedział tylko, że pożądał każdego centymetra jej ciała, a także miał świadomość, że ona pożąda go równie rozpaczliwie jak on jej.

Uniosła ramię jak we śnie, objęła go za szyję. To prawie jakbym latała, pomyślała. A powietrze wydawało się, że błyszczy jak srebro. Potem dotknął jej znowu i to łagodnie lśniąca powietrze rozbłysło pełnym blaskiem, jakby słońce odbiło się w mieczu.

Przymknęła oczy, oparła się o niego plecami, czując zarazem dumę i zdziwienie, kiedy jego ręce zaczęły błądzić po jej ciele. Obróciła głowę, by mógł dosięgnąć jej ust. Jej wargi rozwarły się, wilgotne i głodne, błagające o nowe pocałunki. Nie wiedziała już z całą pewnością, gdzie czuła rozkosz. Zbyt wiele budziło się w niej uczuć. Jego usta, tak, to w nich kryła się rozkosz, w ich mocnym dotyku, w zadraśnięciach zębów, w rozdrażnionym języku.

A jeszcze więcej było jej w twardym naporze jego ciała, w przebiegających go słabych

dreszczach, znamionujących powściąganą agresję. Bijący od niego żar mówił o przesywającej go mocnej, rozpaczliwej żądzy.

Były też jego ręce. Boże, te ręce, głoszące, pieszczące, biorące w posiadanie, niemal brutalne. Bała się, że straci wszelką godność i zacznie błagać go o więcej.

Z jej ust zaczęły się wydobywać kwilenia, głębokie jęki, a ciało, przylegające do niego, poruszało się w coraz szybszym rytmie. Żeby sprawić przyjemność obojgu, przesunął ręką wzdłuż jej brzucha, aż wreszcie dotknął jej. Była już wilgotna i gorąca. Zaczął ją drażnić koniuszkiem palców, aż podniecenie Dory sięgnęło niemal szczytu. Zesztywniała, naparła na niego całym ciałem. Krzyknęła, kiedy wstrząsnął nią pierwszy gwałtowny orgazm. Kiedy rozchyliła nogi, wśliznął się w nią głębiej, jęknąwszy, kiedy wydała pełne oszołomionej rozkoszy westchnienie.

- Jeszcze?

W głowie zakreśliło się jej. Żeby nie stracić równowagi, objęła go drugim ramieniem.

- Tak.

Zaczął ją pieścić, czując wzrastające podniecenie, kiedy z jękiem wymawiała jego imię. Wiedział już, że można upić się kobietą niemal do nieprzytomności, nawet nie spróbowałszy tego trunku. I że kobieta może przedostać się do krwi jak narkotyki. Czując narastającą w nim żądzę, odwrócił ją ku sobie i zsunął z ramion obciskający ją materiał.

W jego twarzy ujrziała dzikość, w oczach malowała się przerażająca ją agresja. Ale choć serce biło jej jak oszalałe, nie o strach tu chodziło.

- Pragnę cię - jej głos był niski i cichy jak lejący się miód. Ręce, które zdjęły z niego koszulę, były dalekie od spokoju. Ale oczy, niemal na równym poziomie z jego, były twarde i pewne. Rozpięła jego dzinsy, podchodząc do niego z odchylną głową.

- Chcę, żebyś we mnie wszedł. Teraz.

W odpowiedzi ujął jej biodra i upadł wraz z nią na łóżko.

Przetoczyli się dwa razy, niecierpliwie zdzierając z siebie ubrania, aż wilgotne ciało dotknęło wilgotnego ciała. Ale kiedy chciała objąć go i przyjąć, cofnął się, ześlizgując się wzdłuż jej ciała. Kiedy wiała się pod nim i jęczała, on przystąpił do uczty, ssąc jej piersi, aż spazmy, jakie nią wstrząsały, stały się nie do zniesienia.

Chwyciła jego włosy, dysząc, wyprężając ciało w rozpaczliwym zapraszającym geście.

- Teraz, na miłość boską, teraz.

Złapał zębami jej sutkę, drażniąc ją, aż jej paznokcie wbiły się mu w ramiona.

- Tym razem to ja chcę jeszcze.



Ale im więcej brał, tym więcej pożywał. Podała się zupełnie, bez ograniczeń, fali doznań. A jednak, to jeszcze było za mało.

I tak jak sobie obiecał, odkrywał każdy centymetr jej ciała, smakując, dotykając, zagarniając. O cokolwiek poprosił, ona dawała. Cokolwiek mu ofiarowywała, on przyjmował.

Patrzył na nią. Światło budziło blask na jej wilgotnej skórze, błyszczącej jak jedna z jej porcelanowych figurek. Ale ona była z krwi i kości, a jej ręce miały w sobie tyle ciekawości, co i jego dłonie, jej usta równie wiele życia.

Pościel pod nimi była śliska i gładka jak woda. Muzyka przepływała obok nich, cała z łkających dźwięków saksofonu i drżącego basu.

Kiedy wśliznął się w nią, głęboki gardłowy jęk przemknął z jej ust w jego. Powoli, rozkoszując się, wchodził coraz głębiej, karmiąc się jej oszalałymi westchnieniami i budząc nowe.

Podniósł głowę, chcąc zobaczyć jej twarz, widzieć na niej oznaki bezdennej rozkoszy. Znowu przeżyła orgazm, konwulsyjnie napinając się wokół niego, aż wstrzymał oddech wobec takiej burzy emocji.

Jej oczy otworzyły się, zamglone i wielkie, i przywarły do jego twarzy. Usta drżały, kiedy próbowała coś powiedzieć, ale zdołała z siebie wydać tylko kolejny drżący jęk. Widziała tylko jego, czuła tylko jego, pragnęła tylko jego. Każdy powolny ruch Jeda przeszywał ją dreszczem, zmieniając ciało w kłębek rozedrganych nerwów i rozdzierającej żądz. Nie pozwalał jej zgasnąć, aż wreszcie nie była w stanie zrobić niczego innego, jak tylko opleść się wokół niego i pozwolić mu, by ją zabrał tam, dokąd chciał.

Znowu krzyknęła. Jed ukrył twarz w jej włosach i podążył za nią.

Muzyka zmieniła się. Elton John wyśpiewywał swoją odę do Marilyn. Dora leżała bezwładnie na łóżku, niemal nie czując ciężaru Jeda na swoim nagim ciele. Czuła, że jego usta dotykają lekko jej piersi, czuła też bicie jego serca, wciąż przyspieszone.

Znalazła siłę, by podnieść rękę, przesunąć nią po jego włosach i ramieniu.

Jej dotyk, zarazem macierzyński i miłosny, obudził w nim wrzenie. Czuł się, jakby właśnie spadł z bardzo wysokiej góry i wylądował w bardzo głębokim, ciepłym źródle. Coś kazało mu pocałować jej pierś i spojrzeć na jej uśmiech.

- Wszystko gra? - spytał.

- Nie. Niczego nie widzę.

Tym razem to on się uśmiechnął.

- Masz zamknięte oczy.

- Och - otwarła je z westchnieniem. - Dzięki Bogu. Już myślałam, że ośleplam -

odwróciła głowę na zmiętym pościeliu, spojrzała na niego. - Chyba nie spytam, jak się czujesz. Wyglądasz aż na zbyt zadowolonego z siebie.

Podniósł się i pocałował ją. Włosy opadły jej na ramiona, tak jak sobie wyobrażał, bezładnie piętrząc się wokół twarzy. Usta miała obrzmiałe, oczy senne.

Czuł, że coś się w nim budzi - nie nowe pożądanie, jakby mógł się spodziewać, lecz coś innego. Coś, co rozpoznał jako zadowolenie.

- Ale zapytać możesz.

- Dobrze - odgarnęła mu włosy z czoła. - Jak się czujesz, Skimmerhorn?

- Dobrze.

- Twój talent krasomówczy mnie zadziwia.

Roześmiał się, pocałował ją jeszcze raz i odwrócił się na bok, przygarniając ją do siebie.

- Szkoda, że nie przychodzi mi do głowy nic z Tennysona. - Wizja Jeda cytującego poetów sprawiła, że na jej ustach pojawił się mglisty uśmiech.

- A może coś z Shelleya? „Wstaję z łoża, śniąc o tobie w pierwszym słodkim nocy śnie, gdy łagodny zefir tchnie, gdy się złocą gwiazdek roje !<sup>\*1</sup> Poczul się pokonany.

- To ładne - podniósł jej twarz do pocałunku, słodkiego i sennego. Bardzo ładne.

Przytuliła się mocniej, zadowolona.

- Jako jedna z Conroyów wychowałam się wśród bardów i dramatopisarzy.

- I dobrze na tym wyszłaś - uśmiechnęła się tylko, kiedy nadał się jej przyglądał, wciąż trzymając ją pod brodę, mierząc ją mrocznym, uważnym wzrokiem. - Znowu cię pragnę.

- Miałam taką nadzieję.

\* \* \*

- Doro, wyglądasz koszmarnie.

- Co ja bym poczęła, Leo, gdyby los pozbawił mnie ciebie i twoich słów otuchy?

Nie zrażona Lea wzięła się pod boki i przyjrzała się swojej siostrze.

- Może się czymś zaraziłaś. Wszyscy chorują na grypę, wiesz? Chyba powinnaś zamknąć sklep na trochę.

W sklepie pojawiła się klientka; Dora wyszła zza lady.

- Twój sposób myślenia wyjaśnia, dlaczego to ty jesteś pracownicą, a ja szefową - uśmiechnęła się promiennie. - Dzień dobry. Mogę w czymś pomóc?

---

<sup>1\*</sup> Tłum. Antoni Lange

- Czy pani jest Dorą Conroy?

- Zgadza się - Dora wyciągnęła rękę. Wiedziała, że z powodu niewyspania wyglądała blado i mizernie, ale kobieta, która ścisnęła jej rękę, była chyba bliska omdlenia. - Czy mogę panią poczęstować kawą? Albo herbatą?

- Ja... - kobieta zamknęła oczy i zdjęła z głowy błękitną narciarkę. - Mam wielką ochotę na kawę, ale nie wolno mi jej pić - położyła rękę na łagodnie zaokrąglonym brzuchu. - Poproszę o herbatę.

- Ze śmietanką? Z cytryną?

- Nie, czystą.

- Proszę, niech pani usiądzie - Dora przejęła kontrolę nad sytuacją. Zaprowadziła kobietę w kierunku krzesła. - Wszyscy rozkręcamy się dzisiaj powoli. To poświęteczne zmęczenie.

Skinęła na Lee, by zajęła się młodą parą, która właśnie weszła. Nalała herbaty do dwóch filiżanek.

- Dziękuję. Jestem Sharon Rohman - powiedziała kobieta, biorąc filiżankę z rąk Dory.

- Dziś chyba nie mam pamięci do szczegółów. Och! - przypomniała sobie od razu. Natychmiast usiadła i wyciągnęła rękę do Sharon. - To pani jest siostrzenicą pani Lyle. Tak mi przykro z powodu tego, co się z nią stało. Kiedy ostatnio dzwoniłam do szpitala, powiedziano mi, że nadal jest nieprzytomna.

Sharon zacisnęła usta.

- Wczoraj w nocy odzyskała przytomność.

- O, jak to dobrze.

- Nadal jest w stanie krytycznym - Sharon uniosła do ust filiżankę i odstawiła ją z powrotem, nie wypiszy z mej ani kropli. - Lekarze nie wiedzą, kiedy, jeżeli to w ogóle nastąpi, dojdzie do siebie. Jest bardzo słaba.

Oczy Dory błysnęły w odpowiedzi.

- To musiał być dla pani straszny okres. Nie ma chyba nic gorszego niż czekanie.

- To prawda - ale niewymuszone, altruistyczne współczucie pomogło się jej odprężyć.

- Zawsze byliśmy sobie bliskie. Jak prawdziwe przyjaciółki. Pierwszą osobą, tuż po moim mężu, której powiedziałam o dziecku, była właśnie ciocia.

- Wygląda pani na taką zmęczoną - powiedziała delikatnie Dora. - Może wstąpi pani na piętro, do mojego mieszkania? Poleży pani w spokoju przez parę minut.

Oczy Sharon zaszklily się wobec takiej uprzejmości.

- Nie mogę tu zostać. Muszę wracać do szpitala.

- Sharon, to napięcie nie jest dobre dla twojego dziecka.

- Jestem tak ostrożna, jak to tylko możliwe - otarła łzę wierzchem ręki. - Proszę mi wierzyć, robię wszystko, co każe mi doktor - odetchnęła głęboko. Potem odezwała się już spokojniej - panno Conroy...

- Doro.

- Doro - odetchnęła dla uspokojenia. - Przyszłam, żeby podziękować ci za kwiaty, które przysłałaś do szpitala. Były śliczne. Ciocia Alicja kocha kwiaty. Jej ogród to bajka. Pielęgniarki powiedziały mi, że dzwoniłaś kilka razy, żeby dowiedzieć się o stan cioci.

- Cieszę się, że się polepsza.

- Dziękuję. Ale widzisz, myślałam, że znam wszystkich jej znajomych. Nie wiem, co was łączy.

- Prawda jest taka, że spotkałyśmy się jedynie przelotnie. Tutaj. Przyszła do sklepu tuż przed świętami.

Sharon pokręciła głową ze zdziwieniem.

- Kupiła coś u ciebie?

- Parę rzeczy - Dora nie miała serca powiedzieć Sharon, że były to prezenty dla niej i jej dziecka. - Mówiła, że przyszła, bo ty byłaś tu parę razy.

- Tak - Sharon uśmiechnęła się z zakłopotaniem, gdy Dora ponownie napełniła jej filiżankę. - Masz tu zawsze takie ciekawe rzeczy. Mam nadzieję, że cię nie obrażę, ale to dziwne, że tak troszczysz się o kobietę, którą spotkałaś tylko raz w swoim sklepie.

- Polubiłam ją - powiedziała Dora z prostotą. - I bardzo mnie zmartwiło, że napadnięto ją wkrótce po wizycie u mnie.

- Kupowała coś dla mnie, prawda?

- Bardzo cię kocha.

- Tak - Sharon opanowała się z wysiłkiem. Musi być silna, wiedziała, dla dziecka, dla cioci. - Ten, kto zabił Muriel i skrzywdził moją ciotkę, zniszczył wiele przedmiotów. To zupełnie bez sensu.

- Czy policja już coś znalazła?

- Nie. - Sharon westchnęła bezradnie. - Nic. Byli bardzo uprzejmi, od samego początku. Wpadłam w histerię, zanim do niej dotarli. Znalazłam ją. W Boże Narodzenie, ją i... biedną Muriel. Kiedy dzwoniłam po pogotowie i na policję, byłam naprawdę spokojna. I nagle zupełnie się rozkleiłam. Dobrze jest z nimi pogadać, to pomaga. Policjanci potrafią być tacy dokładni i konkretni.

Dora pomyślała o Jedzie.

- Wiem - po krótkim wahaniu zdecydowała się. - Chciałabyś wiedzieć, co dla ciebie kupiła?

- Tak, bardzo.

- Powiedziała mi, że lubisz szyć. Kupiła ci wiktoriański przycisk do przytrzymywania drzwi, żebyś mogła słyszeć swoje dziecko w pokoju dzieciennym.

- Przycisk? - słaby uśmiech przemknął po twarzy Sharon.

- Słonik z brązu.

- Jak Jumbo?

- Właśnie.

- Znaleźliśmy go w kącie salonu - w jej oczach znowu pojawiły się łzy, ale nie były już tak gorące i rozpaczliwe. - Właśnie takie rzeczy lubiła mi kupować.

- Wzięła też przycisk do pokoju dzieciennego. Pies z porcelany, zwinięty w kłębek i śpiący.

- O, tego nie widziałam. Musiał się stłuc. Zniszczył prawie wszystkie prezenty, jakie przygotowała, i wiele jej własnych rzeczy. - Chwyciła Dorę za rękę. - Wyglądało to tak, jakby wpadł w szał. I chyba to był szaleniec, prawda? Żeby zabić starą kobietę i zostawić drugą na pewną śmierć - po chwili otrząsnęła się. - Chciałabym jej coś dać, kiedy zobaczę się z nią dzisiaj. Mogłabyś coś dla mnie wybrać?

- Z rozkoszą.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później Dora stanęła na chodniku, patrząc, jak Sharon wsiada do samochodu i odjeżdża.

- O co chodziło? - chciała wiedzieć Lea. - To biedactwo wyglądało tak nieszczęśliwie.

- To była siostrzenica pani Lyle, tej kobiety, na którą napadnięto w Wigilię.

- Tę z Society Hill? Była nieprzytomna, prawda?

- Już odzyskała przytomność. Lea potrząsnęła głową. ..

- To okropne, że ktoś mógłby się włamać w taki sposób do twojego domu.

Krótki dreszcz przeszył Dorę na wspomnienie własnej przygody.

- Okropne - zgodziła się. - Mam nadzieję, że go znajdą.

- A na razie - Lea odwróciła Dorę do siebie i spojrzała jej w twarz. - Wróćmy do ciebie. Dlaczego wyglądasz na taką wyczerpaną, skoro wczoraj miałaś cały dzień wolny?

- Nie mam pojęcia, cały dzień spędziłam w łóżku. - Dora odwróciła się z uśmiechem błędzącym jej po ustach i zaczęła przedstawiać pozytywki.

- Chwileczkę - Lea przechyliła się, wpijając sokoli wzrok w twarz Dory.

- Och - powiedziała, rozciągając to słowo do trzech wznoszących się sylab. - Już mi świta. Jed.

Dora uniosła emaliowane wieczko pozytywki grającej „Sonatę księżycową”.

- Co z nim?

- Nie graj ze mną w te gierki, Isadoro. W czyim łóżku spędziłaś ten dzień?

- W moim - uśmiechnęła się i zamknęła pozytywkę. - I było niewiarygodnie.

- Naprawdę? - Lea cała zamieniła się w słuch. - Dobra, opowiadaj.

- No więc, on... nie mogę - uprzytomniła sobie zmieszana. - To co innego.

- Oho - powiedziała Lea i uśmiechnęła się od jednego zgrabnego uszka do drugiego.

- Pamiętasz, co zrobiłam, kiedy John pocałował mnie po raz pierwszy?

- Wróciłaś do domu, rzuciłaś się na łóżko i płakałaś przez całą godzinę.

- Właśnie. Ponieważ byłam przerażona, wstrząśnięta i absolutnie pewna, że właśnie spotkałam mężczyznę, z którym spędzę resztę życia - uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Słodko i chytrze.

- Miałaś osiemnaście lat - wytknęła jej Dora. - Lubiałaś dramatyzować i byłaś dziewczicą.

- Masz dwadzieścia dziewięć lat, lubisz dramatyzować i nigdy jeszcze nikogo nie kochałaś.

Głębokie westchnienie.

- Oczywiście, że kochałam.

- Nie, nie kochałaś.

Dora wzięła ściereczkę do kurzu.

- Nie powiedziałam, że Kocham Jeda.

- A kochasz?

- Nie wiem.

- Właśnie - powiedziała Lea z tryumfem. - Dokładnie o to mi chodzi. Gdybyś go nie kochała, odpowiedziałabyś twierdząco. Ponieważ kochasz, jesteś niepewna. To gdzie on jest?

- Wyszedł - Dora skrzywiła się, czując, że Lea ją podeszła. - Odkąd się tu pojawił, wszystko stanęło na głowie. Do sklepu było włamanie, moje mieszkanie zostało przeszukane, ja prawie zgwałcona, a ty...

- Co? - Lea znalazła się przy niej w dwóch skokach i złapała ją za rękę. - Co powiedziałas?

- Cholera - choć próbowała jeszcze zabrać rękę, wiedziała, że rzeczy zaszły za daleko.

- Właściwie to nie było aż tak źle. Przesadziłam, bo się wściekłam na ciebie.

- Zaraz - Lea podeszła wielkimi krokami do drzwi, zamknęła je na klucz i powiesiła na nich tabliczkę z napisem „Zamknięte”. - Powiesz mi o wszystkim, Dory, i to teraz.

- Dobrze - Dora zrezygnowana, potarła twarz rękami. - Lepiej usiądź.

Opowiadanie zajęło trochę czasu, zwłaszcza że Lea przerywała jej bez przerwy, ale wreszcie dobiegło końca.

- Chcę, żebyś obiecała, że nie powiesz rodzicom, dopóki ja sama tego nie zrobię.

- Idź na górę i spakuj się - Lea zerwała się na równe nogi. Kiedy spojrzała na Dorę błyszczącymi oczami, wyglądała jak smukły jasnowłosy anioł, który cisnął w diabły swoją harfę i aureolę. - Zamieszkaż u nas.

- Mowy nie ma. Kotku, jestem tu zupełnie bezpieczna.

- O, całkowicie - warknęła jadowicie Lea.

- Naprawdę. Policja go szuka, a budynek jest strzeżony przez nich - roześmiała się, patrząc z podziwem na Leę. - Jezus, kotku, ja śpiam z gliniarzem.

To podziałało - w pewnym stopniu.

- Nie chcę, żebyś wychodziła sama. Nawet na pięć minut.

- Na miłość boską...

- Mówię poważnie - błysk w oku Lei nie pozwalał na dalszą dyskusję. - Jeśli mi tego nie obiecasz, sprowadzę tu Johna i razem zawlecemy cię do naszego domu. I chcę jeszcze porozmawiać z Jedem na osobności.

- A proszę cię uprzejmie - Dora uniosła ręce w geście poddania. Nie można odgrywać starszej siostry wobec kobiety, która twardą ręką wychowywała trójkę dzieci. - Nie powie ci nic ponad to, co usłyszałaś ode mnie. Jestem tu absolutnie i zupełnie bezpieczna. Gwarantuję ci to.

Obie wrzasnęły, gdy ktoś załomotał do drzwi.

- Hej! - krzyknęła Terri, dobijając się. - Dlaczego zamykamy w środku dnia?

- Ani słowa - syknęła Dora i podeszła do drzwi. - Przepraszam, zrobiłyśmy sobie przerwę.

Terri przyjrzała się obu kobietom, wydymając usta. W powietrzu podejrzanie mocno pachniało kłótnią.

- I chyba się wam należała. Ruchliwe przedpołudnie?

- Można i tak powiedzieć. Słuchaj, na zapleczu jest nowy towar. Może go rozpakujesz? Chcę go wycenić.

- Jasne.

Terri posłusznie zdjęła płaszcz i ruszyła na zaplecze. Zawsze może podsłuchiwać pod

drzwiami, jak zacznie się robić ciekawie.

- Jeszcze nie skończyliśmy, Isadora.

- Wystarczy, Ofelio - Dora ucałowała policzek Lei. - Możesz wziąć w obroty Jeda, jak tylko wróci.

- Mam taki zamiar.

- I jemu też nagderaj, dobrze? Chcę zobaczyć, jak to zniesie. Lea parsknęła z oburzeniem.

- Ja nie gderam.

- Jesteś w tym mistrzem świata - powiedziała Dora swoim najlepszym scenicznym szeptem.

- A jeśli myślisz, że to żarty, jesteś...

- Hej, Doro - Terri wystawiła głowę z zaplecza. Uśmiechała się ze zdziwieniem, trzymając komputerową podobiznę DiCarla. - Dlaczego trzymasz tu zdjęcie faceta, który przyszedł tu w Wigilię?

- Co? - Dora musiała uczynić wysiłek, by zachować normalny ton. - Znasz go?

- Był ostatnim klientem w Wigilię. Sprzedałam mu figurkę ze Staffordshire, sukę ze szczenięciem - spojrzała na portret pamięciowy i zmarszczyła brwi. - Wierz mi, w naturze wygląda znacznie lepiej. To twój znajomy?

- Niezupełnie - serce zaczęło bić jej coraz szybciej. - Terri, czy zapłacił gotówką?

- Za Staffordshire? Raczej nie. Zapłacił kartą kredytową. Podniecenie rozsadzało jej pierś, ale była na tyle aktorką, by jej głos pozostał spokojny.

- Mogłabyś znaleźć ten rachunek?

- Jasne - twarz Terri wydłużyła się. - Nie mów mi, że jest niewypłacalny. Jego karta była aktualna.

- Nie, wszystko jest w zupełnym porządku. Chcę tylko zobaczyć ten rachunek.

- Dobrze. Miał jakieś takie włoskie nazwisko - dodała. - Delano, Demarco, coś w tym stylu. - Wzruszyła ramionami i zamknęła za sobą drzwi.

\* \* \*

- DiCarlo - Brent podał Jedowi akta. - Anthony DiCarlo. Przeważnie małe afery: drobne kradzieże, wyłudzenie, nielegalny hazard... parę włamań. Miał krótki okres, w którym sądzono go za wymuszanie, ale od prawie sześciu lat jest czysty jak łąza.

- To, że cię nie złapali, nie znaczy, że jesteś czysty - mruknął Jed.

- Przefaksowali mi to dziś rano z Nowego Jorku. Znam tam jednego chętnego do



współpracy detektywa, który trochę się dla mnie pomęczył. Nie będziemy chyba mieć zbyt wielkiego kłopotu przy sprawdzeniu, czy nasz chłopczyk miał alibi na tamtą noc.

- Jeśli ma, to fałszywe. To on - Jed rzucił fotografię z akt na biurko Brenta. - Może powinienem ruszyć się do Nowego Jorku.

- Może powinniśmy dać im trochę czasu.

- Pomyślę o tym.

- Jak na kogoś, kto marzy, żeby dobrać się komuś do tyłka, wyglądasz na bardzo odprężonego.

Usta Jed a zadrgały.

- Naprawdę?

- Tak - Brent odchylił się do tyłu i skinął głową. Lea mogłaby pozazdrościć mu wyczucia. - Tak jak myślałem - mruknął z uśmiechem. - Dora to fantastyczna kobieta. Nieźle, kapitanie.

- Przymknij się, Chapman - powiedział łagodnie Jed i ruszył do wyjścia. - Będziemy w kontakcie, tak?

- Jasne - Brent odczekał, aż drzwi zamkną się za nim, po czym chwycił za telefon, by złożyć raport Mary Pat.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nie myślał o tym. Wiedział, że Dora będzie w sklepie, więc poszedł prosto do swojego mieszkania. Rozebrał się do szortów i podkoszulka, po czym usiadł na atlasie. Lepiej mu się myślało, kiedy wyciskał z siebie siódme poty.

Musiał zdecydować, ile jej powiedzieć. Miała prawo wiedzieć o wszystkim, ale co innego prawo, a co innego to, co będzie dla niej dobre. O ile znał Dorę, a zaczynał sądzić, że znał ją bardzo dobrze, spodziewał się, że zechce się wtrącić. Jednym z największych problemów policji jest wtrącanie się cywili.

Ale nie jestem gliną, upomniał się i skupił na zachowaniu rytmu. Wprawdzie nie może się też uważać za cywila, skoro spędził w policji niemal połowę życia.

Nowy Jork poradzi sobie. Ale ich nie dotyczyło to osobiście. Wystarczyło, że przed oczami stanęła mu blada, nieprzytomna twarz Dory, aby poczuł, jak osobiście interesuje to jego.

Podróż do Nowego Jorku, trochę wścibstwa nie zaszkodzi chyba za bardzo oficjalnemu śledztwu. A jeśli uda mu się zrobić coś konkretnego, coś rzeczywistego, nie będzie się czuł taki...

Zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał wściekle w sufit. Jaki się czuł? Odetchnął i opuścił sztangę, podniósł, opuścił.

Niepotrzebny, zrozumiał. Bez przydziału. Nie dokończony.

Nic w jego życiu nie skończyło się naprawdę, bo nic nigdy tak naprawdę się nie zaczęło. Łatwiej było trzymać się na uboczu. Akurat łatwiej, pomyślał Jed. Musiał to zrobić, żeby przeżyć.

Więc dlaczego wstąpił do policji? Myślał, że chodziło o potrzebę porządku, dyscypliny i, tak, nawet o potrzebę posiadania rodziny. Praca dawała mu to wszystko. I więcej. Poczucie, że ma w życiu cel, satysfakcję i dumę.

Donny Speck kosztował go utratę wszystkiego; ale nie chodziło tu o Specka, upomniał sam siebie. Ani o Elaine.

Chodziło mu o ochronę kobiety z przeciwka. Kobiety, do której zaczynał coś czuć.

To także należało przemyśleć.

Nie przestał podnosić sztangi, kiedy rozległo się pukanie, ale uśmiechnął się, kiedy wymówiła jego nazwisko.

- Daj spokój, Skimmerhorn. Wiem, że tam jesteś. Chcę z tobą pomówić.

- Drzwi są otwarte.

- To jak możesz kazać mi zamykać moje? - zapytała. Wkroczyła do pokoju w bardzo oficjalnym, zielonym jak myśliwska kurtka kostiumie i wniosła ze sobą zapach grzechu.

- O - uniosła brew i zmierzyła długim spojrzeniem jego ciało rozciągnięte na atlasie, mięśnie błyszczące od potu i drżące. Jej serce fiknęło koziołka. - Bardzo mi przykro, że przerwałam ci twój męski rytuał. Nie brakuje ci bicia w bębny do taktu?

- Chcesz czegoś, Conroy?

- Bardzo wielu rzeczy. Butów z czerwonego zamszu, kilku tygodni na Jamajce, tego bottgerowskiego imbryczka, który widziałam w Antique Row - pocałowała jego słone od potu usta. - Kiedy skończysz? Mogłabym się podniecić, patrząc, jak wyduszasz z siebie siódme poty.

- Zdaje się, że już skończyłem - Jed odłożył sztangę z hałasem.

- Przystaniesz się wściekać, kiedy ci powiem, co znalazłam - zrobiła dramatyczną pauzę. - Terri rozpoznała zdjęcie.

- Jakie zdjęcie? - Jed zszedł z atlasa i sięgnął po ręcznik.

- To zdjęcie. Ten magiczny obrazek, który razem stworzyliśmy na komputerze. Jed, on był w Wigilię w naszym sklepie. - Podniecenie sprawiło, że zaczęła chodzić po pokoju, stukając obcasami po nagim drewnie podłogi i gestykułując. - Nazywa się...

- DiCarlo, Anthony - przerwał Jed, z rozbawieniem patrząc, jak Dora otwiera usta. - Ostatni znany adres: East Street 83, Nowy Jork.

- Ale skąd... Cholera - schowała, nadąsana, rachunek. - Przynajmniej mógłbyś udawać, że mój talent detektywistyczny zrobił na tobie wrażenie.

- Prawdziwa z ciebie Nancy Drew, Conroy - poszedł do kuchni, wyjął z lodówki napój i wypił go wprost z dzbanka. Kiedy oderwał go od ust, Dora stała w drzwiach, a oczy błyszczały jej groźnie. - Dobrze sobie poradziłaś. Ale gliniarze pracują szybciej. Zgłosiłaś to?

- Nie - wydeła usta. - Chciałam powiedzieć o tym tobie.

- To Brent prowadzi śledztwo - przypomniał jej Jed. Wyciągnął ku niej rękę i przesunął po jej dolnej wardze - nie dąsaj się.

- Ja się nie dąsam. Nigdy.

- Z taką buzią zdobyłabyś mistrzostwo świata, kotku. Co Terri powiedziała o DiCarlo?

- To Brent prowadzi śledztwo - powiedziała kwaśno. - Wrócę do mieszkania i zadzwonię do niego. Może on to doceni.

Jed ujął jej twarz i ścisnął lekko.

- Jazda, Nancy.

- No, skoro stawiasz sprawę w taki sposób... Powiedziała, że był bardzo uprzejmy,

bardzo układny - obeszła Jeda, otworzyła lodówkę i wydała mimowolny i bardzo kobiecy pomruk obrzydzenia - Chryste, Skimmerhorn, co to jest to coś w salaterce?

- Obiad. Co jeszcze powiedziała?

- Nie możesz tego zjeść. Ja zrobię ci obiad.

- DiCarlo - powiedział Jed sucho i złapał ją za ramiona, zanim zdążyła otworzyć jego szafkę.

- Powiedział, że chce kupić specjalny prezent dla swojej ciotki. Terri powiedziała, że pokazała mu psa Foo - którego, jak teraz sędzę, musiał zwinąć, kiedy włamał się do sklepu. - Umilkła na chwilę z ponurą miną. - Powiedziała, że był szykownie ubrany i przyjechał porsche.

Chciał usłyszeć więcej.

- Czy Terri jest w sklepie?

- Nie, nie będzie jej już dzisiaj. Zamknęliśmy.

- Chcę z nią pomówić.

- Teraz?

- Teraz.

- Cóż, bardzo mi przykro, ale nie wiem, gdzie można ją znaleźć. Ma randkę z jakimś facetem.

Dora parsknęła, gdy Jed wyszedł z kuchni.

- Jeśli to takie ważne, możesz ją złapać później w teatrze. Przedstawienie jest o ósmej. Możemy ją złapać między scenami.

- Świetnie.

- Ale nie rozumiem, co by to mogło dać - Dora poszła za nim do sypialni. - Już z nią rozmawiałam, mamy nazwisko i adres.

- Nie wiesz, jakie zadawać pytania - zdjął podkoszulek i rzucił go w kąt. - Mógł coś chlapać. Im więcej o nim wiemy, tym łatwiej go złamać w trakcie przesłuchania. Mamy jeszcze parę godzin, więc jeśli naprawdę chcesz coś ugotować...

Ale ona nie słuchała. Kiedy na nią spojrział, zobaczył, że stoi jak wmurowana, przyciskając ręce do serca, a jej twarz wyrażała najprawdziwszy szok.

- Co? - instynkt kazał mu się obejrzeć, zmierzyć pokój zwięzonymi oczami.

- Łóżko - zdołała wyszeptać. - Och...

Rozluźnił spięte mięśnie. To, że poczuł się zakłopotany, rozwścieczyło go jak wszyscy diabli. Najpierw krytykuje to, jak gotuje, potem sposób zajmowania się domem.

- W tym roku moja pokojówka ma wychodne - spojrzął ze zmarszczonymi brwiami na

skotłowaną pościel. - Nie rozumiem, po co miałbym słać łóżko, skoro zaraz je znów rozściele.

- Łóżko - powtórzyła z nabożeństwem - francuska Art Nouveau, początek wieku. Och, spójrz tylko na tę inkrustację - przyklękła przy wezglowiu i przesunęła delikatnie palcami po figurce smukłej kobiety w powiewającej szacie, trzymającej w ręce dzbanek. Jęk, który wydała, brzmiał niemal miłośnie. - To palisander - oznajmiła z westchnieniem.

Jed patrzył z rozbawieniem, jak wspina się na łóżko i na czworakach przygląda się wezglowiu.

- Co za robota - szepnęła. - Spójrz na te rzeźby - przesunęła po nich pieszczotliwie dłonią. - Jakie delikatne.

- Mam tu chyba gdzieś szkło powiększające - powiedział Jed, widząc, że Dora niemal jeździ nosem po drewnie.

- Nawet nie wiedziałeś, co tu masz, prawda?

- Wiem, że to jedna z moich niewielu ulubionych rzeczy w tym mauzoleum, w którym się wychowywałem. Pozostałe są w magazynie.

- W magazynie - zamknęła oczy i wzdrygnęła się. - Musisz pozwolić mi na nie spojrzeć - przykucnęła i wyglądała tak, jakby miała za chwilę złożyć błagalnie ręce. - Dam ci ucziwą cenę rynkową za wszystko, na co będę mogła sobie pozwolić. Tylko mi obiecaj, przyrzeknij mi, że nie pójdziesz do innego kupca, dopóki nie złożę ci oferty.

- Weź się w garść, Conroy.

- Proszę - przypelzła na brzeg łóżka. - Mówię poważnie. Nie spodziewam się taryfy ulgowej ze względu na łączący nas związek. Ale jeśli masz coś, czego nie chcesz - obejrzała się na wezglowia i zatoczyła oczami. - Boże, nie wytrzymam. Chodź tu.

- Oho - usta mu zadrgały. - Chcesz mnie uwieść, żebym opuścił cenę.

- Uwieść, akurat - zaczęła szybciej oddychać, rozpinając marynarkę i zdejmując ją. Pod nią nosiła cienki stanik w tym samym odcieniu głębokiej zieleni. - Zafunduję ci przejażdżkę, jakiej dotąd nie miałeś, kolego.

- Ach... - nie wiedział, które uczucie w nim przeważa. Szok czy podniecenie. - To dopiero oferta, Conroy.

- To nie oferta, bracie, to fakt - uklękła, zdejmując spódnice. Odrzuciła ją; klęczała na łóżku w zielonym pasie do pończoch, czarnych pończochach i szpilkach. - Umrę, jeśli cię teraz nie będę miała, tu, w tym łóżku.

- Nie chcę być za to odpowiedzialny. - Boże, kolana uginały się pod nim. - Conroy, poty na mnie biją.

Uśmiechnęła się.

- Wiem.

Chwyciła go za gumkę szortów. Nie opierał się zbytnio.

- Zaraz spocisz się bardziej.

Pociągnęła go. Pozwolił, by go przewróciła. Kiedy znalazła się na nim, chwycił ją za rękę.

- Bądź delikatna. Roześmiała się.

- Mowy nie ma.

Pocałowała go mocno, rozwierając jego wargi i wymiatając z jego głowy najmniejszy ślad racjonalnej myśli. Puścił jej rękę i przytrzymał ją; naparła na niego bezlitośnie.

Wciągnął powietrze, które uwięzło mu w piersi.

- Doro, pozwól...

- Nie tym razem - zacisnęła dłonie w jego włosach i brutalnie pocałowała go w usta.

Była bezlitosna, szorstka, nieubłagana, dręczyła go niemal do szaleństwa, aż nie wiedział, czy przeklinać ją czy błagać. Kolejne burzliwe doznania przeszywały go jak wichry, sprawiając, że całe jego ciało pulsowało ostro i błagało o jeszcze. Wsunął rękę pod jej stanik; dotknięcie jej twardych, dojrzałych piersi było dla niego kolejną torturą.

Wyprężyła się pod jego dotykiem. Niski, koci pomruk aprobaty wyrwał się jej z gardła, gdy zdejmowała stanik. Odrzuciła głowę i nakrywszy jego dłonie swoimi, zaczęła prowadzić po swoich piersiach, po płaskim brzuchu. Jej palce zacisnęły się, gdy doprowadził ją do pierwszego, wstrząsającego orgazmu. Ale kiedy chciał przetoczyć się na nią, mocno zacisnęła na nim nogi, śmiejąc się ochryple, gdy zaklął.

Opadła na niego, zatopiła zęby w jego ramieniu. Smakował solą, potem i gorąco krwistym samcem. Ta kombinacja sprawiła, że w głowie jej zawiroowało. Ale zdołała piśszczotami wydobyć z niego zdyszany słaby jęk. Czuli pod ustami jego dudniące serce.

Zacisnął palce na gładkim ciele ponad podwiązkami, zbyt nieprzytomny, by kontrolować siłę uścisku. Teraz, wreszcie, pozwoliła mu się unieść. W oczach mu pociemniało, gdy opadła na niego, przyjmując go głęboko, głęboko w aksamitną otchłań. Oszołomiony patrzył, jak jej ciało wypręża się, jak zamyka oczy w niepowstrzymanym geście piśszczoty, jak zaciska się na nim pożądliwie.

Potem poruszyła się, z początku powoli, zajęta własną rozkoszą, przeżywając kolejne szaleńcze wstrząsy. Potem szybciej, coraz szybciej, napinając mięśnie ud niczym stalowe sprężyny, kołysząc biodrami niczym tłokami. Za każdym razem, gdy jej ciało sztywniało, siła tego ruchu przeszywała go niczym gorąca strzała.

Podniósł się, szukając ustami jej piersi, ramienia, ust. Złapał ją za włosy, oszalały,

odchylił jej głowę i wpił się w jej gardło, mamrocząc ochryple obietnice, których żadne z nich nie rozumiało. W tej chwili wiedział tylko, że mógłby dla niej umrzeć. A z całą pewnością mógłby dla niej zabić.

Orgazm ogłuszył go jak brutalna i oczekiwana pięść, pozbawił go tchu i zawrócił mu w głowie. Objął ją, wcisnął twarz pomiędzy jej piersi i poddał mu się.

- Doro - odwrócił głowę, delikatnie muskając ustami jej skórę. I jeszcze raz - Doro - tulił ją, dopóki jej ciało przestało drżeć. Kiedy opadł na plecy, jego oczy zwęziły się. Podniósł palec do jej policzka i otarł z niego łzę. - Co to?

Mogła tylko pokręcić głową i przytulić go do siebie. Wtuliła policzek w jego włosy.

- Wczoraj myślałam, że nie może być już lepiej. Że to niemożliwe. Drżenie w jej głosie zaniepokoiło go.

- Gdybym wiedział, że to stare wyro zrobi z ciebie wariatkę, już dawno bym cię tu przyprowadził.

Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne.

- To wspaniałe łóżko.

- W magazynie mam ich coś ze sześć. Roześmiała się.

- To nas zabije. - Zaryzykuję.

I ja też, pomyślała Dora. I ja też. Ponieważ Lea miała zupełną rację. Zakochałam się w tobie.

\* \* \*

Dwie godziny później przybyli do teatru akurat w chwili, gdy siostra Nellie demonstrowała, jak zmywa się farbę z włosów mężczyzny. Dora poprowadziła Jeda za kulisy. Stał tam jej ojciec, bezgłośnie powtarzając wiersze i gestykulując.

- Hej - Dora uszczypnęła go w policzek. - Gdzie mama?

- W garderobie. Jakiś problem z sarongiem Krwawej Mary. Jed, mój chłopcze - potrząsnął ręką Jeda, zezując w stronę sceny - tak się cieszę, że wpadłeś. Mamy dziś bardzo życzliwą widownię, prawie nie ma wolnych miejsc. Reflektor - mruknął i rozpromienił się, kiedy na scenie rozbłysnął snop światła. - Właściwie dobrany reflektor ożywia równie dobrze jak walc.

- Wpadliśmy na chwilkę, żeby sprawdzić, jak wam idzie - powiedziała Dora, rzucając Jedowi ostrzegawcze spojrzenie. - I chciałabym złapać na chwilkę Terri podczas przerwy. Sprawy sklepowe.

- Nie chcę, żeby wypadła przez ciebie z roli.

- Nie martw się - objęła go za ramiona i, mimo że widziała to przedstawienie niezliczoną ilość razy, wkrótce była nim pochłonięta tak samo jak on.

Jed trzymał się z boku, bardziej zadowolony widokiem Dory i Quentina niż scenicznym dialogiem. Pochylali ku sobie głowy, dyskutując nad jakimś pomniejszym elementem, dodanym do sceny. Ramię Quentina uniosło się, opasując talię Dory; jej ciało skłoniło się ku niemu.

Jed doznał uczucia, które ogłuszyło go bardziej niż cios w kark. Była to zazdrość.

Czy kiedykolwiek odczuwał coś tak nieskomplikowanego, tak proste poczucie wspólnoty z własnym ojcem? Odpowiedź była prosta i niewesoła. Nie. Nigdy. Nie pamiętał ani jednej zwykłej rozmowy, która nie byłaby podminowana napięciem, rozczarowaniem, urazą. Nie, nawet gdyby chciał, za późno już było na pojednanie. I pewnie nawet nie warto usiłować zrozumieć dlaczego.

Czując, że ogarnia go dawna gorycz, cicho wycofał się w stronę garderoby. Zapali papierosa i zaczeka na Terri.

Dora obejrzała się przez ramię. Uśmiech znikł z jej ust, kiedy zobaczyła, że za nimi nie ma nikogo.

- Tato?

- I muzyka - szepnął. - Dobrze, dobrze. Hmmm?

- Kocham Jeda.

- Tak, najśłodsza, wiem.

- Nie, tato. Ja go naprawdę kocham.

- Wiem - nikt inny nie zdołałby wytrącić go ze skupienia. Ale do Dory odwrócił się z szerokim uśmiechem - przecież go dla ciebie wybrałem, czyż nie?

- On chyba nie chciałby, żebyś się w nim zakochała. Czasami niemal widzę rany, które w nim krwawią.

- Uleczysz je, z czasem. „Gojąż się rany zaraz czy stopniowo?”

- „Otello” - zmarszczyła nos. - Nie podoba mi się taki koniec.

- Dopiszesz swój własny. Conroyowie znakomicie improwizują - błysnęła mu pewna myśl, która sprawiła, że w jego oczach zamigotał nowy płomyk. - Może chciałabyś, żebyś dał mu lekkiego szturchańca. Mogę z nim porozmawiać, jak mężczyzna z mężczyzną, przy jednym z moich specjalnych trunków.

- Nie - dotknęła palcem nosa. - Nie - powtórzyła. - Poradzę sobie - przycisnęła dłoń do niespokojnego żołądka. - Boję się - wyznała. - To się zdarzyło tak nagle.

- To dziedziczne - przyznał Quentin przemądrzale. - W chwili, gdy zobaczyłem twoją



matkę, pokryłem się cały rześnistym potem. Bardzo krępujące. Prawie dwa tygodnie zbierałem się w sobie, by poprosić ją o rękę. Musiałem nauczyć się tego tekstu jak roli.

- Nigdy nie zapomniałeś żadnej swojej roli - pocałowała go przy wtórze dobiegających z widowni oklasków. - Kocham cię.

- Właśnie to powinnaś mu powiedzieć - uściskał ją. - Słuchaj, Izzy, posłuchaj tylko tych oklasków.

Jed słysząc oklaski i nagły chaos za kulisami, pojawił się obok nich dokładnie w chwili, gdy Dora zatrzymywała Terri.

- Hej, pomagasz nam dzisiaj?

- Nie - Dora chwyciła mocno ramię Terri. - Chcę z tobą chwilę pogadać.

- Jasne. Co sądzisz o numerze z tańcem? Oplaciło się brać te lekcje.

- Byłaś świetna - kiwnąwszy głową na Jeda, poprowadziła szybko Terri między robotnikami i technikami. - Znajdźmy jakiś kącik w garderobie.

Kilka innych dziewcząt z zespołu siedziało przed lustrami, poprawiając makijaż i fryzurę. Choć niektóre miały na sobie tylko bieliznę, przygotowując się do zmiany kostiumu, żadna z nich nawet nie spojrzała na Jeda.

- Mogę pożyczyć? - zagadnęła Dora i chwyciła stołek, zanim ktokolwiek zdołał odmówić. - Siadaj, Terri, daj odpocząć stopom.

- Nie masz pojęcia, jakie to przyjemne - odwróciła się do lustra, wzięła gąbkę do podkładu i zaczęła usuwać pot z twarzy.

- Pomówmy o DiCarlo - zaczęła Dora.

- O kim? - Terri przestała powtarzać w myślach rolę. - A, o tym wigilijnym kliencie - uśmiechnęła się do Jeda. - Dora robi wokół niego straszną tajemnicę.

- Co kupił? - spytał Jed.

- Figurkę Staffordshire. Nawet nie mrugnął, kiedy usłyszał cenę. Kupił ją dla ciotki. Ukochanej ciotki. - Powiedział, że właściwie to ona go wychowała, a teraz jest już naprawdę stara. Wiecie, wiele osób nie myśli o tym, że starsi ludzie lubią dostawać ładne prezenty, a on ją chyba naprawdę kochał. Jed odczekał, aż skończy.

- Czy okazywał zainteresowanie czymś jeszcze?

- No, rozglądał się po sklepie, i to dość długo. Myślałam, że może złapie się na psa Foo, bo szukał zwierzęcia.

- Zwierzęcia? - oczy Jeda błysnęły ostro, ale jego głos nadal był chłodny i bezbarwny.

- No wiesz, figurki. Jego ciotka je zbiera. Psy - dodała, szybkimi, zręcznymi ruchami poprawiając makijaż oczu. - Rozumiesz, jej pies zdechł, i dlatego...

- Wyglądał jakoś specjalnie? - przerwał Jed.

- Eee... - Terri wydeła usta i próbowała sobie przypomnieć.

- Chyba chciał dokładnie takiego psa jak ten, który zdechł jego ciotce. Powiedział, że nie znalazł tego, czego szukał - przeciągnęła pomadką po ustach i oceniła rezultat. - Pamiętam, że mówił o tym psie ciotki, o tym, co zdechł. Pomyślałam, że ten porcelanowy, którego mieliśmy, byłby w sam raz. Wyglądał tak, jakby pozował do niego ten pies. Jeszcze jak był żywy, rozumiesz - wzięła szczotkę i zajęła się swoimi włosami. - Wiesz, Doro, ten którego kupiłaś na tej aukcji. Ale już go sprzedałyśmy.

Dora poczuła, że robi się jej zimno.

- Pani Lyle.

- Nie wiem. To chyba ty go sprzedałaś.

- Tak - Dora poczuła, że kreci się jej w głowie. Zaciśnęła palce. - Tak, to ja go sprzedałam.

- Hej! - zaniepokojona Terri odwróciła się do niej. - Nic ci nie jest?

- Zupełnie nic - zmusiła się do uśmiechu. Musi stąd wyjść. Potrzebuje powietrza. - Dzięki, Terri.

- Żaden problem. Zostaniesz na resztę przedstawienia?

- Nie dziś - Dora ruszyła chwiejnie do drzwi.

- Zobaczymy się jutro.

- Może lepiej idź za nią - zwróciła się Terri do Jeda. - Wygląda trochę blado.

- Powiedziałas mu o tym porcelanowym psie?

- Chyba tak - zdziwiona Terri wstała i wyjrzała za Dorą na korytarz. - To wyglądało na zbieg okoliczności, rozumiesz. Powiedziałam mu, że mieliśmy coś takiego, ale to już sprzedane. Muszę zobaczyć, co dzieje się z Dorą.

- Ja to zrobię.

Złapał ją przy wyjściu dla aktorów, w chwili gdy wychodziła na zewnątrz, by zaczerpnąć głęboko powietrza.

- Otrząśnij się, Conroy - przytrzymał ją za ramiona. Bał się, że jeśli zrobi coś więcej, złamie się jak gałązka.

- Sprzedałam jej to - chciała mu się wyrwać, ale zacieśnił nieco uchwyt. - Na miłość boską, Jed, sprzedałam jej to. Nie wiem, po co mu to było, dlaczego był gotów za to zabić, ale to ja jej to sprzedałam, a on dowiedział się o tym nazajutrz...

- Powiedziałem: otrząśnij się - prawie uniósł ją w powietrze, zbliżając twarz do jej twarzy. - Sprzedajesz wiele rzeczy, to twój zawód. Nie odpowiadasz za to, co się dzieje z

ludźmi, którzy są twoimi klientami.

- Ja tak nie mogę! - krzyknęła i uderzyła go. - Nie mogę się tak odcinać od wszystkich. To twój numer, Skimmerhorn. Żeby się przypadkiem nie przejąć, żeby przypadkiem cię coś nie poruszyło. To ty tak robisz. Nie ja.

To go ugodziło, i to boleśnie.

- Chcesz winić za to siebie, w porządku - chwycił ją za ramię i odciągnął od drzwi. - Zabiorę cię do domu i spędzisz całą noc zamartwiając się tym wszystkim.

- Nie będę przepraszać za to, co czuję. I sama trafię do domu.

- Zanim zrobisz dwa kroki, to twoje czułe serduszko wykrwawi ci się na amen.

Najpierw usłyszała szum w uszach. Zawsze tak było, kiedy ogarniała ją wściekłość. Odwróciła się ku niemu węzowym ruchem i zamierzyła się na niego lewą ręką. Zrobił unik, ale to okazało się być zwodem. Cios jej prawej ręki trafił go w szczękę. Zatoczył się od jego impetu.

- Ożeż! - gwiazdy stanęły mu przed oczami. Później będzie miał okazję, by docenić to, że prawie go załatwiła. Ale teraz owładnięty furją, zacisnął pięści.

Wyzywająco uniosła podbródek.

- Spróbuj - zachęciła go. - Spróbuj tylko.

Mogłoby to go rozśmieszyć, gdyby w jej oczach malowała się tylko wściekłość. Gdyby pod wyzywającym spojrzeniem nie czały się Izy.

- Pieprzyć to - mruknął. Schylił się pod jej wzniesionymi pięściami, złapał ją w pól i przerzucił sobie przez ramię.

Bluznęła stekiem wyzwisk wściekła, że zmusza ją do upokarzającego bębnienia pięściami po jego plecach.

- Postaw mnie, ty tchórzliwy łobuzie. Chcesz walczyć?

- Słuchaj, Conroy, nigdy w życiu nie przylałem kobiecie. Ty możesz być pierwsza.

- Niech cię diabli, postaw mnie i spróbuj. Będą cię zdrapywać z chodnika. Jak z tobą skończę, będą cię wydłubywać spomiędzy płyt. Jak tylko... - wściekłość opuściła ją gwałtownie, minęła szybko i bez śladu, jak zawsze. Opadła bezwładnie na jego ramię, zamknęła oczy. - Przepraszam.

Ale on nadal był zły.

- Zamknij się - wyciągnął kluczyki, wcisnął je w zamek. Wsunął ją do samochodu płynnym, ekonomicznym ruchem, ochraniając ręką swoją głowę.

Z zamkniętymi oczami słuchała, jak obchodzi samochód, otwiera drzwiczki i zatrząskuje je.

- Przepraszam, Jed. Przepraszam, że cię uderzyłam. Boli? Poruszył pulsującą bólem szczęką.

- Nie - nawet, gdyby mu ją złamała, nie przyznałby się do tego. - Bijesz jak baba.

- Akurat - poderwała się obrażona. Zimne spojrzenie jego oczu kazało jej ponownie opaść na siedzenie. - Nie byłam zła na ciebie - szepnęła, kiedy wyprowadzał samochód z parkingu. - Chciałam się na kimś wyładować, a ty byłeś pod ręką.

- Miło mi, że mogłem pomóc.

Jeśli chciał ją ukarać tym lodowatym tonem, udało mu się to pierwszorzędnie.

- Masz rację, że jesteś wściekły - spuściła oczy.

Jej szczerłość i smutek były trudniejsze do zniesienia niż cios, jaki mu wymierzyła.

- Zapomnij o tym. I wiesz co, Conroy? Nie mów nikomu, że mnie tak podeszłaś.

Odwróciła się i, widząc, że najgorsze już minęło, zmusiła się do uśmiechu.

- Zabiorę to z sobą do grobu. Jeśli będzie to dla ciebie jakimś pocieszeniem, chyba złamałam sobie kilka palców.

- Wcale nie - ale ujął jej dłoń i podniósł do swoich ust. Zdziwienie na jej twarzy kazało mu znowu się nachmurzyć.

- Co znowu?

Ponieważ puścił jej rękę, podniosła ją do swego policzka.

- Trochę mnie zdziwiłeś, to wszystko. Zwykle nie zachowujesz się wobec mnie tak słodko.

Poprawił się na swoim miejscu, zakłopotany.

- Zaraz zacznę żałować, że to zrobiłem.

- Pewnie nie powinnam ci tego mówić, ale coś takiego: całowanie ręki i inne romantyczne gesty sprawiają, że zupełnie mięknię.

- Zdefiniuj termin „inne romantyczne gesty”.

- No wiesz, kwiaty i przeciągłe spojrzenia. Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że w tych przeciągłych spojrzeniach jesteś całkiem dobry. No i te wielkie rewolwery. I noszenie mnie w ramionach po kręconych schodach.

- Nie masz kręconych schodów.

- Mogłabym sobie wyobrazić, że mam - nachyliła się ku niemu i pocałowała impulsywnie. - Cieszę się, że już się na mnie nie wściekasz.

- Kto mówi, że się nie wściekam? Tylko nie chcę się z tobą bić, kiedy prowadzę - zamilkł na chwilę. - Co do pani Lyle - zaczął - muszę sprawdzić, w jakim jest stanie. Jeśli jest jej już lepiej, mogłaby mi może coś powiedzieć.

- Nam - poprawiła go Dora. - Jest już przytomna. Dziś rano przyszła do mnie jej siostrzenica - znów zacisnęła mocno palce i zmusiła się, by nadal mówić cicho i spokojnie. - Powiedziała, że pani Lyle odzyskała przytomność, ale lekarze nie obiecywali szybkiej poprawy.

- Dziś pewnie jest już za późno na wizytę - powiedział po chwili Jed. - Może jutro zacznę szukać jakiegoś dojścia.

- Chyba nie musisz. Poproszę o to Sharon, jej siostrzenicę. - Dora patrzyła prosto przed siebie i usiłowała nie czuć urazy wobec braku troski w jego głosie. - Ale nie zrobię tego, dopóki nie będę pewna, że jej to nie zaszkodzi. Nie pozwolę, żebyś ją przesłuchiwał, gdyby źle się czuła.

Żwir trysnął spod kół samochodu, gdy szarpnął kierownicą.

- Wyglądam jak gestapowiec, Conroy? Myślisz, że będę świecił jej prosto w oczy i zmuszał do mówienia?

Bez słowa szarpnęła za klamkę i wyskoczyła z samochodu. Dobiegł do schodów przed nią i zastąpił jej drogę.

- Doro - wziął jej rękę, prosząc o cierpliwość. Jej dłonie były lodowa te i sztywne. - Wiem, co robię i nie zwykłem nękać starych, chorych kobiet - spojrzał jej w twarz. Nie lubił prosić. Nie lubił czuć potrzeby. Ale zrozumiał, że nie ma wyboru. - Zaufaj mi.

- Ufam ci - spojrzała mu w oczy i zacisnęła palce na jego dłoniach. - Bezgranicznie. To wszystko wytrąciło mnie trochę z równowagi, to wszystko. Jutro z samego rana skontaktuję się z Sharon.

- Dobrze - sam też czuł się trochę wytrącony z równowagi. Pochylił się i pocałował ją. Nie lubił prosić, o nie. Nie lubił tego potrzebować. Ale musiał to zrobić.

- Zostań ze mną na noc. Jej oczy rozpuściły się.

- Miałam nadzieję, że o to poprosisz.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dora nigdy nie podejrzewała się o strach przed szpitalami. Była młoda i zdrowa i nigdy nie spędziła zbyt wiele czasu w żadnym szpitalu, a już na pewno jako pacjentka. Kiedy myślała o szpitalu, przed oczami stawały jej niemowlęta na porodówce, bukiety kwiatów i pielęgniarki, szybko i sprawnie przemykające po korytarzach, bezszelestne w swoich szpitalnych bucikach.

Ale kiedy stała przed oddziałem intensywnej opieki lekarskiej i czekała na wizytę u pani Lyle, czuła, że serce ciąży jej w piersiach niczym kamień. Za cicho, pomyślała. Tu jest o wiele za cicho, śmierć czai się za szklanymi drzwiami i grubymi zasłonami i czeka na ofiary.

Słysząc było stłumione uderzenia i pomruki maszyn i monitorów, niczym jęki starej zrzedliwej kobiety, narzekającej na nękające ją bóle. Gdzieś z głębi korytarza dobiegało żalosne, nieustanne i ciche szlochanie. Nagle okropnie zachciało się jej palić.

W wahadłowych drzwiach pojawiła się Sharon. Choć wyglądała na wycieńczoną, na widok Dory uśmiechnęła się.

- Jest przytomna. Nie umiem powiedzieć, jak dobrze jest z nią mówić, naprawdę z nią rozmawiać.

- Cieszę się - Dora, rozdarta między poczuciem winy a ulgą, ujęła rękę Sharon. - Sharon, to kapitan Skimmerhorn i porucznik Chapman.

- Witam. Dora powiedziała, że chcą panowie pomówić z ciocią Alicją.

- Uzgodniliśmy to z doktorem - powiedział Brent. - I bardzo dziękujemy za życzliwość.

Usta Sharon zacisnęły się w twardą, białą linię.

- Zrobię wszystko, co mogę, żeby pomóc w ujęciu tego, kto zrobił to mojej ciotce. Możecie państwo wejść.

W spojrzeniu, jakie Sharon rzuciła ku drzwiom, Jed wyczytał niepokój.

- Nie zmęczymy jej.

- Wiem - jej ręka powędrowała ku górze, a potem spoczęła na łonie kryjącym dziecko. Miała kogo chronić. I miała kogo pomścić. - Dora powiedziała, że będziecie uważać. Powiecie mi, jeśli się czegoś dowiecie, prawda?

- Oczywiście - Dora poprowadziła ją do ławki. - A na razie posiedź sobie. Daj odpocząć stopom, spróbuj się odprężyć.

- Mamy tylko piętnaście minut - powiedział Jed półgłosem, kiedy Dora wróciła do nich - wykorzystajmy je maksymalnie. Ty - dodał, skinąwszy głową w kierunku Dory -

niczego nie mów, niczego nie rób, dopóki nie dam ci znaku.

- Tak jest, kapitanie. Zignorował ją i zwrócił się do Brenta.

- W ogóle nie powinna z nami iść.

- Ona widziała tę figurkę, my nie. Sprawdźmy, czy to ma w ogóle jakiś związek ze sprawą. - Ruszył przez drzwi, minawszy dyżurkę pielęgniarek i wszedł do jednej z małych, zasłoniętych zasłonami salek.

Dora czuła wdzięczność, że kazał jej milczeć. Nie wiedziała, czy głos jej nie zawiedzie. Kobieta, którą zapamiętała jako elegancką i pełną życia osobę, leżała na wąskim łóżku, a zamknięte oczy obrysowywały ciemne siniaki. Niegdyś czarne włosy przyblakły, a u ich nasady zaczęły pojawiać się siwe odrosty. Jej twarz, okolona śnieżnobiałymi bandażami przybrała ziemisty odcień. Policzki zapadły się, kości policzkowe ostro zarysowały się pod skórą, która wydawała się tak cienka, że dotknięcie mogłoby ją rozedrzeć.

- Pani Lyle - powiedział cicho Brent, stojąc przy łóżku. Dora spojrzała, jak porysowane bladobłękitnymi żyłkami powieki zaczynają trzepotać. Monitor nadal buczał jednostajnie, gdy pani Lyle usiłowała spojrzeć na nich przytomnie.

- Tak?

Głos miała słaby i chrypliwy, jakby ktoś przeciągnął ściernym papierem po jej strunach głosowych.

- Jestem porucznik Chapman. Czy czuje się pani na siłach odpowiedzieć nam na parę pytań?

- Tak.

Dora zauważyła, że pani Lyle usiłuje przełknąć ślinę, odruchowo podała jej kubek wody i włożyła słomkę między jej wyschnięte wargi.

- Dziękuję - głos pani Lyle stał się odrobinę silniejszy. Podniosła wzrok na Dorę i uśmiechnęła się.

- Panna Conroy! Jak to miło, że pani przyszła. Rozkaz Jeda poszedł od razu w zapomnienie.

- Cieszę się, że czuje się pani lepiej - delikatnie dotknęła kruchej dłoni pani Lyle. - Tak mi przykro, że panią to spotkało.

- Powiedzieli mi, że Muriel nie żyje - zmęczone oczy powoli napełniły się łzami, ale najgorsze cierpienie miała już za sobą. - Była mi bardzo bliska.

Poczucie winy zaczęło nadwerężać jej spokój niczym fale bijące o brzeg. Mogła stawić mu czoło, ale nie potrafiła o nim zapomnieć.

- Tak mi przykro. Policja liczy, że zdoła pani pomóc w odnalezieniu człowieka, który

to zrobił.

Z pudełka stojącego przy łóżku wyciągnęła czystą chusteczkę higieniczną i delikatnie osuszyła policzki pani Lyle.

- Chcę im pomóc - zacisnęła usta i wróciła spojrzeniem do Brenta. - Nie widziałam go, poruczniku. Nie widziałam nikogo. Ja... oglądałam film w telewizji i myślałam, że to wchodzi Muriel... - przerwała i ścisnęła rękę Dory dla nabrania odwagi. - Myślałam, że to ona do mnie podchodzi. Potem poczułam ten okropny ból, jakby coś eksplodowało mi w głowie.

- Pani Lyle - zaczął Brent. - Czy przypomina sobie pani porcelanowego psa, którego kupiła pani u panny Conroy na dzień przed tym, jak została pani zaatakowana?

- Tak, kupiłam go dla dziecka Sharon. Przycisk do przytrzymywania drzwi - powiedziała i znów odwróciła się do Dory. - Boję się, że Sharon nie odpoczywa tyle, ile powinna. Ten stres...

- Nic jej nie jest - zapewniła ją Dora.

- Pani Lyle - wystąpił Jed. - Czy pamięta pani coś, co dotyczyłoby tej figurki?

- Nie - choć usiłowała wyteżyc pamięć, jej myśli rozpierzchły się jak chmury. - Była słodka. Pomyślałam, że to będzie pies pilnujący naszego maleństwa. Czy to tego szukał? Tego małego pieska? Chyba... chyba słyszałam, że krzyczał coś o psie. Ale to niemożliwe.

Jed pochylił się, by mogła na niego spojrzeć. W jej oczach malowało się przerażenie, ale musiał jeszcze naciskać, jeszcze odrobinę.

- Co krzyczał, pani Lyle?

- „Gdzie pies?” A potem zaczął kłąć. Leżałam i nie mogłam się ruszyć. Myślałam, że dostałam ataku serca i że majaczę. Słyszałam trzaski i krzyki, ciągle o tym psie. A potem nie słyszałam już niczego - zamknęła oczy, wyczerpana. - Przecież nie mógł zamordować Muriel dla małego pieska z porcelany.

\* \* \*

- Ale zamordował, prawda? - spytała Dora, kiedy stali czekając na windę.

- Bez wątplenia - Brent poprawił okulary i włożył ręce do kieszeni. - Ale nie koniec na tym. Kula, która zabiła Muriel, pochodzi z tej samej broni, od której zginął Trainor - spojrzał na Jeda. - I pasuje do tych, które wyjęliśmy ze ściany w sklepie.

- Więc wrócił po coś jeszcze - Jed wszedł do windy, pogrążony w myślach. - Nie chodziło mu o psa, albo nie tylko o psa. Cokolwiek to było.

- Ale ta figurka nie była cenna ani unikalna - szepnęła Dora. - Nie pochodziła nawet ze znanej fabryki. Kupiłam ją tylko dlatego, że była śliczna.



- Kupiłaś ją na aukcji - Jed powoli rozpatrywał kolejne możliwości. - Gdzie?

- W Wirginii. Lea i ja wybrałyśmy się na wycieczkę w interesach. Pamiętasz? Wróciłam w dniu, w którym się wprowadziłaś.

- A następnego dnia sprzedawałaś psa - wziął ją za ramię i wyprowadził z windy, gdy zjechali na parter. - Miałas włamanie do sklepu, pani Lyle została napadnięta, potem znowu się włamano. Co jeszcze kupiłaś, Doro?

- Na aukcji? Mnóstwo rzeczy - przeczesała włosy palcami. Mimo zimna nie zapięła płaszcz; mroźne powietrze wywieje e szybko mdły zapach szpitala. - Mam w sklepie spis.

- Czy na aukcjach nie sprzedaje się przedmiotów kompletami? - zapytał Brent. - Całymi partiami, które pochodzą z tego samego miejsca lub od tego samego sprzedawcy?

- Jasne. Czasami kupuje się całą ciężarówkę śmieci, żeby dostać jeden przedmiot. To nie Sotheby's; już prędzej pchli targ, ale było tam parę ładnych okazów.

- Co kupiłaś bezpośrednio przed psem i zaraz po nim?

Była zmęczona, śmiertelnie zmęczona. Slaby ból w skroni zwiastował nadejście gigantycznej migreny.

- Chryste, Skimmerhorn, jak mogłabym pamiętać? Od tego czasu zdarzyło się tyle rzeczy.

- Bzdura, Conroy.

Brent uniósł brwi, usłyszawszy ton jego głosu. Już go kiedyś słyszał: kiedy Jed przesłuchiwał stawiającego opór podejrzanego.

- Pamiętasz wszystko co sprzedajesz, a także za ile, włącznie z podatkiem. Co kupiłaś przed psem?

- Miseczkę do golenia w kształcie łabędzia - warknęła. - Początek XX wieku. Czterdzieści sześć dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Nie płaci się podatku, jeśli towar przeznaczony jest na handel.

- A po psie?

- Abstrakcyjny obraz w hebanowej ramie. Ostre kolory na białym płótnie, z podpisem E. Billingsly. Ostateczna cena pięćdziesiąt dwa dolary siedemdziesiąt pięć... - przerwała i uniosła rękę do ust. - O Boże.

- Strzał w dziesiątkę - mruknął Jed.

- Obraz - szepnęła przerażona. - Nie fotografia, obraz. To o niego pytał.

- Dowiedzmy się, dlaczego.

Policzki Dory zbieleły; chwyciła Jeda za rękę.

- Dałam go mojej matce - jej żołądek zalała fala mdłości. - Dałam go mojej matce.

- Uwielbiam niespodziewanych gości - Trixie zatrzepotała swoimi wspaniałymi rękami i wzięła Jeda i Brenta pod ramię. - To cudownie, że zdołaliście znaleźć odrobinę czasu, by do mnie wpaść.

- Mamo, my tylko na chwilę - zaczęła Dora.

- Bzdura. - Trixie już wyprowadziła obu mężczyzn z korytarza wielkości znaczka pocztowego do pomieszczenia, które zwykła nazywać salonem.

- Musicie zostać na obiad. Carlotta na pewno przyrządzi dla nas coś pysznego.

- To bardzo miłe, pani Conroy, ale...

- Trixie - jej śmiech zabrzmiał jak krótki ptasi trel. Dotknęła pieszczotliwie piersi Brenta. - Panią Conroy jestem tylko dla obcych i wierzycieli.

- Trixie - Brent zaczerwienił się po uszy. Nigdy nie przypuszczał, że będzie flirtować z kobietą, która mogłaby być jego matką. - Naprawdę się śpieszymy.

- Pośpiech powoduje wrzody żołądka. Nikt w mojej rodzinie nie miał problemów z żołądkiem, z wyjątkiem drogiego wuja Willa, który strawił całe życie na robieniu majątku, co nie sprawiało mu żadnej przyjemności. Czy mógł później zrobić coś innego, niż zostawić mi te pieniądze? A my, oczywiście, czerpaliśmy z nich bardzo wiele przyjemności. Proszę, proszę, siadajcie.

Wskazała im dwa masywne fotele przed kominkiem, w którym trzaskał wesoło ogień. Sama upozowała się na czerwonej aksamitnej sofie, niczym królowa zasiadająca na tronie.

- Jak czuje się twoja czarująca żona?

- Dziękuję, dobrze. Świetnie bawiliśmy się na noworocznej zabawie.

- Było wesoło, prawda? - oczy jej błysnęły. Niedbale wsparła ramię o oparcie sofy. Dojrzała Scarlett, zabawiająca w Tarze swoich zalotników. - Uwielbiam przyjęcia. Isadora, kochanie, zadzwoń na Carlottę, dobrze?

Zrezygnowana Dora pociągnęła za staroświecki, szydełkowany sznur, zwisający po lewej stronie kominka.

- Mamo, wpadłam, żeby zabrać obraz. Ktoś się nim... interesuje.

- Obraz? - Trixie założyła nogę na nogę. Błękitny jedwab powłóczystych spodni zaszeleścił. - Który obraz, kochanie?

- Abstrakcyjny.

- Ach, tak - całym ciałem zwróciła się do Jeda. - Zwykle preferuję rzeczy bardziej tradycyjne, ale w tym obrazie było coś śmiałego i pełnego rozmachu. Nie dziwię się, że cię zainteresował. Pasuje do ciebie.

- Dziękuję - domyślił się, że to komplement. W każdym razie łatwiej było tak uważać.

- Bardzo lubię abstrakcyjny ekspresjonizm, na przykład Pollocka i jego skomplikowaną rytmikę linearną, jego manierę atakowania płótna. A także energię i werwę, powiedzmy Konincka.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Trixie z entuzjazmem, patrząc na niego błyszczącymi oczami, choć nie miała pojęcia, o czym mówi.

Jed zerknął z satysfakcją na czyste osłupienie malujące się na twarzy Dory. Uśmiechnął się chytrze i splótł ręce.

- I, oczywiście, jest jeszcze Motherwell. Ta surowa kolorystyka i amorficzne formy.

- Geniusz - zgodziła się Trixie. - Skończony geniusz - nieco zbity z tropu obejrzała się w stronę korytarza, słysząc znajome kroki.

Pojawiła się Carlotta trzymająca się pod boki. Za uniform służyły jej czarne dresy. Była małą, kręłą kobietką, przypominającą pniak z ramionami. Jej ziemista twarz miała wyraz wiecznego niezadowolenia.

- O co chodzi?

- Prosimy o herbatę, Carlotto - zarządziła Trixie, nagle bardzo dystyngowanym tonem.

- Najlepiej ulung.

Czarne małe oczka Carlotty zmierzyły całą grupkę.

- Zostają na obiad? - spytała szorstkim i jakby egzotycznym głosem.

- Nie - odezwała się Dora.

- Tak - powiedziała jednocześnie jej matka. - Przygotuj obiad dla czterech osób, z łaski swojej.

Carlotta uniosła kanciastą brodę.

- Więc zjedzą tuńczyka. To przygotowałam; to zjedzą.

- Na pewno będzie przepyszny. - Trixie skinęła ręką na Carlottę, odprowadzając ją.

- Sama słodycz - mruknęła Dora, siadając na poręczu fotela Jeda. Już zrozumiała, że nie uda im się wyjść bez herbaty i tuńczyka, ale przynajmniej chciała skupić uwagę matki na najważniejszej kwestii. - A obraz? Myślałam, że chcesz go tutaj powiesić.

- Chciałam, ale po prostu nie pasował. Jest zbyt żywy - wyjaśniła Jedowi, którego uznała za znawcę przedmiotu. - W salonie powinno się dać odpocząć myślom. Przenieśliśmy go do sanktuarium Quentina. Mój mąż uważał, że obraz będzie go ładował energią.

- Pójdę po niego.

- Wspaniała dziewczyna z tej naszej Isadory - powiedziała Trixie, gdy Dora znalazła się poza zasięgiem głosu. Uśmiechnęła się do Jeda, ale błysk wyrachowania nie zniknął zupełnie z jej oczu. - Taka bystra i ambitna. Jest oczywiście nadzwyczaj zdecydowana, co

oznacza jedynie, że potrzeba jej równie zdecydowanego mężczyzny. Sądzę, że kobieta, która prowadzi sklep, będzie umiała równie skutecznie zająć się domem i rodziną. Prawda, mój drogi?

Każda odpowiedź mogłaby zatrzaskać pułapkę.

- Sądzę, że Dora może robić wszystko, czego zapragnie.

- Bez wątplenia, Brent, twoja żona pracuje, prawda? I macie troje dzieci?

- To prawda - ponieważ Jed najwyraźniej znajdował się na torturach, Brent uśmiechnął się szeroko. - Utrzymanie wszystkiego w ryzach kosztuje nas trochę wysiłku, ale my to lubimy.

- A mężczyzna samotny, mężczyzna w pewnym wieku... - Trixie wbiła w Jeda wymowne spojrzenie. Ledwie pohamował rumieniec. - Życie w rodzinie tylko mu służy. Towarzystwo kobiety, krzepiący wpływ rodziny... Byłeś kiedyś żonaty, Jed?

- Nie - spojrzenie Jeda stwardniało, gdy do pokoju weszła Dora, niosąc obraz.

- Mamo, przepraszam, ale chyba będziesz musiała zjeść obiad sama. Zadzwoiłam do sklepu, żeby powiadomić ich, że wrócę trochę później, ale mają tam mały kłopot, z którym nie poradzą sobie beze mnie. Muszę natychmiast wracać.

- Och, ale kochanie...

- Wkrótce spotkamy się na obiedzie - pochyliła się i pocałowała policzek Trixie. - Chyba mam coś, co lepiej nada się do pokoju taty. Niech któreś z was wpadnie i rzuci na to okiem.

- Dobrze - Trixie odstawiła filiżankę, westchnąwszy z rezygnacją i wstała. - Skoro musisz, to musisz. Ale powiem Carlottcie, żeby zapakowała dla was obiad.

- Proszę, nie...

Trixie poklepała policzek Dory.

- Nalegam. To tylko chwila. Wyszła pospiesznie. Dora westchnęła.

- Bardzo sprytnie, Conroy - Jed wziął z jej rąk obraz i przyjrzał mu się.

- Skoro mówimy o sprycie - odwróciła się, z zaciekawionym uśmiechem - amorficzne formy?

- Kiedyś umawiałem się z malarką. Takie rzeczy się podchwytuje.

- Ciekawe, co podchwyciłeś ode mnie.

\* \* \*

- Nawet nie lubię tuńczyka - powiedziała Dora, ale ugryzła kęs kanapki. Jed skończył właśnie wyjmować płótno z ram.

- Podoba mi się, że tak posiekala jajka na twardo i pikle - Brent skończył drugą kanapkę i westchnął z satysfakcją.

Zdecydowali się zająć pokój Dory, ze względu na jego przestronność i dyskrecję. Nikt nie skomentował faktu, że Brent nie nalegał, by oddać mu obraz, i nie chciał zawiadamiać o tym swojego zwierzchnika.

Wszyscy rozumieli bez słów, że Brent nadal uważał Jeda za swojego kapitana.

- W ramie nic nie ma - Jed odłożył ją ostrożnie. - Ale to jeszcze nic nie znaczy. Niech spojrzą na nią chłopcy z laboratorium.

- Nie może chodzić o sam obraz - Dora popiła tuńczyka dietetyczną pepsy. - Malarz jest nieznany, sprawdziłam to nazajutrz, jak kupiłam, na wypadek gdybym trafiła na jakieś zapomniane arcydzieło.

Jed odwrócił obraz w zamyśleniu.

- Płótno jest naciągnięte na dyktę. Daj mi coś do podważenia, Conroy.

- Myślisz, że coś może być w środku? - odezwała się z kuchni, szperając w szufladach.

- Pojemnik z narkotykami, nie, lepiej. Brylanty - wróciła ze śrubokrętem - albo może rubiny. Są teraz cenniejsze.

- Zejdz na ziemię - poradził jej Jed i zaczął dłubać z tyłu obrazu.

- To jest możliwe - uparła się, zaglądając mu przez ramię. - To musi być coś, dla czego warto zabić, a to przeważnie bywają pieniądze.

- Przestań mi dmuchać w kark - Jed odepchnął ją łokciem i zaczął podwazyć dyktę.

- To mój obraz - wypomniała mu. - Mam dowód kupna.

- Nic - mruknął Jed, oglądając dyktę. - Żadnych tajemnych schowków.

Dora rzuciła mu spojrzenie.

- Ale mogłyby być.

- Jasne - zignorował ją i poklepał wewnętrzną stronę płótna.

- To dziwne. To płótno wygląda na solidnie stare - Dora odepchnęła go i przyjrzała się bliżej obrazowi. - Choć Billingsly mógł dla oszczędności malować na starym płótnie.

- Tak. A czasami na starych obrazach maluje się coś, żeby przeszmułować je za granicę.

- Myślisz, że pod tym jest jakiś stary mistrz? - Dora pokręciła głową z rozbawieniem. - I kto tu powinien zejść na ziemię?

Ale on zwracał na nią tyle uwagi, co na brzęczącą pod sufitem muchę.

- Musimy zedrzyć tę farbę i zobaczyć, co się pod nią kryje.

- Zaraz, Skimmerhorn. Ja za to zapłaciłam. Nie pozwolę ci tego zniszczyć tylko

dlatego, że podpowiada ci to twój policyjny nos.

- Ile? - odwrócił się do niej, kipiąc z niecierpliwości i obrzydzenia. Zadowolona, że wreszcie pojął, skrzyżowała ręce na piersi.

- Pięćdziesiąt dwa dolary i siedemdziesiąt pięć centów. Wyciągnął portfel, mrużąc pod nosem i odliczył banknoty.

Dora przyjęła je. Tylko silne uczucie, jakim darzyła Jeda, powstrzymało ją przed policzeniem pieniędzy.

- Plus koszta własne - powiedziała sucho. - I przyzwoity zysk. Razem równe osiemdziesiąt i będziemy kwita.

- Na miłość boską - wcisnął jej w rękę więcej banknotów. - Ależ ty jesteś chciwa.

- Praktyczna - skorygowała i pocałowała go, by zakończyć transakcję. - Mam w magazynie coś, co się nam przyda. Wracam za sekundę.

Włożyła pieniądze do kieszeni i zbiegła po schodach.

- Kazała ci zapłacić - Brent, pełen podziwu, odchylił się na krześle. - I zarobiła na tobie dwadzieścia siedem dolców. Myślałem, że żartuje.

- Wątpię, czy Dora kiedykolwiek żartuje na temat pieniędzy - Jed cofnął się, wyjął papierosa i wbił wzrok w obraz, jakby mógł coś dojrzeć przez czerwone i niebieskie plamy. - Może i ma miękkie serce, ale głowę majak rekin finansowy.

- Hej! - Dora kopnęła w drzwi - otwórzcie! Mam zajęte ręce. Jed uchylił drzwi. Dora wniosła do pokoju materiał ochronny, butelkę i kilka szmatek.

- Wiesz co, może lepiej wezwać jakiegoś eksperta. Moglibyśmy prześwietlić obraz promieniami rentgenowskimi czy czymś podobnym.

- Na razie sami się tym zajmujemy - rzucił szmatki na podłogę i wziął butelkę. - Co to?

- Płyn, którego używam, kiedy jakiś idiota namaluje coś na ścianie domu - uklękła i zaczęła zwijać dywan. - Musimy być bardzo ostrożni. Pomóż mi.

Brent był już obok niej, uśmiechając się na widok wściekłej miny Jeda, który zauważył, na czym spoczywa jego wzrok. Kucnął i rozścielił materiał ochronny.

- Wierz mi, już to robiłam - wyjaśniła. - Jakiś filister pomalował precudny stary kredens tak, żeby pasował mu do wystroju jadalni. Zanim zrobiłam z nim porządek, minęły całe wieki, ale warto było - przysiadła na piętach i odgarnęła włosy z oczu. - Chcesz, żebym spróbowała?

- To ja za niego zapłaciłem - przypomniał jej Jed. - Teraz jest mój.

- Ja tylko oferuję pomoc - wręczyła mu szmatkę. - Na twoim miejscu zaczęłabym od rogu. Na wypadek, gdybyś coś popsuł.

- Niczego nie popsuję - ale kiedy klęknął obok niej, rzeczywiście zaczął od rogu. Zmoczył szmatkę i powolnymi, delikatnymi okrężnymi ruchami startł część podpisu.

- Żegnaj, Billingsly - mruknęła Dora.

- Zamilcz, Conroy - znów zmoczył szmatkę i delikatnie startł białą skorupę podkładu.

- Tu coś jest.

- Żartujesz - Dora przysunęła się bliżej, kipiąc z podniecenia. - Co to jest? Nie widzę - usiłowała dojrzeć coś przez jego ramię, ale dał jej sójkę w bok - Skimmerhorn, do cholery, ja tylko chcę spojrzeć.

- Wynocha - z napiętymi mięśniami delikatnie usunął więcej podkładu. - Ale znalezisko - mruknął. - Sukinsyn.

- Co? - Dora, nie zgadzając się na odstawienie jej na boczny tor, szarpała go dopóty, dopóki nie pozwolił jej kucnąć tuż przy rogu obrazu. - Monet - szepnęła tonem, jaki przybiera się w kościele - Claude Monet. O mój Boże, kupiłam Moneta za pięćdziesiąt dwa dolary i siedemdziesiąt pięć centów.

- To ja kupiłam Moneta - przypomniał jej Jed. - Za osiemdziesiąt.

- Dzieci - Brent położył ręce na ich plecach. - Nie jestem jakimś szczególnym znawcą sztuki, ale nawet ja znam tego faceta i nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł namalować jakieś abstrakcyjne gówno na tym skarbie.

- Chyba, że chciałby go przeszmurować - dokończył Jed.

- Właśnie. Sprawdzę, czy w ostatnich miesiącach były jakieś kradzieże obrazów.

- Ten mógł pochodzić z prywatnej kolekcji - palce Dory zawisły nad podpisem Moneta, ale nie dotknęły go. - Nie rusz go, Jed. Mógłbyś go zniszczyć.

Miała rację. Jed pohamował niecierpliwość i odłożył szmatę.

- Znam kogoś, kto zajmuje się pracami konserwatorskimi. Ona może się tym zająć i nie rozpowiadać o tym.

- Stara przyjaciółka? - zagadnęła Dora.

- Nie jest stara - nieświadomie pogładził Dorę po włosach i zatrzymał palce na jej karku. Obejrzał się na Brenta.

- Musisz o tym zameldować Goldmanowi.

- To będzie następny krok.

Jed spojrział na podpis mistrza, położony na mglistej zieleni.

- Nie powinienem prosić, ale poproszę.

- Ile czasu ci potrzeba? - spytał Brent, uprzedzając go.

- Tyle, żeby sprawdzić dom aukcyjny w Wirginii i znaleźć jakiś ślad - powiedział

spokojnie.

Brent skinął głową i wziął swój płaszcz.

- Sprawdziłem już DiCarla. Policja z Nowego Jorku donosi, że przez kilka dni nie pojawiał się w swoim mieszkaniu. Sprawdzając to, i pilnując bezpieczeństwa filadelfijskich kobiet i dzieci mogłem zapomnieć o paru drobniakach. Zrobiłbyś mi przysługę, gdybyś zdołał powiązać porcelanową figurkę psa i obraz. Zadzwoń do mnie.

- Dobrze.

- I uważaj na siebie. Na razie, Doro.

- Cześć, Brent - na chwilę zamarła w miejscu - ile dla ciebie ryzykuje?

- Dość dużo.

- Więc lepiej dopilnujmy, żeby tego nie stracił.

- My? - chwycił ją za rękę, kiedy podniosła się z podłogi. - Nie pamiętam niczego o „nas”.

- Więc masz sklerozę. Może zadzwonisz do swojej przyjaciółki malarki, a potem zarezerwujesz dla nas miejsce w samolocie do Wirginii? Spakuję się w ciągu dziesięciu minut.

- Nie ma na świecie kobiety, która mogłaby się spakować w dziesięć minut.

- Skimmerhorn - spojrzała na niego przez ramię, idąc w stronę sypialni - urodziłam się na trasie. Nikt nie pakuje się szybciej niż aktor przed premierą.

- Nie chcę, żebyś jechała ze mną. Może być niebezpiecznie.

- Świetnie, sama kupię bilet.

- Niech cię diabli, jakaś ty upierdliwa.

- Już to słyszałam. Ach, i zarezerwuj pierwszą klasę, dobrze? Nie lubię tłoku.

\* \* \*

Winesap zapukał delikatnie do drzwi gabinetu Finleya. Wiedział, że pracodawca właśnie zakończył czterdziestopięciominutową telefoniczną konferencję i nie miał pewności, w jakim stanie go nastroju. Ostrożnie wsunął głowę do pokoju. Finley stał przy oknie, założywszy ręce do tyłu.

- Proszę pana?

- Abel. Piękny mamy dziś dzień, prawda? Piękny.

Drżący żołądek Winesapa uspokoił się niczym jezioro po burzy.

- Tak, proszę pana, istotnie.

- Jestem szczęśliwym człowiekiem, Ablu. Oczywiście sam do tego doprowadziłem, co



czyni dla mnie tę sytuację jeszcze słodsza. Ile z osób tam, na dole, lubi własną pracę, jak sądzisz? Ilu z nich wraca do domu po dniu pracy z uczuciem spełnienia? Tak, Ablu, jestem człowiekiem szczęśliwym - odwrócił się z twarzą wykrzywioną w uśmiechu. - A co mogę zrobić dla ciebie?

- Przyniosłem dossier Isadory Conroy.

- Znakomita robota. Znakomita - skinął na Winesapa, zapraszając go do środka. - Bardzo cię cenię, Ablu - sięgając po teczkę, Finley uściskał drugą ręką kościste ramię Winesapa. - Bardzo. Chciałbym teraz okazać ci moje uznanie - otworzył szufladę i wyjął z niej aksamitne pudełko.

- Dziękuję panu - Winesap, pokorny i wzruszony, uniósł wieczko. - Och, proszę pana - powiedział zdławionym głosem. Gardło ścisnęło mu się, ponieważ nie miał pojęcia, na co patrzy.

Wyglądało, jak jakaś łyżka z dużą główką i krótkim trzonkiem w kształcie orła.

- Bardzo się cieszę, że podoba ci się. Wybrałem ją z mojej kolekcji łyżek do herbaty. Uznałem, że stop cyny z ołowiem pasuje do ciebie najlepiej. Mocny, trwały materiał, często niedoceniany.

- Dziękuję panu. Dziękuję. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nic takiego - Finley zlekceważył jego wdzięczność. - To tylko dowód tego, jak bardzo cię cenię - usiadł i przyłożył palec do ust - dobrze mi służysz, Ablu, a lojalność wynagradzam tak samo, jak karzę zdradę. Szybko, precyzyjnie i dokładnie. Przez następną godzinę nie przyjmuję telefonów.

- Tak jest, proszę pana. Jeszcze raz dziękuję.

Ale Finley już zapomniał o nim, szybko, precyzyjnie i dokładnie. Otworzył teczkę i skoncentrował się na Isadorze Conroy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lodowaty deszcz mżył słabo, kiedy Jed jechał przez Front Royal. Pogoda była ohydna przez cały lot z lotniska w Filadelfii do Dulles i wyglądało na to, że taka pozostanie. Klimatyzacja w wynajętym samochodzie pracowała na dwóch szybkościach: szybko jak piorun i wolno jak ślimak. Za każdym razem, gdy Jed usiłował ją uruchomić, wewnątrz wozu zmieniało się w małą, ale skuteczną saunę.

Dora zabawiała go po drodze rozmową, a jej łagodny głos i lekkie uwagi rozluźniały go. Nie musiał odpowiadać, nie musiał nawet słuchać. Umiała przekazać mu swój nastrój nawet wtedy, kiedy zastanawiał się, co mają zrobić dalej.

- Gdybyś kiedykolwiek zajęła się oddziaływaniem na podświadomość, zbiłabyś na tym majątek.

- Naprawdę? - Dora opuściła osłonę przeciwsłoneczną i spojrzała w przytwierdzone w niej lusterko, poprawiając szminkę na ustach.

- Teraz dwa razy w prawo - powiedziała i zakręciła szminkę.

- Na zapleczu jest parking.

- Skoro jest tu znak i strzałka, to chyba sam bym się domyślił.

- Ciągłe się wkurzasz, bo spakowałam się szybciej, niż ty.

- Wcale się nie wkurzam.

- Właśnie, że tak - poklepała go po ramieniu, uśmiechając się promiennie. - Ludzka rzecz. I to, że uparłeś się prowadzić, choć to ja znam drogę, to też ludzka rzecz. Mnie to nie przeszkadza. Uważam, że to urocze.

- Uparłem się, bo nie wiedziałem, czy to twoje gadanie o powłoce ozonowej i Z. Z. Top nie skończy się katastrofą.

- Ach - pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Więc słuchałeś.

- Nadal dzwoni mi w uszach - Jed wcisnął się obok sfatygowanej furgonetki ford. - Zapamiętaj sobie, Conroy, nie przyjechałaś tu po zakupy.

- Wiem, wiem - zatoczyła oczami. Jed wysiadł z samochodu.

- I to ty zadajesz pytania - ciągnęła dalej. - Mam stać dwa kroki za tobą jak grzeczna dziewczynka i trzymać buzię na kłódkę.

Zaczekał, aż zatrzaśnie drzwi.

- Dokładnie tak - popatrzył na nią, zaczynając moknąć w deszczu. - To ładna buzia, mimo że prawie się nie zamyka.

- O, moje serce zadrżało ze szczęścia - wzięła go pod rękę i ruszyli do tylnego wejścia.

- W środku nie będzie ciepło - powiadomiła go, otwierając skrzypiące w zawiasach metalowe drzwi. - Ale będzie sucho. Pan Porter ma skłonność do skrajnej oszczędności. Żadnych fanaberii, żadnych błyszczących wystaw, a za to parę korzystnych transakcji - odetchnęła głęboko; jej spojrzenie zabłysło - Boże, spójrz na to wszystko.

Spojrzał. Ale zobaczył tylko rzędy zakurzonych mebli i brudne szklane półki pełne starzyzny. Były tu splątane kłęby biżuterii, lepkiej od brudu i zmatowiałej od zaniedbania. Jedna szafka mieściła w sobie wyłącznie pieprzniczki i solniczki, inna - zbiór butelek, z których żadna nie była specjalnie czysta. Był tu komplet pokrywek Shrinera, beztrudno ustawiony na sfatygowanym automacie z gumą do żucia, a także kilka tekturowych pudeł, wypchanych książkami w broszurowym wydaniu po dziesięć centów za sztukę.

- To chyba wydanie Maxfielda Parrisha.

Ale zanim zdążyła się ruszyć, Jed złapał ją za ramię. Z błysku w jej oczach wywnioskował, że przeprowadzenie jej między tym wszystkim, będzie przypominało spacer po rozżarzonych węglach. Trzeba to zrobić szybko i nie oglądać się za siebie.

- Gdzie są biura?

- Z przodu, na prawo. Jed, chciałabym tylko spojrzeć...

Ale on już ciągnął ją za sobą, opierającą się niczym szczeniak walczący ze smyczą.

- Weź się w garść, Conroy. Ręce ci się poca.

- To prawdziwe okrucieństwo - mruknęła. Ale uniosła brodę - na pewno nie chcesz, żebym porozmawiała z Porterem? Jak handlowiec z handlowcem?

- Powiedziałem, że to ja będę mówić.

- Testosteron w akcji - mruknęła Dora pod nosem.

Kiedy dotarli do biura, okazało się, że jest otwarte, ale puste. Jed uznał, że jest to jedyne miejsce w tym budynku, które w ciągu ostatnich dziesięciu lat miało kontakt ze ścierką i szczotką. W odróżnieniu od bałaganu panującego w sklepie, biurko było lśniące i uporządkowane, a półki szafek czyste i dokładnie zamknięte. W powietrzu unosił się ulotny cytrynowy zapach wosku w sprayu.

- Zmieniło się tu od mojej ostatniej wizyty - Dora zajrzała ciekawie do środka. Na suszce do atramentu nie było ani jednego kleksa, a w lewym rogu biurka stał ładny porcelanowy wazon ze świeżymi szklarniowymi różami. - Poprzednio na ścianie wisiał kalendarz z panienkami rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt sześć, a reszta pokoju wyglądała, jakby wybuchła tu mała bomba. Pamiętam, że zastanawiałam się, jak można pracować w takim chaosie - pochwyciła ironiczne spojrzenie Jeda i wzruszyła ramionami. - Mój chaos jest zorganizowany - rozejrzała się próbując nie zwracać uwagi na stół z towarem.

- Może Porter gdzieś się tu kręci. Niełatwo go zauważyć. Wygląda trochę jak fretka.

- Czym mogę służyć? Jed położył dłoń na ramieniu Dory, by ją uciszyć i zwrócił się do schludnie ubranej kobiety w okularach wiszących na złotym łańcuszku.

- Chcielibyśmy pomówić z panem Porterem.

Oczy Helen Owings zamgłyły się i alarmująco szybko wypełniły gorącymi łzami.

- Och - powiedziała i zaczęła szukać chusteczki. I znowu: - Och kiedy osuszyła strumienie łez.

- To straszne - zanim Jed zdążył zareagować, Dora już prowadziła j pod rękę w stronę biura i krzesła. - Przynieść pani wody?

- Nie, nie - Helen pociągnęła nosem i zaczęła drzeć mokrą chusteczkę na drobne strzępki. - To tylko szok, to, że zapytaliście o niego. Pewnie nie wiedzieliście.

- Nie wiedzieliśmy o czym? - Jed cicho zamknął drzwi i zaczekał i odpowiedź.

- Sherman... Pan Porter nie żyje. Został zamordowany - usta Helen zadrżały, choć ostatnie słowo było pełne wyrazu.

- O Boże - Dora rozejrzała się za krzesłem dla siebie, czując w głowie powolne, mdlące wirowanie.

- Tuż przed Bożym Narodzeniem - Helen wydmuchnęła nos w co zostało z chusteczki.

- To ja go znalazłam. Tam - wskazała biurko.

- Jak zginął? - zapytał Jed.

- Zastrzelony - Helen zakryła twarz dłońmi, a potem splotła je podolku. - Przestrzelili mu głowę. Biedny, biedny Sherman.

- Czy policja ma jakichś podejrzanych? - chciał wiedzieć Jed.

- Nie - Helen westchnęła i przywołała na pomoc resztki opanowania. - Chyba nie mogą znaleźć żadnego motywu. Nie ukradziono niczego, co moglibyśmy zauważyć. Nie było żadnych... oznak walki. Przepraszam panie...

- Skimmerhorn.

- Panie Skimmerhorn. Znał pan Shermana?

- Nie - przez chwilę zastanawiał się, ile jej powiedzieć. Jak zwykle zdecydował, że im mniej, tym lepiej. - Panna Conroy prowadzi sklep w Filadelfii. Chodzi nam o pewne przedmioty, które zakupiła tu na aukcji dwudziestego pierwszego grudnia.

- Na naszej ostatniej aukcji - głos się jej załamał. Odetchnęła głęboko i wyprostowała ramiona, wyraźnie walcząc o zachowanie spokoju. - Proszę mi wybaczyć moje zachowanie. Dopiero wczoraj zaczęliśmy znów pracować i jestem jeszcze roztrzęsiona. Czy macie państwo jakiś problem?

- Pytanie - Jed uśmiechnął się czarująco i ze współczuciem. - Panna Conroy kupiła tu dwa przedmioty. Interesuje nas, gdzie i w jaki sposób je zdobyliście.

- Czy mogę zapytać, dlaczego? Zwykle nie ujawniamy naszych źródeł. Przecież inny kupiec mógłby ujawnić się przed nami i przelicytować nas.

- Chcielibyśmy wiedzieć coś więcej o pochodzeniu tych przedmiotów - uspokoił ją. - Nie zamierzamy wykorzystywać waszego źródła zaopatrzenia.

- No.... - nie było to w zupełnej zgodzie z przepisami, ale Helen była pewna, że nie przyniesie to żadnej szkody. - Może będę mogła wam pomóc. Pamiętacie numery aukcyjne? F Piętnaście i osiemnaście - powiedziała Dora głosem bez wyrazu. Pamiętała coś jeszcze, coś od czego jej żołądek przewracał się do góry nogami. Ale kiedy Jed wyszeptał jej imię, potrząsnęła głową.

- F piętnaście i osiemnaście - powtórzyła Helen, przyjmując z wdzięcznością nadarżającą się jej jakieś zajęcie. Podeszła do kartoteki. - A tak, dział F nadszedł z Nowego Jorku. Mała wyprzedaż - uśmiechnęła się i położyła akta na biurku. - Mówiąc szczerze, panie Skimmerhorn, większość z nich została chyba kupiona na straganie. Pamiętam, że ich jakość nie dorównywała - moim oczekiwaniom. Conroy... tak, kupiła pani dwie pozycje, Niestety, chyba nie mogę pani o nich za wiele powiedzieć. Ja...

Przerwała, słysząc pukanie do drzwi.

- Panno Owings?

- Tak, Richie?

- Mamy tu problem z tym wczesnoamerykańskim naczyniem do nalewek. Klienci się spieszą.

- Dobrze, powiedz im, że już idę. - Helen wstała, przygładziła włosy i poprawiła spódnice. - Przepraszam na chwilę.

Jed czekał, aż drzwi zamkną się za nią i sam zajął się aktami. Przejrzał listę, spis inwentarza, ceny, a potem po prostu zabrał to, co wydawało się mu istotne.

- Co ty wyprawiasz? - chciała wiedzieć Dora. - Tak nie można.

- Oszczędzimy sobie czasu. Chodź.

- Zna moje nazwisko.

Więc zrobimy kopię dokumentów i odeślemy jej oryginały - złapał ją mocno za rękę, choć tym razem nie było to konieczne. Nie zamierzała się ociągać ani zostawać w tyle, by obejrzeć jakiś zakurzony skarb. Kiedy siedzieli już w samochodzie, Jed ujął ją pod brodę.

- Dobra, teraz mów. Weszłaś tam biała jak prześcieradło.

- Przypomniałam sobie pana Ashwortha. Mówiłam ci o nim. To ten właściciel sklepu,

którego wtedy spotkałam na aukcji. Kupił jeden przedmiot z tej partii towaru.

- Ten, którego zabił włamywacz - mruknął Jed. - Mówiłaś, że ma tu gdzieś sklep.

- Tak, parę kilometrów stąd.

- Więc tam udamy się następnie - zapalił silnik. - Dasz radę?

- Tak. Ale najpierw chcę wysiąść i zadzwonić do sklepu.

- Nie było cię zaledwie od paru godzin, Conroy. Poradzą sobie bez ciebie.

- Nie chcę, żeby Terri i Lea przebywały w tym miejscu - zacisnęła zęby i spojrzała przed siebie. - Chcę, żeby zamknęły sklep.

- Dobrze - ujął jej rękę, zimną i sztywną. - Dobrze.

Choć na wszelki wypadek Jed zabrał ze sobą rzeczy potrzebne mu na noc, miał jednak nadzieję, że zdołają wrócić z Wirginii w ciągu jednego dnia. Po odwiedzeniu sklepu Ashwortha nie było już jednak o tym mowy.

Dora potrzebowała odpoczynku, a on zamierzał dopilnować, żeby go miała.

Milczała, kiedy zameldował się w hotelu koło lotniska. To, że prawie nie odzywała się przez całą drogę w deszczu z Front Royal, martwiło go niemal tak samo jak informacja, którą otrzymali od wnuka Toma Ashwortha. Oprócz tego, że Ashworth został zamordowany, a włamywacz poczynił w sklepie różne szkody, została skradziona figurka.

Jed otworzył drzwi hotelowego pokoju, odstawił torby na bok i wskazał Dorze krzesło.

- Siadaj. Musisz coś zjeść.

- Nie jestem głodna.

- Owszem, jesteś - podniósł słuchawkę i zamówił dwa steki, kawę i butelkę brandy, nie pytając Dory o zdanie. - Za pół godziny - powiedział, odkładając słuchawkę - co prawdopodobnie oznacza czterdzieści minut. Masz czas, żeby się położyć.

- Ja... - spojrzała tępo na łóżko - chyba się wykapię.

- Świetnie. Nie spiesz się.

Wstała, wzięła swoją torbę. Nie spojrzała na niego.

- Czy ty niczego nie czujesz? - spytała łamiącym się ze zmęczenia głosem. - Troje ludzi nie żyje. Na razie troje. Może być ich więcej. Ludzie, na których mi zależy, mogą być w niebezpieczeństwie, ponieważ dla mnie pracują. A ty zamawiasz kolację. Nie boisz się? Nie jest ci niedobrze? W ogóle niczego nie czujesz?

Ostatnie pytanie świsnęło niczym bat. Dora przycisnęła torbę do piersi i zmusiła się, by spojrzeć na twarz Jeda. Popatrzył jej prosto w oczy.

- Owszem, coś czuję. Czuję się wkurwiony. Wykap się, Doro. Prze stań na chwilę o

tym myśleć.

Odwróciła się ze znużeniem.

- W ten sposób nic z tego nie wyjdzie.

Cicho zamknęła za sobą drzwi. Za chwilę usłyszała wpuszczaną do wanny wodę.

Zapalił papierosa, klnąc cicho nad stawiającymi mu opór zapalkami. Zawiódł ją, to właśnie wyczytał z jej oczu, kiedy wreszcie na niego spojrzała. A to, co o nim myślała, co do niego czuła, jak na niego patrzyła, znaczyło dla niego wiele, może nawet zbyt wiele.

Ona znaczyła dla niego zbyt wiele.

Podszedł do drzwi łazienki, podniósł dłoń, by zapukać. Potem opuścił ją. Nie ma tu nic do gadania, pomyślał. Pora zacząć działać. Wrócił do telefonu i wykrecił numer Brenta.

- Porucznik Chapman.

- Tu Jed.

- I co zdziałałeś?

- Kilka trupów - Jed wydmuchnął dym i odruchowo zniżył głos. - Sherman Porter, właściciel domu aukcyjnego, w którym Dora kupiła obraz i psa. Zastrzelony w swoim gabinecie tuż przed Bożym Narodzeniem. Możesz zadzwonić do tutejszej lokalnej policji i zapytać o szczegóły.

- Robi się.

- Ashworth Thomas, lokalny sprzedawca antyków, zamordowany przez włamywacza mniej więcej w tym samym czasie co Porter. Był na aukcji razem z Dorą, kupił porcelanową figurynkę. - Jed sprawdził listę. - Mężczyzna i kobieta, około dwu stóp wysokości, w strojach z epoki. Sprzed wojny secesyjnej. Nie cieszył się nią długo.

- Wartość?

- Znikoma. Sprawdziłem, co jeszcze było w tej partii towaru i kto kupił resztę.

- Nie nudziłeś się, kapitanie. Przeczytaj mi to, ale zwolnij. Nie stenografuję najlepiej.

Kiedy Jed dotarł do końca listy, rozgniół papierosa.

- Dobrze by było, gdybyś wziął swoich ludzi do galopu.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Towar nadszedł z Nowego Jorku, prawdopodobnie z jakiejś wyprzedaży, ale kobieta z domu aukcyjnego mówiła, że to tandeta, nie całkiem to, czego się spodziewała. Mam nazwisko faceta, który to przesłał. Jutro sprawdzę go osobiście.

- Podaj mi jego nazwisko. Na wszelki wypadek my też go sprawdzimy.

- Franklin Flowers, adres brookliński. Coś nowego o pani Lyle?

- Jej stan zaczyna się stabilizować. Nie pamięta nic ponadto, co nam powiedziała.

- Obraz?

- Twoja stara przyjaciółka pracuje nad nim. Miło pomyśleć, że pracuje w domu twojej babki - głos Brenta rozjaśnił się odrobinę rozbawieniem. - Twoja babka powiedziała mi, bez ukrytych znaczeń, że tego procesu nie wolno przyspieszać.

- Ktoś jej pilnuje?

- Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Musiałem trochę zamydlić Goldmanowi oczy, wyświadczyć mu trochę przysług. Raporty służbowe plus ptifurki i kawa z mleczkiem. Nie zaszkodzi, gdybym sam mu je przyniósł. Podaj mi swój numer, może coś znajdę już dzisiaj.

Jed odczytał numer widniejący na telefonie.

- Zaczyna się robić gorąco?

- Nie aż tak, żebym nie mógł sobie z tym poradzić. Goldman uznał, że interesuje go zabójca Trainora. Wystąpił przed sądem. Wiesz: „Kiedy zabijają jednego z moich ludzi, nie spocznę, póki zabójca nie stanie przed obliczem sprawiedliwości”. Film o jedenastej.

- Rzucimy mu Di Carla pod nogi.

Niesmak w głosie Jeda nappełnił Brenta nadzieją.

- Jeśli go znajdziemy. Zdaje się, że nasz przyjaciel zapadł się pod ziemię.

- Więc go stamtąd wykopimy. Zadzwońię do ciebie z Nowego Jorku. Odwiesił słuchawkę, oparł się o wezglowie łóżka i zapalił kolejnego papierosa. Woda przestała już płynąć. Miał nadzieję, że Dora leży teraz w wannie, zamknęła oczy i nie myśli o niczym.

Dora rzeczywiście leżała w wannie. Zamknęła oczy, pozwalając gorącej wodzie i plynowi do kąpieli powoli rozluźniać jej ciało. Ale umysł nie dawał się uspokoić. Ciągle widziała, jak oczy Helen Owings wypełniają się łzami. Słyszała głos Thomasa Ashwortha III, załamujący się, kiedy mówił o swoim dziadku. Ciągle pamiętała, jak blade i mizernie wyglądała pani Lyle, leżąca na szpitalnym łóżku otoczonym aparaturą.

Nawet ciepło wody nie pozwoliło jej zapomnieć, jak zimna była lufa pistoletu przyciśniętego do jej piersi.

I gorzej, ciągle słyszała pozbawiony wyrazu i uczuć głos Jeda, pytającego o ofiary, nadal widziała jego oczy, tak wspaniale błękitne i niewzruszone. Ani upału, ani lodu, żadnego współczucia.

Czy to również nie był rodzaj śmierci? pomyślała. Nie czuć niczego, nie, poprawiła się, nie pozwalać sobie na odczuwanie czegokolwiek. I jeszcze gorzej. Umieć pozwolić sobie na stanie z boku i obserwowanie innych, na drobiazgową analizę bez żadnego żalu.

Może myliła się co do niego. Może naprawdę nic go nie dotykało, nic nie przebijało tych szczelnych powłok obojętności i zimnego obiektywizmu.



Wykonywał tylko swój zawód, składał fragmenty układanki, ale żaden z nich nie znaczył dla niego nic więcej poza kolejnym krokiem w kierunku rozwiązania.

Leżała w wannie tak długo, aż woda zaczęła stygnąć. Odwlekając chwilę, w której będzie musiała znowu spojrzeć mu w oczy, wytarła się starannie, nałożyła na skórę krem. Upuściła ręcznik na ziemię i sięgnęła po szlafrok.

Jej ręka zawahała się, a potem musnęła soczystą zieleń szlafroka. Pozwoliła sobie zapomnieć o tej jego stronie. O stronie łagodnej, może i szorstkiej, ale mimo to życzliwej.

Westchnęła cicho i otuliła się szlafrokiem. To moja wina, pomyślała. Zawsze szukała czegoś więcej, a jeśli nie mogła tego dostać, czuła się zawiedziona. Ale usiąść i przypiąć się pasem bezpieczeństwa jest tak strasznie trudno. Tak cholernie trudno.

Otworzyła drzwi, pozwalając, by fala pary i zapachu przeniknęła do pokoju. Jed stał przy oknie, patrząc na deszcz. Nakryty na dwie osoby wózek z kolacją stał obok niego. Jed nalał już sobie filiżankę kawy i podniósł ją do ust, spoglądając w jej stronę.

Jej widok był jak cios w splot słoneczny. Kąpiel przywróciła kolor jej policzkom, ale jej skóra nadal mżyła delikatnym blaskiem zmęczenia. Nieporządnie spięte włosy były wilgotne od pary. I, zupełnie nagle, powietrze wypełniło się jej zapachem.

Przygasił światło, nie dla uzyskania atmosfery, ale dlatego, że chciał jej sprawić ulgę. W mroku wyglądała krucho i ślicznie, jak kwiat zatopiony w szkle.

Zmusił się, by nie odrywać filiżanki od ust, i pociągnął głęboki łyk.

- Kolacja już jest - powiedział, odstawiając filiżankę. - Zjedz, póki gorące.

Teraz jego spojrzenie nie jest puste, zauważyła. Ani obojętne. W jego oczach zobaczyła coś więcej niż pożądanie, coś bardziej prymitywnego, bardziej gwałtownego. Był to głód kobiety. Jej.

- Chcesz mi to ułatwić... dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej? - powiedziała.

- Daję ci tylko coś do jedzenia, to wszystko - chciał odsunąć krzesło, ale ona podeszła do niego. Jej ramiona oplotły go, ciało przywarło do niego, ukryła twarz w jego szyi. Teraz nie mógł już nie ofiarować jej wszystkiego, co miał. Obejmował ją, głaskał jej plecy i patrzył na strugi deszczu na szybie.

- Bałam się - szepnęła.

- Nie musisz się bać - jego uścisk zacieśnił się odrobinę i znów osłabł. - Nic ci się nie stanie.

- Bałam się o coś więcej. Bałam się, że nie będzie cię przy mnie, żeby mnie objąć, kiedy będę tego potrzebowała. Albo jeśli będziesz, zrobisz to, bo to część twoich obowiązków, od których nie możesz się gładko wykręcić.

- Głupia jesteś. Nigdy niczego nie robię gładko. Roześmiała się krótko, zaskoczona, że była w stanie to zrobić.

- Wiem. Wiem o tym. Ale widzisz, weszłam ci w drogę - przechyliła głowę, by widzieć jego twarz, by zobaczyć na niej to, co chciała zobaczyć. - Zmusiłam cię, żebyś czuł coś, czego czuć nie możesz, jeśli masz robić to, co musisz. Chciałam, żebyś czuł do mnie to, czego ty nie chcesz czuć.

- Nie wiem, co czuję do ciebie.

- I o tym też wiem - uniosła dłoń do jego policzka, ścierając z niego napięcie. - Teraz mnie pragniesz, i to nam wystarczy - dotknęła jego ust, powoli pogłębiając pocałunek. - Kochaj się ze mną.

Żądza przeszła go na wylot.

- Nie tego teraz ci potrzeba.

- Właśnie, że tego - pociągnęła go w kierunku łóżka. - Właśnie, że tego.

\* \* \*

Później zwinęła się obok niego w kłębek, nasycona i śpiąca. Był taki łagodny, pomyślała. Taki cierpliwy. I, wiedziała o tym, pochłonięty nią. Nie tylko ona zapomniała na krótką chwilę, po co tu przyjechali. Dał jej wszystko, o co prosiła, przyjął wszystko, co chciała mu dać. Teraz słuchała szmeru deszczu i zapadła w odrętwienie graniczące ze snem.

- Jedzenie wystygło - powiedział Jed - ale i tak musisz zjeść. Kiedy tu weszliśmy, wyglądałaś, jakbyś się miała przewrócić.

- Już mi lepiej - uśmiechnęła się, kiedy wziął ją za rękę. Coraz częściej mu się to zdarza, pomyślała. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę.

- Powiedz, co teraz zrobimy.

- Rano pojedziemy do Nowego Jorku.

- Powiedziałeś „my” - przytuliła się do niego. - Robisz postępy, Skimmerhorn.

- Oszczędzam sobie kłótni.

- Mhm. Lubisz moje towarzystwo. Mógłbyś to przyznać.

- Lubię twoje towarzystwo w łóżku. Poza nim jesteś utrapieniem.

- Być może, ale to lubisz - uniosła się, przeciągnęła dłonią po potarganych włosach.

- Sprawiasz, że czuję się lepiej. Przesunął palcem po jej sutce.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Roześmiała się i odrzuciła włosy do tyłu.

- Nie o to chodzi, choć było niesamowicie - uśmiechnęła się łagodnie i potarła kostkami o jego brodę. - Ja też lubię twoje towarzystwo.

Złapał ją za nadgarstek i przytrzymał.

- Może nie powinnaś. Może powinnaś wiać, ile sił, w przeciwnym kierunku.

- Nie sędzę.

- Nie znasz mnie, Doro. Nie masz pojęcia, skąd pochodzę, i nie zrozumiałabyś, gdybyś wiedziała.

- Wypróbuj mnie.

Potrząsnął głową i zaczął wstawać.

- Wypróbuj mnie - powtórzyła. Zabrzmiało to jak wyzwanie.

- Jestem głodny - włożył dzinsy i odwróciwszy do niej tyłem, zdjął pokrywkę z zimnych steków.

- W porządku. Możemy rozmawiać jedząc.

Była to okazja, której nie mogła zmarnować. Włożyła szlafrok i usiadła za wózkiem z kolacją. Była tylko jedna filiżanka. Pewnie, pomyślała, sądził, że kawa mnie obudzi, a on chciał, żebym spała. Nalała sobie trochę kawy do kieliszka i wypila ją, gorzką i zimną.

- Więc skąd pochodzisz, Skimmerhorn?

Już teraz żałował tego, co powiedział, a co postawiło go w takiej sytuacji.

- Z Filadelfii - powiedział tylko i zajął się swoim stekiem.

- Z bogatej Filadelfii - poprawiła go. - O tym już wiem. A więc to ona zacznie.

- Wiem też, że obie strony były majątne, a małżeństwo twoich rodziców było rodzajem układu na wysokim szczeblu - posoliła swój stek. - I że często kłócili się publicznie.

- Odkąd pamiętam, nienawidzili się wzajemnie - wzruszył ramionami, ale w jego ruchach kryło się napięcie. - Masz rację z tym układem. Żadne z nich nie zamierzało zrezygnować z połączenia fortun, więc przez dwadzieścia siedem lat żyli we wzajemnym obrzydzeniu i wrogości. I jak na ironię, być może na szczęście, umarli razem, kiedy kierowca stracił panowanie nad ich limuzyną i spowodował wypadek.

- Stracić ich w ten sposób musiało być dla ciebie okropne.

- Nie - podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. - Wcale nie. Kiedy żyli, nie czułem do nich niczego z wyjątkiem lekkiego obrzydzenia. Mówiłem ci, że nie zrozumiesz.

Przez chwilę jadła w milczeniu, ponieważ jedzenie wypełniało chwile milczenia.

- Chyba się mylisz. Tak sędzę. Nie szanowałeś ich i gdzieś po drodze przestałeś ich kochać.

- Nigdy ich nie kochałem.

- Ależ kochałeś. Dziecko zawsze kocha rodziców, dopóki jego miłość nie zostanie odtrącona, a często kocha ich nawet wtedy. Ale jeśli przestałeś ich kochać, widać musiałeś to

zrobić. Więc kiedy umarli, to, co wtedy czuleś, jeśli w ogóle coś czuleś, było poczuciem winy, że nie czujesz nic więcej - przerwała i zmierzyla go wzrokiem - mam rację?

Trafiła w dziesiątkę, ale nie był w stanie tego przyznać.

- Mieli dwoje dzieci, których specjalnie nie pragnęli - ciągnął. - Elaine i mnie, żeby zapewnić ciągłość rodu. Kiedy byłem dzieckiem, bez przerwy mi to mówili.

*Nosisz nazwisko Skimmerhornów. Jesteś jego dziedzicem. Mógłbyś chociaż nie być taki głupi. Okaż wreszcie jakąś wdzięczność. Nie bądź taki nieznośny.*

- Moje obowiązki - mówił dalej Jed, usiłując zapanować nad starym widmem nienawiści. - I ich oczekiwanie. Twoi rodzice chcieli, żebyś została w teatrze; moi życzyli sobie, żebym pomnażał rodzinną fortunę.

- I oboje zawiedliśmy ich, każde na swój sposób.

- To nie to samo, Doro. Plany twoich rodziców wobec ciebie wynikały z dumy. Moi rodzice powodowali się chciwością. W moim domu nie było uczucia.

Nie chciał tego mówić, nie chciał o tym pamiętać, ale to ona poruszyła koło, a on nie mógł go zatrzymać, dopóki nie zatoczyło pełnego obrotu.

- Twoja siostra...

- Nie znaczyła dla mnie więcej niż ja dla niej - powiedział to głosem bez wyrazu, ponieważ była to żalosna prawda. - Igraszka losu sprawiła, że byliśmy więźniami w tej samej celi, ale współwięźniowie rzadko czują do siebie sympatię. Wszyscy czworo staraliśmy się nawzajem unikać. - Uśmiechnął się słabo, bez wesołości. - Nawet w domu tak wielkim jak nasz nie zawsze jest to proste.

Choć wiedziała, że nie zależało mu na tym, ogarnęło ją współczucie.

- Z nikim nie mogłeś porozmawiać?

- O czym? - roześmiał się krótko. - To, że moi rodzice się nienawidzą, dla nikogo nie było tajemnicą. Publiczne awantury były zaledwie wstępem. Zawsze kończyli je w domu. Jeśli nie rzucali się sobie do gardeł, obrywało się mnie lub Elaine.

- Uciekłem w drobne kradzieże, złośliwe wybryki i małe oszustwa. Ona uciekła w romanse. Zanim skończyła dwadzieścia lat, miała już dwie skrobanki. Rodzice pomogli jej zatuszować sprawę, tak jak tuszowali moje wybryki. Odstawienie nas do szkoły z internatem na nic się nie zdało. Mnie wyrzucili, a Elaine wdała się w romans z jednym z nauczycieli.

W końcu poddali się; w tym jednym się zgodzili. Zawarli układ z Elaine: przeznaczili dla niej ładną sumkę, pod warunkiem, że wyjdzie za odpowiedniego kandydata. Ja zamieszkałem z babką. Pierwsze małżeństwo Elaine trwało niecałe dwa lata. W okresie, kiedy się rozwodziła, ja wstąpiłem do akademii policyjnej. To ich naprawdę wkurwiło - nalał

o boju pełne kieliszki brandy. - Straszli, że nas wydziedziczą, ale nie chcieli, żeby ten cały majątek przeszedł w obce ręce. Dlatego Elaine mogła zaliczyć drugiego męża, a ja dostałem odznakę. A potem zginęli.

Zbyt wiele czuła - o wiele za dużo, niżby chciał - wiedziała o tym. Litość nad dzieckiem, oburzenie nad jego losem, żal nad rodziną, której nie łączyły żadne więzy.

- Może masz rację - powiedziała powoli. - Nie rozumiem, po co ludzie zostają z sobą bez miłości. I jak mogą nie obdarzyć nią swoich dzieci. Ale to nie znaczy, że nie rozumiem ciebie.

- Musisz zrozumieć, że być może nie będę w stanie dać ci tego, czego potrzebujesz.

- A to już mój problem, prawda? - wzięła butelkę i napelniła kieliszki. - Mnie się raczej zdaje, Skimmerhorn, że bardziej niepokoi cię to, że mogłabym dać ci dokładnie to, czego pragniesz.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dora kochała Nowy Jork od zawsze. Kiedyś wyobrażała sobie, że tu zamieszka. Jakieś poddasze w Village, ulubiona egzotyczna knajpka, kółko zaprzyjaźnionej cyganerii, zawsze noszącej się na czarno, cytującej najnowsze ezoteryczne publikacje. I, oczywiście, zwariowana sąsiadka, zawsze zakochująca się w niewłaściwych mężczyznach.

Tylko, że wtedy miała czternaście lat. Od tego czasu trochę się zmieniła.

Ale nadal kochała Nowy Jork za jego nieustający gwar, energię, arogancję. Kochała ludzi, spieszenie idących po chodnikach, unikających spojrzeń innych, osoby objuczone firmowymi torbami Saksa, Macy'ego i Bendela, - sklepy elektroniczne, w których bez przerwy odbywały się wyprzedaże, sprzedawców ulicznych z pieczonymi kasztanami i złym humorem, a także jawną beczelność taksówkarzy.

- Sukinsyn - mruknął Jed, kiedy jakaś taksówka niemal otarła się o ich samochód.

Dora uśmiechnęła się promiennie.

- Cudownie, prawda?

- O, tak. Wątpię, czy od początku tego wieku wypisano tu choć jeden mandat.

- Niewiele by to pomogło. Poza tym... och, popatrz! - Dora opuściła szybę i wystawiła głowę na zewnątrz.

- Jeśli odetchniesz tym powietrzem, umrzesz.

- Widziałeś ten kostium? - Dora zmrużyła oczy, nie z powodu spalin, ale by odczytać nazwę sklepu. - Fantastyczny. Gdybyś mógł gdzieś zaparkować, wyskoczyłabym tylko na pięć minetek.

Parsknął pogardliwie, - Zejdz na ziemię, Conroy. Westchnęła i opadła z powrotem na siedzenie. - Może moglibyśmy tu wpaść, jak już skończymy. Musisz tylko jechać tę dzielnicę.

- Zapomnij. W Filadelfii nie ma sklepów?

- Pewnie, że są. Nie w tym rzecz. Buty - powiedziała z przeciągłym westchnieniem i zagapiła się na następną wystawę, podczas gdy Jod usiłował włączyć się w ruch na Madison Avenue. - Robią poświęconą wyprzedaż.

- Powinienem to przewidzieć. Z drogi! - krzyknął i ostro wyminął następną taksówkę.

- Powinienem był to przewidzieć - powtórzył - i nie ciągnąć cię przez Manhattan. To jakby dać kotlet wygłodniałemu psu.

- Powinienesz pozwolić mi prowadzić - poprawiła go. - Jestem mniej porywcza i nie mogłabym przyglądać się sklepom. Poza tym, to ty chciałeś sprawdzić mieszkanie DiCarla.

- I wolałbym dotrzeć do niego żywy.

- Albo moglibyśmy wziąć taksówkę z lotniska.

- Powtarzam: żywy.

Dora czuła w sobie bardzo dużo życia.

- Wiesz co, powinniśmy tu zostać na noc, w jakimś potwornie drogim hotelu w śródmieściu. Obejrzelibyśmy sztukę Willa. - Spojrzała pożądliwie na wystawy sklepów - zrobilibyśmy zakupy.

- To nie wycieczka krajoznawcza, Conroy.

- Ja tylko próbuję wykorzystać sytuację.

Jed zignorował ją i skręcił w Osiemdziesiątą Trzecią. Rozejrzawszy się za miejscem, w którym mógłby zaparkować wypożyczony samochód, zrobił jedyną sensowną rzecz i zaparkował na drugiego.

- Będę ci musiał zaufać.

- Dobrze - postarała się sprawić wrażenie godnej zaufania. - W jakiej sprawie?

- Masz usiąść za kierownicą. Ja wejdę i sprawdzę DiCarla - przepytam ciecia, może kilku sąsiadów.

Jej usta odeły się niebezpiecznie.

- Dlaczego nie mogę wejść z tobą?

- Bo chcę, żeby samochód tu stał, kiedy wyjdę. Jeśli będziesz musiała go przestawić, objedziesz całą dzielnicę, nie zatrzymując się ani przy kostiumach, ani przy butach, i zaparkujesz znowu tutaj. Rozumiesz?

- Nie jestem głupia - zaczęła, ale on pocałował ją i wysiadł.

- Zamknij drzwi, Conroy.

Kiedy pięć minut zmieniło się w dziesięć, a dziesięć w dwadzieścia, Dora zaczęła się zastanawiać, czy nie zostawić Jedowi wiadomości, że czeka na niego w butikiu i nie złapać taksówki. Już sięgała po torebkę i notes, kiedy pojawił się Jed, biegiem zbliżający się do samochodu.

Włączył silnik i zaczął czekać na okazję, by włączyć się w ruch uliczny.

- Teraz mi powiedz, jak dostać się na ten cholerny Brooklyn?

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Zostawiasz mnie tu prawie na pół godziny, a potem chcesz, żebym ci dała mapę miasta?

- Dozorca wpuścił mnie do mieszkania DiCarla.

- To żadne wytłumaczenie - przez chwilę dąsała się w milczeniu, ale ciekawość zwyciężyła. - Więc? Co tam znalazłeś?

- Parę tuzinów włoskich butów. Kilka garniturów od Armaniego. Parę butelek Dom

Perignon i jedwabną bieliznę we wszystkich kolorach tęczy.

- A więc DiCarlo jest z tych wybrednych.

- Znalazłem też książeczkę czekową z kontem na trochę ponad siedem tysięcy dolarów, porcelanową Madonnę i kilka tuzinów rodzinnych fotografii, oprawionych w ramki.

- Oszczędza, nie zapomniał o swojej religii i ceni swoją rodzinę. Jak na razie nie przypomina zimnokrwistego mordercy.

- A Ted Bundy miał przystojną twarz i miły uśmiech - skrzywił się w Lexington i ruszył w stronę śródmieścia. - Znalazłem też papier firmowy E. F. Incorporated z siedzibą w Los Angeles i filią na Manhattanie, masę dokumentów z tej samej firmy i jakiś tuzin wiadomości na sekretarce automatycznej od mamy, kuzyna Alphonso, ciotki Sophii i jakiejś kretynki imieniem Bambi.

- Tylko dlatego, że kobieta ma na imię Bambi, uważasz ją za kretynkę?

- Jakże się pomyliłem - przemknął na żółtym świetle. - To, że nazwała DiCarlo misiaczkiem, chichotała i szczebiotała jak dziecko nie upoważnia mnie do nazwania jej kretynka.

- To już lepiej.

- Nie znalazłem notesu z adresami, paszportu ani żadnej gotówki. Zważywszy to, a także fakt, iż wiadomości zostały pozostawione bez odpowiedzi, sądzę, że DiCarlo od pewnego czasu znajduje się poza domem.

- Rozsądne rozumowanie. Myślisz, że nadal jest w Filadelfii? Powiedziała to lekko, ale on usłyszał w jej głosie nutki zmartwienia.

- Istnieje taka możliwość. Nikt nie będzie napastował twojej rodziny, Doro. Nie ma ku temu powodów.

- Pewnie masz rację. Jeśli tam jest, czeka na mnie - skrzywiła się. - Miło pomyśleć.

- Nie zbliży się do ciebie. Obiecuję.

Drogę z Manhattanu do Brooklynu Heights Jed przebył, wspomagając się papierosami i nie do końca przyjemnym uczuciem zmagania się z ruchem ulicznym. Kiedy stanęli przed sklepem Franklina Flowersa, zdążył już dopasować do siebie te kawałki układanki, które miał, rozrzucić je i ułożyć na nowo. Płynnie zaparkował na parkingu.

- To ci się pewnie spodoba, Conroy - pochylił się ku niej, przechylając głowę, by spojrzeć przez okno po jej stronie na wystawę sklepu.

F. FLOWERS

KUPUJEMY I SPRZEDAJEMY

- Kto tego nie robi? - powiedział Jed. - Pamiętaj, Conroy...



- Tak, tak. To ty mówisz.

Weszli do sklepu. Był tylko odrobinę większy od przeciętnego salonu, a w środku tłoczyły się w nim rozmaite towary, od wyświechtanych misiów po lampy stojące. Choć w pomieszczeniu nie było nikogo, z zaplecza, za zasłoną z paciorków rozlegał się czyjś głos. Idąc za radą napisu na kontuarze, Jed zadzwonił mosiężnym dzwonkiem, który niegdyś ozdabiał kontuar niewielkiego domu rozpusty w Bronxie.

- Jedną chwilkę - głos należał do mężczyzny. W jego ustach słowa brzmiały niczym piosenka.

Słowo Flowersa okazało się równie solidne jak on sam. Zanim Dora skończyła oglądać kolekcję butelek z Avon, Flowers pojawił się w pomieszczeniu, poprzedzony klekotem koralików i wonną chmurką dymu.

Był to potężny mężczyzna, mierzący ponad sześć stóp, z małym brzuszkiem. Miał okrągłą, sympatyczną twarz promieniującą słodyczą - niczym jeden z jego misiów. Cesał się z przedziałkiem tuż koło ucha, co pozwalało mu zaczesywać cienkie kosmyki jasnych włosów na dużą łysinę. W dwóch grubych palcach trzymał cienkiego brązowego papierosa.

- Dzień dobry! - powiedział i znowu zaczął nucić, jak przedszkolanka recytująca alfabet. - Och, och - klasnął językiem i zerknął w kierunku stojących rzędem zegarów - już prawie popołudnie. Jak ten czas leci! Nigdy nie umiałem dojść z nim do ładu. Świat kręci się zbyt szybko, jak na moje potrzeby. A czym mógłbym państwu służyć?

Ponieważ widok jowialnego olbrzyma zupełnie pochłonął Dorę, Jed mógł przejąć prowadzenie bez najmniejszego problemu.

- Pan Flowers?

- Tak, nazywam się Frank Flowers, a to mój mały świat - zaciągnął się delikatnie papierosem i wypuścił dym ustami złożonymi jak do pocałunku.

- Jak państwo widzą, kupujemy i sprzedajemy niemal wszystko. Czym mógłbym państwa dzisiaj zainteresować?

- Czy zna pan Shermana Portera? Rozbawienie Flowersa ulotniło się raptownie.

- Biedny Sherman. Dowiedziałem się o tym przed dwoma dniami. Tragedia. Ten świat mnie czasem przeraża. Zastrzelony przy własnym biurku jak pies - zadrzał, przejęty dreszczem. - Obrzydliwe. Po prostu obrzydliwe.

- Zamówił u pana partię towaru - ciągnął Jed. Flowers wykorzystał chwilę przerwy i zaciągnął się papierosem. - Do Wirginii dotarła dwudziestego pierwszego grudnia.

- Ach, tak - Flowers uśmiechnął się smutno. - Kto mógł wiedzieć, że to nasz ostatni wspólny interes? Los jest okrutną i kapryśną kochanką. Prawie sześć lat. Łączył nas zawód i,

mam nadzieję, przyjaźń.

Jed wyciągnął dokumenty, które zabrał z akt Helen.

- Zdaje się, że mamy problem dotyczący tej przesyłki.

- Naprawdę? - Flowers zapomniał na chwilę o smutku i zmarszczył się. - A to dziwne.

Helen nigdy mi o tym nie wspominała. Oczywiście to zrozumiałe w tych tragicznych okolicznościach. Ale gdyby Helen spotkała się z jakimś problemem, zadzwoniłaby raczej do mnie i nie wysyłałaby pana do Nowego Jorku.

- Załatwiamy to przy okazji - powiedział Jed gładko. - Nabył pan ten towar podczas wyprzedaży?

- Te drobiazgi? Tak, w Catskills. Co za powietrze, jakie krajobrazy. Kupiłem kilka pomniejszych drobiazgów. Parę większych sztuk sprzedałem już innym klientom. Po co ciągnąć ciężkie meble do Wirginii, skoro mam rynek zbytu tuż przy domu.

Wydmuchiwał dwa zgrabne kółeczka z dymu.

- Rozumieją państwo, przeważnie występuję jako agent innych kupców. To małe pomieszczenie - obrzucił sklep czułym spojrzeniem, jak kochający ojciec patrzący na niezbyt rozbawione dziecko - jest nie bardzo drogie, rozumieją państwo, ale trudno tu zarobić na chleb. O ile sobie przypominam, wybrałem dla Shermana kilka sympatycznych drobiazgów - strzepnął popiół z papierosa do marmurowej popielniczki. - Nie rozumiem, czego może dotyczyć ten problem.

- Obrazu - zaczął Jed.

- Obrazu? - Flowers zmarszczył brwi, oparł ręce na biodrze. - Nie wysyłałem żadnego obrazu.

- Abstrakcja, podpisana nazwiskiem E. Billingsly.

- Abstrakcja? - Flowers przechylił głowę i zachichotał niczym panienka. - O nie, mój drogi. Nigdy nie dotykam nawet żadnej abstrakcji. Są dla mnie zbyt dziwaczne. I zbyt trudno je sprzedać. Nie, obawiam się, że musiała tu zajść jakaś pomyłka.

- Ma pan spis przedmiotów, które pan wysłał?

- Oczywiście. Jestem prawdziwym pedantem. Abstrakcja, powiada pan? Nic dziwnego, że Helena ma problem. Za sekundę jestem z powrotem.

Zniknął za zasłoną.

- Może ma współnika - szepnęła Dora. - A ten współnik dołączył obraz do przesyłki. A może... - przerwała na widok wracającego Flowersa, niosącego dwie teczki, jedną słonecznie żółtą, drugą jaskrawoczerwoną.

- Kod kolorystyczny, rozumiecie - położył teczki z uśmiechem na kontuarze. - W

żółtej jest spis tego, co kupiłem na wyprzedazy - otworzył ją. W środku znajdowały się starannie przepisane na maszynie spisy towarów wraz z ich opisami.

- To powinno być... chyba dwunasty grudnia. - Przebiegł szybko listę wzrokiem. - No proszę, a tu już styczeń. Czas ucieka zbyt szybko. Jest - odłożył ostrożnie pierwsze kartki, dukiem do dołu i puknął palcem w spis: posiadłość Woodlowów, Catskills, dwunasty grudnia. Ma pan tu całą listę, wraz z rachunkiem. Nie ma żadnego obrazu.

Ani psa z porcelany, zauważył Jed. Ani figurynki, pasującej do opisu tej, która stała się przyczyną śmierci Toma Ashwortha.

- A to moje dokumenty dotyczące tego, co wysłałem, zwłaszcza do Shermana, Panie świeć nad jego duszą. Jak państwo widzą - oznajmił, otworzywszy teczkę - pierwsza przesyłka jest zarazem ostatnią. Jest tu też pokwitowanie pocztowe. Ani śladu obrazu - uśmiechnął się radośnie. - Może dostał się przez pomyłkę do mojej przesyłki przy rozpakowywaniu. Świętej pamięci Sherman był troszeczkiem flejtuchowaty.

- Tak - powiedział Jed. - Na pewno ma pan rację.

\* \* \*

- Właśnie, że nie ma racji - upierała się Dora, otwierając samochód. - Widziałam, jak pomocnik rozpakowywał tę przesyłkę. Właśnie nadeszła.

- Aha - Jed wyjął kluczyki, ale nie włączył silnika. Bawił się nimi, a jego spojrzenie nie wyrażało niczego.

- Tam był obraz. Kupiłam go, do cholery.

- Jasne, że był - zgodził się Jed. - A także porcelanowy pies i kupa innych rzeczy. Żadna z nich nie figurowała w spisie Flowersa. Nie zgadza się ani jeden przedmiot.

- Może kłamie - spojrzała na drugą stronę ulicy i potrząsnęła głową. - Ale nie sądzę.

- Nie, nie kłamie - Jed odwrócił się do niej. - Powiedz mi coś, Conroy. Gdybyś przemyślała Moneta i parę innych nielegalnych skarbów, dla siebie czy dla kogoś innego, i poświęciłaś sporo czasu, żeby je ukryć, nadać im pospolity wygląd...

- To nie wysyłałabym ich na aukcję - przerwała, spoglądając na niego w natchnieniu nagle pociemniałymi oczami. - Nie pozwoliłabym, żeby kupili je ludzie, rozproszeni po całym wybrzeżu.

- Ponieważ wtedy napytałabyś sobie kłopotu i musiałabyś wiele ryzykować, odzyskując je, choć od początku były w twoim posiadaniu.

- Więc ktoś zawalił sprawę. DiCarlo?

- Może.

- Kto jeszcze? - spytała. - Masz to pytanie wypisane na twarzy.

- Pokwitowania. To od Flowersa i to, które zabrałem od Portera. Oba pochodziły z przedsiębiorstwa wysyłkowego Premium. - Uruchomił silnik. - Muszę zadzwonić w parę miejsc.

\* \* \*

Dora wlewała w siebie nie kończące się filiżanki kawy i znęcała się nad kanapką firmową, czekając w małej brooklyńskiej knajpce, aż Jed skończy telefonować, i wykorzystując ten czas na zastanowienie. Wyjęła notes i zaczęła zapisywać w nim swoje uwagi oraz rysować diagramy.

- Wygląda na to, że to prawdziwy Monet. - Jed usiadł przy stoliku i przysunął sobie jej talerz. - Muszą przeprowadzić jakieś testy, żeby mieć sto procent pewności, ale moja babka i jej kumpel dają sobie rękę uciąć za jego prawdziwość.

- Co to za kumpel?

- Jeden taki znajomy. Był naczelnikiem londyńskiej policji. - Jednym klapnięciem zębów pożarł trójkątną kanapkę i gestem przywołał kelnera. - Wygląda na to, że każdy, kto kupił przedmiot z naszej listy, został napadnięty w okresie od dwudziestego pierwszego grudnia do Nowego Roku.

- Napadnięty? - krew odpłynęła jej z twarzy - chcesz powiedzieć: zabity?

- Nie - Jed ujął jej rękę i uściśnął ją mocno. - Okradziony. W każdym przypadku z tego, co zakupił na tej aukcji. Sprawna robota. Z tego, co mówi mi Brent, wynika, że nawet bardzo sprawna. I ciągle ani śladu DiCarla. Jest jakimś tam wiceprezesem nowojorskiej filii E. F. Incorporated. Od świąt nie pokazał się w pracy. Parę razy dzwonił, ale od Nowego Roku zapadła cisza. Ani jego sekretarka, ani podwładni nie wiedzą, gdzie się podziewa. Jego matka zgłosiła dziś rano jego zaginięcie.

- Więc teraz szuka go policja - Dora uniosła swoją filiżankę i nie zauważyła błysku w spojrzeniu Jeda. - Dobrze. Mam nadzieję, że jeszcze ucieka i że w końcu skręci sobie kark. Co teraz?

Jed wzruszył ramionami i wziął następną kanapkę.

- Jeśli zdołamy zebrać wystarczająco dużo dowodów, łączących go z morderstwami w Filadelfii i Wirginii, powiadomimy policję federalną.

- Nie musisz mi mówić, że tego byś nie chciał. Zaczynam czytać w twoich myślach, kapitanie.

- Lubię kończyć to, co zacząłem - przysunął leniwie do siebie jej notatnik i zaczął

czytać. Jego wargi zadrgały - znowu bawisz się w Nancy Drew?

- Nie nosisz odznaki, Skimmerhorn. Czyli jesteś Joe Hardym. Puścił to mimo uszu. Jej diagramy obudziły jego zainteresowanie.

U góry kartki widniał napis „Przedsiębiorstwo przesyłkowe Premium”, od którego rozchodziły się kreski. Na końcu jednej z nich umieszczała imię Portera. Pod drugą znajdował się znak zapytania. Pod nim - lista przedmiotów, które miał wysłać Flowers. Pod Porterem napisała nazwiska wszystkich, którzy kupili coś na aukcji i nazwy przedmiotów, które nabyli. Kolejna linia łączyła jej nazwisko z nazwiskiem pani Lyle.

- Co to ma być, Nancy?

- To taka teoria - zeszytniała, słysząc jego ton. - Właściwie to mam' ich dwie. Pierwsza to ta, że DiCarlo został przechytrzony. Ktoś, komu powierzył swoje skarby, dał nogę i wysłał je do Wirginii.

- Motyw?

- Nie znam go - westchnęła i wzięła swoją kawę.

- Może jakiś niezadowolony fagas, odrzucona kobieta, a może po prostu niefortunny urzędnik, który coś pomylił.

- Być może, gdyby ten niezadowolony fagas czy odrzucona kobieta zatrzymali część łupu. I nawet niefortunny urzędnik miałby problemy z wysłaniem towaru na jakąś sympatyczną aukcję w Wirginii, gdzie DiCarlo nie ma prawdopodobnie żadnych powiązań.

- Z tego, co wiesz, wynika, że DiCarlo mógł od lat wykorzystywać dom aukcyjny Portera jako przykrywkę dla swoich machlojek. - Odrzuciła włosy i spojrzała na niego wilkiem. - Pewnie masz lepszy pomysł?

- Owszem. Ale najpierw rzućmy okiem na numer dwa - uśmiechnął się do siebie z rozbawieniem. Postukał palcem w diagram.

- Co tu masz?

- Nie muszę wysłuchiwać twoich przemądrzałych kpin, Skimmerhorn.

- Wytrzymaj przez chwilę - uniósł jej dłoń do ust, skubnął kostki jej palców - tylko przez chwilę.

- No, cóż, wydaje się oczywiste, że były dwie przesyłki. Jedna z towarami z wyprzedaży, druga z przemytem. Ponieważ zgodziliśmy się, że DiCarlo musiałby być kretynek, żeby wysłać skarby do Wirginii, gdzie zostałyby wystawione na licytację, wydaje się logiczne, że te przesyłki zostały zamienione.

- Mów dalej - zachęcił ją. - Zaraz zasłużysz na odznakę.

- A ponieważ oba pokwitowania pochodzą z Premium, należy się spodziewać, że to

tam zamieniono przesyłki.

- Nieźle, Nancy - spojrzął na nią z zadowoleniem, wyjął parę banknotów i położył je na stole. - Sprawdźmy teraz Queens.

- Zaraz - złapała go dopiero przy drzwiach. - Chcesz powiedzieć, że mam rację?

- Mówię, że musimy to sprawdzić.

- Nie, to za mało - stanęła w przejściu, blokując mu drogę. - Spójrz mi w oczy, Skimmerhorn, i powiedz, że mam rację.

- Masz rację. Wydała okrzyk tryumfu i sama otworzyła drzwi.

- To na co czekamy?

\* \* \*

- Wiesz co - powiedziała Dora, kiedy od piętnastu minut czekali w biurze Billa Tarkingtona. - Właściwie zawód policjanta jest nudny.

- Chcesz się poddać, Conroy? Oparła brodę na rękę.

- Czy to tym zajmowałeś się przez te wszystkie lata? Siedział tyłem do niej, obserwując pasy transmisyjne i pracowników.

- Nie potrafiłbym policzyć, ile godzin spędziłem na czekaniu. Ziewnęła szeroko.

- To chyba uczy cierpliwości.

- Nie. Niekoniecznie. Godziny nudy mieszają się z chwilami przerażenia, a to uczy cię zawsze trzymać rękę na pulsie.

Ze swego miejsca widziała jego profil. Był z nią tylko częścią swojej osobowości, wiedziała o tym. Druga część była tam, dokąd nigdy nie pozwalał jej wejść.

- Jak pokonujesz przerażenie?

- Rozpoznając je i akceptując.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że się boisz - mruknęła.

- Mówiłem ci, że mnie nie znasz. To chyba on. Tarkington wyłonił się zza drzwi z radosnym uśmiechem na ustach.

- Pan Skimmerhorn? - potrząsnął entuzjastycznie dłonią Jeda. - I panna Conroy. Przepraszam, że kazałem państwu czekać. Może kawy? A pączusia? Albo maślane ciasteczko.

Zanim Jed zdążył otworzyć usta, Dora uśmiechnęła się do Tarkingtona.

- Mam wielką ochotę na kawę.

- Zaraz ją pani podam.

Tarkington, szczęśliwy, że może w czymś usłużyć swoim gościom, nalał kawy do

trzech kubków. Dora posłała Jedowi chytre spojrzenie.

- Wiemy, że jest pan zajęty. Mam nadzieję, że nie zabierzemy panu zbyt wiele czasu.

- Proszę się tym nie martwić. Dla klienta mam zawsze czas, o tak. Śmietanki? Cukru?

- Dziękuję, nie - powiedział Jed, patrząc z lekkim obrzydzeniem na strugę cukru, sypiącego się do jednego z kubków.

- A więc - Tarkington podał im kubki i pociągnął łyk swojej słodkiej jak syrop kawy. - Mielicie państwo jakieś pytanie odnośnie do wysyłania paczek, tak?

- Właśnie - Jed sięgnął do kieszeni i odczytał numery faktur przewozowych, które otrzymał od Flowersa. - Paczka wysłana z tej instytucji siedemnastego grudnia przez Franklina Flowersa na adres Shermana Portera, Front Royal, Wirginia. Numer ASB - 54467.

- Świetnie - Tarkington usadowił się za biurkiem. - Zaraz to znajdziemy. A w czym właściwie jest problem?

- Towar, który stąd wyszedł, nie jest tym, który został otrzymany.

Palce Tarkingtona cofnęły się z klawiszy komputera. Jego twarz przybrała zboląły wyraz, jakby cierpiał z powodu wiatrów.

- O Jezuniu, znowu to samo.

- Mielicie już takie przypadki? - chciał wiedzieć Jed. Tarkington zaczął stukać w klawisze komputera.

- Zapewniam pana, panie Skimmerhorn, że reputacja Premium jest bez skazy. Mogę tylko powiedzieć, że w tym roku okres świąteczny był dla nas wyjątkowo ciężki. Siedemnastego grudnia, powiada pan - jego małe oczka zabłysły. - Może to to!

- Co?

- Mieliliśmy już skargę dotyczącą paczki, wysłanej tego samego dnia. Tamten klient był bardzo zdenerwowany, proszę mi wierzyć. Nie tak cierpliwy jak pan i panna Conroy.

- DiCarlo - wyrwało się Dorze.

Zanim Jed zdążył zareagować, na ustach Tarkingtona zabłysnął uśmiech.

- Dokładniusięko. Znacie go?

- Zostaliśmy sobie przedstawieni - uśmiechnęła się Dora bez troski.

- Czyż to nie zbieg okoliczności? - Tarkington pokręcił głową nad osobliwością tego świata i radośnie zastukał w klawisze. - Spadł mi ciężar z tego biednego starego serca, proszę mi wierzyć. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby zlokalizować miejsce pobytu własności pana DiCarla, i teraz wydaje się prawdopodobne, że dwie przesyłki zostały opatrzone fałszywymi adresami i skierowane w niewłaściwym kierunku. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale teraz naprawienie tego galimatiasu stało się łatwe jak bułka z masłem. Natychmiast

skontaktuję się z panem DiCarlo.

- Zajmiemy się tym - Jed spojrział Tarkingtonowi przez ramię na ekran komputera i zanotował nazwisko urzędniczki, która wysłała paczkę.

- To zaoszczędzi mi przykrych chwil - siorbnął kawę i mrugnął, dając do zrozumienia Dorze i Jedowi, że mieli doprawdy dużo szczęścia.

- Oczywiście zwrócimy zarówno państwu, jak i panu DiCarlo wszystkie koszty związane z nadaniem paczek.

- Znakomicie.

- Miałam rację - powiedziała Dora pod nosem, kiedy wychodzili.

- Później padniemy sobie w ramiona. - Jed podszedł do najbliższej pracownicy i zapytał: - gdzie jest Johnson?

- Opal? - kobieta skinęła głową w kierunku sąsiedniego pasa transmisyjnego. - Tam. Linia szósta.

- Co teraz? - chciała wiedzieć Dora.

- Teraz sprawdzamy różne nudne szczegóły.

Dorze nie wydawały się one nudne. Zwłaszcza, kiedy usiedli razem z Opal w pracowniczej stołówce i wysłuchali jej historii. Ponieważ wydawało się, że Dora jest wyraźnie zafascynowana i pełna współczucia, Jed usiadł wygodnie, wyjął papierosa i pozwolił jej odgrywać dobrego policjanta.

Nie zamierzał jej tego mówić, ale była do tego stworzona.

- Możesz w to uwierzyć? - drżała jeszcze z podniecenia, kiedy szli przez parking. - Upuszcza kilka faktur, a w efekcie przemycany Monet trafia do naszych rąk - uśmiechnęła się, kiedy Jed otwierał samochód. - Może jednak podoba mi się zawód policjanta.

- Lepiej zostań przy swoich starociach - doradził jej Jed.

- Mógłbyś przynajmniej powiedzieć, że dobrze się spisałam.

- Dobrze się spisałaś. Tylko nie zacznij zadzierać nosa.

- Nie zadzierałam nosa - zdjęła buty. - Ale teraz wiemy, jak, kto i dlaczego. Teraz musimy tylko znaleźć DiCarla.

- Zostaw to dużym chłopcom, koteczku.

- Chcesz się wycofać? - osłupienie aż biło od niej. - Teraz?

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że pora, żebyś ty się wycofała.

- Nie zrobisz beze mnie ani kroku, Skimmerhorn. Gdybym nie kupiła trefnego towaru i nie znalazła się w samym środku tego szaleństwa, nadal byś machał hantlami i siedział nabzdyczony w swoim pokoju.



- Mam ci za to dziękować?

- Jeszcze mi podziękujesz. Jak ci wróci rozum - westchnęła z ulgą i uśmiechnęła się. -  
Na pewno nie chcesz zaprosić mnie do tego drogiego hotelu?

- Już się napatrzyłem Nowego Jorku, dziękuję.

Musiał jeszcze coś sprawdzić. Ekran komputera Billa Tarkingtona okazał się krynica wiedzy. Dostarczył też informacji o adresacie, do którego miała dojść nielegalna przesyłka DiCarla. O Ablu Winesapie z E. F. Incorporated w Los Angeles.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Mroźne powietrze nie powstrzymało Finleya od dopełnienia porannego rytuału. Codziennie, bez względu na pogodę, przepływał pięćdziesiąt długości w swoim basenie w kształcie klepsydry przy dźwiękach muzyki Vivaldiego, sączącej się z ukrytych w krzewach jaśminu głośników. Była to kwestia dyscypliny. Oczywiście woda była przyjemnie ogrzana do temperatury osiemdziesięciu trzech stopni Fahrenheita\* - dokładnie.

Prując ciepłą wodę mocnymi, pewnymi ruchami ramion, widział cienkie smużki pary, unoszące się w chłodnym zimowym powietrzu. Liczył, ile razy przemierzył basen, za każdym obrotem czując więcej pewności siebie i satysfakcji.

Basen należał do niego, wyłącznie do niego. Finley nie pozwalał, by jakiś służący, towarzysz czy gość mącił jego wody.

Kiedyś, gdy zażywał kąpieli, wdarła się tu pewna nie całkiem trzeźwa znajoma. Następnego dnia Finley kazał spuścić z basenu wodę, oczyścić go i na nowo napełnić. Nie trzeba chyba dodawać, że nieszczęsny gość nigdy nie otrzymał już zaproszenia.

Finley stanął pionowo w basenie, rozkoszując się wodą opływającą jego ciało. Czuł gęsią skórkę, kiedy wyszedł na brzeg po szerokich, kręconych schodach prowadzących na posadzkę z terakoty. Lokaj podał mu śnieżnobiały szlafrok.

- Czas? - rzucił, wycierając się szybko.

- Dwanaście minut i osiemnaście sekund, proszę pana. Lokaj zawsze zatrzymywał stoper dokładnie w tym samym momencie. Kiedyś popełnił błąd i zatrzymał go na nieco ponad trzynastu minutach. Wywołało to brzydką scenę, w wyniku której niemal stracił dobrze płatną pracę. Teraz Finley nigdy nie przekraczał swoich dwunastu minut i osiemnastu sekund.

- Znakomicie - Finley, chytrze uśmiechnięty, przyjął witaminizowany napój - miksturę skomponowaną specjalnie dla niego przez osobistego dietetyka. Nawet w kielichu Waterforda rzadki, paskudnie wyglądający wyciąg z ziół, warzyw i chińskich korzeni smakował ohydnie. Finley przełknął go szybko, jakby pił czystą, świeżą wodę ze źródła młodości. Wmawiał sobie, że tak było naprawdę.

Odprawił lokaja, wręczając mu pusty kieliszek i mokry ręcznik.

Skoro część porannego rytuału miał już za sobą, pozwolił sobie na rozważenie problemu Isadory Conroy. Nie jest to aż tak przykry problem, pomyślał. Nie może przecież zanadto wybrzydzać na zawieranie interesów z młodą, piękną kobietą. Rozważając wszystkie możliwości, wszedł przez francuskie okno do salonu.

---

\*czterdzieści dwa stopnie Celsjusza; przyp. red.

Wziął prysznic, wykonał wokół siebie kilka zabiegów pielęgnacyjnych i ubrał się, przepełniony poczuciem władzy. Smakowite śniadanie, składające się z jednego świeżego owocu, kromki pełnoziarnistego chleba i ziołowej herbatki, spożył na patio, parę kroków od miejsca, w którym zastrzelił DiCarla. Przez cały czas zastanawiał się nad Isadora. Kiedy wreszcie znalazł rozwiązanie, uśmiechnął się, a nawet cicho zachichotał i otarł serwetką usta.

To powinno się sprawdzić, uznał. A jeśli nie - cóż, wtedy po prostu zabije.

\* \* \*

Dora próbowała opanować rozdrażnienie. To zbyt łatwa do przewidzenia reakcja, powiedziała do siebie, zbyt typowa. Każda kobieta byłaby zła, gdyby obudziła się rankiem sama w łóżku, nie mając pojęcia, gdzie podział się jej kochanek ani kiedy wróci.

Nie jestem każdą kobietą, upomniała się Dora. I nie będę zła, nie będę nawet leciutko rozdrażniona. Każde z nas może chodzić, dokąd mu się podoba. Nawet go nie zapytam, gdzie się, u diabła, włóczył.

Ale kiedy usłyszała pukanie do drzwi, obciągnęła bluzę od dresu, uniosła podbródek i pomaszzerowała do salonu.

- No dobra, Skimmerhorn - mruknęła. - Lepiej, żeby to była dobra wymówka.

Otworzyła gwałtownie drzwi, bliska wybuchu. Musiała go powściągnąć, bo przed nią stała Honoria Skimmerhorn Rodgers.

- Och - Dora uniosła rękę do włosów, nieporządnie zebranych, na czubku głowy. - Pani Rodgers. Dzień dobry.

- Dzień dobry, Doro - Honoria nie zdradziła nawet drgnieniem powieki rozbawienia, z jakim obserwowała zmieniający się wyraz twarzy Dory. Furia, wstrząs, zakłopotanie.

- Przyszłam nie w porę?

- Nie. Nie. Ja tylko... - Dora powstrzymała nerwowy chichot i uśmiechnęła się. - Jeśli szuka pani Jeda, to chyba go tu nie ma.

- Właściwie chciałam zamienić z tobą słówko. Mogę wejść?

- Oczywiście - Dora ustąpiła jej z drogi, rozpaczliwie żałując, że nie otworzyła dziś sklepu i nie była ubrana wyjściowo. Stojąc w dresie Steelersa, boso, czuła się jak łachmaniarz, zwłaszcza że Honoria wpłynęła do mieszkania pachnąca paryskimi perfumami i otulona w luksusową narzutkę z norek.

- Jakie to urocze! - szczerzy zachwyty dźwięczący w głosie Honorii pomógł Dorze podnieść się z klęczek. - Zupełnie urocze - omiotła pokój aprobującym spojrzeniem i zdjęła rękawiczki. - Muszę ci się przyznać, że zawsze się zastanawiałam, jak wyglądają te

mieszkania na South Street. Jest duże, prawda?

- Potrzebuję dużo miejsca. Czy mogę wziąć pani okrycie?

- Tak, dziękuję.

Kiedy Dora wieszala norki, Honoria przechadzała się po pokoju.

- Zajrzałam do twojego sklepu. Byłam zawiedziona, kiedy okazało się, że jest zamknięty. Ale to - przesunęła palcem po płynnych, kobiecych liniach lampy w stylu Art Deco - wynagradza mi wszystko.

- Jedną z najlepszych stron handlu jest to, że mogę trzymać mój towar tak długo, jak mi się spodoba. Czy mogę podać pani kawę lub herbatę?

- Chętnie wypiję trochę kawy, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Najmniejszego. Proszę usiąść, czuć się jak u siebie.

- Dziękuję. Tak właśnie zrobię.

Honoria nie uważała, że jest wścibska. Była po prostu ciekawa. Na tyle ciekawa, by przyjrzeć się z aprobatą widokowi na gwarną i barwną, South Street rozciągającego się z wysokich okien salonu Dory. Podobało jej się też umeblowanie mieszkania - ciepłego i przytulnego, uznała, a jednocześnie eklektycznego i troszkę teatralnego. Ale pokój bardzo się jej spodobał - doskonale odbicie osobowości Dory.

Ta dziewczyna się nadaje, pomyślała i podniosła szylkretową łyżeczkę do herbaty, by przyjrzeć się jej z podziwem. Ta dziewczyna nadaje się, bardzo się nadaje.

- Proszę - Dora postawiła na stole tacę z imbrykiem Fiesty i filiżankami. Marzyła, żeby móc znaleźć jakiś taktowny wybieg i wpaść do łazienki, by umalować usta. - Siądziemy tutaj?

- Chętnie. Pozwolisz, że zrobię na to miejsce na stole. Co za cudowny aromat. Żytnie ciasteczka? - Jej oczy zabłyśły. - Cudownie.

- Zawsze je trzymam w kuchni - prawdziwa radość Honorii sprawiła, że Dora znów odetchnęła. - Jest w nich coś bardzo cywilizowanego.

Honoria roześmiała się i usiadła.

- To bardzo uprzejmie, że nie pytasz, dlaczego o dziewiątej rano stukam do twoich drzwi. - Honoria pociągnęła łyk kawy, zamilkła i napiła się znowu. - Zupełnie wyjątkowa.

- Cieszę się, że pani smakuje - Dora odczekała, aż Honoria położy kroplę jeżynowej galaretki na ciastku. - Właściwie z trudem powstrzymuję się, aby nie zapytać panią o obraz.

- Dobrze - Honoria pottrzymała przez chwilę ciasteczko w ustach przełknęła je z lekkim westchnieniem. - Kochanie, moja matka byłaby tobą zachwycona. Od jej śmierci nie jadłam takich ciastek. - Chętnie przekażę przepis na nie pani kucharzowi. - Będę bardzo wdzięczna.

A więc - usiadła wygodniej, trzymając Filiżankę i spodeczek z pełną gracji wprawą, której nabywają tylko kobiety pewnej klasy. - Uważam, że mogłybyśmy wymienić się informacjami. - Tak? Chyba nie rozumiem.

- Mój wnuk prosi mnie, żebym przechowała w moim domu pewien obraz, a także abym pozwoliła jego starej przyjaciółce nad nim po pracować. Mam to robić, zachowując najściślejszą tajemnicę i pod ochroną policji. - Uśmiechnęła się i skłoniła głowę. - Oczywiście tej prośbie nie towarzyszą żadne wyjaśnienia. - Oczywiście - Dora odpowiedziała uśmiechem i pochyliła się do przodu. - Proszę mi powiedzieć, pani Rodgers, dlaczego my mu ulegamy?

- Mów do mnie Ria, mój mąż mnie tak nazywał. Ulegamy mu, moja droga, bo za bardzo nam na nim zależy, abyśmy tego nie robiły - chwila pauzy. - Mam rację? - Tak. Tak, zupełną. Ale to nie znaczy, że on ma rację. - Wcześniejsze rozdrażnienie Dory wróciło z dawną siłą. - Powiem ci o wszystkim, co jest mi wiadome, Rio, a ty powiesz mi, jakie są rezultaty badań. - Dokładnie to miałam na myśli.

Dora zaczęła od samego początku. Jed mógł znaleźć kilka rozsądnych przyczyn, dla których lepiej było oszczędzić Honoru świadomości tego, co się właściwie działo i towarzyszącej jej troski. A jednak doszła do wniosku, że i tak babka Jeda była już uwikłana przez niego w to wszystko, i to z premedytacją. Pomagała mu tylko z uprzejmości. Honoria słuchała jej, nie przerywając. Popijała kawę małymi łyżkami, a to, co czuła, dawało się odczytać tylko z ciemniejących oczu, zaciskających się warg i unoszącej się czasami brwi o pięknym rysunku. Było w tym wiele temperamentu, ale również dobrego wychowania. To od niej, pomyślała, Jed nauczył się panować nad sobą.

- To musiało być dla ciebie straszne - powiedziała na koniec Ho - noria. - Najgorszy był wypadek pani Lyle. Bez względu na to, co mówi Jed, czuję się za to odpowiedzialna.

- Oczywiście, że tak - powiedziała to z całym przekonaniem, co sprawiło Dorze ulgę większą niż tuzin grzecznych protestów. - Nie byłabyś sobą, gdybyś się tak nie czuła. Ten DiCarlo... - Honoria wymówiła nazwisko z pełnym kultury niesmakiem. - Czy policja ma jakiegokolwiek pojęcie, gdzie może się ukrywać?

- Nie sądzę - Dora uniosła ręce w geście pełnym rozdrażnienia, po czym pozwoliła im opaść. - A jeśli wiedzą, nie uznali za stosowne powiadomić mnie o tym.

- Jak zwykle mężczyźni. Uważam, że to zaczęło się w czasach, kiedy musieli wyjść z jaskiń, żeby polować za pomocą kijów i kamieni. Myśliwi - powiedziała to z uśmiechem, z pewnym chłodnym pobłażaniem, które Dora przyjęła z zachwytem. - Oczywiście kobiety były pozostawiane w jaskiniach, by rodzić w brudzie i ciemnościach, by piec mięso na ogniu podtrzymywanym nawozem i wyprawiać skóry. Ale mężczyźni i tak uważają, że są najlepsi.

- Jed nie powiedział mi jeszcze, co ma się stać z obrazem.

- A widzisz? - Honoria zadowolona, że jej teoria znalazła potwierdzenie, naląła kawy sobie, a potem Dorze. - Chciałabym móc ci powiedzieć, jakie są jego plany, ale on również nie uznał za stosowne wtajemniczyć mnie w nie. Ale za to mogę ci opowiedzieć o samym obrazie. Jest olśniewający.

Jej twarz rozjaśniła się z emocji.

- Choć trzeba jeszcze przeprowadzić testy, nie ma wątpliwości co do jego autentyczności. Ja nie mam żadnych wątpliwości. To jedno ze studiów lilii wodnych, bez wątpienia namalowane w Giverny - jej oczy zasnuły się mgiełką rozmarzenia. Głos stał się miękki, jakby mówiła o kochanku - ach, to światło, ulotne i liryczne. Ta subtelna, uwodzicielska siła, która wciąga cię do środka obrazu, każe ci wierzyć, że czujesz zapach mokrych kwiatów i stojącej wody. - Jej spojrzenie wyostrzyło się. - W tej serii powstało ponad siedemnaście obrazów.

- Wiem. Tak się składa, że to mój ulubiony impresjonista. Nigdy nie sądziłam, że stanę się właścicielką jednego z jego obrazów, choćby przelotnie.

- Ja mam jeden. To prezent od mojego męża na naszą dziesiątą rocznicę. Jedno ze studiów ogrodu. Kiedy wiszą obok siebie, ich widok zapiera dech w piersiach. Zanim policja go zabrała, stanęłam w mojej sypialni, spojrzałam na nie oba i rozplakałam się. Chciałabym móc wierzyć, że DiCarlo ukradł go ze względu na jego urodę, a nie na cenę. To uczyniłoby niemal wszystko zrozumiałym.

- Myślisz, że pozwolił mi na niego spojrzeć? - pozałała się Dora. - Przecież to ja go kupiłam. Ale nie, budzę się dziś rano, a łóżko jest puste. Jed gdzieś wyszedł i czy powiedział mi, gdzie będzie lub co zamierza zrobić? Nie. Nawet nie zostawił kartki na drzwiach lodówki. Zdaje mi się... - przerwała przerażona. Mówiła do babki Jeda. Jego babki. - Bardzo przepraszam - wyjąkała.

- Nic nie szkodzi - na potwierdzenie swoich słów Honoria odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. - Och, zupełnie nie szkodzi. Jestem zachwycona. Mam nadzieję, moja droga, że kiedy wróci, zrobisz mu prawdziwe piekło. Zawsze potrzebował, żeby zrobił mu je ktoś, kto go kocha. Bóg jeden wie, ile razy musiał ścierpieć je ze strony tych, którzy go nie kochali. To nie to samo, rozumiesz.

- Chyba tak - zakłopotanie minęło niemal całkowicie, ale rumieniec pozostał. - Pani Rodgers... Rio, nie chciałabym, żebyś pomyślała, że zawsze angażuję się w związki z moimi lokatorami.

- Ciągle myślisz, że jestem zgorszona - reakcja Dory spodobała się Honorii.

Uśmiechnęła się i sięgnęła po drugie ciastko. - Powiem ci, dlaczego poślubiłam dziadka Jeda, dobrze? Był niewiarygodnie przystojny, bardzo silny, jasnowłosy i szalenie podniecający. Innym słowy, byłam na niego napalona.

Skubnęła delikatnie ciasteczko, patrząc na Dorę z rozbawieniem.

- Na szczęście Jed odziedziczył wiele fizycznych cech swojego dziadka i żadnej psychicznej. Walter Skimmerhorn był człowiekiem zimnym, często okrutnym i nieustająco nudnym. Każda z tych cech jest niewybaczalną wadą u męża. Zrozumiałam swój błąd w pierwszym roku małżeństwa. Ale, ku mojemu strapieniu, naprawienie go zajęło mi o wiele więcej czasu.

A gorzkie wspomnienia wciąż były w niej żywe.

- Ty, z drugiej strony - ciągnęła Honoria - już rozumiałaś, że mój wnuk przedstawia sobą o wiele, wiele więcej niż wspaniałe ciało. Gdybym miała udzielić porady w tych sprawach dzisiejszej młodzieży, brzmiałaby ona następująco: żyjcie ze sobą, co ty i Jed właśnie robicie, zanim weźmiecie ślub.

- My nie... - serce Dory zatrzepotało, ku jej niezadowoleniu, ze zdecydowanie kobiecą nadzieją. - Mam nadzieję, że nie dałam ci do zrozumienia, iż myślimy o ślubie.

- Ależ nie - powiedziała Honoria lekko. Poddając się sentymentalnym uczuciom, wyobraziła sobie, jak piękne prawnuczęta daliby jej Jed i Dora. - Jed mówił mi, że twoi rodzice pracują w Liberty Theater. Bardzo podobało mi się wiele ich przedstawień. Mam nadzieję, że uda mi się ich poznać.

- Och... - zanim Dora zdołała odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. - Przepraszam na chwilę.

Bardziej niż poruszona napomknięciem o małżeństwie i delikatnym wspomnieniem o jej rodzinie, otworzyła drzwi. Na korytarzu stał Jed. Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem, od bosych stóp po rozczochraną fryzurę. Dora wyglądała nieporządnie i seksownie, a w dodatku była rozkosznie zarumieniona.

- Conroy - przyciągnął ją ku sobie, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem. - Masz coś pod tym?

- Skimmerhorn - jej rumieniec stał się boleśnie różowy. - Twoja...

- Sam sprawdzę - podniósł ją i, znowu zaczynając ją całować, wniósł do mieszkania.

Rozpaczliwie zakłopotana, uderzyła go w pierś.

- Skimmerhorn - wydarła się jego pocałunkom i odetchnęła głęboko. - Lepiej mnie postaw i przywitaj się z babką.

- Co?

- Dzień dobry, Jedydiaszu - Honoria otarła palce płócienną serwetką. - Dora i ja piłyśmy sobie kawę. Może chciałbyś się przyłączyć?

- Babciu - trzeba przyznać, że powiedział to swobodnie, choć postawił Dorę na ziemi dość gwałtownie. - Czekasz na mnie?

- Wcale nie. Wpadłam z przyjacielską wizytą - zerknęła na Dorę, spieszącą z dodatkową filiżanką i spodeczkiem. - Dora i ja wymieniałyśmy uwagi o Monecie. Tak się składa, że obie go bardzo lubimy.

- Teraz to sprawa policji.

- Więc gdzie twoja odznaka, Skimmerhorn? - zagadnęła słodko Dora i nalała kawy do jego filiżanki.

- Zamknij się, Conroy.

- To moja wina, że ma takie maniery - wyjaśniła Honoria. - Mam nadzieję, że mu to wybaczysz.

- Nic sobie z tego nie rób - powiedziała Dora. - Tak, jak ja. Jedydiaszu - zwróciła się do niego, z uciechą patrząc, jak wyszczerzył na nią zęby. - Twoja babka i ja chciałybyśmy wiedzieć, co zrobiono z Monetem.

Wydawało się prościej rzucić im coś, niż walczyć z obydwoma.

- Dziś rano powiadomiliśmy... Brent powiadomił komisarza Rikera o tym wszystkim - poprawił się. - Na jakiś czas wszystko jest objęte tajemnicą.

- Ach tak - powiedziała Honoria. - Więc wszystko odbyło się ponad tym kapuścianym głąbem, Goldmanem. Bardzo mądrze. Ten człowiek to kompletny jołop i zupełnie nie nadaje się na dowódcę.

- Czy to opinia profesjonalisty, babciu? - chciał wiedzieć Jed. W odpowiedzi otrzymał spojrzenie, pod którym zaczerwienił się jakuczniak.

- Wiesz, Doro - ciągnęła Honoria - popełniłam ten błąd, że nigdy do końca nie zaakceptowałam zawodu, jaki wybrał Jed, dopóki nie wystąpił z policji. Boję się, że nie dość wcześniej powiedziałam mu, jak bardzo jestem z niego dumna.

- Na to zawsze jest czas - powiedziała Dora.

- Masz bardzo rozwinięty zmysł współczucia - Honoria wstała, zadowolona z dokonań tego ranka. - Tego mu potrzeba. Bardzo dziękuję za kawę. Mam nadzieję, że będę mogła jeszcze wpaść.

- W każdej chwili - Dora uścisnęła dłoń Honorii i zrobiła to, czego zaniedbał zrobić Jed. Ucałowała policzek starszej pani. - Przyniosę twoje okrycie.

- Za chwilę mam spotkanie - Honoria zaczęła wkładać rękawiczki. - Dlatego nie zdążę



obejrzeć twojego mieszkania.

- Nie ma tam nic do oglądania - powiedział Jed sucho. Ale wziął od Dory narzutkę i pomógł babce ją włożyć. - Dziękuję, że mi pomogłaś.

Pochylił się i pocałował ją, mimo iż czuł się skrępowany obecnością Dory.

- A byłbym jeszcze bardziej wdzięczny, gdybyś o tym zapomniała. Uśmiechnęła się tylko.

- Chciałabym wkrótce zaprosić Dorę na kolację. Zadzwoń, to się umówimy. Jeszcze raz dziękuję, moja droga - zwróciła się do Dory. - Wrócę, kiedy otworzysz sklep. Jest tam na wystawie pewna rzecz - łowczyni z brązu.

- Tak, pamiętam.

- Jestem nią bardzo zainteresowana - mrugnęła do Dory i opuściła mieszkanie.

- Co za wspaniała osoba.

- Czego chciała?

- Podstawowych informacji - Dora uniosła tacę, po czym odstawiła ją z hałasem, gdy Jed złapał ją za ramię.

- Gdybym chciał ją o czymś informować - zaczął, z trudem powstrzymując wściekłość - zrobiłbym to.

- Wplątałeś w to Rię, kiedy przyszedłeś do niej z obrazem. Przykro mi, że jesteś zły, ale kiedy zwróciła się wprost do mnie, udzieliłam jej odpowiedzi.

- Cholera - jej chłodna szczerłość była jak szpilka, która przekłuła balon jego furii. - Wiesz, jak się gimnastykujemy, żeby utrzymać to w tajemnicy?

- Chyba wiem - uniosła brew. - Myślisz, że babunia poleci z tym do gazet?

Usta mu zadrgały, kiedy nazwała jego nieskazitelnie szykowną Honorię babunią.

- Im mniej osób zna szczegóły, tym lepiej.

- Włącznie ze mną - wzięła wreszcie tacę i odmaszerowała z nią do kuchni. - To dlatego budzę się sama w łóżku, bez słowa wyjaśnienia, gdzie jesteś i co robisz.

- Przestań. O czym ty mówisz, do diabła?

- O niczym - jej głos był cichy i pełen wściekłości. Zaczęła przekładać naczynia do zlewu. - Zupełnie o niczym. Ruszaj z gołymi rękami na niedźwiedzie, no, jazda!

- Conroy - rozdarty między rozbawieniem a desperacją, oparł się o framugę drzwi. - Wściekłaś się, bo wyszedłem?

- A skąd? - odwróciła się do niego ze spojrzeniem pełnym bolesnego gniewu. - Przyzwyczaiałam się do samotnych poranków.

- Cholera - przeciągnął dłonią po twarzy, zbity z tropu - słuchaj, obudziłem się

wcześniej. Nie chciałem cię budzić... - przypomniał sobie, jak wyglądała, skulona w kłębek, z włosami rozsypanymi po poduszce. Owszem, chciałem ją obudzić, pomyślał. Ale nie po to, żeby jej powiedzieć, że wychodzi, pomyślał. - Poszedłem na siłownię, zjadłem śniadanie z Brentem. Mieliśmy obgadać pewne sprawy.

- Czy ja cię proszę, żebyś się tłumaczył? - jej głos był zimny, ale pod chłodem kryła się wściekłość.

- Tak - poszedł za nią do salonu. - Owszem.

- Och, daj spokój - przejęta niesmakiem z własnego powodu, potarła nos palcem wskazującym i kciukiem.

- Naprawdę muszę zaspokoić ciekawość. Co kobiety noszą pod takimi wielkimi bluzami? - Podniósł ją znowu i zaczął pieścić jej kark w drodze do sypialni.

- Nic ważnego. Właściwie... - roześmiała się, gdy padli na łóżko jak dokazujące dzieci.

- Właściwie to nic.

- Na ramieniu masz dziurę.

- Wiem. Byłam chora z przerażenia, kiedy twoja babka mnie zaskoczyła.

- I plamę - przesunął palcem między jej piersiami - tutaj.

- Prawdziwy, żywy burgund. Pochlapałam się, kiedy robiłam lazanie - westchnęła i przeczesła włosy palcami. - Chciałam przeznaczyć ten łach na szmatki, ale... - zachłysnęła się, oszołomiona, kiedy Jed rozdarł bluzę na dwie części.

- To chyba załatwia sprawę - zanim zdecydowała się, czy się roześmiać czy zacząć mu wymyślać, przesunął ustami po jej piersi i obudził w niej nagłą i łakomą żądzę. - Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, miałem ochotę podrzeć na tobie ubranie.

- Przecież... - oszołomiona i podniecona, odetchnęła gwałtownie, gdy jego dłonie sięgnęły władczo poniżej jej talii - w pierwszej chwili zamknąłeś mi drzwi przed nosem.

- Wtedy wydawało mi się to najbardziej sensowną rzeczą. - Jednym potężnym szarpnięciem rozerwał jej spodnie. - Być może nie miałem racji.

Odchylił się, przytrzymując jej dłonie swoimi. Promienie słońca wpadały przez rozsunięte zasłony, oświetlając jasno jej twarz, skórę i włosy. Ubranie leżało w strzępach na posłaniu. Czuł się jak wojownik nad wojenną zdobyczą.

Jej ciało, podniecone, podniecające, drżało jakby przesuwano się po nim jego ręce, a nie spojrzenie. Jej piersi były małe, twarde, białe jak mleko, z kusząco sterczącymi sutkami.

Pochylił się i przesunął po każdym różowym pęczku, aż jej oddech przyspieszył i stał się płytki, a jej ciało napięło się jak cięciwa luku. Tętno, które czuł w jej nadgarstkach, zaczęło uderzać mocno niczym uderzenia małego bębna.

- Chcę na ciebie patrzeć - jego głos stał się ochryply, gdy puścił jej rękę i wsunął dłoń pomiędzy jej uda. Od jedwabiu do aksamitu, od aksamitu do mokrego atłasu.

Orgazm wystrzelił w niej jak raca, szybko, ostro. Jej ciało wstrząsnęło się jak od uderzenia. Krzyknęła.

- Nigdy nie mam dość - szepnął. Zaskoczyło go, że mógł odetchnąć. Patrzenie na poddającą się rozkoszy Dorę miało w sobie niemożliwy do określenia erotyzm, było nad wyraz pociągające. Zatracała się w niej bez reszty i rozstawała się z nią bez żalu. Jej umiejętność brania i dawania uczucia była absolutnie uczciwa i nieodparta.

Dlatego, zrywając z siebie ubranie, obserwował jej twarz, na której pojawiały się kolejne uczucia.

Musiał na nią patrzeć, widzieć każde drgnienie i spazm na jej twarzy. Ukląkł, uniósł jej biodra, powoli przyciągnął ją ku sobie, powoli wszedł w nią.

Dźwięk, który wydarł się jej z gardła, był chrapliwy i jakby koci. Nie odrywał wzroku od twarzy, nawet kiedy ostrość widzenia rozmasała się i opuściła go świadomość.

\* \* \*

- Jestem ci winien górę od dresu. - Jed włożył Dorze przez głowę własną bluzę.

Dora przyjrzała się jej.

- Ta jest w jeszcze gorszym stanie niż moja. Ale i nie rozstałaby się z nią nawet za cenę złota.

- Poza tym jesteś mi winien również dół od dresu.

- Mój nie pasowałby na ciebie - włożył spodnie i stanął, patrząc na nią, siedzącą na brzegu łóżka. Wyciągnął rękę i owinał sobie na palcu kosmyk jej włosów. - Powinniśmy rozpalic ogień i spędzić cały ranek w łóżku, patrząc na telewizję.

Przechyliła głowę.

- To brzmi niewiarygodnie kusząco, Skimmerhorn. Jak sądzisz, dlaczego mam takie dziwne wrażenie, jakbyś usiłował mnie usunąć z drogi?

- Z czyjej drogi? - Z twojej.

- Jak mogę chcieć cię usunąć sobie z drogi, skoro zamierzam spędzić maksymalnie dużo czasu na tobie?

- Ty i Brent pracujecie nad czymś i nie chcesz, żebym wiedziała, co to jest.

To, że nie zareagował na jej oskarżenie, zawiodło ją i zrobiło jej ogromną przykrość.

- W porządku - odepchnęła od siebie złe myśli i przesunęła dłonią po zmiętej pościeli.

- Sama się dowiem.

- Jak? Uśmiechnęła się.

- Kiedy znajdę się na tobie, wyduszę to z ciebie.

- Wydusisz? - powstrzymał śmiech. Wytrząsnął z paczki przyplaszczony papierosa.

- Chyba nie myślisz, że po takim oświadczeniu skoncentruję się na Bobie Barkerze albo Vannie White.

- Na Bobie Barkerze? - roześmiała się, zachwycona nim do tego stopnia, że musiała rzucić mu się w ramiona - Bobie Barkerze? Boże, Skimmerhorn, kocham cię.

Zaczęła ciągnąć go za sobą na łóżko i całować bez pamięci, kiedy poczuła, że sztywnieje. Jej serce zaczęło lodowacieć, bardzo powoli, bardzo spokojnie.

- Hurra - zdobyła się na beztroski ton. - Nie powinnam była tego mówić, prawda? Przepraszam - ponieważ ból nadal ją przeszywał, odwróciła się, unikając jego wzroku. - Przypisz to wpływowi atmosfery albo czemu chcesz.

Nie miał pojęcia, czy uda mu się w ogóle poruszyć językiem, ale wreszcie udało mu się wydusić jej imię. - Doro...

- Nie, nie - O Boże, Boże, pomyślała w panice. Zaraz zacznę płakać, jeśli czegoś szybko nie zrobię. - To tylko takie przejęzyczenie, niczym się nie przejmuj.

Zmusiła się, by się uśmiechnąć i odwróciła się do niego. Było tak źle, jak się tego obawiała. Twarz miał nieruchomą, oczy kompletnie bez wyrazu.

- Słuchaj, Skimmerhorn, to słowo na „k” przychodzi mi bardzo łatwo. Moja rodzina rzuca nim na prawo i lewo, jak to zwykle ludzie teatru.

Uniosła znowu rękę, przeczesała nią włosy tym niespokojnym i czarująco kobiecym gestem, który przywykł uwielbiać.

- Więc rozumiesz - jej głos był znowu wesoły, zbyt wesoły. - Może rozpalisz ten ogień? Ja przygotuję jakąś przekąskę i obejrzymy sobie telewizję.

Zrobiła jeden krok, zatrzymała się. Nie poruszył się; powstrzymał ją samą wolą.

- Mówiłaś poważnie, prawda? - powiedział cicho, a jego spojrzenie sprawiło, że nie mogła skłamać.

- Tak - chęć obrony pojawiła się natychmiast. Wyprostowała ramiona, uniosła brodę. - Takie są moje uczucia, Jed, i wiem, jak sobie z nimi radzić. Nie proszę, żebyś się do nich dostosował ani nawet żebyś je zaakceptował, jeśli to dla ciebie za trudne - w jej oczach zaczęły pojawiać się pierwsze ogniki gniewu. - A ponieważ tak ci przykro o nich słyszeć, postaram się nigdy o nich nie wspominać. Nigdy. W porządku?

Nie, na razie nic nie było w porządku. Nie potrafił określić chwili, w której sytuacja między nimi uległa zmianie, tak jak nie potrafił określić własnych uczuć. Ale mógł zrobić

coś, by ustabilizować tę zaczynającą mu zagrażać sytuację.

- Ubierz się - powiedział. - Chcę ci coś pokazać.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pogoda w końcu uległa poprawie. Słońce odbijało się jaskrawo w szybie T - Birda, co dało Dorze pretekst do włożenia ciemnych okularów. Była to marna ochrona, ale Dora czuła się lepiej, jeśli miała się za czym schować.

Jechali na północ Germantown Avenue pod czystym błękitem nieba. Jed prowadził, Dora zabijała czas obserwując pieszych. Temperatura spadła niemal do pięćdziesięciu stopni Fahrenheita, zmuszając ludzi do przybrania żwawego tempa. Przejechali przez centrum, omijając rzeki i szalejący nad nimi zimny wiatr. Zmierzali w stronę Chestnut Hill.

Nie aż tak daleko od South Street, jeśli nie liczyć olbrzymiej przepaści bogactwa i snobizmu.

Odkąd wsiedli do samochodu, nie odezwał się ani słowem. Nie pytała, dokąd jadą. Wiedziała to niemal na pewno. Powody, dla których zabrał ją w tę podróż, wkrótce się wyjaśnią - podobnie jak to, jakie konsekwencje przyniosło jej impulsywne wyznanie miłości.

Zamiast zadreć się tym, co musiało nadejść, postanowiła że będzie podziwiał krajobraz, przepięknie odnowione domy i sklepy, blask kryształu i złota na wystawach, urok bruku pod wielkimi oponami T - Birda.

Drzewa wysoko na wzgórzu były stare i dostojne, domy zadbane i wytworne. Tu można było znaleźć uroki i diamenty, dziedziczone fortuny i wypchane portfele, kluby tylko dla wybranych i dobrze ułożone pieski salonowe. Zastanowiła się przelotnie, jak wyglądało to wszystko w oczach dorastającego chłopca.

Jed skręcił w wąską uliczkę obok ślicznego starego domu w stylu kolonialnym. Cegły miały kolor delikatnego, nasyconego różu, a wykończenia - głębokiego błękitu. Wysokie okna połyskiwały w ostrym świetle dnia, oślepiającymi błyskami broniąc dostępu do swoich tajemnic.

To piękny dom, pomyślała Dora. Pięknie utrzymany, doskonale umiejscowiony i budzący silne skojarzenia z kobiecością - przez swoje wdzięczne kształty i godność. Gdybym szukała domu dla siebie, zdała sobie sprawę, nie mogłabym znaleźć nic lepszego. Wiek, tradycje, położenie - to wszystko pasowało do jej obrazu o idealnym domu rodzinnym.

Wyobraziła sobie, jak róże zasadzone pod wysokimi oknami, toną latem w kwiatach o mrocznych kolorach, które roztaczają kobiecy zapach. A na jesieni wielkie, bujne drzewa zapłoną złotem i szkarłatem. W tej wizji nie zabrakło koronek w oknach i psa na podwórzu.

A ponieważ miała przed oczami tak wyraźny obraz, serce ścisnęło jej boleśnie. Bardzo wątpiła, czy Jed widział ten dom tak jak ona.

Wysiadła bez słowa z samochodu i rozejrzała się. Na wzgórzu docierały tylko niewyraźnie odgłosy miejskiego gwaru. Nie było tu turystów, fotografujących się na tle pomników, łyżworolkowców pędzących po chodnikach, kuszących woni pizzy z delikatesów na rogu. Czy to nie tego mi potrzeba? pomyślała. Hałasu, różnych zapachów i wolności, jaką czuję, gdy mnie otaczają?

- To tu dorastałeś? - spytała.

- Tak. - Poprowadził ją ku drzwiom, ozdobionym przepięknymi szklanymi wstawkami. Otworzył je, odstąpił na bok i wpuścił Dorę do środka.

Foyer było wysokie na dwa piętra, oświetlone wieloramiennym kandelabrem, rzucającym wdzięczne błyski na wielkie dębowe schody. Podłoga wyłożona była wielkimi czarno - białymi marmurowymi płytami. Kiedy stąpała po nich, jej zamszowe botki nie wydawały niemal żadnego odgłosu.

Puste domy mają w sobie coś niezwykle fascynującego. Cisza, odpowiadająca echem, poczucie opuszczenia. Czuje się niezwykłą chęć poznania ludzi, którzy w tym domu mieszkali, przedmiotów, które ich otaczały, a także ochotę na postawienie się w ich sytuacji. Tutaj stałaby moja ukochana lampa, a tu ten mały stoliczek.

Dora czuła teraz tę fascynację, ale pogłębioną jeszcze ciekawością, jak Jed mógł dopasować się do takiej architektury i wystroju wnętrza.

Nie czuła go tutaj. Choć wiedziała, że to, co było w nim najważniejsze, zatrzymało się przed progiem, a ona sama weszła do wnętrza tego domu.

Tapety w maleńkie herbaciane różyczki nosiły na sobie jaśniejsze prostokątne ślady po zdjętych obrazach. To оголоcone foyer domaga się kwiatów, pomyślała Dora. Wysokich flakonów z mnóstwem frezji, lilii o wysokich, nagich łodygach, mierzących w górę niczym włócznie i jakiegoś ładnego, zachęcającego dywanika, który przykryłby zimny marmur i złagodził sztywną oficjalność holu.

Przesunęła dłonią po lśniącej podstawie u stóp balustrady - balustrady, pomyślała, stworzonej dla siedzeń zjeżdżających po niej dzieci lub dla błądzących po niej palców kobiet.

- Zamierzasz go sprzedać.

Obserwował ją uważnie, kiedy przechodziła z foyer do frontowego salonu. Już teraz, przy samym wejściu, jego mięśnie były napięte jak cięciwa łuku. Dora nie myliła się, Jed patrząc na ten dom nie widział sympatycznych dywaników ani przyjemnych kwiatków.

- Jest już wystawiony na sprzedaż. Dom należy do Elaine i mnie, a jej nie odpowiadały oferty, które otrzymaliśmy. Mnie to dokładnie zwisa. - Ponieważ miał ochotę zacisnąć ręce w pięści, włożył je do kieszeni kurtki. - Więc odkąd kupiła sobie własny dom,

mieszkałem tutaj przez pewien czas. - Nie poruszył się, kiedy Dora podeszła do pustego i oczyszczonego kominka. - Ten dom jest mój, a mój agent stara się go sprzedać.

- Rozumiem.

Na gzymsie kominka powinny stać rodzinne fotografie, pomyślała. Tłumy osób pozujących do obiektywu, świętujących narodziny i przemijanie pokoleń. A w środku powinien być stary zegar, cicho odmierzający czas.

Gdzie podziały się masywne świeczniki z wypalonymi do końca świecami? - pomyślała niemal rozpaczliwie. Gdzie są głębokie fotele z małymi podnóżkami, przysunięte w stronę ognia na kominku?

Ogień wypędziłby stąd to zimno, pomyślała, nieświadomie rozcierając ramiona w drodze powrotnej. Tu jest o wiele za zimno.

Znalazła bibliotekę ogołoconą z książek; kolejny salon z widokiem na brukowane patio, które błagało, by ozdobić je kwiatami; jadalnię, wielką i pustą, pozbawioną wszystkiego z wyjątkiem kolejnego kandelabru; i wreszcie kuchnię z uroczym paleniskiem i kaflowym piecem.

To tu powinno być źródło ciepła, pomyślała. Tu, gdzie słońce wpada potopem światła przez okno nad zlewem i pachnie pieczonym chlebem. Ale tutaj także znalazła tylko ziąb i odbijające się echem milczenie nie zamieszkanego i nie chcianego domu.

- Jaki stąd piękny widok - powiedziała, żeby przerwać milczenie. Na podwórku powinna być piaskownica, pomyślała, splatając zeszywniale palce. I huśtawka, zwisająca z konaru wielkiego klonu.

- Nie pozwalano nam tu wchodzić.

- Słucham? - odwróciła się od okna, pewna, że nie zrozumiała.

- Nie pozwalano nam tu wchodzić - powtórzył, wpatrzony tylko w nią, jakby nie zauważał kredensów z drewna pekanowego i różowych puszek na przyprawy. - Tu przebywała wyłącznie służba. Tam znajdowało się skrzydło, w którym mieszkali - machnął ręką, nie patrząc, w stronę bocznego wejścia. - Tam jest także pralnia i inne pomieszczenia służbowe. Kuchnia była poza naszym zasięgiem.

Miała ochotę się roześmiać i powiedzieć, że zmyśla, ale było zupełnie oczywiste, że mówi prawdę.

- A jeśli miałaś dziką ochotę na parę ciasteczek?

- Nie powinno się jeść między posiłkami. Poza tym kucharz miał obowiązek je wypiekać, a po nas spodziewano się, że oddamy im sprawiedliwość - o ósmej rano, pierwszej po południu i siódmej wieczorem. Przychodziłem tu w nocy - dla samej zasady. - Teraz



rozejrzał się po kuchni. Jego spojrzenie nie miało żadnego wyrazu. - Nadal czuję się tu jak przemytnik.

- Jed...

- Musisz zobaczyć całą resztę - odwrócił się i wyszedł.

Tak, chcę, żeby to zobaczyła, pomyślał ponuro. Każdy kamień, każdą krzywiznę tynku, każdy centymetr farby. A kiedy już to zobaczy, kiedy przejdę już przez to, mam nadzieję, że nigdy więcej nie przestąpię progu tego domu.

Dołączyła do niego u stóp schodów, gdzie czekał na nią.

- Jed, nie trzeba.

- Chodźmy na górę. - Wziął ją pod ramię, ignorując jej wahanie. Pamiętał ten zapach: powietrze przesycone gęstym zapachem wosku i żalobnych kwiatów, wonią drogich perfum matki i siostry, odorem hawańskich cygar ojca.

Pamiętał też czasy, kiedy nie było tu tak cicho. Kiedy wiecznie słychać tu było podniesione głosy, pełne gniewu i urazy lub stanowcze i przesycone obrzydzeniem. I służących ze spuszczoneymi oczami, nie słyszających niczego i zajętych pracą.

Pamiętał siebie jako szesnastolatka, niewinnie zauroczonego jedną z nowych pokojówek. Kiedy matka przyłapała ich na naiwnym, nieszkodliwym flircie, dokładnie w tym miejscu, przypomniał to sobie, z miejsca odprawiła dziewczynę.

- Pokój mojej matki - Jed skinął głową w stronę drzwi. - Pokój ojca był na końcu korytarza. Jak widzisz, między nimi znajduje się kilka innych pomieszczeń.

Miała ochotę westchnąć i powiedzieć, że zobaczyła już dosyć, ale wiedziała, że on jeszcze nie skończył.

- Gdzie był twój pokój?

- Tutaj. Podeszła i zajrzała. Pokój był wielki i przestronny, rozświetlony promieniami popołudniowego słońca. Okna wychodziły na znajdujący się na tyłach domu trawnik i schludnie przycięty ligustrowy żywopłotem ciągnący się wzdłuż całego terenu. Dora usiadła na wąskim siedzeniu pod oknem i wyjrzała.

Wiedziała, że w starych domach jest wiele duchów. Przez dwieście lat w budynku muszą zebrać się wspomnienia o tych, którzy się przez niego przewinęli. Te duchy należały do Jeda, który bronił ich zazdrośnie. Czy dałoby to cokolwiek, pomyślała, gdybym powiedziała mu, jak łatwo jest je wygnać?

Brakowało tu tylko ludzi. Kogoś, kto ze śmiechem zbiegałby po schodach lub leżał przed kominkiem, zatopiony w marzeniach. Dzieci, które trzaskałyby drzwiami i ściagały się na korytarzach.

- Tu stał kiedyś orzech. Wychodziłem po nim w nocy, żeby szukać przygód. Pewnej nocy zauważył mnie jeden ze służących i zameldował o tym ojcu. Następnego dnia orzech został ścięty. Potem ojciec wszedł na górę, zamknął drzwi i stłukł mnie na kwaśne jabłko. Miałem wtedy czternaście lat - powiedział głosem bez wyrazu i zapalił papierosa. - To wtedy zacząłem ćwiczyć hantlami.

Przez dym zobaczyła błysk jego oczu.

Nie zamierzałem mu pozwolić, żeby mnie znowu uderzył. Pracowałem jak wszyscy diabli, żeby być dość silnym, by go pokonać, gdyby chciał to znowu zrobić. Parę lat później tak się stało. Tak właśnie znalazłem się w szkole z internatem.

Coś gorzkiego zaczęło zalegać jej w gardle. Zmusiła się, by to przełknąć.

- Myślisz, że tego nie zrozumie - powiedziała cicho - ponieważ ojciec nigdy nie podniósł na nas ręki. Nawet wtedy, gdy zasługiwaliśmy.

Jed przyjrzał się uważnie papierosowi, zanim strzepnął popiół na podłogę.

- Mój ojciec miał wielkie dłonie. Nie używał ich zbyt często do bicia, ale kiedy to robił, tracił nad sobą kontrolę.

- A twoja matka?

- Ona raczej rzucała przedmiotami, kosztownymi przedmiotami. Raz uderzyła mnie miśnieńskim wazonem, aż straciłem przytomność. Potem zabrała jego równowartość z mojego funduszu na college.

Dora kiwnęła głową, nie odrywając wzroku od widoku za oknem. Walczyła z mdłościami.

- A siostra?

- Raz traktowali ją jak laleczkę z porcelany, innym razem jak więźnia. Jednego dnia przyjęcie, drugiego drzwi zamknięte na klucz - wzruszył ramionami. - Życzyli sobie, żeby była damą doskonałą, dziewiczą debiutantką, która będzie postępowała w zgodzie z zasadami Skimmerhornów i dobrze wyjdzie za mąż. Kiedy nie spełniała ich żądań, zamykali ją w miejscu odosobnienia.

- Proszę?

- Zamykali ją w jej pokoju, na parę dni, czasem na tydzień. Potem przekupywali ją szaleńczymi zakupami albo przyjęciami, dopóki nie zrobiła tego, czego od niej wymagali - zaciągnął się znowu, żeby zabić gorycz w ustach. - Może myślisz, że wspólna niedola zbliżyła nas do siebie, ale jakoś nigdy się tak nie stało. Mieliśmy się nawzajem w nosie.

Odwróciła powoli głowę, spojrzała na niego przez ramię.

- Nie musisz mnie przepraszać za swoje uczucia.

- Nie przepraszam - warknął. - Wyjaśniam. - I nie pozwolił, by jej niezaprzeczalne współczucie ukoilo jego ból.

- Dostałem telefon, że Elaine chce się ze mną spotkać. Myślałem, że to któryś z jej służących, okazało się, że mówił jeden z ludzi Specka. Chcieli, żebym przyglądał się temu wszystkiemu. Wiedzieli, że w każdą środę o jedenastej wyjeżdża do fryzjera. Ja tego nie wiedziałem - znowu podniósł spojrzenie i wbił je w Dorę. - Nie wiedziałem o niej niczego. Mieszkałem o kilka minut drogi od jej domu i byłem nieludzko wkurwiony, że mnie wezwała. A potem przyszła wiadomość o podłożonej bombie. Można powiedzieć, że Speck miał niezłe wycucie czasu.

Zamilkł na chwilę, podszedł do małego paleniska i zgniótł niedopałek papierosa na jednym z kamieni.

- Zjawiłem się pierwszy, tak jak zaplanował Speck. Widziałem ją siedzącą w wozie, kiedy biegłem do niej. Pachniały róże - powiedział miękko.

Znowu cała scena stanęła mu przed oczami, nie jak w filmie, nie jak we śnie, lecz jak żywcem wyjęta z rzeczywistości.

- Spojrzała w moim kierunku. Widziałem na jej twarzy wyraz zaskoczenia i irytacji. Elaine nie znosiła, kiedy ktoś burzył jej porządek dnia, a ja myślałem, że najbardziej wkurza ją to, że sąsiedzi zobaczą mnie, jak biegnę przez trawnik z bronią w ręku. Potem przekręciła kluczyk i samochód wyleciał w powietrze. Wybuch odrzucił mnie w krzaki róż.

- Próbowałeś ją ratować.

- Ale jej nie uratowałem - powiedział głosem bez wyrazu. - Teraz muszę z tym żyć, a także z poczuciem winy, że nie znaczyła dla mnie więcej niż ktoś obcy. A nawet mniej, ponieważ nie była kimś obcym. Żyliśmy razem przez niemal osiemnaście lat i nie mieliśmy z sobą nic wspólnego.

Wtedy odwróciła się i usiadła w milczeniu. Jed zauważył z krótkim dreszczem zaskoczenia, jak ślicznie, jak doskonale wyglądała, kiedy słońce obejmowało płynnie jej sylwetkę, zaglądało w jej spokojne i czujne oczy i kładło się na poważnych ustach. Dziwne, pomyślał, w tym domu nigdy nie było niczego, co uważałbym za piękne. Aż do teraz.

- Rozumiem, dlaczego mnie tu przyprowadziłeś - zaczęła. - Dlaczego czułeś się do tego zmuszony - chociaż nie musiałeś tego robić. Cieszę się, że tak się stało, ale to nie było konieczne - westchnęła i złożyła ręce na kolanach. - Chciałeś, żebym zobaczyła ten zimny, pusty dom, gdzie nie zostało nic prócz nieszczęścia, które tu zawsze gościło. I chciałeś, żebym zrozumiała, że tak jak ten dom nie masz nic do ofiarowania.

Czuł potrzebę, rozpaczliwie silną, by podejść i złożyć głowę na jej kolanach.

- Nie mam nic do ofiarowania.

- Nie chcesz mieć - poprawiła go. - I zważywszy to, co miało miejsce w twoim życiu, jest to z całą pewnością logiczne.

Problem polega na tym, Skimmerhorn, że uczucia nie kierują się logiką. Przynajmniej nie moje - przechyliła głowę. Słońce położyło się na jej twarzy, ogrzewając ją tak, jak ciepły był jej głos, jak ciepły był ten pokój, ogrzany jej obecnością. - Powiedziałam ci, że cię kocham, a ty wolałbyś pewnie, żebym ci dała w twarz, ale to wszystko prawda. Nie chciałam tego ci mówić, a może i chciałam.

Przezesłała włosy palcami bezbronnym i znużonym gestem.

- Może i chciałam - powtórzyła miękko. - Bo choć wiedziałam, jak zareagujesz, nie lubię dusić w sobie uczuć. Ale to są moje uczucia, Jed. Nie proszę cię o nic.

- Kiedy kobieta mówi mężczyźnie, że go kocha, prosi go o wszystko.

- Tak to widzisz? - uśmiechnęła się lekko, lecz jej oczy pozostały zgaszone smutkiem.

- Powiem ci, jak ja to widzę - miłość to dar, który może zostać łatwo odrzucony. Odrzucenie nie niszczy go, ale po prostu odsuwa na bok. Możesz to zrobić. Nie proszę, żebyś się zrewanżował podobnym podarunkiem. Nie żebym go nie chciała, ale go nie oczekuję.

Wstała i podeszła do niego, ujęła w dłonie jego twarz. Jej spojrzenie było nadal smutne, ale malowało się w nim upokarzające go bezgraniczne współczucie.

- Przyjmij to, co ci daję, Jed, zwłaszcza jeśli jest to podarunek hojny i bezinteresowny. Nie będę ci go ciągle podsuwała. To sprawiłoby przykrość nam obojgu.

- Jesteś teraz bezbronna, Doro.

- Wiem. Nie przeszkadza mi to - pocałowała go w jeden policzek, potem w drugi, na koniec w usta. - Odpreż się i baw się dobrze, Skimmerhorn. Ja zamierzam tak zrobić.

- Nie jestem czymś, czego potrzebujesz - ale przyciągnął ją blisko do siebie i trzymał mocno. Bo ona była tym, czego potrzebował. Dokładnie tym.

- Mylisz się - zamknęła oczy i powstrzymała nadchodzące łzy. - I nie masz racji również co do domu. Obaj czekacie.

\* \* \*

Nie mógł skupić uwagi. Jed wiedział, że szczegóły, które właśnie omawiał z Brentem, są bardzo istotne, ale przed oczyma nadal miał obraz Dory, otoczonej aureolą światła, siedzącej na parapecie jego dawnego, znienawidzonego pokoju.

I nadal czuł na twarzy dotknięcie jej dłoni, kiedy uśmiechnęła się i poprosiła, żeby przyjął jej miłość.

- Jed, przez ciebie czuję się jak nudna nauczycielka historii. Jed oprzytomniał.

- Co?

- Dokładnie - Brent wypuścił z płuc powietrze i oparł się na swoim krześle za biurkiem. - Powiesz mi, co ci chodzi po głowie?

- Nic, zupełnie - wypił trochę wściekle mocnej posterunkowej kawy i odegnał od siebie rozmarzenie. - To, co znalazłeś na Winesapa, wygląda, jakby był kolejnym ogniwiem. Nadal uważam, że najlepszym sposobem, żeby sobie z tym poradzić, jest dotrzeć do faceta na górze, tego Finleya. Nie wprost. Im dłużej trzymamy obraz w tajemnicy, tym lepiej.

- To, co zdołałem znaleźć na temat tego faceta, zmieściłoby się pod paznokciem - poskarżył się Brent. - Jest bogaty, tak bogaty, że przy nim wyglądasz jak kmiotek, kolego. Odniósł sukces, jest sam, ma fioła na punkcie prywatności.

- I stoi na czele wielkiej firmy importowo - eksportowej, która może być świetną przykrywką dla przemycających towarów.

- Chcielibyśmy - mruknął Brent. - Nie mamy na Finleya żadnego poważnego dowodu. Oczywiście przesyłka była wysłana na adres jego zastępcy, a DiCarlo pracuje dla niego.

- DiCarlo to mała płotka, chłopak na posyłki. Wystarczy spojrzeć do jego akt.

- A Finley nie ma żadnych akt policyjnych. To amerykański ideał, skromny człowiek, który do wszystkiego doszedł o własnych siłach, i poważny obywatel.

- Więc nie zaszkodzi mu, jak trochę poszperamy w jego przeszłości - zauważył Jed. - Chcę pojechać do Los Angeles.

- Tak myślałem, że tam jest centrum tego wszystkiego - Brent poruszył się niespokojnie. - Słuchaj, wiem, że jesteś w to osobiście zaangażowany. Policja guzik by zrobiła bez ciebie.

- Ale - przerwał mu Jed - ja nie jestem w policji.

Brent poprawił okulary, czując się jak ostatnie bydło. Zaczął przekładać dokumenty na biurku.

- Goldman zaczyna zadawać pytania.

- Może pora, żebyś zaczął mu na nie odpowiadać.

- Komisarz też jest tego zdania.

- Jestem cywilem, Brent. Nikt mi nie zabroni pojechać na Wybrzeże - na własny koszt, poświęcając na to własny czas.

- A może wreszcie z tym skończysz? - nie wytrzymał Brent.

- Wiem, że za godzinę masz spotkanie z komisarzem i obaj wiemy, co od niego usłyszysz. Nie możesz tego dłużej odwlekać. Może mi trochę ułatwisz życie i powiesz, że

wracasz do pracy.

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Mogę powiedzieć ci tylko, że myślę o tym.

Przekleństwo zamarło w ustach Brenta.

- Poważnie?

- Tak poważnie, że nie przypuszczałem, żeby było mnie na to stać. - Jed wstał i podszedł do drzwi z mrożonego szkła, do odrapanych szafek z aktami, do zapuszczonego dzbanka na kawę.

- Cholera, tęsknię za tym - odwrócił się, niemal rozbawiony samym sobą. - Czy to nie głupota? Tęsknię - za każdą minutą nudy, za tymi pierdolonymi raportami, za tymi nowymi mazepami. Dziewięć razy na dziesięć sięgam rano po kaburę, zanim sobie przypomnę, że jej nie mam. Myślałem nawet, żeby kupić jedną z tych policyjnych krótkofalówek, więc wiem, że nie jest ze mną dobrze.

- Alleluja - Brent złożył ręce jak do modlitwy. - Pozwól mi powiedzieć o tym Goldmanowi. Pozwól, żebym to ja mu powiedział.

- Nie powiedziałem, że wracam.

- Owszem, powiedziałeś - Brent zerwał się impulsywnie, chwycił Jeda za ramiona i pocałował go.

- Jezu, Chapman. Weź się w garść.

- Chłopaki przywitają cię jak boga. Co o tym sądzi Dora? Szeroki uśmiech Jeda nieco zbladł.

- Nic o tym nie sądzi. Nie rozmawialiśmy o tym. Jej to nie interesuje.

- Och - Brent klasnął językiem. - Mhm. Mary Pat i ja założyliśmy się. Ona twierdzi, że będę wypożyczał frak na wesele pod koniec roku szkolnego. Ja typowałem ferie wielkanocne. Ostatnio mierzymy czas szkolnym kalendarzem.

Szybki skurcz strachu, który skręcił żołądek Jeda, niemal pozbawił go sił.

- Chrzanisz.

- Nie udawaj, kapitanie, masz fioła na jej punkcie. Dziesięć minut temu gapieś się w pustkę i śniłeś na jawie. A jeśli to nie ją widziałeś, jestem gotów pocałować Goldmana w usta.

- Ostatnio jesteś bardzo liberalny w uczuciach. Skończ z tym, dobrze? Znal ten ton - werbalny odpowiednik obronnej palisady.

- Dobrze, ale od ciebie zależy, kto stawia obiad na dwie osoby w Chart House - Brent oparł się o brzeg biurka. - Jestem bardzo wdzięczny za to, co ty i komisarz zrobiliście w tej sprawie. Czy zamierzasz pojechać do Los Angeles służbowo czy nie, mogę udzielić ci pomocy.

- Porozmawiamy jutro.

- I, kapitanie - dodał Brent, zanim Jed dotarł do drzwi - zrób mi przysługę i pozwól im się przekupić, dobrze? Mogę zrobić listę rzeczy, które by się tu przydały.

Uśmiechnął się i usiadł wygodnie, zatapiając się w marzeniach o tym, jak przekazuje tę wiadomość Goldmanowi.

\* \* \*

Zbliżała się północ, kiedy Dora zaprzestała jakichkolwiek starań, aby usnąć. Wstała i ubrała się w szlafrok. Klasyczny przykład bezsenności, nie mający nic wspólnego z tym, że Jed nie wrócił do domu ani nie zadzwonił.

Rzeczy przybrały zły obrót, pomyślała, kiedy zaczęłam się okłamywać.

Włączyła stereo, ale namiętny blues Bonnie Raitt zbyt pasował do sytuacji, więc wyłączyła muzykę. Poszła do kuchni i postawiła czajnik na gazie.

Jak mogłam palnąć coś takiego, pomyślała, bez przekonania zastanawiając się nad herbatą cytrynową i rumiankiem. Przecież wiedziałam, że mężczyzna, który usłyszy takie wstrząsające oświadczenie, zacznie wiać z prędkością światła, prawda? Nie. Wrzuciła do filiżanki torebkę z herbatą. Nie wiedziała tego, bo nigdy nikomu tego nie powiedziała. A teraz, kiedy brała udział w przedstawieniu swojego życia, powiedziała swoją kwestię za wcześniej.

To już się nie odstanie, uznała. Szkoda, że nie dostaliśmy tego samego scenariusza.

Nie powtórzył jej słów niczym echo, nie chwycił ją za ramiona. Systematycznie i dyskretnie wycofał się krok po kroku, odkąd usłyszał te fatalne słowa, które padły jakieś trzydzieści sześć godzin temu. I bardzo się bała, że Jed będzie się dopóty wycofywał, aż zupełnie zniknie z horyzontu.

Nic na to nie można poradzić. Nalała wrzątku do filiżanki i zostawiła herbatę do naciągnięcia, szukając ciasteczek. Nie może go zmusić, żeby pozwolił jej pokazać sobie, co oznacza dawanie i branie miłości. Mogła tylko dotrzymać obietnicy i nigdy więcej o tym nie wspominać. Bez względu na to, jak bardzo by cierpiała.

I miała jeszcze trochę dumy. Bonnie Raitt myli się co do tej sprawy, pomyślała. Miłość ma dumę. Postanowiła, że się pozbiera i będzie żyć dalej. Z nim, jeśli to możliwe. Bez niego, jeśli to konieczne. A zacząć może od teraz, schodząc na dół i zabierając się do pracy, skoro i tak nie mogła spać.

Wyszła z herbatą, w ostatniej chwili przypominając sobie, żeby zamknąć za sobą drzwi na klucz. Nie znosiła tego poczucia, że nie jest zupełnie bezpieczna w swoim własnym

domu. Dlatego zapalała po drodze wszystkie lampy.

Kiedy znalazła się na zapleczu, zabrała się do nudnego naprawiania szkód w katalogu, który DiCarlo wywrócił do góry nogami.

Monotonna praca i cisza uspokoiły ją i pochłonęły - jak zawsze. Lubiła układać różne rzeczy na przypisane im miejsca, od czasu do czasu zatrzymując się nad jakimś rachunkiem, by przypomnieć sobie dreszcz towarzyszący jej przy kupnie.

Pamiątkowy przycisk do papieru ze Światowych Targów w Nowym Jorku, czterdzieści dolarów. Szlifowane lustro na toaletkę za trzy tysiące. Trzy plakaty reklamowe - papierosów Brasso, Olympic i Players, odpowiednio za sto dziewięćdziesiąt, dwadzieścia siedem i sto osiemdziesiąt pięć dolarów.

Jed zatrzymał się w połowie schodów, wpatrzony w nią. Miała na sobie zielony szlafrok i parę olbrzymich fioletowych skarpetek. Kiedy pochylała się nad jakimś świstkiem, jej włosy osuwały się na policzek, zasłaniając twarz. Odsuwała je płynnym i naturalnym ruchem, odkładała świstek i brała następny.

Serce, które zaczęło mu bić szybciej, kiedy zobaczył otwarte drzwi, uspokoiło się. Bez względu na pożądanie, które odczuwał, kiedy była blisko, jej widok zawsze go uspokajał.

Zdażył schować broń, kiedy Dora odwróciła się do niego. Zauważyła zarys sylwetki i cofnęła się gwałtownie. Dokumenty wyleciały jej z rąk, zachłysnęła się.

- Co ty wyprawiasz - spytała z wściekłością. - Chcesz przstraszyć mnie na śmierć?

- Nie - zszedł na dół schodów. - Co ty tu robisz, Conroy, do cholery? Już po północy.

- A jak sądzisz, co robię? Ćwiczę menueta - upokorzona własną reakcją, kucnęła i zaczęła zbierać rozsypane dokumenty.

- Wyglądałaś tak ładnie - kucnął przy niej, położył dłoń na jej ręce. - Przepraszam, że cię przstraszyłem. Myślałem, że jesteś tak zajęta, że mnie nie usłyszysz.

- Nie szkodzi.

- Powinnaś być już w łóżku - obrócił jej twarz ku światłu. - Marnie wyglądasz.

- Wielkie dzięki.

- I niezła z ciebie suczka.

- Nie jestem suczką - syknęła urażona. - Protestuję zarówno jako feministka, jak i miłośniczka psów.

Załoczył jej cierpliwie kosmyk włosów za ucho. Wyjątkowo szybko ukryła swoje uczucia, pomyślał. Ale kiedy pierwszy strach zniknął z jej oczu, wyczytał w nich zmartwienie i gniew. Już teraz ją zranił, a zanosilo się na to, że zrobi to jeszcze raz.

- Chodź na górę, kotku.



- Jeszcze nie skończyłam.

Uniósł brew. W jej głosie brzmiał cień urazy. Poczul się mały i niewiarygodnie głupi.

- Jesteś na mnie wkurzona.

- Wcale nie - wyprostowała się, odetchnęła głęboko i zmusiła się, by tak było naprawdę. - Wcale nie - powtórzyła już spokojnie. - Jestem nie w sosie, bo czuję się bezużyteczna, nie otwierając sklepu, a w dodatku okłamuję moją rodzinę.

- Nie musisz już tego robić. Możesz otworzyć jutro sklep, i poczujesz się lepiej, jeśli powiesz prawdę komuś z twojej rodziny.

Rozważyła jego słowa.

- Otworzę sklep - zdecydowała. - Ale nie powiem niczego mojej rodzinie. Jeszcze nie. To ja muszę sobie z tym poradzić.

Miał ochotę zacząć się z nią spierać i zrozumiał, że nie może tego zrobić. Czy nie kierował się tymi samymi pobudkami, by ulżyć swojemu sumieniu? Nie zamierzał powiedzieć jej o rozmowie z komisarzem i o tym, że zdecydował się wrócić do policji. Jeszcze nie.

- Chodź na górę - powtórzył. - Pomasuję ci plecy.

- Po co?

- Bo jesteś cała spięta - powiedział przez zęby. - Do cholery, Conroy, co cię obchodzi po co? Masz tylko leżeć i się cieszyć.

Cofnęła się, patrząc na niego zwięzonymi oczami.

- Jesteś dla mnie miły. Dlaczego? Ty coś kręcisz, Skimmerhorn. Chcesz zrobić coś, co nie będzie mi się podobało. - Pobiegła za nim po schodach.

- Nie kryj przede mną niczego - położyła rękę na jego ramieniu, kiedy otwierał swoje drzwi. - Proszę. Chodzi o DiCarla, prawda? O obraz, o ten cały młyn.

Chodziło o coś więcej. I o mniej. Nie wiedział, czy będzie tchórzostwem, jeśli jej powie tylko o tym.

- Jadę do Los Angeles, żeby pogadać z szefem DiCarla.

- Z Winesapem? - zmarszczyła brwi z napięciem. - To ten, do którego miała dotrzeć przesyłka, prawda?

- Ten najważniejszy nazywa się Finley, Edmund G. - powiedział Jed. - Zacznę od niego.

- I myślisz, że to dla niego ją przemycano?

- Tak - nalał whisky dla obojga - właśnie tak myślę.

- Co o nim wiesz?

- Wystarczająco wiele, żeby kupić bilet do Los Angeles - wręczył jej szklanę, a potem zaczął mówić.

- Import - eksport - mruknęła, kiedy skończył. - Więc jest pewnie kolekcjonerem. Oni zawsze są tacy. Być może nie wiedział o tym, co DiCarlo robi na boku, w końcu, jak powiedziałeś, to duże przedsiębiorstwo. Ale jeśli wiedział...

Zobaczył błysk w jej oku i zdławił westchnienie.

- Przestań myśleć, Conroy. Robisz się wtedy niebezpieczna.

- Ale ja już myślę - uniosła szklanę, przełknęła whisky jednym haustem. - A teraz myślę, że to nie ty powinienes porozmawiać z Finleyem - podała mu pustą szklanę, by ją napelnił. - To ja powinnam to zrobić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Kompletnie zwariowałaś. - Co za trzeźwy, racjonalny argument - ponieważ Jed nie poruszył się, sama napełniła swoją szklanę. - A jeśli na chwilę zapomnisz o swoim męskim ego, zrozumiesz, dlaczego tak powiedziałam.

- Ego nie ma z tym nic wspólnego.

Miało jednak, aczkolwiek niewiele, i ten fakt drażnił go jak wszyscy diabli.

- Tu chodzi o zwykły zdrowy rozsądek. Nie dasz sobie z tym rady.

- Przeciwnie - zaczęła zapalać się do tego pomysłu. Ruszyła naokoło pokoju, obracając swoją szklanę i rozkoszując się rolą, którą miała odegrać. - Dam sobie doskonale radę. W końcu to ja stałam się ofiarą jego pracownika. To ja, zagubiona niewinna istota, będę szukać u niego współczucia, jeśli jest niewinny, lub, ponieważ ja również kolekcjonuję, do jego wyobraźni, jeśli jest winny. Krótko mówiąc, Skimmerhorn - wróciła do niego i potrafiła jego szklanę swoją - to rola w sam raz dla mnie.

- To nie jest teatr, Conroy, do cholery.

- Ależ tak. Boże, kiedy ty tu wstawisz jakieś meble? - Nie mogąc znaleźć wolnego krzesła, przysiadła na stole. - A co zamierzałeś, kapitanie, wpaść do jego gabinetu z wyciągniętym pistoletem?

- Nie wygłupiaj się bardziej niż to konieczne.

- Nie zamierzam. Gdybym miała zinterpretować tę scenę, powinieneś poprosić o spotkanie, żeby nieoficjalnie przedyskutować tę brzydką sytuację i, być może, poprosić o pomoc w zlokalizowaniu DiCarla.

Uniosła brew, czekając, aż potwierdzi lub zaprzeczy, ale nie zareagował. Niezrażona, podjęła wątek.

- A tymczasem powinieneś wypatrywać szpary w jego zbroi, jeśli rzeczywiście ma zbroję lub szpary w niej. Robiąc tak, zdobywasz znakomite rozeznanie w jego sytuacji, poznasz jego styl i zaczniesz się orientować, czy jest zdolny do zarzuconego mu czynu.

- Mówisz jak prawnik - mruknął. - Nienawidzę prawników.

- Mówisz jak gliniarz. Ja mam wśród prawników kilku dobrych znajomych, a mój ojciec znakomicie zagrał Clarence'a Darrowa w „Inherit the Wind”. No więc - skrzyżowała nogi o długich, smukłych udach - jak mam to zagrać?

- Nie zagrasz tego, Conroy - niemal warknął, ponieważ czuł, że wymyka mu się coś ważnego. Ujął jej podbródek. - Nie zagrasz.

- Zagram - powiedziała, niezrażona. - Ponieważ oboje wiemy, że to doskonale

rozwiązanie - uśmiechnęła się, wymknęła się z jego ręki i pocałowała ją. - Możesz iść ze mną. Pohamować mnie, gdybym zaczęła szarżować.

Jest tylko jeden sposób, by zawrzeć z nią układ, pomyślał Jed, i był nim spokój.

- Doro, nie mam nic na tego typu. Nie mamy żadnych poważnych dowodów. Może to jakiś sympatyczny dziadunio, który w wolnym czasie zbiera znaczki i nie ma nic wspólnego z przemysłem. A może DiCarlo był tylko jego narzędziem. Wchodzenie na jego teren to ryzyko, a ja nie zaryzykuję, kiedy chodzi o ciebie.

- Dlaczego? - powiedziała miękko. - Można by pomyśleć, że ci na mnie zależy.

Wsadził gniewnie pięści do kieszeni.

- Cholera, przecież wiesz, że zależy.

- Wiem, że mnie pragniesz, ale to, czy ci na mnie zależy, to zupełnie inna sprawa. Ale miło słyszeć.

- Nie prowokuj mnie - nie wciągnie go znowu w tę niebezpieczną dyskusję o uczuciach. - Teraz mówimy o Finleyu. Jeśli jest w to wplątany, spojrzysz tylko na ciebie i wyczyta wszystko z tej ślicznej buzi.

- Jejku, tej samej nocy mówisz mi, że ci na mnie zależy i że jestem śliczna. Zaraz zemdleję.

- Powinienem ci przyłożyć - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Ale tego nie zrobisz - uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. - Dużo szczekasz, mało gryziesz, cały ty, Skimmerhorn. Chodźmy się przespać. Możemy się o to pokłócić rano.

- Nie będzie żadnej kłótni. Ja jadę. Ty zostajesz. Ręce jej opadły.

- Nie ufasz mi. O to chodzi, prawda? - zagryzła wargę, by powstrzymać jej drżenie, ale jej głos ochryplł i zaczął drżeć, a oczy wypełniły się łzami.

- Nie chodzi o zaufanie - wyjął rękę z kieszeni, przesunął nią po jej włosach. - Nie bierz tego do siebie.

- A jak miałabym to brać? - pierwsza samotna łza potoczyła się jej po policzku ale w jej pełnych bólu oczach kręciło się ich już więcej. - Nie rozumiesz, że muszę coś zrobić? Że nie mogę tylko siedzieć na uboczu, mimo że ktoś zrobił zamach na mój dom? Nie potrafię tego znieść, Jed. Nie mogę znieść tego, że uważasz mnie za jakąś bezradną ofiarę, która tylko wchodzi ci w drogę.

- Przestań - jej łzy obezwładniły go zupełnie, odebrały mu wszystkie siły. Przestań, kochanie, nie płacz - uniósł niezgrabnie rękę ku jej włosom. - Nie zniosę tego - delikatnie pocałował drżące usta - nie uważam, że jesteś bezradna.

- No więc bezużyteczna - powiedziała, łkając.

- Nie - otarł kciukami jej łzy, gotów niemal paść na kolana. - Nie nauczono cię tego robić. Jeśli zaczniesz coś podejrzewać, cała pułapka pójdzie w diabły, zanim jeszcze ją zastawimy.

Pociągnęła nosem, przytuliła twarz do jego szyi.

- Podejrzewasz? - Co?

- Podejrzewasz? - spytała doskonale opanowanym głosem. Odsunęła się i uśmiechnęła się do niego bez śladu żalu. - Nabrałeś się, co? - roześmiała się i poklepała go po policzku. Patrzył na nią zwężonymi, wściekłymi oczami. - Niech ci nie będzie zbyt głupio, Skimmerhorn. Powiedziałam ci kiedyś, że byłam dobra - uniosła szklanke w toaście za samą siebie. - I jestem bardzo, bardzo dobra. A to nie był mój popisowy numer.

- Może jednak ci przyłożę. Jeśli kiedykolwiek będziesz tak płakać, przysięgam, że to zrobię.

- Czujesz się jak palant, co? - westchnęła z rozkoszą. - Czasami brakuje mi sceny - potem wzruszyła ramionami - ale niezbyt często. Bądź spokojny, kapitanie, nasz pan Finley zobaczy dokładnie to, co zechcę mu pokazać. Będę na nim grać jak na katarynce.

Mogła to zrobić. Z niechęcią musiał przyznać, że zrobiłaby to doskonale.

- A gdybym na tyle zwariował, żeby przystać na ten poroniony pomysł, czy zrobisz dokładnie to, co ci każę?

- Nie, ale będę się starać. To prościzna, Jed.

Chciałby tak myśleć, ale wolał znać wody, w których miał się poruszać, i wiedzieć, jaka przynęta znajduje się na haczyku.

- Nie chcę, żeby ci się coś stało.

Cała złagodniała, zmiękły jej oczy, usta, serce.

- To jedna z najmilszych rzeczy, jakie mi kiedykolwiek powiedziałaś.

- Jeśli ci coś zrobi, zabiję go. Jej uśmiech zgasł.

- Nie obarczaj mnie takim ciężarem, dobrze? To mnie przeraża. Podniósł ją ze stołu i postawił na podłodze.

- Słuchaj, Conroy. Powiedziałem, że nie uważam, żebyś była bezbronna i że nie zauważam, że jesteś bezużyteczna, ale nigdy nie mówiłem ci, za kogo ci właściwie uważam.

- Nie, nie mówiłeś - skrzywiła się w oczekiwaniu na cios.

- Za kogoś ważnego - powiedział po prostu, a jej serce stopniało jak wosk. - Bardzo ważnego.

\* \* \*

W południe następnego dnia Dora uznała, że przynajmniej jedna strona jej życia zaczęła funkcjonować w normalnym trybie.

Sklep został otworzony. Pierwsza transakcja tak ją rozczuliła, że impulsywnie udzieliła klientowi dziesięciu procent zniżki. Kiedy po południu pojawiła się Lea, Dora powitała ją gorącym uściskiem.

Lea wyplątała się z jej objęć, śmiejąc się.

- A to co? Wygrałaś na loterii? - Lepiej. Otworzyłam sklep.

Lea zdjęła płaszcz i poprawiła włosy.

- Nigdy nie wyjaśniłaś mi, dlaczego go zamknęłaś.

- To zbyt skomplikowane - powiedziała Dora lekko. - Musiałam odpocząć przez kilka dni.

- To włamanie kosztowało cię więcej nerwów, niż myślałaś - Lea skinęła głową, pełna uznania dla samej siebie. - Wiedziałam.

- Chyba tak. W każdym razie, było już kilku szperaczy, a w ciastkarni kupiłam ciasteczka do herbaty: te z czekoladowym nadzieniem.

Lea westchnęła głęboko.

- I jak ja mam zrzucić te dwa kilogramy, które przybyły mi przez święta?

- Siłą woli.

- Jasne. Aha, mama kazała mi spytać o obraz. Pudełko z ciastkami niemal wymknęło się z palców Dory.

- Obraz?

- Mówiła, że pożyczyłaś jej obraz i musiałaś go zabrać - Lea zapomniała o sile woli i sięgnęła po lukrowane ciasteczko. - Chciała go kupić tacie na walentynki. Zdaje się, że naprawdę mu się spodobał.

- Och... Musiałam go... sprzedać - przynajmniej mówię prawdę, pomyślała. Nadal miała osiemdziesiąt dolarów Jeda. Trzymała je w kasetce z biżuterią, niczym listy miłosne.

- Dobrze się czujesz? - czujne oczy Lei zmierzyły twarz Dory. - Wyglądasz na trochę wzburzoną.

- Hmm? Nic, nic mi nie jest. Wracam do formy. Jeszcze nie mogę się pozbierać. Być może na parę dni pojadę do Los Angeles.

- Po co?

- Jest tam przedsiębiorstwo importowe, z którym chciałabym utrzymywać kontakty. Wolę nie zamykać już sklepu. - Nie ma takiej potrzeby, zapewniła samą siebie. Brent nadal roztaczał opiekę nad jej rodziną.

- O to się nie martw. Terri i ja wszystkim się zajmiemy. Telefon na ladzie zadzwonił dwa razy. Lea uniosła brew.

- Mam odebrać?

- Nie - Dora otrząsnęła się z poczucia winy i podniosła słuchawkę znajdującą się o kilka centymetrów od jej dłoni. - Dzień dobry. Tu Salon Dory.

- Chciałbym rozmawiać z panną Isadora Conroy.

- Przy telefonie.

- Panno Conroy - Winesap, siedzący przy swoim biurku w Los Angeles, nachylił się nad swoimi szczegółowo zebranymi notatkami - mówi... Francis Petroy.

- Tak, panie Petroy?

Lea podeszła, by przywitać klienta.

- Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam. Dostałem pani telefon od pani Helen Owings z Front Royal w Wirginii.

- Tak - palce Dory zacisnęły się na słuchawce. - Co mogę dla pana zrobić?

- Mam nadzieję, że oboje możemy zrobić coś dla siebie - Winesap odczytał zapisane w notatkach słowa „dobroduszny śmiech” i najlepiej, jak umiał, zastosował się do tych didaskaliów. - Chodzi mi o obraz, który nabyła pani w grudniu na aukcji, Billingsly'ego.

Poczuła suchość w ustach.

- Tak, pamiętam go. Abstrakcja.

- Właśnie. Tak się składa, że kolekcjonuję abstrakcje. Specjalizuję się w malarzach nieznanym i początkującym, na żalostnie małą skalę, rozumie pani.

- Oczywiście.

- Nie mogłem uczestniczyć w tej aukcji ze względu na sytuację rodzinną. Ale odzyskałem nieco nadziei, kiedy pani Owings powiedziała, że obraz został sprzedany właścicielce sklepu, a nie kolekcjonerowi.

- Właściwie - powiedziała Dora, grając na zwłokę - ja również kolekcjonuję.

- Ojej - przerzucił swoje notatki. W ich bogatej treści nie było odpowiedzi na coś takiego. - Ojej.

- Ale oficjalne oferty interesują mnie zawsze, panie Petroy. Może zechciałby pan przyjść i obejrzeć ten obraz. Może pod koniec przyszłego tygodnia? - Zamilkła na chwilę, udając, że przegląda terminarz - do tego czasu będę raczej zajęta.

- Znakomicie. Naprawdę znakomicie - Winesap wytarł z ulgą spocony kark. - Który dzień pani odpowiada?

- Mogłabym znaleźć dla pana czas w czwartek, powiedzmy o drugiej.

- Wspaniale - Winesap nagryzmolił pospiesznie datę. - Mam nadzieję, że do tego czasu nie sprzeda pani obrazu. Nie chciałbym go stracić.

- Ani ja - uśmiechnęła się ponuro w stronę ściany. - Obiecuję, że dopóki nie przedyskutujemy tej sprawy, nie zwrócę się do nikogo innego. Czy mógłby mi pan podać numer, pod którym mogłabym pana znaleźć, gdyby wynikło coś niespodziewanego?

- Oczywiście - Winesap wyrecytował zamieszczony w notatkach numer jednej z filii firmy Finleya w New Jersey. - W godzinach pracy - dodał. - Niestety, mój numer prywatny jest zastrzeżony.

- W zupełności pana rozumiem. A więc do czwartku, panie Petroy. Odłożyła słuchawkę, niemal zbyt wściekła, by czuć dumę z siebie.

Wziął mnie za idiotkę, pomyślała. No cóż, panie DiCarlo, Finley, Petroy czy jak tam się pan nazywa, czeka pana niemiła niespodzianka.

- Leo! Muszę wyskoczyć na godzinę. Jeśli przyjdzie Jed, przekaz mu, że chcę z nim porozmawiać.

- Dobrze, ale dokąd... - zaczęła Lea i przerwała. Wzięła się pod boki, patrząc na zatraskujące się drzwi.

\* \* \*

Powinna najpierw zadzwonić. Po bezowocnej wizycie na posterunku wróciła jak niepyszna. Porucznik Chapman był w terenie. Brzmi to, jakby pojechał na piknik, pomyślała ponuro.

Więc jak ma poinformować kogokolwiek, że nawiązała kontakt, skoro nikogo nie mogła spotkać? Potem zauważyła samochód Jeda i pozwoliła sobie na chytry uśmiešek. Teraz Jed dowie się, że nie tylko on ma głowę na karku.

Zastała go na zapleczu. Spokojnie malował półki.

- Tu jesteś. Nienawidzę mówić banałów, ale gdzie podziewa się policja, kiedy jej potrzebujemy?

Nie przerwał swojego zajęcia.

- Jeśli chciałaś pogadać z policjantem, trzeba zadzwonić pod numer 997.

- Wolałam zwrócić się do samego źródła - zdjęła płaszcz, chcąc przedłużyć przyjemną chwilę - ale Brenta nie było na posterunku. Dlaczego oni mówią na to „teren”?

- To taki sposób, żeby wywrzeć wrażenie na cywilach. Po co chciałaś rozmawiać z Brentem?

- Ponieważ - zrobiła dramatyczną pauzę - nawiązałam kontakt.



- Z czym?

- Z kim, Skimmerhorn. Nie bądź taki tępy. Zadzwoił do mnie pan Petroy, ale nie sądzę, żeby to był pan Petroy. Mógł to być DiCarlo, ale jego głos nie brzmiał drwiąco. Mógł to maskować, ale ja mam wycucie co do głosu. Może kazał zadzwonić komu innemu - powiedziała z namysłem. - A może to był Finley, ale...

- Usiądź, Conroy - Jed odłożył pędzel na puszkę z farbą. - Wypróbuj sposób Jacka Webba.

- Jacka Webba? - oczy jej błysnęły. - A, tylko fakty. Rozumiem.

- Bystra jesteś. Siadaj.

- Dobrze - usiadła i wyobraziła sobie, że sporządza raport. W rezultacie powtórzyła całą rozmowę precyzyjnie, dokładnie i bez upiększeń. - No i? - spytała na koniec.

- Co ty sobie wyobrażasz, do diabła, umawiasz się z nim, nie pytając mnie o zdanie?

Myślała, że będzie ją podziwiał, a nie wściekał się na nią.

- Musiałam coś zrobić, prawda? Czy gdybym zaczęła się wahać, nie nabrałby podejrzeń? - najeżyła się cała. - A to jest na pewno podejrzane. Kolekcjoner dzieł sztuki pyta o malarza, który prawdopodobnie nie istnieje. Sprawdziłam tego Billingsly. Nie ma nikogo takiego, więc po co ktoś miałby zadawać sobie trud szukania jego obrazu? Ponieważ - oznajmiła, z namaszczaniem podnosząc palec - chce mieć Moneta.

- Aleś ty mądra, Conroy. Cholernie mądra. Ale nie o to chodzi.

- Jasne, że o to - dmuchnęła sobie w grzywkę. - On uważa, że jestem głupia. On uważa, że jestem jakąś idiotką ze sklepu ze starzyzną, która nie odróżni własnego tyłka od wazy z Delft, ale tu go czeka zaskoczenie.

- Nie chodzi również o to. Powinnaś go zwodzić, dopóki bym nie wrócił.

- Dziękuję, sama poradziłam sobie doskonale. Nie jestem idiotką.

- Masz pamięć w telefonie? Spojrzała na niego zdziwiona.

- Proszę?

- Pamięć. Naciskasz parę guzików i twój telefon dzwoni pod ostatni zapamiętany numer.

- Och - spojrzała na paznokcie, czując że powietrze z niej uchodzi. - Tak. Chyba jest coś takiego.

Spojrzał na jej pochyloną głowę.

- Pewnie nie pomyślałaś, żeby z tego skorzystać?

- Nie mogę myśleć o wszystkim - mruknęła. Potem spojrzała na niego z nadzieją.

- Może spróbujemy teraz?

- Odkąd wróciłem, telefon dzwonił ze trzy razy.

- Och - zerwała się z krzesła. - Dobrze, powiedz mi, że to spieprzyłam.

- Nie muszę, już się stało - pociągnął ją za włosy. - Nie bierz sobie tego tak do serca, Nancy Drew, nawet starym wygom zdarza się czasem wpadka.

Odepchnęła jego dłoń.

- Zjeżdżaj, Skimmerhorn.

- Brent i ja znajdziemy sposób na tego Petroya. Do tej pory już wrócimy.

- Wróćcie? Wybieracie się gdzieś?

- Nie. Ty i ja wybieramy się do Los Angeles - włożył kciuki do kieszeni. Nadal nie podobało mu się to, ale Dora nadała sprawie nowy kierunek.

- Jutro.

- Nadal mogę w tym uczestniczyć? - przycisnęła dłoń do serca, a potem otworzyła szeroko ramiona' i rzuciła się mu w objęcia. - Naprawdę mogę? - wstrząśnięta wizją przyszłości, pokryła jego twarz gradem pocałunków. - Wiedziałam, że mnie zrozumiesz.

- Nie zrozumiałem. Zostałem przegłosowany - nie zamierzał przyznać, że dostrzegł w jej pomyśle piękno prostoty i przekonał do niego Brenta.

- Nieważne - pocałowała go znowu ognście. - Jutro? - powtórzyła, odrywając się od niego. - Boże, tak szybko. Muszę się zdecydować, co na siebie włożyć.

- To najmniejsze z twoich zmartwień.

- Nie, nie, nie, właściwa prezentacja stanowi o roli. Granatowe prążki - zastanowiła się - bardzo grzeczne i oficjalne. A może czerwony kostium z podwójnym kołnierzem? Więcej mocy i seksu. Mogłabym skupić jego uwagę na moich nogach.

- Lepiej zdecyduj się na oficjalność.

Uśmiechnęła się na dźwięk nutki rozdrażnienia w jego głosie.

- A więc czerwony.

- Poza tym on nawet się z tobą nie zobaczy.

- Oczywiście, że się zobaczy - zamilkła i zmarszczyła brwi. - Co możemy zrobić, żeby zechciał się ze mną spotkać?

- Ponieważ zadzwonisz do niego i powiesz dokładnie to, co ci podyktuję.

- Rozumiem - przechyliła głowę, uniosła brew. - Napisałeś dla mnie scenariusz, Skimmerhorn? Szybko się uczyć. Za chwilę będę znać go na pamięć.

- Po prostu zrób to, co ci powiem.

\* \* \*

Winesap wszedł do gabinetu Finleya w Los Angeles ze zmarszczką zmartwienia na twarzy.

- Proszę pana, panna Conroy na linii drugiej. Chce z panem mówić.

- Doprawdy? - Finley zamknął akta, które właśnie studiował i splótł dłonie na ich okładce. - Interesujący rozwój sytuacji.

Dłonie Winesapa skręcały się niczym walczące koty.

- Kiedy rozmawiałem z nią dzisiaj, wydawała się chętna do współ pracy, proszę pana. I z pewnością nie wspominałem o panu. Nie rozumiem, co to może znaczyć.

Więc się dowiedzmy, dobrze? Siadaj, Ablu - uniósł słuchawkę i oparł się w fotelu z uśmiechem. - Panna Conroy? Mówi Edmund Finley. - Słuchał przez chwilę, a jego uśmiech stawał się coraz szerszy i bardziej złowieszczy. - Chyba nie nadążam za panią, panno Conroy. Chodzi pani o jednego z moich pracowników, Anthony'ego DiCarla? Ach tak. Rozumiem - wziął z biurka nóż do otwierania listów i sprawdził opuszką kciuka jego zaostriżony czubek. - Oczywiście rozumiem, że nasze osobiste spotkanie jest niezbędne. Nie wiem tylko, czy będę w stanie pani pomóc. Przekazaliśmy policji wszystko, co nam wiadomo o niespodziewanym zniknięciu pana DiCarlo - dodał po chwili. - Skoro uważa pani, że nie jest to sprawa na telefon, bardzo chętnie spotkam się z panią. Jutro? - uniósł brwi.

Delikatnie przeciągnął czubkiem ostrza po aktach, opatrzonych nazwiskiem „Conroy” - To dość szybko. Sprawa życia i śmierci? - z trudem opanował śmiech. - Sprawdzę, czy to możliwe. Zechce pani poczekać? Oddam słuchawkę mojemu zastępcy. Sprawdzi to w moim terminarzu. A zatem do zobaczenia.

Finley nacisnął przełącznik gestem pełnym wdzięku.

- Ma być o czwartej po południu.

- Ma pan zebranie o wpół do czwartej.

- Ma być o czwartej po południu - powtórzył Finley i podał mu słuchawkę.

- Tak jest - Winesap ujął ją spoconą, ręką. - Panna Conroy? Mówi Abel Winesap, zastępca pana Finleya. Odpowiadałby pani jutrzejszy termin? Obawiam się, że pan Finley dysponuje wolnym czasem jedynie o czwartej. Tak? Zna pani adres? Wspaniale. Pan Finley oczekuje pani.

- Rozkosznie - Finley kiwnął głową z aprobatą, kiedy Winesap odłożył słuchawkę. - Po prostu rozkosznie. Przyszła koza do woza - znowu otworzył akta Dory i uśmiechnął się dobrodusznie do jej dossier. - Z pewnością będę oczekiwać jej niecierpliwie. Oczyść mój plan dnia na jutrzejsze popołudnie. Nie życzę sobie, żeby ktoś mi przeszkadzał, kiedy spotkam się jutro z panną Isadora Conroy. Poświęcę jej całą moją uwagę.

\* \* \*

- Jutro o czwartej - powiedziała Dora i zwróciła się do Jeda. - Był zaskoczony, choć chętny do współpracy, miły, choć pełen rezerwy.

- A ty byłeś na krawędzi hysterii, choć kontrolowanej. Wbrew sobie czuł, że zrobiła na nim wrażenie. Uniósł palcem jej twarz i pocałował ją.

- Nieźle, Conroy. Całkiem nieźle.

- I jeszcze coś - nie wzięła go za rękę, choć miała na to ochotę. Gdyby to zrobiła, poczułby zimno jej dłoni. - Chyba właśnie rozmawiałam z panem Petroyem.

- Z Finleyem?

- Nie - zmusiła się do słabego uśmiechu - z jego zastępcą, Winesapem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kiedy taksówka zatrzymała się przed frontem różowej stiukowej willi - hotelem Beverly Hills, Dora poczuła zadowolenie i podziw.

- No, no, Skimmerhorn, zadziwiasz mnie. To mi wynagradza fakt, że nie zatrzymaliśmy się na noc w Plaża w Nowym Jorku.

- Pokój jest zarezerwowany na twoje nazwisko - Jed przyjrzał się Dorze podającej wdzięcznie dłoń odźwiernemu. Był to gest kobiety, która całe swoje życie spędziła na wysiadaniu z limuzyn. - Musisz zapłacić swoją kartą kredytową.

Rzuciła mu przez ramię miażdżące spojrzenie.

- Wielkie dzięki, łaskawco.

- Chcesz obwieścić wszem i wobec, że przyjechałaś tu z osobą towarzyszącą? - spytał, kiedy sunęła przez drzwi w stronę lobby. - Z gliniarzem?

- Zapomniałaś o słówku „były”.

- Właśnie - mruknął i zaczekał, aż Dora zamelduje się w hotelu. Olbrzymie lobby Beverly Hills Hotel nie wydawało się właściwym miejscem na oznajmienie, że określenie „były” już go nie dotyczy.

Dora przyjrzała się bacznie pomieszczeniu, szukając wzrokiem przechodzących gwiazd filmowych. Podała swoją kartę portierowi.

- Przyślę ci za to rachunek, Skimmerhorn.

- To ty tu chciałaś przyjechać. Rzeczywiście tak było.

- Więc zapłacisz pół kwoty - wzięła swoją kartę oraz dwa klucze i podała walizki czekającemu boyowi hotelowemu. - Niektórzy z nas nie są obrzydliwie bogaci.

- Niektórzy z nas - podchwycił, obejmując jej talię - zapłacili za samolot.

Ujął ją naturalny sposób, w jaki zaznaczył, że są razem, kiedy bagaż ładowany był do windy i niesiony do pokoju.

Dora szybko zrzuciła buty i podbiegła do okna, by wyrzeć. Nie ma nic bardziej kalifornijskiego, pomyślała, niż gładkie trawniki, królewskie palmy i przytulne domki ze stiukami.

- Nie byłam w Los Angeles, odkąd skończyłam piętnaście lat. Za trzymaliśmy się w niewiarygodnie kiepskim hotelu w Burbank, ponieważ mój ojciec dostał rolę w małym, niewartym wspomnienia filmie z Jonem Voightem. Żadnemu z nich nie pomógł w karierze.

Przeciągnęła się, zatoczyła kółeczko ramionami.

- Chyba jestem snobką. I snobuję się na Wschodnie Wybrzeże, ponieważ Los Angeles

nie robi na mnie wrażenia. Zaraz zaczynam myśleć o strachu przed workami pod oczami i modnych jogurtach. A może to chodziło o modne worki pod oczami i strach przed jogurtami. W końcu te jogurty są naprawdę straszne.

Odwróciła się; jej uśmiech przybrał wyraz zdziwienia, kiedy on tylko dalej na nią patrzył. - Co jest?

- Czasami lubię na ciebie popatrzeć, to wszystko. - Och.

Kiedy zauważył, że jego oświadczenie zarazem sprawiło jej przyjemność, jak i zakłopotano ją, uśmiechnął się.

- Jesteś w porządku, Conroy. Nawet z tym spiczastym podbródkiem.

- Nie jest spiczasty - potarła go obronnym gestem. - Jest delikatnie ukształtowany. Wiesz co, może powinniśmy byli zamówić apartament. Ten pokój jest trochę większy od szafy. A może wyjdziemy na chwilę, zjemy coś, powdychamy trochę smogu.

- Jesteś zdenerwowana.

- Ależ skąd - rzuciła torbę na łóżko i zaczęła rozpinać rzemyki.

- Jesteś zdenerwowana - powtórzył Jed. - Kiedy jesteś zdenerwowana, robisz się gadatliwa. Właściwie zawsze jesteś gadatliwa, ale kiedy jesteś zdenerwowana, twoja gadanina zyskuje nowy posmak. I ręce ci latają - położył na nich delikatnie swoje dłonie.

- Najwyraźniej stałam się łatwiejsza do przeniknięcia. Ostatni gwóźdź do trumny każdego związku.

Odwrócił ją ku sobie, trzymając w rękach jej dłonie.

- Masz prawo się denerwować. Bardziej martwiłbym się o ciebie, gdybyś była spokojna.

- Nie chcę, żebyś się martwił - ponieważ tak było naprawdę, zmusiła się, by uspokoić ręce. - Wszystko pójdzie świetnie. To klasyczna trema, to wszystko.

- Nie musisz tego robić. Mogę zjawić się tam zamiast ciebie.

- Nigdy nie pozwalałam, żeby dubler odebrał mi rolę - zrobiła głęboki wdech i wydech.

- Nic mi nie jest. Poczekamy, aż przeczytasz recenzje.

Ponieważ tak wyraźnie oczekiwała tego od niego, pociągnął tę grę dalej.

- Co zwykle robiłaś przed premierą? Zastanowiła się i przysiadła na brzegu łóżka.

- No, dużo chodziłam. Chodzenie pomaga. Można wtedy powtarzać w myślach rolę i ruchy sceniczne. Rozbierałam się z cywilnego ubrania i wkładałam szlafrok, było to jak zmienianie skóry. I mówiłam. Zwykle ćwiczenia na dykcję.

- Na przykład?

- Stół z powyłamywanymi nogami i takie tam rzeczy - uśmiechnęła się i poruszyła

koniuszkiem języka między zębami. - Trzeba rozruszać język.

- Twój zawsze wydawał się wystarczająco ruchliwy.

- Dzięki - roześmiała się i spojrzała na niego. - Dobra robota, Skimmerhorn. Już mi lepiej.

- Dobrze - zmierzwił jej włosy po bratersku i ruszył do telefonu. - Zamówię coś do jedzenia, a potem powtórzymy wszystko od nowa.

Dora jęknęła i padła jak długa na łóżko.

- Nie znoszę apodyktycznych reżyserów.

\* \* \*

Ale on nie dał jej za wygraną. Dwie godziny później mieli już za sobą posiłek, kłótnię, rozważenie każdej możliwości, a on wciąż był niezadowolony. Słuchał, jak Dora recytuje w łazience ćwiczenia dykcyjne i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w drzwi. Czułby się lepiej, gdyby miała na sobie podsłuch. Wiedział, że to głupie, bo przecież miała wejść w biały dzień do biura, w którym znajdowały się dziesiątki ludzi, ale to by mu ulżyło. Upierałby się przy tym, gdyby nie podejrzewał, że ochrona Finleya mogłaby to zauważyć.

To zupełnie proste, powtórzył po raz setny. Zupełny lub prawie zupełny brak ryzyka. Już dawno dopilnował, by wyeliminowano niemal każdy element niebezpieczeństwa.

Właśnie to jedno słówko - „niemal” - nie dawało mu spokoju.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Dora w czerwonym kostiumie, podkreślającym wszystkie atuty tego seksownego ciała i ukazującym nogi, które mogłyby przyprawić o ślinotok każdego mężczyznę na tym padole łez.

- Jak sądzisz? - przy każdym uchu trzymała inną parę kolczyków. - Kropelki czy węzélki?

- Skąd mam wiedzieć, do cholery?

- Węzélki - zdecydowała. - Są bardziej dyskretne - włożyła je do dziurek w uszach. - Zapomniałam już, jak dobrze jest włożyć kostium. Już czuję ten dreszczyk, który podnosi mi poziom adrenaliny - sięgnęła po buteleczkę perfum.

Ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się, jak rozpyła je na sobie - na szyi, karku, przegubach, w zagłębieniach pod kolanami. Ten kobiecy rytuał obudził w nim dziwny dreszcz. Kiedy wzięła swoją zabytkową srebrną szczotkę i przesunęła nią powoli po włosach, zrozumiał już, co to było. Zaczął czuć się jak podglądacz.

- Wyglądasz dobrze - musiał odchrząknąć. - Możesz już przestać się mizdrzyć.

- Czesanie się to nie mizdrzenie. To podstawowy zabieg higieniczny - przesunęła

szczotką po włosach i zauważyła w lustrze jego spojrzenie. - Przysięgłabym, że denerwujesz się jeszcze bardziej, niż ja.

- Trzymaj się tylko planu i zapamiętaj wszystko, co zobaczysz. Nie mów o obrazie. Nie masz o nim pojęcia. Spróbuj przyjrzeć się Winesapowi. Sprawdzamy go, ale chcę poznać twoje wrażenia - nie spekulacje, wrażenia.

- Wiem - odłożyła cierpliwie szczotkę - Jed, wiem dokładnie, co i jak mam zrobić. To proste, o tyle prostsze, że mogłabym tak postąpić, gdybym nie wiedziała niczego o tym obrazie. To zupełnie logiczny krok.

- I pilnuj swojego tyłka.

- Kochanie, w tym liczę na ciebie.

\* \* \*

Wystrój biura Finleya zrobił wrażenie na Dorze, usiłującej zebrać cenne obserwacje. Tak jak podejrzewała, Finley był kolekcjonerem, a ten obopólny konik mógł stanowić mocny fundament ich znajomości. Miała zimne ręce. To też dobrze. Prawdziwe zdenerwowanie mogło nadać właściwy ton jej wizycie.

Trudno było utrzymać to zdenerwowanie i wytrwać w charakterze roli, kiedy miała taką ochotę, by podejść i dokładnie przyjrzeć się niektórym skarbowi Finleya. Czuła sympatię do każdego, kto stawiał w poczekalni malachitowe wazy i figuryнки Chiparus. A sofa, na której siedziała, nie była imitacją wczesnego Chippendale'a, pomyślała Dora z uszanowaniem, rokoko w znakomitym stylu.

Miała szczerą nadzieję, że Finley udowodni, że jest czysty. Wtedy z rozkoszą nawiąże z nim stosunki handlowe.

Lecz jeśli nie...

Ta myśl zdenerwowała ją na nowo. Jej palce sięgnęły ku broszce w kształcie kalii, kwitnącej w klapie jej żakietu, wygładziły spódnice. Spojrzała na zegarek.

Niech to, dziesięć po czwartej, pomyślała. Jak długo każe jej czekać?

\* \* \*

- Wspaniale. Wspaniale - mrucał Finley do postaci Dory na ekranie video. Była dokładnie tak śliczna, jak spodziewał się na podstawie słowniałych fotografii w gazecie, którą Winesap znalazł w teatralnym archiwum. Jej garderoba zdradzała zamiłowanie do koloru i linii, jak również upodobanie do podkreślania kobiecości. Szanował kobiety, umiejące prezentować swoje największe zalety.

Podobało mu się, że ciągle przeczesuje włosy palcami i przesuwa je po ciele. Nerwy,



pomyślał zadowolony. Pająk bardziej cieszy się muchą przerażoną niż zrezygnowaną. A mimo zdenerwowania, zauważył, że jej oczy wciąż biegły ku eksponatom z jego kolekcji. To mu pochlebiało.

Zrozumiemy się bardzo dobrze, uznał. Doprawdy znakomicie.

Zadzwoił na recepcjonistkę. Pora zaczynać.

- Pan Finley prosi panią do siebie.

- Dziękuję - Dora wstała, wzięła pod pachę swoją kopertówkę i poszła za kobietą w stronę podwójnych drzwi.

Kiedy weszła do gabinetu, Finley uśmiechnął się i wstał.

- Panno Conroy, bardzo mi przykro, że kazałem pani czekać.

- Jestem bardzo szczęśliwa, że w ogóle znalazł pan dla mnie czas - przeszła przez dywan, ocean bieli, i ucisnęła wyciągniętą dłoń. Pierwsze wrażenie, jakie odniosła na jego widok, to była witalność, zdrowie i świadoma siebie siła.

- Wydawało się, że sprawa jest dla pani ważna. Czym mogę służyć? Kawa, herbata, może wino?

- Poproszę o wino, jeśli pan łaskaw - i o rekwizyt w postaci kieliszka, który będę mogła ścisnąć nerwowo, opowiadając moją historię, pomyślała.

- Pouilly - Fume, Barbara. Proszę siadać, panno Conroy. Proszę się rozgościć - obszedł biurko i zajął miejsce obok niej. Był to ruch obliczony na rozbrojenie jej. - Miała pani dobrą podróż?

- Długą - Dora uśmiechnęła się przelotnie - ale nie powinnam narzekać. Pogoda zaczęła się psuć już wtedy, gdy byłam w domu. Ale jutro wracam.

- Tak szybko? - Jego oczy błysnęły z należytym zainteresowaniem. - Pochlebia mi, że tak piękna młoda kobieta wybiera się w taką podróż tylko po to, żeby spotkać się ze mną.

Recepcjonistka otworzyła butelkę wina. Najwyraźniej, pomyślała Dora, jej obowiązki obejmują również funkcję podczaszego. Podała Finleyowi korek i naląła do jego kieliszka odrobinę wina do skosztowania.

- Tak - powiedział, posmakowawszy go i przełknąwszy. - To w zupełności wystarczy.

Sekretarka napełniła oba kieliszki i bezszelestnie usunęła się z pokoju. Finley uniósł swój kieliszek.

- Za pani zdrowie, panno Conroy, i za pani bezpieczny powrót do domu.

- Dziękuję - było to znakomite wino, jedwabiste o ledwie dostrzegalnym smaku dymu.

- Wiem, że to mogło głupio zabrzmieć, że chciałam przyjechać tutaj, żeby spotkać się z panem. Ale naprawdę czułam się do tego zmuszona. - Spojrzała na blade złote wino, jakby

zbierając się w sobie. Zacisnęła palce na nóżce kieliszka. - A teraz, kiedy już tu jestem, nie mam pojęcia, jak zacząć.

- Widzę, że jest pani wytrącona z równowagi - powiedział łagodnie Finley. - Proszę się nie spieszyć. Powiedziała mi pani przez telefon, że chodzi o Anthony'ego Di Carla. Czy jest pani jego... - zamilkł na chwilę - ... przyjaciółką?

- Och, nie - spojrzała na niego z przerażeniem. Aby uzyskać ton pełen obrzydzenia, przypomniała sobie głos DiCarla, szepczącego wprost do jej ucha. - Nie. On... proszę pana, muszę zapytać, na ile go pan zna.

- Osobiście? - wyduł usta w zamyśleniu. - Obawiam się, że nie znam moich pracowników tak dobrze, jak powinienem. Moje przedsiębiorstwo jest już bardzo rozgałęzione, a to niestety wyklucza bliską znajomość. Tuż przed świętami urządziliśmy spotkanie. Nie zauważyłem niczego odbiegającego od normy. Był równie godny zaufania, jak zawsze.

- A więc pracuje dla pana od pewnego czasu?

- Od sześciu lat, jak mi się zdaje. Mniej więcej - pociągnął łyk wina. - Odkąd zniknął w tak dziwny sposób, studiuję jego dossier, by odświeżyć nieco pamięć. Pan DiCarlo miał tu znakomitą opinię. Awansował dość szybko. Cechowała go inicjatywa i ambicja. Obie te cechy uważam za godne wyróżnienia. Pochodzi z biednej rodziny, rozumie pani.

Kiedy tylko potrząsnęła głową, uśmiechnął się i ciągnął dalej.

- Tak jak i ja. Pragnienie, by się doskonalić - oto cecha, którą cenię w moich pracownikach i którą chętnie wynagradzam. Jako jeden z moich przedstawicieli na Wschodnim Wybrzeżu okazał się godny zaufania i przebiegły - znowu się uśmiechnął. - W moim zawodzie, niestety, trzeba być przebiegłym. Bardzo nie lubię nieczystej gry. Jak wskazują akta pana DiCarla, nie jest to człowiek, który sprawiłby mi zawód w tym względzie.

- Chyba... chyba wiem, gdzie teraz jest.

- Naprawdę? - w oku Finleya pojawił się błysk.

- Chyba jest w Filadelfii - Dora pociągnęła szybki łyk wina, jakby dodając sobie odwagi. Jej ręce zadygotały. - Chyba... chyba mnie śledzi.

- Moja droga - Finley dotknął jej ręki - śledzi panią? Co to znaczy?

- Przepraszam. To nie ma sensu. Muszę zacząć od samego początku. Opowiedziała tę historię dobrze, robiąc kilka pauz dla odpowiedniego efektu i jedną dużą przerwę, kiedy opisała atak.

- I nie rozumiem - skończyła. W jej oczach kręciły się łzy. - Nie rozumiem dlaczego.

- Moja droga, to musiało być dla pani okropne - Finley wydawał się przejęty

współczuciem i zakłopotaniem. Jego umysł wykonywał szybkie kalkulacje. Wygląda na to, że DiCarlo zostawił po sobie parę wyraźnych śladów, pomyślał. W jego raporcie nie było wzmianki o próbie gwałtu ani o dzielnym sąsiedzie, przybywającym na ratunek. To by tłumaczyło siniaki na jego twarzy, z którymi pojawił się podczas swojej ostatniej, i to dokładnie, wizyty.

- Twierdzi pani - zaczął Finley, głosem znamionującym lekki wstrząs - że człowiek, który włamał się do pani sklepu, człowiek, który panią napadł, to Anthony DiCarlo?

- Widziałam jego twarz - Dora splotła ręce, jakby starając się zachować spokój. - Nigdy jej nie zapomnę. I zidentyfikowałam go na policji. Zabił policjanta, proszę pana, i kobietę. Drugą kobietę zostawił na pewną śmierć. To jedna z moich klientek. - Myśl o pani Lyle sprawiła, że po jej policzku pociekła pierwsza łza. - Przepraszam. Byłam taka zdenerwowana, taka przerażona. Dziękuję panu - wyjąkała, kiedy Finley podał jej uprzejmie chusteczkę. - To zupełnie bez sensu, sam pan widzi. Ukradł zaledwie parę drobiazgów, a z mieszkania pani Lyle, mojej klientki, nie zabrał niczego naprawdę wartościowego. Tylko psa z porcelany, statuetkę którą kupiła u mnie poprzedniego dnia. Chyba zwariował - szepnęła, opuszczając dłoń. - Musiał oszaleć.

- Mam nadzieję, że zrozumie pani, jak trudno mi przyjąć to do wiadomości. Pan DiCarlo pracował u mnie od lat. Mój pracownik, napadający na kobiety, mordujący policjantów. Panno Conroy... Isodoro - znowu ujął delikatnie jej rękę, niczym ojciec uspokajający dziecko po nocnym koszmarze. - Czy ma pani absolutną pewność, że to był Anthony DiCarlo?

- Widziałam jego twarz - powtórzyła. - Policja twierdzi, że był notowany. Nie za... za coś takiego, i nie ostatnio, ale...

- Wiem, że miał jakieś kłopoty - Finley oparł się z westchnieniem. - A ja rozumiałem potrzebę przewycięzania dawnych błędów. Ale nigdy bym nie uwierzył... Wygląda na to, że pomyliłem się w jego ocenie, i to bardzo. Jak mogę ci pomóc?

- Nie wiem - Dora zmięła chusteczkę. - Chyba spodziewałam się, że znajdzie pan jakieś wyjście z tej sytuacji, że wskaże pan policji jakiś trop. Gdyby skontaktował się z panem...

- Moja droga, zapewniam cię, że jeśli skontaktuje się ze mną, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by oddać go w ręce policji. Może jego rodzina o czymś słyszała?

Postarała się, by jej łzy przestały płynąć. Już spokojniejsza, pokręciła głową.

- Policja chyba już ich przesłuchiwała. Myślałam o tym, żeby spotkać się z jego matką, ale nie byłam w stanie tego zrobić. Nie mogłam się na to zdobyć.

- Zadzwoń do kilku osób. Zrobię wszystko, co leży w mojej mocy.

- Dziękuję - po drżącym westchnieniu nastąpił drżący uśmiech. - Czuję się lepiej, kiedy coś robię. Najgorsze jest to czekanie, nieświadomość tego, gdzie w tej chwili jest i co zamierza. Boję się zasypiać. Gdyby wrócił... - dreszcz, który ją przejął, nie był udawany - nie wiem, co bym zrobiła.

- Nie ma żadnego powodu, by to zrobił. Czy na pewno nie dał ci do zrozumienia, dlaczego wybrał twój sklep?

- Nie. Dlatego jestem taka przerażona. Być przypadkową ofiarą... No i pani Lyle. Zastrzelił jej gospodynię, a ją zostawił na pewną śmierć, a wszystko dla jakiejś statuetki - jej oczy, nadal wilgotne, były niewinne i szczerze. - Przecież nie zabija się za coś takiego, prawda?

- Chciałbym to wiedzieć - Finley westchnął z uczuciem. - Być może, tak jak mówisz - oszalał. Ale pokładam zaufanie w policji. Mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że pan DiCarlo nie będzie cię już niepokoił.

- Staram się w to wierzyć. Był pan dla mnie bardzo uprzejmy, proszę pana.

- Edmundzie.

- Edmundzie - powtórzyła, uśmiechając się z otuchą. - Już samo mówienie o tym pomogło mi. Chciałabym cię o coś prosić: gdybyś dowiedział się o czymś, o czymkolwiek, zadzwoń. Policja nie udziela mi zbyt wielu informacji.

- Rozumiem. I, oczywiście, będę utrzymywał z tobą kontakt. Mam tu znakomity zespół ochroniarzy. Przydzielę im to zadanie. Jeśli DiCarlo zostawił jakieś ślady, znajdą je.

- Tak - zamknęła oczy, rozluźniła napięte ramiona. - Wiedziała, że mam rację, przychodząc do ciebie. Dziękuję - kiedy wstała, ujął jej dłoń w swoje ręce. - Dziękuję, że zechciałaś mnie wysłuchać.

- Żałuję tylko, że nie mogę zrobić więcej. Uważałbym się za zaszczyconego, gdybyś zechciała zjeść dziś ze mną kolację.

- Kolację? - nie wiedziała, co ma powiedzieć.

- Nie chcę zostawiać cię samej, wytraconej z równowagi. Czuję się za ciebie odpowiedzialny. DiCarlo to w końcu mój pracownik. Był nim - poprawił się z uśmiechem.

- To bardzo uprzejme z twojej strony.

- A więc zgódź się. Ulżyj nieco memu sumieniu. I, przyznaję, spędzenie wieczoru ze śliczną młodą kobietą, dzielącą ze mną zainteresowania, sprawi mi wielką przyjemność.

- Zainteresowania?

- Kolekcjonowanie - Finley wskazał szafkę z eksponatami. - Skoro prowadzisz sklep z

antykami, chyba zainteresują cię niektóre z moich skarbów.

- Oczywiście. Na pewno znasz się na tym lepiej ode mnie, ale już teraz kilka przedmiotów wzbudziło mój podziw. Końska głowa? - skinęła w stronę kamiennej rzeźby. - Dynastia Han?

- Dokładnie - uśmiechnął się niczym profesor do prymuski. - Masz dobre oko.

- Kocham przedmioty - wyznała. - Posiadanie przedmiotów.

- Ach tak. Rozumiem. - Musnął opuszką palca jej broszkę - filigran, początek dziewiętnastego wieku.

Odwzajemniła jego uśmiech.

- Ty również masz dobre oko.

- Mam pewną broszkę, którą chciałbym ci pokazać - pomyślał o broszce z szafirem i z przyjemnością wyobraził sobie, jaką ironią byłoby pokazanie jej tego klejnotu. - Otrzymałem ją całkiem niedawno i wiem, że doceniłabyś jej wartość. A więc postanowione. Przyślę po ciebie samochód. Powiedzmy o wpół do ósmej.

- Ja...

- Proszę, nie zrozum mnie źle. W moim domu jest wielu służących, więc będziesz dobrze strzeżona. A nie zawsze mam okazję prezentowania moich skarbów komuś, kto zna ich prawdziwą wartość. Chciałbym poznać twoją opinię o mojej kolekcji puzderek na wonności.

- Puzderek na wonności? - powiedziała Dora z westchnieniem. Gdyby nie przybyła tu z pewną misją, musiałyby się zgodzić. Jak można oprzeć się kolekcji puzderek?

- Z rozkoszą.

\* \* \*

Dora wpadła do hotelu, unosząc się na skrzydłach sukcesu. Zastała Jeda chodzącego po pokoju siwym od dymu i trzęsącym się w posadach od hałasu filmu wojennego, pozostawionego samemu sobie.

- Dlaczego to tak długo trwało, do ciężkiej cholery?

- Tylko godzinę - zrzuciła buty, podchodząc do niego. - Byłam świetna - oznajmiła i objęła go za szyję.

- To ja ci powiem, czy byłaś świetna - położył dłoń na jej głowie i nacisnął, zmuszając ją do zajęcia miejsca na fotelu. Złapał za pilota i położył kres wojnie naciśnięciem guzika.

- Opowiedz mi o Finleyu. Wszystko, od samego początku.

- Jest jakaś kawa? - zajrzała do dzbanka, pociągnęła nosem. - Pozwól mi przez chwilę

odetchnąć, dobra? - nalała sobie kawy i wypila ją, gorzką i letnią. - Mam ochotę na sernik - zazaądała. - Zamów mi jakiś sernik, dobrze?

- Nie przeciągaj struny, Conroy.

- Nie umiesz czerpać radości z drobnych rzeczy. Dobrze - upiła ostatni łyk i zaczęła opowiadać.

- Był naprawdę miły - zakończyła. - Pełen zrozumienia i odpowiednio wstrząśnięty. Ja oczywiście, perfekcyjnie odegrałam rolę rozstrojonej, bojącej się własnego cienia bohaterki. Policja po prostu nie robi nic, żeby mnie uspokoić, więc on uprzejmie zaofiarował się, że zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, włącznie z wynajęciem firmy detektywistycznej.

- A co z Winesapem?

- Nie było go. Od razu o niego zapytałam, ale recepcjonistka powiedziała, że dziś ma dzień wolny.

- Jeśli to on ma się spotkać z tobą w najbliższy czwartek, nie mógł pozwolić, żebyś go zobaczyła.

- Też tak pomyślałam. Więc wychodząc, zatrzymałam się, żeby pomówić z gorylem na parterze. Powiedziałam mu, że widziałam na tabliczce nazwisko Abła Winesapa, a mój ojciec pracował kiedyś, przed laty, z Ablem Winesapem, z którym utracił kontakt. Więc go spytałam, czy to taki wysoki, zwały, rudy mężczyzna. Okazuje się, że ten Winesap jest niski, chudy, zgarbiony i łysiejący.

- Dobra robota, Nancy.

- Dziękuję, Ned. Jak myślisz, czy Nancy i Ned kochali się z sobą? Wiesz, na tylnym siedzeniu samochodu po zakończeniu jakiejś szczególnie udanej sprawy.

- Lubię bawić się tą myślą. Do rzeczy, Conroy.

- Dobrze - teraz nadchodzi trudny moment, pomyślała. Muszę rozegrać to bardzo ostrożnie. - Gabinet Finleya jest niesamowity - a, zapomniałam powiedzieć o monitorach. Ma monitory na całej ścianie. Trochę obłeśne, nie sądzisz? Monitor przy monitorze, bezszelestne obrazki z różnych części budynku.

Chyba wszędzie ma zamontowane kamery. Ale to nie dlatego jego gabinet jest taki niesamowity. Jego lampa Galie przyprawiła mnie o palpitację serca. I koń Han. Niemal nienaruszony. No i tak się porobiło, że dziś wieczorem zobaczę jego całą kolekcję.

Jed złapał ją za przegub, zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze.

- Powiedz to jeszcze raz, Conroy, tylko wolniej.

- Zjem z nim kolację.

- Dlaczego tak uważasz?

- Ponieważ mnie zaprosił, a ja przyjąłam zaproszenie. A zanim zaczniesz wykluczać wszystkie powody, dla których nie powinnam tego robić, powiem ci, dlaczego powinnam - przemyślała to punkt po punkcie w drodze powrotnej. - Podczas spotkania był dla mnie bardzo uprzejmy - przejęty i współczujący. Sądzi, że jestem w mieście sama, i że jestem wytrącona z równowagi. Wie, że bardzo interesuję się antykami. Gdybym odmówiła, wszystko bym zepsuła.

- Jeśli on ma z tym coś wspólnego, ostatnim miejscem, w którym powinnaś znaleźć się z nim na osobności, jest jego dom.

- Jeśli ma z tym coś wspólnego - zripostowała - ostatnim miejscem, w którym mogłoby się coś stać jest jego dom. Zwłaszcza, jeśli powiem, że zadzwoniłam do rodziców, żeby powiedzieć że dojechałam szczęśliwie, a kolację zjem u niego.

- Głupi pomysł.

- Wcale nie. Będę miała czas, żeby go urobić. Lubi mnie - dodała i ruszyła w stronę szafy. Wyjęła z niej małą czarną sukienkę i zestawiała ją z błyszczącym bolerkiem w czerwone i złote pasy. Przyłożyła je do siebie i spojrzała w lustro. - Nie chciał, żebym spędziła samotny, rozdygotany wieczór w Los Angeles.

Jed spojrzał zwięzionymi oczami na migoczące cekiny.

- Dobierał się do ciebie?

Dora przestała rozpinać marynarkę.

- Jesteś zazdrosny, Skimmerhorn? - zachichotała krótko, zachwycona. - Czyż to nie słodkie?

- Nie jestem zazdrosny.

Nigdy w życiu nie był zazdrosny o kobietę. Nigdy. I nie zamierzał teraz tego zmieniać.

- Zadałem ci proste pytanie i oczekuję odpowiedzi.

Zdjęła marynarkę, ukazując kremowy jedwab i koronki stanika.

- Chyba chcesz postawić mnie w niezręcznej sytuacji i zmusić mnie do ponownego wyznania ci miłości. Tego byśmy nie chcieli, prawda?

Zaklął pod nosem, czując skurcz żołądka. Sięgnął po następnego papierosa.

- Może mam już powyżej uszu pytania, jak ubierasz się dla innego?

- Przecież po to tu jestem, prawda? Żeby spotkać się z nim, zyskać jego współczucie i zaufanie i dowiedzieć się wszystkiego, co można - przechyliła głowę i spojrzała na zaciętą twarz Jeda. - Czy poczujesz się lepiej, jeśli powiem ci, że nie zamierzam pójść z nim do łóżka?

- O tak, teraz mogę spać spokojnie - wydmuchnął gwałtownie kłęb dymu. - Nie

podoba mi się, że idziesz tam sama. Nie wiem o nim dostatecznie dużo i nie podoba mi się to.

- Będiesz wiedział więcej, kiedy wrócę, prawda? - podeszła do wieszaka. Jed przeszedł przez pokój tak cicho, że podskoczyła, gdy jego ręce spoczęły na jej ramionach.

- Nie zwykłem czekać. Powiesiła starannie marynarkę.

- Chyba to rozumiem.

- Nigdy wcześniej nie miałem nikogo, o kogo mógłbym się martwić. Nie podoba mi się to.

- To również rozumiem - rozpięła spódnicę i zawiesiła ją porządnie na innym wieszaku. - Nic mi nie będzie.

- Jasne - przytulił policzek do jej głowy. - Doro... - co mógłbym jej powiedzieć? pomyślał. Nic, co przemykało mu przez głowę nie wydawało się odpowiednie. - Będzie mi cię brakowało. Chyba przywykłem do ciebie.

Uśmiechnęła się, wzruszona i dotknęła dłonią jego ręki.

- Aleś ty sentymentalny, Skimmerhorn. Serce na dłoni, codziennie bukiety kwiatów.

- Czy tego właśnie chcesz? - odwrócił ją twarzą do siebie. - Czy to tego szukasz?

Jej uśmiech nie znalazł odbicia w oczach, kiedy przesunęła kostkami palców po jego policzku.

- Serce już mam, dziękuję, a kwiaty mogę kupić, kiedy tylko mi się spodoba - musnęła jego wargi kojącym pocałunkiem. - Mam godzinę do wyjścia. Może zaniósłbyś mnie do łóżka?

Byłaby to przyjemność i ulga, ale i to, i to musiało na razie poczekać.

- Mamy co innego do roboty, Conroy. Włóż szlafrok i omówimy główne problemy tej całej kolacji.

Sapnęła i odstepiła od niego.

- Stoję przed tobą niemal w samych podwiązkiach, a ty mi mówisz, żebym włożyła szlafrok?

- Właśnie.

- Przyzwyczyłeś się do mnie - mruknęła.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dokładnie o wpół do ósmej Dora wsiadła do białego mercedesa. Na siedzeniu leżał jeden pączek róży, a z głośników stereo sączyły się dźwięki Beethovenowskiej sonaty. Obok kryształowej czarki z kawiolem mroziła się butelka szampana.

Przesunęła miękkimi płatkami po policzku i spojrzała w stronę okna, przez które obserwował ją Jed.

Niedobrze, pomyślała, podczas gdy samochód płynnie ruszył przed siebie. Wygląda na to, że potrzeba mi serca i kwiatów, a mężczyzna, który znaczy dla mnie najwięcej, nie jest w stanie mi tego dać.

Obejrzała się; zauważyła mężczyznę w samym garniturze, wsiadającego do ciemnego sedana i ruszającego za nimi.

Zamknęła oczy, zsunęła buty i przesunęła z rozkoszą nagą stopą po aksamitnym dywanie. Zostawiła za sobą wszystkie myśli o Jedzie.

Przez najbliższe kilka godzin miała być sama.

Trzymając w ręku kieliszek szampana i tost z kawiolem, zaczęła rozkoszować się jazdą. W innych okolicznościach zaczęłaby rozmawiać z kierowcą, ale teraz zatoneła w milczeniu, przygotowując się do Drugiego Aktu.

Po wrażeniach z biura Finleya, spodziewała się, że dom Finleya będzie przypominał pałac.

I rzeczywiście. Szybka jazda, migające kusząco szczyty domów, widoczne przez rozłożyste drzewa. A potem ściana z kamienia, cegły i szkła, migoczącego w ostatnich ognistych blaskach zachodzącego słońca.

Świetnie dobrana dekoracja.

Wysiadając, wzięła ze sobą różę.

Miała tylko chwilę na zachwyt nad kołatką w kształcie delfina. Później drzwi uchylily się, ukazując kobietę w stroju pokojówki.

- Panno Conroy, pan Finley prosi, żebyzaczekała pani w bawialni.

Dora bez skrępowania podziwiała wspaniałość holu. W salonie mruknęła twierdząco, kiedy pokojówka zaproponowała jej kieliszek wina i z ulgą przyjęła moment, kiedy znalazła się sama, by oddać się podziwianiu skarbów Finleya.

Czuła się, jakby weszła do prywatnego muzeum, urządzonego tylko dla niej. Wszystko, na czym spoczywał jej wzrok, było olśniewające, a każdy kolejny przedmiot wydawał się wspanialszy od poprzedniego. Tak wspaniały, że miała ochotę paść na kolana.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze w stylu Jerzego III, przesunęła delikatnie palcami po mahoniowym fotelu z tego samego okresu, zakwiliła żałośnie nad japońskim tygrysem Kakemon.

Finley zastał ją pochłoniętą zupełnie kolekcją netsuke.

- Widzę, że podobają ci się moje zabawki.

- O tak - odwróciła się od kolekcji z oczami ciemnymi i błyszczącymi z zachwytu. - Czuję się całkiem jak Alicja, która właśnie trafiła do najpiękniejszego zakątka Krainy Czarów.

Roześmiał się i nalał sobie kieliszek wina. Wiedział, że Dora sprawi mu przyjemność.

- Byłem pewien, że pokazanie ci swoich skarbów sprawi mi przyjemność. Obawiam się, że spędzam z nimi zbyt wiele czasu.

- Dzięki panu ta podróż okazała się wspaniałym przeżyciem.

- A zatem jestem zadowolony - podszedł i objął ją lekko w pasie. Był to gest pozbawiony erotycznych podtekstów. Dora nie miała pojęcia, dlaczego pod jego przyjacielskim dotykiem poczuła nagły dreszcz. - Przyglądałaś się moim netsuke. - Otworzył szafkę i z premedytacją wybrał egzemplarz, który został przemycony jako podpórka pod książkę. - Nie do każdego przemawia to poczucie humoru i seksualność, a także artyzm wykonania tych drobiazków.

Roześmiała się i ujęła posążek.

- A oni wyglądają na tak zadowolonych z siebie, kiedy tak trwają w tym momencie oczekiwania. Trudno sobie wyobrazić jakiegoś surowego samuraja z czymś takim dyndającym u obi.

Finley ledwo się uśmiechnął.

- A jednak dokładnie tak to sobie wyobrażam. Noszone przez wojownika, w łóżku i w czasie walki. Może przez kogoś z rodziny Tokugawa. Lubię wymyślać historię każdemu z moich nabytków - odłożył figurkę na miejsce. - Czy mogę oprowadzić cię przed kolacją?

- O tak - wsunęła dłoń pod jego ramię.

Jest erudyta, gawędziarzem i znawcą, pomyślała Dora. A jednak, zanim upłynęła godzina, poczuła nagły niepokój, sama nie wiedząc dlaczego.

Był zachłanny, kiedy chodziło o jego własność, ale to rozumiała. W stosunku do niej zachowywał nieskazitelne maniery, a jednak odnosiła coraz silniejsze wrażenie, jakby była subtelnie gwałcona. Granie wyznaczonej roli wymagało od niej wszystkich umiejętności i całkowitej kontroli. Kiedy kończyli swój obchód, wiedziała już, że nawet piękna i unikalności może być za wiele.

- A to broszka, o której już wspominałem - Finley podał jej szafirową broszkę, podniecony faktem, że prezentuje Dorze wszystkie przemycone owego dnia przedmioty, jeden po drugim. - Kamień jest naturalnie wspaniały, ale oprawa zwraca uwagę swoim mistrzostwem, a w dodatku on również ma swoją historię.

- Jest piękna.

I rzeczywiście była; błękitne oko mrugające do niej z gniazdka z delikatnego złotego filigranu i płomiennych brylantów, zarazem piękne i tragiczne. Tragiczne, zrozumiała, ponieważ na zawsze uwięzione za szkłem. Już nigdy nie będzie ozdabiać jedwabnych kobiecych sukien, już nigdy nie wywoła uśmiechu na twarzy podziwiającej siebie kobiety.

Być może na tym polegała różnica między nimi. Ona dawała swoim skarbom nowe życie; Finley je go pozbawiał.

- Podobno należał do królowej - powiedział Finley, obserwując ją, szukając na jej twarzy błysku rozpoznania - Marii, królowej Szkocji. Zastanawiam się zawsze, czy miała ją na sobie, kiedy pojmano ją za zdradę.

- Wolę myśleć, że miała ją na sobie, galopując przez wrzosowiska.

- A to - wskazał etui - to należało do innej nieszczęśliwej królowej. To prezent Napoleona dla Józefiny. Zanim rozwiódł się z nią za to, że była bezpłodna.

- Użyczasz swoim skarbom smutnej historii, Edmundzie.

- To, że łączy się z nimi cierpienie, tylko podwyższa ich wartość w moich oczach. Drobiazgi, należące do bogaczy i władców, teraz w rękach parweniusza. Może przejdziemy do jadalni?

Podano homara i kaczkę po pekińsku, tak delikatną, że niemal rozpływała się w ustach. Posiłek podano na porcelanie z Limoges, sztucce wykonano z georgiańskiego srebra. Dom Perignon perlił się w zabytkowych waterfordach lśniących niczym kryształowe lzy.

- Opowiedz mi o swoim sklepie - zachęcił ją Finley. - To musi być niezwykle podniecające codziennie sprzedawać i kupować, mieć do czynienia z pięknymi rzeczami.

- Naprawdę za tym przepadam - Dora zmusiła się, by się odprężyć i rozkoszować posiłkiem. - Niestety, większość tego, z czym mam do czynienia, leży poza twoimi zainteresowaniami. Handluję antykami i rzeczami z wyprzedaży, a także... - starzyzną, niemal usłyszała szczydzący i kojący głos Jeda - ... różnymi ciekawostkami - skończyła dość kwaśno. - Uwielbiam kicz tak samo jak piękno.

- I, tak jak ja, lubisz posiadać, mieć kontrolę. Robienie pieniędzy na czymś, co się kocha, ma w sobie coś nieodparcie pociągającego. Nie każdy może, lub ma odwagę, odnieść sukces. Sądzę, Isadora, że ty masz bardzo dużo odwagi.

Poczuła skurcz żołądka, ale udało się jej przełknąć kęs kaczki.

- Moja rodzina uważa to raczej za krnąbrność. Przykro mi to wyznać, ale bardzo łatwo mnie przerazić.

- Nie doceniasz się; w końcu przyjechałaś tu, do mnie - uśmiechnął się, patrząc na nią znad okularów oczami ostrymi jak sztylety. - Mogłaś przypuszczać, że DiCarlo wykonywał moje rozkazy. W końcu jest, był, moim pracownikiem.

Kiedy pobladła i upuściła z hałasem widelec, roześmiał się i poklepał ją po ręce.

- Teraz cię przestraszyłem. Przepraszam. Powiedziałem to tylko po to, żeby przedstawić mój punkt widzenia. Po co miałbym kazać DiCarlo, żeby włamywał się do twojego sklepu i kradł z niego parę drobiazgów, kiedy tak łatwo mógłbym je zdobyć na własną rękę.

- Wątpię, żebym miała coś, co uznałbyś za interesujące.

- Och, nie zgadzam się z tobą - uśmiechnął się i skinął, żeby podano deser. - Uważam, że masz do zaoferowania bardzo wiele interesujących rzeczy. Powiedz - dodał - czy kiedykolwiek wpadł ci w ręce jakiś Grueby?

- Kiedyś miałam posążek chłopca, niestety, bardzo zniszczony. Zaciskała leżące na jej kolanach ręce w pięści. Podano czekoladowy suflet.

- Zauważyłam twoją wazę w bibliotece. Jest śliczna.

W takiej dyskusji o zastawie stołowej rozluźniła się nieco i uznała, że tylko wydawało się jej, że zastawia na nią pułapkę.

Później usiedli przed ogniem, spokojnie trzaskającym na kominku w salonie i wypili kawę z koniakiem. Znowu zaczęli rozmawiać swobodnie, niczym starzy przyjaciele. Przez cały czas nerwy Dory były napięte jak struny. Nigdy w życiu nie miała takiej ochoty na ucieczkę.

- Wybacz, że tak przedłużyłem twój pobyt w mieście - Finley przekładał z ręki do ręki małą porcelanową figurkę nagiej kobiety.

- Prowadzenie własnego interesu nie daje nam tyle wolnego czasu, jak się czasem uważa. Na pewno to rozumiesz.

- Tak, istotnie. Czasami czuję się więźniem własnego sukcesu. A ty? - przesunął palcem po nagiej piersi figurki - czujesz się jak w pułapce?

- Nie - ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ściany pokoju zbliżają się do niej.

- Musisz mieć wspaniałe kontakty.

Znowu rozejrzała się po pokoju. Nie chciała patrzeć na to, co robił z posążkiem.

- Często jeździsz w interesach?

- Nie tak często, jakbym chciał. Przez całe lata musiałem tę przyjemność przekazywać innym. Ale od czasu do czasu wybieram się na Bliski Wschód czy do Europy. Od czasu do czasu docieram nawet na Wschodnie Wybrzeże.

- Mam nadzieję, że jeśli będziesz w Filadelfii, pozwolisz mi się zrewanżować za twoją gościnność.

- Nie omieszkam uprzedzić cię telefonicznie.

- A zatem mam nadzieję, że wkrótce znajdziesz czas, żeby odwiedzić Wschodnie Wybrzeże. Edmundzie, to była cudowna kolacja i rozkoszny wieczór - wstała, by odegrać finał, zachwycony gość niechętnie zmierzający do wyjścia.

- Wierz mi, to była dla mnie przyjemność - wstał, ujął jej dłoń i ucałował ją z galanterią. - Pozwól mi przysłać jutro po ciebie samochód, który odwiezie cię na lotnisko.

- Tak mi miło - ze wstydem przyznała, że miała ochotę wytrzeć rękę o marynarkę - ale już załatwiłam sobie środek transportu. Proszę, zadzwoń do mnie, jeśli będziesz... jeśli w sprawie DiCarla wyniknie coś nowego.

- Dobrze. Mam nadzieję, że wkrótce wszystko się wyjaśni.

\* \* \*

Kiedy wysiadła pod hotelem Beverly Hills, zaczekała, aż limuzyna zniknie za horyzontem, a potem po prostu stała na chodniku, powoli oddychając i czekając, aż ogarnie ją spokój. Nie chciała pokazywać się Jedowi, dopóki nie odzyska panowania nad sobą.

Czuła się idiotycznie wstrząśnięta. Wiedziała, że będzie musiała mu powiedzieć, jak wielkie wrażenie zrobił na niej ten wieczór, ale chciała to powiedzieć chłodno i precyzyjnie.

Potem zobaczyła nadjeżdżającego ciemnego sedana. I mężczyznę w szarym garniturze.

Wpadła do hotelu jak błyskawica.

Przestań bać się własnego cienia, Conroy, upomniała się, czując serce w gardle. Uniosła głowę do góry i wcisnęła guzik windy. To tylko przemęczenie podróżą. Przekonanie to sprawiło jej ogromną ulgę. Jestem przemęczona i zestresowana. Jak tylko opowiem, o tym wszystkim Jedowi, dobrze się wyśpię i rano wszystko będzie dobrze.

Kiedy znalazła się na swoim piętrze i włożyła klucz do zamka, znowu była opanowana. Mogła się nawet uśmiechnąć, kiedy „weszła do pokoju i zobaczyła Jeda, ponuro wyglądającego oknem.

- A, czekałeś na mnie.

- Aleś ty dowcipna, Conroy. Naprawdę powinnaś... - przerwał, kiedy jego wzrok

spoczął na twarzy Dory. Jeszcze nigdy nie widział kogoś, kto byłby tak zmęczony i mimo to trzymał się na nogach.

- Co? - była tak rozstrojona, że chwyciła się za gardło i cofnęła się o krok. - Co jest?

- Nic. Zamyśliłem się. Usiądź.

- Najpierw chcę zrzucić z siebie ubranie. - Nawyk kazał jej sięgnąć do szafy po wieszak.

- Pozwól, że ci pomogę - rozpiął suwak jej sukienki. Przelotnie pomasaował jej ramiona i zauważył, że tak, jak się spodziewał, są całe spięte. - Masz koszulę nocną czy coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju - usiadła ze znużeniem na brzegu łóżka, zdejmując pończochy. - Zrobiłeś sobie coś na kolację, prawda?

- Jestem już dużym chłopcem, Conroy. - Rozpiął jej czarną bardotkę, odrzucił ją, po czym wciągnął jej przez głowę cienką koszulkę nocną.

- A myśmy jedli kaczkę.

- Mój cheeseburger się nie umywa.

- Była przepyszna. A dom - no, powinieneś go zobaczyć. Niesamowity, te wielkie pokoje, za którymi ciągną się inne wielkie pokoje. Nigdy nie widziałam tylu tak cennych przedmiotów w jednym miejscu.

Potrząsnęła głową, czując, że oczy zaczynają się jej kleić.

- Muszę umyć twarz. Może powinieneś sprawdzić, czy masz jakiś raport o finansowej działalności E. F. Incorporated. - Odkręciła w łazience zimną wodę, nabrała ją w obie dłonie i rozpryskała ją sobie na twarzy. - Lokaj podał nam kawę w filiżankach z miśnieńskiej porcelany, wartych dziesięć do dwunastu tysięcy - ziewnęła i jeszcze raz opryskała sobie twarz wodą. - A przycisk do papierów w bibliotece... Almeric Walter. Widziałam w zeszłym roku, jak taki sam poszedł w Christie's za piętnaście kawałków. A jeszcze...

- Nie chcę spisu inwentarza.

- Przepraszam - wzięła prysznic i zaczęła zmywać makijaż. - Nigdy nie widziałam kolekcji, która mogłaby się z tym równać. Właściwie tego nawet nie można nazwać kolekcją. To coś jakby małe prywatne królestwo. - Wiedziona poczuciem obowiązku zaczęła wklepywać tonik. - I jakoś dziwnie mi to pokazywał.

- Jak to?

- Jakby spodziewał się, że coś zrobię, coś powiem - pokręciła głową. - No nie wiem. Nie potrafię tego dokładnie wytłumaczyć, ale atmosfera była inna niż w jego biurze.

Ich oczy spotkały się w lustrze. Na jej twarzy widać było delikatne bruzdy zmęczenia,

skóra, pozbawiona ochrony kosmetyków, robiła wrażenie bardzo delikatnej.

- On mnie przeraził, Jed. Jest prawdziwym dżentelmenem i wspaniałym gospodarzem. Ale kontakt z nim przeraził mnie.

- Opowiedz mi o tym - przeczesał jej włosy palcami. - To pozornie może nie mieć sensu.

Skinęła głową z ulgą i usiadła na łóżku.

- Oprowadził mnie po całym domu - zaczęła. - I tak jak mówiłam, było coś dziwnego w sposobie, w jaki pokazywał mi te wszystkie przedmioty. A zwłaszcza niektóre z nich. Czułam na sobie jego wzrok, kiedy je oglądałam. To było tak, jakbym... jakbym widziała kogoś masturbującego się. Cały czas powtarzałam sobie, że to dlatego, że jest taki czarujący. Zjedliśmy razem kolację, elegancki posiłek na eleganckiej porcelanie w eleganckim pokoju. I dyskutowaliśmy na temat sztuki oraz muzyki i tak dalej. Ani razu nie dotknął mnie w sposób, który mógłby budzić moje zastrzeżenia, ale...

Roześmiała się cicho.

- Będę ci bardzo wdzięczna, jeśli nie usłyszę od ciebie, że mam zbyt wybujałą wyobraźnię. Ale powiem ci o tym, bo to jest dokładnie to, co czułam. Miałam wrażenie, jakby oglądał mnie naga. Jedliśmy ten niesłychanie delikatny suflet georgiańskimi srebrnymi sztucami i czułam się, jakby rozbierał mnie wzrokiem. Nie mam na to żadnego wytłumaczenia, to tylko nieodparte i bardzo paskudne uczucie.

- Może właśnie o to mu chodziło. Mężczyznom o to chodzi, nawet tym eleganckim.

Mogła tylko potrząsnąć głową.

- Nie, to nie to, tu nie chodziło o seks. Czułam się raczej zupełnie bezbronna.

- Byłaś sama.

- Niezupełnie, i nie przez cały czas. Ma armię służących. Tak naprawdę nie bałam się, że coś mi zrobi. Bałam się, że chce to zrobić. A potem ten incydent w łazience.

- Zaprowadził cię do łazienki?

- Nie. Poszłam tam po kolacji. Poprawiałam makijaż i czułam, że on tam jest, że patrzy mi przez ramię.

Odetchnęła głęboko, czując wdzięczność, że Jed nie prychnął i nie powiedział, że jest głupia.

- Kiedy opuściłam jego biuro, szczerze wątpiłam, czy Finley ma z tym coś wspólnego. A teraz nie wiem, co o tym myśleć. Wiem tylko, że nie wróciłabym do tego domu nawet wtedy, gdyby pozwolił mi wybrać sobie coś ze swojej kolekcji. A, muszę to przyznać, była ona cudowna.

- Nie musisz tam wracać. Sprawdzimy, czy urząd skarbowy jest w stanie wniknąć w sprawki Finleya.

- Dobrze - nad lewym okiem czuła pulsowanie,, którego nie mogła się pozbyć. - Może spróbujesz się czegoś dowiedzieć o szafirowej broszy, prawdopodobnie siedemnastowiecznej. Kamień wyglądał mi na jakieś osiem karatów, płasko osadzony w złotym filigranie, otoczony małymi brylantami szlifowanymi w rozety. Pokazując mi go, zrobił prawdziwy spektakl.

- Świetnie. Dobrze się spisałaś.

- Tak - senny uśmiech. - Dostanę złotą gwiazdę detektywa?

- Złotą odznakę. Nie. Odchodzisz na emeryturę.

- Świetnie.

- Chcesz coś na ten ból głowy?

Przerwała masowanie skroni na tyle, żeby się skrzywić.

- Morfinę, ale nie przyniosłam ze sobą. W kosmetyczce mam coś mniej skutecznego.

- Przyniosę. Odpocznij sobie.

Rzuciła się na łóżko, nie zwracając sobie głowy przykrywaniem się kocem.

- Zapomniałam. Widziałam takiego faceta w ciemnym sedanie... Boże, to jak z filmu z Charlie Chanem. No więc widziałam go, wysiadając z limuzyny. Kiedy wróciłam, pojawił się na drodze. Nie mam pojęcia, po co Finley kazał mnie śledzić w drodze do jego domu i z powrotem.

- Nie on kazał. To ja kazałem. Gdzie trzymasz te cholerne pigułki? Nie mogę się połapać w tych buteleczkach.

- Pigulek nie trzyma się butelkach, tylko w pudełkach. Każdy o tym wie.

- Mądrała.

- W tym małym, z emaliowanymi fiolkami. Co to znaczy, że kazałeś mnie śledzić?

- Przez cały dzień. Lokalna policja. Uśmiechnęła się, kiedy pojawił się z pigułkami.

- To prawie tak, jakbyś mi dał kwiaty - mruknęła. - Wynająłeś mi ochroniarza.

- Wynająłem go dla siebie - powiedział lekko. Złożyła głowę na ramionach i zamknęła oczy. Podszedł do niej i zaczął masować jej kark i ramiona.

- Uspokój się, Conroy. Nie pozbędziesz się migreny, wariując z nerwów.

Jego palce miały kojący wpływ.

- Jed? - jej głos był cichym, zamierającym pomrukiem. - Tak.

- Lustra. Zapomniałam. Miał ich dziesiątki. W każdym pokoju było ich pełno.

- A więc jest próżny.

- Mam jedno lustro, które pewnie kupiłby ode mnie.



- Zamknij się, Conroy. Bredzisz.

- Może, ale nie sądzę, żeby po prostu lubił na siebie patrzeć. On chyba lubi się przyglądać.

- Dobra. Jest próżnym zbrojeńcem. - Przesunął dłońmi po jej plecach.

- Wiem. Ale to jeszcze nie znaczy, że jest przemytnikiem. Chciałabym...

- Chciałabyś?

Ale cokolwiek chciała, pozostało to nie wypowiedziane. Zasnęła.

Cicho podniósł kołdrę, wziął Dorę na ręce i położył ją pod przykryciem. Nawet nie drgnęła. Jed przyglądał się jej przez chwilę, po czym zgasił światło i położył się obok niej. Po chwili przytulił ją mocno do siebie i również zasnął.

\* \* \*

Ponieważ trzymał ją w ramionach, jej pierwsze dreszcze obudziły go. Instynktownie zacieśnił uścisk, pogładził ją kojąco po karku.

- Hej! Hej, Doro, obudź się. Otrząśnij się.

Usłyszał, jak łapie gwałtownie powietrze, poczuł drżenie jej ciała, kiedy przechodziła ze snu do jawy.

- Koszmar, tak? - szepnął.

W odpowiedzi przytuliła twarz do jego piersi.

- Dosięgniesz do lampki? Potrzebuję światła.

- Jasne - wyciągnął rękę w kierunku wyłącznika, obejmując ją mocno drugim ramieniem. Błysnęło światło, wyprasząc głębokie ciemności. - Lepiej?

- Tak - ale dreszcz nie ustąpił.

- Chcesz się napić?

- Nie - panika brzmiąca w jej głosie kazała jej zagryźć wargę.

- Nie zostawiaj mnie, dobrze?

- Dobrze.

- Ale na pewno.

- Na pewno.

A ponieważ tak było naprawdę, jej serce powoli zaczęło się uspokajać.

- To pierwszy koszmar, jaki mi się przyśnił od czasów „Lśnienia” Stephena Kinga.

- Straszna książka. - Choć w jego spojrzeniu nie było spokoju, pocałunek, którym musnął jej włosy był lekki i beztroski. - A film jeszcze gorszy.

- Tak - jej śmiech był nieco drżący, ale był to jednak śmiech.

- Nie wiedziałem, że interesowałaś się horrorami, Skimmerhorn.

- Rozluźniają. Trudno martwić się o drobiazgi, kiedy czytasz o wampirach i chodzących nieboszczykach.

Ponieważ nie pytał, nie naciskał, zdołała wreszcie go zapytać:

- Chodzi o ten dom. Dom Finleya, te pokoje i lustra. Te wszystkie rzeczy, te piękne przedmioty. Czytałeś „Something Wicked”?

- Bradbury. Jasne.

- O tym wesołym miasteczku, o gabinecie luster? Pamiętasz, obiecywali, że jeśli kupisz bilet, znajdziesz w środku wszystko, czego chciałeś. Ale to był tylko paskudny podstęp. I właśnie o to mi chodzi. Chciałam zobaczyć te wszystkie piękne przedmioty. I nagle nie mogłam się stamtąd wydostać. Był tam DiCarlo i Finley też. Za każdym razem, kiedy się odwracałam, jedno z tych lusterek było koło mnie i odbijało wszystko dokoła. Bez przerwy wpadałam na tafle szkła - przytuliła się do Jeda, czując ulgę w kojącym cieple jego ciała, w dotyku jego twardych mięśni. - Czuję się jak idiotka.

- Nie powinnaś. Znam to uczucie.

- Znasz? - przechyliła głowę, zaintrygowana i przyjrzała się jego twarzy - naprawdę?

- W pierwszym roku przydzielono mnie do przypadków postrzeleń. Miałem jeszcze tyle szczęścia, że najpierw trafił mi się przypadek samobójstwa - nie powiedział jej, że to, co zostało z głowy samobójcy, nic przedstawiało sobą ładnego widoku. - Dopiero kilka tygodni później moja pamięć w środku nocy wyrzuciła z siebie ten obraz. A po tym, co stało się z Elaine... - zawahał się, po czym ciągnął dalej - to wracało. Bieg przez trawnik, przez krzaki róż. Jej głowa, odwracająca się ku mnie. Grzmot wybuchu, kiedy przekręciła kluczyk. Mogę oglądać wampiry o każdej porze dnia.

- Tak. Ja też - przez chwilę leżeli w milczeniu. - Jed? - Hmm?

- Chcesz sprawdzić, czy w telewizji leci jakiś stary horror?

- Conroy, jest szósta rano.

- Jest za ciemno, żeby mogła być szósta.

- Zastłony są zaciągnięte. - Aha.

- Coś ci powiem - uniósł się, opadł na nią i skubnął zębami jej podbródek. - Teraz pokażę ci coś naprawdę strasznego.

Zachichotała i objęła go za szyję dokładnie w momencie, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Serce podskoczyło jej do gardła, z piersi wydarł się jej krzyk.

- Nie myśl o tym - szepnął i podniósł słuchawkę. - Tu Skimmerhorn.

- Jed, przykro mi, że cię budzę - ale ton głosu Brenta nie miał nic wspólnego z

przeprosini. - Mam dla ciebie coś, co może chciałbyś sprawdzić.

- Tak? - Jed machinalnie przewrócił się na plecy i sięgnął po pióro, leżące na nocnej szafce.

- Właśnie dostałem fax z biura szeryfa. Para autostopowiczów od kryła parę dni temu ciało, upchnięte w płytkim parowie w górach. Zostało z niego tyle, że można było zdjąć kilka odcisków palców. Możemy już nie szukać DiCarla. Jest z całą pewnością martwy.

- Od kiedy?

- Trudno powiedzieć, zważywszy na działanie warunków atmosferycznych i zwierzęta. Mniej więcej około pierwszego stycznia. Skoro już wyjechałeś, może zechcesz porozmawiać z tamtejszym koronerem i oficerem śledczym.

- Podaj mi ich nazwiska - Jed zapisał podaną mu informację.

- Zawiadomię ich faxem, jak tylko przestaniemy rozmawiać - ciągnął Brent. - Powiedz im, że zajmujesz się tą sprawą. Będą na ciebie czekać.

- Dzięki. Odezwę się jeszcze. Dora siedziała na łóżku z brodą opartą na kolanach i przyglądała się odkładającemu słuchawkę Jedowi.

Teraz jesteś bez reszty policjantem. To ciekawe, obserwować taką metamorfozę.

Może zadzwonisz i zamówisz śniadanie? - wyskoczył z łóżka i poszedł do łazienki. - Złapiemy późniejszy lot.

- Dobrze - usłyszała plusk wody z prysznica. Zaciśnęła zęby. Odkryła kołdrę i pomaszerowała do łazienki, szarpnięciem odsłoniła plastikową zasłonkę prysznica. - Nie wystarczy wydawać rozkazy, kapitanie. Niektórzy z nas potrzebują choćby minimum informacji.

- Muszę coś sprawdzić - sięgnął po mydło. - Wchodzisz albo wychodzisz, Conroy, woda zalewa podłogę.

- Co sprawdzić?

Rozstrzygnął kwestię, zdejmując jej przez głowę nocną koszulę. Nie protestowała, kiedy podniósł ją i postawił pod prysznicem. Bez słowa przykręciła kurek z gorącą wodą tak, by woda nie parzyła skóry. Odgarnęła z oczu mokre włosy.

- Co sprawdzić? - powtórzyła.

- DiCarla - powiedział głosem bez wyrazu. - Znaleźli go.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Szeryf Curtis Dearborne żywił w stosunku do obcych wrodzony brak zaufania. Ponieważ za obcego uważał każdego spoza departamentu policji w Los Angeles, glina ze Wschodniego Wybrzeża był dla niego kimś, kogo należało pilnować ze wzmożoną czujnością.

Szeryf był wielkim, mocno zbudowanym mężczyzną we wspaniale wykrochmalonym mundurze. Jego płowe wąsy były starannie przystrzyżone i lekko spryskane utrwalaczem, a buty wyczyszczone do połysku. Pod militarnym stylem i manierą krył się wdzięk wiejskiego chłopa, wykorzystywany przez szeryfa Dearborne'a umiejętnie i z dużym powodzeniem.

Kiedy Jed i Dora pojawili się w drzwiach, podniósł się zza biurka. Jego kanciasta przystojna twarz była poważna i zacięta, uścisk ręki suchy i mocny.

- Witam, kapitanie Skimmerhorn. Jak to się znakomicie złożyło, że wyruszył pan w podróż, kiedy mamy zidentyfikować naszego NN.

Jed natychmiast ocenił swojego przeciwnika. Dearborne zamierzał bronić swojego terytorium. Teraz najważniejszy ruch to uznać władzę szeryfa.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za udostępnienie nam tej informacji, szeryfie. Porucznik Chapman na pewno opisał panu kłopoty, jakie mamy. Pańskie szybkie działanie może przynieść pewną pociechę wdowie po oficerze Trainorze.

Było to właściwe posunięcie. Oczy Dearborne'a zlodowaciały, usta zacisnęły się.

- Pański porucznik powiedział mi, że denat zabił policjanta. Żałuję tylko, że kojoty nie zajęły się nim dokładniej. Proszę siadać, kapitanie, panno Conroy.

- Dziękuję - Jed usiadł, powstrzymując niecierpliwość. Popędzanie Dearborne'a nic by nie dało, a za to kosztowałyby go zapewne wiele dyplomatycznych zabiegów. - Mówiono mi, że ciało nie jest jeszcze zidentyfikowane.

- Jeszcze nie. - Krzesło Dearborne'a skrzypnęło, kiedy mościł się na nim wygodnie. Ale od razu wykluczaliśmy morderstwo na tle rabunkowym. Przy ciele nie znaleźliśmy portfela, ale facet miał brylantowy sygnet na małym palcu u ręki, a na szyi jeden z tych złotych łańcuszków.

Dearborne prychnął, dając Jedowi do zrozumienia, że takie błyskotki uważa za podejrzenie niemęskie.

- Ciało nie jest w zbyt dobrym stanie, ale nie potrzebowałem pytać koronera, żeby stwierdzić, w jaki sposób facet zginął. Dostał kulkę w brzuch. Na brezencie, w który był zawinięty, nie zostało wiele krwi. To pozwala przypuszczać, że ciało zostało przeniesione po

tym, jak denat wykrwawił się na śmierć. To musiało trwać cholernie długo. Za przeproszeniem - zwrócił się do Dory - koroner to potwierdził.

- Chciałbym rzucić okiem na raport koronera, jeśli to możliwe - zaczął Jed. - I na wszystkie dowody rzeczowe, jakie znaleźliście. Im więcej zbiorę, tym lepiej.

Dearborne zastanowił się, bębniąc palcami po biurku. Wschodnie Wybrzeże nie przeciągało struny, uznał.

- Chyba możemy oddać panu tę przysługę. Mamy na dole ten brezent i to, co zostało z jego ubrania. Kiedy pan skończy, przyniosę pozostałe dokumenty. Jeśli chce pan rzucić okiem na ciało, zejdziemy do gabinetu koronera.

- Jestem bardzo wdzięczny. Czy panna Conroy może tu poczekać? - zapytał, kiedy Dora zaczęła się podnosić.

- Oczywiście - Dearborne podziwiał kobiety, znające swoje miejsce. - Proszę się rozgościć.

- Dziękuję panu. Nie chciałabym wchodzić panom w drogę - sarkazm w jej głosie był ledwie zawoalowany, ale Dearborne nie znał się na subtelnościach. - Czy mogę stąd zadzwonić?

- Proszę bardzo - Dearborne wskazał jej telefon stojący na biurku. - Linia pierwsza.

- Dziękuję - nie ma co irytować się na Jeda, pomyślała. Przynajmniej powiadomię rodzinę, że przyjadę o kilka godzin później. Kiedy Jed i Dearborne wymaszerowali z gabinetu, usiadła za biurkiem Dearborne'a i uśmiechnęła się. Była ciekawa, czy Jed zauważył, że Dearborne tytułował go kapitanem i że on sam nawet nie zaprotestował.

Do wiosny przyjmie z powrotem odznakę, pomyślała i zastanowiła się, jak też wygląda Jed Skimmerhorn, kiedy jest bez reszty szczęśliwy.

- Dzień dobry, tu Salon Dory.

- Masz piękny głos, kotku. Myślałaś kiedyś o sekstelefonach? W odpowiedzi Lea zaśmiała się perliście.

- Bez przerwy o nich myślę. Hej, gdzie się podziewasz? Jesteś w powietrzu?

- Nie. - Dora odgarnęła włosy i uśmiechnęła się do policjanta niosącego kubek kawy i akta. - Dziękuję, sierzancie - powiedziała, umyślnie myląc się co do jego rangi.

- Jestem tylko szeregowym, proszę pani - ale zarumienił się i uśmiechnął. - I bardzo dziękuję.

- Sierzancie? - dopytywała się Lea. - Co jest, wsadzili cię do więzienia? Mam wysłać pieniądze na kaucję?

- Jeszcze nie - wzięła kubek, leniwie przesunęła palcem po aktach, które policjant

zostawił na biurku. - Na razie zajmuję się sprawami, które Jed chciał załatwić po drodze.

Nie ma potrzeby wspominać o trupach i strzałach z pistoletu, pomyślała. Najmniejszej.

- Więc przylecimy trochę później. Wszystko w porządku?

- W największym. Dziś rano sprzedaliśmy biurko Sherbourne.

- Och - jak zawsze w przypadku szczególnie ulubionego przedmiotu, Dora poczuła zarazem radość i żal.

- Bez targów - w głosie Lei słychać było dumę i przebiegłość. - I jak tam twoje spotkanie?

- Spotkanie?

- Z tym facetem od importu - eksportu.

- Ach - Dora zaczęła w zamyśleniu podważać kciukiem etykietkę akt - jakoś poszło. Chyba nie będziemy prowadzić ze sobą interesów. Nie mój poziom.

- No, mam nadzieję, że nie będziesz uważać tej podróży za straconą. Widziałaś jakieś gwiazdy filmowe?

- Żadnej, przykro mi.

- No tak. Miałaś Jeda, z którym mogłaś się pławić w słońcu Los Angeles.

- Właśnie - nie dodała, że spędziła z nim więcej czasu w samolocie niż w mieście.

- Zadzwoń, kiedy wylądujecie, żebym wiedziała, że dojechałaś zdrowo.

- Dobrze, mamusi. Nie sądzę, żebyśmy zdążyli przed dziesiątą twojego czasu, więc nie martw się aż do jedenastej.

- Spróbuję się powstrzymać. Ach, muszę cię ostrzec. Mama planuje zwołać małe zebranie, żeby móc sprawdzić Jeda od bardziej osobistej strony. Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Wielkie dzięki - Dora westchnęła i leniwie otworzyła akta.

- Spróbuję przygotować Jeda na... - nagle zaschło jej w ustach, zastygła ze wzrokiem wbitym w fotografię. Przez szum w uszach dobiegł ją głos siostry.

- Dora? Dory? Jesteś tam? Mów coś. Rozłączyło nas?

- Nie - Dora zdobyła się na herkulesowy wysiłek, by nie zmienić tonu. Ale nawet wtedy, gdy podniosła spojrzenie i wbiła je w ścianę, wizja uśmiechu z fotografii pozostała jej w pamięci.

- Przepraszam, muszę już iść. Zadzwoń później.

- Dobrze. Do jutra, kotku. Szczęśliwej podróży.

- Dzięki. Cześć. - Dora odłożyła słuchawkę, bardzo delikatnie, bardzo ostrożnie. Jej ręce zlodowaciały i pokryły się potem. Znowu spuściła wzrok, oddychając płytko.

To DiCarlo. Z jego twarzy zostało wystarczająco wiele, żeby stwierdzić to z całą pewnością. Ona również miała pewność, że nie miał zbyt lekkiej śmierci. Sztywnymi palcami odłożyła pierwszą policyjną fotografię i spojrzała na drugą.

Wiedziała już, jak okrutna może być dla ludzkiego ciała gwałtowna śmierć. Żaden z hollywoodzkich horrorów nie przygotował jej do tej upiornej rzeczywistości. Widziała miejsca, które rozerwała kula, miejsca, które rozszarpały zwierzęta. Kolorowa fotografia była zarazem ponura i obojętna.

Nie mogła przestać patrzeć, nie mogła oderwać oczu nawet wtedy, gdy szum przerodził się w ryk. Nie mogła przestać patrzeć nawet wtedy, gdy zaczęło czernieć jej w oczach, a wzdęte ciało zaczęło się zbliżać ku przerażonym oczom.

Jed zaklął soczyście, widząc jej białą twarz i otwarte akta. Kiedy podbiegał ku niej, jej oczy zaczęły się wywracać. Dwoma gwałtownymi ruchami odepchnął jej krzesło od biurka i wcisnął jej twarz między kolana.

- Oddychaj powoli - jego głos zdradzał napięcie, ale dotyk jego dłoni na jej głowie był delikatny. Zamknął akta z trzaskiem.

- Dzwoniłam do Lei - Dora przełknęła rozpaczliwie ślinę, czując, że żołądek ciąży jej jak ołów. W gardle czuła rosnącą kulę - dzwoniłam do Lei.

- Trzymaj głowę nisko - rozkazał - i oddychaj.

- Proszę spróbować tego - Dearborne podał Jedowi szklankę wody. W jego głosie słyhać było współczucie. Pamiętał swoją pierwszą ofiarę morderstwa. Większość dobrych policjantów je pamięta. - Na zapleczu jest leżanka. Może się na niej położyć.

- Nic jej nie będzie - Jed nadal przyciskał lekko głowę Dory, podczas gdy drugą ręką odbierał szklankę wody. - Wybacz nam pan na chwilę, szeryfie?

- Jasne. Nie spieszcie się - dodał Dearborne, zanim zamknął za sobą drzwi.

- Teraz powoli się podniesiesz - powiedział Jed. - Jeśli znowu zrobi ci się słabo, opuść głowę.

- Nic mi nie jest - ale drżenie w jej głosie było gorsze niż mdłości i o wiele trudniejsze do opanowania. Oparła głowę o krzesło i zamknęła oczy. - Zdaje się, że zrobiłam na szeryfie piorunujące wrażenie.

- Weź to - uniósł szklankę do jej ust i zmusił ją, by przełknęła jeden łyk. - Chcę, żebyś czuła się lepiej, kiedy będę na ciebie wrzeszczał.

- Będziesz musiał trochę poczekać - otworzyła oczy, pijąc wodę. Tak, jest zły, zauważyła. Naprawdę zły. Ale o to nie mogła się teraz martwić.

- Jak ty to znosisz? - powiedziała miękko. - Jak znosisz taki widok dzień po dniu?

Zanurzył palce w zimnej wodzie i zaczął pocierać nimi o jej kark.

- Chcesz się położyć?

- Nie, nie chcę się położyć - uciekła wzrokiem. - A skoro musisz wrzeszczeć, to jazda.

Ale przedtem musisz wiedzieć, że nie bawiłam się w detektywa. Wierz mi, nie chciałam na to patrzeć. Nie musiałam tego widzieć.

- Teraz musisz zacząć o tym zapominać.

- Czy tak właśnie robisz? - zmusiła się, by spojrzeć na niego. - Po prostu odpychasz takie rzeczy od siebie i zapominasz?

- Nie mówimy teraz o mnie. Nie musisz być blisko tego, Doro.

- Nie muszę? - zwilżyła suche wargi i odstawiła szklankę. Zmusiła się, by wstać. - Człowiek z tego zdjęcia próbował mnie zgwałcić. Z pewnością by mnie zabił. To stawia mnie cholernie blisko tego wszystkiego. Nawet wiedząc o tym, wiedząc, co zrobił i co usiłował zrobić, nie mogę pogodzić się z tym, co widziałam na tych zdjęciach. Po prostu nie mogę. I chyba chcę wiedzieć, czy ty możesz.

Widział już wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, co się z nią teraz działo. Widział już wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, że było z nią gorzej niż powinno.

- Nie godzę się z tym, Doro. Jeśli chcesz wiedzieć, czy mogę z tym żyć, to tak, mogę. Mogę na to patrzeć. Mogę zejść teraz do kostnicy i dobrze się przyjrzeć temu wszystkiemu. I mogę z tym żyć.

Skinęła głową, po czym podeszła na drżących nogach do drzwi.

- Zaczekam w samochodzie.

Jed zaczekał, aż Dora wyjdzie. Potem wziął akta i spojrzał na fotografie. Zaklął; nie z powodu tego, co na nich zobaczył, lecz z powodu tego, co zobaczyła Dora.

- W porządku z nią? - spytał Dearborne, wchodząc do pokoju.

- Będzie w porządku - Jed podał mu akta. - Czy mógłbym teraz porozmawiać z koronerem?

- Pewnie chciałby pan też zobaczyć nieboszczyka?

- Chętnie.

- Nie ma sprawy - Dearborne wziął czapkę, włożył ją na głowę. - Może pan przeczytać po drodze raport z sekcji zwłok. Jest interesujący. Ostatni posiłek naszego znajomego był prawdziwą uczcą.

\* \* \*

Dora podziękowała za przekąskę, którą poczęstowała ją stewardessa i poprzestała na



zimnym piwie imbirowym. Jej żołądek skręcał się na samą myśl o jedzeniu. Usiłowała nie zwracać uwagi na zapachy potraw, jakimi raczyli się pasażerowie.

Miała dużo czasu na rozmyślania, kiedy leżała na przednim siedzeniu samochodu, czekając, aż Jed skończy rozmawiać z Dearborne'em. Tak dużo, by zrozumieć, że wyładowała na nim swój wstrząs i obrzydzenie. A on nie wyładował na niej swego gniewu.

- Jeszcze na mnie nie nawrzeszczałeś.

Jed męczył się nad krzyżówką. Wolałby jeszcze raz przeczytać raporty Dearborne'a, ale musiały zaczekać, aż znajdzie się sam.

- Chyba nie warto.

- Wolałabym, żebyś na mnie nawrzeszczał i przestał się na mnie wściekać.

- Nie wściekam się na ciebie.

- Prawie mnie nabrałeś - sama nie wiedziała, co teraz czuła, wiedziała tylko, że muszą przez to przejść. - Odkąd wylecieliśmy z Los Angeles, prawie nie otworzyłeś do mnie ust. A gdybym nie zrobiła z siebie idiotki, rozdarłbyś mnie na strzępy. - Jego oczy podniosły się znad gazety i napotkały jej pełen napięcia uśmiech. - Chciałeś to zrobić.

- Tak, chciałem. Ale nie byłem na ciebie wściekły. Byłem wściekły, ponieważ zobaczyłaś te zdjęcia. Ponieważ wiedziałem, że przeszłaś przez drzwi, których nie da się łatwo zamknąć i które nigdy nie zamkną się do końca. I nic nie mogę na to poradzić.

Położyła rękę na jego dłoni.

- Nie mogę zdobyć się na to, żeby powiedzieć, że cieszę się, że otworzyłam tę teczkę. Ale masz rację, przez to jestem bliżej tego wszystkiego. Chyba będzie mi lżej, jeśli powiesz mi, co powiedział ci szeryf Dearborne i koroner. Domysły są gorsze niż rzeczywistość.

- Nie ma wiele do opowiadania - ale opuścił gazetę na kolana. - Wiemy, że w sylwestra DiCarlo przyleciał na Wybrzeże, wynajął samochód, zarezerwował pokój w hotelu. Nie spał w nim tamtej nocy, nie zwrócił samochodu. Tego jeszcze nam nie zgłoszono. Zdaje się, że rezerwował też lot do Cancun, ale nie wykorzystał biletu.

- Więc nie zamierzał wracać szybko na Wschód - nie cofnęła ręki, usiłując myśleć. - Myślisz, że wyjechał, żeby spotkać się z Finleyem?

- Jeśli tak, nie zostawił po sobie żadnego śladu. Nie przyszedł tego dnia do pracy. Jeśli będziemy trzymali się teorii, że DiCarlo pracował dla siebie, być może przydarzyło mu się coś, kiedy opuszczał kraj. A może miał współnika, może się pokłócili.

- Cieszę się, że sama prowadzę interes - mruknęła Dora.

- Albo wersja numer trzy, moja ulubiona, pracował dla Finleya, wrócił, żeby zdać mu raport, a Finley zabił go albo kazał zabić.

- Ale dlaczego? DiCarlo nie skończył zadania, prawda? Nadal mam ten obraz.

- Być może właśnie dlatego - wzruszył ramionami Jed. - Ale nie mamy żadnego namacalnego dowodu łączącego Finleya z którymś z tych punktów. Wiemy, że DiCarlo przybył do Los Angeles i tu pożegnał się z życiem. Zamordowano go gdzieś między trzydziestym pierwszym grudnia a pierwszym stycznia, jak twierdzi koroner. Zginął od pojedynczego strzału w brzuch, a potem, sądząc po braku krwi na brezencie, kilka godzin później został przeniesiony na inne miejsce. Ktoś miał tyle przytomności umysłu, by zabrać mu portfel i utrudnić identyfikację zwłok, gdyby zostały znalezione. Siniaki na twarzy powstały kilka dni wcześniej. Sam je zrobiłem. Inne obrażenia powstały po śmierci.

Nie mógł jej powiedzieć, że DiCarlo miał przestrelone kolana.

- Rozumiem - przełknęła łyk piwa imbirowego niczym lekarstwo, które miało sprawić, że jej głos będzie brzmiał czysto i pewnie. - Nie było żadnych śladów walki, prawda?

- Zgadza się, panno Drew - uściśnął jej rękę z aprobatą. Próbowwała walczyć i podziwiał ją za to. - Ostatni posiłek denata był prawdziwą ucztą, na którą składał się bażant, znaczna ilość wina i maliny z białą czekoladą.

Nie, pomyślała Dora, czując skurcz żołądka, zdecydowanie nie mam apetytu.

- Można by przypuszczać - zaczęła, ukradkiem przyciskając dłoń do wstrząsanego spazmami żołądka - że nieboszczyk był przed śmiercią dość odprężony.

- Wrąbanie takiego posiłku w stanie zdenerwowania wymagałoby solidnego zacięcia. Dearborne ma pełne ręce roboty, sprawdzając menu okolicznych restauracji. W brezencie zaplątały się jakieś białe kamyki i nawóz. Coś takiego, jak na grządkach z kwiatami i wokół ozdobnych krzewów.

- Ciekawe, ile grządek jest w Los Angeles.

- Mówiłem ci, że praca policjanta jest nudna. Czy Finley ma ogrody?

- Rozlegle - wydała z siebie drżące westchnienie. - Jest z nich bardzo dumny i czuł się zawiedziony, że niebo było zachmurzone i nie mógł mi ich pokazać w świetle gwiazd. Podziwiałam ich część z solarium - znowu pobladła, odwracając się do Jeda, ale jej głos zachował pewny ton - były bardzo schludne i dobrze utrzymane, dobrze nawożone i poprzecinane wąskimi ścieżkami z białego żwiru.

- Masz niezłe oko, Conroy - pochylił się i pocałował ją. - Teraz zamknij je na chwilę.

- Chyba lepiej pooglądam telewizję - sięgnęła drżącą ręką po słuchawki. - Co mieli dawać?

- Nowy film z Costnerem - Jed włączył jej słuchawki do sieci. - Zdaje się, że gra policjanta.

- Cudownie - Dora westchnęła, założyła słuchawki i uciekła od rzeczywistości.

\* \* \*

Winesap wszedł do gabinetu Finleya w Los Angeles. Nieśmiali ludzie, niczym małe pieski, często wyczuwają nastrój swojego pana po zapachu powietrza. Winesap zaczął wykręcać sobie palce.

- Wzywał mnie pan, proszę pana?

Finley, nie odwracając oczu od dokumentów, gestem nakazał Winesapowi wejść do środka. Jednym pociągnięciem pióra zatwierdził zmiany w kontrakcie, pozbawiając pracy niemal dwanaście osób. Kiedy wyprostował się, jego oczy nie wyrażały niczego.

- Jak długo pracujesz dla mnie, Ablu?

- Ja, proszę pana? - Winesap obliznął usta. - Już osiem lat.

- Osiem lat - Finley skinął powoli głową i złożył razem wskazujące palce, dotykając nimi dolnej wargi. - To długo. Jesteś zadowolony z tej pracy, Ablu? Uważasz, że jesteś dobrze traktowany i dobrze wynagradzany?

- O tak, proszę pana. W zupełności, proszę pana. Jest pan bardzo hojny.

- Cieszy mnie, że to słyszę. A jeśli chodzi o sprawiedliwość, Ablu. Czy uważasz, że jestem sprawiedliwy?

- Zawsze - nie mógł się powstrzymać. Wizja skrwawionego ciała DiCarla przemknęła mu przez jego głowę. - Bezwarunkowo, proszę pana.

- Myślałem dziś o tobie, Ablu. Przez cały ranek i popołudnie. A kiedy tak myślałem, okazało się, że przez te... osiem lat, powiadasz?

- Tak, osiem - Winesap zaczął czuć się jak pająk obezwładniony jadem szerszenia. - Osiem lat.

- Że przez te osiem lat - ciągnął Finley - dałeś mi bardzo niewiele powodów, bym mógł krytykować twoją pracę. Jesteś szybki, jesteś skuteczny, jesteś, w większości przypadków uważny.

- Dziękuję panu - ale do Winesapa dotarły tylko słowa „w większości przypadków”. Poczł strach. - Robię wszystko, co w mojej mocy.

- Wierzę w to. To dlatego dziś poczułem się tak zawiedziony. Wierzę, że robisz wszystko, co w twojej mocy, i widzę, że to za mało.

- Tak, proszę pana? - głos Winesapa przeszedł w pisk.

- Czy zdołałeś może znaleźć w swoim pełnym zajęć dniu odrobinę czasu na to, by przeczytać poranną gazetę?

- Rzuciłem okiem na tytuły - powiedział przepaszająco Winesap. - Ostatnio namnożyło mi się zajęć.

- Zawsze powinno się znajdować czas na zapoznanie się z aktualnościami - Finley dziobnął palcem w gazetę na biurku, nie odrywając płonących oczu od twarzy Winesapa - takimi, jak te tutaj. Przeczytaj mi je teraz, Ablu, z łaski swojej.

- Tak, proszę pana - Winesap podszedł do biurka, drżąc z przerażenia i wziął gazetę. Artykuł, o którym mówił Finley, był zakreślony kilkakrotnie atramentem czerwonym niczym krew.

- Autostopowicze odkrywają zwłoki - zaczął i poczuł, że jego wnętrzności ściskają się boleśnie. - Kil... kilka dni temu znaleziono w wąwozie zwło... zwłoki...

Finley wyrwał mu gazetę.

- Głos ci nieco osłabł, Ablu. Pozwól, że cię wyręcę - zaczął czytać suchy raport melodyjnym, ciepłym głosem. Notatka kończyła się standardową wzmianką o prowadzonym przez policję dochodzeniu.

- Oczywiście - dodał, wygladzając leżącą na biurku gazetę - będziemy w stanie zidentyfikować ciało, prawda, Ablu?

- Proszę pana... za pozwoleniem... Ciało zostało znalezione wiele mil stąd. Nikt nie powinien... - skulił się, spuścił oczy.

- Spodziewałem się po tobie czegoś lepszego, Ablu. To moja wina. Nie byłeś uważny - powiedział, starannie oddzielając każde słowo. - Oczywiście wcześniej czy później zidentyfikują to ciało. A ja będę zmuszony do udzielenia odpowiedzi na parę pytań. Naturalnie jestem przekonany, że dam sobie radę z policją, ale to dla mnie niewygodne, Ablu. Naprawdę uważam, że powinieneś był mi oszczędzić tej niewygody.

- Tak, proszę pana. Jest mi strasznie przykro. - Winesap wspomniał koszmarną podróż w góry, ohydną drogą, po której włókł zwłoki. Skulił się. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo.

- Nie, nie, jestem pewien, że potrafisz. Ale ponieważ przyjrzałem się twojej pracy bardzo uważnie i nie dostrzegłem w niej rażących uchybień, spróbuję przymknąć na to oczy. Wyjedziesz na parę dni na Wschodnie Wybrzeże, Ablu. Ufam, że w przypadku panny Conroy okażesz więcej finezji niż w przypadku pana DiCarlo.

- Tak, proszę pana. Dziękuję. Będę... uważny.

- Jestem tego pewien - Finley posłał Winesapowi uśmiech, który nasunął mu skojarzenie z głodnym rekinem. - Zapomnimy o tym nieszczęsnym potknięciu. Nie sądzę, byśmy musieli do tego wracać.

- To bardzo wspaniałomyślne z pańskiej strony, proszę pana - Winesap zaczął

ostrożnie wycofywać się z pokoju. - Dziękuję panu.

- Ach, i jeszcze jedno, Ablu - Finley patrzył z rozkoszą, jak Winesap zastyga w pół ruchu i kurczy się. - Uważam, że w tych okolicznościach powinieneś mi zwrócić moją łyżeczkę.

- Och - twarz Winesapa wydłużyła się. - Oczywiście. Finley wygodnie rozparł się na krześle i - w znacznie lepszym nastroju - przyjrzał się, jak Winesap zamyka za sobą z szacunkiem drzwi gabinetu. Odkąd przeczytał artykuł, nie mógł uspokoić myśli. Teraz opanował się, stosując parę ćwiczeń oddechowych. Na skołataną duszę nie ma nic lepszego niż joga.

Powinienem baczniej przyglądać się Ablowi, pomyślał ze smutkiem. O wiele bardziej bacznie. Jeśli cała ta awantura z DiCarlem zacznie nabierać rozgłosu, trzeba będzie przeznaczyć starego wiernego Abła na karmę dla wilków, jak każdą inną padlinę.

Ale miał szczerą nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Nie martwił się o siebie. Kiedy ma się dość pieniędzy i władzy, pomyślał, jest się poza zasięgiem prawa.

Policja go nie tknie. Nikt go nie tknie. A jeśli za sprawą jakiegoś pomniejszego cudu podejda zbyt blisko niego, zawsze znajdą się jakieś drobne drapieżniki - jak choćby Abel - które będzie można rzucić im na przynętę.

Ale był przecież człowiekiem skłonnym do wybaczenia. Finley wyjął z uśmiechem etui, które wziął z biurka i przesunął po nim pieszczotliwie dłonią. Nadzwyczaj skłonnym, czasem nawet do przesady.

Jeśli tylko Abel wypełni starannie jego rozkazy i unieszkodliwi pannę Conroy, nie będzie trzeba go zabijać. Nie będzie takiej potrzeby.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Jak dobrze oddać się zwykłym, codziennym obowiązkom. Dora rzuciła się w ich wir, usiłując zapomnieć o nadal stojącym przed nią spotkaniem z panem Petroym.

Nie uważała się dotąd za tak zwyczajną i nieciekawą, by życzyć sobie przygód. Ale prawda wyglądała tak, że chciała znów wieść spokojne życie. Więcej, chciała czuć znowu nudę.

Przynajmniej Jed nie zauważył, że brakuje jej apetytu. Była pewna, że nie uszłoby to jego uwagi, gdyby nie kryła się z tym tak dobrze.

To samo dotyczyło kobiecych sztuczek z makijażem. Jej oczy mogłyby być podbite cieniami, cera blada i zmęczona, ale przy pomocy kremów, podkładów i pudrów udało się jej wykonać maskę, bardzo zbliżoną do oryginału.

Miała nadzieję, że do czwartku wszystko będzie trzymało się kupy.

Potarła bolące miejsce między oczami. Tego bólu nie potrafiły usunąć niezliczone ilości aspiryny. Drzwi sklepu otworzyły się. Nic nie mogło sprawić Dorze większej radości niż uśmiechnięta i nieco podchmielona twarz ojca.

- Izzy, moja najśłodsza!

- Tatusiu, najukochańszy! - wyszła zza kontuaru, by go pocałować, po czym nagle chwyciła go w serdeczny uścisk i wtuliła twarz w jego ramię.

Odwzajemnił jej uścisk, choć jego oczy zamglily się troską, uśmiechnął się, kiedy wypuścił ją z objęć.

- Samiusieńka, moja dziewczynko?

- Już nie. Trudno mi się dzisiaj pozbierać. Chcesz kawy?

- Pół filiżanki.

Przyglądał się jej z uwagą, kiedy podchodziła do dzbanka z kawą i nalewała ją do filiżanek. Znał swoje dzieci, ich twarze, barwę ich głosów, subtelność języka ich ciał. Isadora coś ukrywa, pomyślał. Wkrótce dowiem się co.

- Twoja matka wysłała mnie w charakterze ambasadora - wziął podawaną mu filiżankę, po czym wyjął małą buteleczkę, z której odmierzył solidną porcję whisky. - Mam przekazać tobie i twojemu chłopcu zaproszenie na koktajl i zebranie towarzyskie.

- Jeśli chodzi o Jeda, chyba zaprotestowałyby temu określeniu, ale zaproszenia by nie odrzucił. Kiedy?

- W czwartek wieczorem - uniósł brew, ujrzawszy cień na jej twarzy. - Oczywiście przed spektaklem.

- Oczywiście. Z przyjemnością go przyprowadzę.

- Sam przekażę mu zaproszenie. Jest na gorze?

- Nie, chyba wyszedł - przełknęła łyk kawy, z ulgą przyjmując fakt, że kilka osób, oglądających wystawę, minęło jej sklep nie wchodząc do środka. - Jeśli chcesz, możesz wpaść do niego później.

Quentin przyglądał się, jak jego córka bawi się cukierniczką.

- Posprzeczałyście się?

- My się nie sprzeczymy - zdobyła się na uśmiech. - Walczymy czasem ze sobą, ale sprzeczki nie należą do naszego rytuału. - Wzięła ciasteczko, ale odłożyła je po chwili. - Wiesz co, jestem dziś trochę niespokojna. Masz ochotę na spacer?

- Z piękną kobietą? Zawsze.

- Wezmę płaszcz.

Quentin zmrużył oczy w zamyśleniu, zastanawiając się, czy to nie wybrany przez niego partner dla jego dziewczynki jest przyczyną jej rozstroju nerwowego. Ale kiedy wróciła, zapinając płaszcz, rozpromienił się w uśmiechu.

- Może powinniśmy wybrać się na New Market i rzucić okiem na parę wystaw?

- Mój ty bohaterze - Dora zawiesiła na drzwiczkach tabliczkę „ZAMKNIĘTE” i wzięła ojca pod rękę.

\* \* \*

Kupił jej żelki, a ona nie mogła ich nie zjeść. Stali na zewnątrz, ciesząc się zimnem i brukiem ulicy, podziwiając kosmopolityczny rozmach wystaw. Dora wiedziała, że poczuje się lepiej, kiedy zacznie zastanawiać się nad kupnem puzderka z Limoges lub kaszmirowego swetra.

Wiatr świstał w bezlistnych gałęziach drzew, kiedy przysiedli na ławce, by wypić kolejną kawę. W filiżance Quentina znowu pojawiła się whisky.

- Mogę ci coś kupić? - spytał. - Zawsze uśmiechałaś się, kiedy udawało ci się mnie naciągnąć na jakieś świedelko.

- Zawsze byłam interesowna, co? - wsparła się po przyjacielsku na jego ramieniu, rozbawiona samą sobą.

- Zawsze kochałaś piękne przedmioty, a także doceniałaś ich wartość. To dar, Izzy, nie wada.

Poczuła pod powiekami palące, niepotrzebne łzy.

- Chyba zaczynam kapryścić. Myślałam, że kaprysy są specjalnością Willa.

- Wszystkie moje dzieci są cudownie kapryśne - oznajmił Quentin z zapałem. - W twoich żyłach płynie krew aktorów. Artyści nie mają łatwego usposobienia, rozumiesz. Nie powinniśmy go mieć.

- A policjanci?

Przez chwilę rozkoszował się drinkiem.

- Policję postrzegam jako zawód artystyczny. Niektórzy mogliby określić go raczej jako naukę. Ale zwróćmy uwagę na wycucie rytmu, choreografię, dramatyzm. Tak, to na pewno sztuka - objął ją czule. Powiedz mi, co czujesz, Izzy.

Mogła to zrobić. Zawsze mogła zwierzyć się mu ze swoich uczuć, nie bojąc się, że ją skrytykuje lub potępi.

- Tak go kocham. Chcę być z nim szczęśliwa. I prawie jestem, przeważnie, ale on nie ufa takim uczuciom. Nie ma z nimi żadnego doświadczenia. Jego rodzice nie dali mu tego, co ty i mama daliście nam.

Westchnęła i obrzuciła wzrokiem młodą matkę pchającą wózek po bruku. Berbec w wózku miał policzki czerwone jak róże i śmiał się głośno. Poczowała ostre szarpnięcie, będące dla niej zarazem zaskoczeniem, jak i przykrym odkryciem. Chcę tego, zdała sobie sprawę. Chcę godzinami spacerować z moim dzieckiem w słońcu i uśmiechać się.

- Chyba nie możemy dać sobie nawzajem tego, czego nam potrzeba - powiedziała ostrożnie.

- Najpierw musicie zrozumieć, jakie są wasze potrzeby. Spojrzała tęsknie za oddalającą się matką z dzieckiem.

- Zdaje się, że to ja powinnam coś zrobić. Jak można wymagać, żeby człowiek, którego dzieciństwo było studium nieszczęścia, zrobił pierwszy krok w kierunku stworzenia własnej rodziny? Byłoby nieuczciwością, gdybym go zmuszała do zrobienia tego kroku i gdybym sama nie chciała go zrobić.

- Sądysz, że tylko ci, którzy wychowali się w szczęśliwej rodzinie, mogą założyć szczęśliwą rodzinę?

- Nie wiem.

- Babka Jeda uważa, że zrobił już pierwszy krok i zastanawia się nad następnym.

- Nie sędzę... - zamilkła i spojrzała ze zmarszczonymi brwiami na ojca. - Jego babka? Rozmawiałaś z nią?

- Ria, twoja matka i ja spędziliśmy bardzo miło czas, kiedy byliście w Kalifornii. Cudowna kobieta - dodał. - Jest tobą oczarowana.

Oczy Dory zwęziły się.



- Zdaje mi się, że muszę ci przypomnieć, że jestem już zupełnie dorosła. Podobnie Jed. Nie sądzę, żebyście mieli prawo rozprawiać o nas jak o niedorozwiniętych dzieciach.

- Ależ wy jesteście naszymi dziećmi - uśmiechnął się łagodnie i pogładził jej zarumieniony policzek. - Kiedy sama będziesz miała dzieci, zrozumiesz, że miłość nigdy nie gaśnie, tak jak i troska, duma i chęć mieszania się w sprawy dziecka. - Uśmiechnął się do niej - Kocham cię, Izzy i bardzo w ciebie wierzę - uszczypnął ją w podbródek. - A teraz powiedz mi, co jeszcze cię dręczy?

- Nie mogę - i bardzo tego żałowała. - Powiem ci tylko, że za parę dni wszystko powinno się rozwiązać.

- Nie będę się wtrącać - powiedział, przynajmniej nie wtedy, kiedy tak czujnie stoisz na straży swoich tajemnic. - Ale jeśli wkrótce nie zaczniesz wyglądać na szczęśliwszą, napuszczę na ciebie swoją matkę.

- Już się uśmiecham - wykrzywiła twarz w uśmiechu. - Zobacz, sama radość.

Wstał, zadowolony. Wyrzucił pusty kubek do kosza i wyciągnął do niej rękę.

- Chodźmy na zakupy.

\* \* \*

- Jest jak kłębek nerwów - Jed spotkał Brenta na sali gimnastycznej, co pozwoliło mu rozładować napięcie przy boksowaniu w worek bokserski. - Nie przyzna się, ale wewnątrz jest cała spięta.

Jed, niewiele mniej spięty, zaatakował worek serią ostrych ciosów. Brent, któremu przypadło w udziale trzymanie worka, stęknął z wysiłku.

- A ja jej nie pomagam.

- Działamy tak szybko, jak to tylko możliwe - Brent poczuł pot ściekający mu pod koszulą i pożałował, że nie umówił się z Jedem w jakiejś przytulnej kawiarence. - Po czwartkowym spotkaniu powinniśmy zacząć trzymać ją z dala od tego.

- Nie o to chodzi - Jed odsunął się od worka w stronę światła, co sprawiło Brentowi niewypowiedzianą ulgę. Po chwili zmrużył oczy i jednym ciosem sprawił, że worek zmienił się w wirującą, zamazaną plamę. - Ona mnie kocha.

Brent zdjął okulary, by przetrzeć zaparowane szkła. - I to ma być coś nowego?

- Potrzeba jej więcej, niż mogę jej dać. Powinna mieć więcej.

- Być może. Skarży się?

- Nie - Jed strzepnął pot z powiek i nadal nie przestawał boksować.

- To się odpreż i ciesz się przygodą.

Jed odwrócił się do niego, tak gwałtownie, że Brent uchylił się czekając na cios.

- To nie jest żadna pieprzona przygoda. Nie z Dorą. To jest... - przerwał, z wściekłością dostrzegając chytry uśmiech rozlewający się na twarzy Brenta. - Przestań mnie podpuszczać - powiedział bardzo łagodnie.

- Ja tylko sonduję sytuację, kapitanie - kiedy Jed wyciągnął ku niemu rękę, Brent zaczął posłusznie rozsznurowywać jego rękawice. - A jeśli o tym mowa, nieoficjalna wersja jest taka, że od pierwszego znowu dowodzisz. Goldman się wścieka.

- Poczuj się jeszcze lepiej, kiedy podpiszę jego przeniesienie.

- Och, pozwól mi ucałować twoje stopy. Jed z uśmiechem rozmasował sobie pięść.

- W poniedziałek oznajmimy to oficjalnie. A jeśli spróbujesz mnie tutaj pocałować, koleś, będę musiał cię znokautować - zaczął ocierać twarz ręcznikiem. - Na razie to Goldman tu rządzi. Wszystko gotowe na czwartek?

- W sklepie mamy dwóch chłopców. Kolejna para czeka na zewnątrz, a furgonetka z aparaturą podsłuchową stoi za rogiem. Jeśli Dora zastosuje się do instrukcji, usłyszymy każde słowo.

- Dora się zastosuje.

\* \* \*

Godzina spędzona z ojcem wyzwoliła w Dorze tęsknotę za rodziną. Zaspokoila ją, zamykając sklep o godzinę wcześniej i spędzając wieczór w domu Lei. Gwar zatłoczonego pokoju ukoił jej duszę.

- Zdaje się, że Richie coraz lepiej gra na trąbce - zauważyła Dora.

Lea przechyliła głowę i wsłuchiwała się z dumą i zarazem rezygnacją w ochryple fałszy.

- Za trzy tygodnie odbędzie się koncert zespołu. Zarezerwowałam dla ciebie miejsce w pierwszym rzędzie.

- Niech cię Bóg błogosławi - z sąsiedniego pokoju dobiegła ich seria stłumionych łomotów, które miały wyobrażać, przy odrobinie wyobraźni, wściekłą szarżę kawalerii i znakomity krzyk rebeliantów.

- Potrzebowałam tego - Dora opadła z zadowoleniem na stołek przy blacie kuchennym.

- Z radością zostawię cię tu na parę godzin. Rządź nimi - Lea dołała kolejną dozę burgunda do gulaszu perkoczącego na ogniu.

- Nie potrzebuję aż tyle - Dora łyknęła pospiesznie odrobinę wina. - Nie. Dzisiejsze popołudnie spędziłam z tatą i zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdybym nie miała go pod

ręką. To wszystko.

- Tu się coś dzieje - Lea zmarszczyła brwi i puknęła łyżką o krawędź garnka, po czym odłożyła ją na podstawkę na łyżki w kształcie kaczki. - Masz tę zmarszczkę między brwiami. I jesteś błada. Zawsze bledniesz, kiedy się czymś martwisz.

- Ty też byś się martwiła, gdybyś musiała szukać nowego księgowego tuż przed zrobieniem rocznego bilansu.

- Nie kupuję - Lea podeszła bliżej, zaglądając jej w twarz. - Kręcisz, Dory, i nie chodzi tu o interesy. Jeśli mi nie powiesz, napuszczę na ciebie mamę.

- Dlaczego wszyscy straszycie mnie mamą? - chciała wiedzieć Dora. - Jestem wytrącona z równowagi, zadowolona? Moje życie zaczyna robić jakieś dziwne wolty. Chciałabym, żeby moja rodzina uszanowała moją prywatność i pozwoliła mi samej radzić sobie z moimi problemami.

- W porządku. Przepraszam. Naprawdę.

Dora przesunęła dłonią po twarzy i odetchnęła głęboko. Nie, to ja przepraszam. Nie powinnam na ciebie napadać. Chyba ciągle odreagowuję podróż. Może wrócę do domu, wezmę gorącą kąpiel i prześpię dwanaście godzin.

- Jeśli jutro nie będziesz się czuła lepiej, przyjdę wcześniej do pracy.

- Dzięki. Powiadomię cię - już podnosiła się ze stoika, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Cześć - do środka zajrzała Mary Pat. - Przyszłam odebrać moje potwory - przez chwilę słuchała krzyków i porykiwań trąbki. - Ach, ten tupot małych nóżek. Cudowny, prawda?

- Siadaj - zaprosiła ją Lea. - Chyba, że się spieszysz.

- Chętnie - usiadła z westchnieniem obok Dory. - Od ośmiu godzin jestem na nogach. Mieliśmy dwa nagłe wypadki, jeden po drugim - odetchnęła głęboko. - Boże, jak ci się udaje wychowywać dzieci, pracować i jeszcze tak wspaniale gotować?

- Mam wyrozumiałą szefową - Lea nalała z uśmiechem kieliszek wina dla Mary Pat. - Dała mi dzień wolnego.

- A skoro mówimy o pracy, świetne są te wiadomości o Jedzie, prawda?

- Jakie wiadomości?

- Że wraca do pracy - zamknęła oczy, pomasaowała sobie kark i nie zauważyła zdezorientowanego spojrzenia Dory. - Brent skacze z radości. Nienawidził tego Goldmana, rzecz jasna. Kto go lubił? Ale chodzi o coś więcej. Policja potrzebuje Jeda, a Jed potrzebuje policji. Teraz, skoro już zdecydował się wrócić, stało się jasne, że już doszedł z sobą do ładu. Nie sądzę, żeby zechciał zaczekać do pierwszego z przejęciem dowodzenia. W przeciwnym

razie... - jedno spojrzenie na twarz Dory kazało Mary Pat urwać w pół słowa. - A niech to. Czyżbym coś sknociła? Brent powiedział, że w poniedziałek podają to do ogólnej wiadomości, więc myślałam, że już wiesz.

- Nie, Jed nie wspomniał mi o tym - zmusiła się do uśmiechu, ale radość nie pojawiła się w jej oczach. - Ale to dobre wieści. Nie, wspaniałe. Jestem pewna, że tego właśnie mu potrzeba. Od kiedy o tym wiesz?

- Od paru dni - co za głupota, pomyślała Mary Pat, nie wiedząc, czy mówi o sobie czy o Jedzie. - Na pewno chciał ci o tym powiedzieć. Ja tylko, eee... - ale nie mogła znaleźć żadnego prawdopodobnego usprawiedliwienia. - Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Naprawdę miło mi to usłyszeć - Dora wstała i zaczęła mechanicznie wkładać płaszcz. - Chyba muszę lecieć.

- Zostań na kolację - powiedziała szybko Lea. - Jest mnóstwo jedzenia.

- Nie, muszę jeszcze coś załatwić. Pozdrów Brenta - zwróciła się do Mary Pat.

- Jasne - Kiedy drzwi zamknęły się za Dorą, Mary Pat oparła czoło na pięściach. - Czuję się, jakbym przejechała szczeniaka. Dlaczego jej nie powiedział, do cholery?

- Bo jest idiotą - głos Lei był pełen dzikiej furii. - Wszyscy mężczyźni to idioci.

- To fakt - zgodziła się Mary Pat. - Ale ten tutaj jest wyjątkowym idiotą. W dodatku rozmyślnym idiotą. Leo, znam Jeda od dawna i wiem, że nie jest taki. Ostrożny, ale nie zimny.

- Może przestał zauważać różnicę.

\* \* \*

O drugiej w nocy do głowy mogą przyjść różne dziwne myśli. Zwłaszcza, jeśli jest się mężczyzną czekającym na kobietę. Zaczynają się domysły, rusza wyobraźnia, pojawia się zmartwienie i pot. Jed chodził po swoim salonie, wielkimi krokami przemierzał przestrzeń między otwartymi drzwiami a końcem korytarza.

Jak to robił już niezliczone razy podczas ostatnich czterech godzin, podszedł do tylnych drzwi i wyrztał na podjazd. Stał na nim tylko jego samochód, samotny jak i on. Ani śladu Dory.

Gdzie ona się podziewa, do pioruna? Wrócił do swojego mieszkania i spojrzał na zegar, żeby porównać czas z tym, który pokazywał jego zegarek. Minuta po drugiej. Jeśli nie wróci za dziesięć minut, obiecał sobie, obdzwoni wszystkie szpitale i powiadomi policję.

Wbił wzrok w telefon. Dopóki nie podnosił słuchawki, nie zdawał sobie sprawy, że pocą mu się dłonie. Zaklął, rzucił słuchawkę na widelki. Nie, nie będzie dzwonił do szpitali.

Nawet nie będzie o tym myślał.

Ale gdzie ona się podziewa, do cholery? Niech to szlag, co można zrobić o drugiej w nocy?

Znowu sięgnął po telefon i zatrzymał się, kiedy nowa myśl przeszła go niczym błysk. Może się na nim mści. Była to bezpieczna, a nawet wygodna myśl, więc uczeplił się jej z całych sił. Czy to tak właśnie się czuła, kiedy wracał późno, bez słowa wyjaśnienia? Czy zrobiła to po to, żeby mu pokazać, jaką męczarnią jest czekać w ciszy, nie wiedząc, gdzie jest osoba, która coś dla nas znaczy?

Nie ujdzie jej to na sucho, postanowił. Zapłaci mi za to jak cholera. Ale kiedy znowu sięgał po słuchawkę, usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych.

Znalazł się przy nich szybciej, niż zdążyła je otworzyć.

- Gdzie byłaś, do cholery? - wyrwał mu się okrzyk, pełen troski i wściekłości. - Wiesz, która godzina?

- Wiem - zamknęła za sobą drzwi z wielką ostrożnością i obróciła w nich klucz. - Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że ogłoszono godzinę policyjną.

Przeszła obok niego tylko dlatego, że zamarł jak sparalizowany. Ale szybko się otrząsnął. Złapał ją przy drzwiach jej mieszkania i obrócił ku sobie gwałtownie.

- Chwilunia, Conroy. Zapomnijmy na razie o sprawach osobistych. Fakty są takie, że jesteś w niebezpieczeństwie, a to, że wymknęłaś się spod naszej opieki na pół nocy jest dowodem niewiarygodnego braku odpowiedzialności.

- Jestem odpowiedzialna przed samą sobą i za samą siebie - przekręciła gwałtownie klucz w drzwiach i otworzyła drzwi szarpnięciem. - I jak widzisz, nic mi nie jest.

Uderzył dłonią w drzwi, zanim zdążyła je zamknąć.

- Nie miałaś prawa...

- Nie mów mi o prawach - przerwała mu, bardzo chłodna, bardzo opanowana. - Spędziłam ten wieczór w taki sposób, na jaki miałam ochotę.

Wściekłość i uraza zagotowały się w nim.

- To znaczy jak?

- Samotnie - zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie.

- Zrobiłaś to, żeby się na mnie odegrać, tak?

- Nie - przeszła obok niego w kierunku kuchni i nalała sobie szklankę wody. - Zrobiłam to, bo miałam na to ochotę. Przykro mi, jeśli się martwiłeś. Nie przypuszczałam, że będziesz się martwić.

- Nie przypuszczałaś - dotknięty do żywego, wyrwał jej szklankę z ręki i rzucił ją do

zlewu. Rozprysnęła się na drobne kawałeczki. - Pierdolisz, Conroy. Wiedziałaś, że będę odchodził od zmysłów. Już chciałem dzwonić do tego pieprzonego 997.

- Jakie to interesujące, że tak łatwo ci przychodzi używanie tych policyjnych terminów. Dobrze, że wracasz do pracy, Skimmerhorn. Bardzo kiepski z ciebie cywil - jej oczy były pozbawione wyrazu, tak jak jej głos. - Czy regulamin wymaga złożenia gratulacji, kapitanie, czy tylko najlepszych życzeń? - Kiedy nie odpowiedział, skinęła głową - no cóż, mogę ci ofiarować i to, i to.

- Do przyszłego tygodnia to jeszcze nie potwierdzone oficjalnie - powiedział ostrożnie, przyglądając się jej. Nigdy dotąd nie widział, żeby jej oczy były tak zimne, tak obojętne. - Jak się dowiedziałas?

- Czy to ważne? Chodzi o to, że nie dowiedziałam się tego od ciebie. Przepraszam - przecisnęła się obok niego i poszła do salonu.

Zamknął na chwilę oczy i przeklął się za głupotę.

- Więc jesteś wkurzona. W porządku. Ale...

- Nie - przerwała. - Nic nie jest w porządku. I nie jestem wkurzona - ponieważ była zmęczona, tak nieznośnie zmęczona, poddała się i usiadła na poręczy krzesła. - Można powiedzieć, że zostałam oświecona. Można nawet powiedzieć, że jestem zdruzgotana, ale nie, nie jestem zła.

Spokojna rezygnacja brzmiąca w jej głosie, poruszyła go.

- Doro, nie zrobiłem tego, żeby cię zranić.

- Wiem. Właśnie dlatego uważam, że zostałam oświecona. Nie powiedziałeś mi, ponieważ nie uważałeś, żeby miało to być moją sprawą. A właściwie należałoby powiedzieć, że nie chciałeś, żeby to było moją sprawą. To wielka decyzja w twoim życiu. W twoim życiu - powtórzyła, podkreślając te słowa z bolesnym natężeniem - nie w moim. Więc dlaczego miałbyś zawracać sobie głowę i mówić mi o tym?

Oddalała się od niego. Stał o dwa kroki od niej i widział, jak odległość między nimi rośnie gwałtownie. Poczł strach.

- Mówisz to tak, jakbym krył się z tym przed tobą. Chciałem to doprowadzić do końca, to wszystko. Nie sądziłem, że zrozumiesz.

- Nie dałeś mi nawet szansy, Jed - powiedziała cicho. - Sądzisz, że mogłam czuć do ciebie to, co czułam i nie rozumieć, jak ważną rzeczą jest dla ciebie twoja praca?

To, że użyła czasu przeszłego, sprawiło, że poczuł nagły dreszcz paniki.

- To nie miało nic wspólnego z tobą - kiedy tylko to powiedział, zrozumiał, że źle dobrał słowa.

Jej oczy pozostały suche, lecz wypełnił je ból.

- Nie myślałem o tym w taki sposób.

- Chyba myślałeś. Chciałabym móc cię o to nie obwiniać, ale nie mogę. Wiem, że nie przychodziło ci to łatwo, ale od dawna podejmujesz własne decyzje. Zdecydowałeś, że nie zaakceptujesz tego, co czuję do ciebie i że nie pozwolisz sobie na odwzajemnienie moich uczuć. I za to muszę cię obwiniać.

Jej głos nie drżał, oczy patrzyły spokojnie, ale dłonie, trzymane na kolanach, zaciskały się konwulsyjnie.

- Za to muszę cię winić, a także za to, że mnie ranisz. Mówiłam ci kiedyś, że nie umiem znieść bólu i nie udaję, że mnie nie boli, kiedy tak nie jest. Ponieważ jesteś pierwszym mężczyzną, który złamał mi serce, uważam, że powinienes o tym wiedzieć.

- Na miłość boską, Doro - ruszył ku niej, ale kiedy drgnęła i cofnęła się, musiał się zatrzymać.

- Nie chcę, żebyś mnie teraz dotykał - powiedziała bardzo cicho, czując, że za chwilę przestanie nad sobą panować. - Naprawdę. Wreszcie zrozumiałam, że to było wszystko, co nas łączyło. To upokarzająca świadomość.

- To nieprawda - zacisnął ręce w pięści, ale już wiedział, że nie przebije się przez mur, który sam wznosił między nimi. - Nadajesz temu niewłaściwe proporcje, Doro. To tylko praca.

- Chciałabym, żeby tak było. Ale oboje wiemy, że to nieprawda. To najważniejsza rzecz w twoim życiu. Zrezygnowałeś z niej, żeby się ukarać, i przyjmujesz ją z powrotem, bo bez niej nie możesz być szczęśliwy - i może nawet nie możesz bez niej normalnie żyć. Cieszę się razem z tobą. Naprawdę.

- Nie potrzebuję tu analiz. Przestań być taka rozsądna.

- Jestem rozsądna, wierz mi. Na tyle rozsądna, że zamierzam to nam ułatwić. Pojutrze będziesz wiedział już wszystko o obrazie. Lub prawie wszystko. Wtedy przestaniesz mnie potrzebować.

- Niech cię diabli, wiesz, że cię potrzebuję.

Wtedy jej oczy wypełniły się łzami. Zaczęła z nimi walczyć niczym ze śmiertelnym wrogiem.

- Nie masz pojęcia, co bym kiedyś dała, żeby usłyszeć to od ciebie. Tylko raz. Żebyś spojrział na mnie i powiedział, że mnie potrzebujesz. Ale nie jestem odważna, Jed, i muszę się bronić.

Nie, nie umiał się przebić przez ten mur, który zbudowała między nimi. Za to jej ból

mógł tego dokonać. Prześliznął się przez jakąś szczelinę i uderzył w niego.

- Czego ty chcesz, Doro?

- Kiedy skończymy z tym w czwartek, zamierzam zamknąć sklep na parę tygodni i pojechać gdzieś, gdzie jest ciepło. Dzięki temu zyskasz dużo czasu, żeby znaleźć inne mieszkanie i wyprowadzić się.

- To nie jest sposób.

- To jest mój sposób. I uważam, że to ja mogę o tym zdecydować. Przykro mi, ale nie chcę cię tu zastać, kiedy wrócę.

- Tak po prostu? - Tak.

- Świetnie - miał swoją dumę. Znał już smak odrzucenia. A jeśli tym razem znowu poczuje w sobie pustkę, znajdzie coś, co ją wypełni. Ale nie będzie błagał. Niech go diabli, jeśli będzie.

- Wyjadę natychmiast, jak tylko uda mi się z tym skończyć - ponieważ czuł ból, niewiarygodny ból, uciekł w zawodowstwo. - Jutro po zamknięciu pojawi się ekipa. Zamontują podsłuch. Kiedy skończą, omówimy plan.

- Dobrze. Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym, żebyś wyszedł. - Podeszła do drzwi, otworzyła je - proszę.

Dopóki jej nie minął, nie czuł, że ręce się mu trzęsą. Kiedy usłyszał zamykające się za nim drzwi, doznał nieznośnego i trwałego uczucia, że właśnie zamknął się za nim najlepszy okres życia.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Co się z wami dzieje? - spytał Brent, kiedy Jed pojawił się w furgonetce. Jed zignorował pytanie i wyciągnął papierosa.

- Co z dźwiękiem?

- Głośny i wyraźny - Brent podał mu słuchawki, ale nie zamierzał jeszcze skończyć. - Na tyle głośny i wyraźny, by słyszeć, jak rozmawialiście z sobą niczym grzeczni nieznajomi. Nie sądzisz, że przydałoby się jej moralne wsparcie w miejsce wykładu na temat planu działania?

- Dość - Jed włożył słuchawki i spojrzał przez tylne okno furgonetki, by sprawdzić, czy widać z niego sklep. - Wszystko gotowe?

- Jasne - zapewnił go Brent. - Słuchaj, może poczułbyś się lepiej, gdybyś czekał w środku.

- Ona będzie czuła się lepiej, jeśli będę na zewnątrz. Słuchaj, ja zajmuję się swoimi sprawami - Jed zaciągnął się głęboko. - A ty swoimi.

- Jeszcze tu nie rządysz, kapitanie - cień gniewu w głosie Brenta obudził wściekłość Jeda. Zanim zdołał zareagować, rozległo się trzeszczenie radia.

- Do bazy, tu jedynka. Mężczyzna odpowiadający opisowi właśnie wysiadł z taksówki na rogu South i Front. Kieruje się na zachód.

- Oho, zaczyna się - mruknął Brent, ale Jed już sięgał po przenośny telefon. Dora podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Dobry wieczór, tu Salon Dory.

- Jest za rogiem - powiedział sucho Jed. - Widzimy go.

- W porządku. Tu wszystko jest gotowe.

- Trzymaj się, Conroy.

- Oczywiście.

- Doro... - ale połączenie było już przerwane. - Niech to diabli - powiedział cicho, bezradnie.

- Poradzi sobie, Jed.

- Tak. Ale nie wiem, czy ja sobie poradzę - spojrzał na Winesapa, pospiesznie zmierzającego chodnikiem, kulącego się pod podmuchami wiatru. - Właśnie zrozumiałem, że ją kocham.

Odsunął myśl o bolesnym pulsowaniu w karku i włożył słuchawki w samą porę, by usłyszeć dzwonek u drzwi, w których pojawił się Winesap.

- Dobry wieczór - Dora wyszła zza kontuaru i uśmiechnęła się swoim najlepszym zachęcającym uśmiechem. - Czym mogę służyć?

- Panna Conroy? Nazywam się Francis Petroy.

Jej uśmiech stał się szerszy.

- Tak, panie Petroy. Czekałam na pana. - Podeszła do drzwi i obróciła wiszącą na nich tabliczkę słowem „ZAMKNIĘTE” do ulicy. Szybko zerknęła w stronę furgonetki, po czym odwróciła wzrok. - Tak się cieszę, że pan przyszedł. Czy mogę poczęstować pana kawą? Może herbatą?

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

- To żaden kłopot. Zawsze trzymam tu kawę i herbatę dla klientów. Dzięki temu interesy stają się przyjemniejsze.

- Wobec tego poproszę o herbatę - może to uspokoi jego żołądek lepiej, niż alka seltzer, który zażył godzinę temu. - Pani sklep zrobił na mnie duże wrażenie.

- Dziękuję - z satysfakcją zauważyła, że jej ręka trzymająca imbryk jest spokojna.

- Lubię otaczać się pięknymi przedmiotami. Ale pan to rozumie.

- Przepraszam?

- Jako kolekcjoner dzieł sztuki - podała mu filiżankę herbaty i uśmiechnęła się. - Śmietanki? Cytryny?

- Nie, nie, wystarczy, dziękuję.

- Powiedział pan, że specjalizuje się w abstrakcjach, ale może zainteresują pana te nostalgiczne plakaty? - wskazała mu znak firmowy Bugattiego tuż obok dziewczyny Vargas.

- Tak, eee... Bardzo ładne. Naprawdę bardzo ładne.

- Mam też parę dobrych karykatur z „Vanity Fair”. Są w drugiej sali. Spojrzała na niego znad filiżanki herbaty.

- Ale jako miłośnik abstrakcji będzie pan bardziej zainteresowany... powiedzmy Bothbym lub Kippingdale'em - powiedziała, zmyślając na poczekaniu nazwiska.

- Tak, oczywiście. Są wyjątkowo utalentowani - herbata skwaśniała w jego żołądku jak ocet. Starał się, naprawdę się starał dokładnie przestudiować wiele książek dotyczących sztuki abstrakcyjnej. Ale wszystkie nazwiska i obrazy zamazywały się w jego pamięci. - Widzi pani, moja kolekcja nie jest zbyt rozległa. To dlatego koncentruję się na malarzach zaczynających zdobywać popularność.

- Takich jak Billingsly.

- Właśnie - potwierdził z westchnieniem ulgi. - Bardzo chciałbym zobaczyć ten obraz, panno Conroy.

- A więc, przejdźmy do rzeczy - poprowadziła go do pokoju obok. Malarka - przyjaciółka Jeda znalazła czas, żeby namalować kopię obrazu. Teraz stała ona w małym salonie niczym wyzywająca striptizerka wśród pruderyjnych dam.

- Ach - Winesap poczuł satysfakcję tak wielką, że omal się nie rozplakał. Obraz jest rzeczywiście straszny, pomyślał. Kompletnie okropny, ale pasował do opisu.

- Taka śmiała, arogancka maniera - zauważyła Dora. - Naprawdę mnie ujął.

- Tak, oczywiście. Dokładnie tego się spodziewałem - odegrał wielką scenę przyglądania się śladom pędzla. - Chciałbym, aby powiększył moją kolekcję.

- Jestem tego pewna - pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiało lekkie rozbawienie. - Czy zastanawiał się pan nad ceną, panie Petroy?

- Oczywiście - powiedział, siląc się na łagodność. - Ale wolałbym, żeby pani najpierw podała swoją cenę. Potem będziemy negocjować.

- Z przyjemnością - Dora usiadła na fotelu i skrzyżowała nogi. - Może zaczniemy od dwustu pięćdziesięciu tysięcy?

Wąskie usta Winesapa otwarły się szeroko. Z gardła wydarł mu się zdławiony dźwięk. Potem głos mu powrócił.

- Panno Conroy, panno Conroy, pani nie mówi poważnie.

- Ależ tak. Wygląda pan, jakby musiał usiąść, panie Petroy - wskazała mu stołek z haftowanym siedzeniem. - A teraz pomówmy otwarcie - zaczęła, kiedy osunął się na niego. - Nie ma pan bladego pojęcia o malarstwie, prawda?

- No, cóż - szarpnął w duszący go krawat. - Jak powiedziałem, jestem właścicielem niewielkiej kolekcji.

- I skłamał pan, panie Petroy - powiedziała łagodnie. - Nie ma pan pojęcia o abstrakcji. Czy nie byłoby prościej i znacznie bardziej przyjemniej, gdybyśmy oboje przyznali się, że w tej chwili impresjonizm interesuje nas bardziej niż ekspresjonizm?

Przez chwilę nie rozumiał. Potem jego ziemista twarz pobladła.

- Pani wie o tym obrazie.

- Kupiłam go, prawda?

- Tak, ale przez pomyłkę - jego zabiegane oczy rozszerzyły się. - Nie? Wiedziała pani... wiedziała pani wszystko o Monecie? Pracowała pani z DiCarlem? Pani... pani jest oszustką - oskarżył ją żałośnie.

Dora powstrzymała chichot i pochyliła się ku niemu.

- Nie ma potrzeby tak się obrażać. Przecież to pan przysłał tu Di Carla, prawda?

- To był jego błąd - Winesap rozłożył ręce z obrzydzeniem. - Cały ten bałagan to jego

wina. Nie rozumiem, dlaczego go żałowałem, kiedy zginął tak marnie.

Obsceniczna wizja policyjnych fotografii migła w jej pamięci.

- Więc to pan go zabił - szepnęła. - Za coś takiego. Ale Winesap nie słuchał.

- A teraz muszę to wszystko uporządkować. Nie podoba mi się te dwieście pięćdziesiąt tysięcy, panno Conroy. Wcale mi się nie podoba.

Wstał. To samo zrobiła Dora. Kiedy sięgnął pod płaszcz, przez tylne drzwi wpadli dwaj policjanci.

- Stać!

Winesap spojrział na wycelowane w siebie pistolety i zemdłał. Książeczka czekowa wypadła mu z ręki i upadła na podłogę.

\* \* \*

- Chciał mi zapłacić - powiedziała tępo Dora. Patrzyła, jak dwaj policjanci wyprowadzają jękającego się, skutego kajdankami Winesapa, i czuła zawroty głowy. Nie musiała pochylać głowy między kolana, ale wołała siedzieć. Nie była pewna, czy zdołałaby ustać na nogach. - Chciał mi wypisać czek.

- Jej śmiech brzmiał lekko histerycznie. - Jezu Chryste, ciekawe, czy poprosiłabym go o dwa różne dowody tożsamości.

- Masz - Jed wcisnął jej w dłoń kubek.

- Co to?

- Twoja herbata, z odrobiną brandy.

- Dobry pomysł - przełknęła ją jak wodę i poczuła, że w jej rozdygotanym żołądku rozlewa się ciepło. - Chyba twoi ludzie mają wszystko, czego im trzeba.

- Całe mnóstwo - chciał dotknąć jej włosów, ale bał się, że odskoczy od niego. - Nieźle się spisałaś, Nancy.

- Tak - uniosła wzrok, zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. - Chyba w pewnym sensie stanowilibyśmy nie najgorszy zespół.

Patrzył na nią długo.

- Było ci ciężko.

- Pochodzę z twardego plemienia, Skimmerhorn. Conroyowie nie poddają się tak łatwo.

- Byłaś wspaniała - Brent pojawił się obok nich. Wziął Dorę pod pachy, podniósł ją z krzesła i pocałował mocno. - Znakomita robota, Doro. Jeśli chcesz pracować w policji, dam ci moją rekomendację.

- Dzięki. Ale teraz odkładam moje szkło powiększające i dorożkę do naftaliny.  
- Wrócisz jeszcze?  
- Nancy Drew - mruknął Jed i poczuł, że serce mu się łamie.  
- Pójdę teraz z Brentem na salę przesłuchań. Dobrze się czujesz?  
- Czuję się świetnie. Nie może być lepiej - jej uśmiech mógłby ich oszukać, gdyby nie usiadła tak ostrożnie na poręczy krzesła. - Ale ciągle nie mogę uwierzyć, że to ten żałosny człowieczek uknuł to wszystko i zabił DiCarla.

Brent otworzył usta i zamknął je pod piorunującym spojrzeniem Jeda.

- Mamy na taśmie tyle, że resztę wydusimy z niego bez trudu. - Jed zacisnął w kieszeniach dłoń, które zaczęły wydawać mu się bezużyteczne. - Na pewno czujesz się dobrze?

- Powiedziałam już, że tak. Idź i bądź policjantem - złagodziła swoje słowa uśmiechem. - To pasuje do ciebie - przeczesła włosy palcami.

Jed spojrzał na pasma włosów, ślicznie wracające na swoje miejsce.

- Będę wdzięczna, jeśli zadzwonisz i dasz mi znać, jakie rezultaty dało to przesłuchanie.

- Dostaniesz pełen raport - obiecał jej Brent.

- Rano - wstała już pewniejsza. - Pójdę teraz na górę i prześpię dwanaście godzin. Jeśli tu skończyliście, zamknę za wami.

Poszła za nimi do drzwi. Jed odwrócił się i położył rękę na jej dłoni trzymającej klamkę. Nie mógł się powstrzymać.

- Chciałbym jutro z tobą porozmawiać, kiedy poczujesz się na to gotowa.

Pewnie by się poddała. O mały włos. Było w nim tyle samo bólu co w niej. Ale najlepsze są czyste, szybkie cięcia.

- Mój plan dnia jest mocno napięty. Zarezerwowałam poranny lot na Arubę. Muszę się spakować.

W jej głosie, w jej twarzy nie było niczego, co pozwoliłoby na kontakt.

- Szybko działasz.

- To najlepsze dla nas wszystkich. Przyślę ci pocztówkę - ponieważ nie podobała się jej gorycz tego zdania, obróciła dłoń, której dotykał i ucisnęła jego rękę. - Pokaż im wszystkim, kapitanie.

Szybko zamknęła drzwi i obróciła klucz w zamku.

- Dlaczego nie powiedziałeś jej, że zwróciliśmy się do policji z Los Angeles, żeby zabrała się za Finleya? - zapytał Brent. Jed stał nieruchomo na chodniku.

Czuł ból, wszechogarniający ból, jakby ktoś obił go metodycznie i bezlitośnie pięściami w piankowych rękawicach.

- Myślisz, że to by pomogło jej zasnąć?

- Nie - mruknął Brent w kierunku oddalających się pleców Jeda. - Chyba nie.

\* \* \*

Wmawiała sobie, że potrzebuje właśnie snu. Od tygodnia nie miała spokojnej nocy. Zasuwała store na drzwiach wejściowych i zebrała w sobie wszystkie siły, by podnieść tacę z kawą i herbatą.

Kiedy znajdzie się na Arubie, obiecała sobie, będą tylko spała. W łóżku, na plaży, w oceanie. Karaibskie słońce wypali z mojego ciała i umysłu tę bolesną depresję, pokona ten zimowy smutek. Wrócę opalona i pełna nowych sił.

Postawiła tacę na biurku, by starannie zamknąć drzwi zaplecza i włączyła system alarmowy. Potem poszła do swojego mieszkania.

Bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby zaniósła tacę do kuchni. Kiedy odwróciła się od zlewu, stanęła oko w oko z Finleyem.

Uśmiechnął się i ujął w dłoń jej bezwładną rękę.

- Przyjąłem twoje zaproszenie, Isadora. I muszę powiedzieć, że twój dom jest czarujący.

\* \* \*

- Naprawdę nie sędzę, żebym musiał udzielać jakichkolwiek wyjaśnień bez mojego adwokata. - Winesap spojrział kapryśnie na Jeda i Brenta i zaczął obgryzać, i tak już obgryzione paznokcie. - Naprawdę.

- Ależ proszę - Brent wzruszył ramionami i usiadł okrakiem na krześle. - Mamy mnóstwo czasu. Chce pan zadzwonić, czy mamy panu przydzielić obrońcę z urzędu?

- Z urzędu? - urażona duma kazała mu wyprostować zgarbione plecy. - O nie, stać mnie na adwokata. Zajmuję bardzo dobrą pozycję - no tak, ale mój adwokat jest w Los Angeles, pomyślał. - Może gdyby mogli mi panowie wytłumaczyć, dlaczego się tu znalazłem, moglibyśmy sobie darować pośrednictwo adwokata.

- Jest pan podejrzany między innymi o kradzież, przemyt, udział w zabójstwie policjanta oraz morderstwo - poinformował go Brent.

- Zupełny absurd - Winesap skurczył się znów w sobie, zapomniawszy o dumie. - Nie rozumiem, jak mogliście wpaść na ten idiotyczny pomysł.

- Może chciałby pan posłuchać nagrania swojej rozmowy z panną Conroy - podsunął

mu Jed, podchodząc do magnetofonu.

- To była zwykła transakcja, w dodatku sprawa zupełnie prywatna - Winesap usiłował nadać swojemu przerażonemu głosowi odrobinę rozdrażnienia. Ale kiedy Jed włączył magnetofon, mógł już tylko milczeć. Po kilku sekundach zrozumiał z bolesną pewnością, że w ogóle nie okazał się uważny, a za to popisał się wyjątkową głupotą.

Zaczął ssać kostki palców, zastanawiając się gorączkowo. Właściwie nie bał się więzienia. Zupełnie. Pomyślał o Finleyu i o tym, że kara, którą wymierzyliby mu jego pracodawca, sprawiłaby mu o wiele więcej przykrości.

- Być może moglibyśmy osiągnąć porozumienie. Czy mogę prosić o szklankę wody?

- Oczywiście - Brent podszedł do kranu i napełnił wodą papierowy kubek.

- Dziękuję.

Winesap wypił ją powoli, zastanawiając się nad różnymi możliwościami.

- Chyba poproszę panów o zapewnienie mi nietykalności i objęcie mnie programem ochrony świadków. To chyba odpowiada mi w zupełności.

- A mnie w zupełności odpowiada to, że przez najbliższe pięćdziesiąt lat będziesz gnąć w więzieniu - powiedział miło Jed.

- Kapitanie - Brent podchwycił typowy ton przesłuchania - dajmy mu szansę. Może ma coś, co mógłby nam zaoferować.

- Przysięgam, że mam. Jeśli otrzymam gwarancję, że moja współpraca zostanie nagrodzona, dam wam wszystko, czego wam potrzeba, żeby schwytać naprawdę wielką zdobycz - lojalność, obroza uwierająca go przez osiem długich lat, ześliznęła się bez trudu z jego szyi. - Naprawdę wielką - powtórzył.

Jed kiwnął niedostrzegalnie głową, kiedy napotkał spojrzenie Brenta.

- Zadzwońię po obrońcę.

\* \* \*

- Może usiądziemy - Finley trzymał mocno ramię Dory, popychając ją w stronę salonu. - I pogawędzimy.

- Jak się pan tu dostał?

- Tyle było tu dziś zamieszania, prawda? - uśmiechnął się i popchnął ją na krzesło. - Nie byłem całkiem pewien, czy Abel, pan Winesap, poradzi sobie z tą kwestią. Zjawiłem się, by go nadzorować. I dobrze zrobiłem.

Zajął miejsce obok niej i założył ręce, moszcząc się wygodnie. Zauważył, że oczy Dory zerkają w kierunku drzwi i pokręcił głową.

- Proszę, nie próbuj uciekać, Isadoro. Jestem bardzo silny i sprawny. Nie chciałbym być zmuszony do stosowania przemocy fizycznej.

Ona też tego nie chciała. Zwłaszcza, że miała absolutną pewność, iż nie zdołałaby zrobić dwóch kroków. Najlepsze, co mogła zrobić, to grać na zwłokę i czekać na ratunek.

- To ty przysłałeś DiCarla.

- To długa, smutna historia. Ale jesteś tak miłą towarzyszką - usiadł wygodnie i zaczął mówić. Opowiedział jej o starannie planowanych rabunkach w kilku różnych krajach. Sieć pracowników i koszty, jakie pociągało za sobą prowadzenie udanych interesów, legalnych i nie całkiem. Kiedy dotarł do udziału DiCarla, zamilkł i westchnął.

- Ale tego nie muszę ci tłumaczyć, prawda, moja droga? Jesteś wspaniałą aktorką. Można by się zastanawiać, dlaczego porzuciłaś scenę. Tuż po twojej wizycie w moim biurze zrozumiałem, że ty i DiCarlo graliście w jednej lidze.

Przez chwilę straciła mowę ze zdumienia.

- Myślisz, że był moim partnerem?

- Z pewnością znalazłaś w nim pasującego do ciebie kochanka - szczerze zawiedziona nią, poprawił sobie spinki u mankietów. - I z całą pewnością rozumiem, jak zdołałaś go skłonić, by mnie zdradził. Co za szkoda - dodał miękko. - Miał talent.

- To, co powiedziałam ci w twoim biurze, było szczerą prawdą. Włamał się do mojego domu i zaatakował mnie.

- Jestem pewien, że o coś się poróżniliście. Chciwość i seks nie idą w parze, jak przypuszczam. - Jego oczy zwięzły się i błysnęły. - Czyżbyś znalazła innego, bardziej przedsiębiorczego mężczyznę, Isadora? Kogoś, kogo mogłaś napuścić na biednego pana DiCarlo, który wrócił do mnie z jakimś nędznym wykrętem na temat tego, dlaczego nie zwrócił mi mojej własności?

- Ten obraz nie należał do ciebie. Ukradłeś go. A mnie nigdy nic nie łączyło z DiCarlo.

- A kiedy nie wrócił - ciągnął Finley, jakby w ogóle jej nie usłyszał - zaczęłaś się martwić i zdecydowałaś, że sama zorientujesz się w sytuacji. Och, byłaś bardzo, bardzo sprytna. Taka czarująca, taka swobodna. Niemal ci uwierzyłem. Żywiłem zaledwie cień wątpliwości, niestety słusznych, co potwierdziło się dziś na moich oczach. Jestem taki zawiedziony, że zwróciłaś się do policji, Isadora. Żeby otrzymać znaleźne - pogroził jej oskarżycielsko. - Ceniłem cię bardziej. Kosztowałaś mnie dwóch bardzo dobrych pracowników i obraz, którego bardzo pragnąłem. A teraz, jak załatwimy nasze sprawy?

Zerwała się, zbyt przerażona, by usiedzieć w miejscu.



- Policja ma twojego Winesapa. Na pewno powiedział im już wszystko o tobie.

- Myślisz, że ośmieliliby się? - Finley zastanowił się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami w wytwornym geście lekceważenia. - Być może. Ale nie przejmujemy się tym. Pan Winesap wkrótce ulegnie tragicznemu wypadkowi. Wolałbym raczej porozmawiać o moim obrazie i o tym, jak mogę go odzyskać.

- Nie możesz.

- Ależ policja z pewnością, skoro okazałaś im tyle pomocy, powiedziała ci, gdzie znajduje się obraz.

Nie odezwała się; ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że nie przyszło jej do głowy, żeby o to spytać.

- Tak właśnie sądziłem - Finley uśmiechnął się szeroko, wstając. - A teraz powiedz mi, gdzie on jest, i zostaw resztę mnie.

- Nie wiem, gdzie on jest.

- Nie kłam, proszę - sięgnął do wewnętrznej kieszeni garnituru z Savile Row i wyjął z niej lśniącego lugera. - Śliczny, prawda? - zagadnął, kiedy oczy Dory przyłgnęły do lufy broni. - Wyrób niemiecki, używany podczas II wojny światowej. Lubię sobie wyobrażać, jak skutecznie zadawali nim śmierć nazistowscy oficerzy. A więc, Isadora, gdzie jest mój obraz?

Spojrzała bezradnie w jego oczy.

- Nie wiem.

Impet wystrzelonej kuli rzucił nią o ścianę. Nawet gdy poczuła palący wybuch bólu rozrywający jej ramię, nie uwierzyła, że do niej strzelił. Nie mogła w to uwierzyć. Dotknęła w oszołomieniu ogniska bólu i tępo zagapiła się na okrwawione palce. Nie odrywając od nich wzroku, osunęła się bezwładnie wzdłuż ściany.

- Doprawdy, lepiej, żebyś mi powiedziała - Finley, wcielenie rozsądku, pochylił się nad zwiniętą w miękki kłębek Dorą - tracisz dużo krwi - kucnął przy niej, uważając, żeby nie poplamić garnituru. - Nie chciałbym sprawiać ci niepotrzebnego kłopotu. DiCarlo umierał godzinami, kiedy do niego strzeliłem. Ale nie ma potrzeby tak cierpieć - westchnął, kiedy wydała z siebie jedynie jęk. - Musimy się troszkę zastanowić, prawda?

Zostawił ją, tracącą krew, i zaczął metodycznie przeszukiwać jej skarby, jeden po drugim.

\* \* \*

- Ten mały sukinsyn śpiewał jak z nut - Brent sam miał ochotę śpiewać, mknąc przez ulice miasta w stronę South Street.

- Nie lubię układów z padalcami - mruknął Jed.  
- Nawet, jeśli gra idzie o takiego wielkiego, tłustego padalca jak Finley?  
- Nawet - spojrzał na zegarek. - Poczuję się lepiej, kiedy będę wiedział, że gliny z Los Angeles już go mają.

- Nakaz aresztowania jest już w drodze, kolego. Finley nie spędzi tej nocy we własnym łóżku.

To sprawiło mu pewną ulgę. Bardzo niewielką ulgę. Jed poczułby się o wiele lepiej, gdyby mógł osobiście ująć łobuza.

- Nie musiałeś aż tak nakładać drogi. Mogłem złapać taksówkę.  
- Dla mojego kapitana nie ma rzeczy zbyt dobrych. Przynajmniej dzisiaj. A gdybym był na twoim miejscu, nie czekałbym do rana z przekazaniem dobrych wieści pewnej olśniewającej brunetce.

- Jej potrzeba teraz snu.  
- Potrzeba jej trochę spokoju ducha.  
- Będzie go miała do woli na Arubie.  
- Słucham?  
- Nie, nic - Jed odwrócił się i wbił ponury wzrok w siąpiący deszcz ze śniegiem, który zaczął ustawać, kiedy skręcił w South.

\* \* \*

- A więc - Finley usiadł przy Dorze, zadowolony, że znalazła w sobie tyle siły, by podnieść się do pozycji siedzącej i oparła się plecami o ścianę. Krew, buchająca z jej rany, sączyła się już wolniej. - Wróćmy do obrazu.

Zaczęła szczerkać zębami. Jeszcze nigdy nie było jej tak zimno, tak zimno, że jej kości zdawały się zmieniać w ziejące mrozem sopte. Jej ramię i bark stały w płomieniach, reszta jej ciała powoli skuwała się lodem. Spróbowała wydobyć z siebie głos, ale słowa brzmiały na przemian piskliwie i bełkotliwie.

- Policja... Policja go wzięła.  
- Wiem o tym - w jego głosie pojawiły się pierwsze nutki gniewu. - Nie jestem głupi, Isadora, jak wydajesz się sądzić. Policja wzięła obraz, a ja zamierzam go odzyskać. Zapłaciłem za niego.

- Zabrali go - jej głowa zwisała bezwładnie, po czym przesunęła się chwiejnie po ścianie. Pokój zaczynał tracić w jej oczach kolory, robił się coraz mroczniejszy. - Do domu babki - powiedziała, bliska omdlenia. - I znów go zabrali. Nie wiem dokąd.

- Widzę, że potrzeba ci bodźca - odłożył broń i rozluźnił sobie krawat. Dora patrzyła w oszołomieniu, jak zdejmuje marynarkę. Kiedy jego palce spoczęły na złotej klamrze paska, przez otępienie przebił się wstrętny dreszcz przerażenia.

- Nie dotykaj mnie - chciała odpelznąć od niego, ale pokój zaczął wirować, przyprawiając ją o mdłości. Mogła tylko zwinąć się w kłębek w kałuży własnej krzepnącej krwi. - Proszę.

- Och, nie. W przeciwieństwie do DiCarla, nie zamierzam cię napastować. Ale porządne baty mogą rozwiązać ci język. Być może trudno ci w to uwierzyć, ale zadawanie bólu sprawia mi prawdziwą przyjemność - owinał wokół dłoni koniec pasa. Klamra zwisająca z drugiego końca miała dodać chłóście kolorytu. - A zatem, Isadora, gdzie jest obraz?

Jednocześnie unióś w górę broń i pas. Zrobiła jedyną rzecz, która mogła powstrzymać cios. Zamknęła oczy.

\* \* \*

- Możesz wysadzić mnie przed frontem - powiedział Jed.

- Figa. Dostawa prosto do domu - zahamował z fantazją na podjeździe. Spod kół bryznęła fontanna żwiru. - Gdybyś miał jakieś ludzkie uczucia, zaprosiłbyś mnie na piwo.

- Nie mam żadnych ludzkich uczuć - Jed otworzył drzwiczki i obejrzał się. Brent uśmiechał się zachęcająco.

- Dobra, wchodź - przynajmniej zabije jakiś czas, który spędziłby w samotności, czekając na poranek.

- Masz jakieś zagraniczne? - Brent objął Jeda przyjaźnie za szyję i pomaszerował z nim w kierunku schodów. - Może meksykańskie? Naprawdę mam ochotę...

Kiedy usłyszeli słaby krzyk, obaj chwycili za broń. W dzikim pędzie dopadli drzwi. Lata pracy w zespole od razu dały o sobie znać. Kiedy Jed wyważył kopnięciem drzwi Dory, on ubezpieczał górę, a Brent dół.

Finley odwrócił się ku nim z wyrazem lekkiej irytacji. Dwa policyjne pistolety wypaliły jednocześnie. Dwie kule kalibru 9 mm trafiły go w górną część klatki piersiowej.

- Boże. O, Boże - Jed rzucił się ku Dorze, czując przeszywający strach. Powtarzał jej imię niczym modlitwę, kiedy rozdzierał jej bluzkę i tamował nią sączącą się krew. - Trzymaj się, kochanie. Trzymaj się.

Tyle krwi, pomyślał, przerażony do szaleństwa. Za dużo. A ponieważ zaczynała już krzepnąć wiedział, że minęło zbyt wiele czasu. Kiedy spojrzał na jej białą nieruchomą twarz, przez jedną, niewyobrażalnie straszną chwilę sądził, że Dora nie żyje. Ale przecież drżała.

Czuł wstrząsający ją dygot, zrywając z siebie kurtkę i okrywając ją nią.

- Nic ci nie będzie. Doro, kochanie, słyszysz mnie?

Jej oczy były szeroko otwarte, rozszerzone i nieprzytomne. Druga kula przeszła jej ramię, nie naruszając kości. Nawet jej nie poczuła.

- Masz - Brent wepchnął ręcznik w rozdygotane ręce Jeda; następny, złożony w kostkę wsunął pod głowę Dory. - Karetka już jedzie - rzucił okiem na rozciągnięte na dywanie ciało - Finley nie żyje.

- Doro, usłysz mnie. Usłysz mnie, do diabła - ręce Jeda poruszały się szybko, osuszając ręcznikiem ranę na wierzchu i sporządzając z resztek bluzki opaskę zaciskową. - Masz wytrzymać. Wytrzymaj - później nie mógł już myśleć o niczym. Mógł tylko przygarnąć ją do siebie i kołysać jak dziecko. - Proszę. Zostań ze mną. Chcę, żebyś ze mną została.

Poczuł na policzku muśnięcie jej ręki. Kiedy spojrział na nią, jej usta rozchyliły się drżąc.

- Nie mów... moim rodzicom - szepnęła. - Nie chcę ich martwić.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Płakałby, gdyby to coś pomogło. Spróbowałby wszystkiego. Oblewania się potem, modlitwy, chodzenia. Ale mógł tylko siedzieć z głową opartą na rękach i czekać.

Byli tu Conroyowie. Dora zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła, jak dzielnie to znosili. Nie spodziewała się tego. Pojawiły się łzy, pojawiło się przerażenie, ale wszyscy trwali, trzymając się razem, niczym potężny mur. Czekali, licząc minuty, aż zakończy się operacja.

Czekał, kiedy go potępią. Nie potępili. Chciał, żeby go oskarżyli. Nie zrobili tego. Nie usłyszał od nich słowa wyrzutu, nawet wtedy gdy stał splamiony krwią Dory i mówił, że zostawił ją samą i bezbronną.

Chryste, wolałby, żeby to zrobili.

Ale nie. John przyniósł im wszystkim kawy, Lea zeszła na dół, żeby poczekać na mającego przylecieć z Nowego Jorku Willa, a Quentin i Trixie siedzieli obok siebie na sofie i trzymali się za ręce.

Minęła druga, ciągnąca się w nieskończoność godzina oczekiwania; Trixie szepnęła coś swojemu mężowi. Kiedy w odpowiedzi skinął głową, wstała i zajęła miejsce obok Jeda.

- Zawsze była dzielną dziewczynką - zaczęła - w szkole zwykła zaczynać bójki... no, może niezupełnie zaczynać, ale zawsze kończyła swoje sprawy z honorem. Nie mogłam się nadziwić, że ona, rycząca jak zarzynana, kiedy rozbiła sobie kolano, nawet nie pisnęła, wróciwszy do domu z rozciętą wargą czy podbitym okiem. Kwestia dumy, jak sądzę.

- To nie była jej bójka - Jed przyciskał mocno dłonie do oczu. - Nie powinna być.

- To jej decyzja. Wiesz, teraz trzeba będzie koło niej skakać. Nie choruje często, ale kiedy... - głos Trixie załamał się, zdradzając ją. Szybko osuszyła oczy i uspokoiła się. - Ale kiedy choruje, oczekuje, że wszyscy będą się nią zajmować. Dora nie umie cierpieć w samotności.

Dotknęła delikatnie wierzchu jego dłoni. Kiedy oderwał ją od twarzy, ucisnęła ją mocno.

- Tak ciężko jest czekać w samotności.

- Proszę pani... - zabrakło mu słów. Oparł się na niej i pozwolił się jej trzymać za rękę.

Wszyscy zerwali się na równe nogi, słysząc miękkie stąpanie podbitych krepą podeszew. W drzwiach ukazała się Mary Pat, jeszcze w rękawiczkach.

- Skończyli - rzuciła pospiesznie. - Wygląda dobrze. Wkrótce przyjdzie doktor.

To właśnie wtedy Trixie zaczęła płakać, zanosząc się gwałtownym, wstrząsającym szlochem i mocząc koszulę Jeda palącymi łzami. Objął ją automatycznie i spojrzał Mary Pat

w oczy.

- Kiedy mogę ją zobaczyć?

- Doktor wam powie. Jest dzielna, tyle mogę powiedzieć.

- Nie mówiłam? - wykrztusiła Trixie. Padła w objęcia Quentina i razem rozplakali się z ulgi.

\* \* \*

Jed zaczął się trząść dopiero, kiedy został sam. Wyszedł na dwór, . z silnym postanowieniem, żeby wracać do domu. Ta chwila należy do jej rodziny, powiedział do siebie. Teraz, kiedy już wiem, że Dora wyjdzie z tego, nie muszę się tu kręcić.

Ale jakoś nie mógł przejść przez ulicę i złapać taksówki. Siadł więc na schodach i zaczekał, aż ustąpią dreszcze. Marznąca mżawka przeszła w śnieg, gęsty, lekki i mokry. Taniec białych płatków w świetle ulicznych latarni miał w sobie coś niezwykłego, coś hipnotyzującego. Jed zapatrzył się w pojedynczy snop światła i zapalił papierosa, potem drugiego. Wtedy wrócił, wsiadł do windy i pojechał na piętro, na którym leżała Dora.

- Tak myślałam, że wrócisz - Mary Pat uśmiechnęła się do niego oczami zaczerwienionymi ze zmęczenia. - Jed, niech cię, jesteś przemoczony. Mam ci przygotować łóżko?

- Chcę ją tylko zobaczyć. Wiem, że jest pod działaniem narkozy. Wiem, że nie będzie wiedziała, że jestem przy niej. Chcę tylko na nią spojrzeć.

- Przyniosę ci ręcznik. - MP...

- Najpierw musisz się wytrzeć - oznajmiła. - Potem cię wprowadzę. Dotrzymała słowa. Kiedy uznała, że wytarł się już wystarczająco dokładnie, zaprowadziła go do pokoju Dory.

Dora była biała i nieruchoma, jakby nie żyła. Serce Jeda uwięzło mu w gardle.

- Na pewno wyzdrowieje?

- Jej stan jest stabilny i nie pojawiły się żadne komplikacje. Dr Forsythe jest dobrym fachowcem. Wierz mi - nie chciała myśleć o ilości krwi, jaką musieli wtłoczyć w Dorę, ani o tym, jak długo nie mogli ustabilizować jej słabego pulsu. - Kula została wyjęta - i tkanka jest trochę poszarpana, ale to się zagoi. Będzie przez pewien czas słaba jak dziecko i trochę pocierpi.

- Nie chcę, żeby cierpiała - jego opanowanie w każdej chwili mogło prysnąć. - Dopilnuj, żeby miała wszystko, co złagodzi ból.

- Może z nią trochę posiedzisz? - Mary Pat pogładziła go uspokajająco po plecach. -

Dobrze ci to zrobi.

- Dziękuję.

- Za godzinę skończy się mój dyżur. Wpadnę po ciebie.

Ale kiedy wróciła, jedno rzucone na niego spojrzenie kazało jej się cofnąć i zostawić ich samych. Rano nadal przy niej siedział.

\* \* \*

Ocknęła się powoli, jakby płynęła ku powierzchni z głębi nieruchomej, mrocznej wody. Powietrze wydawało się zbyt gęste, by mogła nim oddychać, a w uszach miała szum, jakby gdzieś niedaleko fale odbijały się miękko od wybrzeża.

Patrzył, jak przytomnieje, obserwował każde drgnięcie jej powieki. Jej dłoń drgnęła w jego ręce, po czym zamarła.

- Nie, Doro, jeszcze nie uciekaj - musnął palcami jej włosy, jej policzek. Nadal jest zbyt blada, pomyślał, o wiele za blada. Ale jej rzęsy zatrzepotały jeszcze raz, a potem uniosły się powieki. Zaczekał, aż jej spojrzenie oprzytomnieje.

- Jed? - jej głos brzmiał martwo, pusto. Jego brzmienie niemal go złamało.

- Tak, kochanie. Jestem tutaj.

- Śnił mi się koszmar - ucałował jej dłoń, walcząc z pokusą, by położyć głowę na łóżku.

- Już dobrze.

- Był okropnie rzeczywisty. A ja... o Boże! - uniosła się, budząc przeszywający ból w ramieniu.

- Musisz leżeć spokojnie.

Wróciła pamięć, równie paląca co ból.

- Strzelił do mnie. Boże... - uniosła rękę do płonącego bólem ramienia, ale on zacisnął na niej palce. - To był Finley.

- Już po wszystkim. Wyzdrowiejesz.

- Jestem w szpitalu - wraz z bólem pojawiła się panika. - Czy... czy bardzo ze mną źle?

- Poskładali cię do kupy. Teraz musisz tylko odpoczywać - czternaście lat służby w policji nie nauczyło go, jak radzić sobie z okropnym bólem kłębiącym się w jej oczach niczym burzowe chmury. - Zawołam pielęgniarkę.

- Przypomniałam sobie - jej palce drżały, kiedy chwyciła go za rękę. - Był w mieszkaniu, czekał na mnie. Chciał wiedzieć, gdzie jest obraz. Powiedziałam mu, że nie wiem, a on do mnie strzelił.

- Nigdy cię już nie skrzywdzi, przysięgam - przycisnął czoło do ich złączonych rąk i poczuł, że serce mu pęka. - Przepraszam, kochanie. Przepraszam.

Ale ona zapadała się już w mroczną wodę, daleko, daleko od bólu.

- Nie zostawiaj mnie tu samej.

- Nie zostawię.

\* \* \*

Następnym razem, kiedy zastał ją przytomną, była otoczona kwiatami, całym potopem kwiatów od małych, słodkich bukietów po wielkie egzotyczne kompozycje. Zamiast białej szpitalnej koszuli miała na sobie coś różowego i pełnego falbanek. Miała umyte włosy i makijaż na twarzy.

Ale w oczach Jeda wyglądała przerażająco krucho.

- Jak leci, Conroy?

- Cześć - uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę - jak się tu włamałeś? Wszyscy mają tu bzik na tle przestrzegania godzin wizyt.

- Wykorzystałem swoją pozycję - zawahał się. Ręka, którą ujął, była krucha jak skrzydło ptaka. - Jeśli jesteś zbyt zmęczona, mogę przyjść później.

- Nie, jeśli zostaniesz, przepędzisz te zmyły ze strzykawkami.

- Jasne, z przyjemnością - czując się rozpaczliwie niezręcznie, odwrócił się, podziwiając gąszcz kwiatów. - Wygląda na to, że możesz zacząć handlować czymś innym.

- Piękne, prawda? Uwielbiam, kiedy się mnie rozpieszca - zmieniła pozycję i skrzywiła się, zadowolona, że stoi odwrócony do niej plecami. - Zdradziłeś mnie, Skimmerhorn.

- Co?

- Powiedziałeś mojej rodzinie.

- Sądziłem, że lepiej, żeby dowiedzieli się ode mnie niż z gazet.

- Pewnie masz rację. A co słyhać w twoim świecie? Mary Pat mówi, że wykopałeś Goldmana i wróciłeś do pracy.

- Tak - musiał czymś wypełnić sobie te dni. W przeciwnym razie zwariowałby, cicho i niepostrzeżenie.

- Mogę spojrzeć na twoją odznakę? - Co?

- Serio - uśmiechnęła się znowu. - Mogę?

- Jasne - wyjął ją i podszedł do łóżka. Wzięła ją od niego, przyjrzała się jej, parę razy otworzyła i zamknęła.



- Strasznie fajna. I jak się z nią czujesz?

- W porządku - powiedział, wkładając ją do kieszeni. Nie ma mowy, nie może tu stać i gadać o głupotach, kiedy pod różowymi falbankami jej nocnej koszuli widać białe bandaż. - Słuchaj, wpadłem tylko, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz. Muszę lecieć.

- Zanim dasz mi prezent? - Kiedy nie odpowiedział, zmusiła się do kolejnego uśmiechu. Przyszedł jej z większą trudnością; lekarstwo przestawało działać. - To pudełko, które trzymasz? Czy to nie dla mnie?

- Tak, dla ciebie - położył je na jej kolanach. - Wpadłem tu parę razy, podczas gdy ty spałaś. Kiedy zobaczyłem tę kwiaciarnię, zrozumiałem, że nie potrzeba ci już żadnych bukietów.

- Tego nigdy za wiele - sięgnęła w stronę ozdobnej kokardki, po czym opadła na poduszki. - Pomóż mi, dobrze? Nie mogę jeszcze używać tej ręki.

Nie poruszył się, ale jego spojrzenie było wymowne.

- Powiedzieli mi, że nie masz żadnych trwałych uszkodzeń ciała.

- Jasne - jej usta wykrzywiły się w podkówkę - Jakby blizna nie była trwałym uszkodzeniem. Już nigdy nie będę wyglądała w bikini tak, jak kiedyś.

Nie mógł tego znieść, po prostu nie mógł. Odwiodł się gwałtownie podszedł do okna i wbił w nie tępy wzrok. Ciężki zapach rozdrażnił jego zmysły.

- Powinienem tam być - wydusił z siebie po chwili. - Nie powinnaś zostawać sama.

W jego głosie było tyle złości, jego barki miały w sobie tyle napięcia, że Dora zaczęła spodziewać się wybuchu. Kiedy nie nastąpił, zdrową ręką rozwiązała kokardkę.

- Z tego, co mówi Brent, wynika, że Finley wymknął się policji w Los Angeles. Nikt nie miał pojęcia, że opuścił Kalifornię, Nie wiem, jak ktokolwiek mógł się spodziewać, że wmaszeruje do mojego mieszkania i zacznie do mnie strzelać.

- Moim zadaniem było to przewidzieć.

- Aha, już ci to uderza do głowy. Jak się nazywa ten kompleks supergliny? Syndrom Johna Wayne'a, tak - udało się jej rozwiązać wstążkę i właśnie zdejmowała wieczko z pudełka kiedy Jed odwrócił się do niej. - No, wędrowcze - powiedziała bardzo kiepsko naśladując Johna Wayne'a - po prostu nie można być we wszystkich miejscach jednocześnie - choć jej ramię zaczynało już pulsować bólem, z radością zaczęła rozgarniać bibułkę. - Uwielbiam prezenty i wcale się nie wstydzę przyznać do tego. Właściwie nie szkodzi, że do mnie strzelano, skoro... Och, Jed, to przepiękne.

Oślupiała bez reszty i wyjęła starą szkatułkę, z drewna i alabastru, ozdobioną wizerunkami mitologicznych postaci. Kiedy uniosła wieczko, rozległy się ciche dźwięki

„Greensleeves”.

- Walało się w magazynie z moimi rzeczami - włożył ręce do kieszeni. Czuł się jak idiota. - Pomyślałem, że może ci się spodoba.

- To przepiękne - powtórzyła i spojrzała na niego z tak szczerym zdumieniem, że poczuł się jeszcze bardziej głupio. - Dziękuję.

- Nic wielkiego. Pomyślałem, że mogłabyś tu trzymać swoje fidrygałki, dopóki jesteś unieruchomiona. Eee... potrzeba ci czegoś.

- Spojrzała na niego, nadal gładząc pozytywkę.

- Gdybyś mógł mi wyświadczyć przysługę...

- Jaka?

- Gdybyś mógł znaleźć jakiś sposób i wyciągnąć mnie stąd... - ze wstydem poczuła łzy, kręcące się w jej oczach. - Chcę do domu.

\* \* \*

Kosztowało go to parę godzin i mnóstwo negocjacji, ale w rezultacie Dora mogła złożyć głowę na własnej poduszce, we własnym łóżku.

- Dzięki ci, Panie - Dora zamknęła oczy, odetchnęła głęboko, po czym otworzyła je znowu, by spojrzeć na Mary Pat: - nie mam nic przeciwko twojemu miejscu pracy, MP, ale jeśli chodzi o mnie, to go nie znoszę.

- A ty nie byłaś znowu taką idealną pacjentką, dziecino. Otwórz buzię - włożyła w usta Dory termometr.

- Byłam skarbem.

- Powiedzmy, surowym diamentem. Bardzo surowym. Ale nie będę narzekać; kilka dni prywatnych dyżurów zadowala mnie w zupełności - na zdrowe ramię Dory założyła fachowo przyrząd do mierzenia ciśnienia. - Płatnych - zaznaczyła, biorąc termometr i odczytując poziom gorączki. Kiedy sprawdziła ciśnienie krwi, zmarszczyła szybko brwi.

Nie uszło to uwadze Dory.

- Co jest?

- Nic, czego nie można by naprawić spokojem i wypoczynkiem.

- Byłam spokojna. Nigdy nie sądziłam, że powiem coś takiego, ale już zmęczyło mnie leżenie w łóżku.

- Przyzwyczaj się - Mary Pat przysiadła na brzegu łóżka i wzięła ją za rękę mierząc puls. - Będę z tobą szczerą, Doro. Wyzdrowiejesz, jeśli będziesz odpowiednio wypoczywać i dbać o siebie. Ale to nie jest stłuczone kolano. Gdyby Jed nie nadszedł w porę, nie leżałabyś

teraz i nie narzekałabyś. Prawdę mówiąc, mało brakowało.

- Wiem. Pamiętam wszystko ciut za wyraźnie, żeby móc spać spokojnie.

- Masz prawo jęczeć i pieklić się. Mnie to nie przeszkadza. Ale masz też przestrzegać zaleceń co do joty albo złożę raport kapitanowi.

Dora uśmiechnęła się blado.

- Więc pielęgniarki mają stopnie wojskowe?

- Mówię o Jedzie, matolku. To on finansuje tę operację.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o tym, że całodobową opiekę domową na czas rekonwalescencji masz dzięki kapitanowi J. T. Skimmerhornowi.

- Ale... myślałam że to załatwia towarzystwo ubezpieczeniowe.

- Oprzytomniej - Mary Pat roześmiała się na samą tę myśl i poprawiła poduszki, wygładziła kołdrę. - No, a teraz odpocznij. Przygotuję ci coś do jedzenia.

- Nie powinien czuć się winny - mruknęła Dora, kiedy Mary Pat zbierała się już do wyjścia.

Mary Pat zatrzymała się, spojrzała na nią.

- On żywi w stosunku do ciebie coś więcej niż poczucie winy. Wiesz, że przez pierwsze czterdzieści osiem godzin nie opuszczał szpitala?

- Nie - Dora spuściła wzrok na swoje dłonie. - Nie wiedziałam.

- I że każdej nocy zaglądał do ciebie. Dora tylko potrząsnęła głową.

- Mnóstwo kobiet czeka przez całe życie, aż ktoś będzie w stosunku do nich czuł się tak winny.

Dora została sama. Sięgnęła po pozytywkę, otworzyła jej wieczko, zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać, co począć.

\* \* \*

Zmiana dobiegła końca. Mary Pat przekazała swojej zastępczyni raport o stanie zdrowia chorej. Ale jej praca jeszcze się nie skończyła. Przemaszerowała przez korytarz i ostro zapukała do drzwi Jeda. Kiedy otworzył, dziabnęła go palcem w pierś.

- Nie znalazłeś w sobie tyle siły, żeby przejść ten cholerny korytarz i... - urwała i spojrzała na niego spode łba. - Co ty wyprawiasz?

- Pakuję się.

Z jej oczu strzeliły płomienie świętego oburzenia.

- Akurat - wpadła do pokoju i wytrząsnęła na podłogę książki z jednego z pudeł. - Nie

zostawisz jej, kiedy tak leży, zupełnie bezbronna.

- Nie zostawiam jej - zmusił się do spokoju. Przekonał się, posługując się bardzo logicznym rozumowaniem, że to, co robi, robi dla Dory. - Poprosiła mnie, żebym się wyprowadził. Jeśli dowie się, że jeszcze tego nie zrobiłem, tylko się zdenerwuje.

Mary Pat wzięła się pod boki.

- Jesteś idiotą. To mogłabym właściwie zaakceptować. Ale nigdy nie przypuszczałam, że jesteś tchórzem.

- Z drogi, MP.

- Nie ma mowy. Jesteś w stanie stanąć przede mną i powiedzieć, że jej nie kochasz?

Sięgnął po papierosa. Mary Pat wyrwała mu go z dłoni i złamała na pół. Spiorunował ją wzrokiem. Odpowiedziała mu tym samym.

- Nie, nie mogę. Ale nie o to chodzi. Doktor wyraźnie kazał ją izolować od stresów. Nie trzeba, żebym kręcił się tutaj i wyprowadzał ją z równowagi.

- Siadaj. Siadaj, do diabła - popchnęła go. - Teraz ci powiem, czego jej trzeba.

- Świetnie - usiadł z rozmachem na krześle. - Już siedzę.

- Powiedziałaś jej kiedyś, że ją kochasz?

- To chyba nie twój interes.

- Tego bym nie powiedziała - zaczęła niecierpliwie chodzić po pokoju, z trudem powstrzymując się, by nie kopnąć w kulturystyczne przyrządy Jeda. - Zrywałaś dla niej kiedyś polne kwiaty?

- Jest luty, do pioruna.

- Znakomicie wiesz, o czym mówię - odwróciła się do niego i chwyciła obiema rękami za poręcze fotela, odcinając Jedowi drogę ucieczki. - Daję głowę, że nigdy nie wzięłaś jej na kolację ze świecami ani na przejażdżkę łódką, i że nigdy nie kupiłaś jej jakiegoś głupiego prezentu.

- Przecież dałem jej pozytywkę.

- Za mało. Ona musi być wielbiona.

Nie do wiary; poczuł, że na policzki wypełza mu rumieniec.

- Nie zwracaj głowy.

- Chętnie nabiłabym ci na tej głowie guza, ale przysięgałam służyć zdrowiu. Niemal ją straciłeś.

Jego oczy błysnęły ostro niczym sztylety.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Każdej nocy budzę się zlany zimnym potem, kiedy sobie przypominę, jak mało brakowało.

- Więc zrób coś wreszcie. Pokaż jej, co dla ciebie znaczy.
- Nie chcę się jej narzucać, kiedy jest tak podatna na zranienie. Mary Pat przewróciła oczami.
- Więc jesteś głupi - potem pocałowała go, litując się nad nim. Znajdź jakieś polne kwiatki, Jed. Stawiam na ciebie.

\* \* \*

Pudło nadeszło następnego dnia.

- Znowu prezenty - oznajmiła Lea, taszcząc ogromne pudło przez salon w stronę kanapy, na której siedziała Dora. - Zamierzam też się dać postrzelić, oczywiście lekko.
- Wierz mi, nie warto. Podaj mi nożyczki, co? Otworzymy nasze maleństwo - przyjrzała się dobrze przesyłce. - Bez adresu nadawcy.
- Ach, tajemniczy wielbiciel - Lea zaatakowała opakowanie, w napięciu wysuwając język.
- Och - powiedziała zawiedziona, poniósłszy przykrywkę. - To tylko książki.
- Boże. O, mój Boże. Carolyn Keene - Dora uklękła i zaczęła grzebać w pudle. - Nancy Drew, to wygląda na pełną serię. Pierwsze wydanie. Spójrz tylko: „Zagadka pochyłego komina”, „Ukryte schody” - przygarnęła książki do piersi i zaczęła rzewnie płakać.
- Kochanie, och, kochanie, zabolalo cię? Zaprowadzę cię do łóżka.
- Nie - przytuliła do policzka „Paszport do Larkspur Lane”. - To od Jeda.
- Aha - powiedziała ostrożnie Lea i przykucnęła.
- Zadał sobie tyle trudu tylko po to, żeby być dla mnie miłym. Dlaczego jest taki miły? Spójrz, parę dni temu przysłał mi tę bransoletkę - wyciągnęła rękę, a kiedy Lea zaczęła wykrzykiwać nad nią ochy i achy, paplała dalej. - I ta śmieszna krówka, i ta akwarela. Po co on to robi? Co się z nim dzieje?
- Podejrzewam, że wariuje z miłości.
- Dora pociągnęła nosem i otarła łzy rękawem szlafroka.
- To śmieszne.
- Kotku, nie poznajesz, kiedy jesteś uwodziona? - Lea wzięła książkę, otworzyła ją i potrząsnęła głową. - Ja wolałabym nieco inny sposób, ale zdaje się, że to na ciebie działa.
- Po prostu mnie żałuje. I czuje się winny - przełknęła łzy, odegnała je - prawda?
- Kotku, mężczyzna, który ganiał do szpitala jak wariat, nie kierował się poczuciem winy - Lea założyła siostrze pasmo włosów za ucho. - Dasz mu wreszcie odetchnąć?
- Dora opuściła książkę na kolana, pogładziła delikatnie okładkę.

- Zanim Finley mnie postrzelił, zerwałam z Jedem. Powiedziałam mu, żeby się wyprowadził. On mnie skrzywdził, Leo. Nie chcę, żeby to zrobił jeszcze raz.

- Nie mogę ci mówić, co masz robić, ale to, że każesz mu tak cierpieć, wydaje mi się absolutnie niesprawiedliwe - Lea ucałowała Dorę w czoło, a potem wstała, słysząc pukanie do drzwi.

- Cześć, Jed - uśmiechnęła się i pocałowała również jego. - Twoja niespodzianka trafiła w dziesiątkę. Dora płacze nad twoimi książkami.

Cofnął się odruchowo, ale Lea złapała go za rękę i wciągnęła go do środka.

- Patrz, kto przyszedł.

- Cześć - Dora otarła łzy i zmusiła się do drżącego uśmiechu. - Są piękne - jej oczy znowu napelniły się łzami - naprawdę piękne.

- Stracą na wartości, jeśli zamokną - ostrzegł ją.

- Racja. Ale pierwsze wydania zawsze mnie rozczulają.

- Właśnie wychodziłam - Lea wzięła swój płaszcz, ale ani Dora, ani Jed nie zwrócili uwagi na jej wyjście.

- Nie wiem, co powiedzieć - dalej przyciskała do piersi „Ukryte schody” niczym ukochane dziecko.

- Może „dziękuję” - podsunął jej.

- Dziękuję. Ale Jed...

- Słuchaj, mam pozwolenie na zabranie cię stąd na chwilę. Masz ochotę na przejażdżkę?

- Żartujesz? - wstała powoli. - Na dworze? Przejazdka na dworze i nie do szpitala?

- Weź płaszcz, Conroy.

- Nie mogę uwierzyć - powiedziała kilka minut później, siadając z rozkoszą w samochodzie Jeda. - Żadnych pielęgniarek. Żadnych głupich termometrów, żadnego głupiego mierzenia ciśnienia.

- Jak ramię?

- Boli jak diabli - otworzyła okno, by poczuć na twarzy pęd powietrza i nie zauważyła, że jego palce zacisnęły się na kierownicy. - Zmuszają mnie do tej terapii fizycznej, która jest, delikatnie mówiąc, nieprzyjemna. Ale daje efekty - podniosła łokieć pod odpowiednim kątem, by udowodnić, że mówi prawdę.

- Nieźle, co?

- Świetnie - w jego głosie było tyle powstrzymywanej wściekłości, że Dora uniosła brew.

- W pracy wszystko w porządku?

- Znakomicie. Miałaś zupełną rację. Nie powinienem odchodzić.

- Potrzebowałeś chwili czasu - dotknęła jego ramienia. Kiedy cofnął się, opuściła rękę.

Pora - pomyślała - oczyścić atmosferę.

- Wiem, że nasze stosunki były inne, zanim... no, zanim zostałam ranna. Wiem, że zachowałam się nieładnie.

- Przestań - nie mógł tego znieść. - Miałaś rację. We wszystkim. Nie chciałem, żebyś za bardzo się do mnie zbliżyła i zrobiłem wszystko, żeby się tak nie stało. Jesteś jedną z głównych przyczyn, dla których wróciłem do pracy, ale nie powiedziałem ci o tym, bo musiałbym przyznać, że jesteś dla mnie ważna. Że ważne jest to, co myślisz. Zrobiłem to z rozmysłem.

Zamknęła okno, zamykając dopływ powietrza.

- Nie ma sensu do tego wracać.

- Chyba byłoby bardzo wygodne, gdybym powiedział, że zamierzałem prosić cię o wybaczenie, że zanim do ciebie strzelił, chciałem błagać, żebyś dała mi jeszcze jedną szansę - zerknął na nią, zauważył, że wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami i odwrócił wzrok, pełen obrzydzenia. - Tak, spodziewałem się, że właśnie to powiesz.

- Nie jestem pewna - powiedziała ostrożnie - co pociąga za sobą ta Jeszcze jedna szansa”.

Chciał jej to pokazać. Zatrzymał się na poboczu, zaciągnął hamulec i wysiadł. Okrążył samochód, by pomóc jej przy wysiadaniu. Ponieważ wpatrywała się w jego dom, wykonała niezręczny ruch i uderzyła ramieniem o drzwiczki.

- Cholera - jej jęk bezradnego bólu przeszył go niczym ostrze.

- Nie mogę znieść twojego cierpienia - przygarnął ją, osłaniając jej ramię. - Nie mogę. Serce mi się łamie, kiedy o tym myślę. Kiedy przypominam sobie, jak wyglądałaś wtedy, na podłodze, jak wyglądała twoja krew na moich rękach - zaczął drżeć; jego wytrenowane mięśnie dygotały niczym szarpnięte struny. - Myślałem, że nie żyjesz. Patrzyłem na ciebie i myślałem, że nie żyjesz.

- Przestań - pogładziła go odruchowo. - Nic mi już nie jest.

- Nie przeszkodziłem mu - powiedział gniewnie. - Przyszedłem za późno.

- Ależ nie. Uratowałeś mi życie. On by mnie zabił. Chciał to zrobić, tak samo jak chciał odzyskać obraz. Powstrzymałeś go.

- To za mało - spróbował się opanować. Rozluźnił uścisk, w którym ją trzymał i odstąpił.

- Dla mnie w sam raz - uniosła rękę do ust.

- Tylko chwilę - stał przez chwilę, a zimny, rześki wiatr szeptał w огоłoconych gałęziach drzew i w uśpionych trawach. - Nie powinnaś stać na zimnie.

- Mnie tu dobrze.

- Chcę, żebyś weszła do środka. Chcę to skończyć wewnątrz domu.

- Dobrze - choć nie było jej już słabo, pozwoliła mu podtrzymywać się w drodze do domu. Wydawało się jej, że potrzebował tego.

To on wydawał się potrzebować pomocy, kiedy otwierał drzwi i wprowadzał ją do środka. Kiedy wyrwało się jej ciche westchnienie radości, jego serce podskoczyło. Dora stanęła na przytulnym bucharskim kobiercu.

- Wstawileś rzeczy z powrotem.

- Niektóre - przyjrzał się jej palcom, wędrującym po palisandrowym stole, wygiętym oparciu krzesła, jej uśmiechowi w wymyślnym, pozłacanym zwierciadle. - Moja gospodyni pokazała mi drzwi, więc wyciągnąłem z magazynu parę rzeczy.

- Właściwych rzeczy - ruszyła w stronę głównego salonu. Wstawił do niego wygiętą pasiastą sofę i śliczną lampę od Tiffany'ego, stojącą na stoliku z drzewa atlasowego. Na palenisku trzaskał ogień. Poczowała, że przeszywa ją zarazem radość i żal. - Wprowadzasz się tu?

- To zależy - ostrożnie zdjął płaszcz z jej ramion, położył go na poręczy sofy. - Wróciłem tu w zeszłym tygodniu. Tu się zmieniło. Widziałem, jak wchodzisz po schodach, siedzisz na parapecie, wyglądasz przez kuchenne okno. Zmieniłaś ten dom - powiedział, gdy odwróciła się powoli do niego. - Zmieniłaś mnie. Chcę się tu wprowadzić i zacząć tu żyć. Jeśli zamieszkaś tu ze mną.

Nagle oszołomienie, które poczuła, nie mogło mieć nic wspólnego z jej raną.

- Chyba muszę usiąść - opadła na pasiaste poduszki i odetchnęła ostrożnie. - Wprowadzisz się tutaj? Chcesz się tu wprowadzić?

- Właśnie.

- A ja mam żyć tutaj z tobą?

- Jeśli to wszystko, co możesz mi dać - wyjął z kieszeni małe pudełeczko i wcisnął je w jej dłoń - ale wolałbym, żebyś za mnie wyszła.

- Czy mogę... - jej głos załamał się, przeszedł w pisk. - Czy mogę prosić o szklanekę wody?

W rozdrażnieniu przeczesał włosy palcami.

- Conroy, do cholery... - pohamował wściekłość i przeraźliwe napięcie - jasne, zaraz ci



przyniosę.

Odczekała, aż opuści pokój. Dopiero wtedy zebrała się na odwagę i otworzyła pudełeczko. I dobrze, ponieważ zawartość pudełeczka kazała jej zastygnąć z otwartymi ustami. Nadal trwała w oszołomieniu, kiedy wrócił, niosąc szklanę ze szkła bakaratowego napełnioną ciepłą wodą z kranu.

- Dzięki - wzięła od niego szklanę i pociągnęła długi łyk. - Ten kamień jest olbrzymi.

Wyciągnął papierosa, pełen niesmaku wobec samego siebie.

- Chyba jest zbyt duży.

- O nie. Nie ma na tym świecie zbyt dużych brylantów - położyła sobie pudełeczko na kolanach, ale nie wypuszczała go z ręki. - Zdaje się, że te ostatnie tygodnie były dla ciebie tak samo ciężkie, jak dla mnie. Może tego nie brałem pod uwagę, ale...

- Kocham cię, Doro.

Zamarła w pół słowa. Zanim zdołała się opamiętać, siedział już obok niej, miażdżąc jej kilka kości w dłoni. - I nie prosz mnie o kolejną cholerną szklanę wody. Jeśli nie chcesz mi na razie odpowiedzieć, zaczekam. Chcę tylko, żebyś pozwoliła mi na nowo zdobyć twoją miłość.

- Więc to o to chodziło? Te prezenty i telefony? Chciałeś osłabić moje siły, korzystając z mojej sytuacji.

Spojrzał na ich złączone ręce.

- Coś w tym rodzaju.

Skinęła głową, wstała i podeszła do okna. Na wiosnę będą tu tulipany, pomyślała. I masa słonecznych żonkili.

- Dobra robota - powiedziała spokojnie. - Cholernie dobra robota, Skimmerhorn. Choć tak naprawdę to książki załatwiły ci to wszystko. Jak można się oprzeć pełnemu kompletowi pierwszych wydań Nancy Drew? - spojrzała na wspaniały brylant o rozetowym szlifie. - Wykorzystałeś moją słabość do romansów, nostalgii i zysków materialnych.

- Nie jestem taką złą partią - czując, że nerwy napinają się mu do ostateczności, stanął za nią i dotknął jej włosów. - Mam parę wad, ale jestem bogaty.

Jej usta wygięły się w uśmiechu.

- Ten argument kiedyś mógłby poskutkować, ale teraz sama jestem dobrze sytuowana, ponieważ zagarnę okrągłą sumkę znaleźnego za Moneta. Może i jestem zachłanna, Skimmerhorn, ale mam swoje wymagania.

- Szaleję za tobą. - Już lepiej.

- Jesteś jedyną kobietą, z którą chciałbym spędzić życie - przesunął lekko wargami po

jej ramieniu i szyi. Z gardła wydarło się jej westchnienie. - Jediną kobietą, którą kochałem i którą chcę kochać.

- Znakomicie.

- Nie mogę bez ciebie żyć, Doro.

Gardło ścisnęło się jej, w jej głosie zabrzmiały łzy.

- Strzał w dziesiątkę.

- Czy to znaczy, że znowu mnie pokochasz?

- Dlaczego sadzisz, że przestałam cię kochać?

Ręka, którą trzymał w jej włosach, zacisnęła się, wywołując grymas na jej twarzy.

- A co z małżeństwem? Pójdiesz na to?

Uśmiechnęła się prosto w słońce. Może nie były to najbardziej romantyczne oświadczenia, ale jej to odpowiadało. Odpowiadało w pełni.

- Zasłony obszyjemy koronką, Jed. I mam ławę Chippendale'a, która tylko czeka, - żeby postawić ją przed kominkiem.

Odwrócił ją ku sobie, odgarniając jej włosy i ujmując w dłonie jej twarz. Wystarczyło, że spojrzał w jej oczy, by opuściło go całe zdenerwowanie.

- Dzieci?

- Troje.

- Ładna liczba. - Oparł czoło o jej głowę, z sercem przepelnionym uczuciem. - Na górze jest łóżko, w apartamencie. To chyba styl Jerzego III.

- Z czterema słupami?

- I baldachimem. Zostań tu ze mną na noc. Pocałowała go, nie przestając się śmiać.

- Myślałam, że nigdy tego nie powiesz.